

2007

KWIECIEŃ

Depresja

Prawy nadgarstek w gipsie akurat na Wielkanoc zaplanowaną terapeutycznie daleko od domu, nad zimnym Bałtykiem. Złamanie jest dobre na depresję. Nieoczekiwana leworęczność przemieszcza uwagę z pełnego motyli żołądka na teren zadań elementarnych, takich jak mycie, wkładanie spodni, zapinanie guzików, zasuwanie zamków błyskawicznych i wiązanie sznurowadeł. Ta chwilowa niepełnosprawność wyklucza mnie również z praktycznego życia, z tradycyjnej wielkanocnej krzątania, i sprzyja nabieraniu przedświątecznej dobroci.

Pamiętam, jak Andrzej O. pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy się jeszcze kolegowaliśmy, powtarzał, że lubi, kiedy tak dobrze mówię o ludziach. - Jak to się dzieje, że tak dobrze mówisz o ludziach? - Przez dziesiątki lat brałam ich takimi, jakimi są. Z wadami i śmiesznościami. A teraz nie umiem wyłowić z pamięci tego dnia, kiedy straciłam tę pobłażliwość. Tę wspańałością. Tę tolerancję. Po pierwszym seansie nienawiści? Podczas pierwszej leczonej depresji? Po pierwszym aresztowaniu mego syna, kiedy nie było nikogo, kto chciałby mi pomóc? Obudowana tabletkami, zdrętwiała od znieczulenia, tkwiłam już wówczas w kokonie niepełnej obecności. Poranna pastylka szczęścia, żeby przeżyć dzień. Żeby sprostać dyrektorskim zadaniom. Stać na podium i zapowiadać kolejne wystawy, a przedtem je planować i realizować, zabiegać

9

o przychylności korowodu ministrów, o pieniądze od sponsorów, o życzliwość artystów, krytyków i personelu. - Bierze pani środki, które dają moim pacjentom w szpitalu. Oni leżą w łóżkach, a pani cały czas pracuje! - mówiła Grażyna M., moja lekarka pierwszego kontaktu. Bo jeśli nie praca - to co? Należało trzymać pion; z pozycji poziomej można się nie podnieść po krótkim liście: „Mamo, wiem, że po tym, co zrobiłem, nie zechcesz mnie już więcej widzieć”, który zastałam na stole po tym, jak mój syn wszedł przez balkon na ósmym piętrze, a wyszedł drzwiami, zostawiając na półce akuratnie rozkręcony zamek. Tyle razy wychodził, myślałam, a potem dzwonił albo pojawiał się nagle z prośbą o pomoc. Czy uznał, że go wysłę do więzienia na odwyk? Że go zakapuję? Nie była to przecież jego pierwsza kradzież, nie debiutował w wynoszeniu z domu przedmiotów zamienianych na spłatę podchodzących do gardła długów albo po prostu na towar. Może chodziło o to, że nieobecność tamtych innych rzeczy - cenniejszych książek, artystycznych wydawnictw, tenisowej rakiety, kamery, aparatu fotograficznego, wiecznych piór czy paru banknotów - nie rzucała się natychmiast w oczy, nie była tak demonstracyjna, jak nieobecność telewizora? Może w grę wchodził wstyd, resztki wstydu, wywołane trudnym do uchwycenia rozróżnieniem między cichym „wzięciem” a spektakularnym włamaniem do domu własnej matki?

Musiał wiedzieć, że spróbuję zrozumieć tę determinację, ale że jej nie zaakceptuję. Nie ze względu na wartość przedmiotów, straciłam ich w życiu wiele, nie miały dla mnie znaczenia, ale z uwagi na jego własną, ludzką wartość. Był bardzo inteligentny, mógł przewidywać, że już nie będę go namawiać do niehumanitarnego wysiłku wydobywania się z uzależnienia, do kolejnego przejścia przez wszystkie, znane nam obydwojgu, bolesne stadia oczyszczania organizmu, a potem do trwającej całe życie, męczącej abstynencji. Mógł pomyśleć, że wiem już to, co sam wiedział: że brak mu siły. Już nie wierzył w wyleczenie, w to, że naprawdę przestanie zatruwać swoje serce, swój mózg,

10

swój talent, swoje człowieczeństwo, może trochę zanadto rozwinięte, zbyt silnie odczuwane od samego dzieciństwa. Zaistniało bardzo wiele przesłanek, by pomyślał, że nie zapamiętałam tego, co mi kiedyś, dużo wcześniej, powiedział na temat syna marnotrawnego, jego ulubionej biblijnej przypowieści i ulubionego obrazu Rembrandta. Wracał do tego motywu kilkakrotnie, zapewne z nadzieją na podobnie szczęśliwy finał, a potem uznał, że to wyrzuciłam z pamięci.

Ale ja to pamiętałam. Dlatego przez następne miesiące i lata nie dopuszczałam myśli o ostatecznej możliwości, także wówczas, gdy czująca aurę kobieta dotknęła zdjęcia i powiedziała twardo: - On jest zimny. - Korzystałam z magicznych metod, które kiedy indziej kwitowałam pukaniem się w czoło. A przecież byłam niemal pewna, że nie będzie go można zaliczyć do statystycznego promila wyleczonych przypadków; że jeśli po roku przerwy w braniu nie potrafił wejść w życie rodzinne z dziewczyną i dzieckiem, których potrzebował, to może także nie będzie umiał walczyć o elementarną egzystencję nastawioną już tylko na zdobywanie towaru, a więc, że czeka go to, co przewiduje tragicznie banalny scenariusz życia narkomana. Tragicznie banalny. Bez względu na wszystkie starania. Bez względu na wysokie IQ i rozbudowaną osobowość, odczytanie i wrażliwość na formę. Na subtelność uczuć. Albo właśnie ze względu na to wszystko.

Wiedziałam „na rozum”, na podstawie statystyk, lektur, rachunku prawdopodobieństwa - wiedziałam. Ale nie wierzyłam. Pamiętałam nasze rozmowy o synu marnotrawnym.

Posłusznie oglądałam zdjęcia podsuwane przez policjantów na ulicy Wilczej i za każdym razem z ulgą stwierdzałam, że nie. Nie, nie, to nie on. - Proszę mi pobrać krew i zbadać kod genetyczny. Proszę zadzwonić, kiedy będziecie mieli pewność, że to mój syn. - A teraz, po dziesięciu latach letargu, jakiejś niemożliwej do wyjaśnienia hibernacji mózgu, nagle zapragnęłam dowodów. Zapragnęłam zakończyć ten rozdział, zamknąć go wreszcie, jak zamykam życie ojca, życie mamy, życie mojej nieznannej rodziny z obu tajemniczych linii. Żeby tylko pastylki szczęścia nie

11

znieczuliły mnie znowu na empatię. Żeby odzyskać trochę dobroci, której źle lokowany nadmiar stał się przyczyną tylu nieszczęść. (Tak mi się wydaje, że można tu mówić o źle lokowanym nadmiarze i braku umiejętności; właściwie o niezdolności.) Żeby wysilić pamięć własnego dzieciństwa, która pomoże mi zrozumieć, dlaczego zrobiłam swemu dziecku to wszystko, co się określa mianem toksycznego wychowania.

Bezradność

Ledwie zaczynam, a już wpadam w bezradność. Nie umiem robić wypisów z pamięci. Nie potrafię artykułować przeszłości: odtwarzać faktów, rekonstruować myśli, opowiadać o uczuciach. Rozlewne opowiadanie domaga się fikcji. Narracja wymaga wartkiej akcji, barwnego opisu, celnej charakterystyki i żywego dialogu; setki stron mijania się z prawdą, bo prawda popsuje formę i złamie zasadę budowy utworu. Prawda jest bezforemna, a przez to niewygodna, nie daje się wtłoczyć w rytm frazy, nie wpisuje się w ramy kompozycji inaczej niż jako fikcja. A co z tym banałem codzienności, co z ciągiem nieudanych przyjaźni i romansów, gdzie podziąć niespełnione marzenia i nudne wieczory, jak się przyznać do żalonych klęsk zawodowych, finansowych i rodzinnych? Nie każde życie warte jest romansu, chyba że potrafi się je trochę ubarwić. Ale ja nie potrafię zmyślać. Setki stron poświęconych sztuce były próbą opisywania fenomenu innej rzeczywistości. Poniekąd realnej, choć przecież prawda sztuki też jest fikcją, czyta się ją jak książkę i komentuje jak książkę. Z prawdą życia jest inaczej. Miliony chwil, najczęściej błahych dla innych i po latach także dla nas samych, zdarzeń podobnych do siebie i z sobą nieporównywalnych - zapada w niepamięć, ponieważ nie otrzymały właściwej formy. „Życie jest formą istnienia białka, ale w kominie coś czasem załka”. Istnienie białka jest nieciekawe tak długo, jak długo

13

nie towarzyszy mu łkanie w kominie. To ono budzi zaciekawienie, nie fakt czyichś narodzin i śmierci. Chyba że faktom tym towarzyszą wyjątkowe, warte odnotowania okoliczności - i to one są przedmiotem narracji. Czy jednak wystarczy się urodzić w dziwnej sytuacji, by zaciekawić kronikarza? Nawet tego warunku nie spełniam.

Urodziłam się w sposób banalny, typowy dla mojego pokolenia, nieobarczonego pamięcią wojny, ale wojną naznaczonego przez generację rodziców i nauczycieli - tych wszystkich

okaleczonych dorosłych, którzy bardzo nie chcieli, byśmy doświadczyli tego samego, czego oni doświadczyć musieli, a ponieważ teraz już wiedzieli więcej, robili wszystko, by nas przed tym strasznym doświadczeniem uchronić. Z tego punktu widzenia całe moje życie jest przypadkiem typowym. Jak opowiedzieć o tej typowości? O typowych szkołach i typowych nauczycielach, typowych ubraniach i typowych produktach masowego żywienia. O tańcach i piosenkach śpiewanych od Bałtyku do Tatr. O wydarzeniach powoli ruszających z posad typowy światopogląd. I jak wyłuskać z tej typowości pojedyncze istnienie, pars pro toto pierwszego pokolenia w całej historii nowożytnej Europy, które nie zaznało prawdziwej wojny, ale wyrosło w jej mrocznym cieniu i jakoś nie umie z tego cienia wyjść na światło? Pokolenia, na którym eksperymentowano marszowy krok do przodu, bez oglądania się wstecz, na rodzinne korzenie i groby, i które dopiero po śmierci swoich bliskich rusza w przeszłość, by spełnić zaległy obowiązek, choć niewiele już pozostało do uratowania, bo korzenie obumierają, a groby milczą. Pozostaje odrobina świadectw i pamięć - dziś już własna, ale przejęta z drugiej ręki, od tych, którzy pamiętali lepiej i dokładniej, nie mówili jednak wszystkiego albo mówili chaotycznie, albo ich nie słuchaliśmy.

To tylko jedna strona. Drugą jest ustawicznie doznawana osobność, inność niepozwalająca na identyfikację ani z grupą rówieśniczą, ani polityczną, ani wyznaniową, ani - wreszcie - narodową. Przynajmniej nie w pełni i nie do końca, co może wzbogaca, ale też

14

doskwiera i ostatecznie kształtuje niespójną, rozchwianą osobowość, determinuje życiorys. Jeśli więc używam pojęcia pars pro toto, to niezupełnie w odniesieniu do całego pokolenia, raczej do tej jego drobnej części, która mogłaby nawet umknąć uwadze, gdyby nie to, że została za swoją inność napiętnowana, a zatem przeeksponowana, wystawiona przed szereg jako obiekt służący kanalizowaniu społecznych czy może grupowych frustracji, poddana odwiecznej, plemienniej ceremonii, mającej służyć zbiorowemu oczyszczeniu, katharsis. Wydaje się, że roztopienie najzupełniej osobistego losu w tym ogólniejszym, niegdyś już rozpoznany jako doświadczenie „pokolenia bez życiorysu”, może być warte namysłu. Powinnam tylko to wszystko jakoś uporządkować czy raczej znaleźć sposób na znakowanie pojedynczych drobinek składających się na strukturę całości - tak jak w chemicznym roztworze oznacza się skrobię. Na przykład. Wiadomo wtedy przynajmniej, czy ma się do czynienia z krochmalem.

Negatywy przechowujemy

Pytają, czym się teraz zajmuję, jeśli nie mam posady. - Co pani teraz robi?

Rzucam palenie. Szukam rodziny. Jedno drugiemu nie pomaga. Przy szukaniu bardziej chce się palić. Po nikotynowych plastrach pozostają na skórze kwadraty z alergicznym odczynem. Są pokryte czerwonymi bąblami i swędzą. Palenie rzucam od trzech miesięcy. Każdego miesiąca przybywa mi jeden kilogram. Zaczynam pękać w szwach. Również z braku stresu i adrenaliny, na której jechałam przez całe lata. Rodziny szukam od odejścia z muzeum, które wreszcie zaistniało, przynajmniej na papierze. Nie muszę już o nie walczyć z zastępami urzędników, i po ćwierćwieczu zmagani nie chce mi się już go budować. Z dnia na dzień przestawiłam dźwignię, przekiero- wałam pociąg na inne tory, odjeżdżam w przeszłość, szukam w pamięci, szukam w dokumentach, gmeram w fotografiach, gromadzę fakty i dowody, zajmuję się typową dla mojego zawodu pracą badawczą - robię coś, czego nie lubiłam jako starszy asystent w Instytucie Sztuki PAN, coś, co mnie śmiertelnie nużyło i było powodem odejścia z pracy na chwilę przed obroną doktoratu, już niemal gotowego. Pozostały elementarne umiejętności, które dzisiaj nieco pomagają w docieraniu do pojedynczych wątków, w kojarzeniu faktów i rekonstruowaniu obrazu jeszcze dalekiego od doskonałości, ale przecież

16

coraz bardziej wyraźnego, wyłaniającego się z nieistnienia, z próżni, jaka wypełniała moją głowę i moje serce w miejscu przeznaczonym na przeszłość moich bliskich.

Nie zaczynam od zera. Mam za sobą wielogodzinne tasowanie starych rosyjskich zdjęć przywiezionych przez mamę po śmierci babki z jej mieszkania w Nowosybirsku. Przez siedemnaście lat leżały w pudełku po butach i nigdy nie nadarzyła się okazja, by nad nimi usiąść, wysłuchać opowieści o tych wszystkich solennie upozowanych osobach, poznać ich imiona i rozsypać łączące ich więzy krwi. Uczyniłam to dopiero podczas pakowania dóbr, kiedy opróżniałam z całego dobytku pozostawione przez mamę mieszkanie w Legnicy. Wujek Jura, brat mojej mamy Lidy, który przyjechał ze swym synem po spadek, domagał się też zwrotu rodzinnych fotografii, bo Lida je zabrała nikogo nie pytając o zgodę, a one przecież należą do niego, bo to on został w Rosji i to właśnie jego rodzina musi znać swoje korzenie. Nie wypomniałam Jurze, że nie wie, gdzie są groby jego matki i siostry, więc nie nadaje się na strażnika pamięci i nie zasługuje na tę jedyną pamiątkę po mojej babce, jeśli nie liczyć samowara, patelni do smażenia konfitur i ciężkiego moździerza z mosiądzu, które mama także przytargała z Nowosybirska. Powiedziałam, że nie wiem o zdjęciach. Skłamałam patrząc mu z uporem w oczy, już po tych wszystkich dniach prawosławnej Wielkanocy, kiedy patrzyliśmy na ustawioną w serwntce urnę z prochami mamy i czekaliśmy w jej legnickim mieszkaniu na miejsce pochówku w Warszawie. Miało się spełnić, co się nie spełniło za jej życia: że trafi w moje pobliże, że wreszcie znajdzie się w moim zasięgu, choć to bliskość umowna, wyznaczona przez nasze ludzkie, plemienne rytuały; bliskość w kategoriach odległości od domu do prawosławnego cmentarza na Woli. Kiedy już skończyły się święta i zawiozłam mamę do Warszawy, żeby spuścić ją do wybetonowanej czeluści przy akompaniamencie staro-cerkiewno-słowiańskich zaśpiewów, kiedy, na powrót w Legnicy, wysłuchałam tych jego ochów i achów, że go boli serce, że pogrzeb

17

taki piękny, nie to, co u nich na Syberii, gdzie wszystko na łapu-capu, i że nie warto przekazywać Mateuszowi całego warsztatu, bo on go przecież zmarnuje, jest narkomanem, podczas gdy im w Rosji w sam raz się przyda na okres pierestrojki, i gdzie są te zdjęcia, które się należą - wtedy otworzyłam wreszcie przed nimi porcelanowy interes mamy i pozwoliłam wziąć, co tylko zdołają udźwignąć - i jednocześnie oznajmiłam twardo, że nic nie wiem o zdjęciach. Wtedy przestali się dopytywać, zasiedli w pracowni i pakowali dobytek aż do pory odjazdu pociągu.

A kiedy wreszcie wyjechali, sięgnęłam po pudełko i rozłożyłam zdjęcia. Przebierałam je w rękach, tasowałam jak karty tarota, ze strachem i roztargnieniem. Jeszcze nie umiałam się koncentrować, byłam chora na nagłą śmierć mamy i powtarzający się bez końca obraz jej upadającego ciała (bardziej doznawany niż wyobrażony), na dojmującą obecność obcej rodziny i dojmującą nieobecność bliskich, na zanikanie więzi z Mateuszem oddalającym się w nirwanę opiatów, na załatwianie koniecznych ceremonii, wreszcie na sortowanie tych wszystkich rzeczy, które stopniowo wyprzedawałam, rozdawałam, wyrzucałam. Więc wówczas nie umiałam rozpoznać na tych zdjęciach nikogo prócz tych, których znałam osobiście. A znałam tylko babkę Afanasję i ciocię Zinę. Charakterystyczna twarz ciotki dała się od razu wyłowić na zbiorowym zdjęciu, choć była na nim małą dziewczynką. Pamiętałam też twarz babki i metodą dedukcji odkryłam wygląd dziadka. To wszystko. Na tym wówczas poprzestałam.

Drugie podejście nastąpiło po wielu latach, gdy zaczęłam szukać naprawdę. Wówczas okazało się, że możliwe jest składanie drobniutkich fragmentów w nieco większe elementy, że daje się wyciągnąć z pamięci rozrzucone kawałeczki, dodać do siebie wyjęte z opowieści mamy i zatrzymane w mojej dziecięcej głowie mało istotne szczegóły dopasowując je do drugich tak, by zaczęły znaczyć coś więcej, niż dotychczas znaczyły. W ten sposób rosyjska rodzina dała się jakoś ułożyć, nie cała, bez przybudówek, jednak główny trzon zarysował

się całkiem wyraźnie, pozwolił sfabularyzować i odsłonił obszar niedoboru dotyczący dawniejszej przeszłości, tej sprzed wyjazdu na Syberię. Mogę się nigdy o niej nie dowiedzieć, a gdyby nawet to się udało, droga do wiedzy musiałaby prowadzić przez Nowosybirsk i niechciane spotkanie z rodziną, która się odwróciła od własnych grobów. Wiem jednak, że kiedyś będę musiała się zebrać do tej podróży w otchłań carskich archiwów, gdzie mogę odnaleźć dekrety kierujące na Sybir, na osiedlenie, dwie rodziny - jedną przedsiębiorczą, drugą romantyczną, splecione wskutek popełnionego przez swoje dzieci mezaliansu - które ja, ich daleka krewna po kądzieli, kapryśnym zrzędzeniem losu zapragnę ocalić od zapomnienia. Tak się przecież mówi - „ocalić”, czyli wydobyć odrobinę życia z tych anonimowych, upozowanych do zdjęcia postaci.

Pierwsze zdjęcie zostało zrobione około roku 1909 w zakładzie Fotografii Moskiewskiej R. K. Węgra: „Cabinet Portrait. Miasto No-wonikołajewsk. Negatywy przechowujemy”.

Symetryczna kompozycja, w centrum, za wysokim, ozdobnym stolikiem.

Stoją chłopcy: ramię przy ramieniu,

uczesani na boczek, ubrani w ciemne, jednolite ubrania.

W jednakowe jedwabne rubaszki, przepasani szerokimi rzemiennymi pasami.

Dziewczyny siedzą na aksamitnych fotelach z frędzla, w ciemnych sukniach.

Najstarsza, już wówczas zamężna,

prawie całkiem frontalnie zwrócona do obiektywu, w ciemnej sukni

zapinanej wysoko pod szyją, w białej ozdobnej bluzce, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

zapiętych na małych guzikach, w białej ozdobnej bluzce, tali

Fotografia trzecia przedstawia ich oboje w towarzystwie postronnego przystojniaka. Brat - jak

to się stało, że nie poznałam jego imienia? - już odmieniony, całkiem dorosły, w eleganckim jasnym palcie z aksamitnymi wyłogami, białej koszuli i furażerki siedzi w centrum kadru.

Afanasja w obcisłym palcie i szalu na głowie stoi za jakąś barierką. Na palcu błyszczy obrączka. Może być rok 1912, dwa lata po ślubie i po utracie pierwszego dziecka, a przed urodzeniem drugiego.

Afanasja Biełogłazow, moja babka, na wszystkich zdjęciach ma taką samą fryzurę i taki sam wyraz twarzy. Patrzy z uporem wprost w obiektyw, bez kokieterii, bez uśmiechu, z osobliwą powagą, nie-licującą z jej młodym wiekiem. Ten sam wyraz zachowała nawet na pamiątkowej fotografii ze swym mężem Kiryłem Szerszniowem i moją małą mamą, a także na grupowym zdjęciu rodzinnym, na

którym pozuje dwadzieścia pięć, w większości nieznanymi mi osobom. Tylko dwa razy fotografia zatrzymała jej uśmiech: kiedy skończyła się wojna oraz kiedy trzyma mnie, paromiesięczną, na kolanach.

Biełogłazowie i Szerszniowowie przywędrowali na osiedlenie z europejskiej części Rosji. Skąd dokładnie? Nie wiadomo. Czemu trafili na Syberię? Zdaje się, że byli zesłańcami. Może mieli problemy ze służbą wojskową, może się buntowali, może łamali prawo? Zsyłano powszechnie, za różne rzeczy, także przed rewolucją. Niewykluczone jednak, że udali się tam dobrowolnie, by w ramach słynnej akcji Stołypina zasiedlić i „ucywilizować” Dziki Wschód, podobnie jak ich rówieśnicy po drugiej stronie oceanu „cywilizowali” Dziki Zachód.

Biełogłazowie, według relacji mamy, związani byli z polską rodziną Listowskich. Jak związani? Mama nie wiedziała albo nie chciała powiedzieć. Moi pradziadkowie z urodzonymi jeszcze przed zesłaniem dziećmi mogli dojechać do osady Gusiewka, którą w roku 1893, po śmierci Aleksandra III, przemianowano na Aleksandrowsk. Osada rozwijała się wokół stacji kolei transsyberyjskiej, a tempo rozwoju wzrosło znacząco po zbudowaniu mostu na rzece Ob, jednej z największych syberyjskich rzek. Most powstał w roku 1897, a już w 1903 osada stała się miastem. Jeśli moi przodkowie przywędrowali tam dobrowolnie, to data ich osiedlenia przesuwana się na pierwsze lata XX wieku - stołypinowska kolonizacja Syberii rozpoczęła się po stłumieniu rewolucji 1905 roku i trwała do roku 1907. Wówczas nie docierali tam etapami, ale koleją, i nie do osady Gusiewka, ale już do miasta

Nowonikołajewska.

Nie ma jednomyślności co do źródła tej nazwy. Przyjęło się, że nadano ją na cześć imperatora Mikołaja. Niektórzy jednak uważają, że chodzi raczej o świętego, bo przecież car nie godziłby się chyba na takie pomniki za życia. Tak czy inaczej, miasto nad wielką rzeką stało się szybko stolicą obwodu syberyjskiego. Pociągi dowoziły tam ludzi i dobra, rzeka była spławna przez cztery do pięciu miesięcy w roku, jej dopływy błyskały złotem, a tajga dostarczała

22

wartościowych skór. Pojawiły się sklepy kolonialne i perfekcyjne chińskie pralnie. Powstały nowe cerkwie, wzniesiono murowaną, miejską łaźnię i, oczywiście, otwarto zakłady fotograficzne. Rodzina Szerszniowów szybko nauczyła się korzystać z dobrodziejstw życia na styku kolei i tajgi. Wiem, że zbudowali obszerny, mocny dom. Znalazło się w nim miejsce nie tylko na handlowy kantor, ale i na liczne dzieci, których Pan im nie skąpił. Na ogół rodziły się dziewczynki. Iwan Szerszniow miał surowe zasady i proste upodobania. Zasadą naczelną było absolutne podporządkowanie jego woli. Odnosiło się to zwłaszcza do dzieci i służby. Dzieci miały się uczyć, służba pracować. Jeśli chodzi o kwestie estetyczne, to nie był wybredny, gustował w złocie i futrach. Kobiety lubił tęgie, wysokie, najlepiej ze złotym uzębieniem. Mama kiedyś podsłuchiwała, jak z zachwytem opisywał jedną ze swoich znajomych: - Sto pudów wiesia i polny] rot złotych zubow (sto kilo wagi i usta pełne złotych zębów). - Taka właśnie była moja prababka, co widać na jednym ze zdjęć.

O ile mi wiadomo, spod władzy ojca wyrwało się tylko dwoje dzieci. Najpierw najstarszy syn Kirił, mój dziadek. Zamiast kończyć szkołę i ożenić się z odpowiednio bogatą panną, opuścił dom rodzinny i rozpoczął praktyki u szewca, a wkrótce potem ożenił z moją babką Afanasją Biełogłazow, z niezbyt zamożnej rodziny. - Byli biedni, ale utalentowani - powtarzała moja mama, która zawsze wołała rodzinę po kądzieli. Ciotki po mieczu były „oschłe i wyniosłe”. Z wyjątkiem Marii, najmłodszej. Maria dorosła dopiero w okresie NEP-u. Przetaczająca się przez Syberię rewolucyjna zawierucha nie zmieniła poglądów pradziadka Iwana i nie przeszkodziła mu wydać jej za mąż w zgodzie z jego własnym wyborem. Narzeczony był majątny, stateczny i rokował na przyszłość. Mówiono, że starał się o Marię nie tylko ze względu na wiano, ale i urodę; podobno była bardzo piękna. W dniu ślubu, nie zważając na lży i nieśmiały protesty, wystrojono ją w białe szaty i zawieziono do cerkwi tradycyjną kareta.

Po męczącej, długotrwałej ceremonii, pełnej zaśpiewów i kadzidlanego dymu, i po pierwszych weselnych toastach karetą uwiozła poślubioną parę. Rankiem następnego dnia, kiedy wesele dogorywało, oblubieniec pojawił się w domu świeżo pozyskanego teścia i zapytał nie o posag, a o Marię. Okazało się, że nie dojechali do małżeńskiego łóża. Nie skonsumowali. Maria uciekła i spędziła noc poślubną z innym. Miłość nie wybiera! Kim był inny? Maria nie powiedziała. Po powrocie do domu poszła prosto do spiżarni i wypila octową esencję. Zmarła tego samego dnia. Straszny wstyd w mieszczańskiej rodzinie Szerszniowów zmieszał się z podziwem dla Marii w romantycznej rodzinie Biełogłazowów. To oni podtrzymali romantyczną „legendę

O miłości i śmierci", choć - jak mówili - w trumnie Maria wyglądała przerażająco, z wypalonymi esencją, czarnymi ustami.

Dziadek, skądinąd szalawiła, odziedziczył smykałkę do interesów. Szybko rozwinął warsztat szewski do okazałych rozmiarów

i zdobył poważanie. Ślub z moją osiemnastoletnią babką odbył się około roku 1910.

Pierworodna córeczka była słabego zdrowia, zmar-

24

ła po kilku miesiącach. Babka przeżyła to ciężko, ale wkrótce znów była w ciąży. Następnym dzieckiem także była dziewczynka, która otrzymała imię Lidia po swojej nieżyjącej siostrze. Była wczesna wiosna 1913 roku. Wszystko chyba szło ku lepszemu, mówi o tym fotografia rozległej rodziny z przychówkiem.

r

Nigdy się nie dowiedziałam, która z siedzących na pierwszym planie dziewczynek była Marią, ponieważ także dlatego, że - z oczywistych powodów - nie mogłam poprosić Jury o wskazanie jej na zdjęciu. Ale przyglądając się przez lupę wyblakłym rysom moich - wówczas nieletnich - stryjecznych babek, odkryłam nagle uderzające podobieństwo między jedną z nich a mną z czasów dzieciństwa - kiedy byłam blondynką i nosiłam warkoczyki, utrwalone na jednym z czarno-białych zdjęć w małym, jak zwykle, formacie.

25

Czy to możliwe, abym jednak coś odziedziczyła po rodzinie Szer-szniowów? A jeżeli tak, to co? Przedsiębiorczość? Porywczczość? Może determinację i skłonność do radykalnych rozwiązań nawet za cenę nieproporcjonalną do przewinienia? Nadal nie wiem, jak miały na imię pozostałe ciotki mojej mamy. Nie wiem też, jakie imię nosiła dziewczynka, po której odziedziczyłam swój dziecięcy wygląd.

Wiera urodziła się w 1917, kiedy Nowonikołajewsk liczył już osiemdziesiąt tysięcy stałych mieszkańców, którzy, jak świadczy historia, nie mieli skłonności rewolucyjnych. Właśnie wtedy moja rodzina przestała się fotografować w zakładzie Fotografii Moskiewskiej, przechodzącym z rąk R. K. Węgra najpierw do M. D. Towstucha, a zaraz potem do D.M. Pożydałowa, gdzie lubiła się fotografować rodzina babki Afanasji. Nie robiono też zdjęć ani u Rudolfa Schalla, który ustawił dziadka przy obciętych pnium drzewa, ani w studio P. J.

Owczina, który uwiecznił siedzącego w fotelu dziadka i babkę przytrzymującą na konsoli swoją pierwszą córeczkę, ani wreszcie

w zakładzie A. A. Chaimowicza w Tomsku, gdzie usadzono na aksamitnej poduszce moją kilkumiesięczną mamę odzianą w koszulkę z angielskim haftem. Do Tomsku jeździli (zapewne w interesach) pociągami po nowo położonych szynach kolei transsyberyjskiej. Podobno dziadek bardzo kochał małą Lidę, zamierzał nie szczędzić grosza na jej wykształcenie i posłać ją na nauki do Instytutu Szlachetnych Panierek (Instytut Błagorodnych Diewic).

Sfotografował ją w Tomsku jeszcze raz, w 1917. Na tym ostatnim zdjęciu ma około czterech lat i króciutkie włoski, już ciemne. Musiała przeżyć tyfus podczas pierwszej, krótkiej fali rewolucji.

Bolszewicy zawładnęli miastem na dobre dopiero pod koniec roku 1920, ale na szczęście szybko wprowadzono NEP i można było odbudować nadwątlone majątki. Dziadek posadził w warsztacie bezprizornych, którzy zaczęli się już wałęsać po zabłoconych ulicach miasta, a sam wyjeżdżał do tajgi na polowanie i handel wymienny: go-

27

towe buty za skórki i złoto. Koniec transakcji zwykle suto zakrapiano, po czym dziadek udawał się w drogę powrotną. Na szczęście - mówiła później mama - konie znały drogę, więc sianie często zajeżdżały pod dom ze śpiącym z upojenia, zakopanym w skóry dziadkiem. - Dobre konie, dobre - mówiła babka, wyciągając męża z sań - Lida, sprawdź kieszenie. Mama pospiesznie obmacywała futro dziadka i wyciągała woreczek ze złotym piaskiem. Dzięki temu nie wszystko szło na wódkę, której dziadek potrzebował coraz częściej, bo na trzeźwo brakowało mu dawnej fantazji. Złote grudki można było wymieniać w Torgsinie na wszystkie potrzebne towary. Dzieci było już troje, w 1923 urodził się Jura, jedyny chłopiec. Musiało wystarczyć na jedzenie, na ubranie, na szkoły dla dziewczynek, wreszcie na utrzymanie pracujących w warsztacie bezprizornych, a także koni i psów myśliwskich (- Mieliliśmy charty - wspominała mama.) trzymany pod koniec raczej dla fasonu, bo polowania przestały być legalne.

Miasto rosło jak na drożdżach. W roku 1925 otrzymało nową, świecą nazwę Nowosybirsk, wkrótce też zaczął je otaczać wianuszek łągrów. Podczas wielkiego głodu, którego kulminacja przypadła na rok 1930, gwałtownie rozrosły się przedmieścia, gdzie w byle jak skleconych, drewnianych budach gnieździł się ludzie uchodzący z europejskiej części stalinowskiego imperium. Utuczone na NEP-ie kupcowe chudły gwałtownie; Lida z niedowierzaniem obserwowała je w bani, jak szorują luźno zwisające worki skóry na miejscu obfitych niegdyś piersi i wydatnych brzuchów. Babka Afanasja mruczała: - Trzeba się było nie tuczyć cudzym kosztem!

Wówczas dziadek podjął decyzję o wyjeździe. Właściwie dlaczego? Warsztat wraz z częścią domu przejął na własność skarb państwa, reszta dobytku poszła na opłacenie domiaru. Babka nie miała zawodu, dziewczynki dorastały. Nie wiadomo skąd pojawił się mit o mlekiem i miodem płynącym Duszanbe. Na decyzję mogło wpłynąć także otwarcie nowej linii kolejowej - widomego znaku zawładnięcia Tadżykistanem przez bolszewików (w roku 1929 powstała

28

Tadżycka Socjalistyczna Republika Radziecka). Pojechali akurat wtedy, gdy Duszanbe przemianowano na Stalinabad - miasto Stalina. Nie znaleźli mleka ani miodu. Jedli płow, rodzaj risotta na tłustej baraninie, z symbolicznym „wsadem warzywnym”. Płow trzymał ich przy życiu - wystarczała mała porcja raz dziennie. Dziadek musiał chyba znaleźć pracę. Jaką? Miał nawyk rządzenia, więc do fabryki się raczej nie nadawał. Pewnie próbował założyć jakiś szewski warsztat, coś w rodzaju spółdzielni. Jako bezpartyjny były wyzyskiwacz z całą pewnością nie zostałby dyrektorem, ale brygadzystą to już tak. Lida właśnie skończyła szkołę i zaczęła się interesować filmem. Podglądała ekipy kroniki filmowej kręcące agitki o postępie, jaki wniósł do Tadżykistanu przodujący ustrój. Z daleka obserwowała rozstawione kamery, ruch na planie. Była wysoka, chuda i nieśmiała. W dodatku się jąkała. Kiedy zaczynała rozmowę z obcymi, jąkała się jeszcze bardziej. Jąkała się też Wiera i jąkał się Jura. Musiało to ciekawie wyglądać, kiedy ta trójka ze sobą rozmawiała. Wszyscy troje mieli z tego powodu kłopoty w szkole. Szczególnie w szkole radzieckiej, w której Szerszniowowie stali się przedmiotem kpín zarówno ze strony uczniów jak i nauczycieli. Nie potrafili odpowiedzieć płynnie na żadne pytanie, a kto miałby cierpliwość do słuchania jąkały? Mamie przeszło niedługo po powrocie do Nowosybirsk, Jurze - kiedy poszedł na front. Wiera jąkała się do końca życia. Ale tylko wtedy, kiedy mówiła. Przy śpiewaniu jąkanie mijało.

Nie wiadomo, jakimi drogami uparta Lida trafiła do maleńkiej wytwórni w Stalinabadzie. Do montażowni, jako stażystka. Była zachwycona. Po jakimś czasie dopuszczano ją do stołu i pozwalano samodzielnie sklejać mniejsze kawałki. A dookoła kręcił się zaczarowany świat filmu. Reżyserzy, aktorzy, operatorzy. Film był potęgą, także w Związku Radzieckim, gdzie z niemałym powodzeniem wykorzystywano jego egalitarny charakter do celów propagandowych. Tej strony Lida nie dostrzegała, była zakochana w kinie i chciała więcej. Uruchomiła zepsuty aparat fotograficzny (twierdziła nawet, że sama go skonstruowała, ale jakoś nie mogłam w to uwierzyć) i próbowała robić zdjęcia. Nawiazała przyjaźnie, których szczątkowe ślady znajduję w albumie.

Jakieś zdjęcia z filmowego pleneru, z roslym operatorem na pierwszym planie, jakieś upozowane pięknoty w kostiumach kąpielowych, jacyś przystojni okularnicy w tadżyckich nakryciach głowy. Wszyscy zostawiali mamie swoje podobizny „ku pamięci” w lutym 1933. Rodzina Szerszniowów wyjeżdżała z Duszanbe-Stalinabadu do swego miasta Nowosybirsk.

30

Wielka czystka jeszcze nie nastąpiła, ale sieć terroru rozrosła się imponująco. Jesienią 1929 roku został zorganizowany w Nowosybirsku Syberyjski ITL zwany Sibulonem albo prościej - Sibłagiem. Z czasem system rozwinął się na terenie całego okręgu. Nie miał adresu pocztowego. Aby tam pisać, należało znać prawidłową nazwę opatrzoną licznymi skrótami. Kod telegraficzny do komunikacji wewnątrz siatki NKWD był prosty i zarazem optymistyczny: „Strzała” (Słrieła). Lepiej by było, a na pewno właściwiej, pominąć ostatnią samogłoskę, wówczas pozostawałoby bardziej stosowne słowo: „Strzał” (Strieł). Ale nikt się na to jakoś nie zdecydował, choć Sibłag miał wielu naczelników. Archiwa historii zapamiętały tylko ich nazwiska, pierwsze litery imion i otczestwa. Zmieniali się często, niekiedy wracali po kilkuletniej przerwie. Rozrzut specjalności tego łagru był ogromny, więźniowie zastępowali ludzi wolnych na każdym odcinku „rozległego frontu budowy socjalizmu” - od rolnictwa, rybołówstwa i hodowli trzody przez obowiązkowy niemal wszędzie wyrąb lasu i budowanie dróg, aż po rozbudowę kolei, pracę w cegielniach, przemyśle metalowym,

31

a także przemyśle lekkim, do którego zaliczał się zarówno największy w tej części ZSRR Jajski kombinat odzieżowy, jak i mniejsze zakłady.

Kiedy Szerszniowowie wrócili do swego miasta, Sibłag liczył już około pięćdziesięciu tysięcy więźniów. Nie było ich jednak widać i nikt z rodziny chyba nawet nie pomyślał, że może się w nim kiedyś znaleźć. Nie wiem, z czego żyli. Nie wiem, z czego żyła rodzina Szerszniowów, rodzina Biełogłazowów i rodzina Bażenowów. Z czego mogli żyć rosyjscy rzemieślnicy i kupcy na pograniczu dwóch epok, dwóch historycznych okresów: Wielkiego Głodu i Wielkiej Czystki? Zapewne już wówczas, po powrocie z Tadżykistanu, babka nie zastała własnej matki, która zmarła z głodu i wycieńczenia, „niemal żywcem zjedzona przez wszy” - tak przynajmniej utrzymywała mama. Czy ktoś z tego pokolenia pozostał przy życiu? Tego także nie wiadomo. Przynajmniej ja nie wiem. Podczas ostatniego pobytu w Nowosybirsku w roku 1989 próbowałam odnaleźć stary cmentarz, gdzie zostali zapewne pochowani moi pradziadkowie, ale już go wówczas nie było; na jego miejscu założono Park Kultury i Wypoczynku. Nie udało mi się więc poznać dat śmierci moich przodków.

Wiem natomiast, że dziadek Kirył z właściciela zakładu przeobraził się w pracownika państwowych zakładów szewskich i zgodnie z etosem swego zawodu przepijał wszystkie zarobki. Nie umiał się na trzeźwo zrównać w fabryce z dawnymi bezprizornymi, którym niegdyś zaofiarował dach nad głową i naukę zawodu, a którzy teraz stali się jego przełożonymi i ostrym tonem wydawali polecenia, oceniali pracę i wytykali błędy.

Niewykluczone, że to właśnie w tamtych latach odszedł od babki, pozostawiając ją na łasce losu. Znalazł nową kobietę i wygodne schronienie w domu jednej ze swych wykształconych

sióstr - może tej po ekonomii albo tej po prawie. Wiem, że po latach, kiedy moja mama po raz pierwszy mogła wreszcie pojechać „z wycieczką” do ojczyznoego kraju, złożyła wizytę jednej z nich i wykrzyczała jej krzywdę swej matki.

32

To odejście nie nastąpiło jednak od razu. Najpierw próbowali się urządzić. Mama opowiadała, jak budowała jakiś „samodziałowy” drewniany domek, jak go smarowała po wierzchu gliną i jak ten domek odpłynął podczas wiosennej powodzi, uniesiony wezbranymi wodami rzeki Ob. Drugi domek, przy ulicy Sowieckiej 46, zbudowany solidniej niemal w samym centrum miasta i jeszcze nie otoczony przez socrealistyczne bloki, stał się siedzibą rodziny na wiele lat. Dziadek starał się jakoś wyplątać z rodzicielskich obowiązków. Lida, jedyna dorosła, pragnąca za wszelką cenę wrócić do pracy przy filmie, została wysłana do Moskwy, do jednej z sióstr Szerszniowych. Nie wiedziała, że tajny plan uwzględniał nie tylko pracę w wytwórni, ale - zgodnie z tradycją tej rodziny - także zamążpójście. W końcu dłaczego miała mieszkać przy rodzinie, jeśli pod ręką był gotowy narzeczony z mieszkaniem?

Pierwsze małżeństwo mamy jest otoczone tajemnicą. Znalazłam kiedyś zrobione w roku 1938 zdjęcie, na którym mama pochyla się

33

nad kędzierzawym blondynem o pocziwej, okrągłej twarzy. Później tę twarz starannie wycięła. - To nie był udany związek - skomentowała. A kiedy dorosłam, dodała: - Byłam jego pierwszą kobietą. Zamęczał mnie. - Zajęcie w Mosfilmie jednak dostała. Polegało ono na ślęczeniu przy stole montażowym i cierpliwym sklejanu taśmy. Mama opowiadała, jak po wielu tygodniach pracy reżyser zatarł ręce: - To będzie sukces - powiedział. - Niech się pan zawczasu nie cieszy, mogą przecież nie puścić. - Wykrakała. Film wylądował na półce. Nie zapytałam o nazwisko reżysera.

Tymczasem wyszedł na jaw talent Wiery. Rozpoczęła naukę w szkole muzycznej i marzyła o leningradzkim konserwatorium. Jura nadal chodził do obowiązującej w całym kraju dziesięciolatki. Babka zabrała się za szycie. Nie miała wyjścia. Przypomniała sobie zajęcia z czasów panieńskich, kiedy szycie było częścią

34

edukacji. Uwijała się przy maszynie i w kuchni, wyszarpywała dziadkowi resztki nieprzepitych rubli, pewnie płakała, kiedy Jura założył czerwoną chustę i został pionierem, a niedługo potem wstąpił do Komsomołu. Był indoktrynowany od małego. Mimo wszystko nie przyszło mu do głowy zakapować matkę za jej po-kałtne dochody, chociaż Pawlik Morozów miał już wtedy kilka pomników i stawiano go za wzór radzieckiego pioniera jak Rosja długa i szeroka. Jura ukończył czternaście lat, kiedy rozpoczęła się czystka.

Alona Kozłowa z moskiewskiego Memoriału, dysponująca wyczerpującą wiedzą o systemie przemocy w ZSRR, dała mi kilka internetowych adresów. Szukając śladów rodziny natknęłam się na tak zwaną listę Stalina: miliony ułożonych alfabetycznie nazwisk, opatrzonych krótkimi notami dotyczącymi miejsca i czasu egze-

35

kucji. Dowiedziałam się z niej, że 19 marca 1937 roku w pobliżu Swierdłowska został rozstrzelany Michaił Iwanowicz Szerszniow. 1 kwietnia tego samego roku i w tym samym miejscu zginął Iwan Aleksandrowicz Biełogłazow. W okręgu Nowosybirskim rozstrzelano innego Biełogłazowa, Iwana Adriejewicza. W Czelabińsku 19 kwietnia 1938 roku zabito Michaiła Wasyljewicza Bażenowa, a 10 czerwca tegoż roku w Nowosybirsku wykonano wyrok śmierci na innym Bażenowie, może z bocznej linii, Aleksandrze Iwanowiczu. W ten sposób odkryłam imiona braci mojej babki: Andriej i Aleksander. Obaj mieli synów Iwanów. Jeden z nich miał też drugiego syna, Wasyla, który się powiesił. Chyba wolał to od śledztwa i kuli w tył głowy. Michaił Iwanowicz Szerszniow był zapewne młodszym bratem mego dziadka, Kiryła Iwanowicza. Może to ten w mundurku gimnazjalisty, na rodzinnym zdjęciu

stojący po prawej ręce starszego brata? Michaił Bażenow to najmłodszy brat Ziny, ostatnie dziecko mojej ciotecznej babki Anny, na rodzinnym zdjęciu jest jeszcze małym chłopcem o bardzo jasnych włosach.

Zina Bażenowa córka Anny Antonowny z domu Biełogłazow, siostry mojej babki, urodziła się 15 października 1905 roku w Nowosybirsku jako najstarsza z czworga rodzeństwa. Na rodzinnym zdjęciu siedzi w dolnym rzędzie, w pasiastej sukience i opasce przytrzymującej gęste, ciemne włosy. Jej ojciec, Wasyl, był człowiekiem przedsiębiorczym i zamożnym, ale artystyczne zdolności Ziny nie spotkały się z jego natychmiastową przychylnością. Musiała najpierw ukończyć regularną szkołę średnią, co odbyło się nie bez przeszkód, zważywszy wydarzenia wojny światowej i rewolucji przypadające akurat na jej szkolne lata. Dopiero w okresie NEP-u mogła podjąć naukę na nowo, najpierw, w latach 1924-1928 w Swierdłowsku, w technikum sztuk pięknych, specjalność rzeźba w kamieniu, potem na wydziale rzeźby w Leningradzkiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie spędziła następne cztery lata, studiując najpierw pod kierunkiem Wiktora Sinajskiego

1 Aleksandra Matwiejewa, a w końcu u Wiery Muchiny. Dyplom zro-
36

biła w roku 1932. Nie jest jasne, jakie były jej losy przez trzynaście lat, od dyplomu do zakończenia wojny ojczyźnianej. Dużą część tego czasu spędziła w Uzbekistanie, zapewne uciekając przed głodem, podobnie jak rodzina Szerszniowów. Uzbekistan pozwolił jej uniknąć losu ciotecznych sióstr, walczących z głodem i zimnem podczas blokady Leningradu, a też zapewne losu brata, zastrzelonego w 1938. Co się stało z ojcem, nie wiadomo. Znów - ja nie wiem, ale rodzina chyba tak. Drugi brat i siostra, pieczołtliwie nazywana Panoczka, także wyjechali z Nowosybirsku i założyli rodziny gdzieś daleko od ojczystych stron. Zaraz po wojnie Zina osiedliła się w Moskwie. Na wystawie pokazującej jej dorobek z Uzbekistanu znalazła się między innymi rzeźba Uzbeczka z kozę, która dzisiaj znajduje się w Galerii Tretiakowskiej. (Bardzo podobną porcelanową Dziewczynkę z kozę z tej samej serii dostałam od niej w prezencie podczas pierwszego

37

38

pobytu w Moskwie). Po tej wystawie Zina zaczęła otrzymywać poważne zamówienia państwowe; do ważniejszych należały alegorie azjatyckich republik, zdobiące słynną fontannę narodów ZSRR na wystawie osiągnięć gospodarczych w Moskwie. Były to pełnoplastyczne figury Kirgizek, Uzbeczek i Turkmenek w ludowych strojach. Realistyczne, ale całkiem udane. Wyszła za mąż za mało zdolnego, ale przystojnego rzeźbiarza o jakimś cielecym nazwisku. Mieli pracownię w parterowym domku na Arbacie, w której spędzałam wiele godzin podczas naszej rodzinnej, „turystycznej” wizyty w Rosji. Potem, już jako dorosła, zatrzymałam się u nich na kilka dni. Mieli czteropokojowe, zapuszczone i zapchlone mieszkanie w wybudowanym tylko dla artystów ogromnym bloku, obok hippodromu. Żyli z emerytury. Twórczość Ziny przestała mnie już wtedy interesować, a jej życie jeszcze nie zaczęło. Kiedy po kilkunastu latach przyjechałam do Moskwy z Mateuszem, już nie żyła. Wiosną 1940 Wiera jest już w Leningradzie. Mama, po ucieczce od męża „w jednej sukience”, wraca do Nowosybirsku. Jura właśnie skończył dziesięć lat i ma siedemnaste urodziny. Fotografują się, pojedynczo i razem, na jakiejś ścieżce, chyba w pobliżu domu, bo pod nogami wystrojonej mamy płacze się mała wilczyca. Bejbi - jak się potem dowiedziałam. W dalekiej Polsce trwa niemiecko-radziecka okupacja i mój ojciec właśnie ląduje za kołem podbiegunowym. Ale Lida i Jura nic o tym nie wiedzą, a jeśli nawet coś na ten temat do nich dociera, to tyle, ile im powiedzą gazety - że właśnie wyzwolono uciemiężone ziemie: zachodnią Ukrainę i zachodnią Białoruś. Nastrój zdjęć jest odświętny, przecież Jura skończył szkołę i ma urodziny, Lida wkrótce wyjedzie do siostry (w Leningradzie też jest wytwórnia filmowa). Uśmiechają się do siebie i do życia. Ich wojna zacznie się dopiero za rok. Wtedy

Jura sfotografuje się w żołnierskim mundurze, z plecakiem, i przed wyruszeniem na zew ojczyzny usiądzie matce na kolanach. Zaraz potem Lida i Wiera zostaną zamknięte w leninogradzkim pierścieniu śmierci.

39

W wieku osiemnastu lat Mateusz odkrył podobieństwo do swego ciotecznego dziadka. Ogolił głowę i zaczął mocno zaciskać szczęki, by nadać twarzy wyraz zdecydowania i siły.

40

POSTSCRIPTUM

Miejsca stalinowskich egzekucji opisał mi później Tomasz Kizny: „W Swierdłowsku (Jekaterinburgu) masowe groby rozstrzelanych w 1937-1938 znajdują się za miastem (kilka hektarów lasu) na tak zwanym 12 km Moskowskiego traktu, dzisiaj stoi tam krzyż i płyty z nazwiskami 18 500 rozstrzelanych w Swierdłowskiej obłasti, być może są tam też imiona M. I. Szerszniowa i I. A. Biełogłazowa. W Czelabińsku ofiary egzekucji zakopano w starych kopalniach złota na Zołotoj Gorie, za miastem w pobliżu osiedla Szerszin. Masowe groby odkryto w 1989 roku dzięki inicjatywie miejscowego «Memoriału», ekshumowano 350 szczątków. Poniżej miejsce gdzie pochowano ekshumowane ofiary w 1989 roku. W Nowosybirsku miejsce masowych grobów jest do dzisiaj nieznane”.

MAJ

Notatka

Odblokowało się. Puściło. Poszło. Najpierw okazanie, potem interwencja. Już nie mogę tego zostawić na poziomie dzielnicowej komendy, nie mogę się zdać na jałowe policyjne procedury. Szukam dojścia. Sporządzam dokumenty pomocnicze. Piszę notatkę. Wyjaśniam, że mój syn Mateusz wyszedł z domu we wrześniu 1997 roku i dotychczas nie powrócił. Że był uzależniony od opiatów, przede wszystkim heroiny i „kompotu”, i w związku z tym utrzymywał aktywne kontakty ze środowiskami warszawskich narkomanów. Że od dwudziestego roku życia był wielokrotnie leczony i odtruwany zarówno w szpitalu, jak i w domu, ale się nie wyleczył mimo narodzin syna. Dalej piszę, że żył z kradzieży i handlu narkotykami. Że trafił do więzienia latem 1995 roku i przesiedział sześć miesięcy „do sprawy”, i właśnie wtedy (w trakcie tego „prewencyjnego aresztu”) urodziła się jego córka. Że był na wolności zaledwie kilka tygodni, zanim go znów aresztowano i tym razem trzymano przez cały rok. Że potem, po warunkowym zwolnieniu, widywałam go rzadko, aż któregoś dnia zniknął zupełnie. Że go szukałam na własną rękę, a po dwóch latach formalnie zgłosiłam zaginięcie i od tej pory byłam co pewien czas wzywana do kolejnych „identyfikacji”, aż w końcu zostawiłam „materiał genetyczny”, ponieważ okazało się, że komenda nie dysponuje wiarygodnymi wzorami odcisków palców i nie podjęła

43

starań o ich uzyskanie mimo wielokrotnego zatrzymywania syna w kilku rejonach miasta. Nie rozdieram szat, nie apeluję do ludzkich uczuć. O sobie piszę „matka”. Podaję suchy zestaw faktów. Nic więcej. Tylko tyle, żeby posunąć sprawę naprzód. Do przodu, jak mówią niektórzy. „Notatka”, mianowicie, ma spowodować telefon kogoś z góry do kogoś na niższym szczeblu, żeby on z kolei zadzwonił trochę niżej, a ten niżej - jeszcze niżej i żeby wreszcie jakiś bezpośredni zwierzchnik wrzasnął do jakiegoś podwładnego: - Załatwić mi to, kurwa, bo was zajebię na śmierć!

A przecież podkomisarz czy aplikant zadzwonił grzecznie i miłym głosem poprosił mnie na Wilczą, bo coś drgnęło w sprawie syna. - Jaki termin pani odpowiada? Może być w tym tygodniu czy woli pani w przyszłym?

Wolę natychmiast.

Od razu przypominam sobie zimne wnętrza pocysterskiego kościoła w Żarnowcu, które zwiedzamy z Joanną P. w Wielki Piątek. Parafialne dzieci ćwiczą w kruchcie Alleluja, choć jest grubo za wcześnie, Chrystus jeszcze nie zmartwychwstał, dopiero za parę godzin zostanie

przybity do krzyża, na razie jest jeszcze ranek, jeszcze idzie na Golgotę. Siadamy. Klękamy. Odplywamy. Każda ma swoje sprawy. Moje są niewypowiedziane, zaledwie pomyślane, nie do końca możliwe do wyartykułowania, z trudem wyłuskiwane z ukrytego miejsca, dokąd wyparł je instynkt życia podtrzymywany przez pastylki mające stłumić chęć odpłynięcia w niebyt, już zaznany podczas operacji tarczycy, zaoferowany przez uważnego anestezjologa dozującego nirwanę przez kroplówkę. Nie nazywam swojej sprawy. Nie wiem, czego chcę. W sensie konkretnym. Jak nie wiedziałam dwa tygodnie wcześniej podczas panichidy od lat śpiewanej w cerkwi za duszę mamy w rocznicę jej urodzin, zaledwie o tydzień późniejszych od rocznicy jej śmierci. Pojechaliśmy potem na Hel, na kaszubskiego śledzia. A zaraz po świętach podkomisarz czy aplikant

44

każe mi się przygotować psychicznie, jakbym wcześniej nie oglądała w tym samym pokoju zdjęć dziesiątków nieznanymi z nazwiska ciał, znajdujących w różnych miejscach Polski i w różnym stanie. Jestem przygotowana od dawna, od pierwszego przeglądu wszystkiego, co mieli w komputerze, nawet tego, co zostało znalezione przed przyjściem Mateusza na świat. Taka jest procedura. Jestem przygotowana. Idę zobaczyć nowy materiał, żeby znów, jak zawsze, powiedzieć: - Nie, to nie jest moje dziecko! - Więc teraz też rzucam okiem na prześwietloną fleszem twarz o rozmazanych rysach, widzianą od strony ostrego, obciążonego cienką skórą podbródka, i natychmiast mówię: - Nie, to nie jest mój syn. - Ale funkcjonariusz jest cierpliwy. Pokazuje najpierw postać na jakichś schodach, jakby tylko śpiącą, potem ciało, rozebrane do spodenek, na podłodze, w jakimś wnętrzu bez właściwości. Plany są ogólne. Twarz daleko. Znajome węzły kolan. Drobne dłonie. Żadnych innych zbliżeń poza fragmentem stopy z tatuażem. Policjant wyjaśnia, że to jaszczurka, i pyta, czy coś mi to mówi. Pamiętam arkusz papieru zapisany kawałkiem wiersza: „Jako jaszczurka pod słonecznym biczem...”, znaleziony w jego papierach. Tej jaszczurki nie mogłam potem długo zlokalizować w świecie literatury, tkwiła mi w głowie całym latami, aż niezawodna Basia Ś. przysłała mi werset z Piekła Dantego, pieśń XXV:

Jako jaszczurka pod słonecznym biczem
Z krzaku do krzaku w dzień kanikularny
Przemyka, niby mienieniem błyskawiczem,
Tak do dwu drugich potępieńców marnej
Postaci żmijka przypadła gniewliwa,
Żółta, czarnymi cętkowana ziarny.*

A więc czytał Dantego.

* Dante Alighieri, Boska Komedia [Piekło], Pieśń XXV, w. 79, przeł. Edward Porębowicz, Kraków 2003.

45

Powracam do zdjęcia twarzy, a właściwie do słabo czytelnej odbitki ksero. - Ucho - mówi funkcjonariusz. - Czy pani poznaje ucho? - Nie wiem, czy poznaję, nie jest wyeksponowane, nie widać kolczyków, nie widać licznych przekłuć, raz koło razu, szczególnie na lewym, pierwsza dziurka w szóstej klasie. - Mateusz, wyjmij z ucha agrafkę - powtarzały zgorzone nauczycielki; wyjmował i zaraz wpi-

nał. Widać biel flesza, z której nie wyłaniają się szczegóły, nie ma zarysu ust, ze zdjęcia ziejie czarna dziura chwytająca ostatni haust powietrza. - Brwi! - podpowiada funkcjonariusz. - Miał bliznę na brwiach. Widzi pani? Tutaj widać kreskę dzielącą linię brwi, tak samo jak na tym zdjęciu - pokazuje mi fotkę Mateusza z maleńkim Cyrylem, jakbym jej wcześniej nie widziała, jakbym nie znała twarzy swego dziecka, nie pamiętała jego blizn.

46

Łuki brwiowe wyeksponowane są na policyjnym zdjęciu tak samo silnie jak podbródek. Jedno i drugie znajome, tylko jakoś bardziej wyraziste, wyostrzone przez nieznanymi mi z autopsji zanik tkanki tłuszczowej, przez kategorię kosztnej budowy nieosłoniętej miękkością żywej twarzy. Narkoman. Znaleziony przed dziesięcioma laty na schodach jednej

z mokotowskich kamienic. Pochowany jako N.N. Tego właśnie chciał? Tak chciał zniknąć ze świata, nie umiając mu sprostać?

- Mamo, uczyłaś mnie życia w świecie, który nie istnieje. - Ale przecież potrafił odróżniać dobro od zła. Także wówczas, kiedy już siedział w więzieniu i pisał do mnie:

To nie jest prawda, że nie możemy się dogadać - myślę, że dawno nie mieliśmy okazji, a zimą to byłem kawał frustrata, którego to tytułu tobie też odmówić nie można. Jeszcze pewno zdziwisz się, jeśli powiem, że mój system wartości ma korzenie w twoim wychowaniu, a ono tylko w małym stopniu składa się z tego, co mi

47

próbowałaś wytłumaczyć, w większości jest to to, jak sobie sam całe życie tłumaczyłem to, co widziałem, czułem itd. w twoich działaniach niekoniecznie nastawionych na robienie dobrego przykładu. Jednak to, jacy są ludzie i jakie w rzeczywistości między nimi panują relacje, okazuje się dla mnie bardzo dalekie od wyobrażeń, jakie we mnie kultywowałaś w dobrej wierze. Jednym słowem, słowa nic nie znaczą, a czynów nikt z nas nie ma prawa sądzić.

Kiedyś ci opowiem.

Ale nie opowiedział.

Alicja, która pojawia się niedługo po mnie, jest uważniejsza. - Tak - mówi - jest duże podobieństwo. Ale nie ma dowodów. - Alicja punktuje policyjne zaniedbania, wypomina niedoróbki i podpowiada, co jeszcze trzeba zrobić. - Nie zamkniecie, panowie, tej sprawy, jeśli nie będzie niezbitych dowodów - mówię chłodno, nie okazując zadawnionej, a teraz nabrzmiałej i wylewającej się ze mnie nienawiści do tej całej formacji, mundurowej i cywilnej, z którą nigdy jeszcze nie miałam dobrych doświadczeń. I dodaję prośbę, żeby się postarali. A w środku nabrzmiewa głucha, bezsilna wściekłość za to wszystko, czego nie zrobili przez długie dziesięć lat, kiedy się nie zgadzałam na sugerowane przez nich „uznanie za zmarłego”. Wiem, że nic nie robią. Mają odptaszkowane czynności służbowe. Sporządzają notatkę. Pójdą na obiad. Obejrzą amerykański kryminał o wnikliwych i odważnych policjantach. I zasną ze spokojnym sumieniem. Dlatego muszę pytać o tych, którzy mają dojście, którzy nacisną, kogo trzeba i puszczą w ruch spiralę poleceń, z góry na dół, do niskiego szczebla, do zupełnie niekontrolowanej komórki wymiaru sprawiedliwości, a właściwie tych, którzy powinni stać na straży porządku i bezpieczeństwa publicznego, czyli bezpieczeństwa każdego z nas, a nie tylko wybranych przedstawicieli. Wszystkie starania prowadzą jednak zbyt wysoko, na szczebel, na który nie powinny trafić, do gabinetów, w których moje problemy nie znajdują zrozumienia i posłuchu, jak nie znajdowały akceptacji moje projekty, które powinien przecież realizować ktoś inny, bardziej odpowiedni,

48

z innym, lepszym nazwiskiem. Moi znajomi nie mają koneksji na średnim albo średnioniskim poziomie, gdzie sprawa rozgrywa się spokojnie i bezszmerowo dzięki umiarkowanym kwotom w umownej wysokości, jak w większości kontraktów, albo dzięki innym, równie skutecznym środkom perswazji. Wysoki szczebel jest więc niekorzystny, a do niskiego nie ma przełożenia. Taki jest skutek starannego dobierania znajomych, odruchowego, jakby wrodzonego unikania przyjaźni ze sferą zbliżoną do kręgów policyjnych, co pomogło mi niegdyś mijać się konsekwentnie z różnymi TW i OZI, ale też wyizolowało z kręgów, gdzie mogłabym dzisiaj szukać pomocy.

Teraz trzeba tylko czekać. Może znów jakaś energia pokieruje umysłem albo dłońią funkcjonariusza i spowoduje, że uwierzę w to, co zobaczę?

Co robiłam?

Co robiłam 16 grudnia? Kalendarz, właściwie Minikalendarz dla pań (musiał mi go ktoś dać na gwiazdkę) z roku 1997 jest jakoś wyjątkowo pusty. Czyli prywatny. Brak w nim dyrektorskich notatek, brak terminów otwarcia i zamknięcia wystaw, brak spotkań, brak nowych numerów i nowych adresów, nie ma nawet nazw krajów i miejscowości, do których

tamtego roku wyjeżdżałam. I przez to praca w galerii zlewa się w jeden ciąg zdarzeń, w jeden strumień wernisaży i demontaży, w pamięci zostają tylko nagonki, afery, akcje polityków, dziennikarzy i przedstawicieli „zdrowej części społeczeństwa”. Ten jednostajny, męczący rytm wybija się na pierwszy plan także wtedy, kiedy zaczynam myśleć o okresie znacznie dłuższym, między rokiem 1995 a 1999, z którego nie potrafię wyróżnić pojedynczych lat, nie widzę między nimi znaczących różnic. Gdzieś w środku był lęk przed życiem, były motyle w brzuchu i gwałtowna utrata wagi, zakończone wizytą u psychiatry, potem tony tabletek przyjmowanych najpierw w Cadaques (gdzie patrzyłam przed siebie i nie widziałam srebrnej zatoki pamiętającej wizyty Salvadora Dali i jego grę w szachy z Marcelem Duchampem, nie czułam smaku dwunastu winogron zjadanych przed miejscowym kościołem na dobre życie, w takt dzwonów wybijających nadejście Nowego Roku), potem w Klosters - luksusowym miejscu do leczenia depresji - gdzie nie musiałam do nikogo mówić,

50

gdzie byłam paczką transportowaną przez nowo poznane kuzynki w górę, ku alpejskim śniegom, i w dół, do miasteczka zatłoczonego królewskimi rodzinami; był powtórny konkurs na moje stanowisko, zarządzony przez jednego, a rozstrzygany przez drugiego z licznych ministrów prących do konfrontacji zawsze, kiedy się nie dawałam okiełznać, kiedy nie rozumiałam subtelnych aluzji i nie stosowałam się do szuflowanych mi przez telefon programowych „inspiracji”, był pobyt w Berlinie na kolejnym kursie językowym, była przeprowadzka do nowego mieszkania, aresztowania Mateusza i narodziny Zosi, kolejne kupowanie mieszkań, potem ich sprzedawanie, żeby skończyć budowę domu. Było rytmiczne życie publiczne: konferencje prasowe, wyjazdy zagraniczne, przemówienia, otwarcia, oklaski, ukłony; i rytmiczne życie prywatne: wigilie, sylwestry, urodziny, imieniny; i regularne wizyty w Komorowie po kolejne recepty, po kolejne paczki pastylek szczęścia, oraz „wizyty” w więzieniach - na Rakowieckiej w Warszawie i na Ciupagi w Białoleścu - pakowanie paczek, zanoszenie paczek, czekanie na sakramentalne wywołanie, zagłębienie w oczy dziecka, próby rozmów o życiu pod całą, milczenie, dziecięce życzenia: - Mamusiu, czy możesz mi kupić pierniczki alpejskie?

Dlaczego właśnie w tamtym roku miałam tylko ten maleńki kalendarzyk, kiedy wcześniej i później potrzebowałam większych, bardziej pojemnych? A w nim odnotowane jednak skrupulatnie spotkanie w Victorii z panem adwokatem, który został wyznaczony z urzędu i konfidencjonalnie zapragnął łapówki „dla sędziego”, a teraz awansował na doradcę partii politycznych i nawet przez chwilę siedział w ławach parlamentu. Nie skorzystałam wówczas z „urzędowej” oferty, dotarłam do Ewy M. i z jej ręki Mateusz odzyskał warunkową wolność. Był „doprawdy pod wrażeniem skuteczności pani mecenas”. Zanotowałam dokładną datę, godzinę i numer sali rozpraw. Dalej nie ma nic. Żadnych specjalnie zaznaczonych dat, żadnych urlopów, wyjazdów, wydarzeń mających zwiastować ostateczność. Czy miałam

51

jakieś wakacje? Może to w tym roku wpadłam na dobę do Węgajt, o czym świadczą fotki zrobione Cyrylowi, mojemu wnukowi, w balii? Albo pojechałam z moją pierwszą synową Kajką, Cyrylem i Żukiem, córeczką mojej przyjaciółki Joli, do Cetniewa? Oglądałam zdjęcia z tych wakacji, ale Cyryl wydaje się za mały na trzy i pół roku. Więc może te wakacje były wcześniej, a w dziewięćdziesiątym siódmym pojechałam tam z Hanką, moją drugą przyjaciółką, której zepsułam cały urlop, bo nie chciałam z nią gawędzić, tylko otwierałam komputer i pisałam w jej obecności, i nie odpoczywałam tak, jak ona chciała, a ona przecież wiedziała lepiej, co jest dla mnie dobre? Albo mógł to być ten rok, kiedy zabrałam nad morze, do Karwi, moją wnuczkę

Zosię, jej mamę Alicję i Kajtusia, labradora, a po kilku dniach ich zostawiłam i wyjechałam bez wyjaśnień, nie oglądając się za siebie, bo chyba straciłam do wszystkiego ciepłość? Nie pamiętam.

Nie pamiętam też, kiedy i skąd wróciłam, zastawszy otwarte drzwi mieszkania i rozbitą szybę balkonowych drzwi na ósmym piętrze. Kiedy zamiast telewizora i wideo zobaczyłam tę maleńką karteczkę, zaczynającą się od słów: „Mamo, po tym, co zrobiłem...”. Kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, może kawałek sierpnia, może nawet początek września? Zaledwie kilka spotkań, przedostatnia wizyta, ostatnia rwana rozmowa. Moje: - Nie możesz umrzeć przede mną, musisz mnie pochować. - I jego: - Masz Cyryla, zrobi to lepiej.

Mówiąc to, nie pamiętał już dnia pogrzebu Kuby, swego przyjaciela z lat dziecińczych, z czasów, gdy z sobą sąsiadowali, gdy chodzili nad pobliski kanałek łapać traszki, a kiedyś wpuścili je do wanny i wykapali w szamponie, czego traszki nie przeżyły. Jeszcze żyła Elżbieta, jego matka, Kuba rósł w pełnej, kochającej się rodzinie, dobrze się uczył i nie sprawiał kłopotów wychowawczych niemal do samej matury. Nigdy nie poznaliśmy siły, która zepchnęła go z dachu pobliskiego wieżowca. Podczas mszy za jego duszę Mateusz nie chciał uklęknąć. Stał wyprostowany, z zaciętym wyrazem ust, a wieczorem przysiadł na brzegu mojego łóżka i wziął mnie za rękę: - Myślę o Elżbiecie - powiedział. A teraz moje próby argumentacji skwitował prostym: - Czy ktoś cię w ogóle słucha? - wypowiedzianym z wyuczoną, więzienną twardością, pozbawioną znanego mi wcześniej polemicznego tonu, ucinającą szanse na porozumienie. Nie było informacji, gdzie mieszka, z czego żyje. Był pełnoletni, był samodzielny, był poza zasięgiem moich możliwości, nawet emocjonalnie. Skąd wróciłam? Z jakiego miasta świata leciałam tylko po to, by przepakować najmniejszą z możliwych walizek na kółkach i znów wzlecieć, bo podróż pozwala na bycie w zawieszaniu, w lukach nawiasu wyjmującego nas z prawdziwego życia; bo kwitowanie powyżej poziomu chmur jest pobyciem w niebie, gdzie nic się nie dzieje, gdzie jest tylko kolor - od bieli, przez wszystkie odcienie błękitu do atramentowej czerni - gdzie można bezkarnie wypić kilka flaszeczek wina i połknąć tabletkę, która wydobędzie nas z rzeczywistości samolotowego

gwaru, z chwilowych turbulencji i nawet z bezstresowych komedii

O życiu bernardyna imieniem Beethoven. Podróż jest przewidywalnym torem przeszkód, kiedy koncentrujemy się tylko na poszczególnych etapach zaczynających się zamówieniem taksówki i uważną obserwacją ergonomicznej trasy z domu albo - częściej - z biura na lotnisko, potem na sprawnym zdobyciu karty pokładowej, okazaniu paszportu, znalezieniu po tamtej stronie miejsca na wypalenie ostatniego papierosa, na przesunięciu bagażu przez rentgen, a siebie przez bramkę, żeby nic nie dzwoniło, bo wiemy, że to zabiera innym czas, potem ustawianie się do „gejtu”, uwaga zawieszona na ustach kogoś z naziemnej obsługi lotu, żeby dostrzec moment, kiedy pochyli się nad mikrofonem i zacznie wypowiadać sakramentalną formułkę, że rozpoczyna się odprawa pasażerów, sprawne wędrowanie lotniczym rękawem w dół albo marsz po schodach do autobusu, bezmyślna nuda czekania na maruderów, garda przed łokciami młodszych, roślejszych i silniejszych, tworzących przed nami mur na stopniach trapu prowadzącego do środka maszyny, potem sprawne łapanie gazet, wpychanie bagażu na półkę, zapinanie pasów i uporczywa lektura wypełniająca czekanie na take off. A potem kolejność odwrotna, od lądowania, przez kolejne kontrole aż do pierwszego papierosa palonego na powietrzu lub w lotniskowym bistro, jazda do hotelu, rejestracja i zagadkowe uruchomienie mechanizmu zapamiętywania numeru pokoju tylko na jedną, dwie lub trzy doby, i wyrzucania go z mózgu natychmiast po rutynowym check out. Jednakowe, służbowe „pobyty”, dawno wyprane z chęci zobaczenia i przeżycia nowego

I nieznanego, konwersacje w języku angielskim, z rzadka francuskim, uśmiechy, podawanie rąk, podawanie wizytówek, otrzymywanie wizytówek, zmierzanie do kontraktów albo współpracy, jak w każdym interesie. Nie rozmawiamy wówczas o życiu, nie rozmawiamy nawet o sztuce, o sztuce wygłasza się wypowiedzi na forach bardziej publicznych,

zapamiętujących naszą inteligencję przy pomocy świetnej aparatury, to także ma miejsce, oczywiście. Potem koktajle i plotki,

54

trzeba znać kilka plotek, trzeba się serdecznie całować z ważnymi osobami na oczach mniej ważnych, wykorzystać zapożyczony od ssaków naczelnych język ciała, żeby podkreślić swoją pozycję w stadzie. Kolejne lata, nawias za nawiasem, cudzysłów za cudzysłowem, kołowanie na stanowisko, pionowy start i miękkie lądowanie, nuda powtarzalnych czynności zabijana lekturą gazet, od deski do deski, obserwowaniem innych pasażerów, zgadywaniem ich narodowości i profesji, celu podróży, wieku i upodobań. Krótkie westchnienia ulgi na Okęciu, przyjemność pierwszego kontaktu z własnym miastem, zawsze, niezmiennie witany z niezrozumiałym dla innych sentymentem, wymiana uwag o pogodzie z taksówkarzem, szukanie klucza do mieszkania.

Co zrobiłam po wejściu? Czy najpierw pomyślałam o tym, że znów zapomniałam zamknąć drzwi, a dopiero potem zobaczyłam starannie rozkręcony zamek, porządnie ułożony na podręcznej półeczce? Może. Może istotnie najpierw uwaga-pytanie, czy znowu zapomniałam zamknąć drzwi, wypowiedziana na głos do siebie albo do niegdysiejszego przyjaciela, jeśli akurat był wówczas na lotnisku i wiozł mnie do domu, aby spędzić u mnie sakramentalną pierwszą godzinę? Dopiero potem rejestracja wyraźnego ubytku i próba zrozumienia treści małej karteczki - połowa ćwiartki, format zapewne przyswojony w więzieniu. A potem? Fotel albo kanapa, może kieliszek jakiegoś destylatu, jakaś whisky, jakaś grappa, coś, co podniesie zjeżdżające w dół ciśnienie, co przyspieszy trochę moje niskie tętno wyczynowca. Wzrok na suficie, brak myśli, niemożność myśli, mieszanina żalu i trwogi, poczucie zagrożenia i utraty kolejnego kawałka pępownicy, a właściwie tej resztki, która wydaje się nie do odcięcia, nie do wyrwania, która pozostaje mimo oddania na cele medyczne całego łóżyska, bo jest zrobiona z innej tkanki, mieszczącej się gdzieś poza układem rozrodczym, w nieokreślonym miejscu mojego organizmu.

Potem odrętwienie.

55

Czy tak właśnie było? Czy może inna wersja, również ćwiczona przez lata, może bez kieliszka i bez kanapy, może wanna, zanurzenie w gorącej wodzie, freudowska chęć „do mamy” i drobiazgowość, praktyczne rozważania, co zrobić, aby wreszcie się do niej dostać, nie wadząc nikomu, nie sprawiając kłopotów, bezszmerowo? I dochodzenie, już przy chłodnej wodzie, zawsze do tego samego, do zadbania najpierw o zapisy prawne, o sprawiedliwe podzielenie wszystkiego między dwoje dzieci, o wyszczególnienie tego, co mają dostać przyjaciele, mówiąc krótko - zwrot ku przedmiotom, ku konkretowi, ku niezłatwionym sprawom, które mają mnie tu zatrzymać jeszcze na jakiś czas, zanim wreszcie pozwolę sobie na luksus tej ostatniej podróży.

Ktoś musiał przykręcić zamek. Zrobiłam to sama czy skłoniłam przyjaciela? Jeśli akurat był, zrobił to za mnie. Jeśli byłam sama, mogłam nocować przy otwartych drzwiach, wtedy jeszcze nie czułam zagrożenia ze strony obcych, to przyszło później. A rano mogłam poprosić o pomoc niezawodnego Jacka Petryckiego, skorzystać z jego ustawicznej życzliwości oraz z bliskiego sąsiedztwa. Jeśli akurat nie biegał z kamerą gdzieś w Afganistanie czy w Turcji. Pamiętam za to dokładnie, co zrobiłam później. Później zadzwoniłam do Komorowa, do Grażyny, mojej lekarki pierwszego kontaktu. A jeszcze później poszłam do biura spółdzielni i poprosiłam o zabezpieczenie przejścia z sąsiedniego dachu na mój balkon. Tak chyba się wyraziłam, chodzi o zabezpieczenie: - Nie wiem, czy państwo wiecie, że tamtędy można się z łatwością dostać na mój balkon, właśnie mi się to zdarzyło, nieznani sprawcy taką właśnie drogą weszli do mojego mieszkania, nie splądrowali, nie, ale ukradli sprzęt RTV, więc dom nie jest jednak tak bezpieczny, jak powinien, pomimo domofonów i ochrony.

Przemilczałam poprzednią wizytę, kiedy zobaczyłam ich przez zamknięte balkonowe drzwi, stojących po drugiej stronie szyby, jakby spadli z nieba. Nie pamiętam, czy zrobiłam im wówczas herbatę. Czy postawiłam cokolwiek na stole, przy którym siedzieliśmy, kiedy

56

Mateusz oznajmił, że ją kocha, a ona jest w ciąży? Ona milczała. Dzisiaj wiem, ile to ich musiało kosztować, ta decyzja, żeby stanąć przede mną w tej szybie i powiedzieć, co było do powiedzenia po tych kilku poprzednich próbach, kiedy mówiłam memu synowi, że nie chcę być wciągana w żadne romanse, że już nie jestem w stanie nikogo przyjąć do rodziny, więc proszę, proszę, niech to wszystko załatwia beze mnie. A jednak przyszli jeszcze raz. Szukali nie tylko mojej akceptacji, szukali ratunku. Nadal byli dziećmi, choć Mateusz od lat uchodził za pełnoletniego - niedługo miał skończyć dwadzieścia cztery lata - i nawet jakoś dorosłego. W jego twarzy pojawiła się prawość i determinacja. Ale zwężone źrenice mówiły co innego. Mówiły, że w jego obyczajach nic się nie zmieni. Że będzie kapał i przewijał, i prasował pieluszki, a potem nagle zniknie i wróci na lekko uginających się kolanach, ze szklanym wzrokiem i opuszczonymi kącikami ust. Że całe to życie będzie tylko stwarzaniem pozorów, bo jedynym celem pozostanie zdobywanie towaru za wszelką możliwą cenę. Poczulałam się osaczona. Poczulałam, że wszystko spadnie na mnie, a ja już nie potrafię temu sprostać. Że nie znajdę w swym życiu miejsca na drugą kobietę i drugie dziecko mego syna. Naczynie z uczuciami już się przepełniło. Nie znalazłam w sobie nawet dobroci. Wydobyłam na wierzch tylko twardość wyuczoną w walce o wszystko, co było budulcem praktycznej codzienności, pozwalającej kierować galerią. Wydobyłam z siebie dyrektora, a schowałam samotną kobietę u szczytu menopauzy, reagującą płaczem na konieczność wybrania modelu glazury do łazienki w mieszkaniu, gdzie zabrakło już miejsca na drugiego człowieka. Miejsce dla mego syna pozostało w pierwotnym M2, zajmowanym przez jego pierwszą kobietę i pierwsze dziecko. Wszystko zostało już przemyślane, zaplanowane i doprowadzone do końca. On tam z nimi, ja tutaj sama! Przyszłość mogła być rozwojowa tylko w tym kontekście, że albo skoczę z balkonu i będą mieli więcej miejsca, albo wyzdrowiejemy - i on, i ja - i wtedy wspólnie zaradzimy kłopotom. Wersja nowego

57

dziecka z nową kobietą oznaczała wariant trzeci, na który nie byłam przygotowana, choć kilkakrotnie próbował mnie z nim zapoznawać. Najpierw znikając z ceremonii chrztu Cyryla i w ogóle z życia Kajki. Potem, kiedy trafiłam do niego na melinę w ekskluzywnej willi na osiedlu chronionym wysokim ogrodzeniem, kiedy rozmawiał ze mną, nie puszczał jej ręki, wyraźnie pokazując, jaki charakter ma ten jego nowy związek, ja zaś widziałam lekko speszoną małolatę, której nie sposób traktować poważnie. I wreszcie, kiedy mnie odwiedził w dyrektorskim gabinecie, kiedy go wpuściłam do środka, a jej zatrzasnęłam drzwi przed twarzą. I oznajmiłam, w odpowiedzi na jego próby wyjaśnienia sytuacji, że mam zajęte uczuciowe megabajty i nie jestem w stanie objąć nimi jeszcze jednej osoby. Tak więc wizyta przez balkon była co najmniej trzecią, jeśli nie czwartą, próbą uzyskania mojej akceptacji dla tego nowego życia. Prośbą o pomoc i zrozumienie. Ja jednak nadal nie byłam przygotowana, nie tylko z powodu własnego stanu i ze względu na Cyryla, ale dlatego, że jego oczy nie dawały mi żadnego oparcia. I wtedy zwróciłam się tylko do niej, wówczas jeszcze siedemnastoletniej. Powiedziałam: - Wierzę, że on cię kocha, ale jeszcze bardziej kocha heroinę, i jeśli chcesz urodzić to dziecko, musisz liczyć tylko na siebie, bo on ci w niczym nie pomoże. - Tak powiedziałam. Sucho, rzeczowo i twardo. Bez sentymentów. Bez romantyzmu. I podsunęłam nielegalny wariant na wypadek, gdyby chcieli się jeszcze zastanowić nad odpowiedzialnością. Zadeklarowałam wsparcie finansowe mające pokryć koszty zabiegu. To wszystko, co umiałam wtedy zrobić. Żadnego komentarza. Wyłączone funkcje uruchamiające uczuciowość i wyobraźnię. Pozostawała tylko wiedza, że nie podołam zwiększonej porcji, że jest mnie samej za mało na to wszystko, na podwojenie tego, co dotychczas dźwigałam z

największym trudem. Tak o tym myślałam. Że ciężar ponad siły. Że już teraz nie umiem utrzymać pionu, a co dopiero za rok? Nie widziałam światełka w tunelu. Kępiński napisał całą książkę o tym światełku, a właściwie o jego braku. Lekturę miałam dawno za

58

sobą. Tunel dopiero się zaczynał, za dużo pozostało do przejścia, za małe szanse wyjścia; nie wiedziałam, że może się nigdy nie skończyć i trzeba się będzie nauczyć w nim żyć. Po ciemku.

Kiedy Zosia przysłała na świat, on już był w więzieniu. I wszystko się sprawdziło, jeśli chodzi o miłość do heroiny i brak pomocy. Ale nie co do stanu moich uczuć. Obie bowiem, duża i mała dziewczynka, rozpuściły się w moim życiu jak cukier w herbacie - z wszystkimi konotacjami, jakie ta śmiała metafora zdolna jest w sobie pomieścić. Już wówczas, kiedy zgłaszałam „włamanie”, dziewczynki były we mnie rozpuszczone, przed kim więc się chciałam obronić? Przed własnym dzieckiem?

Kartka

Dostaję kartkę z innego świata. Kochana!

Jestem w Burgos. Nigdy nie sądziłam, że tu będę. Jestem wstrząśnięta. Nie mogłam spać.

Nadmiar sztuki po dniach spędzonych w ciszy, w dzikim pejzażu. Całuję cię mocno i nosę w sercu do Santiago.

Hanka

Pocztówka z widokiem świetlistej rozety sklepienia katedry w Burgos. Słowa napisane 8 maja, po przejściu - tak liczę - trzystu kilometrów w osobistej pielgrzymce z Barcelony do Santiago de Compostela. Od Katalonii, wzdłuż hiszpańskich Pirenejów, przez Aragonie, Navarre i dolinę Rioja, a później przez Kastylię do Galicji. Wspina się na masyw kantabryjski czy wybiera łagodniejsze szlaki wzdłuż Zatoki Biskajskiej? Może zahacza o Kraj Basków? Odległości przeliczane na odcinki czasu tak, żeby średnia wyniosła dziesięć kilometrów dziennie, wtedy podróż zajmie równo sześć tygodni i wypełni się, cokolwiek zostało pomyślane.

Kirkut w Nowym Sączu

Rodzinną historię na temat wyjazdu z narzeczoną do Budapesztu opowiedziała mi Vera podczas naszego pierwszego spotkania. Los mi ją zesłał późno, już po śmierci otdwojga rodziców, kiedy wydawało się, że nic nie jest do odtworzenia, bo byłam za głupia albo za młoda, żeby pytać ojca o rodzime szczegóły, a potem, po jego śmierci, zbyt zajęta własnym życiem, by wyciągać od mamy jej wiedzę z drugiej ręki, biorącą się z intymnych rozmów we wczesnym etapie małżeństwa, zaraz po przyjeździe do Polski, może w Świnoujściu, może w Nowym Sączu, kiedy jeszcze normalnie rozmawiali, kiedy łączyła ich więź i może nawet miłość.

Los miał postać pana Areggera, sekretarza czy może attache kulturalnego ambasady szwajcarskiej w Warszawie. Pan Aregger, usłyszawszy moje nazwisko, oświadczył, że zna w Zurychu moją kuzynkę i że muszę pojechać ją odwiedzić.

- To na pewno jest pani rodzina, ona też się nazywa Rottenberg! - wykrzykiwał z entuzjazmem podczas dyplomatycznej kolacji.

- Rabin Paryża też nosi to nazwisko, ale nie jest z mojej rodziny.

O rabinie dowiedziałam się od Hank, która trafiła w Paryżu na lokal o nazwie „Rose Daisy - Wietnamska Koszerna Restauracja”. Wszystko to moja przyjaciółka wyczytała na reklamowej wywieszce

61

zdobiącej szybę lokalu przy rue de Rosiers. Najpierw jednak rzuciło się jej w oczy moje nazwisko. Dopiero wówczas przeczytała resztę i weszła do środka. Była pora lunchu, przy stolikach, wystrojeni w chasydzką czerń, siedzieli ruchliwi Wietnamczycy. Hanka poszukała

właściciela, zapytała o związek koszernej kuchni z moim nazwiskiem i dowiedziała się, że Rav Rottenberg jest rabinem Paryża, on przyznaje certyfikat, co jest koszerne, a co nie.

- Rozumiem. A Wietnamczykowi smakuje koszerne jedzenie?

- To nie są Wietnamczycy, to są Żydzi! Widać, że pani nietutejsza.

- Jestem z Warszawy.

- Zostało tam jeszcze trochę Żydów?

- Oczywiście.

- I wszyscy chodzą do synagogi?

- Chyba nie.

- Co to za Żydzi, jak nie chodzą do synagogi? To wcale nie są Żydzi!

Pan Aregger nie dawał za wygraną. Skusił mnie wyjazdem studyjnym do Szwajcarii, chciałam zrobić wystawę Balthusa. - Tylko proszę obiecać, że pani zadzwoni do Vera. - Zadzwoniłam. Przybiegła drobna, ruchliwa osóbką. Niepodobna do Rottenbergów, tak pomyślałam, a zaraz potem uświadomiłam sobie, że przecież nie znałam nikogo prócz ojca, też w końcu szczupłego i może niegdyś ruchliwego. Vera przywitała się po angielsku i wypowiedziała tylko jedną nazwę: Nowi Sandz.

- Nowy Sącz - poprawiłam. - Nie mówisz po polsku?

Nie mówiła. Mówiła po angielsku, niemiecku, francusku, węgiersku i w „swisse dutch”.

Może też trochę po włosku, jak to w Szwajcarii. Zabrała mnie do siebie, do niedużego, przytulnego mieszkania. To jej dawne panięńskie pied-d-terre, korzysta z niego w niektóre weekendy. Na ogół mieszka z mężem w Bazylei, ale też

62

tylko wówczas, gdy nie musi być w pracy, w Lozannie, gdzie piastuje posadę sędziego sądu najwyższego. Jest pierwszą w Konfederacji Szwajcarskiej kobietą na tym stanowisku. Dowiedziałam się tego przy wegetariańskiej kolacji, mającej stanowić łagodny pomost od koszernej kuchni ku „cywilnym” daniom. Następnie poznałam historię wędrowki na Węgry, potem historię zamążpójścia jej rodziców, wreszcie historię ocalenia. Vera opowiedziała też o Ewie, swej starszej siostrze zajmującej się światową literaturą, o swoim pierwszym, amerykańskim, małżeństwie i o drugim, szwajcarskim, na skutek którego bezpowrotnie utraciła rodowe nazwisko. Egzamin na sędziego zdawała już jako Vera Liatovic. - Ewa też nie nazywa się Rottenberg, tylko Korallnik, po mężu. Na tobie kończy się nazwisko - dodała na koniec z nutą żalu.

Podczas następnego pobytu w Zurychu byłam gościem Ewy. Mieszkałam na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na panoramę miasta, w dużym, zawałonym książkami domu. Dom należał do agencji autorskiej Lipman A.G. Pani Ruth Lipman, szczupłutka, elegancka staruszka, chodziła po mieszkaniu z przewieszoną przez ramię

63

torebką i uprzejmie konwersowała z gośćmi. Zaczynała po angielsku, potem płynnie przechodziła na niemiecki, zęgnęła się po francusku i zniknęła w sąsiednim pokoju, by za chwilę powtórzyć całą ceremonię; pani Lipman wymagała całodobowej opieki. Ewa, która przejęła wszystkie agencyjne obowiązki, zajęta była ustawicznym poszukiwaniem opiekunek. - Może wezmę kogoś z Polski? Tylko musi to być osoba delikatna i znająca język. Nie znałam delikatnych z językiem. Zaprosiłam ją z rewizytą. Przyjechała z mężem o imieniu Pierre, reżyserem, i ruszyliśmy do Nowego Sącza poszukać grobów naszych przodków. Ewa wiedziała o rodzinie znacznie więcej: - Pochodzimy z linii askenazyjskiej. Podobno przywędrowaliśmy nad Dunajec pod koniec XVI wieku z terenów niemieckich, z Rottenburga.

Przypomniałam sobie mój pobyt w Tybindze i Rottenburgu, dokąd wstąpiłam po drodze do Paryża, by zobaczyć gospodarstwo Andreasa, brata mojej ówczesnej paryskiej przyjaciółki, który oferował mi w połowie lat osiemdziesiątych niemiecki paszport drogą białego

zamażpójścia. - Jesteś Europejką - mówił. - Nie możesz siedzieć zamknięta w tym aberracyjnym kraju. Daję ci rok na załatwienie rozwodu, a potem weźmiesz ze mną ślub, trochę pomieszkasz w Tybindze, żeby niemieckie władze nie nabrały podejrzeń, i będziesz wolnym człowiekiem. - Pojechałam więc do Tybingi zobaczyć, jak by miało wyglądać to życie wolnego człowieka. Andreas pracował na tamtejszym uniwersytecie, ale mieszkał pod Rottenbur-giem, na wsi o nazwie Frommenhausen, rozlokowanej w falistym pejzażu przypominającym Beskid Niski. Zajął wiejski piętrowy dom, liczący dwieście lat. Mieszczące się nad oborą mieszkanie zostało pomyślane tak, żeby ciepło zwierząt ogrzewało ludzi. W drugiej połowie dwudziestego wieku wszystko pozostało jak dawniej, tylko nie było już pastwisk, krowy spędzały życie w oborze, na miejscu. Stojąc lub leżąc, smętnie przeżuwały i przepuszczały przez wszystkie cztery żołądki akuratne kostki pożywnego, zbilansowanego siana, ergonomicznie produkując codzienne racje mleka i odchodów, których

64

skondensowany smród przesączał się na piętro przez szpary w podłodze i wyciskał z oczu łzy. Spędziłam tam tylko jedną noc, starałam się nie oddychać. Zrezygnowałam z wolności. Po mnie pojechał tam Mateusz i jemu się bardzo podobało.

Cmentarz jest rozległy. Zbyt rozległy jak na małe miasteczko. Zbyt rozległy jak na znikomą liczbę macew. Ewa i Pierre sylabizują na wpół zatarte hebrajskie napisy. Szukamy wspólnych przodków. Tych sprzed Holokaustu, sprzed podziału na linię sądecką i węgierską, czyli z pierwszych lat XX wieku albo nawet z końca XIX. Ewa powtarza wersję opowiedzianą już przez Verę. Że któregoś dnia nastąpiły oświadczyzny i trzeba było dostarczyć narzeczoną wraz z posagiem do Budapesztu. Nie kolejną, tylko konwojem, na wozach. Czemu konwojem, skoro już jeździły pociągi? Może z biedy? Może z towarem na handel i nadzieją na lepsze życie? Na czele konwoju stanął najstarszy brat narzeczonej, dziadek Ewy i Very, Samuel Rottenberg. Mogli jechać przez Kieżmark i Poprad na Bańską Bystrzycę. Albo na Presov, Koszyce, Miskolc i Eger. Nie jest też wykluczone, że wybrali stary węgierski szlak przez Rabkę i Ružomberok - też w koń-

65

cu trafiający na Bańską Bystrzycę, ale chyba łatwiejszy, bo wiodący dolinami. Pojechali i zostali na zawsze. Jak było na imię narzeczonej? Tego Ewa nie wie. Chyba nigdy jej nie poznała. Nie poznała też dziadka, chociaż urodziła się jeszcze przed wkroczeniem Niemców na Węgry. Vera przyszła na świat dwa lata później, w roku 1944, tuż przed akcją deportacyjną. Szczęśliwie nie znaleźli się w liczbie czterystu trzydziestu czterech tysięcy wywiezionych z Węgier do Auschwitz. Szwajcarski rząd, zapewne na skutek interwencji Raoula Wallenberga, w samą porę przypomniał sobie o obywatelkach, które utraciły paszporty w wyniku zamażpójścia. To był właśnie przypadek matki obu dziewczynek. Ona z kolei, odzyskawszy najcenniejszy na świecie dokument obywatelki neutralnego kraju, dołożyła starań, by jej węgierski mąż także został Szwajcarem. Kto wówczas myślał o sądeckich korzeniach? Wszyscy wyrosli w poczuciu austro-węgierskiej tożsamości, cementowanej znajomością niemieckiego. W domu mówili po węgiersku, czasem w jidysz. Przed wojną mógł to być język ich korespondencji z pozostałą w Polsce częścią rodziny. Ale równie dobrze mógł to być niemiecki. Mój ojciec znał go w mowie i w piśmie. Ale czy pisywali do siebie, mój ojciec i jego węgierski imiennik? Obaj urodzili się jeszcze przed pierwszą wojną i dostali te same imiona. Wolf Mozes. Może po jakimś przodku? Wolf w Nowym Sączu i Wolf w Budapeszcie żyli w przekonaniu, że nikt z rodziny nie mógł ocaleć. Tak przynajmniej sądził mój tata, nadmieniając mimochodem, że miał kiedyś rodzinę w Budapeszcie.

Szukamy więc chociaż grobu Józefa, mego dziadka, który miał umrzeć wcześniej od babki, przed rokiem 1939, jeszcze zanim jego syn, a mój ojciec, znalazł się w lwowskim więzieniu, by ruszyć etapami na północ; zanim jego żona, a moja babka Rozalia nazywana Różą, a

częściej chyba (z niemiecka i żydowska) Rajzą, i jego córka, a siostra mego ojca, Mariem zwana Manią, razem z wieloma innymi zmarły w getcie albo trafiły do transportu i zginęły, możliwe, że jeszcze w wagonie, ale nie jest to pewne, bo mogły dojechać do

66

Bełżca i zginąć dopiero tam, u celu podróży, najwcześniej w sierpniu, najpóźniej w październiku 1942 roku. Potem obóz zlikwidowano. Tak więc Rozalia i Mania z całą pewnością nie zostały pochowane na cmentarzu i nawet nie wiadomo, gdzie należy szukać ich prochów. Ale dziadek Józef mógłby leżeć pod którąś z macew. Chociaż w skąpych opowieściach taty z dzieciństwa jego ojciec był jakoś mało obecny. Królowała matka. - Była strasznie religijna - ironizował tata. - Miała osobne garnki do mięsa, osobne do mleka. Szynek mogłem jeść tylko u sąsiadów, jak mnie zapraszali na święta. Robili dobrze podwędzoną, z cieniutkim tłuszczkiem. I śpiewali: „Trzetrzewina dobra wieś, za dwa kupić, za trzy zjeść”. Tak więc we wspomnieniach taty panowała głównie moja babka w kontekście swych koszernych regulaminów, których nie przestrzegał jej zasymilowany syn, gustujący w obyczajach swych wiejskich przyjaciół z Biczyc, Chełmca, Marcinkowic i Gaju. Kiedy przyglądam się jedynemu zdjęciu babki, zaczynam nabierać osobliwych podejrzeń, że Józef mógł nie umrzeć, tylko ją rzucić i wyjechać gdzieś w Polskę albo i dalej. Babka patrzy surowo spod silnie zarysowanych łuków brwiowych. Ma wydatne kości policzkowe, kwadratowy podbródek i wąskie usta. Czarna peruka, uczesana w lekkie fale, rozchodzące się na dwie strony od równego przedziałka, kontrastuje z kamienną bryłą twarzy. Moja babka była kobietą brzydka i pozba-

wioną wdzięku. Mogła też nie mieć poczucia humoru, a w takim razie po kim miał go tata, jak nie po swoim ojcu? Wystarczy, że po matce przejął rysy twarzy: wyraziste łuki brwiowe, kości policzkowe, kwadratowy podbródek i wyraz ust. Te same cechy, niestety, przyplątały się moim genom; dobrze, że nie muszę nosić peruki. Czy mogło więc się zdarzyć, że Józef dał jej po prostu list rozwodowy? Musiałby być piśmienny, bo list trzeba napisać własnoręcznie, po hebrajsku, bez błędów. Bez poprawek i skreśleń. Opowiadał mi o tym Borys Fogelman, mój szkolny kolega, który sam kiedyś cyzelował taki list wiele razy, zanim uzyskał akceptację rabina. A jeśli dziadkowi nie starczało pisarskich umiejętności, mógł przecież porzucić babkę bez listu. Po prostu wyjechał w interesach i więcej nie wrócił. Tak myślę. Bo z uczonością nie było chyba najlepiej. Wygląda raczej na to, że klepali przysłowiową galicyjską biedę. Mówi o tym zniszczona, chłopska twarz Lei, znana mi, podobnie jak twarz mojej babki, tylko z jednego malutkiego zdjęcia. Lea jest na nim bez peruki, a jej przerzedzone i zapewne szpakowate włosy uczesane są gładko do tyłu, chyba w skromny koczek. Zdjęcie jest podpisane dwukrotnie. Na awersie, niebieskim atramentem, wprawnym, kaligraficznym charakterem: „Lea Rottenberg”. Na odwrocie natomiast widnieje pis-

68

mo niezgrabne, litery kreślone dłonią niewprawną w posługiwaniu się piórem, nazwisko pisane fonetycznie. Za to danych jest więcej. Urodziła się w roku 1895 w Marcinkowicach, mieszkała w Nowym Sączu przy ulicy Kraszewskiego 21 i wołano na nią Szaja. A może Sala? W tym miejscu pismo jest zatarte, bo te wszystkie zdjęcia musiałam odrywać od czarnego podłoża albumu, do którego zostały pracowicie i na zawsze wklejone ręką mojej mamy; w tamtym czasie ważne były awersy z twarzami i sylwetkami, a nie inskrypcje na rewersach. Ale nawet po odszyfrowaniu podstawowych danych nie zgadłam, kim dla mego ojca była Lea. Wiele innych nieznanymi mi imion i nazwisk, a także nazw miejsc, o których nigdy wcześniej nie słyszałam, wyłoniło się z internetowych stron Yad Vashem. Sięgnęłam do nich w poszukiwaniu śladów zaginionej rodziny i wpadłam na detektywistyczną zagadkę, której mogę nigdy nie rozwiązać, między innymi dlatego, że akurat nie figuruje tam moja babka i mój dziadek, nie ma tam również Lei, nie ma Mani i nie ma Tauby o obcym mi nazwisku Amster, której zdjęcie także oderwałam od czarnego kartonu rodzinnego albumu, i

tylko na tej podstawie, że sąsiadowało ze zdjęciem mojej babki, uznałam ją za osobę z rodziny. Archiwum Yad Vashem nie dysponuje żadnym dowodem ich istnienia, ponieważ świadkowie ich śmierci także nie przeżyli. A przecież był jakiś dom, może jakiś inwentarz. Musieli z czegoś żyć, zanim tata nauczył się krawiectwa i zanim przyszło ostateczne rozwiązanie.

- Czy państwo szukają czegoś konkretnego? Może chodzi o grób cadyka? - Przed nami wyrasta cmentarny stróż. Tłumaczę, że szukamy naszych przodków, starej miejscowej rodziny, powinni gdzieś tu leżeć. Stróż wyjaśnia, że tu nie ma miejscowych grobów. Płyty nagrobne poszły na brukowanie dróg i budowanie ogrodzeń, a cmentarz stał się miejscem straceń. Dopiero po wojnie zwieziono ocalałe macewy z całej okolicy i zrobiono symboliczny kirkut. Może ze względu na cadyka Halbersztama? Ewa słyszała o cadyku, więc

69

podążamy ku maleńkiemu sanktuarium, w którym, pod dwuspadowym kamiennym daszkiem, spoczywają szczątki świętego. Ewa natychmiast pisze do niego liścik i wsuwa pod płytę grobowca.

- A ty? Nie masz żadnych życzeń?

- Ja jestem prawosławna, nie znam hebrajskiego.

- To myślisz, że on nie zrozumie po polsku?

W gruncie rzeczy nawet nie wiedziałam, dokąd wieziono na zagładę sądeckich Żydów. Po wizycie rodziców w Auschwitz i nerwowym rozstroju mamy w bezpośrednim następstwie tej wizyty, nabrałam przeświadczenia, że miejscem śmierci mojej babki była „łaźnia” w Birkenau. Bełzec zwiedzałam z Mirkiem B. w ramach wycieczki krajoznawczej przy okazji montażu wystawy w Zamościu, w roku 2006. Chodziliśmy po tonach żużlu wysypanego na terenie niegdysiejszego obozu, czytaliśmy nazwy wszystkich miast Europy, skąd szły transporty do tej maleńkiej miejscowości, stanowiącej, jak napisano w ulotce, „ważny węzeł komunikacyjny z zachodu, wschodu i południa”. Został mi z tej wycieczki bogaty serwis fotograficzny. Zanotowałam elementarne informacje, że najpierw, od 1940 roku, był to zwykły obóz pracy przymusowej dla Żydów i Cyganów. Dopiero później zdecydowano o utworzeniu tam ośrodka zagłady Żydów z Krakowa, dystryktu krakowskiego, lubelskiego, galicyjskiego i radomskiego. Potem dowiedziałam się więcej. Że ośrodek zagłady w Bełczu (SS Sonderkommando Belzec lub Dienststelle Belzec der Waffen SS) budowano pięć miesięcy - od listopada 1941 do marca 1942. Że służył on wyłącznie do szybkiego, sprawnego zabijania. W tym celu wybudowano sześć komór gazowych. Uśmiercano w nich jednorazowo około dwóch tysięcy osób. Robiono to za pomocą spalin dieslowskiego silnika radzieckiego czołgu T 34 ze specjalnym filtrem usuwającym charakterystyczną woń. Uzyskany w ten sposób bezbarwny i bezwonny tlenek węgla zabijał ofiary w ciągu dwudziestu minut. Pierwsze transporty docierały tam nieregularnie, ale już od czerwca 1942 roku przybywały dwa lub trzy razy

70

dziennie. Przeciętnie mordowano dziesięć tysięcy ludzi na dobę. Przywożono ich pociągami. Na rampie zabierano bagaże i dokonywano selekcji, a potem - tak samo jak w Treblince, Majdanku, Birkenau i Sobiborze - wysyłano do „łaźni”, z których już nie wychodzili. Tutaj jednak ciała nie trafiały bezpośrednio do krematoriów, bo ich nie wybudowano. Dlatego tę maszynę śmierci musiało obsługiwać aż pięciuset Żydów. Ich główne zadanie polegało na wyciąganiu ciał z komór gazowych i grzebaniu ich w głębokich mogiłach. Zwłoki układali ciasno, warstwami, jedno na drugim. Niewykluczone, iż musieli przy tym ściśle przestrzegać ekonomicznej zasady ułożenia „na sardynkę”, obmyślonej przez któregoś z wodzów Einsatzgruppe C wkrótce po pracochłonnej egzekucji trzydziestu trzech tysięcy siedmiuset Żydów, dokonanej w Babim Jarze. W ciągu niespełna dziesięciu miesięcy Niemcy wymordowali w Bełczu ponad sześćset tysięcy osób, w tej liczbie około pięciuset

pięćdziesięciu tysięcy Żydów, głównie z dystryktu Galicja, a także z ZSRR, Austrii, Belgii, Czechosłowacji, Danii, Holandii, Niemiec, Norwegii i Węgier. Zginęło tu również wielu Polaków z pobliskich miejscowości i ze Lwowa, najczęściej za pomoc udzielaną Żydom. Od stycznia do lipca 1943 roku ośrodek znajdował się w stanie likwidacji. Zwłoki pomordowanych wydobyto z masowych mogił i spalono, a kości starto w maszynach do mielenia nawozu. Wszystkie obiekty obozu usunięto, teren dokładnie splantowano, a na jego miejscu zasadzono las. Więźniowie zatrudnieni przy likwidacji zostali wywiezieni do Sobiboru i tam zamordowani. Świadkiem ich śmierci był Dov Freiberg, autor książki *Przeżyć Sobibór*, ojciec mieszkającej w Rzymie i Berlinie artystki Rivki Rinn, która obsesyjnie rejestruje świat widziany z okien samolotów i pociągów. Freiberg nie dożył polskiego wydania swojej książki. Zmarł trzy tygodnie przed podróżą do Warszawy, gdzie miał dostać medal z okazji rocznicy słynnej ucieczki z obozu. Dyrektor muzeum w Sobiborze obiecał Rivce dołożyć starań, by książka się ukazała, choć niewiele osób ją przeczyta. Jest za gruba.

71

Komendantami obozu w Bełżcu byli: Odilo Globocnik i Christian Wirth. Globocnik, jeden z szefów Einsatzgruppe B, dostał od Himmlera zadanie eksterminacji około dwóch i pół miliona polskich Żydów w celu zrobienia miejsca dla niemieckich osiedleńców, określanych jako SS Wehrbauern, rolników-wojowników. Lubił przeprowadzać eksperymenty, używając do masowych mordów materiałów wybuchowych, niegaszonego wapna oraz tlenku węgla zawartego w spalinach; ten ostatni sposób okazał się optymalny w Bełżcu. Globocnik połknął truciznę w maju 1945 roku. Wirtha zastrzelili jugosłowiańscy partyzanci. W 2004 roku na miejscu obozu odsłonięto pomnik i otworzono muzeum.

No więc zwiedzałam teren obozu z Mirkiem. Komentowaliśmy półgłosem kompozycję i architekturę pomnika. A potem pojechaliśmy na obiad do słynnej wiejskiej zagrody Guciów.

Na deser zjedliśmy poziomki ze śmietaną i wróciliśmy do Zamościa, gdzie - w ramach artystycznego projektu *Miasto idealne* - Mirek kończył rekonstrukcję szczytowej ściany kuchni z KL Auschwitz. Mirek jest specjalistą od obozów. Wie, że pod tą ścianą ustawiano orkiestrę złożoną z najlepszych europejskich muzyków, aby przygrywała więźniom wkraczającym na teren obozu przez bramę ze słynnym napisem *Arbeit macht frei*. Zbudowana w Zamościu replika ściany z Auschwitz miała samoistnie grać marsza Radetzkyego. W Bełżcu nie utworzono orkiestry, muzycy szli do gazu prosto z wagonów. O tym, że tam właśnie kończyły bieg wszystkie transporty z Nowego Sącza, dowiedziałam się już w trakcie systematycznych poszukiwań. Wtedy też poznałam szczegóły związane z organizacją sądeckiego getta i przeczytałam świadectwa. Są złożone w ŻIH-u, każdy może się z nich dowiedzieć o tym, że miasto zostało objęte specjalnymi restrykcjami od samego początku wojny. Że utworzono tam dwa getta, jedno otwarte - dla pracujących, drugie zamknięte - dla skazanych na śmierć. Że umieszczono tam zarówno Żydów miejscowych, jak i okolicznych, z Krynicy, Limanowej, Starego Sącza i - oczywiście

72

- z przyległych do Sącza wiosek. Że egzekucji dokonywano na cmentarzu przy Rybackiej, skąd wcześniej usunięto macewy i znaleziono dla nich lepsze zastosowanie. Że zanim w końcu wysłano do Bełżca dziesięć tysięcy lokalnych Żydów i siedmiuset przysyłanych wcześniej z Łodzi, wyciągnięto od nich w postaci kontrybucji wszystkie pieniądze, a potem także wartościowe przedmioty i futra, akurat w zimie. Że komendant getta Haman lubił sobie postrzelać, zwłaszcza kiedy wypił. Wtedy buszował po ciasnych uliczkach i strzelał na oślep, dla rozrywki. Że wywózkę zarządzono 29 sierpnia 1942 i w tym celu nakazano wszystkim stawić się nad Dunajcem z lekkim, ręcznym bagażem. Oczywiście nikt nie wiedział o istnieniu obozu w Bełżcu, dlatego nadal jeszcze na kartach świadectw zagłady w Yad Vashem przy wielu sądeckich nazwiskach figuruje nazwa Auschwitz.

Wygląda więc na to, że jedynym cmentarzem, gdzie mogę zapalić znicze dla swojej rodziny z Biczyc, jest starannie usypane pole żużlu, kryjące miejsce pod nazwą SS Sonderkommando Belzec, niedaleko idealnego miasta Zamościa.

Szczebel

Znalazł się średnioniski szczebel. Ma postać tajemniczego szatyna w banalnym garniturze, z samochodem seicento, którym zajeżdża pod ogródek anonimowego pubu na Muranowie. Ma niedaleko, jedzie z pałacu Mostowskich, gdzie niegdyś byłam przesłuchiwana w sprawie Maryni R. Zamiast dobrego i złego ubeka był wesoły i smutny. Główną rolę grał wesoły. Opowiadał, jak to się stało, że trafił do milicji. Wzięli go na mieszkanie, a właśnie się ożenił, więc poszedł i dostał. A potem żona się z nim rozwiodła i znów jest na początku drogi, tyle że mieszkanie będzie teraz mniejsze, bo jest samotny. - Ja, proszę pani, zajmowałem się sprawami gospodarczymi. Miałem sukcesy, raz trafiłem na poważną aferę i nie zgadnie pani, kto okazał się winny. Wrzaszczyk!

- I wsadził go pan?

Smutny próbował podnieść głos, chyba nawet grozić, ale jakoś bez przekonania. Na koniec wygłosił z rezygnacją rutynowe pogroźki w rodzaju: - Widzę, że pani milczy, na pewno pani zna wszystkie zasady, ale na każdego coś się znajdzie. - Kazio, mój ówczesny mąż, czekał na mnie na dole w hallu, przez który przemykali młodzi ludzie, wyglądający bardzo podobnie do konspiratorów. Zapewne składali meldunki z zadań inwigilacyjnych. Średnioniski szczebel także mógł swego czasu otrzymać mieszkaniową propozycję. Na wszelki wypa-

74

dek zaznacza od razu, że od dwudziestu pięciu lat prowadzi sprawy kryminalne. Nie dosłyszałam, czy mówi w czasie przeszłym czy teraźniejszym. Jeśli w teraźniejszym, obliczam w myśli, to pracuje od wczesnej młodości. A jeśli wstąpił po studiach, to właśnie przeszedł na emeryturę. Choć mógł zacząć od przebiegania chyłkiem przez hall jeszcze jako student, właśnie wtedy, kiedy czekałam z wezwaniem, aż pojawi się wesoły ubek i zabierze mnie na przesłuchanie.

- To nie ja zajmuję się tą sprawą - mówi szczebel. - Jestem tylko pośrednikiem. Pragnę panią poinformować, że wszystko jest na dobrej drodze. Już mamy autentyczne odciski, zostały przesłane do badań daktyloskopijnych. To trochę potrwa, ale postaramy się przyspieszyć. Na oko wydaje się, że przypadek z Mokotowa dotyczy pani syna. Niestety, nie możemy na tym etapie zrobić badań genetycznych. Z ekshumacją będą pewne trudności. Jest taka zasada, że po pięciu latach na tym samym miejscu chowa się następnego N.N. To rzeczywiście przykre, że dokumenty znalazły się tak późno. Wszystkiemu winna niedobra komunikacja: każdy komisariat zajmuje się swoimi sprawami, nie zawsze raportują do centrali. Proszę nas zrozumieć, tempo się rzeczywiście podniosło, robimy, co możemy, chłopcy z Wilczej pracują bez zarzutu, ale istnieje proceduralna kolejność: najpierw daktyloskopia, potem zgłoszenie do prokuratora w sprawie ekshumacji. Nie wiem jednak, czy to coś da.

- Pojawiło się jakieś odgórne ciśnienie - komentuje kolega, który mnie doprowadził do szczebła. - Bądź cierpliwa.

Jestem cierpliwa. Jestem spokojna. Nie drżą mi ręce. Nie skacze serce. Parkuję prawidłowo w pobliżu bankomatu. Pamiętam PIN. Zabieram kartę.

Dopiero wieczorem odkrywam, że nie wzięłam pieniędzy.

CZERWIEC

Gułag

Rekonstrukcja wymaga wysiłku. Nie tylko ze względu na nader skąpe relacje ojca, ale dlatego, że za jego życia informacje o Gułagu nadal były tajne, nawet po referacie Chruszczowa, a mroków informacyjnych nie rozjaśniał skądinąd szeroki, emigracyjny i podziemny nurt świadectw i opowieści o „niehumanitarnej ziemi”. Oczywiście, rozległa literatura przedmiotu oraz wynalazek internetu są tu bardzo pomocne, ale nie obywa się bez wymiany

korespondencji z Tomkiem Kiznym i wizyty w Moskwie, w Memoriale, gdzie jednak nie uzyskuję pewności co do losów ojca, a jedynie więcej faktów na temat specyfiki interesujących mnie miejsc. Z drugiej strony, niedawne rewelacje

O ułańskim epizodzie w życiu taty każą mi zobaczyć go w świetle nieco innym, niż go widziałam za życia, szczególnie w ostatnim okresie, kiedy był już wyciszony i chory. Po pierwsze - wyjaśniają się, przynajmniej częściowo, motywy ucieczki ojca z Sącza, a po drugie - jego powojenna powściągliwość w opowiadaniu o czasach przedwojennych. Jeśli bowiem już raz - by ocalić życie - zeznał, że nigdy nie był w wojsku, to nie mógł później na Syberii odwołać tych zeznań

I chwycić za karabin. Do końca życia pozostał więc szeregowcem, „specjalność wojskowa: krawcy”.

Wiem, że był październik 1939, kiedy razem z przyjacielem o nieznanym mi imieniu i nazwisku dotarli nad San i przepłynęli

77

go pod osłoną nocy. Podjęli słuszną decyzję, bo most w Przemyślu był już obstawiony, uciekinierów zawracano na właściwą stronę: tych ze strefy radzieckiej - do strefy radzieckiej; tych z niemieckiej - do niemieckiej. Próba przebycia rzeki w pław dawała większe szanse. Ale się nie powiodła. Zostali złapani zaraz po wyjściu z wody, w mokrych turystycznych ubraniach (zapewne w pumpach, kanadyjkach i sportowych marynarkach - wszystko własnej roboty - włożonych na pulowery w serek), z plecakami wypełnionymi najpotrzebniejszym sprzętem, przydatnym podczas pieszej wędrówki. Może liczyli na schronienie po drugiej stronie rzeki? Przecież jeszcze kilka tygodni wcześniej było to jedno państwo, ludzie stale kursowali między Sączem i Lwowem, mieli krewnych i znajomych po obu stronach świeżo wytyczonej granicy. Rozumowali prawidłowo: gdyby udało im się bezpiecznie sforsować rzekę, mieli szansę na rozplynięcie się wśród fali uchodźców i - przynajmniej na jakiś czas - zdobycie bezpiecznego schronienia. Nie wiedzieli tego wszystkiego, co wiemy dzisiaj: że czekała ich albo szybka deportacja w głąb Związku Radzieckiego, albo ponowne znalezienie się pod okupacją niemiecką. W pierwszym wypadku mogli wylądować gdzieś w Kazachstanie, w nieludzkich warunkach, i przeżyć takie samo piekło jak to, którego doświadczali od chwili schwytania ich przez rosyjską straż graniczną. Druga ewentualność to egzekucja wykonana przez fachowców z Einsatzkommando, wprawdzie nieco odsunięta w czasie, ale nieuchronna. Jednak dwaj uciekinierzy z Sądecczyzny nie wiedzieli wówczas tego wszystkiego, więc uważali się za pechowców. Ojcu natychmiast zabrano złotą dokkę - nie mógł jej odzalać przez następne trzydzieści parę lat, miał słabość do zegarków - a potem zawieziono ich do Lwowa. Ani ojciec, ani jego towarzysz nie znali rosyjskiego, nie znali ukraińskiego. Znali niemiecki. Mieli mapę. Sentencja była prosta: szpiegostwo. Wyrok mógł zapaść od razu, w areszcie na Łackiego albo po prowizorycznym śledztwie w więzieniu NKWD na Zamarstynowie. Jakimś cudem wytargowali jednak

78

paragraf za nielegalne przekroczenie granicy, za co należało się trzy i pół roku. Nie byli sami, należeli do wciąż rosnącej grupy bieżęców, czyli uciekinierów, ich przypadek był typowy, można powiedzieć pospolity: trafili w tryby maszyny do masowego przerobu zwyczajnych ludzi na zeków*. Najpierw u Brygidek.

Brygidki, lwowskie więzienie, jeszcze wówczas suche, raczej czyste, z czynnymi prysznicami (tak mówią świadectwa), szybko się zapełniało i wkrótce zaczęło pękać w szwach. Etap mógł więc wyruszyć już latem, a najpóźniej jesienią roku 1940, po akcjach deportacyjnych miejscowej ludności, które rozpoczęły się w lutym. Z więzienia na stację transportowano więźniów w szczelnie zamkniętych ciężarówkach. Najczęściej z napisem „chleb”, czasem jednak „towar” oznaczano kryptonimem „warzywa i owoce”, a nawet „moskiewskie kotlety”. Samochody dzielono wewnątrz na małe kłitki, coś w rodzaju kabin, po jednej dla

każdego więźnia. Dotyczyło to przede wszystkim więźniów politycznych. Przy masowych deportacjach stosowano inną metodę, podobną do niemieckiej: upychano ludzi tak, iż mogli tylko stać na baczność. Nie wiadomo, pod jakim szyldem trafił na stację transport z moim ojcem i jego przyjacielem. I czy w ogóle ich tam zawieziono. Mogli iść pieszo, w zwartej kolumnie otoczonej strażnikami, przez historyczne centrum miasta, z Kazimierzowskiej na dworzec. Albo na bocznice. Tak, raczej na bocznice, z dala od tłumu zwyczajnych podróżnych. Tam klękali i byli liczeni. Wszędzie ich liczono: przy wyjściu z więzienia, przy wejściu do ciężarówek albo podczas ustawiania kolumny, po wejściu na nasyp, kiedy czekali na klęczkach, aż przyjedzie pociąg, i podczas wchodzenia do wagonów. Używano dwóch rodzajów wagonów. Najpierw popularnością cieszyły się stołypinki, wymyślone i wdrożone przez osławionego carskiego ministra i premiera rządu, Piotra Stołypina. Miały okratowane okna i zwyczajne przedziały,

* Zek: pospolity skrót od słowa zakljuczonnyj, używany w języku rosyjskim.

79

tyle że oddzielone od korytarza metalową siatką. W jednej sześciuosobowej „celi na kółkach” można było upchać nawet dwudziestu więźniów, ustawicznie obserwowanych przez strażników. Z czasem coraz bardziej popularne stawały się wagony bydłce, używane też chętnie przez Niemców do podobnych celów. Jednak przeznaczone do dalekich podróży wagony rosyjskie były na ogół wyposażone jak zwykle więzienne baraki, czyli w piętrowe prycze i kible. Nie wiem, jaki wagon wiozł mojego ojca z lwowskiej stacji. Nie wiem, ile czasu jechał pociąg ani ile było etapów. Czy, karmiony soloną rybą, dostawał porcję wody raz dziennie czy raz na dwa dni? Czy - jeśli jechał w bydłcym - miał szansę na zajęcie pryczy? A jeśli jechał stołypinką, to czy leżał na podłodze, pod nogami urków, radzieckich kryminalistów, którzy zapewne rozlokowali się na górnych półkach, gdy już go obrabowali z resztek zawartości plecaka, z jakim wyruszył do ziemi obiecanej, czy może, jakimś cudem, urków w tym przedziale akurat nie było?

Jechali na północ. Usłyszane w dzieciństwie słowo „Kandałak-sza” zapamiętałam chyba tylko dlatego, że kajdany brzęczały w nim bardzo nieprzyjemnie i jakoś nieprawdopodobnie jak na nazwę miejscowości*. Dlatego przez całe lata myślałam, że taki obóz nigdy nie istniał, że mogła to być więzienna ksywa jakiegoś innego miejsca, gdzieś w pobliżu Archangielska. Kiedy okazało się, że Kandałaksza istnieje naprawdę i kiedy ją znalazłam na mapie, po dziecinnemu się ucieszyłam - jakbym odkryła nieznaną łódź, który dotąd istniał tylko w legendzie. Leży za kręgiem polarnym, w obwodzie murmańskim, ale nie od strony Morza Barentsa, tylko od Morza Białego, wciśnięta w najdalszy zakątek długiej, wąskiej zatoki o tej samej nazwie: Kandałaksza. Jako osada znana była już w XI wieku, ale prawa miejskie otrzymała dopiero w roku 1938, zapewne po to, by można tam było zorganizować obóz, ponieważ słynny STON (Sołowieckaja Tiurma

* Kandały - kajdany (ros.).

80

Osobowego Naznaczenija) na nieodległych Wyspach Sołowieckich postanowiono właśnie przekształcić w wojenną bazę morską.

Do Kandałakszy mogli dojechać pociągiem zawiłą drogą przez zachodnią Ukrainę, Brześć, Mińsk, potem z Witebska przez Nowogród ku brzegom jeziora Ładoga - tego samego, przez które wiodła droga ucieczki mamy i Wiery z blokady Leningradu - wreszcie przez Pietrozawodsk w kierunku Murmańska. Droga trzy razy dłuższa niż z Tybingi do Nowego Sącza. Mogli też jechać przez Kijów i Homel na Moskwę, a potem dalej do Archangielska, skąd odpływały statki przede wszystkim na Wschód, w kierunku Kołymy, ale też na północny zachód, do Kandałakszy, z postojem na Wyspach Sołowieckich. Funkcjonował tam nowy port, zbudowany razem z Kanałem Białomorskim rękami setek tysięcy wrogów Stalina w ramach ich zajęć resocjalizacyjnych. Można więc było dowieźć transport do portu, a potem

wysłać go na przykład statkiem „Felix Dzierżyński”, który wcześniej nazywał się „Nikołaj Jeżów”; przemianowano go, gdy stracono jego patrona. Podróże morskie odbywały się tylko w miesiącach letnich, kiedy Morze Białe nie było zamrożone. Biorąc pod uwagę te okoliczności, tata musiałby siedzieć w lwowskim więzieniu do późnej wiosny, bo czas podróży pociągiem na tej trasie nie przekraczał w zasadzie dwóch miesięcy.

Isprawił Trudowej Łagier' - ITL Kandałaksza*, obóz resocjalizacji przez pracę, zaczęto organizować w roku 1940. Stalin, może

* ITL Kandałaksza - obóz związany z budową fabryki aluminium Kan-dałakszstroj, administracyjnie wydzielony z obozu ITL Monczegorsk Siewieronikiel, otwarty 15 listopada 1940, zamknięty 28 czerwca 1941 (wiadomości na temat otwarcia i zamknięcia mogą być nieprawdziwe), nastawiony na produkcję aluminium metodą termiczną. Liczebność z 1 stycznia 1941: 10 397 więźniów; z 15 czerwca 1941 - 14001. Naczelnik: komisarz I. P. Bojków. (Źródło: Archiwum UITLK YMWD Okręgu Permskiego). Przez Kandałakszę wiodła kolej, zapewne Kirowskaja Żelaznaja Doroga, na trasie do Murmańska.

81

po pakcie z Ribbentropem, akurat zmienił priorytety. Nadszedł czas zbrojeń i wyciągania z zapaści radzieckiej gospodarki. Nowe łagry nastawione były przede wszystkim na efektywną produkcję i wykonywanie planu. Programem wodza ludzkości objęto też osadę nad Morzem Białym, a lwowski transport dotarł tam zapewne jako jeden z pierwszych. Należało postawić ogrodzenie, budynki kierownictwa, latryny i - na końcu - baraki dla osadzonych. Zanim to się stało, noce spędzano w namiotach, szałasach albo płytkich ziemiankach. Głębokich nie dawało się wykopać - pod warstwą darni zaczynała się wieczna zmarzlina. Pora roku była zatem sprawą kluczową, jeśli chodzi o moment przybycia na miejsce. Po pierwsze - latem jest widno, po drugie - ciepło. Owszem, tną komary i meszki, są ich miliony, ale nie trzeba pracować na śniegu i mrozie. Liczenie nowo przybyłych może trwać kilka godzin, zimowa temperatura pod kołem podbiegunowym wynosi przeciętnie około pięćdziesięciu stopni. Minus. Czy wolno im było nosić własne ubrania, czy dostali przydziałowe waciaki? Mieli buty czy własnej roboty łapcie z łyka, przymocowane do podeszew ze starych opon? Obóz dopiero się rozkręcał, w głębokim śniegu trudno cokolwiek budować. Powinni więc byli dotrzeć na miejsce wiosną, to logiczne. Ale gułag to nie miejsce, gdzie królowała logika. Przynajmniej logika formalna. Jak przetrwali? Tata mówił, że w Kandałakszy pracował jako cieśla. Cieśla, nie drwal. Jedną z gałęzi przemysłu, z których żyje dzisiejsze miasto, jest przemysł drzewny, obok rybnego i metalowego. Co znaczy przemysł drzewny? Wyrab drzew i tartaki. Więc wokół zatoki rosły jakieś lasy, które przerabiano na słupy i deski, a potem galicyjscy cieśle, do niedawna jeszcze galicyjscy krawcy, stawiali te wszystkie ogrodzenia, lazarety, latryny i baraki. A w barakach potrzebne były stoły i nary - to już doprawdy luksus, praca w zamkniętym pomieszczeniu mogła sobie trwać te przepisowe jednaście godzin dziennie. Latem zawsze jasno, zimą zawsze ciemno, co za różnica, czy się wstaje o wpół do czwartej, czy o wpół do siódmej, jeśli nie można odróżnić dnia od nocy? Najważ-

82

niejsze, żeby się nie nabawić odmrożeń, żeby ciało nie zaczęło gnić, bo wtedy traci się siły, spada do brygady niższej kategorii, a za tym idą coraz mniejsze racje chleba i bałandy, zaczyna się błyskawiczne wyniszczenie organizmu i można już nigdy nie wstać z nar na poranny apel. Owszem, nawet pod dachem, w baraku, można było złapać szkorbut, czyli cyngę, jak mówili miejscowi, ale to zupełnie co innego. Jeśli nie pomagała chwoja, czyli napar z sosnowych igieł, dostawało się przydział kiszonej kapusty z cebulą i burakami noszącej elegancką nazwę sałatki „winigriet”. - Wiesz - opowiadał później tata - nie znałem języka. Jak mi przyznali dodatek, myślałem, że chodzi o winogrona. Po rosyjsku winograd. Winograd czy winigriet, niewielka różnica w brzmieniu. Ale w smaku, owszem.

Obóz w Kandałakszy zlikwidowano zaraz po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. Może tuż przed wysadzeniem w powietrze niedawno ukończonej zapory wodnej w pobliżu Miedwiediegorska, co miało spowodować zatopienie nacierających niemiecko-fińskich wojsk? Transport musiał przedrzeć się w głąb kontynentu, zanim nastąpiła blokada Leningradu, czyli przed wrześniem 1941. Choć może jedno z drugim nie miało żadnego związku? Znów nie wiem, czy jechali pociągiem czy statkiem do Archangielska? Jakimi drogami, jakimi wagonami i w jakich warunkach odbywała się podróż do Nowosybirsk? Wiem, że ewakuacja z Kandałakszy ocaliła ojcu życie; mógłby nie przeżyć drugiej zimy pod kołem podbiegunowym. Jego status powinien być się zmienić po zawarciu układu Sikorski-Majski, 30 czerwca, i amnestii, która miała objąć ponad półtora miliona polskich cywilów. Ojciec był cywilem i udało mu się nie zmienić obywatelstwa, ale nie oznaczało to natychmiastowej wolności. Raczej nie wiedział ani o układzie, ani o amnestii. Jechał z półwyspu Kola na Sybir. Z łągru do łągru. Z zony do zony. Dopiero na miejscu okazało się, że trafił do eldorado.

Wenecja

Lecę do Wenecji i piszę sprawozdanie dla „Newsweeka”. Piszę rutynowo, jak od bardzo dawna, od napisania tekstu po pierwszym i jedynym prawdziwym pobycie w tym gnijącym mieście, w 1976 roku, kiedy z Tomkiem, moim ówczesnym narzeczonym, głodowaliśmy przez cały miesiąc, zwiedzając kolejno wszystkie muzea, wszystkie kościoły i wszystkie wyspy; kiedy z Anką Ptaszkowską i Eustachym Kossakowskim pojechaliśmy zobaczyć Chioggię, a potem nocowaliśmy na plaży pod Sottomariną, by z grupą miejscowych turystów powitać oklaskami wschód słońca i ruszyć najpierw do Rawenny, później na plażę w Rimini, gdzie Eustachy zdobył dowód na to, że ultrafiolet zawirowuje (bo inaczej skąd by się wziął malinowy kolor jego twarzy, starannie chronionej parasolem?); kiedy, wracając do Polski, wysiadaliśmy z pociągu w Vicenzie, Padwie, Weronie i Mediolanie i metodycznie oglądaliśmy to, co znaliśmy wcześniej z czarno-białych ilustracji; kiedy biegaliśmy ulicami Mediolanu kierowani strażkami: Al Fresco Leonardesco i Al Palazzo Sforzesco; kiedy w lotniczym terminalu poznałam Magdę Falender i zachwyciłam się jej nieskrępowaną swobodą bycia między obcymi, której ja sama nigdy się nie nauczyłam. Żaden późniejszy wyjazd w te same miejsca nie pozostawił już tak ostrych wrażeń, choć zwiedzałam je spokojniej i mogłam już sobie pozwolić na soave i makaron w restau-

84

racji, a nie tylko na lambrusco amabile w dwulitrowych butelkach zwrotnych i bułkę z oliwą, spożywaną na ławce w parku albo na schodach zamkniętego na czas sjeisty kościoła, i to właśnie Wenecja stała się swego czasu miejscem postrzeganym jako ważne dla mojej zawodowej kariery.

Kariera miała głos Mirka B. w telefonie do Legnicy, gdzie spędzałam ciche dni wpatrzona w serwantkę z urną, w rodzinne fotografie i sterty niepotrzebnej porcelany.

- Trzeba oddać prochy ziemi i wracać do żywych, jesteś nam potrzebna - powiedział spokojnie. Więc powracałam do żywych, przede wszystkim do dzieci, bo właśnie wyszło na jaw, że Kaja jest w ciąży.

Przyszli do mnie oboje, ona i Mateusz, tajemniczy i uroczyści. Było już po badaniach, termin porodu wyznaczono na 14 grudnia, równo dziewięć miesięcy po śmierci mamy. Spojrzeliśmy sobie w oczy i po-

85

wiedzieliśmy jednocześnie: - Lida. - Uwierzyliśmy w reinkarnację, w cudowne przemienienie jednego wyczerpującego się życia w drugie, nowe, dopiero kiełkujące, złożone w nasze ręce jako niemożliwe do odrzucenia, testamentowe dobrodziejstwo inwentarza, kierunkowskaz naszych wspólnych powinności. Siedzieli przy stole, którego nadal używam. Mama przywiozła mi go niegdyś razem z kanapą, na której teraz siedzę, półleżąc, trochę jak madame

Recamier na swoim słynnym portrecie, bo tylko w takiej pozycji, z laptopem na brzuchu, potrafię pracować, i w której wtedy, na tej samej kanapie, zamarłam przez chwilę po naszym wspólnym okrzyku, a potem poczułam, jak wraca utracona ze śmiercią mamy motywacja do podniesienia się wreszcie z tej półleżącej pozycji, do zejścia z kanapy i zakasania rękawów. W Mateuszu chyba także wyzwoliła się odpowiedzialność za rodzinę, zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i poszedł do szpitala na któreś już z kolei odtruwanie organizmu. Po Nowowiejskiej udało się załatwić następny etap odwyku w Grzmiącej, dokąd nie ma powrotu po ucieczce. Był to etap, do którego nigdy przedtem nie udało się dojść. Etap nadziei. Mogłam więc wyjechać do Wenecji i zabrać się do roboty. Na terenach biennale czekał artysta i polski pawilon.

Nie nabrałam jeszcze wprawy w organizowaniu pracy, ganiałam po mieście, wspinając się na mostki, w górę i w dół - jest ich bardzo dużo na trasie od San Marco do Giardini di Castello, na samym końcu wyspy Cannaregio. Wracalam bez sił, unoszona przez hałaśliwe vaporetto. Hotelowe łóżko nocami pływało, kołysząc się zgodnie z rytmem krótkiej fali w basenie Świętego Marka. Wreszcie wszystko gotowe. Pokryty mydłem korytarz purgatorium wrzyna się we wnętrze pawilonu; na podłodze - utrzymywana w stanie podgorączkowym, trzydzieści siedem i jeden - spoczywa rzeźba z cementarnego lastryko; linka dla dzieci z Medalionów Nałkowskiej zatrzymuje po stronie życia te większe, nadające się do pracy; wiszący na ścianie żelazny negatyw kuchennej podłogi zieje otworem do piwnicy, która mogła służyć komuś za schronienie, ale chyba nie służyła.

86

George Soros wpada jeszcze przed otwarciem, jest moim prac¹ dawcą. Słucha komentarzy, kiwa głową, a na koniec oświadcza, że yL nie przekonałam. Polska prasa też nie jest przekonana; nie znajdi¹)1 rzucających się w oczy efektów i nie kryje rozczarowania. Polsk prasa uważa, że dzieło nie licuje z rangą pawilonu, dlatego nikt tP* żałuje, że wystawa nie wróci do Polski. Jest sprzedana do Stan jeszcze przed otwarciem biennale. A po otwarciu, po nieskończd11 długiej wernisażowej kolacji, stopy nie mieszczą mi się w pantofla'-są spuchnięte jak po blokadzie Leningradu. Prawie. Wracam na P^o saka, przeciskając się przez rozbawione weneckie uliczki.

Chcę już tylko zasnąć. Łóżko się kołysze. Woda chlupie. W <\$^o ni trzymam chłopca - marionetkę, która łypie na mnie szyderczy1 spojrzeniem. Wszystko rozumiem. - Ani mi się waż! - Chwyty3' go za nogi i walę o ścianę, o stół, o poręcz łóżka. Krzyczę: - Ty jesteś narkomanem! - Rano dzwonię do Kajki. - Uciekł z Grzn11'-cej. Wczoraj. - Nie jest zdziwiona. Nie jestem zdziwiona. Nikt jest zdziwiony. Szarpnięcie w okolicach żołądka. Zawrót głowy jedno mgnienie. Błyskawiczny czarny tunel. Odkładam spokój słuchawkę. Trzeba zaczynać od początku.

To wszystko działo się w 1993, a ja wciąż nie mogę przestać je[^] dzić do Wenecji, chociaż już się żegnam z zawodem, choć po ośm latach opieki nad pawilonem nie mam tam już nic do zrobić¹¹ Mogę tylko nadal dreptać po uliczkach, pływać terkoczącymi wajami, witać znajomych na kołyszących się pokładach, na tara- ^ kawiarni, na traktach od jednej do drugiej wystawy. Już nawet chce mi się chodzić na bankiety, już na pamięć znam jadłospis y

1 • n4Ć O-O

jęć i asortyment napojów. Utraciłam smak. Utraciłam cierphwo-ludzi. Utraciłam ciekawość.

1U

ia.

Marynia

Upał - duchota - głód. Do domu, do domu, do domu. Uważamy na zakrętach, ostrożnie wjeżdżamy do garażu, przesadnie zamykamy okna, jak mama w zaprzesłym życiu, i już lecą ciężkie krople, już na gresie balkonu wyskakują bąble wody, już ledwo żywe drzewa przyginają się do ziemi (czy Zosia nie została na ulicy w drodze ze szkoły?). Litry wody na

centymetr kwadratowy gruntu, grzmot ładuje pociemniały desktop nowym jarzeniem - tak się sprzęga natura z techniką. Burza łomocze przez kwadrans, oberwanie chmury, ozon, ozon, ozon. Trzeba przerobić tekst o Wenecji, za mało śmieszny, śmieszne już napisałam przed laty, teraz tylko smutek normalizacji. Nagle robi się zupełnie cicho i nieruchomo, choć liście na olchach nadal lekko drżą, co widać nawet przez kurtynę wodnych paciorków ułożonych do wyschnięcia na okiennej szybie.

I tak, zaplątana w zdania, nie potrafię dotknąć istoty rzeczy. Możliwe, że znów jestem w transie. Rozgościły się w moim organizmie substancje chemiczne nowej generacji. Dostają je teraz od innej pani doktor, podpowiedzianej mi przez Ewę Woydyłło, kiedy zaczęłam wymiotować przed pójściem do pracy w muzeum, o które walczyłam przez ćwierć wieku. Grażyna M., mój pierwszy anioł stróż, nie żyje od kilku lat. Lakoniczną notatkę o nabożeństwie za spokój jej duszy znalazłam w gazecie, którą łapczywie pochwycałam

88
w samolocie z Moskwy do Warszawy. Chyba w 2003 lub rok później. Na pewno był lipiec, obiecywałam sobie, że ją wreszcie zaproszę na podwieczorek w ogrodowej altanie albo nawet na obiad, który przekładałam od wiosny z powodu nawału zajęć. Byłam wyleczona, tak przynajmniej myślałam. Podczas naszego ostatniego spotkania to ja słuchałam, a ona mówiła o swoich kłopotach. I zapewniała mnie, że jako lekarka potrafi sobie pomóc. Właśnie te skwapliwe zapewnienia obudziły moją czujność, dlatego przed wyjazdem zadzwoniłam i upewniłam się, że skorzysta z mojego zaproszenia. A przecież mogłam nie odkładać tego na lipiec - myślałam podczas bezosobowego nabożeństwa na Bielanach, nie w Komorowie, gdzie od wielu lat mieszkała. Mówiło się o samobójstwie i o pochówku w nieznanym miejscu. Bez konkretów. Osoba, która uratowała mi życie, po prostu się rozwiła w nierzeczywistości. Dlatego niespodziewany nawrót choroby lecę bez zbytecznych wynurzeń na temat stanu uczuć, z nową panią doktor koncentrujemy się tylko na substancjach. Wszystko idzie ku lepszemu, wraca mi sprawność, tekst o Wenecji napisany, nie jest dobry, niestety, ale jaki ma być po utracie smaku? Poza tym jestem w transie, mam mało czasu, jutro lecę do Kassel, na kolejne Documenta, tym razem jako honorowy gość. Bilet w kieszeni, hotel czeka, wszystko opłacone przez organizatorów. Zaplanowany mam cały tydzień, przecież zaraz po Documentach otwiera się - tylko raz na dziesięć lat - słynny Sculpture Project w Munster, a stamtąd jest zaledwie jeden krok do Dusseldorfu. Hanka dzwoni, kiedy wyjmuję z pralki ulubione tenisówki. Chcę powiedzieć, że nie mam czasu, ale milknę, słysząc jej płacz. Właśnie umarła jej siostra Marynia.

Odwołuję podróż. Przepraszam organizatorów. Przystaję się spieszyć.

Na spopielenie trzeba czekać kilka dni, jest duża kolejka. Patrząc przez szybę krematorium na chowającą się w czeluściach pieca trumnę, zastanawiam się, na czym miał polegać Boży plan. Dlaczego

89

Marynia musiała umrzeć właśnie teraz, kiedy Hanka wróciła z Santiago de Compostella? Bo wróciła silniejsza, niż była jeszcze przed kilkunastoma miesiącami, kiedy odchodziła pani Zofia, jej matka, a zatem mogła przyjąć następny cios? Czy też pielgrzymka do Świętego Jakuba miała ostatecznie wyleczyć moją przyjaciółkę z choroby, na którą zapadła niemal natychmiast po styczniowym pogrzebie matki?

Wtedy, podczas tamtego pogrzebu, kiedy po pospiesznie i niechlujnie odprawionym nabożeństwie brnęliśmy za trumną w mokrym śniegu pokrywającym ogromne połacie cmentarza w Wólce Węglowej, przypomniałam sobie opowieść pani Zofii o tym, jak ona sama, ciągnąc za rękę maleńką Marynię, szła przez pokryte styczniowym śniegiem pola, żeby bezpiecznie, z dala od nacierającej Armii Czerwonej, urodzić swoje drugie dziecko, Hankę. Opowiadała to z uśmiechem, zapatrzona w tamten odległy styczeń, w swoją młodość, a my wiedzieliśmy, że zaczęła się żegnać. W grudniu postanowiła wyjść ze szpitala tylko na święta.

I została na Nowy Rok. I jeszcze na urodziny Hanki, podczas których nagle zaczęła sobie przypominać tamtą wędrowkę przez śnieg. Zatem wiadomość o jej odejściu nie była zaskakująca, przeżyła przecież Lidię, moją matkę, i Joannę, matkę Joli, mojej drugiej przyjaciółki. Nauczyliśmy się przyjmować takie wiadomości. Wiedzieliśmy też, że obie siostry ułożą sobie życie i będą się wspierać do końca, do późnej starości, bo chłopcy, czyli dwójka znacznie młodszych braci, mają swoje rodziny i swoje troski. Tuż przed wyjazdem do Wenecji siedziałam w ich mu-ranowskim mieszkaniu i wysłuchiwałam opowieści Hanki o drodze do Santiago. Jak szła przez śliskie od deszczu góry, jak się zagłębiała w kwitnące doliny, jakich pielgrzymów spotykała w schroniskach, jak smakowała hiszpańska zupa rybna. Marynia, która tej opowieści słuchała już drugi raz, przypominała Hance opuszczone fragmenty, przywoływała zapomniane detale, jakby to ona przez sześć tygodni wędrowała przez Hiszpanię. Zataiła, że ma śmiertelnie chore serce.

90

- W naszej rodzinie zawsze panowała zbyt duża dyskrecja - powiedział jej najmłodszy brat. W końcu lat sześćdziesiątych był jeszcze dzieckiem. Kiedy wpadałam na Muranów podzielić się troskami z panią Zofią, ich matką, przynosiłam mu cukierki. Teraz już dorósł i dojrzał. Wiedział, co mówi: Marynia rzeczywiście była dyskretna. Dlatego powierzono jej kolportaż rozmaitej bibuły, którą trzymała w moim mieszkaniu na Czerniakowskiej i którą - nie bacząc na elementarne zasady konspiracji - sama targała po mieście, rozwoziła pociągami po Polsce, umieszczała w bardziej lub mniej bezpiecznych kryjówkach rozrzuconych po wielu miastach. Znali ją wszyscy, choć nie znali się nawzajem i nie wiedzieli, że działa w kilku różnych grupach. A kiedy przyszedł czas plonów, kiedy wylądowała w „Gazecie” i mogła się nie martwić o jutro, poczuła się niewygodnie. Nie powiedziała, tak jak ja po swoim dyrektorskim epizodzie w Ministerstwie Kultury, że nie o to walczyła. Po prostu odeszła. Może dlatego w kaplicy białeńskiego kościoła pojawiła się zaledwie garstka bliskich osób. I nie byli to jej towarzysze z Białoleki, z Gołdapi, z gdańskiego więzienia na Kurkowej. Na kolacji w pokamedulskim domku króla fana Kazimierza, u Wojtka Drozdowicza, „proboszcza lasku białeńskiego”, zebrała się najbliższa rodzina i najbliższe przyjaciółki. Jak zwykle. Siedzieliśmy tam, jeszcze nadal oniemiała, nieumiejący znaleźć słów na to, co się stało wczesnym ranem zaledwie przed kilkoma dniami; nie potrafiliśmy wytłumaczyć sobie tego nagłego, niezapowiedzianego odejścia. Tylko Wojtek energicznie krzątał się po kuchni, jakby jego duszpasterska posługa nie kończyła się na progu kościoła, ale rozciągała na inne, rozleglejsze obszary, nawet na czynność gotowania makaronu i podawania go do stołu z taką samą prostotą, z jaką w roku 2001, na przekór narodowokatolickiej nagonce, zaproponował mi zrobienie wielkanocnej wystawy w podziemiach swego kościoła; z jaką w następnym roku najpierw dawał ślub mojej synowej Kajce i jej nowemu mężczyźnie - Januszowi, a zaraz potem, na miejscu, w przykościelnym ogrodzie, organizował

91

im wesele; i z jaką, wreszcie, udzielał Zosi, mojej wnuczce, pierwszej komunii. Grzaliśmy się więc po pogrzebie Maryni w ciepłe jego serdecznej obecności, ale nie umieliśmy odpowiedzieć na nurtujące każdego z nas pytanie o przyczynę - tak jakby śmierć dawała się zracjonalizować i objąć logicznym, przyczynowo-skutkowym rozumowaniem; jakby można było kiedykolwiek przewidzieć jej nadejście. I jakby to wszystko ułatwiało pogodzenie się z nią.

Blokada

Myśl o adresie dopadła mnie całkiem niedawno, kiedy błąkałam się po Sankt Petersburgu w poszukiwaniu rezydencji amerykańskiego konsula. Szłam na kolejne przyjęcie podczas kolejnej zawodowej wizyty w mieście, w którym bywałam wcześniej wielokrotnie, także wówczas, gdy jeszcze nazywało się Leningradem.

Pierwszy raz poleciałam tam niedługo po narodzinach Mateusza, na usilną, prośbę, a właściwie polecenie mamy: - Musisz zobaczyć Leningrad, to najpiękniejsze miasto świata! Poleciałam w trybie najzupełniej prywatnym, zaproszona przez Lenę, koleżankę koleżanki znajomej mamy. Wtedy - i tylko wtedy - zwiedziłam miasto trasą turystyczną, chłonąc informacje o Piotrze I i Katarzynie II, o pałacach i prospektach, o architektach i urbanistach. Obejrzałam zaułki Wyspy Wasylewskiej z czasów Dostojewskiego i zobaczyłam ulicę architekta Rossiego, wyglądającą jak teatralna dekoracja o fałszywej, skróconej perspektywie. Wtedy też, patrząc na rzekę, zrozumiałam Puszkiniowskie Niewy dierżawnoje tieczienije. Pamiętam wizytę na strychu zamieszkanym przez małżeństwo malarza i pianistki i śniadanie złożone ze śledzi, kotletów i kartofli, ustawione na stole, z którego - chwilę wcześniej - gospodarz zgarnął na gazetę bardzo liczną rodzinę prusaków. Pamiętam perłową barwę powietrza nad Zatoką Fińską, kiedy płynęłam wycieczkowym stateczkiem do wyzłoconego

93

cesarskiego ustronia o nazwie Pietrodworiec. Pamiętam demonstracyjną konwersację po angielsku, kiedy wchodziłyśmy z Leną do zamkniętej dla miejscowej ludności, eleganckiej restauracji Kapitanskij Czas (Kapitańska Godzina). Musiałam udawać cudzoziemkę inną niż ta, którą byłam w rzeczywistości, to znaczy niewłaściwą, przyjezdną z gubernialnego, przywiślańskiego kraju. Kurka nie ptica - Legnica nie stolica - Polska nie zagranica - zwykli mawiać w tamtych czasach przedstawiciele Północnej Grupy Wojsk Armii Czerwonej stacjonujący na „ziemiach odzyskanych”. Lena była zawodowym przewodnikiem turystycznym. Mogła mieć dodatkowe zatrudnienie jako razwiedczik, agentka, chociaż schludne ubóstwo jej jednopokojowego mieszkania raczej przeczyło takim domysłom. Kolejne wizyty następowały już po upadku muru i miały inne cele, związane przede wszystkim z poznaniem rzeczy i ludzi przedtem ukrytych, zasłoniętych przed obcymi. Oglądałam ówczesną produkcję „nowych Ruskich”, jeszcze wówczas nie milionerów, tylko po prostu artystów. Zwiedzałam ich niechlujne pracownie, zasiadałam w dyskusyjnych gremiach mających podsumować aktualny stan wiedzy o nowej rzeczywistości i zaprzyjaźniałam się z nowymi kolegami po fachu, którzy właśnie wychynęli z artystycznego podziemia radzieckiego imperium. Posłużyłam też za dyplomatyczny pas transmisyjny, bo kto, jak nie Polka, powinien pokazać Rosjanom niezależną sztukę wyzwolonych właśnie krajów bałtyckich - Litwy, Łotwy i Estonii? Jak to się więc stało, że dopiero podczas tego ostatniego pobytu, podobnego przecież do wielu poprzednich, kilkanaście lat po śmierci mamy uderzyła mnie myśl, że każdy z tych odrapanych domów, do których przez te lata wchodziłam, mógł być tym, gdzie mama z Wierą najpierw próbowały cieszyć się życiem, a potem walczyły ze śmiercią? I natychmiast gdzieś w okolicach żołądka zagnieździło się dobrze mi znane poczucie kolejnej utraty i towarzyszące mu jak syjamski brat poczucie winy, że nigdy nie zapytałam o to miejsce, o ten adres, pod którym drętwiały z zimna i puchły z głodu. Kolejny

94

grzech zaniechania. Kolejne zepchnięcie do niepamięci tego wszystkiego, co mogło dręczyć i boleć.

Aż naszedł dzień, kiedy rozpoczęłam kolejną utajoną żałobę i moja praca nagle utraciła ważność. Wtedy postanowiłam wrócić do własnej przeszłości i do przeszłości moich rodziców i wreszcie rozplatać supeł, który gnieździł mi się od dzieciństwa na obrzeżach mózgu. Rozpakowałam wszystkie pudła, pudełka i rulony, bytujące cichutko wśród innych szpargałów od dnia, gdy je przywoziłam z Legnicy po likwidacji dorobku życia mamy. Brałam do ręki stare zdjęcia, pożółkłe dyplomy ojca, stosiki listów z Kanady, pocztówki z okolicznościowymi pozdrowieniami, pisane moim charakterem pisma przez jakąś mało mi znaną arogantkę. I właśnie wtedy zobaczyłam bladoniebieską, wyblakłą kopertę ze znaczkiem za trzydzieści kopiejek zalepioną paskiem papieru z pieczętką zapewne wojskowej cenzury

oraz okrągłym stemplem poczty w Leningradzie, datowanym 12 stycznia 1942 roku - wysłaną pod adresem: Leningrad, ulica Karla Liebknechta 22/24 mieszkanie 12. Adresatka: Szerszniowa Lidia Kiryłłowna. Bez nadawcy. Znajdowały się w niej cztery listy, trzymane przez mamę do końca życia.

95

List pierwszy

10 listopada 1941

Dzień dobry miła!

Często cię wspominam. Przyjechaliśmy 10 rano. Najpierw poszedłem do kajut-kompanii, by wypełnić pustkę, która dostarcza tak wiele męki.

Dostałem dwie porcje chleba, dobrego śledzia i 3 szkl. słodkiej herbaty. Ach, z jakim apetytem jadłem. Po 6-7 godz. obiad (normalny), a za następne 6 godz. (och, jak oni często jedzą!) kolacja - kasza manna. Do wieczora byłem syty po uszy. Niepokoję się o was wszystkich, co będziecie jeść. U nas nadal cicho, z wyjątkiem drobnych, regularnych ostrzałów.

Dziękuję ci za czułość i dobroć, które tak upiękшыły moje lenin-gradzkie dni. Będę je często wspominał. To dni szczególne, niepodobne do okresu białych nocy, a przez to bardziej drogie. Pozdrów Wieroczkę i Antoniusza.

W.

Napisałem list do Sławy. Czekał na list od ciebie

List drugi

Czym mam wyjaśnić to, że nie odpowiedziałaś na mój pierwszy list? Liduś, czy go dostałaś? Podejrzewam, że nie. Dziękowałem ci w nim za opiekę i czułość, którą byłem otoczony i którą często wspominam...

Coraz częściej myślę o waszych „niewygodach życia”. Duchowo cierpię. A kiedy słyszę i widzę nad ukochanym miastem kakofonię śmierci, przeżywam to razem z wami.

Czemu do mnie nie piszesz? Czekałem na odpowiedź, tak jak się umówiliśmy, aby napisać do ciebie drugi list, ale niestety!

Napisz do mnie koniecznie wielki list, jak zdrowie, czym się żywisz (oj, boję się, że to, czym mnie częstowałaś, jest dziś luksusem).

Co dostajesz na obiad, czym karmisz Wieroczkę. Czy ona nadal marzy o samolocie?

Od Sławy nadeszła pocztówka z reprodukcją mojego plakatu. Napisałem do niego, ale również nie otrzymałem odpowiedzi.

96

Przebieram w pamięci nasze spotkania. PrzWe" ^a surowym czasie poczuć troskę i czułość- Widzieć -spojrzenie.

To kontrasty, które mną wstrząsają.

Ależ apetyt miałem, kiedy przyjechałem!

Całuję cię

W.

24 listopada 1941

Pozdrowienia dla Antoniusza i Wiery. Jak onl ZW'

List trzeci ty)

••rr^0SI'nVCh

Witaj mój przyjacielu, która swym

listem zmusić- ;. przeżyć. Widzisz, jakie poważne sprawy dzieją się na' ..to

W każdym razie jestem zachwycony twoi"1 mc* :>tą-musiało kosztować!) i rozsądkiem.

Niezale/mie ^a 0 piłaś właściwie i za to jestem ci nieskończenie wdzięcz

Ale za to, co dla mnie zrobiłaś, nie zdołałam ci się »

hyiAtfojS tyyOuyiO Jurt , WŻA" ^

Twój list tak mnie poruszył, że nie byłem ^ działania i siedziałem z założonymi rękami-
Dziękuję K1 Jod* mC niepotrzebnie się martwisz i jest mi trochę wstyd z tego ^ _ ^, i czy
mogłem ci nic podarować prócz... nieprzyjemnośc1' ją Wierocze, pozdrów ją.

97

p' I J

tiitfha. JAKA*, i <^au,ifv V» iw)aufucM, hu> ^14,- yuJr\ hCt*oK#uM.<A hfrlc.

Muz li^cief-tti tm ^u, (Ph^iihuiU^ , 1*5 A/ uf Mfn,

"l- jX2Mrrij&w ^Hj^ >^vr 7iW7rr*)Y

Dostałem od Sławy list razem z twoim. Piszesz o nim i Ludmile absolutnie słusznie. On jest
cudownym chłopcem, prawdziwym Sybirakiem, dobrym kolegą, co najważniejsze.

Tak więc wkrótce wyjeżdżasz. Boję się cokolwiek doradzać na ten temat, ale w każdym razie
musisz się trochę poprawić i odżywić. Mam do ciebie jedyną prośbę: niech to, o czym mi
pisałaś, pozostanie między nami.

W listach nie da się przekazać tego, co chciałbym powiedzieć o wrażeniu, jakie na mnie
wywarłaś. Pamiętam, kiedy czekałem w zimnym pokoju na twoje spieszne kroki.

Przychodziłaś i robiło się ciepło od twojej troskliwości i czułych słów.

Jest w tobie dużo tego, czego niedostatek widzę w wielu ludziach - dobroci, miłości do ludzi
(przez co i ja ucierpiałem tutaj niedawno) i ludzkiego do nich stosunku. Jesteś nawet gotowa
do ofiar, jeśli to konieczne. Na tle surowej rzeczywistości, zniszczenia, międzyludzkiej
nienawiści te twoje przymioty są szczególnie pociągające.

Ja żyję po staremu, służba się nie klei, mam nieprzyjemności. Ożywienie w związku z
natarciem naszych oddziałów przeżywam razem z wami.

Całuję, W.

I dla twoich

98

Gdybyśmy się spotkali, moglibyśmy porozmawiać jak należy, bo list jest tylko suchą i nic
niewyrażającą rzeczą.

Najmilsza moja, zapomniałem złożyć życzenia NAJLEPSZEGO NOWEGO ROKU!!!

List czwarty

Najlepszego Nowego Roku, Liduś, jeśli jeszcze nie wyjechałaś! Życzę ci zdrowia, przede
wszystkim. Ile ci trzeba teraz owoców, tłuszczu, chleba (Boże, chroń od otrębów), mięsa,
mleka! Życzę ci tego w obfitości, abyś była gładka, kwitnąca i pełna życia.

Niedawno wysłałem odpowiedź na twój list, który tak mnie poraził i spowodował, że od razu
doszedłem do siebie.

Wszystko, co dla mnie zrobiłaś, przeżyłem i doceniłem z wdzięcznością.

Pozdrowienia dla Wiery.

Całuję W.

31 grudnia 1941

8 września 1941 roku, w chwili rozpoczęcia blokady, Leningrad liczył ponad dwa miliony
mieszkańców. Prócz tego w okręgu objętym blokadą znalazły się dalsze trzysta czterdzieści
trzy tysiące. Wszyscy rzucili się najpierw do wybierania oszczędności, a potem do kupowania
zapasów. Wówczas wyszło na jaw, że państwowe magazyny nie nadawały się do
przechowywania żywności; rezerwowe „żelazne” racje okazały się zepsute. Kapiąca z sufitów
woda zmoczyła worki z owocowym suszem, masło pokryło się pleśnią, ryż i groch zostały
zainfekowane przez kleszcze, do worków z sucharami dobrały się szczury, a mąka w
rozdartych workach zmieszała się z kurzem i odchodami gryzoni. Siostry Szerszniowe nie
miały oczywiście żadnych oszczędności i nie były w stanie zrobić żadnych zapasów, nawet
zepsutej żywności. Akurat tego dnia pod wieczór miasto przeżyło zmasowany nalot niemiecki
i spośród ponad sześciu tysięcy bomb zapalających wiele spadło na główne magazyny
żywności w Bada-jewie. Później okazało się, że zawartość tych magazynów i tak

wystarczyłyby zaledwie na dwa dni. Okazało się też, że Leningrad nie dysponował żadnymi zapasami już latem tego roku.

Na początek wojenna administracja miasta bardzo skrupulatnie wyselekcjonowała sierocińce i szpitale. Ich mieszkańcy utracili prawo do indywidualnych kartek żywnościowych i zostali skazani na przydziały dostarczane bezpośrednio do tych instytucji; wydaje się, że konsumowali je raczej pracownicy niż podopieczni. Dobowa norma chleba wynosiła wówczas czterysta gramów dla pracowników inżynieryjno-technicznych i po dwieście gramów dla pozostałych. Już jednak w listopadzie ten niewielki przydział spadł do stu dwudziestu pięciu gramów, czyli jednej kromki chleba dziennie. Jak zawsze i wszędzie zwyciężali silniejsi i „równiejsi”. Kradzieże oraz zabójstwa mające na celu zdobycie kartek żywnościowych były na porządku dziennym. Organizowano brawurowe napady na ciężarówki z chlebem i na punkty jego sprzedaży. Kartki wrywano z rąk umierającym w kolejkach staruszkom, rabowano mieszkania zmar-

100

łych. Mniej przedsiębiorczy obywatele najpierw zjedli swą zwierzęta - psy, koty, rybki, papugi, kanarki. Polował i wrony. Zlizywali klej z tapet. Konsumowali zawartość apteczek - wazelina, gliceryna, kremy do twarzy i rąk, a rycynowy nadawały się do spożycia. Ze stolarskiego kleju i galaretkę. Pojawiły się przypadki kanibalizmu. Ich bardzo szybko, od czterdziestu trzech w grudniu 1941 r., 1 sześćdziesiąt sześć w styczniu 1942 do sześciuset sześćdziesiąt sześciu w lutym tegoż roku. To fakty zarejestrowane. Za rozstrzelano na miejscu i konfiskowano mienie.

Pierwsza wojenna zima była w Leningradzie mroźna; Już w końcu listopada temperatura spadła do minus 21 stopni. W mieszkaniach instalowano żeliwne kozy i paleniska z drewnem z parkietów, meblami, książkami, dziełami sztuki i waniami. W grudniu, kiedy zabrakło wszystkiego, miały w okowach mrozu, pokryte śniegiem do wysokości piersi, rozpleniły się szczury, które zjadały nie tylko resztki ale i osłabionych ludzi, przede wszystkim dzieci i starców. Wisiela w powietrzu. Uniknięto jej dzięki wszczęciu nieprzechodzącego na ludzi szczurzego tyfusu. Oficjalnie podają, iż w styczniu 1942 z głodu i zimna zmarło około 100 000 ludzi.

ludzi. Wówczas podniesiono dzienną rację chleba do 100 gramów (dwie kromki) dla zwykłych obywateli. Oczekiwano wychodzącą z miasta korespondencję. Już w 1941 zatrzymano dwadzieścia procent listów. Kraj nie wiedzieć, że blokada przynosi śmiertelne ofiary. Ze skłóconych korespondencji wiadomo, że miasto było całkowicie sparaliżowane, nie jeździły tramwaje, nie było światła i ogrzewania, zamknięta i kanalizacja. ludzi

Zmieniliśmy się w stado głodnych zwierząt. Na ulicy spierali się .. chwiejących się z głodu, jak po wódce, którzy padają. Przyzwyczailiśmy się do tego widoku i nie zwracamy już uwagi.

101

dziś oni, jutro my [...]. Leningrad stał się kostnicą, a ulice alejami umarłych. W piwnicy każdego domu jest magazyn zwłok, a na ulicach szeregi trupów.

Tak wyglądały zatrzymane przez cenzurę relacje z umierającego miasta. Nie wiem, co zawierały listy Lidy do tajemniczego W. Sądząc jednak z jego daremnych oczekiwań na odpowiedź, jej korespondencja musiała również trafić do zakazanych zbiorów. Ten list, który wreszcie do niego dotarł, był zapewne pełen gniewu na głupotę jego pytań o życie w mieście skazanym na zagładę.

Tymczasem NKWD poszukiwało przejawów fetyszyzmu, a w szczególności narzekania pod adresem władz. Niektóre wypowiedzi nie pozostawiały wątpliwości co do oceny sytuacji:

„Nasze kierownictwo doprowadziło naród do tego, że ludzie zaczęli zabijać i zjadać własne

dzieci, a my, durnie, siedzimy i milczymy. Musimy się podnieść, zanim umrzemy z głodu. Czas kończy z tą wojną" - pisała 29 stycznia 1942 roku gospodyni domowa Kornietowa. „Dziwię się, że w mieście nie ma jeszcze głodowych buntów. Można to tylko usprawiedliwić fizyczną słabością ludzi. Ludność utraciła zaufanie do władzy radzieckiej" - wtórował jej 10 lutego reżyser Lenfilmu, Ciechanowiecki. „Ludzie nadal umierają z głodu, a władze Leningradu nie zwracają na to uwagi. Uważają, że im więcej osób umrze, tym łatwiej będzie utrzymać tych, którzy przeżyją" - skarżyła się 23 lutego urzędniczka z Lenmostroju. Archiwa cenzury są dzisiaj dostępne. Może wśród tysięcy zatrzymanych listów da się kiedyś odszukać te, które pisała mama do ówczesnego mężczyzny jej życia, artysty, jak można sądzić. Przy tym całym horrorze w mieście działały teatry i muzea. Można było słuchać radia. W rozgłośni zbudowano specjalną konstrukcję, na której mogli się opierać aktorzy i lektorzy, by nie upaść z osłabienia podczas realizacji słuchowisk. Zapewne dostawali w nagrodę dodatkowy kawałek chleba, nie jest to jednak pewne. Aby podnieść

102

ducha w narodzie, władze postanowiły powołać radiową orkiestrę symfoniczną pod dyrekcją Karla Eliasberga, znajdującego się w drugim stadium głodowej dystrofii. Udało się skompletować tylko zespół smyczkowy; instrumentów dętych nie brano pod uwagę, ponieważ muzycy mdleli od wysiłku. Pod koniec kwietnia oddelegowano do Leningradu instrumentalistów z frontu i załatwiono całej orkiestrze gorące obiady w stołówce rady miejskiej. W czerwcu przyleciała do miasta partytura VII (Leningradzkiej) symfonii Szostakowicza, którą kompozytor zaczął pisać jeszcze w oblężonym mieście, ale zachorował, został ewakuowany i skończył ją dopiero w Swierdłowsku. Premiera odbyła się 9 sierpnia w filharmonii - transmitowano ją przez radio. Aby koncert mógł się odbywać bez przeszkód, zarządzono specjalną osłonę artylerii przeciwlotniczej. Kiedy słucham płytowego nagrania tej symfonii, próbuję sobie wyobrazić tamto mordercze prawykonanie, ale teraz, w XXI wieku, muzyka Szostakowicza jakoś mnie nie porusza, wydaje się pretensjonalna. I chyba nie przynosi tego, co się tam wydarzyło. Może jestem niemuzyczna.

Jedyna droga, którą można było dostarczać żywność do oblężonego miasta, prowadziła przez jezioro Ładoga. Z naprędce zorganizowanego portu wyruszały dwa statki dziennie, bo tylko tyloma dysponowano. Dopiero pod koniec listopada, kiedy jezioro zamrzło, puszczono po lodzie ciężarówki dowożące do miasta żywność i wywożące starannie wybranych szczęśliwców. Była to słynna „droga życia", która skończyła się w kwietniu i została wznowiona w listopadzie 1942, już po przejściu najgroźniejszej fali głodu. Ewakuacją objęto w pierwszej kolejności dzieci i kobiety z dziećmi oraz chorych, rannych i inwalidów. W drugiej - wywożono naukowców, studentów i uczniów szkół średnich, a także robotników ewakuowanych fabryk wraz z ich zakładami pracy. 19 stycznia 1943 roku udało się utworzyć wyrwę w blokadzie wzdłuż lewego brzegu Newy, poniżej jeziora Ładoga. Błyskawicznie zbudowana linia kolejowa Szlisserburg-Polana, o długości trzydziestu trzech kilometrów, połączyła miasto z lądem

103

już w lutym tego roku. Mimo że przyspieszono ewakuację, co czwarty z uratowanych umierał na skutek wygłodzenia. Tych ofiar w statystykach już nie uwzględniono.

Przeciętne rodziny, niekwalifikujące się do żadnej z uprzywilejowanych grup, zostawały w mieście i umierały. Przykładem jest rodzina dwunastoletniej Tani Sawiczewej, która prowadziła notatki

0 umarłych:

28 grudnia 1941 roku zmarła Żenia.

Babcia umarła 25 stycznia 1942.

17 marca - umarł Leka.

Wujek Wasia zmarł 13 kwietnia.

10 maja - wujek Losza, mama - 15 maja.
Sawiczewowie umarli. Umarli wszyscy.

Została tylko Tania.

Tanie znaleziono w stanie tak skrajnego wyczerpania, że mimo natychmiastowej pomocy i długotrwałego leczenia, które miało dowieść wielkości osiągnięć radzieckiej medycyny, dziewczynka zmarła dwa lata później. Według obecnych szacunków, podczas blokady śmierć głodową poniosło około miliona dwustu tysięcy ludzi, w tej liczbie uchodźcy z terenów objętych działaniami wojennymi, którzy znaleźli się w Leningradzie jeszcze przed blokadą, ale nie mieli meldunku, a zatem także kartek żywnościowych. Po przestudiowaniu dokumentów okazało się, że śmierć miliona ludzi w ogromnym stopniu obciąża partyjne dowództwo, przede wszystkim Stalina, ale

1 Żdanowa, wówczas pierwszego sekretarza partii w tym mieście. Rosyjska wikipedia podaje, że po wybuchu wojny i w pierwszych miesiącach blokady „dużo pił i jadł, a potem uprawiał ćwiczenia gimnastyczne, aby zrzucić nadwagę”.

Siostry Szerszniowe próbowały wyjechać ostatnim transportem przed zamknięciem miasta. Dopchały się do wagonu przez oszalały tłum. Znalazły jedno wolne miejsce. Mama chciała, żeby jechała

104

Wiera. Miała talent. Wiera się nie zgodziła: albo obie, albo wcale. Na wolne miejsce natychmiast wcisnęła się jejmość z dzieckiem na ręku. Zostały w głodującym mieście, rojąc o jakichś samolotach, o których wspomina w liście do mamy tajemniczy nadawca kryjący się pod literą W. Ale samoloty też odleciały bez nich.

- Nie masz pojęcia, jak szybko można zjeść wszystkie zapasy! - powiedziała kiedyś mama. Po przydział chleba stoi się w nieskończoność. Ani na chwilę nie wolno zejść z prowadzącej do piekarni ścieżki życia. Nie wolno zajmować miejsca innym; każdy stoi tylko po własną porcję, bo wszyscy są tak samo głodni. Potrzeby fizjologiczne załatwia się bez wychodzenia z kolejki. Niektórzy zamarzają, kucając z opuszczonymi gaciami. Nikt im nie pomaga, nie wolno tracić energii. I tak się jej dużo marnuje na zrzucanie z dachu zapalających bomb. Zgonów się nie zgłasza. Przecież zostaje kartka, podwójna porcja to podwójna szansa na przeżycie. Mama i Wiera odkrywają, że ci za ścianą mają co jeść; tam mieszkają „równiejsi”. Ściany w leningradzkich mieszkaniach zrobione są z gipsu wiązanego trzcina. Siostry pracowicie żłobią dziurę. Łyżkami. Nie za dużą, w rogu kuchni sąsiadującej ze spiżarnią sąsiadów. Chuda dłoń trafia na worek z kaszą. Można wyciągać po garści, żeby się nie poznali. Poznali się. Zabrali kaszę, zamurowali dziurę. To koniec. Teraz tylko śmierć. Albo z głodu, albo od kulki z nagana. W desperacji dzwonią do drzwi. Otwiera chłopiec, całkiem dobrze odżywiony. Na stole leżą ciastka. Dwa szkielety w mgnieniu oka połykają wszystko, co się nadaje do jedzenia. Chłopiec wrzeszczy. Nie da się ukryć - to jest napad. Nie wolno już wrócić do mieszkania. Może się uda koczować w akademiku? Przecież Wiera nadal jest studentką. Udało się.

Do transportu przecinającego zamarznięte jezioro trafiły spuchnięte z głodu. Potem, w punkcie sanitarnym, przeszły kwarantannę: karmienie łyżeczką, łyk po łyku rzadkiej zupy, żeby nie dostać skrętu kiszek. Trwało to kilka tygodni. Może dwa? Może trzy? Ktoś na kola-

105

cję upolował psa. Nie skorzystały z poczęstunku; zapach pieczystego wywołał wymioty. Kiedy już mogły ustać o własnych siłach, ruszyły w drogę. Do mamy, na Sybir. W trakcie tej podróży - albo jeszcze podczas wychodzenia z choroby głodowej (mama nazywała ją dystrofią) - złapały świerzb. Po maleńkim domku w Nowosybirsku, dokąd szczęśliwie dotarły, chodziły gołe, od stóp do głów wysmarowane szarą maścią. Tak je zastało NKWD, nierychliwe, ale sprawiedliwe.

Nie jestem pewna, czy mama spotkała się jeszcze kiedyś z tajemniczym nadawcą czterech listów. Pamiętam, że podczas naszej wizyty w Moskwie na przełomie 1955 i 1956 roku poszła na jakąś tajemniczą schadzkę, którą później barwnie, jak zwykle, relacjonowała. Najważniejszym punktem tej relacji było zdanie, które mu rzuciła w twarz: że wyszła za mąż za „wroga Związku Radzieckiego” i ma z nim tę oto córeczkę. Musiała więc zabrać na spotkanie moje zdjęcie. Ale nadal nie wiem, czy chodziło o artystę o imieniu zaczynającym się na W, czy o kogoś innego.

LIPIEC

Spotkanie

Mama i Wiera nie zostały wysłane daleko od domu, do jakiegoś odległego łagu w innym okręgu. W końcu mieszkały na Syberii, więc chyba łatwiej było je poddać reedukacji przez pracę na miejscu, w Nowosybirsku. Tam właśnie, daleko za Uralem, przy carskiej linii kolejowej, nad wielką rzeką spławną przez cztery do pięciu miesięcy w roku, mieścił jeden z najważniejszych ośrodków zaopatrzenia frontu i gospodarki. Do miasta liczącego w 1939 roku około czterystu tysięcy mieszkańców, ewakuowano w latach 1941-1945 dziesiątki zakładów przemysłowych, a do otaczających je łagów zwieziono dziesiątki tysięcy więźniów.

Gułag w okręgu nowosybirskim był w okresie wojny nastawiony na realizację typowo gospodarczych celów i prowadził rozgałęzioną działalność. Miał zespoły zajmujące się uprawą roli i hodowlą bydła, wyrębem lasu, budową dróg oraz linii kolejowych do transportu drewna. Kontraktował obróbkę złota. Obsługiwał cegielnię w Mariin-sku i okoliczne kopalnie węgla, a także fabrykę odzieżową w Jajsku, zakłady rybołówstwa, ośrodki produkcji trykotażu, odzieży, obuwia i wyrobów skórzanych oraz przemysł futrzarski i zakłady obróbki metalu. W końcu roku 1941 liczba osadzonych w nim więźniów wynosiła ponad pięćdziesiąt jeden tysięcy, w połowie następnego było ich już prawie siedemdziesiąt osiem, w tym ponad szesnaście tysięcy

107

kobiet. Między innymi w „Jajskiej” szwalni odbywały wyroki dwie córki rozstrzelanego marszałka Tuchaczewskiego: Maria Nikołajewa Tuchaczewskaja-Władimimrowa i Olga Nikołajewna Gejman-Tucha-czewskaja*. Potem liczba ta systematycznie malała; w styczniu 1943 roku wynosiła już „tylko” około trzydziestu tysięcy. Część więźniów przeniesiono na tak zwane osiedlenie, część wysłano na front. Jak w większości gułagów.

Na terenie Sibłagu w miejscowości Kemerowo mieści się obecnie Muzeum Historii Więziennictwa, skąd nieoceniony Tomasz Kizny przywiózł mi kopie archiwalnych zdjęć „Jajskiej” szwalni i sfo-
tografował używaną wówczas maszynę do szycia, stanowiącą dziś muzealny eksponat. „Samo muzeum jest kuriozalne - pisze Kizny - założył je emerytowany pułkownik więziennictwa, z wykształcenia historyk, Siegiej Grigorijewicz Marczenko. Muzeum ma siedzibę w kompleksie budynków Zarządu Głównego Federalnej Służby Więziennictwa Obwodu Kemerowskiego, gdzie wejść można tylko za okazaniem przepustki. Dyrektor, jak na oberklawisza, okazał się człowiekiem miłym w obyciu”. To on uzyskał „notatkę archiwalną”, dotyczącą pobytu moich rodziców w Sibłagu.

* Wiadomość uzyskana od Tomasza Kiznego.

108

Wynika z niej, że mama i Wiera najpierw trafiły do więzienia numer 1, cokolwiek to mogło znaczyć. Dopiero po rozprawie, kiedy otrzymały wyrok z artykułu 167 p. 2., zapewne za kradzież z włamaniem - czyn o niewielkiej szkodliwości społecznej, gdyż nie miał charakteru politycznego - zostały skierowane do szwalni w Sibłagu. Przybyły tam 27 grudnia 1942 roku. Nie wiadomo, jak mamie udało się przekonać władze krawieckiego kombinatu, że jej siostra też coś potrafi. Naprawdę potrafiła tylko śpiewać, ale i to pomogło w uzyskaniu złagodzonego

rygoru. W przerwach między ariami z Eugeniusza Oniegina, Pikowej damy, Aidy i Traviaty zajmowała się sprzątaniami. Nie nauczyła się ukrywania uczuć. Kiedy jeden z enkawudzystów splunął na świeżo umytą podłogę, nie wytrzymała: - I ta-a-a-ki e-e-ele-e-ement m-a-a-a m-m-nie re-e-e-dukować! - wykrzykiwała, przemagając jąkanie. Wszyscy najpierw zamarli, a potem skulili się w tłumionym śmiechu. Na szczęście Wiera nie umiała porządnie kląć; charakteryzowała ją dziecinna naiwność, po prostu dziwiła się światu. Cecha ta miała się rozwinąć w chorobę dopiero później. W tamtym momencie jej wytrzeszczone niebieskie oczy i autentyczne oburzenie jakoś podziały. Enkawudzista wyszedł, trzaskając drzwiami. Mama szyła. Najpierw mundury, potem sukienki dla żon enkawudzystów. Była zdolna, miała wyobraźnię i dobry gust. Potrafiła więcej od innych. Zaczęła się sprawdzać jej dewiza, że inteligentny

109

człowiek potrafi się wszystkiego nauczyć. Oraz że myśleć trzeba nawet przy zamiataniu podłogi. Miała mnóstwo patentów, w tym także patent na krojenie chleba. Jej innowacyjność, jeśli można się posłużyć tym dzisiejszym pojęciem, okazała się pożyteczna. To także wpłynęło na złagodzenie rygoru. Mogła się swobodnie poruszać po całym zakładzie, bywała w budynkach komendantury, gdzie odbywały się przymiarki szyfonowych sukienek upinanych na tłustych zadkach oficerskich żon i gdzie można było dostać coś do jedzenia, przede wszystkim dla Wiery, oczywiście. Mama nigdy nie wyzbyła się wyniesionego z dzieciństwa nawyku opieki nad młodszą siostrą.

Latryna była koedukacyjna. Któregoś dnia mama stała pod jej zamkniętymi drzwiami, przestępując z nogi na nogę. Zniecierpliwienie rosło. Co za egoizm! Czy tak trudno zrozumieć, że inni też mają potrzeby? Zapukała. Brak odpowiedzi. Zapukała drugi raz. To już zwyczajne chamstwo! Zaczęła łomotać. Wreszcie drzwi się otworzyły.

Od razu było widać, że z latryny wyszedł cudzoziemiec. Po pierwsze, przeprosił, co samo w sobie było nie do pomyślenia. Poza tym był wyjątkowo elegancko ubrany, zupełnie nie jak zek. No i nie

znał języka. Przeprosiny wymamrotał jakoś twardo i zabawnie. Powiedział: - Izwinicie. - I rozłożył ręce w geście bezradności. Mamie zaparło dech. Zapomniała o złości. Stała przy tej latrynie, jakby jej nogi wrosły w ziemię. A cudzoziemiec uśmiechał się przepaszająco i wskazywał dłonią, że już może skorzystać, proszę bardzo. To był mój ojciec.

O ile rozumiem, co ujęło mamę przy spotkaniu z ojcem, bo widywałam go później w akcjach czarowania kobiet galicyjskim całowaniem rączek i szarmanckim obejściem, o tyle trudno mi zgadnąć, co takiego mogło ojcu spodobać się wtedy w mamie. Obóz nie sprzyjał nabieraniu wagi, była nadal przeraźliwie chuda, przez co jej twarz wydawała się jeszcze bardziej pociągła, a nos dłuższy, niż był w rzeczywistości. Miała krzywy zgryz, wypychający do przodu górną wargę i zniekształcający jej rysunek, oraz niezwykle jasne, bla-doniebieskie oczy pod ciemnymi, mocno zarysowanymi brwiami. A jednak zaiskrzyło. Na chemię nie ma lekarstwa. Podczas długiej syberyjskiej zimy, w łagrze, w środku morderczej wojny, chce się żyć bardziej niż kiedykolwiek i gdziekolwiek. Tak mi powiedziała pod koniec swego życia. Tak mówi psychologia. Tak nakazuje biologia.

Lakoniczny dokument uzyskany dla mnie przez Tomasza Kiz-nego podczas jego pobytu na Syberii pozwala mi wreszcie ustalić z grubsza dzieje uwięzienia ojca. Okazuje się, że został zatrzymany już 15 października 1939 roku i przesiedział zapewne w lwowskim więzieniu do zakończenia procesu. Trzyletni wyrok (z paragrafu kryminalnego) otrzymał 30 czerwca 1940 roku. Dopiero wówczas skierowano go do Kandałakszy. Wiadomo, że ewakuacja tego łagru odbyła się w lipcu 1941 roku. Można zatem sądzić, że tata trafił do Nowosybirsk latem lub jesienią tego samego roku. Na miejscu został skierowany do więzienia numer 2, gdzie przesiedział do 25 września 1942 roku. Dopiero wówczas, trzy tygodnie przed zakończeniem

zasądzonego wyroku, został skierowany do szwalni Sibłagu i przepracował tam dodatkowo jeszcze kilka miesięcy, dokładnie do

111

6 marca 1943 roku, kiedy wreszcie został zwolniony i skierowany na przymusowe osiedlenie. Możliwe, że tylko dzięki temu spotkał mamę. Mogli się nie poznać, gdyby go wypuszczono w terminie, chociaż oboje pozostali „na posadach” w kombinacie już po wyjściu „na wolność”. Ojciec pracował w dziale kroju. Stały tam długie i szerokie komody do składowania bel wojskowego sukna. Przykryte wyszlizganymi blatami stanowiły jego, mistrza krojczego, warsztat pracy. Najpierw kreślił formy, zapewne na kartonie, bo papier gazetowy służył do robienia skrętów, potem przenosił je na sukno za pomocą kredy lub wysuszonego, odpowiednio przyciętego kawałka mydła. Wreszcie, trzymając w swych kościstych palcach ogromne nożyce, wykrawał jednocześnie kilka warstw materiału. Zapewne wyrabiał normy (co należało w łagrach do rzadkości). Nie umiał fuserować, żadna tufta nie wchodziła w grę. Można to nazwać etosem pracy albo syndromem perfekcjonisty. Niestety, odziedziczyłam po nim tę cechę.

Ważne wydaje się, że już wówczas ojciec nie pracował jako niewolnik, chociaż wolność polegała wyłącznie na tym, że nie mieszkał w zamkniętej i strzeżonej zonie oraz że za swoją pracę otrzymywał zapłatę. Otóż miękkie bele sukna, zamykane w obszernych komodach działu kroju, okazały się wymarzoną miłąsą. Moi rodzice kryli się w tych komodach jak dzieci podczas gry w chowanego i czekali na zamknięcie szwalni. Noc była ich. Obliczyłam, że apogeum tych uniesień przypadło na letnie miesiące roku 1943. Mama zaszła w ciążę w lipcu. Urodziłam się w kwietniu następnego roku.

Obie siostry zostały zwolnione 11 marca 1943. Babka Afanasja czekała na nie razem z wilczycą Bejbi, tą samą, która jako szczeniak pozowała z mamą do zdjęcia wiosną 1940 roku, a później pilnowała mnie, śpiącej w przydomowym ogródku, nie pozwalając zbliżyć się nikomu obcemu.

112

Czekały w pustym, drewnianym domku przy ulicy Sowieckiej 46. Domek był parterowy, wewnątrz otynkowany i pobielony. Składał się z niewielkiej kuchni i trzech pokoi. W największym, przechodnim, stał ruski piec ogrzewający dwa pozostałe - jeden przylegający do dużego pokoju, drugi do kuchni. Nie było wodociągu ani kanalizacji. Nieogrzewana sień służyła przez całą zimę jako spiżarnia. Można było w niej trzymać zamrożone na kość mięso i mleko, jeśli udało się je zdobyć, co graniczyło z cudem. Ten cud zdarzał się niekiedy za sprawą oficerskich żon, które zagustowały w stylu krawiectwa mojej mamy. Ich mężowie ślali na Sybir rabowane w podbitych krajach kupony wytwornych tkanin, a mama przerabiała te krepdeszyny i krep-satyny na fasony podpatrzone w żurnalach pochodzących z tego samego źródła. Nie żeby zaraz dostawała w zamian mięso. Ale kaszę, czasem słoninę i mleko. Raz dostała jabłko, podobno przywiezione z Ałma Aty, ogromne i soczyste. Wielokrotnie opowiadała, jak mnie nim karmiła. Istotnie, utuczyła mnie ponad miarę, już w brzuchu. W chwili przyjścia na świat ważyłam cztery i pół kilograma.

113

Babka wystawała pod szpitalnym oknem, aż mama zawołała z góry: - Dziewucha, w dodatku ruda! - Mama chciała chłopca. Babka ucięła te narzekania kategorycznym: - Byle była zdrowa. - Potem w tajemnicy przed wszystkimi dźwigała mnie o zmierzchu ze swą starszą siostrą Anną do znajomego popa. Komunizm czy nie komunizm, a dziecko należało ochrzcić. Mama jednak uważała, że chrzest nie zastąpi witamin. Braki w zaopatrzeniu nadrabiała karmiąc mnie piersią, przez co nadal była dramatycznie chuda. Ale szczęśliwa. Widać to na fotografii (chyba) z okazji ślubu, który odbył się dopiero w lipcu 1945. Na innym zdjęciu, zrobionym na podwórku domu przy ulicy Sowieckiej, od wszystkich bije radość. Uśmiecha się ojciec, uśmiecha mama w swetrze podartym na łokciu, uśmiecha się Wiera,

uśmiecha jakąś przygodna sąsiadka. Uśmiecha się nawet moja surowa babka Afanasja. Wyglądają na szczęśliwych. Skończyła się wojna. Przeżyli i byli wolni.

114

Ta wolność okazała się oczywiście bardzo względna. Ojciec, który zamieszkał z całą rodziną Szerszniowów, nadal chodził codziennie do kombinatu i starał się o zgodę na powrót do Polski. Droga do rajy prowadziła nie tylko przez szyte dla funkcjonariuszy „na miarę” garnitury z angielskiej gabardyny i bielskiego tenisa, ale i przez Związek Patriotów Polskich. Domyślałam się, że kontakt z organizacją Wandy Wasilewskiej nawiązała dla ojca moja przedsiębiorcza mama za pośrednictwem swojej koleżanki Anny, żony jednego z aktywistów Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy - Adriana H. Był on chyba bardzo oddany sprawie, skoro nie podzielił losu Aleksandra Wata i wielu jemu podobnych, szukających ocalenia we Lwowie. I skoro nie podzielił losu mego ojca. W Nowosybirsku znalazł się nie jako więzień, lecz jako działacz „na tyłach”. W roku 1942 Anna urodziła mu syna Romana. Musieli go zabrać ze sobą, kiedy przyszli z wizytą do domu mojej babki, bo potem wielokrotnie powtarzał, że zna mnie od urodzenia.

Legitymację ZPP wydano ojcu w lutym 1945. Wtedy zaczęły się problemy mamy ze ślubem. Ślub z cudzoziemcem oznaczał wyjazd

115

z kraju i utratę obywatelstwa na zawsze. Uświadomił to mamie dyżurny oficer NKWD, który zaczął od zawstydzania jej, że zdradza ojczyznę z jakimś zagranicznym burżujem i w dodatku wrogiem ZSRR, podczas gdy radzieccy chłopcy wracają z frontu spragnieni kobiecych uczuć. Najpierw zaczęła w desperacji wykrzykiwać, że władza radziecka nie będzie jej dyktować, z kim ma sypiać! Potem zgodziła się na utratę wszystkiego, co było jej bliskie. Prócz mnie i mego ojca. Wzięli ślub. Wystawiono mi legalną metrykę. Wszyscy mieliśmy to samo nazwisko, ale nie wszyscy byliśmy polskimi obywatelami. Nie tylko Boże młyny wolno miały.

Akurat powrócił z frontu Jura, brat mojej mamy. Wszedł do małego domku i usiadł matce na kolanach, jak wówczas, kiedy wyjeżdżał na front. Trwali tak przez jakiś czas, próbując obudzić w sobie tę bliskość sprzed czterech lat, kiedy osiemnastoletni beniaminek rodziny wyruszał na wojnę. Teraz Jura miał dwadzieścia dwa lata

116

i był oficerem. Nosił przypięte do munduru medale, a w płucach odłamek bomby, która wybuchła gdzieś obok niego podczas walk w Środkowej Europie. Kontuzja nie pozwoliła mu dojść do Berlina, ale wiedział, jak wygląda Polska, bo zachowały się jego zdjęcia wysyłane matce z okolic Sandomierza, potem z Lublina. Mimo to oburzył go karygodny postępek siostry. W przeciwieństwie do reszty rodziny, Jura był skończonym produktem sowieckiej indoktrynacji. Nie godził się na to, by jego siostra została zdrajczynią ojczyzny. Tak się wyraził: zdrajczyni ojczyzny. Użył dokładnie tych samych słów, co dyżurny enkawudzista. Jak na złość, właśnie wtedy zdarzył się wypadek z maszynką.

Spiralna maszynka elektryczna służyła do podgrzewania wody na herbatę i mleka, jeśli było. Ze względu na krótki sznur, stała na parapecie, w pobliżu kontaktu. Miałam półtora roku i mimo nadwagi byłam ciekawa świata. Ktoś zapomniał wyjąć wtyczkę z kontaktu, ktoś spuścił mnie z oka. Niepostrzeżenie podeszłam do okna i chcąc się wspiać na parapet, złapałam za szur. Rozgrzana do czerwoności maszynka poleciała mi na brzuch, wypalając na nim spiralny rysunek. Potem wszystko działo się w mgnieniu oka: mama z babką najpierw próbowały oderwać maszynkę od mojej skóry, a następnie usunąć wprasowane w nią kawałki mojej dziecięcej koszulki. Wyłam nieludzko, zsiniała z bólu. Moja przedsiębiorcza mama postawiła na nogi całą okolicę, aby uzyskać fachową lekarską pomoc. A kiedy już było po wszystkim, kiedy wreszcie spałam z brzuchem wysmarowanym odpowiednimi substancjami, rozegrał się akt drugi.

Ojciec, który wrócił z kombinatu i ruszył w moim kierunku, żeby dać córeczce buzi, najpierw stanął jak wryty, a potem zbiegł i rzucił się na mamę, zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić. Wtedy poczuł przy skroni lufę pistoletu. Nie wyglądało na to, że Jura żartuje. Miał zdeterminowany wyraz twarzy, charakteryzujący się zaciśnięciem szczęk, zmarszczeniem brwi i zmrużeniem oczu. Jak aktor z klasycznego wojennego filmu o radzieckim oficerze. Nie można powiedzieć,

117

że zapanowała cisza jak w kinie, ponieważ właśnie się obudziłam i zaczęłam wrzeszczeć wniebogłosy, ale sekwencja filmowa trwała w najlepsze. Wiera zamarła z przerażenia, hipnotyzując brata siłą swych wytrzeszczonych oczu, podczas gdy babka Afanasja podsuwała się do niego maleńkimi kroczkami, prawie niedostrzegalnie, a potem wolniutko, wolniuteńko skierowała w dół uzbrojoną dłoń. Nastąpił happy end. Znow wszyscy przeżyli. Blizna na moim brzuchu utraciła z biegiem lat kształt spirali, ale jej środek nadal przypomina ściętą białko, zwłaszcza gdy się opalę.

Repatriacja

Wyjechali wczesną wiosną 1946. Niewielki dobytek spakowali do drewnianej skrzyni, bagaż podręczny umieścili w eleganckiej walizce z karelskiej brzozy o złocistym połysku, wywiezionej, jak się zdaje, jeszcze z Leningradu. Przeprowadzałam się z nią potem do kolejnych mieszkań, aż z giętej obręczy wypadła pokrywa o zaokrąglonych brzegach, i w końcu oddałam ją memu wnukowi Cyrylowi jako rodzinną pamiątkę.

Podróż trwała dwa miesiące. Po przekroczeniu świeżo wytyczonej granicy z Polską transport skierowano na Ziemię Odzyskane. Jechali przez piękne bukowe lasy, czasem pociąg zatrzymywał się w pobliżu jezior, gdzie mogli się umyć i rozprostować kości. Na jednym z takich popasów zostali ostrzelani. Mama nie rozumiała dlaczego, przecież było po wojnie. - Niczego nie ukradli, więc czemu chcieli zabić? - Jeszcze po wielu latach nie umiała ukryć goryczy. Nad jednym z jezior, w pospiesznie wykopanym, płytkim grobie, zostawili towarzysza podróży o imieniu Broniek, który za daleko wypłynął (a może zapuścił się w las) i nie zdążył w porę wrócić pod osłonę konwoju. Gdzie indziej przy torach stała elegancka młodzież: ładnie ubrane panny w kapelusikach i chłopcy w sportowych marynarkach rzucali w pociąg kamieniami. Mama pytająco patrzyła na ojca, ojciec wzruszał ramionami.

119

Milczał albo obiecywał, że kiedyś jej to wytłumaczy. Tak dojechali do końca trasy i końca Polski.

Pociąg stanął w Świnoujściu, a właściwie na przedmieściach, bo dworce, razem z resztą miasta i portu, zostały zbombardowane w pierwszych dniach maja 1945 przez torujących drogę Stalinowi aliantów. Było to miasto sporne, najpierw przyznane Niemcom, a dopiero po długich pertraktacjach przekazane Polsce. Na razie tylko w zarząd administracyjny, sprawowany pospołu z Armią Czerwoną, która zajęła najbardziej eleganckie i najlepiej zachowane dzielnice.

Zżyci podczas długiej podróży przybysze ze Wschodu zdołali w miarę szybko znaleźć ocalałe mieszkania, niekiedy jeszcze nietknięte przez szabrowników. Wchodzili do wysokich pokojów umeblowanych ciężkimi szafami, masywnymi fotelami i stołami na grubych nogach; do obcego zapachu kuchni z kredensami wypełnionymi stołową porcelaną i fajansowymi pojemnikami z nadrukowanymi szwabachą napisami: Nelken, Pfeffer, Zucker, Mehl i Salz; do łazienek ze stojącymi na wygiętych nóżkach, głębokimi wannami i z miedzianymi kotłami na gorącą wodę. Ozdobne kaflowe piece wyglądały tak, jakby zachowały ciepło, przy którym grzali się tuż przed wysiedleniem dawni lokatorzy. Wszystkie te szczegóły poznałam później z autopsji w Legnicy, kiedy mama po raz kolejny zaczynała nowe życie.

Niewiele wiem o warunkach, w jakich mieszkaliśmy po przybyciu do słynnego kurortu.

Wiem natomiast, że po rozłożeniu przywiezionego dobyteku i skompletowaniu podstawowego

umeblowania ojciec wyruszył w rodzinne strony. Zapewne wiedział już o gettach i o Auschwitz, o krematoriach i liczbie sześciu milionów pomordowanych, ponieważ radziecka propaganda dokładała starań, by świat, zwłaszcza świat Gułagu, dowiedział się o tych zbrodniach i żeby można w nie było winkrustować tajemnice katyńskiego lasu.

Do Nowego Sącza dotarł już w czerwcu. Mówi o tym znaleziona jakimś cudem w Żydowskim Instytucie Historycznym i podpisana

120

przez niego karta ewidencyjna. Zapewne dopiero wtedy, na miejscu, poznał prawdę o losach swojej matki Rozalii, swej siostry Mani, a także o losach innych bliskich mu osób. Przez następne lata, w zasadzie przez całe dalsze życie, nie chciał albo nie znalazł okazji, by mi o nich opowiedzieć. W naszym domu nie zachował się żaden ślad mówiący o ich istnieniu, prócz zrobionych w czasie obowiązkowej rejestracji w roku 1939 albo na początku 1940 małych fotografii utrwalających wygląd czterech kobiet, spośród których umiałam rozpoznać tylko dwie: moją babkę i moją ciotkę. Ale dla historii

nawet one pozostały tak samo anonimowe jak miliony innych - bez pozycji, majątku, przyjaciół po aryjskiej stronie. Babka wychowała się w czasach austriackich, mogła źle mówić po polsku, a Mania nie umiała jej porzucić i szukać ratunku w pojedynkę. Okazało się jednak, że nie wszyscy z rodziny zginęli. Ocalał na przykład najbliższy kuzyn ojca Kazek Brandel. Sfotografowali się w trójkę: ojciec, Kazek i jego przyjaciel, a może ich wspólny przyjaciel. Ojciec wysłał to zdjęcie mamie do Świnoujścia z informacją

121

na odwrocie, że kuzyna zaznaczył krzyżykiem. Nie wiem, co mama z tego zrozumiała, bo przecież nie znała ani słowa po polsku. Inne zdjęcie pokazuje ojca razem z Kazkiem i kimś trzecim, kogo nie poznałam. Trzech starannie ubranych, młodych mężczyzn siedzi sztywno, ze wzrokiem utkwionym w obiektyw. Jak to u fotografa. Zamówili odbitki w formie pocztówkowym, zapewne na wieczną rzeczy pamiątkę. Potem, a może przedtem odwiedzili splantowany cmentarz, na którym dopiero co stanął nagrobek Geni Brandel, siostry Kazka, i zrobili sobie kolejne zdjęcie, jak stoją w trójkę nad tym samotnym pomnikiem utraconego życia. W drodze na cmentarz przystanęli na moście i tam też się sfotografowali, z ruinami w tle.

123

Jeszcze później albo jeszcze wcześniej ojciec jakimś sposobem - jakim? - zdobył zdjęcia swoich bliskich. Może zachowały się w archiwum getta? Może w archiwum miejskim? Albo może wcale ich nie zdobył, tylko miał przy sobie przez wszystkie wojenne lata? Cztery małe fotografie do legitymacji. Ze zdjęcia matki kazał zrobić odbitki, mam ich kilka, ale wszystkie są pozbawione opisu

124

na odwrocie, jakim opatrzona jest fotografia jego siostry Mani, a także Lei Rottenberg i Tauby Amster (których nie umiałam zidentyfikować). Zabrakło oryginału, na którym zanotowana była zapewne data urodzenia i adres zamieszkania - już wówczas chyba w getcie - mojej babki Rozalii. Mógł nad tymi zdjęciami zapłakać. Mógł sobie wyrzucać, że kobiety z rodziny pozostawił w Biczycach na pastwę Niemców, a sam wyjechał. Mógł też wyobrazić sobie, jak szuka schronienia, jak błąka się po lasach i nie umie poprosić o pomoc. Bo nie umiał. - Nie pchaj się, gdzie cię nie proszą - powtarzał mi często. Nie umiał ani prosić, ani zdejmować czapki i kłaniać się Niemcom. Nie przeżyłby, gdyby został. Chyba to wiedział. Poszedł też do Biczyc, ale nie wiem, co tam zastał. W roku 1939 na trzydzieści sześć zarejestrowanych w tej wsi gospodarstw dwadzieścia dwa należały do Niemców, osiem do Polaków i sześć do Żydów. Oczywiście, rodzin było więcej; na niektórych polskich i żydowskich posesjach stało po kilka domów, w których gnieździł się najbiedniejszy. Podczas okupacji wszystkie żydowskie gospodarstwa przeszły na własność III Rzeszy, która

przekazywała je „osobom zasłużonym”: Niemcom, folksdojczom i kolaborantom. Oni z kolei już na początku 1945 roku zaczęli pospiesznie wyjeżdżać, porzucając nie tylko nieruchomości pożydowskie, ale i swoje własne. Zarówno więc miejscowi, jak i przybysze mieli w roku 1946 do dyspozycji znacznie lepsze posesje i porządniejsze gospodarstwa niż biedny domek mojej babki. Kiedy więc ojciec zawitał do Biczyc, ten dom mógł stać pusty. Albo schronił się w nim kolega, może z wojska, może od wędkowania? Zaproponował uczciwie, że go odkupi, bo już się zasiedział i jest mu dobrze. Wyobrażam sobie, że ojciec raczej nie chciał tam wracać, skoro jeszcze przed wojną wyszedł stamtąd do miasta. Dlatego zgodził się na sprzedaż. Nabywca zapłacił przyzwoicie, zgodnie z ceną rynkową. Było z czym wracać do żony i dziecka.

Tymczasem pozostawiona w Świnoujściu mama jakoś sobie poradziła. Mimo nieznamości języka zdobyła świetną poniemiecką

125

maszynę do szycia marki Singer i, oczywiście, natychmiast znalazła klientki. Nie zawsze płaciły pieniędzmi, częściej wymieniały krawieckie usługi na towar z szabru. W ten sposób weszliśmy w posiadanie kompletnego serwisu do herbaty z karbowanej berlińskiej porcelany ozdobionej kobaltowym wzorem, a także rodowych sreber jakiegoś grafa. Był to najbogatszy zestaw sztuców, jaki zdarzyło mi się zobaczyć. Zawierał trzy ażurowe łopatkki do ciast i tortów, każdą w innym kształcie, pokryte zdobieniami noże do ryb, zakończone pazurkami widelczyki do krabów, pozlacane łyżki i łyżeczki o wyszukany kształcie, wreszcie noże i widelce o herbowych trzonkach, przeznaczone do zwykłego posiłku. Mama skorzystała z tej okazji. Musiała być jedyną krawcową w okolicy, skoro udało jej się wejść w posiadanie tego kompletu. Przestała mnie wreszcie karmić piersią i od tej pory błyskawicznie przybierała na wadze. Zaczęła się czesać w jakieś rulony nad czołem i nosić buty na korku. Ojciec nie wierzył własnym oczom, kiedy stanął na progu mieszkania. Jedyne, czym mógł mamie zaimponować, to pieniądze za dom, które z namaszczeniem rozłożył na stole.

Następnego dnia poszedł zobaczyć, co słychać w Świnoujściu. Zaniósł go na bazar, gdzie kwitł handel wymienny, znacznie łatwiejszy niż kupowanie i sprzedawanie za gotówkę. Chyba że się nie miało nic na wymianę. Wówczas należało wyciągnąć pieniądze. Ojciec je wyciągnął, może na zabawkę dla córeczki, może na co innego. Wtedy został zachęcony do pomnożenia posiadanej kwoty w najłatwiejszy z możliwych sposobów. Trzeba tylko obstarwić jedną z trzech kart. Karty kładziemy na stoliku i trzy razy przekładamy. Raz, dwa trzy. Proste? Proste. To gdzie jest ta karta, którą szanowny pan wybrał? Ta? A nie. To ta druga. Trzeba patrzeć uważniej. Powtarzamy? Poszło błyskawicznie. Kiedy wrócił do domu, zdołał tylko wykrztusić: - Przegrałem wszystko. - I się rozpłakał.

Oswajanie nieobecnych

Najpierw rozkładałam zdjęcia ze skąpego archiwum ojca, które już wcześniej wyrwałam z albumu. Przyglądam się twarzom, spośród których tylko twarz Kazka jest mi dobrze znana. Pozostałe oswajam, tak jak oswajałam rosyjską rodzinę mamy. Używam lupy, żeby odcyfrować jakieś wyblakłe resztki napisów na rewersach. Ale to za mało. Te twarze zastygły dopiero po wybuchu wojny, przyłapanie zniemacka w trakcie przeprowadzki do getta albo już tam na nowym miejscu. W archiwum ojca nie pozostał żaden ślad wcześniejszego życia. Czas przedwojenny jest pozbawiony wyglądu, zionie pustką jak cmentarz w Nowym Sączu. Nie wiem, jak mam nawiązać łączność z tymi zapomnianymi krewnymi. Nagle przestają mi wystarczać domysły na temat małżeństwa babki i legendy o jakiejś narzeczonej zawiezionej do Budapesztu. Dostaję poczucia winy.

Znajomi radzą, żebym zaczęła od ŻIH-u. Wchodzę więc do ciasnych pokoików wypełnionych starymi papierami, wyjaśniam życzliwej obsłudze, że szukam śladu kogokolwiek, jakiegoś punktu zaczepienia, cieniutkiej nici, która mnie zwiąże z przeszłością. Ale ŻIH rejestruje tylko tych, którzy przeżyli. Tych drugich, co zniknęli, jest zbyt wielu, zajmuje się nimi Yad

Vashem w Izraelu. Tutaj, w Warszawie, dostaję indeksy, które otwierają dostęp do wnętrza zakurzonych rejestrów Centralnego Komitetu Żydów Polskich. Ze

127

sfatygowanych segregatorów wyciągam kartę ojca, kartę mego wuja Kazka Brandla i jego siostry Heli, jakbym wydobywała z zaświatów czerwony dzień 1946 roku, kiedy przyszli do sądeckiego biura i powiedzieli: - Żyjemy.

Wypełnione kaligraficznym pismem kartonowe świadectwa odsłaniają przede mną trochę faktów i wiele zagadek. Zgadza się tylko dane taty. Ale też nie do końca. Syn Józefa i Rozalii z domu Rottenberg. Rozalia z Rottenbergów? A jak się nazywał Józef? I czy przypadkiem moja wcześniejsza supozycja o samotnym chowaniu dzieci nie była uzasadniona aż nadto? Dowiaduję się czegoś jeszcze. Że były Bicyce Polskie i Bicyce Niemieckie, a nie po prostu Bicyce, o których słyszałam całe życie, oraz że tata urodził się w Niemieckich. Że przed wojną mieszkał w Nowym Sączu przy Lwowskiej pod numerem 30 lub 31 (plama atramentu nie pozwala na jednoznaczne odczytanie). Że uciekł do Rosji w 1939, co już wiedziałam, i został skazany na trzy i pół roku więzienia za nielegalne przekroczenie granicy, a nie za żadne szpiegostwo (choć mógł po prostu tak napisać w karcie, żeby było prościej, albo zmieniono mu kwalifikację w trakcie odbywania wyroku*). Jeśli siedział w więzieniu, a nie w barakach na terenie kombinatu, to do szwalni maszerował pod eskortą albo był dowożony. A więc słusznie przypuszczałam, że zamknęli się z mamą na noc, kiedy już przebywał „na osiedleniu”.

Z kartoteki wyłaniają się nie tylko Brandlowie, ale także Buch-binderowie, o których nigdy nie słyszałam. Jak to się dzieje, że dwoje z czwórki rodzeństwa: Kazek i Genia, nazywają się Brandel, a dwoje pozostałych: Hela i Mozes, noszą nazwisko Buchbinder? Zaczynam snuć domysły, że może ich matka Sara miała dwóch mężów i obaj mieli na imię Izaak, ale jeden nazywał się Brandel, a drugi Buchbinder, i z każdym miała po dwoje dzieci. Dobrze mi idzie do chwili,

* Formalnie wyrok opiewał na trzy lata. Ojciec podał w ankiecie faktyczny czas uwięzienia, kiedy zestawiam daty urodzenia całej czwórki. Najstarszy (urodzony w 1911) jest Mozes, najmłodsza Hela (1919), i to oni właśnie tworzą parę Buchbinderów, pozostawiając to drugie nazwisko środkowemu rodzeństwu: Geni (1913) i Kazkowi (1916). Pierwsza teoria upada, ale pojawia się następna, taka, że dzieci używały na przemian nazwiska ojca i panińskiego nazwiska matki, co - jak się niedawno dowiedziałam - było w żydowskich rodzinach na porządku dziennym. Sara jednak nazywała się z domu Rottenberg, dlatego się nią zainteresowałam. Postanawiam przyjąć dla nich wszystkich wersję roboczą: Brandel-Buchbinder i pochylić się nad innymi zagadkami. Nie wiem na przykład, dlaczego nigdy nie słyszałam o Mozesie, choć osobiście znałam jego brata Kazka, wielokrotnie oglądałam fotografię nagrobka jego siostry Geni i słyszałam legendy o drugiej siostrze - Heli, która wyjechała do Kanady. Przyjmuję, że Mozes także wyjechał i ślad po nim zaginął. Na szczęście karty ewidencyjne kryją też miłe niespodzianki, w rubryce „krewni za granicą” powtarza się bowiem tajemnicza ciotka Helena Leitman z Budapesztu. Zaczynam z nadzieją myśleć, że może to owa legendarna narzeczona z opowiadań szwajcarskich kuzynek. Pojawia się też następne, nieznane mi nazwisko: Lampel, które łączy matkę Brandlów, Sarę Rottenberg, z Netą, matką Olka z Kudowy, innego kuzyna mego ojca. Jak łączy? W głowie mam zamęt od tych nowych imion i nazwisk, w archiwach ŻIH-u nie znajduję już jednak żadnych wskazówek co do stopnia naszego pokrewieństwa.

Dalej szukam na stronach Yad Vashem. Pod nazwiskiem Olka znajduję Netę. Z dokumentów wynika, że naprawdę nazywała się Necha, z domu Lampel, córka Tzvi, urodzona w roku 1893 w Nowym Sączu, matka czworga dzieci, które przyszły na świat w Bicycach Niemieckich. Przy okazji trafiam też na świadectwa dotyczące innych Lamplów: Hersza, urodzonego w

1842 (zginął w 1942 w wieku stu lat!), jego żony Sheindl (Sheiny), urodzonej w 1845 (zginęła razem z nim, mając lat dziewięćdziesiąt siedem). Wreszcie znajduję
129

oświadczenie Heli dotyczące jej siostry: „Genia (Gitl) Brandel-Buchbinder, urodzona w roku 1913, córka Izaaka i Sary z Rotten-bergów, studentka, zginęła w 1943”. Zaczynam rozumieć, że skoro moja babka zachowała panięskie nazwisko, to Sara mogła być jej siostrą.

Na tym skończyły się świadectwa z Yad Vashem. Nie znalazłam tam karty mojej babki ani nikogo z najbliższej rodziny. Właśnie wtedy zgłosił się do mnie Piotruś. Zadzwoił, że jest moim kuzynem, synem Reni, wnukiem Olka z Kudowy, i że teraz mieszkają w Krakowie. Mieliśmy się spotkać po moich zajęciach na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale pomyliły się nam godziny i do spotkania nie doszło. Jakoś też się nie paliłam do rozwijania tych znajomości, bo nigdy nie byliśmy blisko, zwłaszcza po śmierci ojca. Olek nie przyjechał na pogrzeb mojej mamy, przez co oddalił się jeszcze bardziej. Kiedy jednak wszystkie moje rodzinne poszukiwania przynosiły więcej pytań niż odpowiedzi, postanowiłam znaleźć do niego drogę. Odszukałam najpierw Piotrusia, potem odezwała się Renia, wreszcie zadzwoniłam do Olka.

Olek potwierdził, że nadał córce imię Regina na pamiątkę swojej zamordowanej siostry, ale się nie dziwił, że w ogóle o niej słyszałam. Czekał na mój telefon. Mówił dzwięcznym głosem, jak wtedy, gdy instruował mnie, pięcioletnią, jak się myje ręce, żeby były naprawdę czyste. Wiedział, jak zginęła jego rodzina, ale nie wiedział, co się stało z moją, może z wyjątkiem Mani, która „chyba po prostu umarła z głodu jeszcze w getcie”. Zdawało mu się, że gdzieś o tym słyszał. -Była nieśmiała i niezaradna - powiedział. Wyjaśnił, że Genia Brandel miała gruźlicę, tebecę, jak się wyraził, wyluskując z pamięci wiedzę ze swych nieskończonych studiów medycznych. Potwierdził, że Hela Brandel, lat osiemdziesiąt osiem, nadal żyje, i ma ten sam numer telefonu, który podała w swoim świadectwie. - Zadzwoń do niej, jest w świetnej formie i nadal mówi po polsku. - A potem zaczął chaotyczną opowieść o rodzinie. Przyznał, że stuletni Hersz Lampel był

130

jego dziadkiem, ojcem jego matki. Próbowałam uściślać, że tamten Lampel miał inaczej na imię, a on wyjaśnił, że Hersz i Tzwi znaczy to samo. Ale nie umiał dokładnie wyjaśnić naszego pokrewieństwa. Opowiadał, że moją babką była Tauba Amster, że lubiła wieczorami przychodzić do jego matki i obie plotkowały, grzejąc się pod piecem. Potem przeszedł do mego ojca:

- Twój ojciec uczył się krawiectwa u Grinberga, zrobił wszystkie papiery i został w tym zakładzie jako mistrz. (Rzeczywiście, w przedwojennym rejestrze firm znajduję zakład krawiecki Grinberga na Lwowskiej, tej samej, przy której tata mieszkał przed wojną.) Grinberg specjalizował się w szyciu oficerskich mundurów, był w tym bardzo dobry i dostawał zamówienia od armii, mógł więc załatwić, że twego ojca wzięli do wojska razem z Monkiem Buchbinderem, ale nie do zwykłej jednostki, do 5. Pułku Strzelców Konnych w Dębicy koło Tarnowa. Najpierw służył w randze starszego strzelca, potem kaprała. Sprawdź listę służby wojskowej w Dębicy, lata 1929-1931, mniej więcej, bo musieli go wziąć po uzyskaniu pełnoletności. Na jak długo brali? Nie wiem.

Olek ma osiemdziesiąt siedem lat. Nie chce mi się wierzyć, że tata był kawalerzystą, że go przyjęli do ekskluzywnej jednostki i że po takim przeszkoleniu mógł zostać zmobilizowany w 1939, a po klęsce pułku 20 września (sprawdziłam tę datę) zdjął mundur, założył cywilne ubranie i dał nogę do Lwowa. Ale Olek już raz mi o tym opowiadał po pogrzebie taty, wiele lat temu, kiedy miał pamięć jak brzytwa. - Ojciec ma pamięć jak brzytwa - zaświadcza Renia. Wtedy to wyparłam jako rzecz nieprawdopodobną, bo przecież znalazłam jego książeczkę wojskową, w której było wyraźnie napisane, że szeregowiec, „specjalność wojskowa: krawcy”.

Sięgam po kolejny rulon pożółkłych papierów. Dotyczą starań ojca o rentę. Między świadectwami o stanie zdrowia znajduję pismo z Cechu Rzemiosł Różnych w Nowym Sączu, zaświadczone na podstawie Księgi wyzwolin uczniów cechu krawieckiego, że ojciec

131

odbywał naukę w zawodzie krawieckim u mistrza Fryderyka Kertha w Chełmcu, powiat Nowy Sącz, od 8 sierpnia 1924 do 8 sierpnia 1927 roku i został wyzwolony na czeladnika rzemiosła krawieckiego. A zatem nie u Grinberga i nie w Nowym Sączu, lecz w Chełmcu u Kertha, Niemca. Stąd jego płynny niemiecki, a może i większe umiejętności. Wszystko to nie wyklucza Grinberga, mógł do niego trafić po wyzwolinach po prostu do pracy.

Muszę więc sprawdzić także pozostałe informacje. Skanuję cztery maleńkie fotografie i przyglądam się powiększeniom. Dwie twarze są do siebie bardzo podobne. Twarz mojej babki Rozalii, starsza, w czarnej peruce, i twarz Tauby Amster, młodsza, łagodniejsza i ładniejsza. To nie może być ta sama osoba. Nie wierzę Olkowi. Wykręcam kanadyjski numer. Najpierw odzywa się automat, ale zanim skończył, słyszę: - Halo - wypowiedziane trochę z angielskim zaśpiewem, ale twardo. Znam ten rodzaj wymowy, charakterystyczny dla polskiej emigracji. - Hela? - pytam i od razu próbuję się przedstawić. Hela ma kłopot z odróżnieniem mnie od mojej mamy. Wyjaśniam cierpliwie, że jestem córką jej kuzyna. Wreszcie chwytą, pyta, ile mam lat, zadaje te wszystkie porządkujące pytania, które są konieczne, aby za moim głosem zarysowała się jakaś postać. Ja wypytuję o wojnę. Gdzie był ten las, do którego trafiły po ucieczce z getta? Daleko od Biczyc, szli całą noc. Prowadził znajomy. A opiekował się nimi jeszcze ktoś inny, Stasio, z takiej wsi, w której nikt nigdy nie widział Żyda. Stasio już nie żyje, ale dostał drzewko w Yad Vashem. Pozostały jego dzieci i wnuki, które Hela i rodzina Kazka wspomagają w miarę możliwości. Gdzie te dzieci? W Nowym Sączu. Hela nie może sobie przypomnieć nazwiska. Ale sprawdzi. Pytam o babkę. Tak, znała ją, mówili o niej pani Ringowa. Budzą się uśpione neurony: przecież wiedziałam o tym Ringu od ojca, wspominał, że to powinno być nasze właściwe nazwisko, nawet podsunęłam je kiedyś Kaziowi, memu niegdysiejszemu mężowi, jako podziemną ksywę, dlatego pod swoim tłumaczeniem Danila Kiśa podpisał się

132

jako Ludwik Ring. A wcześniej ja sama zastanawiałam się, czy do podobnych (podziemnych) celów nie używać pseudonimu Lidia Ring. Nie Amster. - Tauba Amster - wyjaśnia Hela - to była siostra twojej babki, mówiliśmy do niej Tonia. - Wszystko się zgadza z wnioskami, jakie płyną z oglądania zdjęć. Pytam, kim była Lea. Wtedy połączenie się urywa.

Kolejnym etapem jest Nowy Sącz.

Ćwiczenie z pamięci

Moje najwcześniejsze wspomnienia dotyczą długiej podróży pociągiem, a właściwie zobaczonej przez okno łąki, gęsi i pasących je dzieci, które energicznie do mnie machały. Tak mi się wydawało. Że machają do mnie osobiście. I ja też do nich machałam. Ale nie jestem pewna, czy to była właśnie ta podróż, bo nic więcej nie pamiętam. Próbuję sobie wyobrazić, jak jechaliśmy ze Świnoujścia do Nowego Sącza, wioząc przez całą Polskę syberyjski dobytek, wzbogacony o poniemiecką maszynę do szycia ze złotym napisem Singer na zielonym tle, z berlińskim serwisem i herbowymi sztucami z szabru. Ze złocistą walizką z karelskiej brzozy i drugą, maleńką, zdobytą w Świnoujściu i przeznaczoną dla mnie. Musiał być koniec jesieni, było zimno, więc zostałam wystrojona w syberyjskie dziecinne walonki, angorową czapkę i mufkę. Wyglądałam jak żywcem przeniesiona z Rosji, ale nie przeszkadzało to ani mnie, ani - chwilowo - mojej mamie. Ojciec taktownie milczał, mając w pamięci przegrany w trzy karty rodzinny dom.

Najpierw wylądowaliśmy chyba u Kazka, w maleńkim mieszkanku mieszczącym się w dwupiętrowej kamienicy pod numerem 12, przy biegnącym w dół, do rzeki, odcinku ulicy

Krakowskiej. Kamienicę pamiętam. Trzeba było najpierw wejść do wielkiej sieni i wspiąć się na drugie piętro po kamiennych schodach, potem wyjść na obie-

134

gającą studnię podwórka galeryjkę, skąd dopiero prosto na do mieszkania. Uroczystość powitania została uwieczniona w rodzinnej fotografii. Mama ma na sobie ciemny palu 4 wycięty kołnierzem z lisa, jej głowę zdobi modny wówczas, i*1" L się udrapowany szalik. Ojciec pozuje w długiej, nieśmiert

#1

135

potem okazało - jesionce w jodełkę. Flankują niewysoką postać Kazka, niemal zupełnie zasłoniętą przez moje angory, walonki i mufki, ustawione wraz z zawartością na tonetowskim krześle. Tło zdjęcia tworzą zbite z desek zewnętrzne drzwi do mieszkania i balustrada galeryjki, ale kto by się wtedy przejmował tłem? Nie jest dla mnie

Podczas gdy Hanka pokazywała mamie Dunajec i miasto, ojciec razem z gromadką pozostała po dziesięciu tysiącach sądeckich Żydów poszukiwał miejsc straceń i składał się na symboliczne pomniki stawiane na jakichś odległych łąkach albo na starym, splantowanym cmentarzu. Każde z tych wydarzeń było fotografowane i na każdym zdjęciu widać maleńkie figurki zgromadzone wokół świeżo wymurowanych nagrobków z gwiazdą Dawida.

Poszukiwania dotyczyły także żywych. Służył do tego Czerwony Krzyż i Rejestr Ocalonych, który

jasne, czy Hanka już wówczas mieszkała u Kazka, czy go tylko odwiedzała. Pochodziła z tej wioski, o której Hela mówiła mi przez telefon, że „nikt w niej nigdy nie widział Żyda”, i była siostrą Stasia, „który dostał drzewko w Yad Vashem”. Dla mnie jednak była po prostu Hanką od Kazka i może dlatego nie zainteresowało mnie jej nazwisko.

136

akurat w Nowym Sączu działał bardzo sprawnie i dzięki któremu udało mi się po latach uchwycić pierwszą nić rodzinnych powiązań z Lamplami i Brandlami-Buchbinderami. Nie znaczy to, że wszyscy się rejestrowali albo że wszyscy zeznawali prawdę. Z analizy kart rejestracyjnych wynika, że ci, co ocaleni w radzieckich łagrach, chętniej odśladali fakty niż ci, którzy doświadczyli okupacji, getta i kryjówek. Ze świadectwa mego ojca mogłam się dowiedzieć wszystkiego, co już i tak wiedziałam, prócz wysokości wyroku. Zeznania Kazka, dość szczegółowe, jeśli chodzi o przejścia w getcie - że był „ranny w krzyże”, że był dwukrotnie zakładnikiem i że pracował przy robotach ziemnych (choć nie jest jasne, co to oznaczało) - były bardzo enigmatyczne w kwestii ocalenia. Powtarzające się także w wielu innych zeznaniach tajemnicze bunkry leśne miały ochronić rzeczywistych dobroczyńców przed ewentualnym prześladowaniem jeszcze w roku 1946. Te „historyczne” świadectwa kazały mi przez chwilę zwątpić w heroiczną postawę Hanki i jej rodziny, choć od wczesnego dzieciństwa wiedziałam, że właśnie u nich Kazek spędził ostatni okres okupacji. Wyobrażałam to sobie w ten sposób, że mieszkał na wsi, sypiał na sianie, a wieczorami przygrywał na harmonii. Za tę muzykę

137

kochała go cała wieś i solidarnie kryła przed Niemcami. Taki mniej więcej, sielankowy obraz warunków przetrwania Żydów wśród polskiego społeczeństwa wyniosłam z dzieciństwa i pielęgnowałam w sercu aż do roku 1968, konkretnie do marca.

Niemalą rolę przy odnajdywaniu krewnych odegrały adresy punktów informacyjnych i wreszcie poczta pantoflowa. Ktoś kogoś widział tu i tu, już po wojnie, ktoś do kogoś napisał bez nadziei na odpowiedź, a ona nadeszła, bo ktoś inny doręczył list pod nowy adres. W ten sposób znalazł się wuj Natan zwany Antonim, ojciec Olka, spowinowacony z moją babką Rozalią przez swą pierwszą żonę, Nechę Lampel, która nie przeżyła. Nie przeżyły też młodsze dzieci Antoniego. Pojechali do Bełżca całą czwórką: Neta, urodzona w roku 1893,

jej córka Ryfka zwana Regina, urodzona w roku 1924, jej druga córka Cila zwana Celina, urodzona w roku 1926, i jej najmłodszy syn Jakub, urodzony w roku 1928. Wszyscy z Biczyc Niemieckich, podobnie jak ich najstarszy brat Aleksander, czyli Olek. On jeden przeżył. Wojna zastała go z ojcem w drodze ze Lwowa, gdzie sprzedawali czy kupowali krowy, bo mieli w Biczycach gospodarstwo, przez co wuj kojarzył mi się z Tewie Mleczarzem od czasu, kiedy po raz pierwszy obejrzałam Skrzypka na dachu. Dotarli w pobliże Nowego Sącza, lecz tam już byli Niemcy, więc zawrócili i próbowali się przedrzeć z powrotem w okolice Lwowa, do rodzinnej wsi Antoniego, ale (podobnie jak później mój ojciec) zostali złapani. Antoni trafił do Kazachstanu na osiedlenie. Olek wykreślił się od wywózki i nawet próbował studiować medycynę. W końcu został wcielony do I (a może II) Armii jako felczer i przeszedł z nią do Berlina. Po wojnie dostał polecenie zorganizowania lecznictwa w świeżo „odzyskanej” Kudowie Zdroju. Kiedy się urządził, pojechał do Kazachstanu i przywiózł ojca z kołchozu do Polski. Odpowiedni rozkaz w tej sprawie wymusił podobno na marszałku Rokossowskim. W Kudowie Antoni spotkał Gienię, krajanekę ze Lwowa, która została jego drugą żoną. Zjechali do nas któreś zimowej nocy, zapewne na

138

święta, Antoni z Gienią i jej córką z pierwszego małżeństwa - Marysią, będącą dokładnie w moim wieku. Pamiętam zachwyty, w jaki wprawił mnie widok jej króliczego futerka z guzami w kształcie pomponów. Najbliższego lata pojechaliśmy do nich z rewizytą i odtąd Kudowa stała się miejscem moich letnich wakacji.

Odnalazła się też rosyjska koleżanka mamy, Anna, ze swym mężem Adrianem i synem Romkiem. Mieszkali w Warszawie, dokąd nie jeździły repatriacyjne pociągi, ale też Adrian nie był osadnikiem. Należał do ważnego grona osób funkcyjnych i realizował przypisane tej funkcji zadania: nadal opiekował się ukraińską mniejszością, choć nie jest nam znany jego udział w akcji „Wisła”. Im również złożyliśmy wizytę. Zapamiętałam obszerne mieszkanie z orzechowym gabinetem, w którym Romcio popisywał się przede mną, recytując po rosyjsku Borodino: Skazy ka, diadia, wied' nie darom, Moskwa spalonnaja pożarom, Francuzu otdana, a potem pobyt w jakiejś willi z ogrodem i smak po raz pierwszy próbowanych melonów. W tej willi tata dostał propozycję pozostania w stolicy, otrzymania dużego mieszkania - padła nazwa ulicy Filtrowej - oraz porządnej posady. Mimo marzeń mamy o zamieszkaniu w Warszawie ojciec zdecydowanie odmówił i wróciliśmy do Nowego Sącza. Po latach zapytałam go o pracę, której nie chciał przyjąć. Miał zostać dyrektorem departamentu więziennictwa w Ministerstwie Sprawiedliwości, ale wyjaśnił, że jako krawiec nie ma do tego kwalifikacji. Wyobraziłam sobie, jak wyglądałaby wtedy moja wczesna młodość w nomenklaturowym wariantcie - ekskluzywna szkoła przy ulicy Parkowej, w otoczeniu wygadanej młodzieży z wyższych sfer, mającej łatwy dostęp do wszystkich dóbr, w tym także do dóbr intelektualnych i kulturalnych. Wyobraziłam też sobie, jak wypieram podskórą, bo niewyniesioną z domu i szkoły wiedzę o „drugiej stronie”, o mordowanych, więzionych i spychanych na społeczny margines „wrogach ustroju”, i jak ogarnia mnie piekący wstyd za ojca. Wyobraziłam sobie wreszcie, że uczestniczę w marcowym buncie nie jako dziewczyna z akade-

139

mika na Kickiego, ale z pozycji moich warszawskich rówieśników, którzy wystąpili przeciw między innymi przeciw swoim rodzicom i ich kolegom. To wszystko sobie wyobraziłam i poczułam głęboką wdzięczność do swego ojca za to, że odmówił.

Nie wiem, jak to się stało i kiedy, że zamieszkaliśmy na Wałowej. Zapewne zbiegło się to w czasie z zatrudnieniem taty w spółdzielni krawieckiej, gdzie znów został krojczym. Z Wałowej wchodziło się do obszernej sieni wyłożonej terakotowymi waflami w kolorze ugru. Terakotę przecinały wąskie szyny prowadzące na owalne podwórko studnię. To podwórko, z jedynym rachitycznym drzewem, zasadzonym pod wysokim murem sąsiedniej posesji, i z

betonową nawierzchnią, poprzecinaną potłuczonymi luksferami, stało się miejscem moich pierwszych lekcji społecznego życia. Do naszego mieszkania wchodziło się przez ganek i miniaturową sionkę. Był w niej, przytwierdzony do ściany, tonetowski wieszak na ubrania i kapelusze, z niewielką szufladką pod prostokątnym lustrem, zawsze pełną wypalonych zapalek. Mógł je tam wkładać pan Rudnicki, do którego wchodziło się na prawo. Pan Rudnicki nosił pumpy i samodziałową marynarkę oraz krótko przystrzyżony wąsik. Gotował na prymusie, co udało mi się zauważyć podczas przypadkowej wizyty w jego jednopokojowym mieszkaniu. Mama nie pozwalała mi go odwiedzać w przekonaniu, że pan Rudnicki ma gruźlicę. Istotnie, często dochodziły nas zza ściany odgłosy kasłania i głuchy charkot poprzedzający soczyste spluwanie. Na lewo wchodziło się do nas. Najpierw do jadalni, będącej jednocześnie kuchnią, a stamtąd do pokoju sypialnego. Drzwi sypialni otwierały się na podwójne, małżeńskie łóżce stojące pod ścianą z huculskim kilimem. Zapamiętałam mamę leżącą w nim z mokrym okładem na powiekach. Leżała tak przez kilka dni po wycieczce do Oświęcimia. Nie mogła przestać płakać. A potem opowiadała znajomym o stertach okularów, butów i włosów. Chyba nie zauważyła, że słyszę te opowieści. Dostałam urazu na słowo „Oświęcim” i nigdy tam nie pojechałam.

140

Moje dziecinne łóżeczko stało pod ścianą, na prawo od drzwi sypialni. Leżąc w ciemnościach, patrzyłam przed zaśnięciem na przeświecający przez firanki rysunek okiennych ram, tworzących w świetle podwórzowej latarni wyrazisty kształt krzyża. Tylko w święta ten przeraźliwy krzyż chował się za choinką, ubieraną przez rodziców już po moim zaśnięciu. Jej widok po przebudzeniu nieodmiennie kojarzył mi się z cudem. Tym większym, że w któreś święta znalazłaś pod nią prawdziwą lalkę. Nie była dzidziusiem, tylko dziewczynki-Miała długie, zgrabne nóżki i niebieskie oczy. Zdradziłam dla niej starą, szmacianą lalkę, zrobioną przez mamę jeszcze w Świnoujściu, ale kiedy została oddana cygańskiemu chłopcu z taboru koczującego nad Dunajcem, poczułam żal. Demokratycznie usposobiona mama, która natychmiast zaprzyjaźniła się z taborem, zaprosiła chłopca do domu, nakarmiła i wręczyła mu węzełek ubrań razem z moją lalką, dla siostry. Z przerażeniem obserwowałam, jak już w przedsionku oderwał tułów i wepchnął go do szufladki z wypalonymi zapalnikami, a potem, zbiegłszy z ganku, przemierzał podwórko, podrzucając kopniakami jajowatą głowę mojej lalki.

Widok krzyża nie był jedyną niedogodnością podczas zasypiania. Inną, nie mniej męczącą, była konieczność trzymania rąbek na kołdrze. Staralam się posłuszenie zasypiać w pozycji na baczność, ale prócz dobrej woli wymagało to sporego wysiłku, nie zawsze uwieńczonego natychmiastowym powodzeniem. W jeden z takich nieudanych wieczorów mama pochyliła się nade mną i cicho spytała:

- Śpisz?

- Tak! - odpowiedziałam, mocno zaciskając powieki. Nie wiedziałam, czemu nie uwierzyła. Koszmar rąbek na kołdrze trwał aż do pierwszej wizyty w kinie. Film miał skomplikowaną fabułę dotyczącą transportowania gromady dzieci statkiem. W połowie akcji do kajut wdarły się szczury, dzieci wspinały się na wyższe koje, podkurczając nogi, aby szczury nie mogły ich dosięgnąć. Wszystko skończyło się dobrze, ale od tamtej pory chowałam pod kołdrą nie

141

tylko rączki, ale i głowę. Mama zaczęła siadać przy mnie w ciemnościach, zasłaniając sobą widok okiennego krzyża. Czasami śpiewała cichym altem Tiomnaja nocz, którą uważałam za kołysankę. Dopiero po latach dowiedziałam się, że to piosenka o tęsknocie, i zrozumiałam, dlaczego pod koniec drugiej zwrotki głos mamy załamywał się w tłumionym szlochu. Na środku jadalni królował duży stół z nogami o zaokrąglonych kantach, co okazało się w pewnym momencie faktem kluczowym dla mojego życia. W kącie pod oknem stała przywieziona ze Świnoujścia maszyna do szycia marki Singer, a pod przeciwległą ścianą

okazały kredens, wypełniony w górnej - oszklonej - części berlińskim serwisem z kobaltową dekoracją. Na prawo od kredensu znajdowały się drzwi do obszernej łazienki, a z niej wchodziło się do toaletu, jak mówiła mama. Pierwsza wprowadzona przez mamę innowacja dotyczyła właśnie łazienki, którą podzielono tak, że znalazło się tam miejsce na ustawienie kuchenki. Dzięki temu jadalnia stała się również salonem. Znajomi taty natychmiast to skomentowali: - Ta Sowietka gotuje w łazience tuż obok kibla! Przy pierwszej nadarzącej się okazji mama zaprowadziła plotkarza do kuchnio-łazienki i rozkazała: - Powąchaj! Śmierdzi? Nie? To pilnuj higieny w swojej kuchni, bo nie wiem, czy jest taka czysta jak moja! - Wykrzykiwała to wszystko po rosyjsku, nie dbając, czy pełna treść dotrze do adresata. Wystarczyła mowa jej pulchnego już wówczas ciała i wyraz oczu.

Na początku życie towarzyskie ograniczało się do spotkań z Kazkiem i Hanką. Kazek próbował wrócić do zawodu jubilera, czego widowym znakiem było sześć srebrnych łyżek z moim monogramem trzymanyh razem z herbowymi srebrami z szabru. Hankę pokochałam natychmiast i uznałam za najpiękniejszą kobietę świata, a mama błyskawicznie się z nią zaprzyjaźniła, choć nie wiem, jak się porozumiewały, bo mama nadal nie знаła polskiego. Z czasem tata zaczął ją wprowadzać w towarzystwo zjeżdżających do Sącza nielicznych ocalonych. W mojej pamięci ulokowały się dwie rodzi-

142

ny. Byli to mieszkający w naszej kamienicy na drugim piętrze państwo Kneblowie z synkiem Michałem i państwo Lustigowie, zwani Nusynami, z Jagiellońskiej 12. Podczas mojego pierwszego pobytu u Michałka pani Kneblowa odsłoniła w fałszywym uśmiechu rząd złotych zębów i zapytała, czy mam robaki. Powtórzyłam to pytanie mamie i już nigdy więcej nie wolno mi było chodzić na drugie piętro. Państwo Lustigowie byli bardziej malowniczy. Przyjechali z Odessy, co mogło wpłynąć na powojenną aparycję ojca rodziny: wyglądał jak Benia Krzyk z opowiadań Izaaka Babla. Mówiło się o nim po prostu Nusyn. Jego druga żona o imieniu Pola (pierwsza nie przeżyła), zwana Nusynką, niewysoka i pękata, nosiła bardzo dużo złotych pierścionków i brylantowe kolczyki. Lubiła podkreślać zamożność. Jej córkę z pierwszego związku, Żannę, prawdziwą piękność, bardzo młodo wydano za osobnika wystylizowanego na Ala Capone, co w moich dzieciennych oczach uchodziło za krzyżącą niesprawiedliwość - nie znałam jeszcze słowa megalomans - ale Żanna, o dziwo, nie wyglądała na zmartwioną. Powodem bliskości naszych rodzin był wspólny - dla mamy i Nusynki - język ojczysty; obie mogły się wreszcie nagadać po rosyjsku. Do grona Rosjanek dołączyła wkrótce Nina Zajac, poślubiona panu Zajacowi podczas przemarszu I albo II Armii Wojska Polskiego przez Ukrainę. Nina była nauczycielką rosyjskiego. O czym sobie opowiadały? O wojnie i wczesnej młodości, która wydaje się piękna nawet w komunizmie.

W czasie spędzonym przez tatę w spółdzielni krawieckiej Pokój, mama miała się zajmować mną i domem. Z prowadzeniem domu wiązały się wizyty na bazarze, usytuowanym niemal zaraz za rogiem Wałowej. Kupowało się tam śmietanę i mleko prosto od krowy, żywe kury i znoszone przez nie jajka, odsączone w woreczkach trójkąty twarogu i owinięte w liście chrzanu osełki masła. Przeznaczony na sprzedaż towar leżał w koszach u stóp góralk ubranych w kwieciste spódnice. Mama narzekała, że spod tych spódnic mogą się sypać do jedzenia różne rzeczy. W rewanżu góralki wykrzykiwały na cały

143

bazarek: - Sowietka! Sowietka! - Tak samo wołały goniące za nią dzieci. Wtedy po raz pierwszy usłyszała słowo „Katyń”, a zaraz potem dowiedziała się, co ono znaczy. Przestała chodzić na bazar. Woląa zarobić na służącą i znów spędzała czas przy maszynie. Zgodzona do nas Stefka miała robić zakupy, sprzątać i chodzić ze mną na spacer. Kuchnia pozostała domeną mamy. Od blokady Leningradu jedzenie stało się najważniejszym przedmiotem jej zainteresowań. Popisywała się rosyjskim barszczem i syberyjskimi pielmieniami. Piekła serowce i jabłeczники, a także drożdżowe bułeczki, które z nieznanym powodów nazywały się

u nas wiedeńskie. Smażyła puszyste drożdżowe oładki, podawane ze śmietaną. Jeśli udawało jej się dostać baraninę, robiła tadżycki płow. Szybko nauczyła się wypiekać cwibak, robić gęsie pipki oraz karpia po żydowsku, na słodko. Tata nie był zbyt skory do pochwał. Gmerał łyżką w zupie, wyciągając na brzeg talerza a to pietruszkę, a to marchewkę. Naśladowałam go we wszystkim. Sprawnie wiosłowałam między oczkami rosołu, omijając plasterki warzyw przeznaczonych do konsumpcji dla zdrowia. - Córeczka tatusia - mruzczała mama. Tatus postanowił sprawdzić, jak dalece wdałam się w niego, i zrobił nagle zeza. Przez chwilę spoglądał wyzywająco trochę na mnie, a trochę na czubek swego nosa, i czekał na moją reakcję. Wysiliłam gałki oczne i też spojrzałam na nos. Niestety, jedno oko nie chciało powrócić na miejsce. Dostałam zeza. - Nabyty - pocieszali mamę lekarze - oczka powinny się z czasem same wyregulować. - Samoregulacja trwała, aż nauczyłam się czytać, ale lewe oko zjeżdżało z osi jeszcze przez wiele następnych lat. Tata wybrzydzał przy zupach mamy, bo wzorem żydowskiej kucharki była dla niego pani Kneblowa, u której jednak nigdy nie dostąpił poczęstunku; po prostu wierzył obiegowej opinii. To był dla mamy cios poniżej pasa. Przecież inteligentny człowiek nauczy się wszystkiego. Nie zważając na obraźliwe pytania o moje robaki, mama udała się po przepis na drugie piętro i wkrótce postawiła przed tatą karpia pani Kneblowej. - Co to jest? - zapytał tata po pierwszym kęsie. Mama

144

wyjaśniła, że jest to karp po żydowsku. Na jej twarzy malowała się satysfakcja przemieszana z ironią. A kiedy tata zauważył, że ten karp smakuje jak mydło, wyjaśniła, że właśnie wzięła przepis od pani Kneblowej. - Gotuj po swojemu, nie ma co małpować sąsiadów - zakończył dyskusję tata i odszedł od stołu. Stefka cichutko chichotała, wyrzucając niedojedzone resztki. Polubiła mamę od pierwszego dnia, kiedy zabierając się do jedzenia w izolacji, dostawiła krzesło do blatu kredensu i usłyszała, że ma siadać do stołu, bo u nas wszyscy jedzą razem. Stefka była śmieszka. Chichotała przy dowcipach taty, wybuchami śmiechu reagowała na zaczepki kawalerów podczas codziennych spacerów ze mną wokół plant, nie umiała powstrzymać uśmiechu nawet wtedy, kiedy dowiadywała się od mamy, że kupiła żylastą kurę albo skwaśniałą śmietaną. Powagą i niejaką czcią darzyła tylko właścicielkę sklepu z lalkami. Nie był to właściwie sklep, lecz witryna, na której siedziały ubrane w krynoliny niezwyklej piękności lalki z prawdziwymi włosami i rzęsami osłaniającymi wprawione w porcelanowe twarzyczki błękitne oczy. Przystawaliśmy przy tej witrynie codziennie. Codziennie też nad głowami lalek ukazywała się pomarszczona i trochę złowieszcza twarz ich właścicielki. Jedyne, co mi w Stefce przeszkadzało, to jej amory z żołnierzami uprawiane w wielkiej sieni z wafłową terakotą i wąskimi szynami. Nie żeby działo się coś nieprzyzwoitego. Stefka dostawała jakiś tajemniczy sygnał i, ciągnąc mnie za sobą, wybiegała z domu, pędem przecinała podwórko i zatrzymywała się w sieni, żeby trochę pochichotać z kawalerem, nie puszczając przy tym mojej ręki. Tylko raz ją puściła i pozwoliła mi wejść na galeryjkę pierwszego piętra, żebym mogła zobaczyć, jak z góry wygląda podwórko. Potknęłam się, biegnąc w dół na jej wołanie, a potem spadałam, uderzając podbródkiem o kolejne stopnie. Nie należałam do dzieci ostrożnych. Więcej - byłam wprost wymarzoną ofiarą nieszczęśliwych wypadków. Jeszcze się dobrze nie zagoiła wypalona na brzuchu spirala, a już rąbnęłam głową o kamienny próg domu w Świnoujściu i roz-

145

cięłam łuk brwiowy. Ślad tego rozcięcia pozostał mi w postaci kreski dzielącej brew na dwie części. Pierwsza zabawa w berka, stanowiąca próbę wejścia do podwórkowej wspólnoty, skończyła się trafieniem na dziurę w luksferach, którą wszyscy znali na pamięć i umieli omijać. Tylko ja wjechałam w nią prawą nogą aż po pachwinę, rysując skórę o poszarpane szklane krawędzie. Pomijam pomniejszych upadki i drobne skaleczenia. O wszystkie te kontuzje tata obwinał mamę, która przecież nie miała nic innego do roboty, jak pilnowanie dziecka.

Rozbity podbródek też był przedmiotem jego kąśliwych uwag, a także powodem zatrzymywania się w mieście na dłużej w celach rozrywkowych.

Tata miał dwie rozrywki. Od wiosny do jesieni lubił wędkować nad Dunajcem. Siedział godzinami na nabrzeżnych kamieniach i zarzucał bambusową wędkę. Miał własne koncepcje dotyczące przynęty, pamiętam, jak opowiadał zdumionym kolegom, że złowił szczupaka na czereśnie. Istotnie, przytargał kiedyś szczupaka z płaską, krokodylą głową i otwartą paszczą, do której natychmiast wsadziłam palec. Były duże trudności, by go stamtąd wyciągnąć, ponieważ palec zaczepiał w drodze powrotnej o cienkie i ostre igielki zębów. Wtedy dowiedziałam się, że szczupakowi wyrastają zęby z podniebienia. Zimową rozrywką taty były karty. Nie trzy, jak w Świnoujściu, ale trzydzieści sześć. Od asa do siódemki, w układach typu kareta, trójka, dwie pary i tym podobne. Poker raczej się nie zdarzał. Tata grał ze zmiennym szczęściem. Kiedy wygrywał, przynosił mamie jakieś drobiazgi, a mnie czekoladę. Przegrana wzbudzała w nim nieodmienne poczucie winy, wtedy przeproszał i oferował jakąś wspólną rozrywkę, a mama nadal okazywała wspaniałomyślność, jak w dniu, kiedy przegrał dom. Nie była już jednak taka pewna, czy powinna bez zastrzeżeń składać swój i mój los w jego kościste ręce.

Obiecany jeszcze w Nowosybirsku raj na ziemi przybrał bardzo konkretne kształty Nowego Sącza, ulicy Jagiellońskiej i bazaru z górkami, towarzystwa państwa Kneblów, państwa Lustigów, państwa

146

Rajbszajdów z córeczką Rutą, a także kolegów taty ze spółdzielni krawieckiej. Mama powoli przestała taić, że choć jest Rosjanką, to jednak chodziła do opery i teatru, że przywykła do wielkich miast i zabija ją nuda podwórka przy Wałowej 4. Gdybyśmy chociaż mieszkali w Krakowie! Podzieliła się z ojcem tymi wątpliwościami któreś nocy, kiedy już mieliśmy gotowe paszporty (na zdjęciu paszportowym zrobionym razem z mamą widać, jak wpatruję się z uśmiechem w czubek swego nosa). Nigdy się nie dowiedziałam, dokąd konkretnie wybierali się wówczas moi rodzice. Może do Kanady, może do Australii? Czuło się, że to ostatnia chwila, że niedługo zamkną granicę i będzie po wszystkim. Mama była rozdarta. Z jednej strony wyjazd do innego świata dawał szansę odmiany losu, z drugiej - już raz w innym świecie wylądowała i... proszę, jak on wygląda. Ledwie nauczyła się trochę po polsku, a tu nowy nieznaną język. - Ty chociaż znasz niemiecki, a ja będę siedzieć jak głuchoniema w obcym kraju! - Od słowa do słowa, ktoś nie wytrzymał, ktoś drugi podbił bębenka, doszło do ostrej wymiany zdań, mama przeszła na rosyjski, w którym ojciec nie czuł się jak ryba w wodzie, nie umiał znaleźć odpowiednich argumentów, więc zamiast ciągnąć wywód, otworzył drzwiczki pieca i wrzucił w ogień nasze paszporty, nasze wizy i nasze uciulane na drogę dolary. Pozostała tylko fotografia utrwalająca mój nabyty przy zupie zez.

Tak nadszedł rok 1949. Kto nie z nami, ten przeciw nam. Tata, od młodości umiarkowanie socjalizujący, był z nami. Miał chyba nadzieję, że polski socjalizm przyjmie inne oblicze niż rosyjski. Wstąpił do partii, chodził na zebrania, na których śpiewano Międzynarodówkę, i maszerował w pierwszomajowych pochodach. Mama mu w tym nie sekundowała, pozostała przy własnych poglądach na temat komunizmu. Nadal ubierała swoje klientki, ale teraz, z obawy przed donosami, robiła to jakby trochę pod szyldem zajęć amatorskich i koleżeńskiej przysługi, choć dookoła byli sami swoi, coraz mniej dokuczliwi, w miarę jak poznawała język. Szukała rozrywek na moim poziomie. Do jednej z pierwszych należały jasełka, wystawiane w jakiejś sali z profesjonalną sceną i widownią. Na scenie stał tron króla Heroda, a za nim ukrywał się diabeł naszeptujący Herodowi do ucha wyrok na Jezusa. Nie obejrzałam tych jasełek. Przy pierwszym wyskoku diabła z widzami zza herodowego tronu zaczęłam krzyczeć z przerażenia i trzeba mnie było wynieść z sali. Scena powtórzyła się przy następnym spotkaniu z diabłem. Tym razem wyskoczył z drugiego pokoju podczas karnawałowej dziecięcej zabawy. Przebrana za motylka (ze zrobionymi przez mamę

papierowymi skrzydełkami), podziwiałam właśnie Królową Śnieżkę, gdy diabeł natarł na mnie z dzikim wrzaskiem. Dostałam spazmów. - Nic dziwnego, przecież to dziecko nie wie, na czym polega zabawa. - Istotnie. Moje historie definitywnie popsuły zabawę i więcej nie byłam zapraszana na dziecięce bale organizowane w kręgu naszych znajomych. Następnego dnia obserwowałam z żalem, jak mama zmiata z kuchennej podłogi strzępy moich motyli skrzydeł. Uświadomiłam sobie wówczas, że wydarzeń nie da się odwrócić, że bal już się nie powtórzy, że nie zostanie mi dana szansa na poprawę. Że coś może bezpowrotnie przeminać.

SIERPIEŃ

Autopsja

Jadę z dziećmi na wakacje. Będziemy mieszkać na górze za Piwniczną, w letnim domu należącym do rodziny mojej pierwszej synowej. Byłam tam wiele lat wcześniej z Mateuszem i Kają, właściwie tylko ich dowoziłam. Jechaliśmy najpierw nad Popradem, a potem stromo w górę, coraz węższymi drogami, aż zatrzymaliśmy się nad górskim potokiem. Sześćioletnia wówczas Julka, siostra Kajki, zbiegła z górki, wołając: - Przyjechał mój Mateusz! - A potem, przy ognisku, usiadła mu na kolanach i udawała, że śpi. Następnego dnia spadłam z drabiny opartej o luźne deski poddasza w stodole. Wszyscy konali ze śmiechu. Było pięknie.

Teraz pokonuję tę samą drogę - z Cyrylem, Zosią i kotem Romkiem - najpierw ostrożnie, wedle instrukcji, a potem na pamięć, codziennie przez cały tydzień. Dom wchłonął stodołę, nie ma już ruchomej drabiny, ucywilizowano poddasze. Dzieci dojrzewają, są podminowane, nie umieją znaleźć wspólnego języka, rwie się ich dotychczasowa, wakacyjna zażyłość, więc na tej górze tylko nocujemy. Dni spędzamy w drodze, jeździmy po okolicy, wpadamy to tu, to tam, najczęściej do Nowego Sącza. Wtedy oni idą do kina, ja do archiwum.

Już wiem, że muszę przejrzeć księgi urodzeń, zgonów i małżeństw Izraelickiego Okręgu Metrykalnego z lat 1854-1904. Późniejsze są w Urzędzie Stanu Cywilnego, który jest dla mnie niedostępny

149

ze względu na ochronę danych osobowych. Nie mogę zobaczyć wpisu rejestrującego narodziny mego ojca i zgłębić tajemnicy tego nieszczęsnego Józefa Ringa, jakoby mojego dziadka. Więc przeglądam rubryki wypełnione po niemiecku drobnym, kaligraficznym pismem: liczba porządkowa, imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia, imię i nazwisko ojca, imię, nazwisko i pochodzenie matki. W Izraelickim Okręgu tylko matki mają jakąś rodzinę. Tylko matki mają udokumentowany rodowód. Ojcowie są dodatkami, nie tak znowu ważnymi. Dalej widnieją rubryki dotyczące legalności związku i świadków narodzin. Przy wielu pozycjach figuruje adnotacja, że rodziców połączył ślub rytualny. To znaczy, że obyło się bez rejestracji w austriackim urzędzie. W takich wypadkach dzieci otrzymują nazwisko rodowe po swojej matce.

Z grubych tomów wyzierają ku mnie jakieś Szyje, Ruchle, Trany i Szosze, pojawia się Ascher i Ojzer, Fajgel, Chaskel i Jeruchim. A tuż obok swojska Basia, Bronka i Hania. Wyłapuję Rottenbergów, Amste-rów i Lamplów. Rottenbergów jest najmniej. Za to jest sporo Ringów, ale żaden mi nie pasuje na dziadka. Amsterowie rozpowszechnili się w Nowym Sączu, a także w Łososinie, Rożnowie i Łącku. Lamplowie osiedli w Świdniku koło Limanowej. Wieczorami, na górze za Piwniczną, słuchając sierpniowego deszczu i spokojnego oddechu śpiącej Zosi, próbuję z tych notatek wydobyć rodzinne związki. Dopasowuję różne pary mogące stanowić poszczególne ogniwa w łańcuchu pokrewieństwa. Układam krzyżówki z nazwisk i imion, z dat i miejsc urodzenia, uczę się nazw okolicznych wsi i miasteczek oraz tego, jak przełożyć nazwy niemieckie na polskie. Obok świeżo poznanych nazwisk mojej rodziny pojawia się Gaj, Rożnów, Łososina, Łukawica, Muszyna, Librantowa, Posadowa, Brzozowa i Stara Wieś. Jest też Limanowa, jest Chełmiec, są Marcinkowice. Oswajam się z lokalną geografiją.

Wreszcie coś się zaczyna składać. Potwierdzają się moje przypuszczenia, że moja prababka nazywała się Lieba Lampel i była sio-

150

strą Hersza - tego, który zginął, dożywszy stu lat. Mam też prapra-dziadków, proszę bardzo, są nimi Ascher i Chaja Lampel ze Świdnika koło Limanowej. Musieli się urodzić w pierwszej ćwierci XIX wieku. Dalej wnioskuję, że Lieba wyszła za niejakiego Mozesza Rottenberga z Hutweide, czyli z Gaju, o rzut beretem od Biczyc, i chyba w tym Gaju z nim zamieszkała, bo tam przyszły na świat ich kolejne dzieci. Dwójka najstarszych - moja babka Rozalia i jej brat Samuel, ten od wyjazdu na Węgry - musiała się urodzić gdzie indziej, w innym okręgu, bo ich narodzin nie odnotowano w sądeckich księgach (albo odnotowano w tych tomach, których akurat w archiwum brakuje). Daje się jednak odnaleźć pozostałe rodzeństwo: Ascher (1880), Sara (1882), Chaja (1885), Tauba (1887). Gdzie indziej znajduję adnotację, że Lieba owdowiała w roku 1917, zatem Mozes zginął chyba śmiercią żołnierza podczas pierwszej wojny, bo hiszpanka dziesiątkowała ten region nieco później. Akurat wtedy o Taubę zaczął się starać Beri Amster, syn Judela i Doby z domu Bauman (z Nowego Sącza). Najwyższy czas - Tauba skończyła dwadzieścia lat. Judei, ojciec narzeczonego, podobnie jak Lieba, matka narzeczonej, owdowiał w 1917 roku. Czemu więc nie mieliby połączyć rodzin podwójnym węzłem i podwoić majątków? Lieba nie była już młoda, chyba przekroczyła sześćdziesiątkę, ale mogła nadal być atrakcyjna, no i miała odchowane dzieci. Oba śluby odbyły się we wrześniu 1918 roku. Lieba wyszła za Judela, Tauba za Berła. Zajęli całkiem sporą posesję, na której stoją dzisiaj trzy domy. W dwóch zapewne mieszkali Amsterowie, w trzecim, może dopiero dobudowanym w głębi podwórka, moja babka Rozalia, która - według relacji Olka - również owdowiała w 1917. Dziadek miał zginąć pod Monte Piavo. Nie jest jednak wykluczone, że Olek pomylił go z pradziadkiem Mozesem, podczas gdy dziadek mógł walczyć w Legionach - przecież jakiś Ring z Nowego Sącza dostał od Marszałka Virtuti Militari za odwagę pod Kijowem. Jego zdjęcie z lat trzydziestych znajduje się w sądeckim muzeum, zajmującym dawną synagogę. Tak więc wreszcie poznałam swoją rodzinę.

151

Przynajmniej z imion i dat urodzenia. Nie wiem, jak wyglądali. Nie wiem, jak wyglądała moja prababka Lieba. Jaki miała charakter, kolor oczu, jakie upodobania? Domyślałam się, że nie była zamożna, ale za to zaradna. Moją babkę wydała za Ringa. Sarę za Izaaka o dwóch nazwiskach: Brandel-Buchbinder, jedno po ojcu, drugie po matce, jak to było w zwyczaju w wielu rodzinach, kiedy rejestracji małżeństwa w austriackim urzędzie dokonywano już po ślubie pod chupą i po urodzeniu się dzieci. Wreszcie zabezpieczyła Taubę, a przy okazji i siebie. Znalazła się w ten sposób w pobliżu dwóch córek, trzecia mieszkała nieopodal, w tej samej wsi. Nie wiem tylko, co się stało z Ascherem i Chają, czwartą córką. Czy mogła zostać wysłana na Węgry?

O tym, gdzie mieszkali, dowiedziałam się od pana Janka. Trafiłam do niego, kiedy już wiedziałam, że dawne Biczycy Niemieckie dzisiaj nazywają się Dolne, a dawne Polskie teraz są Górne; kiedy od pana Leszka Zakrzewskiego z sądeckiego Towarzystwa Historycznego dostałam plan wsi z 1939 roku, zrobiony przez niemieckie ziomkostwo, i kiedy już umiałam trafić na właściwy most - nie ten na Kamienicy, tylko ten na Dunajcu. Droga przez ten most prowadzi do Chełmca, gdzie tata uczył się krawiectwa, a dalej właśnie do Biczyc Dolnych, niegdyś Niemieckich. Zanim się do nich wjedzie, można skręcić na lewo do Gaju, w którym osiadł mój pradziadek. Ominęłam ten skręt i znalazłam się w niewielkiej wsi. Pamiętałam, że ma ona zaledwie dwie przecznice, więc wjechałam w tę pierwszą i zatrzymałam się, żeby spytać o kogoś, kto pamięta przedwojenne czasy. Okazało się, że stanęłam pod właściwym domem.

Pan Janek najpierw wprowadził traktor do stodoły, potem zdjął gumki i zaprosił mnie do swego pokoju. Zasiadliśmy przy stole pokrytym stosami urzędowych dokumentów - okazało

się, że trafiłam do siedziby miejscowego radnego i chyba zostałam uznana za interesantkę. Poniekąd nią byłam. Podjęłam więc delikatną próbę przedstawienia celu swojej wizyty i wyciągnęłam powiększoną

152

fotografię mojej babki. Ale nie musiałam już nic więcej tłumaczyć, bo pan Janek wykrzyknął: - Rojza! - Znał ją! Znał moją babkę! Po prostu weszłam do jakiegoś domu w Biczycach i natychmiast trafiłam na jedną z trzech żyjących, ale rozproszonych po świecie osób, które znały moją babkę! Pan Janek rozpoznał też Taubę (mówił o niej Touba) i Manię. Rozpoznał mego ojca, a także Kazka, Helę i Mońka Buchbindera. To ten trzeci, nieznany mi przystojniak, widoczny na zdjęciach robionych w 1946 roku na moście, na cmentarzu i - uroczyście - u fotografa. Brat Kazka i Heli. Pan Janek wiedział również, w jaki sposób uniknęli wywózki i gdzie się ukrywali. Mówił o Zośce, nie o Hance. - Może była i Hanka, ale mieszkali u Zośki. - Niewiele z tego zrozumiałam, ale te szczegóły zostawiłam do wyjaśnienia z Helą. Chciałam, żeby mi opowiedział o Rozalii. Zaczęło mi się spieszyć, ogarnął mnie lęk, że nie zdążę dopytać się o wszystko, co ważne, że przegapię jakiś istotny szczegół, wyjadę i już nigdy - nigdy! - nie zdołam się niczego dowiedzieć. No więc się dowiaduję, że na przykład babka zajmowała się sprzedażą kosztownego mleka. Czy jest jakiś przepis na kosztowność mleka? Karmi się krowy kosztownym sianem? Pan Janek nie wie dokładnie, ale przypuszcza, że ma to raczej związek z osobą ludzką. To ona musi być kosztowna, nie krowa. (Później się dowiedziałam, że kosztowność mleka miała związek z peruką mojej babki; kobieta bez peruki nie uchodziła za całkiem kosztowną.) Babka nie miała swojej krowy, doiła cudze, zakontraktowane, a potem Mania nosiła bańki do miasta. - Aż jej się nogi skrzywiły od tych ciężarów - skomentował pan Janek. Czy można było wyżyć ze sprzedaży mleka noszonego do miasta pieszo? Jak musiały, to wyżyły. Dowiedziałam się też, że starszy Amster, mąż Tauby, był domokrążcą, a młodszy, czyli kulawy Moryc, ich syn, produkował sznurowadła, ściślejsz - tylko je wykańczał skuwkami za pomocą specjalnego urządzenia. O Morycu mówili, że we wczesnej młodości pojechał do Krakowa i nabawił się tam wstydlivej choroby. Dlatego kulał i siedział w domu przy tych sznurowadłach. Też dało się z tego

153

wyżyć. O moim ojcu usłyszałam, że był z niego dziarski ułan. Pan Janek, choć wtedy jeszcze mały, miał jakieś dziesięć lat, pamięta, jak stali na rogu pod sklepem, w eleganckich mundurach, bo z Biczyc było ich kilku „przy wojsku”, i palili papierosy. - Pani babka była Żydówką, ale wychowała pani tatę na prawdziwego Polaka - dodał na zakończenie mojej pierwszej wizyty.

Z drugą przyszłam, jak już trochę ochłonęłam. Zabrałam dzieci, aparat fotograficzny i kamerę. Kiedy ją włączyłam, pan Janek przyglądał włosy i zdjął okulary, bo go postarzały. Nie wiedział, że zanim po raz pierwszy przekroczyłam próg domu, jego dziesięcioletni syn zeznał, że tata ma osiemdziesiąt dwa lata. On z kolei wyjaśnił, że to już jego druga rodzina. Z pierwszą żoną, nieboszczką, miał czworo dzieci, teraz już dorosłych (syn stoi na czele gminy w Chełmcu). Drugą, też wdowę, pojął z trójką przychówku. No i teraz mają jedno wspólne. - To razem osiem - dodał z dumą. Powtórzył do kamery to, co powiedział poprzednio, przede wszystkim o ojcu. A ja po raz drugi wyjaśniłam z naciskiem, że tata sprzedał dom swojej matki, że nie zamierzam wnosić żadnych roszczeń i że dlatego pytam, bo po prostu chcę wiedzieć. Dopiero wtedy pan Janek zdecydował się wyjść z domu i pokazać posesję Amsterów z przebudowanym domem Tauby i pustym miejscem po przegranym w karty domu mojej babki oraz nadal stojącym i chyba od wojny niezmiennym, parterowym, drewnianym „domem Joska”. Pan Janek nie wiedział, kim był Jasek ani kim była Lea. Jej zdjęcie nic mu nie powiedziało. Potem pokazał miejsce po domu Brandłów i oborę pozostałą z gospodarstwa Lamplów. Polubiliśmy się.

Podwórko na Wałowej

Szukam z dziećmi ulicy Wałowej. Najpierw się pomyliłam - tak samo jak wtedy, kiedy szukałam tej ulicy z Ewą i Pierreem oraz -wcześniej - z Mateuszem i Kajką. Wówczas, idąc po przetartym sznurku pamięci, trafiłam na podwórko przy Lwowskiej i z goryczą skonstatowałam brak ganku, który prowadził do naszego mieszkania. Teraz byłam uważniejsza. Wałowa okazała się ulicą równoległą do Lwowskiej, odchodzącą od zmienionej na deptak Jagiellońskiej, a nie od Rynku, jak mi się zdawało. W bramie pod numerem 4 nie ma już przeciętej wążiutkimi szynami terakoty w wafel, leżą zwyczajne kostki z lastryko. Ale ściany nadal zdobi secesyjna ma-jolika cierpliwie znosząca współczesne ingerencje, czyli robione flamastrem zawijasy. Kilkumetrowe szczątki szyn wtopione są jeszcze w beton podwórka, choć znikły potłuczone luksfery, a ich miejsce zajęły dwa żeliwne burzowce; ścieka do nich wszystko, co spływa z podwórka, które stało się cuchnącym zapleczem cukierni i lodziarni, zwróconych frontem do Jagiellońskiej. Wokół nieregularnego owalu nadal biegną balustrady galeryjek pierwszego i drugiego piętra. Pod „naszym” gankiem znajduje się zejście do składu win pana Knebla. Na prawo są drzwi do mieszkania dozorczyńni - dzisiaj wyrabia się tam lody. Zniknął niewielki skrawek ziemi z rachitycznym drzewkiem. Został tylko beton i trzy szopy przyle-

155

gające do szczytowej ściany domu. Szopy są tworem czasów późniejszych.

Ganek, w którego istnienie przestałam wierzyć, objawia się nagle w całej okazałości, trochę tylko dłuższy, niż zapamiętałam. Siedzi na nim starsza pani w moim wieku, pewnie emerytka, i popija niedzielną herbatę. Wygląda tak, jakby na mnie czekała, toteż odważam się poprosić o otwarcie mieszkania, a ona się zgadza. Wchodzimy do miniaturowej sionki. Wieszak został zmieniony i całość wyłożono lakierowaną boazerią w pionowe listewki, ale właścicielka pamięta

156

jeszcze tamten stary, tonetowski, z szufladką. Z pokoju pana Rudnickiego zrobiono kuchnię. Dzięki temu nie trzeba już gotować w łazience. Prowadzą do niej teraz nowe drzwi, bezpośrednio z sionki, a te od naszego dawnego stołowego zostały zamurowane. Przestrzeń jadalni przygniata ogromna meblościanka na wysoki połysk. Secesyjna oprawa drzwi do sypialni jest na swoim miejscu. Tylko pokoje wydają się jakieś niskie.

- Podwiesiliśmy sufity - wyjaśnia nowa właścicielka.

I to już wszystko. Nie wiem, czy mieszka tu jeszcze ktokolwiek z tych, których znałam. Nie wiem, co robi mój przyjaciel Przemek, skoro nawet nie poznałam jego nazwiska. Co robi Franek, któremu urwałam kieszeń? Dokąd się udały wszystkie dzieci dozorczyńni, z którymi lubiłam spędzać czas, choć może nie do końca mnie tolerowały. Uważano mnie za dzikuskę. Ta opinia przylgnęła do mnie już po moich spotkaniach z diabłem, a utrwaliła się na dobre po wizycie jednej z klientek mamy. Musiałam być dzieckiem o zwierzęcym instynkcie, bo niektórych ludzi nie lubiłam bez widocznych powodów i reagowałam na nich jak pies, co nie każdemu pozwala się pogłaskać. Kiedy więc ta okropna kobieta już od progu porwała mnie na rękę i usadziła sobie na kolanach, próbowałam na wszystkie sposoby uwolnić się z niechcianych objęć. Naprężałam mięśnie, sztywniałam w karku, szukałam maleńkiego luzu, jakiejś odrobiny wolnej przestrzeni między sobą a nią. Bez skutku. Jej wypchnione ciało nie odbierało sygnałów albo po prostu nie chciało się zgodzić na mój niemy opór. Tak - stężała ze zgrozy, unieruchomiona w jej silnych ramionach - czekałam, aż mama przygotuje kreację do przymiarki. Mama jednak marudziła z fastrygą, a klientka przybliżyła co chwilę wielką napudrowaną twarz do mojej twarzy i wyciskała na niej soczyste całusy. Wówczas waleczny szczeniak wygrał we mnie z kulturalnym człowiekiem. Kiedy jej twarz kolejny raz zbliżyła się do mojej twarzy, złapałam zębami za nacierający na mnie ogromny nos. Nie odgryzłam go, to pewne, ale moje zęby musiały zostawić

157

całkiem wyraźny ślad. Po powrocie taty usłyszałam słowo „kompromitacja” i zrozumiałam, że ma to coś wspólnego z zachowaniem obronnym.

Wkrótce potem tata wyjaśnił, że do obrony nie służy kompromitacja tylko boks. Nastąpiło to już po moich pierwszych, nieudanych, próbach nawiązania kontaktu z rówieśnikami i po zagojeniu zadrapań na nodze, powstałych w kontakcie z luksferem. Pośmiewiskiem podwórka stałam się jednak nie tylko z powodu rozciętego podbródka, rozmów o robakach i zadrapań na prawej nodze. Do ostatecznej klęski przyczyniły się poglądy mamy na temat wychowania dzieci: należało je dobrze odżywiać i trzymać w ciepłe. Któregoś wiosennego dnia błagałam ją o pozwolenie wyjścia boso na podwórko - chciałam chociaż trochę upodobnić się do innych dzieci. Wreszcie usłyszałam, że wolno mi zdjąć buty, ale za cenę nałożenia ciepłych majtek. Ciepłe majtki były moim przekleństwem, ponieważ musiałam je nosić na widoku publicznym, niczym nieprzykryte. A jeśli nawet stanowiły część spodniej garderoby, to zawsze wystawały spod krótkich sukienek, co widać na zdjęciu ze smutnej skądinąd uroczystości odsłonięcia Pomnika Zagłady na sądeckim cmentarzu. Nie wiadomo więc było, co bardziej rozśmieszy podwórkową gromadę: buty czy majtki? Właśnie wtedy tata udzielił mi lekcji boksu. Podskakując sprężysto, należało trzymać gardę, osłaniając się zgiętymi w łokciach rękami, by w pewnej chwili błyskawicznie wyprowadzić prawy prosty i dołożyć lewym sierpowym. Osiągnęłam sukces tyleż niespodziewany, co błyskawiczny. Najpierw wpadł mi w ręce Przemek, starszy i wyższy o głowę - puściłam mu krew z nosa prawym prostym i nawet nie musiałam poprawiać lewym sierpowym. Franek był za wysoki na walkę bokserską, więc szarpałam go na swoim poziomie, w okolicach brzucha. Wróciłam z podwórka w glorii zwycięstwa. Po chwili jednak przed mamą stanął Franek i płaczącym głosem naskarżył: - Proszę pani, a Anda mi kieszeń urwała! - Chciałam krzyknąć, że to jest nie fair, ale nie znałam jeszcze tego pojęcia. Zostałam wysłana

158

do kąta w sypialni i musiałam tam stać, aż mama zaszyje rozerwaną kieszeń Franka.

Niesprawiedliwa kara za bohaterski czyn, której wówczas doświadczyłam pierwszy raz w życiu, pchnęła mnie do pierwszego kłamstwa. Poszło o znienawidzone majtki. Szykując się do wyjścia z domu, mama jak zwykle kazała mi je włożyć, bo słońce zachodzi i może zrobić się zimno. Wysłuchałam instrukcji, ale majtek nie włożyłam. Szliśmy akurat przez most na Kamienicy i właśnie ogarniał nas rzeczny chłód, kiedy mama kontrolnie spytała: - Masz ciepłe majtki? - Odpowiedziałam twierdząco i zdrętwiałam na myśl o scenie, jaka się rozegra, kiedy mama wsadzi mi dłoń pod spódniczkę i zamiast barchanu wyczuje bawełnę letnich majteczek. Ale nic takiego nie nastąpiło. W ogóle nic się nie stało. Ani księżyc, który właśnie ukazał się nad horyzontem, nie wpadł do rzeki, co mi wielokrotnie obiecywano, ani nie urósł mi pypeć na języku, ani z nadrzecznych olch nie wyskoczył diabeł. Przez całą drogę powrotną drżałam, że mama znów zapyta o majtki i tym razem może sprawdzić. Nie sprawdziła. Kary nie było, ale lęk tamtej wędrówki przez most na Kamienicy pamiętam do dziś.

Urwana kieszeń Franka i rozbity nos Przemka postawiły mnie odpowiednio wysoko w podwórkowej hierarchii. Przemek obdarzył mnie swoją przyjaźnią i odtąd byłam wtajemniczana we wszystkie podwórkowe sprawy. Dowiedziałam się na przykład, że szyny biegnące przez sień i podwórko prowadzą do składu win, a szyjki butelek ozdabia się wspaniałym sreberkiem, czasami występującym też w odcieniu złotym, zielonym i malinowym. Na dowód, że nie kłamie, Przemek wskazał zakratowane piwniczne okienko bez szyb, akurat pod naszym mieszkaniem. Piwnica tonęła w mroku. Przemek zapalił zapałkę i wówczas zobaczyłam zatopione w drewnianych wióрах szyjki butelek o cudownych barwach. Drugą płonąca zapałkę dostałam do ręki i Przemek doradził: - Rzuć, będzie jaśniej. - Pożaru nie udało się ugasić kubkiem wody, o który poprosiłam mamę. Mimo to

159

nie spłoneliśmy. Przyznałam się mężnie do podpalenia i tym razem karę samotności w kącie odbyłam na klęczkach. Fakt, że nie zakapowałam Przemka, bardzo wzmocnił naszą przyjaźń. Ja ze swej strony gotowa byłam przychylić nieba całej gromadzie, byle nie siedzieć w domu. Toteż z ochotą pobiegłam do mamy, kiedy dowiedziałam się, że chleb z masłem i cukrem jest przysmakiem wszystkich. Kursowałam ze słodkimi kromkami, zbiegając z ganku na podwórko i wracałam po następne. Przy kolejnym obrocie zawadziłam nogą o podniszczony dywanik i wyrznęłam głową w stołową nogę. Na szczęście noga miała zaokrąglony kant, dzięki czemu żyję. Rozciąłam jednak skórę między brwiami, z której sikała krew. Oprzytomniałam na sali operacyjnej, kiedy przywiązywano mnie do szpitalnego łóżka. Chciałam zaprotestować, wyjaśnić, że jestem odważna i nie będę się szarpać, ale przytknięto mi do nosa śmierdzący okład i pogrążyłam się w nicości. Ocknęłam się w dorożce podskakującej z głośnym turkotem na kocich łbach sądeckiej

160

ulicy. Ale plotka była od nas szybsza. Moja obandażowana głowa wzbudziła natychmiastowe komentarze całego miasteczka i hiobowa wieść dotarła do ojca, zanim wyszedł z pracy. Do domu musiał wrócić późno, bo gdy zasypiałam, jeszcze go nie było. Obudził mnie hałas. Po omacku podreptałam do drzwi i stanęłam na progu jadalni. Jej wnętrze było jasno oświetlone. Mama, spokojniejsza niż kiedykolwiek, siedziała na fotelu z założonymi rękami. Tata natomiast stał twarzą do kredensu i trzymanym oburącz krzesłem metodycznie tłukł berlińską karbowaną porcelaną, zdobioną w kobaltowe desenie. Zdążył już rozbić stołową zastawę, bo podłoga usiana była roztrzaskanymi odłamkami. Na mój widok znieruchomiał z krzesłem nad głową. - Siku - powiedziałam spokojnie. A kiedy, siedząc na nocniku, kontemplowałam rozrzucone po podłodze porcelanowe skorupy, tata ubrał się i wyszedł. Nie padło ani jedno słowo. Usłyszałam, jak zbiega po schodach ganku, i zostałyśmy same.

Minęło kilka tygodni. Nie pamiętam, żebyśmy choć raz rozmawiały na jego temat. Żyłyśmy, jak gdyby nic się nie stało. Mama szyła i gotowała, a także prała, sprzątała i myła naczynia (mimo egzemy, która pojawiła się na jej szczipłych, delikatnych dłoniach), bo Stefka wyszła za jednego z żołnierzy wyczekujących na nią w sieni i sama została gospodynią. Podwórko, oczywiście, wiedziało o wszystkim, choć nikt nigdy o nic nie zapytał. Przemek zdradził się ze swoją wiedzą dopiero w dniu powrotu taty. Siedząc pod jedynym podwórkowym drzewem, dostrzegłam kątem oka, jak wychodzi z ciemnej sieni, z nieodzowną teczką w dłoni i prochowcem przewieszonym przez ramię. Odwróciłam się błyskawicznie i z zapamiętaniem zaczęłam gmerać w ziemi. Udawałam, że go nie widzę. A kiedy tata wspiął się już na ganek i wszedł do mieszkania, Przemek wypalił mi do ucha:

- Anda, twój tata wrócił! - Spojrzałam na niego wyniośle i wycedziłam: - No to co? -

Przesiedziałam na podwórku cały długi proces rozmów pojednawczych i dałam się namówić na powrót do

161

domu dopiero wówczas, kiedy tata wyszedł i przeprosił mnie na oczach oniemiałej dzieciarni. Przeprosiny nie odwróciły jednak biegu rzeczy, ponieważ poprzedzająca je sekwencja zdarzeń zaciążyła na całym moim życiu: wyrobiła we mnie odruch ukrywania przed rodzicami nie tylko skaleczeń, ale też innych nieprzyjemnych faktów i „przewinień” oraz nauczyła wychodzenia z domu. Tę drugą opcję przeciwczyłam już wkrótce po powrocie taty. Coś zbroiłam, zaczęły się krzyki, sytuacja zrobiła się niewygodna, więc podjęłam decyzję. - Odchodzę - oznajmiłam stanowczo. - Idę w świat. - Wyciągnęłam przywiezioną ze Świnoujścia walizeczkę, spakowałam do niej swą jedyną lalkę i wyszłam z domu przez nikogo niezatrzymywana. Dziarskim krokiem przemaszerowałam przez podwórko, przeszłam przez sień z szynami i ruszyłam w lewo Wałową, a następnie w prawo do Rynku. Minęłam różową secesyjną kamieniczkę, potem kilka innych, mniej efektownych domów i zesłam Krakowską w dół, do Kamienicy. Bez trudu znalazłam numer 12 i schody na drugie piętro,

wyszłam na galerijkę i zapukałam do znajomych drzwi. Zdumionej Hance oznajmiłam, że właśnie odeszłam z domu i postanowiłam teraz zamieszkać z nimi. O nic więcej nie pytali. Dostałam kolację i błogo zasnęłam w ich ogromnym łożu. Ranek był wspaniały. Leżałam między Hanką i Kazkiem, świeciło słońce, a ja zaczynałam zupełnie nowe życie. I wtedy nastąpił niespodziewany zwrot akcji. - Cieszę się, że ci się u nas podoba, ale chyba o czymś zapomniałaś - powiedział ostrożnie Kazek. O czym mogłam zapomnieć? Przecież nie mam nic prócz lalki. Wtedy się dowiedziałam, że zapomniałam przeprosić rodziców, ale gdybym chciała to zrobić, to oni akurat tutaj są. Znowu zdrada! Zrozumiałam, że dalsza dyskusja jest bez sensu i trzeba wracać.

Sprawdzam dom Kazka. Umiem już jeździć po centrum miasta, jakoś mi idzie poruszanie się po jednokierunkowych, zapadniętych uliczkach. Wczoraj wreszcie zjechałam Lwowską w dół, przejecha-

162

łam przez mostek na Kamienicy i wypatrzyłam numer 31, pod którym ojciec mieszkał przed wojną. Całkiem przyzwoita kamieniczka, piętrowa, murowana, wówczas chyba nowa. Za mostem rozciągała się druga część getta, które biegło wzdłuż rzeki ulicą Kraszewskiego (mieszkała przy niej nieznaną mi Lea, może dopiero po wysiedleniu z Marcinkowic albo z Biczyc, z małego domku do takiego samego, tyle że na sądeckim Piekło), dochodziło do drugiego mostu przy dawnej Krakowskiej, a potem ciągnęło się wzdłuż Rybackiej, gdzie znajdował się cmentarz i miejsce kaźni. Trafiłam tam dopiero po zwiedzeniu domu Kazka. Tym razem pamięć z dzieciństwa zrewidowała rzeczywistość. Zapamiętałam, że przedłużenie Jagiellońskiej po drugiej stronie Rynku, w stronę drugiego mostu, stanowiła ulica Krakowska. Pojechałam tam na intuicję i znów zwątpiłam, bo znalazłam się na Piotra Skargi. Brama numeru 12 wydała mi się jednak znajoma. Przeszłam więc przez brudną, odrapaną sień na czworokątne podwórko z galerijkami, jak wszędzie tutaj. Na pierwszym piętrze, pod drzwiami swego mieszkania, a jakże (niech Bóg błogosławi ten upał), siedział lokator z papierosem i kawą. Też na mnie czekał. - Dawniej ta ulica nazywała się Krakowska - usłyszałam i już wiedziałam, że jestem we właściwym miejscu. Czy to nie pięknie, że ludzie w Sączu lubią sobie posiedzieć na ganku?

W mieszkaniu Kazka na drugim piętrze mieszkają teraz Cyganie, tak mówi ten z pierwszego. Ale może mi pokazać swoje. Ma o jeden pokój więcej, a z tego pierwszego zrobił przedsionek i kuchnię. Istotnie. Jest ciaśniej, niż pamiętam. A pamiętam raptem tyle, że niemal całą sypialnię zajmowało wielkie łóżko Kazka i Hanki i że w kuchni, tuż przy drzwiach wejściowych, znajdował się żeliwny zlew. - Zlewu teraz nie ma, ale był - potwierdza lokator z pierwszego. Podwórko jeszcze bardziej zaniedbane niż na Wałowej, schody jeszcze bardziej wyszlizgane, sień nieremontowana od wieków. Wszystko to chyba kwaterunkowe. - Przed wojną - wyjaśnia gospodarz - dom należał do bogatszych Żydów, mieszkania biegły przez całe piętro. Teraz nie

163

ma kto remontować, dom czeka na spadkobierców, może się znajdą. Jeden, w Rynku, już oddano. A tych z drugiego piętra, nade mną, to nie pamiętam. Ale coś słyszałem. Sąsiadka mieszka tu dłużej, może znała?

Sąsiadka o miłej, wesołej twarzy wprowadziła się, jak miała dwanaście lat. W roku 1962. Owszem, znała Kazka. Pamięta go, bo był miły. I miał miłą żonę, Halinę. I dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, też bardzo miłych. Wyjechali kilka lat później. Nie pamięta dokładnie, mógł to być 1967 albo 1968? Hanki też nie pamięta. Nie znała jej. Wie tylko, że była taka jedna, chciała, żeby się przechrzci!, a on obiecał, lecz potem zrezygnował. To go rzuciła. Później się chyba jednak przechrzcił dla Halinki, bo pamięta, jak wyprawiali komunię swojej córki. Zaprosili ją. Innych sąsiadów też.

Teraz trzeba będzie poszukać Jakuba Millera, o którym przeczytałam w ŻIH-u artykuł, że jest ostatnim Żydem w Nowym Sączu, wszystkich znał i wszystko pamięta. Może też znał moją rodzinę i coś mi o niej opowie, myślę z nadzieją. Wykręcam numer do punktu kontaktowego w domu miejscowej pani Basi. Od razu daje mi słuchawkę. Umawiamy się na Rybackiej, pierwsza w lewo za mostem. Wychodzę z sieni i już wiem, gdzie jestem. Na most idzie się w dół, obok kasztanów. Dziś go nie widać, został zastąpiony jakąś arogancką, współczesną budowlą z ciemnego szkła i żółtego aluminium. Skręcam w Rybacką. Numer 3, drugi domek od skrzyżowania. Proszę na piętro, do czystutkiej kuchni. Jakub Miller, malutki i chudziutki, siedzi przy niewielkim stole i je rosół. Na zewnątrz jest trzydzieści stopni w cieniu. Rosół jest z makaronem. Na drugie ćwiartka gotowanego kurczaczka. Malutka ćwiarteczka malutkiego kurczaczka - niedorostka, takiego jak Jakub. Wyciągam jedno z grupowych zdjęć, wskazuję na ojca. Oczywiście, znów dobrze trafiłam. Odpowiedź jest natychmiastowa: - Nie musisz pokazywać, jesteś do niego podobna! - Potem następuje identyfikacja pozostałych. Jakub sypie nazwiskami, które natychmiast odbijają się echem w mojej pa-

164

mięci: Lenz, Rajbszajd, Mojsie Byk. Pani Basia, drobna, szczupluta brunetka, krząta się spokojnie po kuchni, szykuje herbatę, ale zerka na zdjęcia z wyraźnym zainteresowaniem. Prosi o odbitki - bo kiedy Jakub jest akurat w Szwecji, to ona oprowadza po cmentarzu. Siebie Jakub rozpoznaje na zdjęciu przedstawiającym kilkunastu poważnych mężczyzn zgromadzonych wokół pomnika i dwie uśmiechnięte dziewczynki siedzące na cokole. Jedną z nich jestem ja, drugą Ruta Rajbszajd - jedyna koleżanka, jaką pamiętam z tamtych lat. Jakub na tym zdjęciu jest młodym mężczyzną w kapeluszu i z papierosem. Chyba się już nie zmieścił na drugim planie razem z innymi dorosłymi i przycupnął obok mnie. Sądząc z daty na odwrocie fotografii, miałam wówczas skończone trzy lata.

165

Jakub Miller, strażnik pamięci, jest w Nowym Sączu poniekąd „na przychodne”. Wyrzucony w 1968 roku ze spółdzielni krawieckiej, którą w 1946 czy 1947 zakładał z moim ojcem, wyjechał jako jeden z ostatnich. Trafił do Szwecji, dorobił się emerytury i spędza w Sączu każde lato. Oprowadza po cmentarzu, pokazuje ohel cadyka Chaima Halbersztama - twórcy sądeckiego odłamu chasydyzmu „dla ubogich” - a potem pali górę listów z życzeniami, które zostawiają wyznawcy. Właściwie te listy nie są do cadyka, tylko do Boga. Cadyk jest pośrednikiem, ma przedstawić sprawy spisane na kartkach i wstawić się za piszącymi, by zostali wysłuchani. Więc nie ma po co trzymać tych wszystkich papierów, trzeba zrobić miejsce na następne. W sezonie są tego całe góry. Do Halbersztama przyjeżdżają Żydzi z całego świata, najczęściej z Nowego Jorku i Budapesztu. Ci z Budapesztu znają jidysz i łatwo się z nimi porozumieć. Przyjezdni z Ameryki potrzebują tłumacza, bo Jakub nie zna angielskiego ani hebrajskiego. Mimo tych braków zdobył część środków na postawienie, tuż przy bramie cmentarza, małego domu pielgrzyma. Będzie tam niewielka rytualna łaźnia i koszerna kuchnia. Na razie jest tylko połowa domu, bo szczodrość zwiedzających jest ograniczona. Nawet jak korzystają z toalety u Basi, to jej nie zawsze zostawiają dolara. A co to dzisiaj jest dolar? Jakuba to martwi, bo ma już prawie osiemdziesiąt siedem lat, chociaż wygląda młodziej. Na jakieś osiemdziesiąt cztery. Ale gdyby co... to przecież nie ma go kto zastąpić i sprawa pozostanie rozgrzebana. Dobrze chociaż, że zdążył odremontować malutką bożniczkę przy Jagiellońskiej 12. W przeciwieństwie do kilkunastu innych, akurat ta ocalała, ponieważ była schowana w podwórku i podczas okupacji służyła za skład drewna. Później zresztą też. Teraz Jakub modli się w niej samotnie, prosząc Boga o trochę czasu na załatwienie spraw cmentarza. Trzeba kosić trawę, żeby wszystko nie zarosło zielskiem. Trzeba konserwować wyrwane z bruku macewy, a tyle innych nadal czeka pod tynkiem sądeckich murów. Warto by je wyłuskać i porządnie ustawić na cmentarzu. Miejsca jest dosyć, na-

166

wet dla dziesięciu tysięcy zgonionych do miejscowego getta z całego powiatu, a także dla tych siedmuset przywiezionych z Łodzi. Tylko że ich prochy zostały w Bełczu.

Następnego dnia Jakub pokazał mi niszczący nagrobek Geni Brandel, przy którym mój ojciec z Kazkiem i jego bratem Monkiem fotografowali się po wojnie, i usiadł na zmurszałym cokole pomnika,

pod którym mamy wspólne zdjęcie. Pokazał mi też ostatnią macewę sądeckiego Żyda, Chaima Ringa, urodzonego 15 maja 1887, zmarłego 10 sierpnia 1967 roku. Niewykluczone, że to ten sam, który przed wojną przewodniczył sądeckiemu Towarzystwu Żydowskich Kombatantów i został odznaczony przez Marszałka krzyżem Virtuti Militari. Albo jego krewny. I być może krewny mego dziadka Józefa Ringa, który - jak mówią - zginął jako austriacki żołnierz.

Cmentarz to nie jedyna zgrzyzota Jakuba. Po pracowitych letnich miesiącach spędzanych w Nowym Sączu Jakub musi wracać do Malmö. Szwedzka zima jest długa i smutna. Dzieci wyjechały, żona

167

umarła. Nie ma do kogo gęby otworzyć. Więc Jakub poszukuje kobiety na zimę, żeby sobie z nią gawędzić o tych wszystkich sprawach, które zaprzatają jego głowę i serce. Ze Szwedką na te tematy nie pogadasz. A sądeczanki nie chcą. Tyle się już naprosił, napytał. Przecież przyjadą na gotowe. Jest duże mieszkanie, dwie sypialnie, jest pralka, zmywarka, lodówka zawsze pełna. Może być nawet kieszonkowe. Chodzi tylko o tę bratnią duszę. Na zimę. Nie na życie. Małżeństwo nie wchodzi w grę. Ale czemu się nie zaprzyjaźnić?

Brama cmentarza znajduje się na wprost domku Basi. Spacerujemy po niedawno skoszonych trawie, z rzadka wysadzonej zniszczonymi macewami. Nagrobek Geni Brandel, który znam ze zdjęć robionych w 1946 roku, już dawno utracił świeżość, wyryte w lastryko litery są mało czytelne. Jakub może się zająć odnowieniem, jeśli Hela nadal żyje w Kanadzie i zechce to sfinansować. Helę też znał. Znał wszystkich Żydów z Nowego Sącza. Zwłaszcza tych powojennych. Przedwojennych było za dużo, kto by spamiętał tyle ludzi? Ale tych kilkudziesięciu, którzy się odnaleźli po wojnie, zapamiętać łatwo. Wyjeżdżali po kolei. Pierwsza fala w 1946. Wtedy wyjechało najwięcej. Jakub nie wyjaśnia, dlaczego wyjechali, a ja nie pytam. Oboje znamy powód. Właśnie wtedy wyjechała Hela i jej brat Monek. Druga fala, ta po 1956, zabrała Lustigów i Kneblów oraz rodziców Ruty, z którą siedzę na cokole pomnika, ale oni zdecydowali się dopiero po tym, jak Ruta zdała maturę. Miller został do końca, czyli do 1968. Tak więc wyjechał, ale wrócił, jak tylko było można. I opowiada. Że Kazek nie ukrywał się oczywiście w żadnych leśnych bunkrach, tylko u Hanki. Nie w Białej Wodzie, jak napisano w historycznym opracowaniu, tylko w Łukawicy. Hanka była z domu Sikoń (wreszcie poznaję jej nazwisko). To prawda, że odeszła od niego, bo nie chciał się przechrzcić, chociaż jej to obiecał. A może i przez wódkę? Potrafił wypić litr, a nic po nim nie było znać. Też pracował w spółdzielni. Jako kasjer. Wyuczony zawód jubilera uprawiał dorywczo - dla znajomych i przyjaciół. Jakubowi, na przykład, zrobił ślubną obrączkę.

168

Ale najczęściej grał na weselach, w soboty i niedziele. Potem to nawet założył zespół. Co innego Michał. Do ojca mówiono Michał albo Misza, bo tak się do niego zwracała mama. - Twój ojciec to był mistrz! Nie taki zwykły krawiec jak ja. On umiał wziąć miarę i sam narysować formę. Z głowy. Najlepszy w Sączu. Przed wojną nie pracował u żadnego Grinberga. Pracował u polskiego krawca Rechowicza, Jagiellońska 29. Najlepszy zakład w mieście! Żeby przed wojną polski krawiec wziął Żyda, to trzeba było ho-ho!

Idziemy na Jagiellońską. Ja filmuję, Zosia robi zdjęcia. Rejestrujemy uratowaną bożniczkę pod numerem 12 i dom pod numerem 29, w którym mieścił się zakład krawiecki Rechowicza, obecnie Mięso - Wędliny. W kawiarni na Rynku spotykamy znajomą Jakuba. Okazuje się, że

to moja koleżanka z dzieciństwa. Nie pamiętam jej. Ani imienia, ani nazwiska, ani twarzy. Ale ona pamięta świetnie, bardzo się do mnie przyznaje i chętnie mnie zaprosi do siebie. Razem z wnukami, oczywiście. Wygląda na właścicielkę sklepu z galanterią. Może być też wielobranżowy.

- Jestem ostatnią Żydówką w Nowym Sączu - opowiada. - Nigdzie nie wyjechałam i nie wyjadę. Kiedyś przyszli do mamy z pytaniem, czy nie chciałaby wyjechać, bo może jej nie odpowiada polska polityka. Na temat polityki nie chciała się wypowiadać. Wyjechać też nie chciała. Więc zostałyśmy. Mój ojciec był w getcie funkcyjnym. Nie w Sączu, my jesteśmy z dalszych okolic. Wiedział, że będzie wywózka, więc obluźował deski w ogrodzeniu i wypuścił połowę członków rodziny. W tym moją mamę ze mną, bo ja się urodziłam w getcie. Po drugiej stronie czekał umówiony znajomy z wozem. Niestety, Niemcy przyszli wcześniej, niż zapowiadali. Zamiast o czwartej po południu, byli już o jedenastej rano. Więc ojciec nie zdążył wypuścić drugiej partii. Sam też nie zdążył uciec. W ten sposób połowa rodziny zginęła, on również. A mnie z mamą i wujkiem Polacy wywieźli na wieś i do końca wojny siedziałam w piwnicy. Trzy lata. Ale przeżyłam, mam córkę, wnuki i jakoś sobie radzę.

169

Jakub wraca na Rybacką z nosem na kwintę. - Widzisz, jaka ona jest? Ciebie zaprosiła w mojej obecności, a mnie nie. Nigdy jeszcze mnie nie zaprosiła. Tacy są ludzie.

Korespondencja służbowa

Wiosna i kawałek lata mijają na czekaniu. Aż się wyczerpią procedury. Po powrocie z wakacji zastaję dwa urzędowe pisma, oba podpisane przez p. o. naczelnika Wydziału Kryminalnego nazwiskiem Myszą. Skąd oni biorą takie pseudonimy? W piśmie pierwszym Myszą mnie informuje „na podstawie Kodeksu Postępowania Administracyjnego”, że z uwagi na konieczność dokładnego przeanalizowania ustaleń dotyczących mojej skargi nie jest możliwe udzielenie mi odpowiedzi w ustawowym terminie. Bezosobowo. Nie jest możliwe. Ale będzie. Po ponownym rozpatrzeniu, a to nastąpi 4 sierpnia. 2 sierpnia pan naczelnik obiecuje, że za dwa dni zabierze się do roboty. I jeszcze tego samego dnia ten sam Myszą pisze do mnie drugi list, w którym opowiada mi, co już wiem: że zgłosiłam zaginięcie i zdeponowałam swój materiał genetyczny, że Zakład Medycyny Sądowej dysponuje też materiałem ojca, że była reorganizacja i sprawy wędrowały z jednego komisariatu do drugiego, że miały miejsce niedociągnięcia proceduralne, ale sprawa jest na dobrej drodze, bo przecież są nasze próbki i jest też „materiał porównawczy”, który nagle się znalazł w prokuraturze, więc porównają i będą wszystko wiedzieć. „Termin wydania opinii został wstępnie określony na początek sierpnia 2007 roku” - pisze do mnie na początku sierpnia Myszą Remigiusz i dodaje, że sprawa została objęta

171

jego specjalnym nadzorem w celu „doprowadzenia do jak najszybszego zakończenia prowadzonych czynności”. Pozostaje z wyrazami szacunku. Rozumiem z tego, że panowie policjanci przez cztery miesiące próbowali się wykręcić od czegoś, co - jak mi się do niedawna wydawało - należy do rutynowych elementów śledztwa, a teraz nagle zrozumieli, że nie unikną badań genetycznych, i przypomnieli sobie o „zdeponowanym materiale”. Oddycham z ulgą. Jeśli nawet Myszą posługuje się samymi eufemizmami, to zdradził przynajmniej istnienie prokuratorskich akt i „próbki”. Jest już co prawda koniec sierpnia, termin uzyskania wyników dawno minął, ale rozumiem, że mogę się ich spodziewać lada dzień.

Kiedy więc dzwoni znajomy aspirant z Wilczej, serce mi podskakuje do gardła i nie umiem się skoncentrować na tym, co ma mi do powiedzenia. Ale on tylko umawia mnie na ponowne pobranie materiału genetycznego. Tamten, oddany wcześniej, jeszcze w roku 2001, jest nieważny, bo zostawiłam go pod nieobecność funkcjonariusza. Nie wyczerpałam procedur, kiedy się zgłosiłam ze skierowaniem od policji do Zakładu Medycyny Sądowej na ulicę Oczki

ani kiedy Alicja zaprowadziła tam Wu, ojca mego dziecka, żeby też sobie dał utoczyć kilka kropel krwi. Okazało się teraz, że tamta krew nie spełnia warunków i muszę się poddać ponownej procedurze. Jadę więc na komendę i pluję na szpatułkę w obecności dwóch urzędowych świadków. Policjanci z namaszczeniem sporządzają protokół i wszyscy się pod nim podpisujemy. „Materiał” zostaje uroczyście zapakowany w bezpieczne koperty i oznakowany specjalnym szyfrem. Na rezultat mam czekać około czterech tygodni. Albo niewiele dłużej, może około sześciu.

Trzy historie

Sądeckizna ma trzy różne historie. Najdłuższa jest historia związana z zawartością warstw kulturowych i dotyczy raczej okolic niż samego miasta. Od sięgających neolitu wykopalisk archeologicznych przechodzi ona jednym skokiem w czasy chrześcijaństwa, w okres kształtowania się polskiej państwowości i do pierwszych wzmianek o mieście około połowy XIII wieku, następnie płynie dalej i wartką strugą wlewa się w dzień dzisiejszy. Są tam nazwiska królów, wojskowych dowódców i znakomitych mieszczan, nazwy kościołów i okolicznych wsi. Mówi się w niej o arianach polskich z niemiecko brzmiącymi nazwiskami oraz o dotykających miasta kłeskach żywiolowych. Z tej historii, zamieszczonej na lokalnej stronie internetowej, można się dowiedzieć, że na terenie gminy Chełmiec rozwinięta była kultura ceramiki sznurowej, a jej stanowiska znajdują się także w Marcinkowicach, Piątkowej i Paszynie, oraz że w wieku XIII pojawiają się w źródłach pisanych wzmianki o takich miejscowościach jak Świniarsko, Niskowa, Biczycze, Chełmiec, Kłęczany i Rdziostów. Wszystkie te miejscowości związane były z osobą świętej Kingi, założycielki starosądeckiego klasztoru Klarysek. Równie stare są Wielogłowy i Wielopole, skąd wywodzą się rody szlacheckie Wielo-głowskich i Wielopolskich. W kolejnych wiekach, dzięki osadnictwu mieszczan sądeckich, pojawiły się Piątkowa, Paszyn, Kunów, Kurów,

173

Januszowa i Librantowa. Nowy Sącz uzyskał przywilej lokacyjny 8 listopada 1292 od króla Wacława II (skądinąd czeskiego). Swój ówczesny rozwój miasto zawdzięczało licznym przywilejom oraz położeniu na szlaku handlowym na Węgry. W XIV wieku wybudowany został zamek i mury obronne. Średniowieczny rozwój zahamowały dopiero kilkakrotne powodzie, pożary oraz epidemie. W wiekach XVI i XVII w okolicach Nowego Sącza rozwijali działalność arianie głoszący zasadę dyteizmu (między innymi Jonasz i Wespazjan Schlichtyngowie), a w mieście funkcjonowała w latach 1556-1616 ich szkoła i zbór. 13 grudnia 1655 roku mieszczanie sądeccy uwolnili miasto od szwedzkich najeźdźców, a w roku 1683 Nowy Sącz odwiedził Jan III Sobieski, wracający do kraju po zwycięskiej bitwie pod Wiedniem. Od 1772 roku, wskutek pierwszego rozbioru Polski, miasto znalazło się w granicach Austrii, w Galicji. Zostało wówczas urzędowo przemianowane na Neu Sandez i awansowane w roku 1889 do rangi gminy miejskiej. Podczas pierwszej wojny światowej (w latach 1914-1915) było przejściowo okupowane przez Rosjan, a następnie ponownie zajęte przez wojska państw centralnych. Wyzwolone w 1918 roku, powróciło do odrodzonej Rzeczypospolitej. Podczas kampanii wrześniowej 1939 roku Nowy Sącz bronił się krótko: już 6 września został zajęty przez wojska niemieckie. W latach okupacji prowadziły tędy szlaki przerzutu żołnierzy na Węgry, do organizowanej we Francji, a potem w Anglii, armii polskiej. 20 stycznia 1945 roku, po trzydniowych walkach, do miasta wkroczyły jednostki 38. Armii generała pułkownika Kiryła Moskalenki. Za bohaterską postawę w czasie wojny miasto odznaczone zostało w roku 1946 Orderem Krzyża Grunwaldu III klasy.

Druga historia jest historią mieszkających na tych ziemiach Żydów. Zaczyna się wraz z ich przybyciem na te tereny i kończy w połowie roku 1942, choć ma jeszcze nienapisany aneks sięgający roku 1968. W tej historii także wymienia się nazwiska królów, ale w zupełnie innym kontekście. Według jej skróconej wersji pierw-

174

sze wzmianki o Żydach mieszkających w Nowym Sączu pochodzą z lat 1469 i 1503. W roku 1675 Michał Korybut Wiśniowiecki nadał istniejącej formalnie od roku 1667 gminie żydowskiej przywilej budowy synagogi, przy czym zezwolenie administracyjne na jej wzniesienie uzyskano od starosty sądeckiego dopiero dwadzieścia trzy lata później. Powstała bożnica niezbyt okazała (ograniczały to przepisy miejskie), ale murowana, z barokową polichromowaną salą modłów. Mimo niewielkich rozmiarów górowała nad otoczeniem dzięki czterospadowemu, wysokiemu dachowi zwanemu polskim. (Przeznaczona przez hitlerowców do wyburzenia, przypadkiem ocalała. Po wojnie mieścił się w niej magazyn nawozów sztucznych i opakowań szklanych. Dopiero w 1971 roku podjęto remont oraz adaptację dla potrzeb ekspozycyjnych Muzeum Okręgowego z salą poświęconą nowosądeckim Żydom.) Zgodnie z wolą Zygmunta III Żydzi na równi z mieszczanami mieli brać udział w odbudowie umocnień miejskich. W 1765 roku Stanisław August potwierdził wcześniejsze przywileje dające mniejszości żydowskiej (liczącej wówczas 609 osób) prawo do wznoszenia domów na pustych działkach, ale już w XIX wieku wydzielono w mieście osobną żydowską dzielnicę. Nowy Sącz stał się ważnym ośrodkiem myśli i nauki chasydzkiej, odkąd w 1830 roku założył tutaj swój dwór cadyk Chaim Halberstam. Chasydów sądeckich i ich zwolenników w innych miastach zwano potocznie Zanzer Chasidim. W roku 1880 w mieście było już ponad pięć tysięcy Żydów, zajmujących się krawiectwem, grawerstwem, handlem drewnem i produktami rolnymi. Ich liczba szybko rosła i w roku 1921 doszła już do dziewięciu tysięcy, co stanowiło 34 procent ludności miasta. Pod koniec XIX wieku powstało należące do fundacji barona Hirscha żydowskie gimnazjum. W dwudziestoleciu działały tu różnego rodzaju towarzystwa dobroczynne, sierociniec, chóry, biblioteki, Stowarzyszenie Teatralne ITAG, okresowo teatr, kluby sportowe Makabi i Spartakus, korporacje kupieckie, związki zawodowe i partie polityczne. Tuż przed wybuchem wojny w mie-

175
ście żyło około 10 tysięcy Żydów, w okolicach następne 5 tysięcy. Od początku okupacji przymuszano ich do niewolniczej pracy, między innymi w obozach w Chełmcu, Lipiu, Rożnowie, Rytrze, a także w warsztatach na terenie getta. Pierwsza duża egzekucja odbyła się w maju 1940 roku, a granice zamkniętej dzielnicy wytyczono ostatecznie w roku następnym. W końcu sierpnia 1942 roku nastąpiła likwidacja getta i deportacja do obozu zagłady w Bełżcu. Ocalały tylko pojedyncze osoby ukrywające się głównie w miejscowościach podsądeckich.

Trzecią historią jest historia osiadłych na tych terenach Niemców. Przybyli oni w końcu wieku XVIII w ramach tak zwanej kolonizacji józeffińskiej. Wyjechali na początku roku 1745. Historia Niemców jest więc najkrótsza. Zorganizowaną akcją kolonizacyjną w dobrach rządowych monarchii austro-węgierskiej zainicjowała cesarzowa Maria Teresa; wydany przez nią patent z roku 1774 dopuszczał jednak tylko kolonizację rzemieślniczą w miastach. Warunki stawiane osadnikom miały zapobiec protestom galicyjskich katolików przeciwko sprowadzaniu ewangelickich osadników-rolników, częściowo zaś wynikały także z niechęci cesarzowej do protestantów. Zwolennikiem kolonizacji o szerszym zasięgu był natomiast jej syn, Józef II. Podpisany przez niego 17 września 1781 roku patent cesarski, wzorujący się na rozwiązaniach kolonizacyjnych Fryderyka Wielkiego, rozpoczął akcję na szeroką skalę. Oficjalnym celem akcji miało być podniesienie stanu gospodarki. Cesarski dokument dopuszczał kolonizację rolniczą, a wydany dodatkowo patent tolerancyjny uwzględnił też protestantów. Na tereny kolonizowane przybyli osadnicy z Niemiec, przeważnie z Nadrenii i Palatynatu, dlatego nazywano ich Pfalzen Schwaben. Przeznaczono dla nich głównie folwarki w dobrach kameralnych (dawne królewszczyzny) oraz ziemie zlikwidowanych klasztorów. Osady lokowano obok istniejących wsi lub w ich obrębie, z wytyczeniem osobnego układu urbanistycznego. Akcję zakończono w roku 1789, pozwalając jednak mieszkającym już osadnikom na

tworzenie nowych siedlisk. Ocenia się, że ich liczba wyniosła około osiemnastu tysięcy. W tym czasie powstało sto dwadzieścia niemieckich i pięćdziesiąt pięć mieszanych osad. Wszystkie budynki mieszkalne sytuowano blisko drogi, a stajnia i dom tworzyły całość (jak we Frommenhausen koło Rottenburga). Domy musiały posiadać kominy oraz kryte słomą bądź gontem dwuspadowe dachy. Na jedną rodzinę przypadało przeciętnie od dwudziestu do dwudziestu pięciu korców ziemi. Niektóre kolonie wprowadziły nieznany na terenie Karpat geometryczny kształt wsi lub tak zwane szeregówki. Przyjmuje się, że do 1789 roku na terenie Sądecczyny osiedliło się około dwustu trzydziestu pięciu rodzin. Pod względem religii i obrządku przeważała ludność wyznania ewangelicko-augsburskiego i reformowanego. Akcja kolonizacyjna odbyła się tu później niż w innych rejonach Galicji i przypadła na lata 1783-1788. Nazwy nowych fragmentów niektórych wsi opatrzone wówczas słowem: Deutsch (na przykład Deutsch-Gaboń, Deutsch-Gołkowice), w innych wypadkach polskie nazwy wsi tłumaczono na niemiecki, a niekiedy nadawano im nazwy niezwiązane z nazwą polską. Tak powstały okalające Nowy Sącz wsie: Gologowitz - Gołkowice Niemieckie (1783), Hundsdorf - Chełmiec Niemiecki (1783), Laufendorf - Biegonice (1783), Podritz [Unter-bach] - Podrzyce (1783), Dąbrówka Niemiecka (1786), Bitschitz - Biczycze Niemieckie (1788). Po zakończeniu pierwszej wojny światowej, na mocy specjalnego porozumienia, do Galicji Zachodniej przesiedlono też część niemieckiej populacji z Ukrainy. Wszyscy - starzy i nowi - osadnicy wyjechali albo zostali wysiedleni do Niemiec na przełomie 1944 i 1945 roku. Wkrótce utworzyli ziomkostwa, które od roku 1962 wydają specjalny periodyk pod tytułem „Zeitweiser der Galiziendeutschen”. Publikują w nim wspomnienia i materiały naukowe. Podobnie jak galicyjscy Żydzi, oni także mają swą stronę internetową i za jej pośrednictwem poszukują pamiątek, krewnych i śladów życia swoich przodków. Umawiają się też na wycieczki do rodzinnych miejsc.

Die Bewohner von Bitschitz (Stand 1939) Aus dem Buch von Roland Walloschke „Von der Pfalz zum Dunajetz”

*0

~ac*V2 CD

SO

0

<<?

er 41 0c=J

Da

10 Da

Da

u7

000 D.

0*0 D

T

Htlmitt.

1 Familie Baum

2. Buchmelter, Karl u. Auguste'Schreiner; Kinder: Karl, Franz, Adele Anna, Josef, Wilhelm Johann, Eugen, Gustav, Richard

3. Pole 4. Pole

5. Schreiner, Leopold u. Juliane 'Schreiner, verw. Muth; Kinder: Mathilde, Reinhold, Henriette, Hans Muth, Brigitte Schreiner

6. Muth, Johann u. Katharine *Schreiner, Kind
7. Pole Kedryna
8. Danek, Rudolf u. Juie *Ladenberger; Kind
9. Zasowski, Josef und Elisabeth *Nahrgang;
Kinder: Eugen, Robert 10 Pole
11. Alexander, Philipp u. Elisabeth *Schreiner, Kinder: Emma, Otto, Mathilde, Elisabeth
12. Fürst, Peter und Charlotte *Gerhardt, Kinder: Magdalene, Viktor, Ottilie, Jakob, Mathilde,
Eugen
13. Nahrgang, Paul u. Karoline *Roos, Kinder: Julius, Helene, Irene
14. Jude Steinhoff
15. Jude Hochhäuser 16 Neubau
17. Jude
18. Familie Weimer
19. Schreiner und Ehefrau * Lützenberger, Kinder: Philipp, Susanne, Rudolf
20. Pole. 21. Pole
22. Hawrylow, Johann u. Stefanie * Ladenberger, Kinder: Mathilde, Elvira, Johann, Sigmund
23. Kaspar, Johann und Ehefrau, geb. Lützenberger, vier Kinder
24. Neubau Danek / Lützenberger
25. Armenschutzhaus für Landarbeiter
26. Muth und Elisabeth, geb. Schreiner; Kinder: Heinrich, Irmgard
27. Butz, Peter und Elisabeth, geb. Fürst, Kinder: Helene, Johann, Emma
28. Butz, Johann und Ehefrau; Kinder: Rudolf, Eduard, Friedrich, Helene, Johann, Hermine
29. Jude 30. Jude
31. Pole
32. Polnische Schule
33. Frau Jaworska
34. Kaspar, Peter
35. Zimmermann, Johann und Elisabeth,
geb. Bischoff 36. Palmi, Konrad u. Elisabeth »Gerhardt

178

Z tych trzech historii jedyną szczegółowo spisana i opublikowana w całości jest historia żydowska. Sefer Sandz (Księga Sącza), praca zbiorowa wydana najpierw po hebrajsku, następnie przełożona na angielski, liczy około ośmiuset pięćdziesięciu stron. Zaczyna się - tak samo jak udokumentowana historia polska - na początku XIII wieku. Pierwsza część kończy się kozackim pogromem w roku 1648. Kolejna odnosi się do okresu józefińskiego, przez Żydów zupełnie inaczej ocenionego niż przez Niemców. Księga poświęcona jest ponadto rozwojowi gospodarstwu miejscowej diaspory, chasydzkim dysputom, upadkom i osiągnięciom żydowskiej społeczności w sądeckim regionie. Ostatnia część to świadectwa tych, którzy przeżyli. Opowieść o tym, czego nie ma w polskiej i niemieckiej historii: jak wyglądało życie codzienne w getcie. O egzekucjach na cmentarzu, wywózkach, głodzie i sposobach przeżycia. Tych relacji jest niewiele, ponieważ niewielu przetrwało, a jeszcze mniej spośród nich chciało mówić o przeszłości. Nie ma więc w Sefer Sandz opowiadań Brandłów, opowiadania Jakuba Millera czy sprawozdań powojennych sąsiadów moich rodziców, tych wszystkich Rajbszajdów, Lustigów i Kneblów. Trzeba je było poznawać indywidualnie, pojedynczo, każdą historię z osobna, każdą, która się skończyła szczęśliwie. Ale to na podstawie Sefer Sandz mogę zbudować błądą rekonstrukcję ostatnich miesięcy życia mojej babki Rozalii i jej córki Mani.

WRZESIEŃ

Gwiazda

Zaczyna się rok szkolny, Cyryl i Zosia rozmawiają o mundurkach. Że nie są fajnym pomysłem. Opowiada im, że za komuny musiałam nosić nie tylko mundurek, ale też berecik i szkolną tarczę. Zosia zaczyna się śmiać: - Wyobrazasz sobie, jak jeżdżę komunikacją miejską, a na rękawie mam tarczę żydowskiej szkoły?

mm mk

Przypominam sobie, jak w samym środku stanu wojennego ich ojciec wyhaftował sobie na swetrze żółtą gwiazdę. Bardzo starannie.

181

Wyraziście. I poszedł do szkoły. Był wówczas w szóstej czy siódmej klasie. Mieszkaliśmy już na Wilanowskiej, ale on pozostał w swojej starej szkole i dojeżdżał na Górną Śląską w coraz bardziej dziwnych ubraniach. Właśnie „odziedziczył honor szkoły”, tak mi powiedział w wielkiej konfidencji, ale nie wyjaśnił, co by to miało oznaczać. Odnosiłam jednak wrażenie, że z tą pozycją wiązała się jego nagła ekstrawagancja: stawiał włosy, wpinał w ucho agrafki, zakładał sięga-

jące mu do kolan męskie marynarki „ze zrzutów”, co jego ulubiony wychowawca kwitował krótkim poleceniem: - Mateusz, płaszczyk do szatni! - Tenże wychowawca (skądinąd jedyny rozumny nauczyciel z tej szkoły, „zweryfikowany”, jak się zdaje, w swej poprzedniej pracy i czekający w podstawówce na odmianę losu) był świadkiem sceny wyjaśniającej, na czym ten szkolny „honor” polegał. Opowiedział mi później, jak dwóch chłopców łomotało się podczas dużej przerwy, a Mateusz spokojnie im się przyglądał. Walczyli zajadle tak długo,

182

jak długo przy nich stał, i gdyby nie nauczycielska interwencja, jeden z nich straciłby oko. - Wolałbym, żeby wybił szybę, ale on się już chyba nie musi chuliganić. Zrobił się wyniosły, co jest źle odbierane przez inne dzieci i doprowadza do furii co głupszych nauczycieli - zakończył. I obiecał, że postara się nad tym wszystkim panować tak długo, jak długo pozostanie w szkole. Odszedł, kiedy Mateusz zaczął ósmą klasę. Ale był tam jeszcze, gdy na swetrze pojawiła się żółta gwiazda, o której niczego nie mogliśmy się dowiedzieć - ani ja, ani on. Mój syn milczał. Nie chciał opowiadać, co go do tego skłoniło. Może spotkał się z jakąś wesołą uwagą na ogólnie znany temat i nagle zdał sobie sprawę, że ma to jakiś związek z jego dziadkiem, którego zachował w dziecięcej, ciepłej pamięci? Kiedy się słyszy takie uwagi pierwszy raz, można nieprawidłowo zareagować. Dopiero po pewnym czasie zaczynamy się śmiać. W końcu mnie także zabrakło poczucia humoru po akcji posłów na rzeźbę Jana Pawła II, choć byłam już dorosła i myślałam, że nabrałam odporności na wysoki „prawdziwych Polaków”. Myliłam się. Nie od razu to jednak zrozumiałam. Najpierw się śmiałam, oczywiście. Także wówczas, gdy czytałam zaadresowany do wszystkich możliwych władz Rzeczypospolitej list w sprawie zwolnienia z pracy dyrektorki żydowskiego pochodzenia, która powinna jechać do Izraela i wystawiać tam rzeźby wielkiego rabina, przygniatane butem Saddama. Wszystko to razem wydawało mi się absurdalne, a zatem bardzo śmieszne.

Zmieniłam zdanie, kiedy połowa polskiego parlamentu uznała zarówno akcję w Zachęcie, jak i ten list za racjonalne i zasadne. Wtedy również wystąpiłam z gwiazdą - nie haftowaną, tylko samoprzylepną, mniej pracochłonną. Właściwie były dwie gwiazdy, duże i złote, na czarnym tle wernisa-żowego stroju - jedna w klapie, druga na plecach. Otworzyłam swoją ostatnią wystawę i zasiadłam z Julitą Wójcik do obierania ziemniaków. Wokół tych ziemniaków było w gazetach dużo szumu. Na temat gwiazdy panowało milczenie. Tylko niektórzy znajomi brali mnie na stronę i szeptali w konfidencji, że w ich rodzinie też byli Żydzi, ale

183

wolą o tym głośno nie mówić. Bo i po co? Jak w rymowance księdza Twardowskiego*:

Koci, koci łapci, pojedziem do babci Ale ani słówka, bo babcia Żydówka

Zosia ma trening od przedszkola; wie, że żyjemy w bardzo tolerancyjnym społeczeństwie. Dlatego się śmieje na samą myśl, że przypnie tarczę żydowskiej szkoły i wsiądzie do tramwaju. Cyryl tej wesołości nie podziela, jest w katolickim gimnazjum.

* Niecodziennik wtóry, Kraków 1995, s. 27.

Legnica

Wyjście taty z domu, mimo późniejszego pojednania, poważnie nadważyło jego małżeństwo. Mama zrozumiała, że powinna w większym stopniu polegać na sobie, bo kto wie, czy następnym razem tata nie wyjdzie na zawsze. Wydaje się, że próbowała odbywać z nim rozmowy, w których pojawiały się takie tematy, jak tęsknota za rodzinnym krajem, jej wyobcowanie i niemożność zaakceptowania duchoty małego miasta, w którym jest skazana albo na towarzystwo sądeckich przekupek, albo sądeckich Żydów - nie żeby coś miała przeciwko jednym czy drugim, ale chyba Polska nie składa się tylko z Nowego Sącza i okolic. Argumenty mamy nabierały wyrazistości, kiedy odgrywała przed ojcem sceny podglądane u znajomych i na ulicy, pokazywała, jak się zachowują, w jaki sposób prowadzą rozmowy. Miała duży talent komediowy i potrafiła grać nie tylko intonacją głosu, ale też gestem, a nawet całym ciałem. Był to najczęściej teatr dla jednego widza, ale mama nie żałowała dla niego swych talentów. Tata głównie milczał i rozkładał ręce, jak niegdyś przed latryną w kombinacie, albo zadawał retoryczne pytania w rodzaju: „Z czego będziemy żyli? Kto nam da mieszkanie, jak cała Polska w gruzach?” I podobne. Albo machał ręką i wychodził pograć w karty. Mama jednak zaczęła się wybijać na niepodległość. Coraz chętniej jeździła do Krakowa, gdzie poznała pewnego pana doktora,

185

który był gotów rozwieść ją i zaadoptować tę śliczną dziewczynkę. To chyba z tego czasu pochodziła (dziś już zagubiona) fotografia, na której stoję na krakowskim Rynku pod nieśmiertelnym Mickiewiczem, ubrana w dwurzędowy płaszcz i kapelusik i szczerzę się do gołębi wyrwą po mlecznej jedyńce. Wyznała mi to już po śmierci ojca, zastanawiając się, czemu się na to nie zgodziła. Nie umiała jednak znaleźć żadnej odpowiedzi, bo przez ćwierć wieku dzielące ją od tamtego romansu zapomniała, że mogła wówczas wciąż kochać mego ojca. Tak więc została z nim, ale nie ustawała w poszukiwaniu trochę bardziej rozległej przestrzeni życiowej. Tata natomiast wpadł na pomysł, by wynagrodzić mamie wszystkie przykrości czasami w Krynicy.

W Krynicy wszystko było jak przed wojną: pijalnie wody Zuber płynącej z maleńkich kranów do specjalnych dzbanuszków z dzióbkiem, miarowe spacerunki po parku zdrojowym, gdzie panie dyskretnie porównywały desenie na swoich żorzetach, a panowie, koniecznie z idiotycznymi góralskimi ciupagami w dłoniach, spoglądali ukradkiem na samotne wczasowiczki. Z głośników dochodziły dźwięki frywolnej, jak na owe czasy, piosenki: „Ty zapomnisz o letniej przygodzie. ..” Padało obiecująco słowo: „Piekiełko”. Udawano się też na Parkową Górę, by podziwiać beskidzki pejzaż. Otóż ta właśnie, nie tak znowu wysoka góra odmieniła nasze życie. Mama akurat odpoczywała na leżaku po trudach spacerowania na wysokich obcasach i zajmowała się porównywaniem ciasnego górskiego pejzażu z zachowanym w pamięci bezkresem syberyjskiej równiny, kiedy usłyszała kobiecy głos mówiący po rosyjsku. Zerwała się, zahaczając kwiecistą żorzetą sukni o poręcz leżaka, wyplątała się jednak z pułapki i zatapiając zamśzowe obcasy w miękkiej trawie, pomaszzerowała w kierunku, skąd dobiegał jej ojczysty język. Zobaczyła piękną kobietę w swoim wieku, także w żorzetowej sukni i na obcasach. Była to Liza, Rosjanka, również przywieziona do Polski przez męża. Liza uświadomiła mamie, że są takie miasta, gdzie Rosjanek nikt nie przeżywa,

186

stacjonuje tam bowiem Armia C*iwona. Mamie przypomniało się Świnoujście, ale Liza wymieniła W nazwC- - Mieszkam w Legnicy, powiedziała.

Mama natychmiast wybrała a?na rekonesans. Wysiadła na peronie wyłożonym granitową kostką .osłoniętym szklanym dachem. Od dworca rozchodziły się w różnych trunkach trzy linie tramwajowe, a do centrum wiodła ^sadzana lipami, szeroka aleja. Miasto, częściowo zrujnowane, było spore ip^ne pięknych kamienic. Dzielnice

187

willową zwaną Kwadratem zajmowała co prawda Armia Czerwona i otaczało wysokie ogrodzenie, ale nadal duża połać miasta pozostawała do zasiedlenia. W historycznym Śródmieściu plombowano już wyrwy po bombach, stawiając domy dostosowane wysokością do starych kamieniczek. Jednym z nich był budynek nowego domu towarowego, utrzymany w przedwojennym, modernistycznym stylu, z wejściem od strony zaokrąglonego narożnika. Traf chciał, że jego otwarcie odbywało się akurat podczas legnickiego rekonesansu mojej mamy, która wdarła się do wnętrza wraz z napierającym tłumem. Zdołała kupić tylko dwa ogromne niedźwiedzie z importu: białego dla mnie i brunatnego dla Iriny, córki swej nowej przyjaciółki Lizy. Irina miała białaczkę, umarła parę miesięcy później, a Liza wróciła do Rosji. Przed wyjazdem wysłała mojej mamie zdjęcie swej córki z brunatnym misiem, kupionym w dniu otwarcia legnickiego domu towarowego. Na pamiątkę. Biały niedźwiedź z czasem mocno zsza-

188

rzał, ale przewędrował ze mną aż do Warszawy i został ulubieńcem Mateusza, a kiedy przestał mu służyć do zabawy, stał się jego pierwszym malarskim modelem. Zanim zapadła decyzja o przeprowadzce do Legnicy, mama jeszcze raz pojechała do Warszawy. Tym razem nie starała się o posadę dla ojca, tylko dla siebie; próbowała szczęścia w kinematografii. Na wypadek gdyby od razu nie dostała pracy, miała plan B. Przewidywał on, że pójdzie na kurs i doszkoli się w montażu, którego techniki bardzo się unowocześniły od czasu jej zawodowego debiutu. Któregoś dnia pojawiła się ze mną na Grójeckiej, raczej bez zapowiedzi, i zadzwoniła do drzwi swojej przyjaciółki Anny. Nikt nam nie otworzył. Trzeba było coś zrobić z czasem. Mama przypomniała sobie o kawiarni za rogiem, ale w trakcie schodzenia ze schodów trafiła nogą na wyszczerbiony stopień i mimo karkołomnych ewolucji nie zdołała jej ocalić przed złamaniem. Siadła więc na kamiennym podeście przedwojennej klatki schodowej, oparła się o balustradę i przeżuwała w milczeniu gorycz bezsilności, a ja skakałam wokół niej, zaglądałam na podwórko i marzyłam, żeby ta nuda wreszcie się skończyła. Anna była zatrudniona w jakiejś stołówce jako bufetowa czy kasjerka, a po ośmiu godzinach pracy odbierała jeszcze ze szkoły swego jedynaka. Kiedy wreszcie wróciła do domu, noga mamy już pięknie spuchła, a ja spałam wtulona w jej miękkie, ciepłe ciało. Złamana noga nie przeszkodziła mamie w odnalezieniu drogi do wytwórni filmowej. Niestety, była to droga korespondencyjna. Z nogą w gipsie mama nie mogła roztoczyć przed reżyserem Fordem swych wdzięków i z właściwą sobie swadą opowiedzieć, jak świetnie jej idzie montowanie filmów. Napisała tylko suche podanie o przyjęcie do pracy w charakterze montażystki, niepoparte żadnymi dokumentami - bo skąd niby miała je wziąć? - i otrzymała równie suchą odpowiedź, że w wytwórni chwilowo nie mają zapotrzebowania na ten rodzaj usług, pan reżyser Ford ubolewa, lecz nie może mamy

189

zatrudnić. Szala losu przechyliła się na stronę Legnicy. Wszakże nie od razu. Sprawa przeprowadzki musiała być przedmiotem poważnego konfliktu, który toczył się w ukryciu przede mną. Podejrzewam, że nie obeszło się bez awantury, podczas której ponownie wypłynęły argumenty mamy o izolacji i tęsknocie, o braku perspektyw, „zwłaszcza że dziewczynka wkrótce idzie do szkoły”, o tym, że wszyscy tu wszystkich znają i ona też ich już poznała na wylot, więc na pewno wyjedzie, a on niech siedzi ze swoimi Żydami w tej dziurze, gra z nimi w karty i zostawia im ciężko zarobione pieniądze, bo jeszcze nie są tacy bogaci, jak by chcieli. Znałam te wszystkie argumenty, były elementem powtarzalnym w

naszym życiu rodzinnym. Tym razem jednak mama nie żartowała. Trochę się rozejrzała po bazarze i znalazła ogromny wiklinowy kosz. Załadowała do niego dobytek i nadała na bagaż razem z maszyną marki Singer. Srebrne nakrycia z szabru i łyżki z moim monogramem zapakowała do walizki z karelskiej brzozy. Berlińskiej porcelany już nie mieliśmy, więc wręczyła mi tylko małą walizeczkę, z którą nie tak dawno udawałam się w świat, i ruszyliśmy w drogę.

W Legnicy czekało na nas niewielkie, niemal kompletnie puste, tymczasowe mieszkanie w dwupiętrowej, brzydkiej i również kompletnie pustej kamienicy przy ulicy Wrocławskiej. Ledwie zajechałyśmy na miejsce, a już mamę chwyciła rwa kulszowa, nazywana przez nią isjaszem. Cały dzień siedziała w jedynym fotelu i cierpiała z godnością, a ja znów się śmiertelnie nudziłam. Pierwszego wieczoru mogłam jeszcze oglądać na niebie czerwone i zielone światła przelatujących nad miastem samolotów, co w moim życiu było nowością, ale w dzień nie było żadnych atrakcji, bo obserwowana przez okno ulica wydawała się zupełnie wymarła. Unieruchomiona w fotelu mama analizowała dramat rozstania z ojcem, martwiła się niepewnością jutra i wyczekiwała na pośredników, którzy obiecali znaleźć nam coś lepszego. Musiałam ją porządnie zanudzać, bo

190

zgodziła się wreszcie, żebym wyszła na chwilę z tego więzienia „na pole”. Wzięłam piłkę i ochoczo zbiegłam na dół w poszukiwaniu podwórka, lecz w zwartej zabudowie biednych kamienic nie znalazłam żadnego przejścia. Wtedy zauważyłam sklepową witrynę. Jej grube szkło było rozbite i zwisało potężnym klinem nad dolną framugą, ale z mojego poziomu można było zajrzeć do środka. Zajrzałam. Zobaczyłam niewielkie, niemal puste wnętrze. Tylko w narożniku majaczył niewyraźny kształt. Może kot? Zajrzałam głębiej. Kształt nadal był niewyraźnym kotem, tylko się w ogóle nie ruszał. Nabrałam odwagi i zawołałam: - Hu! - Kot nie reagował. Zawołałam jeszcze raz, głośniejszym głosem: - Hu! Hu-hu-hu! - Rozległ się głuchy pogłos, jakieś tłumione echo hu-hu-hu i szyba wystawowa runęła na moją dłoń spoczywającą na krawędzi framugi. Nie widziałam nic dziwnego w tym, że nadal żyję, ani w tym, że mam jeszcze lewą dłoń. Zwisiał z niej bezwładnie najmniejszy paluszek, ale to nie był problem. Problemem było, co powiedzieć mamie, żeby się nie zdenerwowała. Zanim doszłam na pierwsze piętro, wymyśliłam historię o jakimś chłopcu, który zabrał mi piłkę i wrzucił do pustego sklepu, a ja chciałam ją wydobyć i wtedy spadła ta szyba. Podtrzymałam palec prawą dłonią, jednak dowodów przestępstwa nie dało się ukryć, ponieważ krew znaczyła każdy mój krok. Zaczęłam od zapewnienia, że nic wielkiego się nie stało, ale na widok mojego palca mama zerwała się z fotela i zapominając o rwie kulszowej, pognęła szukać pomocy. Musiałam zemdleć, bo nie pamiętam, w jaki sposób udało się mamie znaleźć w obcym mieście pogotowie ratunkowe. Stwierdzono w nim, że paluszek najlepiej amputować, bo ścięgno jest przecięte, więc i tak będzie niesprawny. Nie pamiętam propozycji złożonej przez mamę panu doktorowi, żeby sam sobie amputował paluszek (albo coś innego), ale chyba przydała jej się w tej konwersacji nauka polskiego. Nie pamiętam też sposobu, jakiego mama użyła, by - pokonując wszystkie strażę, zapory i szlabany - wedrzeć się do wojskowej polikliniki Armii Czerwonej. Myślę, że

191

wytrychem otwierającym drzwi do jaskini wojsk okupacyjnych był jej soczysty rosyjski. Faktem jest, że zoperowano mnie w szpitalu, którego ekipa medyczna nie wiedziała, iż ratuje dziecko zdrajczyny ojczyzny.

Topografia

Pierwsze tygodnie rekonwalescencji spędziłam na ulicy Wrocławskiej należącej do słynnego Zakaczawia, o czym wówczas nie wiedziałam; nazwa dzielnicy pojawiła się chyba dopiero w latach siedemdziesiątych. Mama, krzątająca się przy poszukiwaniu mieszkania, sprowadziła z Nowego Sącza Hanke, ale nie tę od Kazka, tylko inną, ze wsi. Główne zadanie tej drugiej

Hanki polegało na niespuszczeniu mnie z oka, szczególnie na spacerach, które mamę męczyły i nudziły, a Hance akurat pasowały. Chodziłyśmy po okolicy. Najbliżej było na cichy poniemiecki cmentarz, gdzie spędzałyśmy wiosenne popołudnia wśród fiołków i konwalii. Kiedyś Hanka pokazała mi, jak wygląda szczaw. Rósł bujnie w cieniu starych drzew i świetnie się nadawał na jutrzejszą zupę z jajkiem na twardo. Cmentarz już nie istnieje. Został zaorany i przygotowany dla polskich umarłych.

Tata pojawił się, kiedy nastąpiła przeprowadzka na ulicę Orzeszkowej. Zamieszkaliśmy tam pod koniec wiosny. Najpierw na dziko, bez przydziału. Legalizacja zajęła wiele miesięcy. Walka o mieszkania toczyła się między Komendanturą Północnej Grupy Wojsk ZSRR a polską Delegaturą Rządu, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się trudne do pojęcia, bo przecież ta druga (czyli Delegatura) była agenturą pierwszej (Komendantury). Każda z tych jednostek podlegała jednak innej hierarchii, nawet jeśli trony tej i tamtej znajdowały się

193
w Moskwie i może nawet z sobą sąsiadowały. Oczywiście armia miała pierwszeństwo. Po wydzieleniu tak zwanego Kwadratu, czyli dzielnicy willowej, gdzie rozsiadła się generalicja ze swymi biurami, sklepami, szkołą i sztabem, rozpełzała się po mieście. W samym centrum wojsko zajęło stare poniemieckie więzienie z czerwonej cegły i znajdujący się kilkaset metrów dalej poniemiecki Dom Oficera. Z nazwy wyjęto przymiotnik Deutsche, resztę przetłumaczono na rosyjski. W Rynku armia zajęła przylegający do starego ratusza teatr miejski, w parku - teatr letni, a w nowej dzielnicy obok Kwadratu - także letnie kino. I szpital, w którym zoperowano mi mały palec.

Cywilna obsługa złożona z tak zwanych wolnych najemników* oraz oficerowie Armii Czerwonej zajmowali kamienice bezładnie, na chybił trafił. W naszej dzielnicy mieszkali przemieszani z miejscową ludnością i repatriantami. Należały do nich pojedyncze kamienice przy 1 Maja, przy Wojska Polskiego i przy Armii Czerwonej; przy Szkolnej zajęli na magazyn mały ewangelicki kościółek, niemal dokładnie naprzeciw prowadzonej przez zakonnicę ochronki, zmienionej po latach na Szkołę Podstawową numer 10. Przy ulicy Orzeszkowej, kończącej się płotem jakiejś tajnej bazy, zajęli początkowe numery oraz pierwsze piętro sąsiadującej z naszą kamienicy numer 17. W ciepłe wieczory mogłam zobaczyć przez okno salonu, jak siedzą na balkonie z gitarą. Nie hałasowali, zapewne było to zabronione. Słyszeć było tylko brzmienie pojedynczych strun i tęskny śpiew, w niczym nieprzypominający oficjalnych czastuszek. Pojawiający się czasem w naszym domu „wolni najemnicy” też gustowali raczej w pieśniach nieoficjalnych. Pierwszą z nich: Kakim ty był, takim i ostał się zapamiętałam bardzo szybko, ponieważ ktoś z naszych gości zilustrował jej kolejne zwrotki.

Ulica Orzeszkowej zaczynała się od trójkątnego skweru w pobliżu Domu Oficera. Rosły na nim rozłożyste drzewa o liniejącej korze,

* Wolnonajomnye - przedstawiciele służby cywilnej (ros.).

194

a jej odpadające płatki odślaniały delikatną, świeżą tkankę w kolorze pistacjowym. Dopiero po opuszczeniu miasta rozpoznałam w nich platan. Pod numerem 1 mieścił się internat jakiejś chłopięcej szkoły zawodowej. Krótko ostrzyżone łby jego mieszkańców ustawicznie tkwiły w wychodzących na skwer oknach, a ja, przechodząc tamtędy, czułam przylepne spojrzenia nawet wówczas, kiedy nie podnosiłam wzroku i nawet jeśli od strony okien nie dochodziły gwizdy i pochrząkiwania.

Pod trójką, na trzecim piętrze, mieszkał Wasyl, syn Lizy, nowej przyjaciółki mamy o takim samym imieniu jak jej poprzedniczka, która namówiła mamę do wyjazdu z Nowego Sącza. Liza pochodziła z Odessy, podobnie jak sądecka znajoma rodziców Pola Lustig. Ojciec Wasyla, ponoć marynarz, zginął na wojnie, a Lizę z małym dzieckiem zabrał do Polski Adek, który, zupełnie tak samo jak Nusyn Lustig, mąż Poli z Nowego Sącza, miał głowę do

interesów. Akurat tak się złożyło, że kiedy mama poznała Lizę, interesom Adka nie sprzyjało prawo; siedział w więzieniu. Lizę wspomagał wówczas jego, Adka, kolega, imieniem Lowa. Był zupełnie łysy i bezustannie mrugał oczami. Nosił granatową marynarkę, jasne spodnie i słomkowy kapelusz w stylu Mauricea Chevaliera. Pojawił się kiedyś u nas z bujną, efektowną Lizą i Wasylem, ubranym w marynarski strój. Choć oboje mieliśmy po osiem lat, chłopiec nie bardzo przypadł mi wówczas do gustu. Być może dlatego, że podczas tej wizyty jego protektor Lowa usiadł w zamieszaniu na mojej jedynej lalce i rozgniół jej smukłą nóżkę. Przy okazji jego następnej wizyty błyskawicznie odstawiłam krzesło, na którym zamierzał usiąść. Łądując na podłodze, nie przestawał mrugać oczami. Po latach, kiedy Adek wrócił z odosobnienia, a Lowa znikł z horyzontu, nasze relacje z Wasylem bardzo się zacieśniły i przez jakiś czas stanowiliśmy coś w rodzaju pary. Dużą rolę w umocnieniu naszej zażyłości odegrał stojący w salonie ich mieszkania telewizor. Pod tym względem byli w awangardzie

mia-

195
sta; nasz salon, ze swoim prymitywnym radiem, pozostawał daleko w tyle. Chodziłam więc wieczorami pod trójkę i od deski do deski, a właściwie od Dziennika do końcowego sygnału, oglądałam jedyny wówczas czy też jedynie dostępny program - nadawany z Katowic, ale z pełnym, warszawskim repertuarem rozrywkowym. Najpierw zapowiadali, że się łączą z Warszawą, a potem szły wszystkie, grane na żywo, spektakle, Kabarety starszych panów i Kobry, a także programy Jacka Fedorowicza, włącznie z pamiętnym finałem gry O fotel prezesa, kiedy ktoś zapomniał w porę odłączyć transmisję i w eter poszła uwaga: - A teraz lecimy na żywioł! - Czyli bez cenzury.

Pod siódemką, także na trzecim piętrze, mieszkała Ludka. Przeprowadziła się z ulicy Matejki, trochę oddalonej od Orzeszkowej. Ludka była moją pierwszą przyjaciółką. Nie wiem, jak to się stało, że pojawiła się w naszym domu. Miało to jakiś związek z nowymi kocami, na których - pamiętam - utkany był wizerunek ułana w pełnej zbroi, z szablą, w czaku i na koniu; po jednej stronie ułan był biały na zielonym tle, a po drugiej odwrotnie: zielony ułan na białym. Koce zostały zrobione z jakiejś bawełnianopodobnej substancji i nie wiadomo czemu śmierdziały rybą. Nasze matki wystąpiły je w jakiejś kolejce i chyba postanowiły odpocząć przy herbacie, a my najpierw skakałyśmy w salonie na kanapie, co niemieckie sprężyny dzielnie wytrzymywały, potem próbowałyśmy robić namiot z nowego koca. Pamiętam, że jego rybi smród doprowadzał nas do spazmów śmiechu.

Chyba właśnie wtedy pokazałam jej wielki podróżny kosz z Sącza, który znalazł miejsce w wąskim i długim załomie łazienki, pod samym oknem. Kosz był wspaniałą kryjówką, mogło się w nim zmieścić kilkoro dzieci. Po półwieczu wypłynął w opowiadaniu Iwony o jej pierwszym, traumatycznym - jak się okazało - pobycie w naszym domu. Iwonka, córka Niny Zajac z Nowego Sącza, była lekko zezowata, co powinno budzić we mnie jakąś elementarną empatię, w końcu moje oko też zjeżdżało z osi. Ale chyba nie budziło.

196

Kiedy przyjechały nas odwiedzić, zaproponowałam zabawę z chowanego, wiedząc z góry, że Iwonka nie przeniknie tajemnicy kosza. Dołączyła do nas Mirka z parteru, odliczyłyśmy: „ene-due-like-fake--trombe-bombe-osme-smake-eus-deus-kosmadeus-imorele-bach”. „Bach” wypadło na Iwonkę. Szukała nas, schowanych w koszu, tak długo, aż weszła do łazienki. Nie znalazłszy nikogo, spuściła majtki i rozsiadła się na sedesie. Wtedy usłyszała dobiegające z ciemnego kąta tajemnicze: - U-U-U-U-U! - a zaraz potem, skrzypiąc przeraźliwie, wieko kosza powędrowało do góry i oczom Iwonki ukazały się dwie białe zjawy. Klasyczna metoda „na ducha” okazała się skuteczna, ale spazmy dziewczynki ucięły tę świetną zabawę. Kosz znikł, kiedy mama kazała połączyć łazienkową wnękę ze służbówką, uzyskując wcale wygodną i dyskretnie schowaną przestrzeń na krawiecką pracownię. Historię zabawy w chowanego Iwona umieściła wśród rodzinnych legend; to ona mi o niej przypomniwała, kiedy

ją przypadkiem odnalazłam podczas ostatniej, sentymentalnej wizyty w Nowym Sączu. Jest już na emeryturze. Mieszka z matką (nadal noszącą ślady dawnej urody) w jednopokojowym mieszkaniu, w niezdarne zaprojektowanym bloku zbudowanym na skraju dawnego getta za rzeką Kamienicą. Cały swój czas i energię poświęca córce i wnuczce. W wolnych chwilach uprawia artystyczny haft krzyżykowy.

Tamtego pierwszego dnia znajomości Ludka nagle wybiegła, a ja, przyciągana tajemniczym magnetyzmem, pobiegłam jej śladem i przekraczając zabronioną granicę ulicy Złotoryjskiej, po której jeździły tramwaje, ścigałam ją aż do Matejki, gdzie znikła w bramie swego domu. Znalazłam przyjaciółkę. Ale Ludka nie była tak samotna jak ja. Miała młodszą siostrę Dankę, towarzyszącą jej stale podczas naszych zabaw. Zapamiętałam wycieczkę za miasto, na pola pełne maków i chabrów, po które sięgałyśmy z zachwytem, ukryte w zbożu po czubek głowy. Zawiózł nas tam pan Karol, ojciec obu siostr, być może jakimś wojskowym samochodem, bo chyba nadal służył w armii, z którą przyszedł do Polski, zabierając z Kijowa

197

piękną Kławę, podobnie jak Józef Zając - Ninę, Saszka, nasz sąsiad z parteru - swoją Musie, a Gienek, jego kolega - Lubę. Wszyscy mieli dzieci w podobnym wieku i wszyscy najlepiej się czuli w Legnicy, gdzie nie zwracano uwagi na akcent ani narodowość i gdzie wszyscy należeli do jednej klasy społecznej - osadników. W odróżnieniu jednak od Saszki i Gienka, taksówkarzy, pan Karol pozostał w wojsku jeszcze jakiś czas, a po przejściu do rezerwy został rzeźnikiem. Kława najpierw fotografowała się w srebrnym lisie, by utrwalić dla potomności swą urodę i dobrobyt, a potem coraz częściej owijała głowę szalikiem, cierpiała bowiem na migreny. Dysponowała też sporym zasobem wiedzy z dziedziny medycyny naturalnej, którą stosowała wobec Ludki. Najbardziej spektakularnie wyglądały zabiegi związane z gęstością włosów. Kława uznała, że włosy Ludki wzmocnią się radykalnie, jeśli będzie je smarowała sokiem z cebuli. Po tym smarowaniu głowę Ludki również ozdobił szalik. Tylko zapach świadczył, że chodzi o kurację, a nie o migrenę.

198

Ludka i Danka zostały zapisane do przedszkola. Któregoś dnia poszłam tam razem z nimi. Był początek lata. Przedszkole mieściło się w eleganckiej willi na skraju parku. Prowadził je ryży, zawsze uśmiechnięty pan Akerman. Jego uśmiech miał świadczyć o dobroci i tolerancji, a przez to kolidował z moją częstą obecnością w izolatce. Trafiałam tam z nieznanymi mi powodów i musiałam leżeć na ceratowym ambulatoryjnym łóżku. Był to sposób wymierzania kary za niesubordynację - zapewne podczas leżakowania, którego nie miałam w domu - ale nigdy nie udało mi się zgadnąć, kiedy mianowicie tę niesubordynację okazywałam, tym bardziej że uśmiech nigdy nie schodził z oblicza pana Akermana. Zaczynałam jednak rozumieć, że świat ma jakieś swoje reguły, do których należy pojęcie niesubordynacji i pojęcie izolacji. Leżenie na ceracie nie było przyjemne, ale kara nie wydawała mi się zbyt dolegliwa, więc przyjmowałam ją bez sprzeciwu, z dobrodziejstwem inwentarza, jako konstytutywny element przedszkolnego życia.

Odkąd siostry zamieszkały na naszej ulicy, pod siódemką, naszą ulubioną grą stał się palant. Jak się miałam później przekonać, nasze reguły odbiegały od formy klasycznej, opisanej przez jedną z doktorantek Akademii Wychowania Fizycznego, chyba we Wrocławiu. U nas najpierw trzeba było wywołać wojnę. Najczęściej Polska wywołała ją Niemcom. Podczas wywoływania należało kilkakrotnie powtórzyć słowo „przeciwko”: - Polska wywołuje wojnę przeciwko... przeciwko...przeciwko...piwko-o-o-o-o - następnie zawiesić głos, by wzmóc napięcie, i już bardzo szybko wykrzyknąć nazwę wywołanego państwa i wybić kij. Pechowy reprezentant Niemiec, albo innego kraju, musiał natychmiast wyskoczyć z kręgu i przyjąć uderzenie. Dalej szło jak w zwykłym palancie. Gra toczyła się na szarych, kamiennych łbach jezdni, po której z rzadka przejeżdżała taksówka Saszki, naszego sąsiada z parteru.

Za numerem 9 Elizę Orzeszkową przecinała Armia Czerwona. W narożniku po naszej stronie mieścił się sklep z rybami, który

199

wszyscy omijali. Zapewne z powodu zapachu. Były to czasy, kiedy sztywne od soli śledzie sprzedawano prosto ze stojących w sklepie tygodniami dużych, drewnianych beczek, i kiedy popularne było porzekadło: „Jedzcie dorsze, gównu gorsze”. Pod jedenastką mieszkała na parterze bardzo surowa rodzina, mówiło się, że należą do „kociej wiary”. Z nikim nie utrzymywali stosunków i nie pozwalali swoim dzieciom na kontakty z rówieśnikami. Na ich balkonie godzinami przesiadywała nieznana z imienia dziewczynka o grubych, ciemnych warkoczach, obowiązkowo ćwicząca na skrzypcach i tęskno spoglądająca na nasze uliczne zabawy.

Pod trzynastką mieszkała Kryska, z którą się założyłam o serduszko. Dostałam je od Kazka, na pamiątkę. Było złote, maleńkie, wiszące na cieniutkim łańcuszku. Nie wiem, dlaczego miałam je na szyi, kiedy wyszłam na dwór, a właściwie „na pole”, bo u nas mówiło się po galicyjsku: nie szarlotka, tylko jabłecznik; nie keks tylko cwibak; nie sernik tylko serowiec; nie dziewczynka, tylko dziopka. No więc wyszłam na pole, wystrojona w łańcuszek z serduszkami, i zawędrowałam z grupą dziopek na duży skwer z fontanną, przylegający do Domu Oficera i flankowany ulicą Wojska Polskiego, która oczywiście musiała się krzyżować z Armią Czerwoną. Na skwerze rosły młode drzewka rajskich jabłoni, z łatwością się na nie wspinałam. Pamiętam, jak pewnego dnia, balansując w rozkroku na cienkich gałęziach, wysłuchiwałam uwag jakiegoś pana, który zatrzymał się u mych stóp i bardzo długo tłumaczył, że dziewczynki nie powinny chodzić po drzewach. Mówiąc to, wpatrywał się w moje majtki, świetnie widoczne z jego perspektywy. Byłam speszona, ale nie zesłam z drzewa, póki się nie oddalił. Na tym samym skwerze otrzymałam pogładową lekcję politycznej poprawności, udzieloną mi przez Edzika, kolegę z klasy. Edzik narysował patykiem kółko na żwirze alejki, a w jego centrum umieścił czekoladkę. - Chcesz czekoladkę? - zapytał jakoś wyzywająco. - Chcę - odpowiedziałam, choć ton jego głosu wydał mi się zastanawiający, i wyciągnęłam dłoń.

200

Wtedy Edzik trzepnął w nią z rozmachem, wykrzykując: - Ręce precz od Korei!

Tak więc koczowałyśmy pod rajską jabłonią, kiedy Kryska spod trzynastki zaczęła mnie zapewniać, że gdybym kiedyś zgubiła serduszko, to ona by je natychmiast znalazła. Miałam wątpliwości, więc przeprowadziłyśmy eksperyment. Kryska się odwróciła, a ja zdjęłam łańcuszek z serduszkami, zrobiłam palcem dziurę w trawniku i schowałam w niej mój klejnot. Potem starannie zamaskowałam miejsce i na raz-dwa-trzy Kryska zaczęła szukać skarbu. Nie znalazła. Zaczęłyśmy szukać razem - bez rezultatu. Grzebałam w ziemi, rwałam trawę paznokciami, wpychałam palce we wszystkie załamania gruntu - łańcuszek z serduszkami zapadł się pod ziemię. Zrobiło się ciemno, zostałam sama ze swoją zgryzotą i powlokłam się do domu z poczuciem winy, ale i jakiejś nieznannej mi wcześniej, a potem wielokrotnie doznawanej, niesprawiedliwej i nieodwołalnej straty. Mama nie dała wiary w cudowne zniknięcie serduszka i zabroniła mi się zadawać z Kryską, która i tak zaczęła mnie unikać. Przez wiele lat mijałyśmy się na ulicy jak obce. W końcu zniknęła mi z oczu, a pamięć o niej na zawsze już sprzęgła się z moją pierwszą - utraconą - biżuterią.

Pod numerem 15 mieszkały rodziny, które miały samych chłopców. Grałam z nimi na jezdni w dwa ognie. Kreskę między polami robiło się, przejeżdżając patykiem po wyżłobieniu między kocimi łbami bruku. Piłkę miał Stasiek, ksywa Zgniłozęby, najstarszy z nas. Urósł niewysoki. Po szkole podstawowej oddano go na praktyki do piekarza i wtedy znikł mi z oczu. Chyba musiał rano wstawać.

Parter domu pod numerem 17 zajmowali autochtoni, Ślązacy, Maria i Karl, bardzo starzy z mojego punktu widzenia: mogli być tuż po sześćdziesiątce. Maria, skromnie uczesana w

koczek, zawsze w schludnym fartuchu na długiej spódnicy, nie miała lewej dłoni. Z podziwem obserwowałam, jak sprawnie potrafi się posługiwać

201

kikutem, zwłaszcza podczas prania, kiedy zdrową dłonią kręciła korbę, a odsłoniętym, okrągłym zakończonym przedramieniem podsuwała bieliznę pod wyżymaczkę. Wcześniej nigdy nie widziałam wyżymaczki, czułam się więc wyróżniona, że Maria pozwala mi sobie pomagać. Mówiła po polsku ze śląskim akcentem i jakoś nie chciała opowiadać historii związanej z utratą dłoni. Karl był siwy, przysadzisty i groźny. Strosząc siwe brwi, obchodził swoje podwórko; pilnował stojącego tam jedyne garażu i porządku w oficynie, powoli zapelniającej się lokatorami. Ślązacy tworzyli wówczas w mieście dość pokaźną grupę. Można ich było odróżnić od Niemców, również rozrzuconych po okolicznych kamienicach, po znajomości polskiego. Trzon miasta stanowili jednak przesiedleńcy z Kresów, z Ukrainy, Białorusi i Litwy oraz repatrianci z głębi Rosji, a wśród nich wiele mieszanych małżeństw, podobnych do małżeństwa moich rodziców. Byli też repatrianci z innych krajów - z Francji, Belgii i Anglii. Byli Żydzi. Byli Cyganie. Byli uciekinierzy z Grecji. A po roku 1956 pojawiła się nowa fala repatriacyjna z Rosji. Miasto wchłonęło ją, zagęszczając przestronne mieszkania opuszczone przez Niemców i Ślązaków, którzy akurat wtedy masowo wyjeżdżali do Reichu. Nasza trzypiętrowa kamienica pod numerem 19, zbudowana - jak wynikało z daty wyrytej nad wejściem - w roku 1910, nie miała kompletu lokatorów. Kiedy się wprowadzaliśmy, zasiedlony był tylko parter i pierwsze piętro. Zamieszkaliśmy na drugim. Wchodziło się na nie po drewnianych stopniach o krawędziach wzmocnionych mosiężnymi listewkami i pokrytych chodnikiem z linoleum. Mieszkanie było takie, o jakim marzyła mama, znająca podobne wnętrza z Leningradu. Na wprost szerokich drzwi wejściowych znajdowała się obszerna kuchnia, z której prowadziło wejście do służbówki oraz osobne do spiżarni. Na lewo od wejścia ciągnął się korytarz, oddzielający część reprezentacyjną, z frontowym salonem i gabinetem, od prywatnej - z dużą i małą sypialnią oraz łazienką - zlokalizowanej

202

od strony podwórka. Do wszystkich pokoi prowadziły osobne drzwi w kolorze bladego seledynu. Na ścianach były tapety, na sufitach sztukaterie, w kątach ozdobne piece, w większości z gzymsami. Najpiękniejszy, wykonany z majolikowych kafli w kolorze szmaragdowo-niebieskim, znajdował się w gabinecie, z którego wychodziło się na balkon, powtarzający kształt sąsiedniego ryzalitu, w którym mieścił się salon. Komplectowanie mebli nie zajęło wiele czasu. W salonie pojawił się wkrótce wielki bufet z lat trzydziestych, a w jego ukrytych za fornirowanymi drzwiami szufladach spoczęły srebra z szabru oraz łyżki z moim monogramem. Na środku stanął stół, również z lat trzydziestych, z nogami o zaokrąglonych kantach (może na wypadek, gdybym znów miała rąbnąć w nie głową). Pod ścianą pojawiła się obita gobelinem kanapa z falistym oparciem, a w narożniku skórzane, klubowe fotele, dożywające swoich dni w moim obecnym mieszkaniu. Najważniejszym meblem w salonie było pianino marki Liegnitz, przy którym ślęczałam w towarzystwie pani Grety, nauczycielki muzyki. Pani Greta, osoba dystygowana, nieco staroświecko uczesana w wysoki kok i nosząca bluzki z koronkowymi wypustkami, uczyła mnie pisać klucze wiolinowe i basowe, pełne nuty, połówki i ćwiartki, tłumaczyła, co znaczy andante, allegro, moderato i vivace, co to jest fermata i na czym polegają tonacje. Pod jej kierunkiem grałam najpierw gamy, potem proste melodie Mozarta, potem Bacha. Pierwszy rok upłynął bez większej przyjemności. Nikt mnie nie nakłaniał do ćwiczeń między lekcjami, pani Greta narzekała na moje słabe postępy, ale udało się jakoś przerobić pierwszy tom Bayera. Potem przyszedł czas na Rózyckiego, a polonez Ogińskiego miał wieńczyć kolejną „klasę”. Poczułam przyjemność grania i zaczęłam odróżniać fałszywe tony. Bawiłam się jakimiś walczykami, nauczyłam się grać ze słuchu dziecięce piosenki typu Miała baba koguta. Wtedy okazało się, że instrument został nabyty nie w celu rozwijania mojej muzy-

kalności, ale do rehabilitacji małego palca. Takie było zalecenie lekarzy: trenować paluszek uderzeniami w klawisze. Pani Greta przestała przychodzić, a moje palce szybko utraciły dopiero co nabytą biegłość poruszania się po klawiaturze.

Mimo to próbowałam grać dalej, kalecząc instrument zasłyszczanymi melodiami, aż nadszedł dzień, kiedy dostałam od wujka Kazka prezent w postaci pliku zeszytów z serii Śpiewamy i tańczymy, zawierających zarówno prymkę ze słowami, jak i akompaniamenty do aktualnych przebojów w rodzaju: Ryżowe pola w wodzie moknę, Bajo bongo i Kuzynka wieloryba. Nie zgłębiałam przyczyn tej nagłej szczodrości, możliwe, że piosenki zaczęły wychodzić z mody i Kazek razem ze swym zespołem ćwiczył już nowsze kawałki, a ja męczyłam te stare, starając się wydobyć z nich prawą ręką jakąś elementarną melodię do śpiewu. Wtedy fala rodzicielskiej dobroci, zapewne wspomagana chwilową poprawą warunków finansowych, wniosła do naszego domu nowego nauczyciela muzyki, którego ojciec chyba wydobył z rynsztoka i postanowił wyprowadzić na ludzi. Nauczyciel, na oko bez wieku, choć raczej starszy od moich rodziców, nie miał żadnego imienia i nazwiska. Jego nabrzmiałe ciało spowijały wyświecone ubrania, nakładane warstwami jak u Hackmana w Strachu na wróble. Nosił wymiętoszony kapelusz, poplamioną tłuszczem kamizelkę i muszkę smutno wiszącą pod kołnierzykiem od dawna niepranej koszuli. Zamiast zeszytów z przebojami postawił na pulpicie nuty z kolędami we własnej aranżacji. Tak zaczęła się katorga. W chmurze zmieszanych zapachów wczorajszego piwa i parującego moczu apatycznie wystukiwałam Lulajże, Jezuniu, które od dawna znałam na pamięć, a pan nauczyciel przysypiał obok mnie, jak ja znudzony bezproduktywną udręką tych lekcji. Czasami sprzedawał moim rodzicom jakieś ponemieckie nuty, ale nie korzystał z nich podczas naszych zajęć. Zapłata natomiast wprawiała go w tak podniosły nastrój, że któregoś dnia cmoknął z rozpędu w rękę mego ojca. Nikt ze mną nie konsultował przydatności pana nauczyciela

dla mojego muzycznego rozwoju, a mnie samej kwestionowanie postanowienia rodziców nie przyszło do głowy; okres buntu jeszcze nie nadszedł. Epizod ten był zresztą dość krótki, ponieważ właśnie rozpoczynała się wieloletnia, pochłaniająca wszystkie nasze zasoby, choroba ojca. Pianino poszło jedno z ostatnich. Byłam już w liceum, roznosiły mnie hormony, a w moim repertuarze pojawił się abstrakcyjny The Man I Love, wygrywany po ciemku w samotne wieczory. Po powrocie z wakacji nie zastałam instrumentu. Nie zapytałam o powód jego zniknięcia, a mama powstrzymała się od wyjaśnień. Była to jedna z wielu spraw, które już w tym okresie pomijałam milczeniem.

Od samego początku dostawą mebli i ich renowacją zajmował się po fajrancie pan Smaruj, mieszkający naprzeciwko, pod numerem 16. Po obu stronach tej kamienicy ciągnęły się ruiny. W niektórych miejscach widać było fragmenty łazienek, zniecka odsłonięte tajemnice czyjejs sypialni, kawałki pokrytych glazurą kuchennych ścian, bezradną samotność porcelanowych klozetów. Państwo Sma-rujowie wrócili z Francji i zajęli wysoki parter po prawej. Zapewne żałowali powrotu do ojczyzny i topili swój żal w alkoholu. Pan Smaruj, wysoki, szczupły blondyn z grubymi okularami na wydatnym czerwonym nosie, upijał się na dostojnie. Stawał się wówczas milczący i wyniosły. Inaczej niż pani Smarujowa, która stanowiła przeciwieństwo swego męża również pod wieloma innymi względami. Była małeńka, chudziutka, ciemnowłosa, wiecznie rozczochrana

I upijała się na głośno. Niestety, nie dało się zrozumieć słów, które wykrzykiwała na całą ulicę, ponieważ w złości zwykle przechodziła na francuski. Małżeństwo Smaruj miało troje dzieci. Najstarszy syn, Heniek, już wyrośnięty, nosił luźne marynarki, wąskie spodnie i cesał się w mandolinę - był bikiniarzem. Najmłodszy, Marek, chuliganił się na ulicy. Ich średnia siostra, Zdzicha, chuda blondynka z nosem odziedziczonym po tacie, powtarzała właśnie czwartą klasę, kiedy została moją przewodniczką po świecie muzyki popularnej.

Przemierzając w jej towarzystwie drogę ze szkoły do domu, poznawałam ballady w rodzaju Na Podolu biały kamień. Próbowałam się nawet nimi popisywać przed rodzicami, ale gdy doszłam do miejsca: „Zabij, zabij brata swego”, mama spytała, kto mnie tego uczy. Miałam już swoje doświadczenia i na wszelki wypadek wymyśliłam nieznaną mamie dziewczynkę z innej klasy. Po Podolance nadeszły czasy przebojów typu W Istambule, Cicha woda oraz Ryżowe pola w wodzie moknę - i w tym Zdżicha pokazywała rzeczywistą klasę. Mój repertuar był wówczas rozdarty między szkolne Ej, wy konie, rumaki stalowe i harcerskie Gdzie strumyk płynie z wolna. Umiałam też śpiewać po rosyjsku habanę z opery Carmen i kilka innych arii z domowych płyt, a także romanse Wertyńskiego (które dziś przypomina Olena Leonenko), więc nowe rytmy wchodziły mi w ucho z dużą łatwością. Te nauki trwały jednak dość krótko. Zdżicha znów została na drugi rok, chyba w klasie piątej, i nasz kontakt się rozluźnił. Widywałam ją po latach w kolejarским mundurze, ale jakoś nie nawiązałyśmy rozmowy. Nie chciałam jej kępować.

Pierwsze piętro zajmowali państwo M. z synem Andrzejem, nieco młodszym ode mnie. Byli jedną z wielu par, które połączyła wojna. Wysoka i postawna pani M., warszawianka, trafiła na Ziemię Zachodnie po powstaniu, zapewne tuż po zawarciu związku z obrotnym, zawsze zaaferowanym panem M., osobnikiem o nieznanym nikomu proveniencji i specjalności, znającym biegle rosyjski i obdarzonym specyficznym, wisielczym poczuciem humoru. Zajmowali się pracą nakładczą w branży skórzanej. Wykańczali paski, robiąc w nich dziurki i mocując klamry. Nigdy nie poznałam ich imion własnych, ponieważ, mimo zażyłych stosunków, w naszym domu mówiło się o nich nie inaczej, jak o panu M. i pani M. Obie panie, moja mama i pani M., konkurowały ze sobą na serniki i szarlotki, przy których zasiadaliśmy to na pierwszym, to na drugim piętrze z okazji niedziel i świąt. Andrzej był porządnym kolegą, świetnie znającym szczegóły związane z kampanią wrześniową, walczącym

podziemiem i powstaniem warszawskim. On pierwszy opowiedział mi o jego przebiegu i to z nim chodziłam na takie filmy, jak ORP Orzeł i Kanał. Pod koniec lat pięćdziesiątych pan M. niespodziewanie zniknął, a wkrótce potem nastąpiła eksmisja pozostałych mieszkańców eleganckiego mieszkania na pierwszym piętrze. Pamiętam, że towarzyszyło temu omdlenie pani M. i trzeba było ją znosić po schodach. O tym, że Andrzej został milicjantem i otrzymał medal za uratowanie życia tonącemu dziecku, dowiedziałam się od mamy.

Na parterze mieszkali najpierw sami państwo W., Saszka i Musia, z córką Mirką, młodszą ode mnie o jakieś dwa lata. Żyli z taksówki. W nieliczne wolne dni ojciec rodziny lubił zjeść i wypić. Wtedy śpiewał ukraińskie dumki, których się nauczył w młodości, być może spędzonej tam właśnie, na Ukrainie. Ona lubiła się wystroić, potańczyć i poromansować. O romansach Musi wiedziało całe miasto, lecz nie wpływało to na harmonię jej małżeńskiego pożycia. Mirka była dzieckiem chudym i „gardym do jedzenia”, toteż próby nakarmienia jej zamieniały się w codzienne przedstawienia. Musia stawiała przed Mirką szklankę śmietany z cukrem, następnie przytykała jej do ust słodką bułkę z masłem i krzyczała: - Gryź! - Mirka gryzła i wpychała kęs pod policzek. Wtedy Musia podstawiła jej śmietanę i krzyczała: - Polkni! - z ukraińska, bez końcówki i z miękkim „l”. Mirka siedziała nadal z zaciśniętymi zębami i wypchanymi policzkami. - Polkni mi zaraz! - Czubek zgrabnego noska Musi białł ze złości, wreszcie dawała za wygraną: - Dostaniesz złotówkę - mówiła z rezygnacją. Mirka połykała. Wtedy znów słyszała: - Gryź! - I pakowała pod policzek następną porcję. Skończyła rusycystykę i wyrosła na zaradną kobietę. Po wielu latach spędzonych w Stanach osiadła ostatecznie z mężem w miłym domu na obrzeżach Legnicy. W pogodne dni z jej okien widać Śnieżkę.

Z niejasnych powodów utkwiły mi w pamięci bezzapachowe jaśminowce o wyglądzie białych gwiazdek, rosnące w ogródku przy

207

Orzeszkowej 16, naprzeciw naszej kamienicy, po lewej stronie od wejścia, tam gdzie mieszkały ciemnowłose Fräulein, mówiące po niemiecku i grające na cztery ręce fugi Bacha. Mama zakradła się tam którejś wiosny z Musią i przyniosła do domu kilka gałązek -na moje ósme czy dziewiąte urodziny. Panienki spod szesnastki znikły po 1956. Zaraz potem znikły jaśminowce. Rośliny wymagają pielęgnacji. Jeśli się je zaniedba, znikają albo dziczeją, zarastają chwastem jak ogródek moich niegdysiejszych sąsiadów - ze starannie uprawianymi roślinami na każdy sezon, falistą linią trawnika, podporami pod róże i kratą pod wiciokrzew - który pod okiem następnej mieszkanki zmienił się w zachwaszczony, ale przytulny wybieg dla pary psów z bidula i wdzięcznej koteczki, jak ogródek niemieckich Fräulein i jak ten przed naszą kamienicą - okolony kutą kratą o prętach zakończonych płomienistą formą w stylu epoki - w którym rosły okazałe bzy i pachnące jaśminy. Jaśminy podchodziły pod okno dokwaterowanej na parterze pani Janki, związanej węzłem małżeńskim z urodzonym w Wilnie Wilhelmem. Pani Janka, sądząc po akcencie, pochodziła raczej z Polski centralnej. Pracowała w zakładach przemysłu dziewiarskiego „Hanka” (w domyśle zapewne Sawicka) przez osiem godzin dziennie (w tym dwie przerwy na posiłki regeneracyjne), w systemie trzyzmianowym. Przesuwała „dziewiarę” na krosnach od lewej do prawej i z powrotem. Wilhelm nie miał zawodu. Dlatego musiał wypić. Jak wypił za dużo, to zapominał o trzech zmianach i nie mógł się dostać do domu. Wtedy wybierał drogę przez okno, które, niestety, najczęściej pozostawało zamknięte. Kończył w jaśminowym gąszczu, z którego już nie mógł się wydostać do rana. Czasem nocował u nas w przedpokoju. Pochrapywał spowity w obłok niestrawionego denaturatu i w furmański kozuch. Nie zawsze sikał pod siebie. I nie dobijał się po północy, miał poczucie taktu. W początkach lat siedemdziesiątych, kiedy Legnica została na chwilę miastem wojewódzkim, ogródki zlikwidowano. Znikły kute kraty, bzy i jaśminy. Wylano beton. Tego

208

Wilhelm nie przeżył. Odszedł niepokodzony z miastem tak różnym od Wilna. Dalsze numery ulicy Orzeszkowej, od 21 do 25, czyli do skrzyżowania z 1 Maja, i dalej, do wysokiego płotu oddzielającego miasto od wojskowych tajemnic, nie budziły mojego zainteresowania. Wszystkie drogi prowadziły od domu w lewo, ku miastu.

Imię

Prowadzę Cyryla do fryzjera. Pani z nałożoną na głowę farbą nie może wytrzymać:

- Ach, jaki ładny chłopiec! Jak ci na imię? Cyryl? Nie słyszałam.

210

Przypominam sobie, jak Kaja i Mateusz zadzwonili do mnie z pytaniem:

- Mamo, jak się nazywał twój rosyjski dziadek?

- Kirył. Po polsku Cyryl.

- Super! Nareszcie. Próbowaliśmy Michała, po dziadku, i Macieja, po tacie Kajki, ale z nazwiskiem to brzmi jak kartofle z makaronem!

Gdzie wtedy mieszkałam? Chyba w Aninie, na poddaszu, pilnowałam domu Danieli, mojej niedoszłej teściowej, podczas jej wizyty u syna w Los Angeles. Kiedy późnym wieczorem w przedpokoju zadzwonił telefon, biegłam po śliskich schodach, pokonując zakręty, objijając się o balustrady. Myślałam, że to już poród.

- A jak się urodzi dziewczynka?

- To będzie chłopczyk!

Porzucił go w kaplicy ojców dominikanów przy ulicy Freta, gdzie ojciec Salij przyjmował Cyryla do katolickiej wspólnoty po bezowocnych staraniach w naszej miejscowej parafii pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej, w której swego czasu odmówiono także

ochrzczenia Mateusza. Wyszedł z mszy jeszcze przed podniesieniem, jak rok wcześniej wyszedł z kościoła bernardynów podczas zamówionego przez moją przyjaciółkę Elżunię nabożeństwa za duszę jego babki. Wówczas wybiegłam za nim, ścigana znaczącymi spojrzeniami bezdzietnych przyjaciółek. - Mamo, wybac - mamrotałam - na pewno to zrozumiesz, sama uważałaś, że żywi mają pierwszeństwo. - Goniłam go aż do przystanku, wykrzykując, że go wyciągnęłam z baraku od Kotańskiego tylko na to nabożeństwo i muszę odwieźć z powrotem, że jeśli chce wyjść z kwarantanny, to niech wyjdzie sam, ale po powrocie, nie chyłkiem, tylko otwarcie, niech powie, że nie będzie się więcej leczył!

- Moi koledzy znajdują swoje miejsca w świecie, robią kariery, a ja się postanowiłem

zmarnować - powiedział już w samochodzie, wieziony do baraku dla narkomanów na skraju parku przy Cytadeli.

- Opłacemy cię!

211

Powiedziałam to? Stać mnie było na taką twardość? Mogłam to z siebie wyrzucić, nie oplakawszy jeszcze mamy? Naprawdę zaczął się wówczas leczyć. Odbył kolejne, przepisowe odtrucie na Nowowiejskiej, dokąd Aśka, matka jego przyrodniej siostry, natychmiast przywiozła Wu, jego ojca. Nie z wizytą, tylko także na odwyk. Z wizytą nie mógł przyjść, bo jest „za wrażliwy”. Aśka liczyła na to, że jak Wu się wyleczy, to będzie lepszy dla swojej córki Anny Marii niż dla swoich synów: Mateusza i Maćka. W końcu Anna Maria jest dziewczynką, w dodatku całkiem malutką, jej przyjście na świat bardzo tatusia ucieszyło, więc chodzi tylko o to, by dzięki terapii powróciła ta ojcowska radość. Wu jednak nie skorzystał z odwyku. Nie zamieszkał ze swoją kolejną kobietą i malutką córeczką. Czasem je odwiedzał, zostawiając po pięć złotych. - Wiesz - mówiła Aśka - pięć złotych to dużo, jak się dobrze gospodaruje.

Aśka nie pracowała, nie miała z czego żyć. Mieszkała z dzieckiem w przyzwoitym nowym bloku, ale bez prądu i gazu, które im odcięto. Mimo to nie chciała przyjmować naszej pomocy, a już na pewno żadnych używanych zabawek i ubrań; to godziło w jej dumę. Wu przypisywał jej zachowanie chorobie psychicznej, bo normalne kobiety, takie jak jego pierwsza żona i jak ja, są bardziej odpowiedzialne za los swoich dzieci, to znaczy idą do pracy i nie oglądają się za bardzo na jego pomoc. Którejś nocy Aśka upadła bez przytomności. Anna Maria, wówczas już dziesięcioletnia, zapukała do sąsiadów, a oni wezwali pogotowie. Nie dożyła następnego dnia. Miała raka mózgu. Jej rodzina zabrała dziecko i wystarała się o odebranie ojcu wszelkich praw. Wtedy się zmobilizował. Pamiętam, że zadzwonił któregoś dnia i zaczął od zdania: - Nie odkładaj słuchawki, jestem trzeźwy! - A potem wyjaśnił, że chciałby poznać swoje wnuki. Umówiliśmy się w niedzielę do Łazienek, na kawę i lody. Obejrzał dzieci, a one go przyjęły z właściwą ich wiekowi, bezkrytyczną życzliwością. Potem zajęły się zabawą, a ich dziadek zostawił mnie z rachunkiem i poszedł do domu. Więcej spotkań nie było. To chyba wówczas

212

moja przyjaciółka Jola wyraziła przekonanie, że ojciec mego dziecka pójdzie do piekła.

Wcześniej powtarzała tylko z ironią, że świat jest piękny, a mężczyźni są szlachetni.

Komentowała w ten sposób nie tylko moje relacje z Wu, ale też fakt, że jej własny mąż nigdy nie wyraził chęci zobaczenia swojej córki, którą Jola urodziła już po ich rozstaniu.

Cyryl nie chce korzystać z usług fryzjera. Uważa, że to strata pieniędzy. Lepiej poszukać w empiku jakiejś fajnej gry i pogrążyć się w wirtualnym świecie, który jest ciekawszy niż świat rzeczywisty.

PAŹDZIERNIK

Język ojczysty

Tę pierwszą w życiu lekcję zapamiętałam jak filmową sekwencję, włącznie z barwą światła sączącego się do klasy przez wielkie neogotyckie okna. Usadzone w ławkach dzieci - każde

ubrane w to, co ma najlepszego - ukradkiem zerkają na boki. Uczą się właśnie trudnej sztuki dzielenia uwagi: trochę na kolegów, trochę na panią, która wywołuje nas po kolei, alfabetycznie, na środek. Pani reprezentuje styl Wandy Wasilewskiej. Granatowy prosty kostium i biała bluzka luźno wiszą na jej wysokim, kościstym ciele pozbawionym trzeciorzędnych cech dystyngtywnych i wszelkich oznak posiadania płci, z wyjątkiem fryzury, nawiniętej na specjalny wałek i okalającej jej suchą twarz. Pada moje nazwisko. Wychodzę na środek klasy, co już samo w sobie jest wielkim przeżyciem, ale pani nie patrzy na mnie, tylko na rubryki w dzienniku, coś sprawdza i zadaje pytanie: - Język ojczysty? Milczę. Nie rozumiem. Nie opanowałam podzielności uwagi i nie wiem, co mówili wszyscy przede mną, od a do pe. Stoję speszona, wpatrując się w nasączoną olejem podłogę. Pani pomaga: - W jakim języku rozmawiasz z rodzicami? - Teraz rozumiem. Ojczysty, znaczy domowy. Odpowiadam zgodnie z prawdą, że z tatą po polsku, a z mamą po rusku. Znaczy to tyle, że mam dwa języki ojczyste, nie umiem powiedzieć, który z nich ma priorytet, nigdy o tym nie myślałam, bo też nigdy nie miałam takiego problemu. Pani

215

jest stropiona. Zastanawia się chwilę i podejmuje decyzję: - Twoim językiem ojczystym jest język polski, bo chodzisz do polskiej szkoły. - Przyjmuję to do wiadomości, chociaż czuję, że nie wszystko jest tak klarowne, jak powinno być. Pamiętam jednak instrukcję taty, że bym się nie wymądrzała, bo nauczyciele zawsze mają rację. Wracam na miejsce bogatsza o wiedzę na temat tego, co ma mnie w życiu definiować.

W domu wolałam nie rozmawiać o języku ojczystym, szczególnie z mamą. Już pod koniec lata dostałam „Azbukę” i zeszyty w skośną linię, zdobyte typową legnicką metodą przez łańcuch pośredników, mających dostęp do wojskowych sklepów w Kwadracie. Rosyjskie zeszyty przewidują osobne komórki na każdą literkę. Trzeba się uważnie wpasować w skośny format, który kształtuje jednakowy dla wszystkich charakter pisma. Po latach okazało się, że ćwiczenia z kaligrafii nic nie dały. Mam charakter pisma dokładnie

216

taki jak ojciec. Mateusz go nie odziedziczył; akurat te geny przejął po mieczu. Polskie litery nie mają aż takich ograniczeń. Tańczą solo, jak nuty u Wysockiego. Skaczą, rozjeżdżają się wzdłuż linii, nieporadnie chwytają za rączki, żeby stworzyć mały chórek typu „Ala” albo „mama”, co po rosyjsku akurat czyta się „tata”. Słowo „tata” nie figuruje jednak w rosyjskiej mowie. Tak więc, choć litery rosyjskie są w większości podobne do polskich, często co innego znaczą. Na przykład polskie „m” to rosyjskie „t”, a polskie „p” to rosyjskie „r”. Poza tym nie ma tam kropek i przecinków nad literami ani zawijasów przy samogłoskach. Za to są miękkie i twarde znaki. Mimo tych wszystkich różnic wiele słów brzmi podobnie i łatwo się domyślić ich znaczenia. Świetne skutki przynosi też elementarna, instynktowna logika, wynikająca z analizy słowotwórczej dokonywanej bez udziału wiedzy o istnieniu takich pojęć, jak „etymologia”. W dzieciństwie nie wiedziałam, że mówię prozą. Wydawało mi się jednak logiczne, że skoro od linii prostej pochodzi słowo prostolinijny, to wiele innych słów zawierających pojęcie prostoty, powinno mieć podobnie pozytywne znaczenie. Pamiętam, jak kiedyś obdarzyłam bohaterkę patriotycznego filmu epitetem „ prostytutka”, mającym zawrzeć w sobie wszystkie najlepsze cechy kobiety bohatera. Mama ostrożnie spytała, czy mogę to jakoś bliżej objaśnić. Oczywiście, mogłam. prostytutka to kobieta prostolinijnych zasad. Okazało się, że jestem w błędzie. Na czym polegał błąd, mama nie powiedziała, obiecując, że znaczenie tego słowa poznam w swoim czasie. W ten sposób dowiedziałam się, że leksykalne podobieństwo może podstępnie kryć poważne znaczeniowe różnice i łatwo się ośmieszyć, nie wiedząc na przykład, że polski „kawior” to rosyjski dywan, a rosyjski diwan to po polsku „kanapa”. Albo że polski „stół” po rosyjsku znaczy „krzesło”, a kriesło znaczy „fotel”. „Kawior” zaś to zwyczajna „ikra”.

Po pewnym czasie przestały mnie trapić tego rodzaju problemy. Mój pokój szybko napełniał się rosyjskimi wydaniem bajek z całego świata, gdzie niekoniecznie królowały idee powszechnego dobroby-

217

tu i równości społecznej, wybijające się na pierwszy plan w lekturach obowiązkowych szkoły podstawowej Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Czytałam więc równolegle opowieści o Zoi Kosmodemiańskiej i Królową Śniegu. Nic się nie wykluczało, nic nie było sprzeczne, wszystko należało do świata książek, czyli świata fikcji niemającego żadnego styku z rzeczywistością. Nawet opowieść o dzieciństwie Gorkiego, ilustrowana kadrami z radzieckiego filmu, nie zasługiwała na wiarygodność, tym bardziej że można ją było wyświetlać z ręcznego projektora, kadr po kadrze, przez co stawała się namiastką czysto filmowej opowieści.

Kiedy podrosłam, zaczęłam sięgać do biblioteki mamy. Pojawiły się w niej rosyjskie przekłady literatury klasycznej, przede wszystkim francuskiej, kupowane za bezcen w empiku. Czytałam po rosyjsku Balzaka, Flauberta, Stendhala, Maupassanta i Victora Hugo równolegle z Gogolem, Turgieniewem, Czechowem i Tolstojem. W Wojnie i pokoju denerwowały mnie liczne francuskie wtręty w konwersacjach bohaterów. Przekłady znajdowały się na końcu tomów, co bardzo utrudniało lekturę. Nie wiadomo, skąd przywędrowało do nas przedrewolucyjne wydanie opowiadań Leskova, pamiętam jednak, że ich czytanie sprawiało mi trudność ze względu na starorusyjskie jery. Był to już czas, kiedy sięgałam po książki Faulknera, Steinbecka, Camusa, Sartre'a i Gide'a w polskim tłumaczeniu, kupowane własnoręcznie za pieniądze oszczędzane na śniadaniach.

Równoległa obecność języka polskiego i rosyjskiego nie wyczerpywała jednak lingwistycznych problemów naszego domu, pewnego dnia bowiem zagościł w nim język niemiecki, którym ojciec posługiwał się w rozmowach z naszą nową gospodynią, Margaritą. Mama nie rozumiała z tego ani słowa, ja - po pewnym czasie - tylko poszczególne zwroty, takie jak Wiessen Sie, które nie układały się w żaden sens. Ja jednak również posiadałam odrębny sposób komunikacji z Margaritą, błyskawicznie chwytając jej polsko-rosyjsko-niemiecki wolapik, włącznie ze specyficznym kaleczeniem obcych dla niej słów.

218

W ten sposób zawsze ktoś był bardziej wtajemniczony, a ktoś inny bardziej upośledzony. Jeszcze wtedy brałam sprawy, jakimi są. Mój rosyjski był czystszy i bogatszy niż rosyjski mego ojca, mój polski odpowiednio lepszy od polskiego mojej mamy, a językowe wygibasy wystarczały do osiągnięcia pełnego porozumienia z niemiecką gospodynią naszego domu. Nie wiedziałam wówczas, że właśnie ogarnia mnie syndrom Zelig'a, który przez wiele lat będzie zasłaniał moje ja nawet przede mną samą. Bezwiednie czy też instynktownie przyjął dwie politycznie poprawne tożsamości wyrażane językiem literackim i jeden kaleki środek komunikacji niemający szans na rozwój. Podobno odmówiłam nauki niemieckiego, zapewne z tych samych powodów, dla których nigdy nie chciałam reprezentować Niemiec podczas gry w palanta, chociaż domowa wymiana zdań między ojcem i Margaritą przeszkadzała mi znacznie mniej niż mamie, i mniej niż jego pogawędki z panem Freulichem.

Pan Freulich nie miał imienia, tak jak nie ma go i dzisiaj wielu Niemców, zwłaszcza gdy odbierają telefon. Jak by to bowiem wyglądało, gdyby po podniesieniu słuchawki wykrzykiwali: - Hans! - Jeśli natomiast wyraziście meldują: - Schwartz! - to brzmi zupełnie inaczej. O tym, że można by się nie meldować, nie ma w ogóle mowy. Przecież to bardzo ułatwia życie. Dzwonisz do Hansa Schwartza, a on w słuchawce potwierdza, że tak, właśnie odebrał telefon. A gdybyś pomylił numer, także wiesz od razu, że się pomyliłeś, bo w słuchawce rozlega się na przykład: - Niederhaus! - Wtedy nie zawracasz mu głowy, tylko się rozłączasz. Poza tym mogłeś zapomnieć, jakie Hans ma nazwisko i wówczas wystarczy do niego zadzwonić, a on się natychmiast zamelduje. Ty już wiesz, co chciałeś wiedzieć, i też

odkładasz słuchawkę. Zwracanie się do wielu osób po nazwisku jest w języku niemieckim głęboko uzasadnione. Bo czyż można powiedzieć: „Herr Doktor Christoph Krantz”, kiedy się do kogoś zwracamy z pełnym szacunkiem? Coś trzeba opuścić. I tym czymś jest zawsze imię, bo przecież nie tytuł. Jeśli zaś się nie ma tytułu, co jest udziałem

219

wielu, mimo wszystko należy go użyć, bo inaczej trudno w tym języku okazać szacunek. Zapewne z tego powodu zwracano się do mnie najpierw „Frau Doktor Rottenberg”, a kiedy ujawniłam siwiznę, awansowałam na „Frau Profesor Rottenberg”. Toteż oznaką niejakiej zażyłości było proste „Herr Freulich”, odwzajemniane swobodnym „Herr Rottenberg”, używane w konwersacjach tych panów.

Odbywało się to podczas naszych niedzielnych spacerów. Dochodziliśmy do najbliższego rogu, a tam znienacka pojawiał się pan Freulich. Na jego widok tata nieodmiennie przystawał i zaczęli przyjazne rozmowy po niemiecku, ponieważ pan F. jako miejscowy mógł nie znać polskiego albo ojciec chciał mu po prostu sprawić przyjemność. Podobne objawy życzliwości w powojennym życiu pana Freulicha nie były zapewne chlebem powszednim, toteż jego zachowanie wobec mego ojca granoczyło z wylewnością. Po bardzo wielu latach zaczęłam się zastanawiać, czy ojciec kiedykolwiek zapytał go o wojenne losy. Na przykład, jaki miał stopień wojskowy, w jakiej służył formacji, na jakim froncie? Tak niewinnie, przez uprzejmość: - Herr Freulich, musiał pan dobrze wyglądać w mundurze. Służył pan w Wehrmachcie? Albo czy wspomniał mimochodem, że podczas okupacji stracił niemal całą rodzinę? Albo jak się zmienił stosunek pana Freulicha do Żydów, Polaków, Cyganów i Rosjan, bo chyba ich przedtem troszkę nie lubił?

Takie pytania i takie uwagi zapewne nie padły. Pan F. wyglądał na człowieka, który by nie skrzywdził muchy. Mówił cichym głosem, jego niebieskie oczy spoglądały na świat z życzliwą niewinnością, a ruch dłoni poprawiającej jasne włosy wskazywał na wrodzoną nieśmiałość. Toteż ojciec chyba nie winił pana F. za cały hitlerizm, podobnie jak nie winił pojedynczych Rosjan za cały stalinizm. W naszym domu nie mówiło się o rasach i narodach w wartościującym kontekście. Skądinąd jednak (skąd?) wiedziałam, że nie jest dobrze być Cyganem i Żydem. Mimo mojej niechęci do niedzielnych spotkań z Freulichem wiedziałam, że nawet bycie Niemcem jest mimo

220

wszystko lepsze. Analizowałam przed lustrem kolor oczu i włosów, kształt nosa i owal twarzy, czy któryś z detali nie zdradziłby mnie w razie niebezpieczeństwa. Byłam niebieskooką blondynką o foremnym, raczej krótkim nosie, zresztą akurat po ojcu. Miałam dobry wygląd, ale niedobre nazwisko i niedobre imię. Zrozumiałam to już w przedszkolu, otoczona cudownie brzmiącymi chrześcijańskimi imionami typu Kryśka, Basia, Halinka i Ewunia, połączonymi z prasłowiańskimi nazwiskami, takimi jak Kowalska, Niedźwiedzka, Malinowska.

Próbowałam dociekać prawdy związanej z pechowym imieniem. Mama odesłała mnie do ojca, to był jego pomysł, wmówił jej, że to typowo polskie imię. Ze mną mu się nie udało. Wtedy wyjaśnił, że znał przed wojną jedną Andę, która była bardzo uczona, miała kilka fakultetów. Tata oczekiwał, że pójdę w jej ślady. Najpierw uwierzyłam, ale kiedy dorosłam i natknęłam się na postać Andy Kitschmann, oczywiście powiązałam jej osobę z moim imieniem. Nie mógł jej znać osobiście, myślałam pobłaźliwie, ale przecież miał słabość do pięknych kobiet i ozdobnego życia, więc lśnienie gwiazdy teatru Bagatela mogło mieć wpływ na wybór imienia dla jego córeczki. Trochę mnie to śmieszyło. Trochę rozczulało.

Szczególnie w kontekście opowieści o fakultetach. Z czasem przyzwyczaiłam się zarówno do myślenia o wyjaśnieniach ojca jako o niewinnych dydaktycznych kłamstewkach, jak i do wyzierającej spoza nich Andy Kitschmann, patronki mojego imienia. Okazało się jednak, że tata mówił prawdę. Zorientowałam się w tym dopiero wówczas, gdy zaczęłam poznawać

mieszkańców Biczyc Niemieckich. Tych sprzed „ostatecznego rozwiązania”. Sięgnęłam do archiwum Yad Vashem i przypadkiem trafiłam na świadectwo dowodzące istnienia rzeczywistego pierwowzoru. Nazywała się Anda Steinhoff, ale mówili do niej Andzia. Urodziła się w 1915 roku w Wojnarowej koło Nowego Sącza jako córka Chaima i Sary. Miała młodszą o pięć lat siostrę Reginę. Steinhoffowie zamieszkali w Biczycach blisko mojej babki, po drugiej strony głównej

221

drogi, trzeci dom od skrzyżowania, między posesją Hochhauserów i domem Nahrgangów. Tak wynika z planu Biczyc, sporządzonego przez ziomkostwo ze Stuttgartu. W legendzie do tego planu przy budynku Nahrgangów wymienieni są wszyscy jego mieszkańcy: Paul i Karolina z domu Roos oraz troje dzieci - Julius, Helena i Eugen. Przy budynkach Steinhoffów i Hochhauserów są tylko ich nazwiska oraz adnotacja: Jude. Dla ziomkostwa nie było chyba takie ważne, że Andzia Steinhoff pierwsza z tej wsi wyjechała na studia. Mało prawdopodobne, by utrzymywała z tatą bliskie kontakty, dzielił ich status majątkowy i społeczny - jej ojciec należał do najbogatszych we wsi, miał całe pięć hektarów ziemi, a do niej przed samą wojną mówiono już „pani profesor”. Podobno wyszła za męża. Podobno była piękna i elegancka. - To była wielka dama - przypomniał sobie Olek, gdy go o nią zapytałam. Zginęła w Bełżcu z rodzicami i siostrą Reginą.

Poszłam więc do szkoły obarczona niesłowiańskim nazwiskiem oraz imieniem o naukowych konotacjach. Uzyskana na pierwszej lekcji wiedza na temat języka ojczystego uświadomiła mi, że to, co dla większości stanowiło rzecz naturalną, dla mnie urastało do kwestii wyboru. Więc nie tylko imię i nazwisko, ale też dwa języki ojczyste wyróżniały mnie wśród rówieśników. Na szczęście nie spośród wszystkich, bo nie byłam jedynym w Legnicy dzieckiem o dziwnym nazwisku i nie tylko ja posługiwałam się więcej niż jednym językiem. Należałam jednak do maleńkiej gromadki tych, które to publicznie wyznały, bo inne albo już wcześniej wiedziały, za którym językiem mają ukryć swoje rozdwojenie, albo w ich domach mowa polska rzeczywiście górowała nad rosyjską, żydowską, ukraińską, białoruską, niemiecką, a także łemkowską i śląską. Faktem jest, że moi rówieśnicy, w przeciwieństwie do swoich rodziców, już na samym początku edukacji mówili poprawną polszczyzną, czasem tylko okraszoną gwarowymi zwrotami, miękkiem „l” czy gardłowym „r”. Nie wiem nawet, czy potrafili się poprawnie wypowiadać w swych

222

innych - domowych - językach. Mogłam ocenić tylko znajomość ich rosyjskiego, o wiele gorszą od ich polskiego, ale też niedorównującą mojemu rosyjskiemu. Zatem to raczej językowa równowaga, osiągnięta dzięki staraniom mamy, postawiła mnie przed koniecznością trudnego wyboru. Ale decyzję nauczycielki przyjąłam z ulgą. Polski stał się bezpiecznym schronieniem dla mojej rozchwianej tożsamości. Jednoczył mnie z otoczeniem. Upraszczał relacje. Pozwalał na wzięcie w nawias wiedzy o przynależności ojca do niewłaściwej podgrupy narodowościowej, bo to przecież od niego przejęłam czystą, choć brzmiącą z galicyjską, polską wymowę.

Było prawie dobrze. Jednak w konsekwencji dokonanego wyboru rosyjski został przesunięty na pozycję języka obcego, ponieważ w mojej polskiej mowie ojczystej nie ma przyjętej w wielu innych językach zasady, która pozwala na precyzyjniejsze i może bardziej zgodne ze stanem faktycznym rozróżnienie między langue maternelle i langue paternelle: oba języki równoprawne, niesprzeczne, bu-

223

dujące harmonijną osobowość mieszkańców wielu regionów świata. W rzeczywistości przecież tak właśnie było; moja polsko-rosyjska tożsamość przekładała się nie tylko na bezbłędne żonglowanie melodyczną odmiennością jednego i drugiego języka, ale wprowadzała mnie stopniowo w obszary kulturowych subtelności, jakie za nimi stoją. I choć

bardzo chciałam być taka sama jak inni, byłam od nich bogatsza o ten drugi obszar, nieobjęty ani szkolnym programem, ani klasyczną, domową edukacją polskiego dziecka. Bogactwo to zarazem decydowało o pogłębieniu mojej odmienności, a dokonany na pierwszej lekcji wybór nie zakończył moich problemów. Najpierw, w październiku 1956, tkwiąca we mnie Rosjanka dostawała dwóję z historii drugiej wojny światowej, a potem, w liceum, słyszała zapewnienia rusycysty, że u niego będzie miała piątkę, ale jego koledzy uczą przecież biologii, fizyki i matematyki (z których łatwiej zagiąć), więc brak promocji do następnej klasy jest raczej pewny. Kiedy więc, na skutek realizacji tych złowieszczych obietnic, zdawałam maturę w liceum korespondencyjnym i mogłam wybrać rosyjski, by dostać łatwą piątkę - wybrałam historię, której trzeba się było nauczyć. Wówczas inny rusycysta wyraził ubolewanie, że odcięłam go od pedagogicznego sukcesu.

Koncepcję jednorodnej tożsamości mogłam skorygować na studiach, kiedy ucząc się angielskiego i francuskiego, poznałam pojęcia mother tongue i father tongue. Ale nie było mi to już wówczas potrzebne. Przy wszystkich komplikacjach wynikających z rozumienia obydwu kultur, bo przecież nie tylko języków, wiedziałam, że jestem Polką. Jako Polka stałam w kałużach topniejącego śniegu przed Pałacem Kazimierzowskim 8 marca 1968, a potem uciekałam przed pałkami przebranych po cywilnemu ormowców, którzy wysypali się nagle z autobusów opatrzonych napisem „Wycieczka”. Nie brałam do siebie wykrzykiwanej przez „towarzysza Wiesława” propozycji wyjazdu z dokumentem podróży w jedną stronę ani kiedy w gronie bywalców warszawskich Hybryd słuchałam jego przemówienia, ani

224

kilka dni później w Legnicy, podczas kolejnego przemówienia, kiedy zobaczyłam ojca płaczącego przed telewizorem.

Nie byłam prześladowana. Nauczyciele akademicy starali się o moje zaliczenia bardziej niż ja sama. Bez przeszkód dostawałam pracę w Zachęcie, jeszcze zanim uzyskałam magisterium. Nie uczestniczyłam w słynnych pożegnaniach na Dworcu Gdańskim, bo nikt z mego najbliższego kręgu nigdzie nie wyjeżdżał. Miałam natomiast kolegów, których trzymano w więzieniach i wyrzucano ze studiów. Pamiętałam treść przemówień i artykułów pisanych językiem, którego wcześniej nie znałam, choć był to język polski. Pamiętałam łzy ojca i jego kompletną bezradność wobec tego, co usłyszał, siedząc przed telewizorem. Moja świadomość „dostała przyspieszenia”, a moje wybory, do niedawna jeszcze dokonywane instynktownie, nabrały racjonalności. Nauczyłam się uważniej dobierać przyjaciół oraz kręgi, w jakich się obracałam. Zrozumiałam, że podział nie przebiega między językiem ojczystym a językiem obcym, że kategorie „my” - „oni” odnoszą się do trochę innej pary przeciwieństw. Że naprawdę nie chodzi o pochodzenie i wyznanie, tylko o poczucie przyzwoitości. W tak rozumianej dychotomii moje miejsce było po stronie prześladowanych. Po drugiej stronie znajdowali się „oni”, to znaczy ludzie władzy. Dlatego tuż po dyplomie nie przyjąłam posady w Ministerstwie Kultury i pozostałam w Zachęcie jako podrzędny referent działu realizacji, a kiedy zaczęłam pisać, wolałam pozycję „wolnego” krytyka niż stanowiska w redakcjach poczytnych tygodników. Ale to, że nie skorzystałam z ogromnej dokumentacji rosyjskiej awangardy, którą mi zaoferował jej właściciel i która mogła mi przynieść szybki doktorat, podyktowały już inne względy. Nie zajęłam się dokumentacją, bo temat rosyjski nie miał prawa wyjść spod mojej ręki. Musiałam wyraziście eksponować swoją postawę, skoro Olek Wallis wręczył mi kiedyś książkę Iwaszkiewicza o Petersburgu, aby mnie przekonać do Rosji. To chyba nie pomogło, bo wiele lat później, już niemal pod koniec zawodowego życia, zgodziłam się

225

na zrobienie wystawy Warszawa-Moskwa dopiero pod groźbą, że projekt może nie ujrzeć światła dziennego. A kiedy już podjęłam tę pracę, okazało się, że aż do chwili otwarcia muszę ukrywać szczegóły ekspozycji nie tylko przed partnerami z Moskwy, ale i przed rodzimymi

decydentami, którzy po piętnastu latach wolności nie umieli się wyzbyć serwilizmu i cenzorskich zapędów. Byłam też jedyną osobą, która podczas otwarcia wystawy w jej moskiewskim wariacie przemawiała po polsku, nie zważając na teatralny szept ministra kultury Federacji Rosyjskiej, przypominającego mi, że znam rosyjski nie gorzej od niego. Nie były to puste demonstracje. Szukałam szczeliny, która pozwoli mi pozostać sobą, żyć w zgodzie z sobą taką, jaką mnie ukształtowało ustawiczne wyczulenie na problem własnej tożsamości, ale i w zgodzie z tym, co wpoił mi ojciec, kiedy byłam dzieckiem - z poczuciem honoru. Wybierałam więc odpowiedzialność indywidualną, także za to, czego nie robiłam. O tym, jak łatwo można było się zgubić w procesie integrowania osobowości wokół jedyne- go ojczystego języka, przekonałam się podczas spotkania z Bartkiem.

Bartek mieszkał niedaleko, przy Armii Czerwonej, między Jaworzyńską i Orzeszkowej. Ale na moim widokręgu pojawił się dopiero po zmianie szkoły, kiedy wylądowałam w zwykłej, rejonowej piątce, czyli na etapie klasy czwartej. Był starszy o rok, powtarzał klasę i chyba stwarzał problemy pedagogiczne. Mógł mieć kłopoty z tożsamością, podobnie jak wiele innych dzieci. Ale jego kłopoty, w przeciwieństwie do naszych, wynikały ze statusu przynależności do dumnego narodu przegranego. Był Niemcem. Nam, dzieciom, to nie przeszkadzało, ponieważ wszyscy byliśmy wykorzenieni, a Bartek nie próbował okazywać nam takiej wyższości jak Peter Zimmermann, nosiciel stuprocentowych cech rasy nordyckiej, właściciel stalowobłękitych oczu i karbowanych włosów w kolorze platynowym. Peter był starszy od Bartka. Wysoki, starannie ubrany w tyrolskie spodnie, kopał „zośkę” butem na grubej skórzanej pode-

226

szwie, przesywanej jasnymi nićmi. Podczas powitania ścisnął rękę i pytał o swoje imię: - Powiedz, jak mam na imię! Moje imię, bitte. - By wyzwolić dłoń z żelaznego uścisku, należało prawidłowo, czyli z niemiecka, wymówić: - P-e-j-t-a. Przeciągłe „e”, połknięte końcowe „r”. Wtedy odpowiadał: - fal - i można było odejść. Bartek nie miał w sobie nic z Petera. Owszem, trzymał się nieco na uboczu, ale nie demonstrował swej wyższości. Nie umiał też czy może nie chciał, tłumić osobowości. Był rozpoznawalny na tle klasy, przynajmniej dla mnie. Miałam do niego wyraźną słabość.

Nie wrócił do szkoły po kolejnych wakacjach, chyba po szóstej klasie. Wtedy zaczęłam dostawać od niego listy. Został mi tylko drugi z kolei.

Kochana koleżanko

Przepraszam Cię [małe c przerobione na duże] że tak długo nie odpisywałam, ale nie miałem czasu. Ja do szkoły nie chodzę. Ja muszę iść do szkoły specjalnej gdzie się uczą czytać i pisać tylko po niemiecku. Na razie wysyłam ci parę znaczków i pocztówkę. Ja wyślę do Romka list w jednej kopercie dla Ciebie i czy będziesz taka dobra i dasz mu to. Wysyłam dla niego też pocztówkę i parę znaczków. W następnym liście wyślę Ci więcej znaczków. Ja jusz pracuję zarabiam dobrze. Nie mam co więcej pisać.

Najserdeczniej pozdrawiam

Cię Bartek

I adres.

Nadawcę odnalazłam któregoś smutnego dnia w końcu lutego 1989, podczas pobytu na kursie niemieckiego w miasteczku Boppard nad Renem, kiedy starałam się rozrzedzać nudę „derdidasów” wyjazdami do ciekawszych miejsc. Którejś soboty wylądowałam w Kolonii. Obeszłam muzea i galerie. Było za zimno na spacer po mieście. W szatni nieistniejącego już Kunstverein mój wzrok padł na książkę telefoniczną. Przypomniałam sobie niedawno odnaleziony list. Zadzwoiłam. Odezwał się kobiecy głos mówiący najpierw

227

po niemiecku, potem również po polsku. Odpowiedzią na pytanie o Bartka było pytanie, czy znam niemiecki. Po co mam znać niemiecki w rozmowie z Bartkiem, pomyślałam.

Powiedziałam: - Etwas. - To już umiałam. Ale etwas to było za mało. Nie dało się z Bartkiem rozmawiać po polsku, a ze mną po niemiecku. Mimo to umówiliśmy się. Zabrał mnie do siebie, pokazał, jak żyje. Zapytałam, czemu nie mówi po polsku. - Weil Deutsche hin lch\ Ponieważ jestem Niemcem.

Odnutowałam to spotkanie w dzienniku, pod datą 28 lutego 1989 roku:

No więc Bartek. Moja wypierana miłość z dzieciństwa. Pamiętam matową bladość jego twarzy przy delikatnej smagłości skóry, dziwny wyraz zielonych oczu i romantyczną długość rzęs; „dorosły” uśmiech ładnie wykrojonych warg, ciemne, miękkie włosy nad szerokim czołem. Taki był dwunastoletni Bartek, który lekko grasejował, a jakże, ale nie z niemiecka, tylko z francuska, opowiadał, że jego rodzina pochodzi z Francji, co wczoraj powtórzył kilkakrotnie podczas wydanej na moją cześć kolacji. Nigdy nie padło między nami żadne słowo o sympatii czy uczuciach w ogóle. Na lekcjach matematyki rozwiązywaliśmy na wyścigi wszystkie zadania, zostawiając w tyle pocącą się resztę, aż pan Marecki zaczął go wyrzucać z klasy natychmiast po rozpoczęciu lekcji. Wchodził i mówił: - Passoń za drzwi. - Bartek biegł wówczas na dziedziniec i wpuszczał do klasy świetlne zajęczki. Okazało się potem, po jego nagłym wyjeździe, że byłam jedyną dziewczynką, do której pisał listy. Te listy, jak głos z zaświatów, znalazłam u mamy, przekopując się przez zapomniane pudełka. Pisane stąd, z Niemiec, przed trzydziestu z górą laty, rozpoczynające się od: „Kochana koleżanko, teraz mieszkam w mieście Koln i już pracuję”. Cała nieporadność trzynastolatka osamotnionego w Germanii, wyrwanego z kilku legnickich ulic, jedynych, które zdołał poznać w swym krótkim życiu. Temat niezwykłości zwykłych zdarzeń. O wycięciu pamięci, o sile zapomnienia wypierającego znajomy, jeśli nie ojczysty język, a wraz z nim emocje związane z ludźmi i miejscami. W pamięci pozostała mu nazwa ulicy i numer szkoły oraz najbliższa topografia sklepów i gruzów, w których spędzaliśmy dzieciństwo. Nie umiałam nałożyć na siebie tych dwóch twarzy - delikatnego Bartka i twardego Berta. Lata uporu i ciężkiej

228

pracy zrobiły z niego faceta-żyłę. „Nie dał się!” I stracił dzieciństwo za cenę stacji benzynowej, której się dorobił w Kolonii. Pułap marzeń, dom, który zamierza kupić, a który będzie równie brzydki i równie tandetny, jak mieszkanie w robotniczej dzielnicy, jak tort do kawy, którym zostałam podjęta, jak nowa kobitka - z miasta Łodzi - która poczuła się Niemką pod koniec lat siedemdziesiątych.

Był trochę zszokowany. Patrzył spode łba, ukosem. Badał mnie wzrokiem z ledwie ukrywaną ciekawością. Nie pamięta mnie. Nie pamięta, że pisał listy po polsku. Nie pamięta nic. Nic? Staraliśmy się odnowić to koleżeństwo, każde z własnym poczuciem wyższości; moje wynikało z wykształcenia, jego - z materialnego statusu. Pożyczył mi samochody, żebym się mogła swobodnie poruszać po Reichu. Wielkanocną wycieczkę do Paryża odbyłam srebrnym bmw, które spalało dramatyczne ilości benzyny. Na koniec sprzedał mi za grosze starego golfa, którym przyjechałam do Warszawy.

Nie osiągnęłam sukcesów w nauce niemieckiego. Po dwóch miesiącach wykroczyłam tylko trochę poza zakres znany mi od dzieciństwa, kiedy umiałam liczyć do dwunastu i bezbłędnie wymówić imię P-e-j-t-a. W roku 2000 zrobiłam w Bremie wystawę pod tytułem Zapominanie. W Bremie było łatwiej o tematy osobiste. Wernisaż odbył się w listopadzie. W grudniu natomiast, tuż przed Bożym Narodzeniem, otrzymałam od polskich parlamentarzystów list z propozycją, żebym wyjechała do Izraela, bo tam jest moje miejsce. Powinnam była to przewidzieć już wtedy, gdy się zgodziłam na rozmowę z młodą redaktorką o moim życiu, choć myślałam, że przyszła rozmawiać o sztuce. A jeśli nie wtedy, to wówczas, gdy mi przysłała do autoryzacji swój tekst na mój temat, napisany nie tak, jak ja bym napisała, ale zgodnie z tym, jak mnie zobaczyła. Zgodziłam się jednak na tę publikację w

„Dużym Formacie”, ponieważ wiedziałam, ile pracy w to włożyła, i znałam smak zmarnowanego wysiłku. Wiedziałam również, że przez to samo wyskakuję z cienia,
229

wybiegam przed orkiestrę, jak w dniu, kiedy wyznałam nauczycielce prawdę o dwóch językach ojczystych. Nie udaje się „zjeść ciasteczka i mieć ciasteczko”. Mnie się nie udaje. Istotnie, reakcja była natychmiastowa. Najpierw, o świcie, w dniu ukazania się „Gazety”, zbudził mnie telefon Izy Cywińskiej. Iza wcześniej wstaje. Przeczytała tekst i musiała mi powiedzieć, że jestem bardzo odważna i ona to podziwia, ale z drugiej strony szkoda, bo po tym artykule to ja już na pewno nie zostanę ministrem kultury, przynajmniej nie w Polsce. Potem zadzwoniła Hanka Krall. Nie sama z siebie, ale dlatego, że dzwonił do niej w mojej sprawie Marek Edelman. Od siebie Hanka chciała jedynie zapytać, czy koniecznie musiałam milionowi ludzi opowiedzieć swoje życie, bo jeśli nie było takiego musu, to ją to trochę dziwi. A co do Edelmana, to pytał, czy mam syndrom Holocaustu. Hanka odpowiedziała, że o ile mnie zna, to chyba nie mam, ale Edelman oznajmił, że on wie lepiej.

Hela

Podróż do Kanady planuję ostrożnie. Najpierw wysyłam list, po angielsku, żeby wszyscy zrozumieli. Podkreślam, że jestem niezależna finansowo, podaję swój adres internetowy i czekam na reakcję. Odzywa się Susie, córka mojej ciotki. Pisze uprzejmie, że będzie im miło. Postanawiam wpaść do Montrealu tylko na chwilę, przy okazji wyjazdu do Nowego Jorku, gdzie nie byłam od lat i gdzie nie mam właściwie nic do załatwienia. Skoro jednak mam lecieć na drugą stronę Atlantyku, to chyba nie tylko w jednym, jedynym celu. W końcu nie znam ani tej ciotki, ani jej rodziny, w papierach taty znalazłam zaledwie kilka okolicznościowych listów sprzed trzydziestu lat z powtarzającymi się: „jak się miewasz?” „u nas dobrze”, „ciężko pracujemy”, „dzieci rosną”. Wybieram cztery dni, między sobotą a czwartkiem, żeby nie zakłócić rytmu ich religijnego życia. Wiem od Olka, że są pobożni. Istotnie, dopiero po wylądowaniu uświadamiam sobie, że szabat obowiązuje do zmroku. Przyleciałam za wcześnie, jest zbyt jasno, żeby można mnie było odebrać z lotniska. Na miejsce, do niewielkiego domu w cichej dzielnicy, docieram taksówką.

Hela jest malutka, ale bardzo żwawa. Kości policzkowe i łuki brwiowe, owal twarzy, zarys ust - wszystko bardzo mi przypomina babkę Rozalię. Ojca mniej, bo miał inne oczy - chyba po nikomu nieznanym Ringach. Przygląda mi się z uwagą - nie wiem, co widzi,

231

bo nie zakłada okularów. Kręci się przy tym po obszernej kuchni, nakrywa do stołu, skacze wokół mnie na obcasikach, a ja wyciągam kopię jej „świadczenia przeżycia” z 1946 roku. Hela wczytuje się przez chwilę w ten zapomniany dokument i nagle wykrzykuje: - No popatrz, chyba sobie lat odjęłam! - Rzeczywiście, myślę, przecież Susie pisała latem, że jej mother kończy osiemdziesiąt pięć lat. Odjęła tylko trzy, niewiele w stosunku do wojennej normy, inne kobiety odejmowały po dziesięć. Moja cioteczka nie wdaje się jednak w wyjaśnienia, tylko wręcza mi w rewanżu specjalnie przygotowaną fotografię w uroczystym, pocztówkowym formacie, przedstawiającą parę młodych ludzi. Sądząc po ich strojach, zdjęcie zostało zrobione na

przełomie lat dwudziestych i trzydziestych minionego stulecia. U fotografa, zapewne z jakiejś ważnej okazji, ale nie ślubnej, bo oboje są ubrani na czarno. - To Josek z Lolą - wyjaśnia Hela. I dodaje, widząc moje zdumienie: - Brat twojego ojca z żoną. - No tak, rzeczywiście, dopiero teraz molekuly mojego mózgu zaczynają wirować i łączyć się w większe zespoły, które uruchamiają uśpione zwoje i wyzwalają zablokowany mechanizm pamięci. Przecież tata wspominał, że

232

miał brata, który zmarł młodo jeszcze przed wojną. Otwieram swój komputer i wyświetlam zdjęcie Lei Rottenberg - tej, której nikt nie umiał rozpoznać, a która musiała mieć z nami

jakiś związek, skoro tkwiła w rodzinnym albumie. Istotnie, to ta sama, która siedzi obok Joska! Tylko starsza i bardziej zniszczona, pozbawiona kokieterii. Ale jej oczy nadal są wielkie i jasne. Podobne oczy miała jej siostra, Hana Steinlauf. Z Marcinkowic. Zdjęcie Hany też dostaję od Heli. Jest podpisane na awersie tym samym charakterem pisma, co zdjęcie Lei. Więc teraz już wiem, że Lea była z domu Steinlauf. Z dokumentów na temat sądeckiego getta wynika, że ktoś z tej rodziny przeżył, i ich również będę musiała odnaleźć. Zrozumiałe staje się także, dlaczego na jednej posesji stały trzy domy i czemu pan Janek z Biczyc wspominał o domu Joska, choć go nie znał. Nie znał też Lei, bo mogła się po śmierci męża wyprowadzić ze wsi do Sącza i zamieszkać na Piekło, jeszcze zanim powstało tam getto. Mówi o tym adres na rewersie: Kraszewskiego 21, choć równie dobrze może to być adres wojenny. Czy to nie piękne, myślę, że ta znękana życiem kobieta, która trafiła w końcu do komory gazowej w Bełżcu, nosiła kiedyś wcześniej imię Lola i przeżywała szczęśliwe chwile u boku swego męża Joska? Bo to małżeńskie zdjęcie jest pełne ciepła i miłości.

Na kuchennym stole łąduje tymczasem kolejna fotografia. Zupełnie innej jakości, z innego świata. Zrobiona w zakładzie fotograficznym Sinayberger (Budapeszt, Kiraly-Utca 51).

Zwyczajnie

- pracownia Góra Synaj w Budapeszcie. Początek wieku - myślę -około 1903 roku. Panna z jasną kokardą w starannie upiętych włosach, długich kolczykach, taftowej, jasnej sukni z wysoką, zasłaniającą szyję stójką, do tego boa z piór i ozdobne wisioriki na solidnych łańcuchach, pewnie złotych. Ani za bogato, ani za biednie. Ani za skromnie, ani zbyt wystawnie. Panna na wydaniu z solidnego domu.

- To moja ciotka, Helen Leitman - mówi Hela. - A nie Chaja Rottenberg? - pytam, pamiętając wszystkie imiona i daty urodzenia córek mojej prababki Lieby Lampel oraz opowieść o narzeczonej. - Shurel

233

Oczywiście! - Hela wtrąca czasem angielskie słowa do swej polszczyzny, nadal płynnej, zakonserwowanej w nowosądeckim narzeczu, takim samym, jakim się posługiwał mój ojciec. Wreszcie znalazłam tajemnicze ogniwo łączące mnie z węgierską linią.

Chaja (zwana Heleną), młodsza siostra mojej babki, została wysłana na Węgry, ale nie od razu wydana za mąż - tu legenda rozmija się z rzeczywistością. Najpierw pojawił się jakiś bogaty Sparber, który wziął Chaję/Helenę na wychowanie. Nie znamy jego motywacji. Może nie miał własnych dzieci? Może chciał pomóc biednym galicyjskim krewnym? W końcu nie są nam znane wszystkie rodzinne powiązania, szczególnie te ze strony Mozesza R., który zniemacka pojawił się na Sądecczyźnie, wziął za żonę Liebę z Lamplów, spotkaną być może jeszcze w Limanowej, skąd pochodziła, osiedlił się z nią

234

w Gaju, niedaleko jej brata Hersza, ale chyba mu się źle wiodło, nie potrafił utrzymać sześciorga czy siedmiorga dzieci (ostatecznie nadal nie wiadomo, ile ich miał), a potem zniknął w zawierusze pierwszej wojny. Chaja/Helena, podobnie jak wiele kobiet w tej rodzinie, często używała panieńskiego nazwiska swojej matki, także po wyjściu za mąż. Wydali ją za Izydora Leitmana z Budapesztu. Najciekawsze jest to, że ów Jasek, brat mojego ojca, który dzięki fotografii wychynął właśnie z niebytu, był do niej podobny. Mam na myśli wspólny dla nich wszystkich, w tym także dla Heli i Kazka, lekko wschodni wykrój oczu i wyraźne kości policzkowe. Nie wiem, po kim to podobieństwo - po Liebie Lampel czy po Mozesie Rottenbergu?

Proszę Helę, żeby mi opowiedziała swoje życie, ale ona wyciąga taśmę VHS z nagraniem, jakie zrobiła z nią ekipa Spielberga. - Tu jest wszystko. - Istotnie. Na dokumencie Spielberga Hela, prosto od fryzjera, siedzi na kanapie w swoim saloniku, a nad jej głową wisi oprawiony w ramy, haftowany krzyżkami gobelin przedstawiający scenę biblijną, konkretnie moment puszczania na wody Nilu koszyka z małym Mojżeszem. Spoza kadru padają głupie,

amerykańskie pytania, na które Hela cierpliwie odpowiada. Jak w przedszkolu. Opowiada o życiu w Biczycach Niemieckich, o wojnie, getcie i przetrwaniu. A także o gobelinie, który ma nad głową. Potem, kiedy się już ze mną oswoiła, opowiada to także mnie, na żywo, w kuchni, drepcząc między stołem a lodówką, podsuwając mi co chwilę jakieś przysmaki, które sama lubi od dziecka. Takie jak naleśniki z serem.

OPOWIEŚĆ HELI

„Pierwszym mężem mojej mamy Sary z domu Rottenberg był jakiś Szpringer. Nie wiem, skąd pochodził. Mama rozwiodła się z nim po urodzeniu córki Bronki i wyszła za mojego ojca Izaaka Buchbindera, który miał też drugie nazwisko, Brandel. Czemu miał dwa? Chyba jedno po ojcu, drugie po mamie, ale nie wiem, które

235

po kim. Buchbinderowie pochodzili z okolic Tarnowa, z Czchowa. Z Izaakiem, moim ojcem, Sara miała pięcioro dzieci. Srułik umarł w dzieciństwie, została czwórka: Monek (czyli Władek), Gitl (mówiliśmy do niej Genia), Ascher Oskar (Kazek - znasz) i Hela, czyli ja. Żyliśmy w Biczycach z mleczarni, rodzice robili masło i ser koszerne i wozili do Sącza na handel. Dzieci się uczyły. Monek i Genia chodzili do niemieckiej szkoły ewangelickiej w Sączu, ja i Kazek do polskiej w Biczycach. Mnie uczyła pani Połomska, chyba Stefania, która miała syna Ziotka, bardzo dobrze uczyła, mieszkali u Danka, naszego sąsiada, w nowym domu. Jak pani Połomska i jej mąż zmarli, to Ziotek został mieszkać u Danka. W naszej rodzinie dzieci pomagały rodzicom, woziły towar. Mielśmy dwie krowy, konia, kawałek pastwiska, roboty starczało dla wszystkich i jeszcze potrzebna była pomoc. Był pomocnik, owszem. Przychodził nauczyciel muzyki, bo wszyscy byliśmy bardzo muzyczni, szczególnie tatuś - grał na wielu instrumentach, najbardziej lubił skrzypce - ale Genia i Kazek też dobrze grali. Ja gorzej. Niemuzyczna była tylko siostra ojca, bo

236

głuchoniema. Samotna była, mieszkała z nami, pomagała w domu. Tatuś zmarł nagle na serce w trzydziestym drugim. Poszedł do chłopów po mleko - na Trzeczewinę, pod górę. Była zima, ciężko się szło. Jak zaszedł, to poprosił o szklankę wody, ale nie zdążył wypić. Umarł. Mama zmarła na rok przed wojną, w trzydziestym ósmym. Monek już wtedy z nami nie mieszkał, po wojsku się ożenił z Ester Holzer. Holzerowie mieli gospodarstwo rybne w Kurowie, hodowali ryby i sprzedawali w Sączu. Wesele Mońka z Ester było huczne i bogate. Mieli dwoje dzieci, chłopców. Po ślubie Monek otworzył w Biczycach sklep. Na rogu, niedaleko od nas i posesji rodziców Olka z Kudowy. My zostaliśmy na gospodarstwie. Naprawdę to ja z Kazkiem, bo Genia była delikatna i nie umiała ciężko pracować.

Kolegowałam się z Matyldą, córką Hawrylukowej, Niemki - żony Polaka. Dankowa też była Niemką. Siostrą Hawrylukowej. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili, często przychodzili w gości, ale jak zaczęła się wojna, to przestali się do mnie przyznawać. Nawet Matylda.

237

W pierwszym roku okupacji trzeba się było tylko zarejestrować. Potem kazali iść do getta. Poszliśmy w trójkę, z Genią i Kazkiem, wzięliśmy ze sobą niemowę, trochę mebli i jakieś ubrania, reszta została - nie wiadomo, co się z tym stało. Pewnie rozebrali sąsiedzi i ten, co się do naszego domu wprowadził, zamiejscowy, chyba dostał przydział. Aha, i jeszcze zabrałam gobelin do haftowania. Lubiłam haftować. Ale nie miałam czasu. W getcie wszyscy prócz Geni szczęśliwie dostali pracę. Monek sprzątał i palił w piecach w urzędzie. To był Grenzschutz Finanzamt, bo niedaleko była granica. Pracował też w ogrodzie, ja mu pomagałam, jakoś się to udało załatwić, bo nie wyglądałam na Żydówkę. Najważniejsze, że miałam dostęp do kuchni, zawsze coś można było skombinować dla Geni. Kazek chodził do pracy przy rzece w Chełmcu, robili jakieś umocnienia. Mieszkaliśmy w małym getcie, obok rzeźni, z widokiem na rzekę i most w kierunku Heleny. Ulica Rzeźnicza. Był tam jeden pokój, czyli nasza sypialnia, i kuchnia, w której spała ciocia, ta niemowa. Moja najstarsza siostra

Bronka, ta, co ją mama miała z pierwszego małżeństwa, jeszcze przed wojną wyszła za mąż i miała troje dzieci: Heniusia, Marylę i Lidię. Wszyscy byli w getcie na Piekło, po drugiej stronie Kamienicy. Tych, co tam mieszkali, zwieźli ze wsi, na przykład z Gaju. Skupili ich na ulicy Żydowskiej, Bronka z dziećmi też tam trafiła. Jej mąż pracował w rzeźni i starał się przemycić trochę koszerne mięso. Złapali go na tym. Został rozszarpany przez psy na oczach wszystkich, dla przykładu. A Bronka? Pojechała chyba z transportem, dzieci też. Latem 1942 roku, w sierpniu, kazano wszystkim zgłosić się z ręcznym bagażem nad Dunajcem. A w tym Grenzschutz, gdzie pracował Monek, to był taki kierownik, nie Niemiec, tylko Austriak. To on mówi: - Ta wojna jest dla nas przegrana i nie potrwa długo. Jak uciekniecie, to macie szansę przeżyć. - I namawiał Mońka, żebyśmy nie szli nad Dunajec. To postanowiliśmy go posłuchać i wyjść, ale nie wszyscy razem, tylko Monek z rodziną osobno i my też osobno. Pamiętam, że to było w niedzielę rano. Umówiliśmy się, że Kazek

238
pójdzie do roboty jak zawsze, bo tych, co pracowali przy umocnieniach, rozkaz nie obowiązywał, i nie wróci z tą grupą z Chełmca. Tymczasem ja i Genia wyszliśmy z domu o świcie. Niemowcy nie mogliśmy zabrać, za duże ryzyko. Chyba potem zginęła. A my - bańki na mleko w rękach, a na głowach wielkie chusty. Założyliśmy je na siebie tak, że zakrywały opaski. Jakby co, to idziemy po mleko. A jakbyśmy zdjęły opaski, to kula w łeb. Nie wiem, czemu zabrałam jeszcze ten gobelin do haftowania. Więc idziemy w stronę Chełmca, a przed nami most na Dunajcu. Na moście strażnicy z karabinami. A my idziemy pewnym krokiem, niby sobie rozmawiamy, ale naprawdę to się modlimy, żeby stał się cud. I stał się. Strażnik nawet na nas nie spojrzał. A jak byliśmy w połowie mostu, nagle zrobiła się gęsta mgła. Jak mleko. Było bardzo rano i parowało od wody. W tej mgle

239
przeszliśmy przez cały Chełmiec i nikt nas nie rozpoznał. Już koło samych Biczyc schowaliśmy się w umówionym miejscu, w krzakach. I przesiedzieliśmy do wieczora, aż nadszedł Kazek po pracy. I razem czekaliśmy aż do nocy.

Kiedy zrobiło się całkiem ciemno, poszliśmy do naszych sąsiadów Ruchałów. Otworzyła Janka Ruchałowa, moja najlepsza przyjaciółka. Jak nas zobaczyła, to myślała, że zemdleje. Zabrała nas do szkoły, do nauczycielki, pani Emilii, Pieprznej z domu, Ruchało-wej po mężu Staśku, co był z Monkiem przy wojsku. Ukryli nas na strychu w szkole, siedzieliśmy tam trzy dni i noce, czekaliśmy, aż się uspokoi w Sączu. To znaczy, kiedy już wywozą wszystkich Żydów z Sącza i okolicy, bo szukali jeszcze potem po domach.

Ruchałowie mieli rodzinę w Łukawicy koło Łącka i Jasiak Ruchała nas do nich zaprowadził. Szliśmy całą noc. Aż doszliśmy do Zośki Sikoniowej, która mieszkała z dziećmi: Hanką, lat czternaście,

i Stasiem, lat szesnaście (mąż ją zostawił). Dzieci nie wiedziały, że jesteśmy z getta, ale Zośka wiedziała. Mieliśmy zostać na krótko, a to trwało dwa i pół roku. Kazek zaraz wykopał bunkier w komórce przy kuchni, obok skrzyni z opałem. Wejście się przykrywało de-

240
skami i zarzucało drewnem, co było do pieca. Kaziu wywiercił małą dziurkę na pole, żeby do tego bunkra dochodziło powietrze, bo było duszno. Dom nie był duży. Pokój i kuchnia. Dziewczyny, czyli my, spały zimą w kuchni, w lecie na strychu. Zośka w pokoju z Hanką. Do schronu schodziło się tylko w razie niebezpieczeństwa. Po pewnym czasie zawiadomiono sąsiadów, uwierzyli, że to rodzina, a nie, że Żydzi. Że niby uciekły przed wywózką na roboty do Niemiec. Nieraz przysłali nawet coś do jedzenia, bo Zośka biedna była bardzo. My też niebogaci. Raz w lecie żeśmy złapali barana. Starczył na długo. Co było, tośmy się dzielili, razem prowadzili gospodarstwo, zbierali latem czernice, za co Zośka dostawała od gminy cukier i inny prowiant.

Ruchałowicze przychodzili w odwiedziny i za pośrednictwem partyzantów zorganizowali nam spotkanie u sąsiada Cisowskiego w Biczycach, bo się okazało, że Monek żyje, cośmy myśleli, że nie. Bo Genia już nie żyła. Było z nimi tak, z Mońką rodziną znaczy: Ester z dziećmi i Monek też wyszli z getta i pojechali się chować do swoich chłopów koło Kurowa, gdzie mieszkali Holzerowie, rodzina Estery. Monek ukrył starszego synka u chłopca na Wysokim, opłacił, ile trzeba, i zostawił go tam. Ester czuła się bezpieczniej z jednym dzieckiem, często wychodziła. W sam raz byli w lesie, wszyscy, chłopci też. Usłyszeli szum, hałas, myśleli, że obława. Mężczyźni uciekli i zostawili Ester z dzieckiem na drodze. Że niby jest na spacerze. A to wcale nie było gestapo, tylko granatowy policjant z jakimś chłopakiem. Policjant złapał Ester i wylegitymował. Nie miała papierów. I choć go po rękach całowała, żeby puścił, zabrał ją na gestapo do Sącza, a stamtąd ją wzięli na cmentarz. I rozstrzelali razem z dzieckiem. Kiedy się o tym dowiedział chłop, co trzymał starszego chłopca, to go wydał. Myślał, że Monek też nie żyje. I chłopca też zastrzelono.

Na spotkanie Monek przyszedł ze szwagrem Holzerem, my z Kazkiem przez las też przylecieliśmy. Ledwośmy się przywitani,

241

a tu ktoś puka. To on, gospodarz znaczy, otwiera (a ja za drzwiami) i mówi, że teraz jest zajęty - bo to był sąsiad, chciał coś pożyczyć, ale kto go tam wie. I go nie wpuścił. Tośmy się nacieszyli i umówili, że jakby co, to przyjdą do Łukawicy. Potem ja z Kazkiem do Zośki, a Monek ze szwagrem wrócili do partyzantów. Ale w lecie coś im z tą partyzantką nie szło, przyszedli do nas bardzo obdarci i brudni, zawszeni. To cała rodzina ich oporządziła, przenocowała. Następnego dnia Kazek poszedł z Holzerem i Monkiem młócić zboże, a tu nagle jak spod ziemi wyrosli gestapowcy na koniach. Józek Holzer i Monek natychmiast się schowali do stodoły, a na ich miejsce wystąpiła Zośka z Hanką, że to niby one tak to zboże młóca. Niemcy kazali wszystkim wyjść przed dom, ale stodoły nie przeszukiwali, a ja tam siedziałam z nimi wszystkimi. Nawet zdjęłam jedwabne majtki i schowałam w sianie, bo jakby co, toby nie uwierzyli, że chłopka. Ale się udało.

Innym razem miałam sen, że mama mnie uspokaja, mówi, że nic się nie stanie, a właśnie wtedy przyjechały do Łukawicy nauczycielki kupować produkty rolne. Dwie paniusie weszły do naszego domu, czyli do Zośki, która nie miała co sprzedać, a za nimi gestapo, bo śledziło te kobiety. I pytają, kto jest kto? My z Kazkiem w środku, nieschowani. To Zośka mówi, że Kazek to jej mąż. I przedstawia świadectwo szkolne syna jako akt ślubu z Kazkiem. Więc gestapo do nauczycielek: - Du bist ein Jude. - Wyobrażasz sobie? Du bist ein Jude do nauczycielek! A nie do nas! I zabrali je. One tam wszystko wyjaśniły i je puścili.

Kiedy indziej, w zimie, rozległo się pukanie do drzwi. My do bunkra, sami wtedy byliśmy. Wchodzi jakiś mężczyzna z laską i zaczyna chodzić po domu i pukać w podłogę, nic nie mówi, tylko sprawdza, czy nie ma gdzieś pustego dźwięku. Pochodził, pochodził i wyszedł tak, jak wszedł, bez słowa. I zniknął. Wtedy właśnie Genia się przeziębila, bo wskoczyła do bunkra w samej koszuli, w zimie, a siedziała w drugim bunkrze, w pokoju. Po pewnym czasie Kazek

242

musiał zrobić ten drugi wykop, bo byśmy się wszyscy nie zmieścili. I Genia właśnie w nim siedziała i się przeziębila. Jak wyszła, to dostała krwotoku i już nie wyzdrowiała, nie było czym jej leczyć. Kilka tygodni potem zmarła. Nie wiadomo było, jak ją pochować. A ona, jak umierała, to też o tym myślała. I jej ostatnie słowa były: - Co ze mną zrobicie? - To był poważny problem. Na cmentarzu nie, bo musi być zgoda księdza. Zostawić też nie można. Stanęło na tym, że ją owiną workiem i zakopią pod lasem na oznaczonym miejscu, a miejsce przykryją kamieniami i żelazem od pługa, dla ochrony przed zwierzętami. Tak się stało. Dopiero po wojnie Kaziu dopilnował, żeby przenieść jej szczątki na cmentarz w Sączu i zrobił nagrobek.

Innym razem dom Zośki odwiedziła grupa partyzantów, cośmy ich akurat nie znali. I zbili Kazka strasznie, i zabrali mu zegarek. Po wojnie ten partyzant został w Sączu milicjantem. Poszliśmy tam ze skargą, spotkali tego partyzanta-milicjanta, który dalej nosił Kazka zegarek. Ale on powiedział, że miał wtedy prawo do tej «rekwi-zycji».

243

Kiedy przyszły Ruskie - zobaczyliśmy ich z daleka, jak jadą drogą - to zaraz poszliśmy do swojego domu, do Biczyc. Dom był już zajęty, pozwolili nam przenocować w kuchni na podłodze, ale rano musieliśmy się wynieść. To poszliśmy do Sącza i wynajęli mieszkanie przy Krakowskiej 12 od Gutsztajna, znajomego sprzed wojny, który wyjechał do Krakowa. Akurat partyzanci wysadzili w powietrze zamek z resztą Niemców i oni tak zostali leżeć na ulicy martwi, przysypani gruzem, co się posypał z zamku*. A ten gobelin, co go zabrałam z getta, miałam cały czas ze sobą u Zośki, tylko nie było nici, żeby go skończyć. To go potem już ze sobą woziałam, jak talizman chyba, i popatrz, wisi tutaj, nad kanapą. Skończyłam go dopiero w Kanadzie."

Po wojnie nie umieli sobie znaleźć miejsca. Monek, znający partyzanckie szlaki, zajął się przemytem i drobnym handlem. Jeździł na Słowację i na Węgry, aż znalazł w Budapeszcie ciotkę, słynną Helen (Chaję) Leitman. Postarał się najpierw o wysłanie Heli do Koszyc, na Słowację, a stamtąd przerzucił ją do Budapesztu. Hela wylądowała u ciotki akurat w święto Pesach, na które zjechała ze wsi część rodziny Altów, wszyscy bardzo pobożni, jak nadmieniła Hela. Tego właśnie dnia, prócz synowej ciotki Helen - pięknej Joli, i jej siostry - pięknej Liii, zjawiał się tam ich brat, Miki Alt. Był pierwszym mężczyzną, jakiego Hela poznała w Budapeszcie. Ślub wzięli 7 grudnia 1947 roku. Miki miał farmę i z niej żył, ale Hela chciała do miasta, więc Monek, który zdążył być już dobiec do Izraela, ale przyjechał na ślub - kupił jej w posagu urządzone mieszkanie. Przy okazji ślubu zakochał się w siostrze pana młodego Liii Alt, więc także wziął ślub i wyjechał z żoną do Australii. Hela i Miki zamieszkali w Budapeszcie, urodziły się dzieci: Bela (Ben), czyli Izaak, jesienią 1948 i Zuzanna (Susie), latem 1952. Hela szybko nauczyła się po węgiersku, ale nie pracowała, prowadziła dom.

* Hela się pomyliła, zamek wysadzili sami Niemcy.

244

Wszystko się jakoś ułożyło, aż nadeszła rewolucja 1956 roku. Nie mieli siły na przeżywanie nowej wojny ani na rosyjską okupację. Zabrali dzieci i przeprawili się na piechotę przez granicę. Trafili do Wiednia z zamiarem wyjazdu do Australii, żeby się połączyć z Mon-kiem, ale - jak mówi Hela - „kwota” była już zamknięta. Zgodzili się na Kanadę. Statek przybił do Halifaxu, stamtąd trafili do Montrealu. Po kilku latach ciężkiej pracy otworzyli jeden z pierwszych sklepów samoobsługowych w mieście, nazywał się ALT BROTHERS GROCERY, spóżywszy W 1967 sprowadzili Kazka z Halinką i dziećmi (dziewczynce dano Lidia, zawsze miałam nadzieję, że na cześć mojej mamy, a chłopcu Henryk - długo nie wiedziałam po kim, dopiero po rodzinnych opowieściach Heli zrozumiałam, że i Lidka, i Heniu dostali imiona na pamiątkę zamordowanych w Bełżcu dzieci jej przyrodniej siostry - Bronki). Po pewnym czasie Heli udało się nawiązać kontakt z rodziną Ruchałów i z Zośką Sikoń, a po śmierci Zośki korespondowała z jej synem Stasiem. Zabiegała dla niego o medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Odwiedziła ich wszystkich na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy w Polsce skończył się komunizm i kiedy zmarł jej ukochany Miki. Wtedy dopiero sprzedała sklep i po raz pierwszy od roku 1956, a po raz drugi od 1946 przyjechała do Polski. Zośka tego nie dożyła, ale z innymi Hela się spotkała. I w końcu, po długim procesie - bo Staś zmienił nazwisko na Miczyński - udało się mu ten medal wręczyć. Na gazetowym zdjęciu z uroczystości widać obok Stasia postać starej, tegiej kobiety, której twarz przypomina rysy jego siostry Hanki. Teraz Staś już także nie żyje, a co z Hanką, nikt nie wie.

Wszystkie te imiona, nazwiska, fakty i daty musiałam sobie poukładać na podstawie chaotycznych opowieści Heli i innych krewnych, którzy paradowali przede mną podczas rodzinnych spotkań i przelotnych wizyt z nieodmiennym nakrywaniem do stołu i namawianiem do jedzenia. Ale Hela także nie wiedziała wszystkiego. Nie wiedziała, że po jej wyjeździe z Nowego Sącza do mieszkania przy

245

Krakowskiej 12 wprowadziła się Hanka Sikoń (Hela mówi o niej „nasza Haneczka”), która skończyła właśnie osiemnaście lat, była pełnoletnia i kochała Kazka od czasu, kiedy się u nich ukrywał. Nie ułożyło im się z niewyjaśnionych do końca powodów. Trochę dlatego, że Kazek się ociągał z przejściem na katolicyzm i nie mogli wziąć ślubu (bo cywilny się nie liczył), trochę dlatego, że lubił wypić, ale najprawdopodobniej dlatego, tak myślę, że przesiedział połowę wojny ukryty w Łukawicy, w chałupie jej matki, i obecność Hanki ustawicznie mu ten czas przypominała. Hela nie wiedziała o dziesięcioletnim związku swego brata, bo z jakichś powodów nie zwierzył się jej z tego, a kiedy go odwiedziła latem 1956, Hanka już z nim nie mieszkała. Lubiła mundur, co swego czasu potwierdził Olek, wyszła za wojskowego, ale - według słów Heli - nie była z nim szczęśliwa. A szczęście jest dla mojej ciotki najważniejsze i polega na tym, żeby mieć wokół swoich bliskich - swoje rodzeństwo, dzieci i wnuki - i żeby wszyscy byli zdrowi. Pieniądze, owszem, przydają się, ale nie są warunkiem szczęścia. Hela ma kilka koleżanek, z którymi jeździ każdej zimy „do Florydy”, bo w Montrealu potrafi napadać kilka metrów śniegu, ma też inne, z którymi grywa w karty albo jeździ do kasyna. I jeszcze inne, z którymi zajmuje się dobroczynnością. Dobroczynność wyraża się dwojako: przez społeczną pracę w szpitalu oraz wysyłanie pieniędzy organizacjom charytatywnym. Szpitalne dyżury Hela ma w każdy wtorek. W środę jeździ do kasyna. W czwartek grywa w karty. W piątek szykuje z Susie kolację szabatową. W sobotę nie robi nic, czeka na zakończenie szabatu, który w zimie zaczyna się wcześniej, ale i wcześniej kończy. W niedzielę chodzi do kina albo na spotkania towarzyskie. W poniedziałek wypisuje czeki dla potrzebujących. Nikomu nie odmawia. - Należy dać - mówi - należy się dzielić. - Nie wspomina przy tym o dobroci zaznanej podczas okupacji. Nie sugeruje, że oddaje zaciągnięty kiedyś dług życia. Nie ma potrzeby, żeby o tym stale mówić; wystarczy po prostu pomagać. A te koleżanki, z którymi spędza czas na różnych zajęciach, są bardzo

246

bogate. Znacznie bogatsze od niej. Nie żyją, jak ona, z emerytury, tylko z kapitału po mężach. Ale Hela uważa, że nie są szczęśliwe, bo są bardzo samotne. Dlatego bez przerwy dzwonią. Hela odbiera te wszystkie telefony i długo gawędzi - najczęściej po węgiersku albo po angielsku, płynnie, ale z polskim akcentem.

LISTOPAD

Morze

Straciłam werwę. I wenę; utracona werwena: zjazd psychiczny, opad skrzydeł, czyli chybotliwa egzystencja. Kto się do tego przyzna? Czarne dziury w doniesieniach towarzyskich przybierają formę anegdot, bo jeśli nam zabraknie poczucia humoru, to będziemy musieli się wdawać w odsłanianie intymnych szczegółów naszego stanu psychicznego. Jak mówił Andrzej D.? - Co to za wiadomość, że jesteśmy chorzy? - Nie zmienił poglądów nawet wówczas, gdy stracił wzrok. Pamiętam, jak opowiadał o wakacjach na Helu: - Nie masz pojęcia, co się tam działo. Łamało drzewa, błyskawice jak w kinie grozy, fale na kilka metrów przelewały się przez półwysep. Całe szczęście, że tego nie widziałem! - A czy wiemy, jak wygląda jego czarna dziura? I czy chcemy wiedzieć? Kto chciałby słuchać opowieści o wyglądzie niewidocznego świata? Kto pragnie zanurzyć się w cudzej rozpacz, dotykać bezforemnej materii bólu, wyplutej, wyrzyganej z krwią i resztkami wczorajszej sałatki? Przecież i tak pozostanie tylko współczujące kiwanie głową, choć on nie może tego zobaczyć. Ponieważ nie może tego zobaczyć!

Musiałam chyba czuć się zmęczona, skoro dałam się mojej przyjaciółce Joli namówić na pierwszy w życiu wyjazd do Egiptu. Biuro podróży Rainbow Tours czy coś w tym rodzaju zaoferowało formułę all inclusive, to znaczy pokój w hotelu nad brzegiem morza,

249

trzy posiłki dziennie, baseny, parasole i inne rozrywki. Po sezonie. Jola spędza czas na oglądaniu podwodnego życia, pływa wśród koralowych raf, oddychając przez rurkę, która wystaje nad powierzchnię wody. Jej dorosła już córeczka, którą nadal nazywamy Żukiem, pokrywa swoje szczuplutkie ciało grubą warstwą filtru UV+ 85 i mości się na leżaku w pobliżu basenu, w pełnym słońcu. Tylko ja nie umiem znaleźć dla siebie odpowiedniego miejsca. Próbuje plaży pod parasolem. Cały kicz południa. Zapach frittura mista, lawendy i soli miesza się z chemią dezodorantów i filtrów do opalania, parującą z ciał plażowiczów. Obłoki z cukrowej waty powoli napływają nad mechate wzgórza opadające ku zatoczce poszarpanym rysunkiem skał. Delikatna zmarszczka wody w kolorze nieba zachęca do zanurzenia rozgrzanego ciała. Tymczasem nadwaga, widoczna jak na dłoni, skoncentrowana w okolicy talii, paraliżuje każdy krok, zmusza do kontrolowania ruchów, optymalizuje pozycje. Leżeć trzeba płasko, wstawać na dwa takty: raz - siadamy, dwa - podnosimy się, zachowując pionowy układ ciała. Odcinek między leżakiem a wodą, najlepiej jak najkrótszy, należy przebywać spokojnym krokiem; przy biegu trzęsą się uda. Szybkie zanurzenie, jak skok do łóżka w zimnej sypialni. Wtedy woda rozgrzewa, nadwaga znika z pola widzenia i ciało zaczyna współgrać z falą. Okazuje się jednak, że tym razem woda jest ciepła i gorzka, fala uderza z niewłaściwej strony i znosi ku ostrym krawędziom koralowej rafy, morze nie jest tak czyste, jak się zdawało - wszędzie pływają jakieś wodorosty, opakowania po lodach i podgnięte liście. Drętwieją końce palców, w kolanie odzywa się reumatyzm, krótki oddech nie pozwala na przyspieszony rytm, zbyt ostre słońce zniechęca do obrócenia się na plecy. Męczący powrót na brzeg nie dostarcza ogarniającego dawniej całe ciało poczucia orzeźwienia. Więc tak wygląda schyłek. Ale kiedy się zaczęło?

Pierwszy raz pojechałam nad Bałtyk dopiero w wieku dwunastu albo trzynastu lat, na obóz harcerski. Sosnowe prycze i pachnące sienniki pod wojskowymi namiotami. Lęki nocnych wart i obrzydę -

250

nie przy zbieraniu czerwonych larw stonki ziemniaczanej do butelek z naftą. Zapłata za ten harcerski czyn była świnia z miejscowego pegeeru, która w postaci rzadkiego gulaszu dostarczała nam cennych protein nakładanych chochlą na stertę kartofli. Zakończenie obozu było bardzo patetyczne: stojąc o zachodzie słońca po kostki w morzu, składaliśmy harcerską przysięgę. Potem było ognisko, Rota i śpiewy o kniejach, dziejach i bohaterskim czasie. Wtedy jeszcze słowa o Niemcu, który nie będzie pluł nam w twarz, robiły na mnie duże wrażenie. Jeszcze nie czytałam Kisielewskiego i nie znałam jego felietonu o nakreślonym w utworze Marii Konopnickiej pułapie polskich ambicji. Węgielek z tego ogniska, razem z harcerskim krzyżem przedwojennej roboty, długo jeszcze zajmował ważne miejsce wśród moich intymnych pamiątek. Nie pamiętam, żebyśmy chodzili na plażę.

Potem była przerwa. Nie w obozach, których zaliczyłam kilka, ale w wyjazdach nad morze. Aż do czasów uniwersyteckich. I tutaj znów pamięć koncentruje się wokół zdarzeń i osób, nie wokół morza. Najpierw pojawia się autostopowa podróż z Jołą do Łeby, nasycona

251

w każdej minucie wielkimi emocjami - czy było to czasochłonne wiązanie chust w stylu Kleopatry, czy tłuczenie komarów i zmiatanie na szufelkę karaluchów lubiących odwiedzać pobielony, wysprzątnany i zmieniony na wakacyjną kwatere chlewik - jedyny lokal, na który nas było stać. Do tych wakacji należało również czekanie, aż skwaśnieje mleko (będące podstawą naszego pożywienia obok chałwy i plastrów tylżyckiego sera), a także poszukiwanie tanecznych rozrywek, zawsze kończące się niepowodzeniem. Raz w rozległej

światlicy na skarpie, podczas popołudniówki zwanej fajfem, nie poprosił nas do tańca nikt prócz pewnej wąsatej pani, która musiała mieć pod czterdziestkę, skoro uznałyśmy, że stoi nad grobem. Innym razem, zwabione przez miłych młodzieńców do domu wczasowego na „wieczorek zapoznawczy”, już po pierwszym twiście zostałyśmy wypchnięte za drzwi przez ich energiczne i dostojne mamusie. Te mamusie z wyglądu i zachowania przypominały mi panią M., naszą sąsiadkę z Legnicy. A potem także pewną panią w warszawskim autobusie, która domagała się, żebym jej ustąpiła miejsca, a kiedy nieśmiało wyjaśniłam, że jestem w ciąży, rzuciła krótko: - Dziwka! - Fakt, że twista tańczyłyśmy na bosaka, bo w butach było niewygodnie. Fakt, że będąc w ciąży, nosiłam ekstrawagancki kapelusz, który rzucał się w oczy bardziej niż mój brzuch.

Przypomniałam sobie tę rozpowszechnioną na świecie skłonność do myślenia schematami, kiedy Mateusza i Kajki nie chciano wpuścić do hotelu Forum, gdzie się z nimi umówiłam. Stali przed wejściem w swoich zawadiackich strojach, a dostępu do drzwi bronił portier o chytrym spojrzeniu. Oczywiście szmalcownika, pomyślałam, choć naprawdę nie wiedziałam, jak powinien wyglądać sprzedawca ludzkiego życia. Zrobiłam awanturę. Portier wyjaśnił, że nie może ich wpuścić, bo są brzydko ubrani. Zaproponowałam, żeby spojrzał w lustro na swój strój, a on w odpowiedzi zaczął się szarpać z Mateuszem. Wtedy Kaja rzuciła w niego jogurtem. Różowa masa z kawałkami owoców spłynęła po służbowej piersi. Weszliśmy do środka.

252

Później był załatwiony w Almaturze zarobkowy wyjazd z radziecką wycieczką i torbą pełną służbowej gotówki. Zaraz potem pojechałam tam z Wu, znowu autostopem. Szło gorzej niż z Jolą, jak w piosence z refrenem: „Dwadzieścia kilometrów zostało im do miasta...” śpiewanej przez Tyma w STS-ie. Nad morzem, chyba też w Łebie - Wu lubił się nakładać na moje wcześniejsze wspomnienia

- graliśmy w brydża w sympatycznym gronie studentów, których odwiedziliśmy później w Warszawie. Właśnie wtedy rozgorzała dyskusja na temat listu polskich biskupów. Miałam 22 lata i nie rozumiałam, dlaczego mamy przepraszać Niemców. Chyba wówczas po raz pierwszy usłyszałam od Wu, że brak mi pokory. Chodziło mu o to, że nie odebrałam chrześcijańskiej edukacji, oczywiście. Nie dostrzegł w tej uwadze sprzeczności z jego patetycznym: - Honoraria za moje listy przepiszę na twoje dzieci! - wykrzykiwanym podczas naszych sprzeczek. Wtedy, na tym brydżu, Wu jak zwykle obraził gospodarza i nigdy się już nie spotkaliśmy. Gospodarzem był Andrzej Woyciechowski, późniejszy założyciel Radia Zet. Innym razem uciekałam od Wu na wczasy zakładowe, załatwione przez lokatorów mieszkania przy Orzeszkowej. Zanim pojechałam, spotkałam na wyludnionym Trakcie Królewskim Krzysia Mętraka, który właśnie dostał posadę w „Kulturze”. - Napisz coś - zaproponował od niechcienia i wręczył mi południowoafrykańską powieść o Murzynach. Pierwszy w życiu tekst do druku napisałam na kartkach wyrwanych z zeszytu, siedząc w plażowym koszu. Ukazał się jesienią, chyba w 1967 roku. Zaraz potem, oczywiście znów na Krakowskim Przedmieściu, spotkałam Janusza Głowackiego. Wycodził szydyczko:

- Ando, czytałem twój esej. Bardzo ciekawy. Nie wiedziałem, że tak głęboko przeżywasz los Murzynów!

Prawdziwe morze przyszło znacznie później, kiedy już byłam po studiach i urodziłam Mateusza. Dostało mi się, jak ciężko wywalczona niezależność - osiągnana etapami, przez połączone z robieniem dyplomu lata terminowania w Zachęcie, przez zdobywanie dachu

253

nad głową dla maleńkiego jeszcze wówczas dziecka i wyzwalenie się od jego ojca.

Wynajęłam pokój na Helu. Właściwie w samym Helu. Ówczesny przelotny narzeczony pytał w listach, jak mi się chodzi na plażę wzdłuż zasieków? Tak samo jak innym, piaszczystą ścieżką pod sosnami. Zanurzałam się w tłumie głów i ciał, wśród których pewnego razu

zniknął goły Mateusz. Wystarczyło na chwilę zamknąć oczy i zapaść się w siebie, osiągnąć każdemu znany stan wyłączenia z rzeczywistości pod wpływem bliskości żywiołu i kontaktu skóry ze słońcem. Serce tkwiło w gardle całą wieczność, póki się nie odnalazł w nieodległym grządole. Proste następstwo winy i kary. Jeżeli A, to B. W ten sposób uczymy się, czego nam nie wolno. Odtąd wpatrywałam się w kreskę horyzontu, trzymając go za rękę. Wieczorem wyznał: - Wiesz, jest mi jakoś smutno, bo niebo jest takie wielkie i morze też jest takie wielkie. - Miał trzy i pół roku.

Kwaterę pomogła mi znaleźć Truda, znajoma, która niegdyś, po ucieczce od męża do ukochanego, znalazła schronienie w gościnnym domu moich rodziców. Ustatkowała się w helskiej kwiaciarni. Zaprosiła na kawkę i coś słodkiego dla dziecka. Wychodząc od niej po tej kawce i placku z kruszonką, zobaczyłam tatę. Szedł pustą uliczką od dworca, chudy, słaby, spychany przez bryzę na skraj chodnika, z przerzuconym przez ramię prochowcem i podróżną teczką. Starał się nie okazywać zmęczenia po spędzonej w pociągu nocy. Miał nadzieję - tłumaczył się - że nas spotka u Trudy, bo dawno nie widział Mateusza. I lubi morze.

Przypominałam sobie wówczas, jak kiedyś wynurzył się niespodziewanie z lasu, w którym stały namioty naszego harcerskiego obozu, i też się tłumaczył, że lubi las i przyjechał na chwilę zobaczyć, jak sobie radzę. Albo jak go zastałam w domu wuja Antoniego w Kudowie, kiedy wróciłyśmy z jego pasierbicą Tiną śmiertelnie zmęczone po pokonaniu na piechotę całej drogi z Lewina Kłodzkiego i po całym dniu spędzonym na tamtejszym basenie, i kiedy przyglądał mi się podejrzliwie - bo co też, jako nastolatka, mogłam tak długo robić poza domem? - a jednocześnie wyjaśniał, że

254

właśnie lepiej się poczuł i wpadł do kuzyna na kilka dni, żeby odpocząć. Tak się wyrażała jego niezdana ojcowska troska, pomyślałam, inaczej nie umiał. Zmarł dwa lata później w Kołobrzegu.

Hel mi się spodobał, wracałam tam wielokrotnie, choć już nie na sam cypel. Za drugim razem zajechaliśmy do Kuźnicy z siedmioletnim Mateuszem i suką Fuńką już po zapadnięciu zmroku własnym, nowym fiatem 126 i zaraz pobiegliśmy nad morze. Otuleni miękkim powietrzem, siedzieliśmy na ciepłym piasku w zupełnej ciemności, oswajając się z obecnością cichego przypiływu. Obydwoje wiedzieliśmy już trochę o wielkości nieba i morza. Lato okazało się gorące, Fuńka czekała na fale i dzielnie towarzyszyła mi w wypływaniu na głębinę. Pojawiły się kolorowe meduzy, które Mateusz próbował wydobywać na brzeg. Opowiadał z zachwytem: - Jedna wyglądała jak panienka, a druga to taki nieboraczek. - Któregoś dnia pokazał mi płaską blaszkę. - To moneta. Sprasowana pod ekspresem - oznajmił tajemniczo. - Pod jakim ekspresem? - Warszawa - Hel!

Oczywiście odczuwałam natychmiastowy niepokój. Oczywiście starałam się zabraniać zabaw w pobliżu torów. Oczywiście chciałam go ochronić przed całym złem świata. Ale nie pod kloszem, myślałam, nie w izolacji od życia. Czerpałam z własnych wzorców. Chciałam, żeby się nauczył czytać swój wewnętrzny kompas i znalazł siłę, by się go trzymać. Nie wiedziałam, że już wtedy szukał okazji do wprawienia organizmu w stan pobudzenia - być może podobny do tego, jaki odczuwają płetwonurkowie schodzący za delfinami w głąb „wielkiego błękitu” i tęskniący po powrocie na powierzchnię za doznaniem, jakiego zwyczajnie zjadacze chleba nie mogą z nimi dzielić. Mógł doświadczyć czegoś podobnego, kiedy stanął przeciwko grupie rówieśników w obronie przyjaciela, „który się nie bije”, i porwawszy z ziemi porzuconą gałąź, wywijał nią nad głową jak zobaczony w kinie Robin Hood. Był w pierwszej klasie. Kiedy później, mając zaledwie dziewięć lat, włamał się w Legnicy do smaźalni frytek, nie powiązałam tego z bohaterskim wyczynem siedmiolatka. Podobnie

255

jak większość ludzi, nie dostrzegłam żadnych podobieństw między czynem podniosłym a czynem niskim. W jednym widziałam zrozumienie dla zasad przyjaźni, w drugim skutek

chwilowych, wakacyjnych kontaktów z „marginesem”, zajmującym już wówczas pierwsze piętro legnickiej kamienicy przy ulicy Orzeszkowej. Jedno napełniało mnie dumą, drugie lękiem. Dopiero wiele lat później Mateusz mi wyjaśnił, że nie chodzi o moralną kwalifikację czynu, tylko o ryzyko, którego podjęcie wywołuje upragniony dreszcz emocji. - Dlatego po prostu lubię kraść - dokończył.

W stanie wojennym, kiedy wszyscy mieli więcej czasu, a mniej możliwości podróżowania za granicę, wyjazdy na Hel stały się regułą. Pamiętam takie wakacje w Jastarni z moją przyjaciółką Hanką, Hanią Solway i jej mężem Kostkiem. Mateusz się z nami nudził, jak teraz Cyryl. Bubek, syn Fuńki z przedostatniego miotu, bał się opusz-

256

czać rodzinny grajdoł nawet na widok imponująco pięknej wyżlicy Jarka K., który rezydował w innym grajdole z dwiema kobietami: żoną aktualną i żoną przyszłą. Spotykaliśmy się nad wodą, wymieniając niezmiennie tę samą uwagę: - Ale zimna woda! - O tak, bardzo zimna! - I rozchodziliśmy się do swoich dołków. Woda istotnie była lodowata. Zderzenie z pierwszą falą zapierało dech w piersiach, a całe ciało ogarniał ogień. Popołudniami chodziliśmy na mrożony tort czekoladowy do jadłodajni Elrino, a wieczorem do portu oglądać zachody słońca. Niedługo potem Hania Solway zaszła w ciążę i skarżyła się w listach: „Dopiero szósty miesiąc, a ja mam brzuch pod brodą. Kto to wszystko będzie rodził?” Urodził się Kokeś, który okazał się dzieckiem szczuplutkim, ale wytrzymałym. Moja druga przyjaciółka Jola urodziła Paulinę, czyli Joasię, czyli Żuka, którą teraz, po latach, obserwuję na sąsiednim leżaku, jak cierpliwie wystawia na słońce swój płaski brzuszek. Zabierałam ją nad morze, kiedy Jola zajmowała się rehabilitacją swojej matki. Pamiętam, spędziłam dobry tydzień, wożąc Żuka i Kokesia z Oliwy do coraz to innego miejsca, na inną plażę - na Mierzeję, zbierać drobniutkie bursztyny, albo do Chałup, a stamtąd niezmiennie do Elrino w Jastarni, na smażonego dorsza bez dodatków; dzieci nie lubiły surówek. Ta sama trasa: Chałupy -Jastarnia - Elrino powtarzała się później w wersji z Kają, Żukiem i maleńkim Cyrylem, i jeszcze później z Cyrylem i Zosią, chociaż znałam już wtedy zaciszne miejsce niedaleko Karwi, gdzie do morza wpada ciemna rzeczka i gdzie dzieci mogą czuć się bezpiecznie, gdy morska fala jest zbyt wysoka.

Jedyny w życiu pobyt w Dębках. Rok 1986. Piaszczysta droga wzdłuż całej wsi, aż do Piaśnicy, dziś już wybrukowana i okolona handlową ofertą jak pasaż w Złotyach Tarasach. Noclegi w niedokończonym domu bez drzwi, na gołym betonie, w surowych murach, które Grażyna S. zdobyła i dzieliła za pomocą przywiezionych z Indii wielkich chust. Grażyna czekała na powrót mowy, utraconej w chwili, gdy jej mąż oświadczył, że prócz niej ma też inną kobietę,

257

która właśnie spodziewa się dziecka, ale nie ma sensu się rozwodzić, przecież mogą tylko poszerzyć stan rodzinny. Przybiegła do mnie w przeddzień wyjazdu i wyszeptła, co jej się wydarzyło. Zabrałam ją do Dębek razem z jej córką Darią, przyjaciółką Mateusza od czasów przedszkolnych. (Teraz Daria organizuje wakacyjne obozy dla dzieci, na które od lat zabiera Zosię. Opowiada o przedszkolu w Łazienkach, o szkole na Górnośląskiej, o zabawach i przygodach, jakie przeżywała ze swoim przyjacielem, który potem został jej, Zosi, tatusiem.) Tamtego lata w Dębках wszyscy żyli w atmosferze niejasnych oczekiwań. Toczyły się, zagłuszane pijackim śpiewem, ciche rozmowy. Na plaży, otoczone gromadami dzieci, koczowały tabuny gołych artystów i konspiratorów. Liczyliśmy dni dzielące Adama M. od wyjścia na wolność, zastanawiając się, czy liczni funkcjonariusze też się służbowo rozbierają do naga?

Tydzień we młynie, gdzieś w połowie zachodniego wybrzeża, z Kają i Mateuszem, niedługo po tym, jak go - na parę dni przed maturą - wylali ze szkoły za obecność „w stanie zmienionej świadomości”. Załatwił sobie zdawanie w liceum korespondencyjnym - jak ja w jego wieku -

i zdał, ale nie zdażył dostarczyć świadectwa do dziekanatu ASP, bo tam, w szkole artystycznej, egzaminy odbywały się wcześniej niż w pozostałych szkołach wyższych. Więc przyjęli jego teczkę z rysunkami i gwaszami, bo była podpisana jego nazwiskiem, a potem, kiedy przestudiowali papiery z większą uwagą, zapytali, czy jego mamusia jest właśnie tą, znaną im mamusią, dyrektorem departamentu. I wówczas już nie mógł zdawać, choć zapewniał, że dostarczy tę maturę, przecież wie, że bez tego papierka i tak nie będą go mogli wpisać na listę studentów, więc nic nie ryzykują, jeśli pozwolą mu stanąć przed sztalugą i pokazać, co umie. - Chyba cię tam lubią - powiedział. Stracił rok decydujący o całym jego dalszym życiu. To okazało się później. A wówczas, po tej rwanej maturze i nagle spiętrzonych problemach formalnych na akademii, zabrałam go z Kajką w podróż, objeżdżałam całą Polskę - najpierw na południe,

258

przez Kazimierz, Sandomierz, Krzyżtopór do Krakowa, a potem na północ, nad morze - tylko po to, żeby ominąć Warszawę i utrudnić dostęp do towaru. Niedaleko tego młyna była świeżo odzyskana, wyjęta spod wojskowej administracji, jedna z najszerzych polskich plaż - zupełnie pusta, kilkaset metrów człowiek od człowieka, mimo to jakiś osobnik zadał sobie trud przebrnięcia w gorącym piasku tej sporej odległości dzielącej nas od niego i od brzegu po to tylko, żeby zwrócić nam uwagę na niestosowność, niewłaściwość, a nawet karygodność przebywania w miejscu publicznym bez okrycia. Bo dzieci, choć już dorosłe, były gołe. A tuż obok, dla równowagi ubrana od stóp do głów na czarno, siedziała Ewa M., negocjująca sama z sobą sens życia. Ja z kolei próbowałam sięgnąć myślą na drugą stronę Bałtyku, gdzie właśnie uruchamiano nowe połączenie z Polską. - Nie spocznię, dopóki nie popłynę promem z Karlskrony do Gdyni - mówił Jean Christoph, ambasador Szwecji, podczas pożegnalnej kolacji. Miał w Polsce do załatwienia dwie sprawy. Pierwszą było doprowadzenie do wykonania wszystkich oper Mozarta. Drugą - właśnie ta linia z Gdańska do Karlskrony. Oba zamysły się udały. Miał przyplłynąć pierwszym rejsiem i wpaść do Warszawy, zawiadamiał mnie o tym w liście pisanym drobnym, pochyłym charakterem pisma. Ale nie przyplłynął i nie wpadł do Warszawy. Ingela Lind, nasza wspólna znajoma, powiedziała mi później, podczas mojej wizyty w Sztokholmie, że kiedy ruszał pierwszy prom, Jean Christoph właśnie umierał. Cetniewo. Cytat z czasów komuny przeniesiony w zmienioną rzeczywistość. Sauna, masażystka - wampir energetyczny, jak ją nazywała Jola - i ostatni w życiu tenis. Kajtek, mój labrador, lubił wpadać znienacka na boisko i wybijać piłkę spod nóg zdumionych sportowców; był urodzonym futbolista, który przez przypadek został psem. Pieczone kartofle z rybą i piwem w nieodległym młodzieżowym barze z Jolą za pierwszym pobytem i łzy Hanki za drugim. I wreszcie wyjazd ostatni, ale pierwszy poza sezonem i jedyny naprawdę luksusowy, najpierw, znowu z Jolą, w letniej rezydencji

259

wspólnego znajomego, potem z moimi dziewczynkami, Alicyjką i Zosią, w wielkim, pracowicie odrestaurowanym dworze Krzysia K. oraz jego pięknej żony. Terapeutyczne oderwanie od Warszawy rozpoczęte głupim złamaniem ręki, a zakończone zwiastującymi finał świętami Wielkiej nocy.

Jak to się dzieje, że wspomnienia znad zimnego Bałtyku, w którym już od dawna nie pływam, mają więcej barwy i smaku niż te z ciepłych mórz i wspaniałych plaż Adriatyku, Morza Śródziemnego, Atlantyku i Pacyfiku? Dlaczego takie sycące oczy miejsca, jak brazylijska Copocabana, weneckie Lido i chorwacki Dubrownik, plaże Majorki i Venice w Kalifornii, Macao i Hongkong, Lima, Montevideo i San Francisco - pozostają w pamięci jedynie jako pocztówki, widoki, które później, po upływie tygodni, miesięcy czy lat - nie poruszają serca, nie wywołują ciepłej fali i bolesnego skurczu, nie uwalniają

260

tych wszystkich reakcji, które się wiążą z moimi polskimi wakacjami? Nie wszystkie te podróże należały do oficjalnej strony mojego życia, w wielu miejscach byłam z bliskimi, całkiem prywatnie, tak jak teraz w ciepłym i trochę nierealnym Egipcie. Może chodzi o geograficzną odległość, zanurzenie się w innym świecie, jak podczas każdej podróży pozwalającej na chwilę zapomnieć o rzeczywistej rzeczywistości? Może o wagary z życia, które naprawdę toczy się gdzie indziej, dlatego tu jest ładnie i przyjemnie, a tam dojmująco.

Nauczanie początkowe

- Co to za litera? - pyta ojciec, pochylając się nad zeszytem pełnym kleksów i bazgrołów. - Es, odpowiadam ze wzrokiem utkwionym w okno, znudzona tymi lekcjami, kiedy jeszcze jest jasno, można by wyjść na ulicę i pograć w klasy. - To es wygląda, jakby miała sraczkę!

- wykrzykuje tata, wskazując palcem na literkę z wypiętym zadkiem. Nie umie opanować śmiechu, choć próbuje marszczyć swoje jasne brwi. - Mam niedobrą stalówkę - narzekam z głupia frant, bo sytuacja stała się zabawna i wiadomo, że sraczka litery s nie będzie miała żadnych poważnych konsekwencji. W końcu jestem ukochaną córeczką tatusia i jego kopią, tylko troszkę zdeformowaną przez odmienność płci. I wszyscy świetnie wiedzą, że jako kopia łatwiej nauczę się tańczyć niż pisać. Przećwiczyliśmy to już na zabawie zorganizowanej w poniemieckiej sali gimnastycznej, tuż obok naszej kamienicy, pod numerem 23, gdzie moi rówieśnicy męczyli się w rytmie dwa na jeden albo dwa na dwa, a mój ojciec kręcił ze mną kółka na raz - dwa

- trzy, raz - dwa - trzy. W ten sposób nauczyłam się tańczyć walca, jeszcze zanim w moim życiu pojawił się szkolny kujawiak i Zasiłali górale. Aby jednak mogła ćwiczyć charakter pisma, tata wręczył mi swego pelikana ze złotą stalówką. Już więcej nie sprawdzał moich lekcji. Złota stalówka w tajemniczy sposób wyłamała sobie czubek, atrament wylewał się z niesfornej gumki, skuwka wyginała jak rącz-

262

ka wieszaka na ubrania. Trzeba było wracać do obsadki i kałammarza, przyborów do pisania, o których dzisiejsze dzieci nie mają pojęcia, nie doświadczyły kleksów i nie posiadały umiejętności ulepszania bibuły przez poślinienie rożka, żeby lepiej wsysał granatową kroplę, która niespodziewanie i podstępnie potrafiła się stoczyć ze stalówki na niemal już zapisaną stronę, pełną banalnych stwierdzeń, że Ala ma kota, a to jest As.

Ułożone przez Falskiego i służące mojej edukacji zdania nie odpowiadały moim oczekiwaniom. Wiedziałam już, że istnieją książki niebędące podręcznikami, oferujące inny świat, opowiadające o sprawach budzących inny rodzaj lęku niż ten, który znamy z życia, i ewokujące niedookreślone doznania związane z tajemnicą istnienia. Poznałam także uczucie empatii dla literackich bohaterów. Udzielał mi się przedśmiertny zachwyty chińskiego cesarza nad śpiewem słowika i wstręt Całineczki do małżeństwa z kretem, zgrozą napawało lodowate okrucieństwo Królowej Śniegu i zwierciadło prawdy pewnej macochy polującej na swą piękną pasierbicę. Do tego świata, jak mi się dzisiaj zdaje, należał też diabeł z sądeckich jasełek, który przekroczył granicę swej fikcyjności i znalazł się w fizycznym, dotykającym świecie. Nie wiadomo, skąd się brało w tamtym okresie moje wyczulenie na formę i jak to się stało, że potrafiłam odróżniać zasady panujące w życiu od tych, które rządzą w sztuce.

Wydawało mi się to oczywiste aż do czasu, kiedy - już w życiu zawodowym - zaczęłam spotykać osoby, które utożsamiały fikcję z rzeczywistością, wdając się w polemikę z obrazami, rzeźbami, filmami i wierszami w taki sposób, jakby dyskutowały ze swymi znajomymi przy piwie albo z politycznymi adwersarzami. Niewykluczone, że oddzielania tych dwóch światów nauczyłam się po spotkaniu z jasełkowym diabłem. Musiało do mnie dotrzeć, że fikcja to fikcja, sztuka to sztuka, a życie to życie. Czytając Andersena, rozwijałam książkowe ilustracje w ruchome sekwencje, widziałam przebieg akcji. Aż kiedyś zrozumiałam, że światy, które na co dzień do siebie nie przystają, mogą się

263

spotkać w kinie i w teatrze, kiedy fikcja zetknie się z rzeczywistością, a bajkowe postaci wyrugują prawdziwą tożsamość aktora. I wtedy diabeł będzie na swoim miejscu, bo pozostanie w granicach umownej rzeczywistości. Toteż zapamiętałam jedno ze szkolnych przedstawień i towarzyszące mu poczucie estetycznego dysonansu.

Wystawiana była historia o księżniczce, która zabłądziła w lesie i dzięki temu poznała życie prostych ludzi, a na koniec poślubiła drwala. Przedstawienie zostało starannie przygotowane, aktorzy dobrani na podstawie cech fizycznych. Księżniczkę grała filigranowa Zosia z buzią okoloną brązowymi lokami i poważnym wejrzeniem niebieskich oczu. Postać drwala kreował Sławek, chłopczyk krzepkiej budowy, o czerstwej, rumianej twarzy. Można ich było rzeczywiście wziąć za księżniczkę i drwala, ale tylko do czasu, kiedy Sławek wyciągnął zza pleców starannie złożoną kanapkę z cieniutkim paskiem twarożku, mającą zagrać prostą pajdę chleba z serem. Ta kanapka nie pochodziła ze świata bajek, tylko z kuchni mamusi Sławka. Stanowiła dramatyczny dowód zupełnego braku wyobraźni i wrażliwości na wizualną stronę opowieści. Nie godziłam się na takie uproszczenia, ale zachowałam te spostrzeżenia dla siebie, wiedziałam już bowiem, że nie zostanę zrozumiana, że nikt nie będzie wiedział, o co mi właściwie chodzi - przecież miał być chleb z serem i był. Nie wiem, na jakiej podstawie wyrobiłam sobie taką opinię o otoczeniu, lecz musiało mi to później wejść w nawyk i skutkowało wyniosłym wzruszeniem ramion, zastępującym próżny trud tłumaczenia czegoś osobom niebędącym w stanie pojąć istoty rzeczy. Do takich osób zaliczałam większość rówieśników oraz nauczycieli. Przeświadczenie, że świat dzieli się na sztukę i niesztukę, pozostało na długo moją tajemnicą.

Mój dostęp do świata fikcji poszerzała znajomość rosyjskiego. Tomek Sawyer, Tomek w krainie kangurów, a także Timur i jego drużyna byli w tym świecie kolegami. Timur może trochę za bardzo zasadniczy, w końcu miał zostać radzieckim człowiekiem, kawalerem Złotej Gwiazdy, Aleksandrem Matrosowem albo kapitanem

264

Mieresjewem, który tańczył na protezach po amputacji nóg. ^ie~ działał to z filmów wyświetlanych dla kadry Północnej GrilPy ^ y Wojsk w Domu Oficera, dokąd wślizgiwałam się dzięki bezbłędni ^ rosyjskiej wymowie. Tych wszystkich bohaterów także umies/c'ia" ^ ^ łałam w świecie fikcji, gdzieś w pobliżu Fanfana Tulipana, albov^iem spotykani przy różnych okazjach radzieccy towarzysze z nadto S1? ^ różnili od swych świetlanych pierwowzorów. Dzięki temu zapt-Mvne nie stałam się doskonałym produktem komunistycznej propagŁi'1^" ' choć aż do wizyty w Nowosybirsku wierzyłam w wyższość Zwi^u ^ Radzieckiego nad wszystkimi innymi krajami.

Wysyłając mnie do szkoły, rodzice załatwili przy okazji profc>'em-^ mojego osamotnienia. Wiadomo było, że szkoła to nie tylko nż*11^' ale i rówieśnicy. Liczyli zapewne na to, że odpowiednie towarzys^0^^ znajdę w TPD, gdzie z założenia nie powinny występować kort^--^^ ty związane z pochodzeniem, wyznaniem, statusem społecz^01 ^ i finansowym. Czym innym jednak jest idea, a czym innym ^ tyka. Dzieci, nawet kiedy je umieścić w bezwonnym i bezbarw fLY11*^ przedsiönku do lepszego świata, pozostaną sobą, czyli zapowie^ przyszłych dorosłych, ze wszystkimi cechami swego zróżnicow",ne"/^i go i nie zawsze pełnego człowieczeństwa. Nie inaczej było z dzi«ecm*'^ = w wielkim, neogotyckim budynku przy ulicy Zielonej, gxzmc^ctX"\ z miejskim parkiem. Pierwsze bezceremonialne pytania z ich st fony& dotyczyły dziwnego imienia oraz paskudnego wyglądu małego p>ua'- ^ lewej ręki. Poznane wówczas słowo „strup" zwarło się w semanty czn&^^ całość z „trupem", złuszczającym się z wiecznie podkurczonego ^ ca, a uprzejme „Andzia", cedzone przez różne mamusie, natychrf111381' ^ pogłębiało nabytego niegdyś zeza. Pytanie o mały palec zaczynał' ° S^K-równać pytaniu pani Kneblowej o robaki, a słowo „strup" podryg moje ręce do bokerskiej gardy, z za której można by wyprowa^21^^ śmiertelny cios. Pamięć o karze

za urwaną kieszeń kolegi z pod' wór-r ka na Wałowej mitygowała jednak moją waleczność; starałam*1 S1y^ po prostu unikać sytuacji konfliktowych tak długo, jak to moż;j'we^
265

Dlatego też dałam się zaskoczyć przez Iwanowską, która posłużyła się prawym prostym natychmiast po moim grzecznym pytaniu, dlaczego mi ukradła gumkę myszkę. A przecież nie wrzeszczałam przy całej klasie, tylko zagadnęłam ją dyskretnie, bez świadków, w szkolnej szatni. Efektem pytania o gumkę było zderzenie mojej potylicy z kaloryferem. Wracałam do domu z zabandażowaną głową, przygotowując wyjaśnienie, które by jak najmniej zdenerwowało mamę. Nie żebym się świadomie bała ponownej awantury z tłuczeniem talerzy czy ponownego wyjścia taty z domu. Rozumiałam, że sytuacja się zmieniła, nie jesteśmy już w Nowym Sączu, tylko w Legnicy, i układ sił powoli przechyla się na stronę mamy. Ale jej reakcje na moje, nierzadkie w końcu, skaleczenia, były tak trudne do przewidzenia, iż wołałam, aby o nich nie wiedziała. Niestety, obandażowanej głowy nie dawało się ukryć, podobnie jak ociekających wodą butów i ubrania, w których zawitałam do domu pewnego zimowego dnia, jeszcze przed sparringiem z Iwanowską. Powodem przemoczenia była Wenecja, czyli pięknie uformowana sadzawka z wyspą na środku, położona między parkiem a miastem, czyli na moim szlaku ze szkoły do domu. Zimą służyła jako ślizgawka dla tych, którzy mieli łyżwy. Jazda na butach, co było moim udziałem, szła dość ciężko, bo tego dnia zapanowała lekka odwilż, lód powlekała cieniutka warstewka wody, która hamowała ślizg. Można się było jeszcze pobawić krą. „Kra-krę-mija-kret-maryja-lis-ma-norę-a-ja-nos-trę”. Pamiętacie to? Kra krę mijała w narożniku Wenecji, w pobliżu wylotu rury regulującej poziom wody. Naturalnie, spróbowałam na tę krę wskoczyć. Wskoczyłam i natychmiast poszłam na dno. Nie było zbyt głęboko, jak to w sadzawce. Wpadłam zaledwie po pas, może nieco wyżej, i chyba bym nawet tego nie zapamiętała, gdyby nie nauzka, jaką otrzymałam, kiedy wreszcie dotarłam do domu. Na mój widok mama zareagowała spontanicznie. Rozbierając mnie do naga i osuszając szorstkim ręcznikiem, dawała

266

upust swemu przerażeniu: mogłam się utopić albo umrzeć po czymś takim na zapalenie płuc, wszystko z czystej głupoty i braku wyobraźni, bo trzeba jej nie mieć za grosz, żeby się zimą kąpać w sadzawce. Gadała i nakręcała się wyobrażaniem sobie tych wszystkich skutków, może nawet chciała jakoś wyhamować, ale nie potrafiła. Zamiast tego otworzyła drzwi i wyrzuciła mnie na klatkę schodową, wołając: - Jak ci tak gorąco, to posiedź trochę na schodach. - To prawda, nie było mi zimno, lecz wstydziłam się tej nieszczęsnej nagości i chyba dopiero wtedy się rozplakałam, co nam obu pozwoliło wreszcie paść sobie w objęcia. Kiedy więc wracałam z rozbitą głową, nie myślałam ani o Iwanowskiej, ani o ranie na głowie. Myślałam o tym, co mnie może spotkać w domu. Tymczasem, o dziwo, nic złego się nie wydarzyło. Nie było żadnej awantury, nikt na nikogo nie krzyczał i nawet nikt się na nikogo nie pogniewał. Mimo to czułam się winna. Poczucie winy, które miałam wbudowane od nocy latających talerzy, wyparło okazjonalne doznanie krzywdy, bo w końcu chyba po raz pierwszy w życiu nie ja sama rozbiłam sobie głowę. Ale jednak przegrałam. Nie poradziłam sobie mimo lekcji boksu. Zostałam ofiarą, choć bardzo się starałam nią nie być. Ten mechanizm działał we mnie poza udziałem świadomości, instynktownie - jak u psa Pawłowa. I właściwie nigdy z tego nie wyrosłam. Zasada, że nie mogę martwić rodziców, pozbawiała mnie w konsekwencji prawa do współczucia, a wszystko razem blokowało szczerłość naszych relacji. Przez wiele następnych lat bardzo się starałam nie wciągać dorosłych w swoje problemy, nie przyznawać się do tego, że sobie nie radzę. Uchodziłam więc za dziewczynkę zaradną, samodzielną i nieprzysparzającą zbyt wielu kłopotów, co rodzice przyjmowali z niejaką dumą, bo przecież nie każdy ma takie posłuszne dziecko. Toteż kiedy się wreszcie zbuntowałam, pozostawali w stanie szoku, który trwał aż do nadejścia informacji o wpisaniu

mnie na listę studentów UW, co oznaczało, że niecałkowicie zawiodłam pokładane we mnie nadzieje. Wówczas

267

wszystko wróciło do normy. Blokada trwała więc nadal i nie udało się jej przełamać do końca, nawet gdy stałam się dorosła i samodzielna. Pamiętam lęk, kiedy wiele lat po śmierci ojca, chyba w połowie 1981 roku, informowałam mamę, że znów odeszłam od Wu. - Mamo, nie dzwoń do Komorowa, wyprowadziłam się stamtąd. - I jej łatwą do przewidzenia reakcją: - Dlaczego znów mi to zrobiłaś?

Iwanowska nie należała do typowych przedstawicielek uczniowskiej społeczności w TPD. O ile pamiętam, dzieci były na ogół sympatyczne i bezbarwne, toteż złąły się w moich wspomnieniach w jednolitą masę, oprócz kilkorga mieszkających w mojej okolicy, takich jak Zosia i Sławek - aktorów nieudanego przedstawienia o księżniczce i drwalu. I oprócz prymusów. Naprawdę mieliśmy w klasie dwie rzeczywiste prymuski, rywalizujące o stopnie i zaszczyty z niebywałą zjadłością, choć siedziały w jednej ławce, pierwszej w rzędzie od okna, i starały się uchodzić za przyjaciółki. Fizycznie tworzyły parę przeciwieństw. Runią, brunetka o smolistych oczach i pulchnych paluszkach, miała w sobie spokojną, trochę senną solenność. Ewa, platynowa blondynka, błyskająca ostrym spojrzeniem spod białych rzęs, tłumiała charcią nerwowość. Były jak jin i jang, obie starannie i czysto ubrane, obie ze świeżymi kokardami w ściśle splecionych warkoczach, obie skoncentrowane na nauczycielce i nieuczestniczą-ce w towarzyskim życiu klasy. Nie zdarzały im się kleksy, złamane stalówki i obgryzione ołówki. Nie spóźniały się na lekcje, z nikim się nie biły, nie miewały skaleczeń i rozczochranych włosów. Zdziwiłam się więc, kiedy Runią zaprosiła mnie niespodziewanie do siebie na podwieczorek.

Znalazłam się w spokojnie i solidnie umeblowanym mieszkaniu, a mama Runi postawiła przede mną kakao w eleganckiej filiżance i odpytała o mamusię i tatusia, co robią, gdzie pracują, i czy mamy jakieś zwierzęta. Tym razem nie było mowy o robakach, ale moje odpowiedzi nie wydały się chyba zadowolające, ponieważ zaproszenia nie ponowiono. Może chodziło o to, że pozycja krawca nie licowała z aptekarskim fachem pana Zlatkesa, może o pochodzenie mamy, a może o kotkę Murkę. Nie jest też wykluczone, że po stronie pani Zlatkes zawisło nigdy niespełnione oczekiwanie na zaproszenie z rewizytą, ale w naszym domu nie traktowano dzieci poważnie; przychodziły bez formalnych ceregieli. Runią należała do innego świata, nie biegała samopas po ulicach i nie można jej było oczekiwać znienacka pod naszymi drzwiami. Nie miała też dla mnie mocy przyciągającej na tyle, bym ją kiedykolwiek do tego zachęcała.

Ewę zapamiętałam z okazji śmierci Stalina. Wbiegłam do klasy jak huragan, by obwieścić zasłyszana w domu nowinę, ale zdążyłam tylko wykrzyknąć: - Wiecie, że... - kiedy usłyszałam cichy syk Ewy, pouczającej mnie o zasadach zachowania podczas żałoby. Nie wolno krzyczeć. Nie wolno biegać i skakać. Można płakać, ale cichutko, bezgłośnie. Okazało się, że cała klasa wiedziała już o zgonie Wodza Ludzkości. Nie było normalnych lekcji. Pani przyniosła garść czerwonych, jedwabnych wstążek z czarnym wizerunkiem Stalina, które Ewa rozniosła po klasie. Potem odbył się uroczysty apel, inny niż zwykle, posępny i straszliwie długi. Apele w TPD odbywały się

269

każdego ranka. Szkoła ustawiała się w wielkim hallu wejściowym, dyrektor wygłaszał jakieś słowa, których na ogół nie rozumiałam, a potem odbywały się wspólne śpiewy. Niektóre pieśni były łatwe i melodyjne, jak Taczanka: „Ej, taczanka rostowianka, twoja piękność oczy rwie, konnej armii tyś kochanka, cztery wichry koła tve" albo „Świt chłodem nas wita i rosą", albo „Hej wy konie, rumaki stalowe". Dla zachowania proporcji musieliśmy też znać utwory wyrażające zadumę nad losem żołnierza i wtedy wchodziła Ech, ta droga. Eschatologiczna kulminacja następowała przy poetyckiej elegii na śmierć generała Świerczewskiego:

Ziemia spadła na ciało, Zapachniała jak senny las, Ale serce zostało
Na przedmieściach hiszpańskich miast. Ale serce szło z wojskiem, Zasłuchane w wołzański
wiatr, Do wolności przez Polskę, A do Polski przez cały świat! Wybuchowało jak pocisk! Kto
odłamki pozbiera? Kto ułoży z nich serce Generała Waltera?

Serce generała w kształcie pocisku robiło na mnie wielkie wrażenie. Był to oczywisty wzlot
ponad nudne szkolne wierszyki i podsuwane przez ojca poematy o górach albo zapamiętane
przez niego w dzieciństwie góralskie przyśpiewki typu Idzie dysc, idzie dysc, idzie siklawica.
I choć ciężkie słowa żałobnej pieśni pamiętałam przez kilka następnych dekad, nie wpadłam
na pomysł poznania nazwiska poety, który ją ułożył. Nadrabiam więc tę zaległość. Szukam
autora tekstu i kompozytora pełnej kontrapunktów muzyki. Nie pomaga dobrodziejstwo
internetu. Komputer nie rozumie zdania „ziemia spadła na ciało” i odsyła mnie albo do zasad
swobodnego spada-

270

nia ciało, albo do rozmaitych konotacji słowa „ziemia”. Z pomocą przychodzi dopiero ambitny
i niezawodny Lucjan Ś., który kieruje mnie do Biblioteki Muzycznej Domu Wojska
Polskiego, do zeszytu numer 5, bez daty, zawierającego dwie pieśni o generale Świerczew-
skim. Na głos i fortepian. Muzyka Henryk Swolkień, słowa Robert Stiller. Pozycja
niewymieniona w biogramach poety i kompozytora. Chyba uznali ją za mało ważną.
Szczególną sympatią, bo chyba jeszcze nie przyjaźnią, darzyłam w szkole tylko dwie osoby.
Jedną z nich była Halinka, drugą Lucik. Oboje mieszkali w tej samej kamienicy przy Armii
Czerwonej, świetnie widocznej z okien naszego mieszkania, ponieważ szczelnie niegdyś
zabudowany narożnik u zbiegu naszych ulic stał się po wojnie pagórkowatym placikiem na
zwałowisku gruzów.

Halinka, ładniutka dziewczynka z cieniutkimi warkoczykami, chyba najmniejsza w naszej
klasie, mieszkała na parterze. W jej domu zawsze unosiły się obłoki pary i pachniało
mydlinami, nawet w dniu imienin, gdy jej mama usmażyła na nasze przyjęcie ogromną stertę
placków kartoflanych. Jedliśmy je z cukrem. Miały niezapomniany smak.

Lucik mieszkał na trzecim piętrze z rodzicami i wąsatą babcią z Petersburga, zawsze
spoczywającą na sofie i mówiącą, jak wszyscy w ich domu, z miękkim kresowym akcentem.
Lucik był prymusem, ale nie z pobudek ambicjonalnych, po prostu lubił się uczyć. Miał
pyzată buzię, bardzo okrągłą głowę i chodził troszkę jak filmowy pan Hulot, każdy krok
dzieląc na dwa takty: najpierw stawiał całą stopę, a następnie podrywał ją na palce. W
Ministerstwie Śmiesznych Kroków jest to pozycja elementarna, punkt wyjścia dla wszystkich
dalszych figur. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, sposób chodzenia Lucika wydawał mi
się częścią jego osobowości, na którą składały się także inne jego cechy, które - dzisiaj to
wiem - zawierają się w pojęciu kultury osobistej. Odwiedzałam go z powodu gazetek
ściennych, które pracowicie wyklejaliśmy wycinkami z trudnych do zdobycia,

271

kolorowych pism. Najlepszym źródłem dobrych wycinków, zarówno z uwagi na poprawną
ideologicznie treść, jak i na jakość papieru, było pismo „Ogoniok” - „żurnal” obecny w
naszym domu ze względu na ojczysty język mojej mamy. Ilustracje z „Ogonioka” stanowiły
mój wkład do naszego kolektywnego trudu. Klej robiliśmy z mąki i wody. Pracę nadzorował
tata Lucika, który wyglądał jak wyrośnięty Lucik z wąsami.

Nie wiem, jak to się stało, że oboje zniknęli z mojego życia. Halinka po zakończeniu
podstawówki, Lucik na średnim etapie liceum. Chodził do klasy A, równoległej, postrzeganej
w szkole jako lepsza. Dawno wyrośliśmy z gazetki ściennych. Lucika interesowała
matematyka, a mnie raczej feromony. Po wyjeździe z Legnicy spotkałam go tylko raz, w
Zachęcie, jeszcze w czasie studiów. Przyszedł na wycieczkę „Expressu Wieczornego”, którą
oprowadzałam po wystawie Picassa. Chyba studiował fizykę. Nadal poruszał się, z lekka
podrygując w dwutakcie. Był w towarzystwie miłej szatynki. - To jest mój drogi gość z

Krakowa - powiedział uroczyście i widać było, że jest człowiekiem szczęśliwym. Odnalazł się dopiero na portalu Nasza-Klasa. Wyjaśnił mi w mailu, że nie pisze się „Lucik”, tylko „Lutik”, co jest tłumaczeniem z rosyjskiego i oznacza „jaskier”, tak go nazwał dziadek. Kto by pomyślał? Jaskier! Sprostował, że „drogi gość z Krakowa” to jego kuzynka, z którą - owszem - był swatany, ale bez rezultatów. Potwierdził, że zaczynał od studiowania fizyki, ale przeszedł na SGPiS, jest obecnie profesorem i rektorem uczelni w Radomiu. W tym jednym więc się nie pomyliłam: lubił się uczyć. On z kolei zapamiętał, że dałam mu kiedyś film do projektora ręcznego i znaczki republiki San Marino. „Mam je do tej pory” - napisał.

Maciek

^ stracił

W środku nocy budzi mnie telefon od Maćka. W^{'''} P^ser[^]
psa. - Teraz mam tylko ciebie - płacze do słuchawki ' 0 Jeszcz[^]
. i ji jl. li i*0 siu Skąd

z innego miasta, spotkany przypadkowo przed kilku w „>
wówczas istniejącym Hotelu Europejskim: - Maciek? A1[^]U
się tu wzięłeś? Boże drogi, tyle lat! - Chemiczna reakci*1 y"x[^] ^TM
wyzwała z twardego dysku szybkie flesze. Lato bżyczy \$ ^^rza
cowniczej w Białymstoku. Pochyłam się nad piegowaty1' 11'SZ
wym dzieckiem. - Jestem Maciuś - szepce mi do uch1' d>*,aCia*
teczny stół z cukrowym barankiem. Babcia jego ojca z 'ie[^]^^
- Kupi sobie taki kawał ziemi i już obywatelem chce by[^] fil
i kędzierzawy siedzi mi na kolanach. Przytula się. - Ja11',:' d
u dziadka na polu. Ja się ciebie wtedy wstydziałem. - l", t-)xUC*a na c m u- i • i | u i
)('.-,zhsterko?

nie ma. Spadkobierca maluje na olejno brązową skrzy' f
czarno. Maciuś jest w aksamitnym ubranku. - Po co i'isU'. , ^0
- Liczę piegi. - Flesz! M-2 na piętnastym piętrze. - A Pc[^]^c
u i x* • a j !, l.kęChrzest-
twój nowy braciszek. - Maciuś rzyga, zanim uda się yr* ^
łóżka. Flesz! Zdjęcie na tle osiołka, zrobione przez ^..t1[^]
, • u a i - i a | - •, 1 ,.-sz! M-3 na
ną hnn męskiej: chudy, wysoki, kędzierzawy, usmifc'4' ^ ^
i mały, krótko ostrzyżony, naburmuszony Mateusz ,ianiczny
c' i. * . Aaniu swojej

czwartym piętrze. Sortujemy czarne porzeczki. Jest1
lega, który co chwilę dzwoni do Szwajcarii w posz1'
273

narzeczonej. Maciek przedrzeźnia mój francuski: - II dit - elle dit
- U dit - elle dit. - Flesz! Lato filmowe pod Augustowem, wymiana zdań między braćmi: -
Przemądrzały smarkacz! - mówi Maciek. - Natrętny playboy! - odpowiada Mateusz. Flesz!
Dzwonek do drzwi M-2 na pierwszym piętrze przy Czerniakowskiej. Maciek ze łzami w
oczach: - Ojciec mnie wyrzucił! Zużywam za dużo pasty do zębów!
- Flesz! Willa na Mokotowie. Włosy afro. Grube skarpety wywinięte na wyświecone
pionierki. - Prowadzę w szkole zespół teatralny. Najbliższa premiera, to Mój Beckett. - Flesz!
„Sałatka pedigree pal” w stołówce związku plastików na Mazowieckiej. Nawalony Maciek
pod rękę z wymalowanym amatorem baletu: - Przedstawiam ci moją macochę! - Flesz!
Jeszcze raz próg M-2. Maciek ma mętny wzrok: -Szukam Mateusza. - Mateusz się
wyprowadził, mieszka na Stalowej.
- Flesz! Dzwoni telefon na biurku w Zachęcie: - Chciałbym zrobić z tobą wywiad. Przyślę ci
mailem do autoryzacji. - Flesz! Wymiana maili: „Nie wiem, czy wiesz, że babcia Lunia jest

ciężko chora? Moja matka też. Opiekuję się nimi, ale nie wytrzymuję. Nie wiem, jak im mogę pomóc?" „Ja też nie wiem, Maciusiu. Czasem nic nie da się zrobić. Może po prostu trzymaj je za rękę". - Flesz! Odbieram telefon w pociągu z Barcelony do Walencji: - Wczoraj umarła babcia Lusia. Pogrzeb za dwa dni! Nie mogę się dodzwonić do ojca. - Strasznie mi przykro. Nie dojadę, jestem bardzo daleko. Proszę, kup ode mnie kwiaty. I zadzwoń, jak będzie po wszystkim. - Flesz! Telefon: - Już po wszystkim. Kupiłem kwiaty. Ojciec nie przyjechał. Nie, nic się nie stało. Po prostu nie przyjechał na pogrzeb własnej matki. - No tak, jest za wrażliwy. Dzwoń do mnie, Maciusiu! - Flesz! Znowu telefon.

- Umarła moja mama. Jest już po pogrzebie. Mogę do ciebie przyjechać? - Oczywiście! - Flesz! Flesz! Flesz! Nic.

Nie przyjechał, ale jechał - wyjaśnił wtedy w Europejskim - tamtego dnia po pogrzebie mamy pomylił pociągi, pomylił ulice, był mało przytomny. Ale od tego spotkania w hotelu już utrzymywaliśmy kontakt, słuchałam jego zwierzeń, najczęściej przez telefon w środku

274
nocy, po wódce. Zaczął poznawać język i kulturę Białorusi, zbliżył się do prawosławia. Wybrał duchowe dziedzictwo matki swojej matki - grand mere maternelle, która go wychowywała i którą także trzymał przed śmiercią za rękę. Napisał kiedyś trochę zmyślony tekst na temat prawosławnej strony mojej tożsamości, a właściwie na temat Mateusza, swego przyrodniego brata, chociaż naprawdę myślał o własnej samotności i syndromie dziecka porzuconego przez tatusia, bo później wielokrotnie wracał do pytań zaczynających się od „dlaczego”. Dlaczego on ich zostawił, jego i jego matkę? Dlaczego ja nie pomyślałam o nim, o dziecku, którym wtedy był? Najpierw próbowałam wyjaśniać, że zerwałam kontakty z jego ojcem natychmiast po pierwszym i jedynym spotkaniu z jego, Maćka, matką, kiedy wkroczyła w naszą, dopiero kiełkującą, znajomość z pytaniem: - Co będzie z dzieckiem? - ale że to nie zmieniło losów małżeństwa jego rodziców przez następny rok, więc kolejność zdarzeń jest taka, że najpierw ich porzucił, a dopiero potem związał się ze mną, i wreszcie, że przecież Mateusz przyszedł na świat siedem lat po nim,

275
pierworodnym. Nie dodawałam, że ani ja, ani jego przyrodni brat nie znaleźliśmy oparcia w jego tatusiu, jak nie znalazła go później Aśka i Anna Maria, bo to już wiedział. Tamto także wiedział, tylko po prostu potrzebował terapii, tak jakby jej magiczne działanie mogło mu zastąpić kalekie, niekompletne dzieciństwo, o tyle jednak lepsze od dzieciństwa jego brata, że on miał pod ręką dwie babcie, a Mateusz - tylko mnie. Mateusz jednak kochał tatusia, jakim był, i nie obarczał go odpowiedzialnością za swoje osamotnienie. To ja byłam winna, to ja go wyrwałam z rodzinnego trójkąta - toksycznego, to prawda, ale jakoś kompletnego - i próbowałam hodować samodzielnie pod swymi przetrąconymi skrzydłami. Mateusz się zgubił, a Maciek pozostał. Jest częścią mojej rodziny. I muszę wysłuchiwać w nocy pijackiego płaczu po utracie ukochanej suczki, bo przecież teraz, po śmierci jego własnej matki, po odejściu jednej i drugiej babki, kiedy jego rodzony ojciec rzuca słuchawkę po pierwszym „Halo”, naprawdę zostałam mu tylko ja, jego macocha.

GRUDZIEŃ

Kaplica trupich czaszek

Odnowiony kontakt z Olkiem wniósł do mojej wiedzy o rodzinie sporo nowego. Jego córka Renia, jak się okazało, tworzy od pewnego czasu drzewo genealogiczne, na którym już zdołała umieścić swych licznych krewnych po mieczu. Najpierw spotykamy się w Krakowie, potem odwiedzam ją w miłym domku niedaleko Alwerni, gdzie czeka już na mnie uroczysty, mało zmieniony przez lata Olek i jego żona Lidka. Wymieniamy informacje, dzielę się z Renią swoją, zaczerpniętą z sądeckich archiwów, wiedzą o datach urodzenia jej ciotek i wujów, którzy nigdy nie osiągnęli pełnoletności, podaję dokładną datę urodzenia jej babki Nety, opowiadam, co wiem o drugiej, żeńskiej linii Lamplów, a oni - ojciec i córka - w

zgodnym dwugłosie relacjonują mi historię swego ojca i dziadka Antoniego, doprowadzając ją do czasów, które poznałam z autopsji, jeżdżąc do Kudowy na każde niemal wakacje. Wuj Antoni (tak go nazywałam, choć ojciec podkreślał, że właściwie nie był naszym krewnym, tylko się wzenił w rodzinę) szybko poznał prawdę o losach swoich bliskich z Biczyc Niemieckich. Dowiedział się o śmierci swej żony Nety i trojga młodszych dzieci. Usłyszał opowieść o tym, jak jego sąsiad, volksdeutsch Bautz, zastrzelił jego stuletniego teścia, czyli brata mojej prabaki Lieby, Hersza Lampla, i jego trochę tylko młodszą żonę Scheindl - choć może to

277

tylko złośliwe plotki, bo jaki sens miałyby strzelanie do stuletnich staruszków? Dowiedział się, że zginęła również siostra Nety, Fajga Jungmann, i że jej ocalały mąż Beri zabrał troje dzieci i wyjechał do Palestyny. Nie jest jasne, czy Antoni - podobnie jak mój ojciec - sprzedał dom w Biczycach. Pewne jest, że żaden z nich nie chciał mieszkać w domu, gdzie niegdyś zostawił swych bliskich i gdzie już nikogo nie było. Zaczynali nowe życie w nowym miejscu. Akurat tak się złożyło, że wkrótce po dotarciu do Kudowy wuj zakochał się w Gieni i zaprzagnął stworzyć rodzinę. Znając się na produkcji mleka, zamierzał zapewne przejąć jakieś poniemieckie gospodarstwo na własność, ale skończyło się na posiadzie zarządcy w tak zwanym majątku, w podzielonej po wojnie na część polską i czeską wsi Czerмна. Granica, czyli starannie zabronowany pas ziemi, biegła przez jej środek, kilka metrów za domem przydzielonym wujowi dla jego nowej rodziny. Zamieszkał w nim z Gienią, jej córką Manią i nową teściową imieniem Maria. Każde pozostało przy swoim nazwisku, ale wujowi to nie przeszkadzało. Był z natury pogodny i pełen dobroci. Co rano jeździł do „majątku” i spędzał tam cały dzień, jak to przy wiejskim gospodarstwie. Wokół domu w Czerმnej pojawiły się kury i kozy, które lekcewały międzynarodową równowagę sił i notorycznie wędrowały na czeską stronę. Komunikacja ponad pasem granicznym była łatwa, język podobny, stosunki życzliwe, więc za każdym razem ktoś z tamtej strony zaganiał zbłąkany inwentarz z powrotem na teren nazywany polskim - czysto umownie w końcu, bo jeszcze przez wiele następnych lat jego prawna przynależność nie była formalnie potwierdzona. Mania poznała podstawowe czeskie zwroty i z lubością wyśpiewywała docierające stamtąd piosenki: Mariszka moja, wpadła do hnoja, smrdi. Nosu zarila, nos pobrudila, smrdi.

Olek nie zdołał ukończyć medycyny. Został felczerem w uzdrowisku, mieszkał w mieście i brylował wśród kuracjuszek, uwodząc je galicyjskimi manierami, których nie zapomniał podczas kilku lat edukacji w radziecko-polskim wojsku. Podczas naszej pierwszej

278

wizyty w Kudowie mieszkaliśmy właśnie u niego. Na pamiątkowych zdjęciach z tego wyjazdu pozuje mój ojciec, Olek, Kazek i trzymająca mnie za rękę Hanka, ale brakuje mamy. Może akurat gotowała obiad? Może brała borowinowe kąpiele mające jej zrekompensować poczucie obcości? Została w Kudowie dłużej i chyba jednak się leczyła, ponieważ umieściła mnie w przedszkolu, gdzie odbył się mój społeczny debiut. Rozpoczęłam życie w stadzie. Musiałam przyswoić porządek dziobania, chwilowo realizowany wedle wzrostu. Starsi mają pierw-

279

szeństwo przed młodszymi, duzi przed małymi. Tak ustawieni - na czele duzi, na końcu mali - chodziliśmy na długie spacery i któregoś dnia trafiliśmy na domek krasnoludków pod ogromnym drzewem. Z inspiracji pani wychowawczynie uprzątnęliśmy wszystkie wyrwy pod korzeniami ze starych liści i połamanych gałązek, wyłożyliśmy je mchem, a następnego dnia krasnoludki zostawiły nam prezent w postaci ciasteczek i czekoladek. W ten sposób, poniekąd organoleptycznie, poznałam opłaczalność dobrych uczynków. Ale kategoria miłości bliźniego nie była mi jeszcze wpojona. Nienawiść do jednej z dziewczynek wyładowałam metodą wudu, przekreślając jej wizeru-

nek na pamiątkowej fotografii. To pierwsze z długiej serii grupowych zdjęć pokazuje jak na dłoni mój brak powściągliwości stanowiący jedną z moich licznych wad, z czasem niebezpiecznie rozwiniętą. Na tym akurat zdjęciu moja nonszalancja podkreślona jest niedbale

280

opuszczoną pończochą. Ten defekt stroju, kontrastujący z akuratywnymi i schludnymi ubrankami innych dzieci, wcale mi jednak nie przeszkadza. Siedzę z policzkiem podpartym na dłoni i uśmiecham się do obiektywu. Co się stało, że na wszystkich późniejszych fotografiach - w klasie, na wycieczce, przed szkołą - jestem wycofana, chowam się za plecami innych albo odwracam od obiektywu? Na niewielkich zdjęciach z drugiej klasy mam spuszczoną głowę i coś czytam. Może tak sobie wyobrażałam prawdziwe szkolne zdjęcie? Nie gapimy się w obiektyw, nie robimy głupich min, tylko czytamy? Pamiętam, że już wtedy, zaledwie trzy lata po Kudowie, pozowanie wydało mi się zajęciem sztucznym i pretensjonalnym. Chyba chciałam wyjść „naturalnie” i tę naturalność zupełnie świadomie zagrałam.

Kudowa stała się miejscem moich wakacji. Początkowo ktoś mi towarzyszył, najczęściej chyba ojciec. Pod dworcem braliśmy fiakra, a ten uwoził nas do uzdrowiska, którego centrum składało się z zakładów leczniczych, pijalni wód i parku z jeziorkiem, gdzie wynajmowało się kajaki. Eliksiorem mającym mnie zahartować przed zimą i uodpornić na szalejące wokół prątki Kocha było kozie mleko. Każdy wieczór zaczynał się od wysokiej szklanki pianistego białego płynu „prosto od kozy”. Było obrzydliwe. Nad odruchem wymiotnym nauczyłam się panować już wcześniej, przy zimowym picu tranu, kiedy bardzo pomocna okazała się technika zaciskania nosa, toteż stosowałam ją z powodzeniem podczas koziej kuracji - piłam na jednym oddechu, aż do wytrzeszczu oczu, bo przecież nie była to jedna łyżka, tylko pełna szklanka. Ojciec starał się łagodzić te wieczorne tortury ustawicznym powtarzaniem tego samego pytania: - Dlaczego koza daje zimne mleko? - na które sam sobie odpowiadał: - Bo jej wiatr w tyłek dmucha! - Pamiętał to chyba jeszcze z Biczyc, ze swojego dzieciństwa. Tylko za pierwszym razem pobiegłam dokładniej przyjrzeć się kozie. Istotnie, jej obfite wymiona były nieosłonięte, a ogonek krótki. Ale znacznie ciekawsze okazały się oczy. Koza ma źrenice w kształcie bardzo rozciągniętego owalu, w pełnym świetle

281

wyglądające jak wąskie, pionowe szparki. Poza tym oczy kozy są nieruchome, jak ze szkła, i przez to nie udaje się nawiązać z nią wzrokowego kontaktu. Patrzymy sobie w oczy, ale nic nie czujemy. Prąd nie płynie. Nie ma żadnego porozumienia. Inaczej niż z psami i kotami. Tak więc przestałam reagować na dowcipy taty o zimnym mleku, załatwiałam sprawę picia jak najszybciej i oddalałam się do ogrodu, żeby wykorzystać ostatnie chwile przed zapadnięciem zmroku.

Ten przedwieczorny czas spędzałam z Manią. Z jej opowieści czerpałam wiedzę o życiu, przede wszystkim o romansach. Kiedy skończyła czternaście lat, zmieniła imię na Tina. Cała rodzina szybko się z tym pogodziła, jedynie wujowi czasem się wyrывała zwyczajna Maryśka. Nazywała go ojcem, a on traktował ją jak własną córkę nawet wówczas, gdy Gienia urodziła mu Tosię, przedmiot jego męskiej dumy. Gdy przyszła na świat, wuj Antoni miał sześćdziesiąt cztery lata. W tym samym okresie pojawiła się na świecie jego wnuczka, która dostała imię po zamordowanej w Bełżcu siostrze Olka, Reginie.

Dni spędzałam w towarzystwie dzieci obu sióstr cioci Gieni. Najczęściej z Ryśką, córką starszej siostry, i z Niúńkiem, synem młodszej. Mieszkali gdzieś w głębi Czermnej. Najpierw zaprowadzili mnie do kaplicy trupich czaszek. Wiele lat później dowiedziałam się, że to pamiątka wojny trzydziestoletniej, wówczas jednak chodziło o efekt, nie o fakty historyczne. Istotnie, kaplica robiła wstrząsające wrażenie. Powierzchnię ścian pokrywały wyszczerzone i ziejące oczodołami żółto-brunatne czaszki, wzdłuż kolumn piętrzyły się akuratywnie ułożone

stosy piszczeli. Opiekun kaplicy wyćwiczonym gestem wskazywał na niektóre eksponaty i podsuwał wnioski, że ten pan miał złamaną nogę, a tamten zginął na skutek cięcia szablą przez głowę. Test wypadł pozytywnie. Nie krzyczałam i nie uciekałam; czaszki i piszczele były nieruchome, pozbawione życia, a więc jakoś podobne do przedmiotów.

Chodziliśmy też w teren. Na łąkach pod lasem poznałam działanie babki i krwawnika, przydatnych przy niecelnym rzucie noża

282

podczas gry w pikuty, której nie zaliczałam do moich mocnych stron ze względu na częste skaleczenia. Za to kamyczki, czyli tak zwane strulki - to już tak. Podrzucanie i zbieranie kamyczków w bardzo kunsztownych konfiguracjach szło mi jak z płatka. Kocia kołyska też się udawała, jak najbardziej. Nie mogłam natomiast zrozumieć, dlaczego - kiedy dostawałam do ręki lejce - konie zjeżdżały z drogi. Więc powozić też nie umiałam. Nikt nie miał cierpliwości, by mnie tego uczyć.

Cierpliwość się znalazła dopiero przy katechizacji. Już podczas pierwszej niedzielnej mszy wyszły na jaw wszystkie moje braki. Umiałam się tylko przeżegnać, czego nauczyła mnie Stefka. Tata śpiewał kolędy. Znałam więc Wśród nocnej ciszy oraz Przybieżeli do Betlejem, ale jakoś bez związku z kościołem, raczej z choinką. Tkwiłam w zimnym, pachnącym kadzidłem wewnątrz, wsłuchując się w niezrozumiałe, łacińskie zaśpiewy. „Dominus wobiskum” - intonował ksiądz. „Etkum spiritutuo” - odpowiadał kościół. „Spiritutuo” kojarzyło mi się ze spirytusem i nie mogłam pojąć jego związku z Panem Jezusem. Do katechezy zaangażowała się Ryśka pospołu z Manią i ich babcią Marysią. W tydzień nauczyłam się Ojciec nasz i Zdrowaś Mario. Wierzę w Boga wymagało nieco więcej treningu, a szczególnie trudny okazał się fragment „umęczon pod pondskim Piłatem”. W tamtych czasach odmawiało się skład apostołski. „Pondskiego Piłata” wyobrażałam sobie jako narzędzie tortur, pod którym się stawia męczennika, i w tym sensie miał on coś wspólnego z Mickiewiczowskim Zwierzem Alpuhary, którego tajemniczość męczyła całe pokolenia polskich dzieci. Nikt nie zadał sobie trudu wyjaśnienia mi, na czym w istocie polega msza święta - bo też chyba żadna z moich nauczycielek, włącznie z babcią Marią, nie miała wystarczającej wiedzy teologicznej. Przykazania, grzechy główne, a także prawdy wiary miałam opanowane przed powrotem z wakacji. Zapragnęłam przyjąć komunię, ale to okazało się niemożliwe. Komunię musiała poprzedzać spowiedź i pokuta. A do spowiedzi nie mogłam pójść,

283

ponieważ wcześniej nie przystąpiłam do Pierwszej Komunii Świętej. Nie umiałam przekroczyć tego progu. - Musisz pokazać świadectwo chrztu - tłumaczyła Ryśka. Nie miałam świadectwa chrztu. Pop w Nowosybirsku nie wystawiał dokumentów, działał nielegalnie. Poza tym chrzest był prawosławny. Znow musiałam się pogodzić ze swoją innością. Zastanawiałam się potem wielokrotnie, co by było, gdybym jednak w grupie innych dzieci uklękła na schodku prezbiterium, otworzyła buzię i przyjęła komunię, bo zaczęłam chodzić do kościoła również w Legnicy, ale klóciło się to z moim poczuciem honoru. Siedziałam więc, pozbawiona łaski, napiętnowana, i czekałam, aż moje przyjaciółki, Ludka i Ewa, wrócą od stopni ołtarza i uklękną obok mnie z wyrazem uzasadnionej wyższości. Kiedy trochę podrosłam, a Mania zmieniła imię na Tina, zaczęłyśmy bywać w uzdrowisku. Prowadziły do niego dwie drogi, jedna - asfaltowa - koło strażnicy WOP-u, przy której nieodmiennie śpiewałyśmy: „Tam za górą jest granica, przy granicy jest strażnica, a w strażnicy, do swej lubej, żołnierz pisał list”, dzięki czemu droga wydawała się krótsza i weselsza. Drugą drogą była cienista, wilgotna i pachnąca dzikim czosnkiem aleja parku zdrojowego. Tam wołałyśmy świętego Antoniego słowami Hanki Ordonówny: „Święty Antoni, święty Antoni, serce zgubiłam pod miedzą...” Gdybym znała moc tej modlitwy, kiedy szukałam złotego serduszka!

Jeszcze później wkręcałyśmy się po znajomości na uzdrowiskowe koncerty, w których uczestniczyła osiemnastoletnia już wówczas Ryśka. Pojawiała się na scenie blada, ciemnowłosa, poważna, i głębokim, niskim głosem śpiewała: „O nocy, ty przyjdź, czekam cię, o nocy, ty miłość mi ślesz...” Wracając do domu przez ciemny park, wyśpiewywałyśmy z Tiną cały jej repertuar, włącznie z dramatycznymi zwrotkami o Inez, kończącymi się okrzykiem: „Inez! Inez! Rzuć ten sztylet! Spóźnił się miły twooo-oooo-j!”

Tina była piękna i efektowna. Potrafiła wyjść z domu z koszyczkiem róż i paradować z nim po deptaku z taką miną, jakby nosiła

284

torebkę od Chanel. Chodziła do szkoły ceramicznej, w końcu nie święci garnki lepią. Wcześniej wyszła za męża i zamieszkała w Częstochowie. Ma sklep przy alei Najświętszej Marii Panny. Ryśka poszła do szkoły fotograficznej. Dorabiała we wziętym zakładzie jako retu-szerka. Śpiewała po godzinach. Jej kariera załamała się po wypadku z wrzącymi mydlinami, które wylały się na jej twarz i ręce. Niuniek został milicjantem.

Benefis

Telewizja Kultura robi mi benefis. Mogę zaprosić do studia swoich gości, mogę pokazać dzieła sztuki, wybrać filmy i koncerty, które wypełnią sobotnie popołudnie i wieczór. Rozumiem, że mam sobie zrobić podsumowanie. Bilans życia. Rachunek sumienia zamykający okres czterdziestu lat mojej publicznej działalności, a także trzydziestu sześciu lat mojego nieudanego macierzyństwa, którego nie ma w programie, ale które jest w mojej głowie - zwłaszcza teraz, w grudniu, na kilka dni przed świętami.

Pozwalam sobie na coś, czego wcześniej nigdy nie robiłam „do kamery” - odwracam się od dobra publicznego, od estetycznych hierarchii i obiektywizujących opinii. Idę w prywatność na tyle, na ile pozwalają ramy poświęconej kulturze audycji. Jedynym odstępstwem od tej zasady jest koncert Leszka Możdżera, ale też tylko poniekąd, bo całkiem prywatnie lubię jego skromność i ciepło, entuzjazm do muzyki i to, że potrafi usiąść do pianina w jakimś barze i zagrać tylko dla przyjemności, bez profesjonalnych ceregieli. Pamiętam, jak po jednym z koncertów w Sao Paulo poszliśmy na piwo do pobliskiej churascarii, a Leszek nagle otworzył wieko stojącego obok instrumentu i zaczął przebierać palcami po klawiaturze - nie dla nas, zmęczonego grona twórców „polskiego festiwalu”, które przekształciło się później w „brazylijską rodzinę”, i nie dla zdumionych bywalców

286

tego miejsca, ale dla siebie. A właściwie inaczej: nie dla nas, nie dla siebie, nawet nie dla samej muzyki, tylko pod wpływem tego niejasnego i niedefiniowalnego splotu nastroju i emocji, który rządzi spontanicznym odruchem. I pamiętam, jak w duchocie brazylijskiego wieczoru wróciło do mnie doznanie sprzed ponad czterdziestu lat: nagle znalazłam się na dworcu małego śląskiego miasteczka i usłyszałam, jak pod kopułę ciemnego nieba wzbijają się nasze szesnastoletnie głosy nabrzmiałe od dawna wyuczonym, a teraz po raz pierwszy odczutym i jakoś zwierzęco prawdziwym wołaniem: „Witaj, o witaj nocy, witaj spokojna blada...” Więc może Leszka także zaprosiłam całkiem prywatnie, pod wpływem wspomnienia tamtego spontanicznego występu szkolnego chóru Carmen i okoliczności, jakie to wspomnienie wywołały? Może tak, może uruchomiła się podświadomość i jakiś niekontrolowany impuls kazał mi wymienić jego nazwisko.

Ale inne osoby i inne utwory doбираłam już z rozmysłem, grupując je wokół tego, co było i co w pewien sposób pozostało treścią mego życia. Młodszych ode mnie artystów: Mirka Bałkę, Artura Żmijewskiego i Bognę Burską - uwikłanych w tajemnicę eschatologii, zarażonych schyłkiem, ustawicznie dotykających choroby, bólu, cierpienia i umierania, wybrałam akurat na ten wieczór spośród setek tych, z którymi pracowałam, nie tylko dlatego, że są prawdziwi (bo inni, skądinąd nieliczni, też noszą w sobie prawdę), ale dlatego, że zajęci są tym, czym ja się także zajmuję w swoim prywatnym czasie i prywatnym życiu. Wojtek

Marczewski i Tomek Ciecierski, rówieśnicy, kształtowani przez ten sam system i pamiętający te same lub bardzo podobne wydarzenia z dzieciństwa, a później poszukujący swojego osobnego miejsca, swej niezawisłości zarówno w społeczeństwie, jak i w grupie zawodowej, i na koniec - każdy w swojej dziedzinie - wytrwale hartujący swą inność wśród innych, także tych podobnych w inności. Obie najbliższe przyjaciółki, Jola i Hanka, towarzyszące mi przez całe dorosłe życie, od pierwszego

287

roku studiów, od dziewczyńskich zachwyty nad światem, wspólnych wzlotów i ostrych konfliktów, kiedy uczyliśmy się znaczenia nie tylko słów, ale i pojęć związanych z takimi antycznymi kategoriami, jak dobro, prawda i piękno, uzupełnionych przez „męską” kategorię szorstkiej przyjaźni, aby potem, po latach dramatycznych rozliczeń zakończonych niekiedy bolesnymi, długotrwałymi zerwaniami -mieć siebie na wyciągnięcie ręki zawsze, kiedy ziemia usuwa się spod nóg i kiedy wokół tworzy się strefa cichej pustki. Osoby odważne, niepokorne i dumne, na co dzień pamiętające o wyznawanych wartościach i o tych kategoriach, które nas ukształtowały, a do których po latach doszły chrześcijańska wiara, nadzieja i miłość, przez każdą inaczej rozumiane i nawet inaczej nazywane. Kobiety ustawicznie wyrastające ze swoich związków z mężczyznami, którzy - tak się akurat składało - nie umieli sprostać trudnym i niewygodnym wyzwaniom, wcześniej czy później okazywali się słabi albo tylko zmęczeni i znikali tam, skąd przyszli, w życiu spokojniejszym i bardziej wygodnym, przy mniej radykalnych kobietach, a my trwałyśmy w tej przyjaźni, trudniejszej, ale i głębszej emocjonalnie niż każdy z naszych damsko-męskich związków. I pozostałyśmy blisko siebie chyba tylko dlatego, że na starość nauczyłyśmy się odrobiny tolerancji - nie dla całego świata, ale dla siebie nawzajem. Zaprosiłam je obie, ale Jola się wycofała: nie jest osobą publiczną, powiedziała, nie umie rozmawiać przed kamerą, jak więc ma powiedzieć, co myśli, skoro nawet w okolicznościach całkiem prywatnych zdobywa się na to coraz rzadziej, żeby nie wywoływać niepotrzebnych zadrażeń. Przyszła zatem tylko Hanka i wróciłyśmy wspomnieniami do tamtych lat, kiedy powstawały jej dwa kolejne filmy, jeden krótki, z Mateuszem w roli głównej, drugi fabularny, bilansujący nasze ówczesne doświadczenia u schyłku epoki gierkowskiej. Filmu z Mateuszem nie widziałam od 1979, od kolaudacji, na której jakiś dyżurny przedstawiciel aparatu władzy dopytywał się z naciskiem, dla kogo właściwie zrobiono ten film - dla dzieci czy dla dorosłych? - bo w oświatówce

288

produkuje się dla dzieci i z takim zamysłem scenariusz został skierowany do produkcji, tymczasem teraz widać wyraźnie, że to jest film dla dorosłych, w dodatku z wątpliwym moralnie przesłaniem, dlatego on sugeruje wąskie rozpowszechnienie, tylko w kinach studyjnych. Hanka nie była na tyle praktyczna, żeby zadbać o prywatną, reżyserską kopię, dała mi tylko w prezencie długie rolki ścinków, które nie weszły do ostatecznej wersji oraz kilka kadrów z próbnych zdjęć. Parę z nich przy jakiejś okazji powiększyłam i natychmiast przypominałam sobie tamto burzliwe przedwiośnie w mieście Łodzi, kiedy Irena - nasza przyjaciółka z roku - jeszcze była zdrowa, a przynajmniej nie wiedziała o czyhającym na nią gościcu, kiedy Zbyszek - operator filmu - „dotykał okruchów treści” i kiedy nagle poczułam się zmęczona swoim związkiem z Tomkiem. Wypchnęłam ze świadomości fakt, że chodzi o układ trzyosobowy, w który jest także zaangażowany Mateusz. W końcu Tomek nie jest jego ojcem - rozumowałam - nie ma sensu tego ciągnąć, skoro zrezygnowałam z wyjazdu w nieznaną i budowania nowego życia we troje, z dała od

289

osamotnionej po śmierci mego ojca mamy. Takie powody zewnętrzne, właściwie preteksty, miały zracjonalizować ówczesne emocjonalne szaleństwo, potrzebę ucieczki na jakiś odległy górski szczyt, gdzie można by się położyć na śniegu i już o niczym nie myśleć. Do szczytów jednak było daleko, szczyty były mrzonką, retoryczną figurą, a w zasięgu ręki pozostała

rzeczywistość - z jednej strony mniej idealna, niżby się chciało, z drugiej - mniej podatna na kształtowanie,

290

niżby należało oczekiwać, ale za to łatwa do demontażu; dawało się ją zepsuć jednym słowem czy jednym gestem. Czułam się spustoszona uczuciowo i, pamiętam, uznałam wtedy, że w tej dziedzinie nic mnie już w życiu nie spotka, więc teraz trzeba zapewnić dziecku stabilność w znanym na pamięć rodzinnym pejzażu ukształtowanym nie przez wzloty uczuć, lecz przez więzy krwi. Oraz że nadszedł czas podsumowań. Dlatego zgodziłam się na propozycję Hanki, żeby napisać scenariusz tej fabuły, i usiadłam naprzeciw niej z maszyną do pisania na długie dwa lata, akurat od połowy 1979 do połowy 1981, podczas karnawału „Solidarności”. Aż wreszcie, z okazji mojego „benefisu”, udało się wyszarpać z oświatówki film z Mateuszem i tuż przed wejściem do studia, w jakiejś telewizyjnej poczekalni dla statystów, obejrzeć zarejestrowaną przez Hankę nieprzystawalność mego dziecka do grupy rówieśniczej, także jego ogromną samotność - choć przecież Mateusz miał być tylko aktorem i raczej wcieleniem jej samej z dzieciństwa niż moim realnym synem. Potem wchodzimy „na wizję” i rozmawiamy nie o krótkim metrażu, tylko o debiucie fabularnym Hani - o Bluszczu, który teraz, po ćwierćwieczu, okazuje się zwiastunem „kobiecej fali” polskiego, a nawet europejskiego kina - tak podobno mówią młodzi znawcy, a raczej młode znawczynie tej tematyki. Nie ma ich w studiu, mówią za pośrednictwem swego kolegi, który ten program prowadzi. Za to są inne młode specjalistki, Ola i Karolina, adeptki historii sztuki, które badają moją zawodową działalność, patrzą historycznie na mnie i na Marylę R, - moją koleżankę, a ich profesorkę - tak jak ja niegdyś patrzyłam na Juliusza Starzyńskiego, swojego profesora, i na jego rówieśników. Wiem, że pora umierać. Starzyński był o rok młodszy od mojego ojca, miał zaledwie sześćdziesiąt cztery lata, kiedy ostatni raz go spotkałam w hallu Instytutu Sztuki w roku 1974, także w grudniu, komentującego z sarkazmem zachowanie swoich młodszych kolegów: - Widzi pani - powiedział wtedy - czytają tablicę ogłoszeń z nadzieją, że znajdą informację o mojej śmierci. A ja jeszcze tutaj jestem. - Był po pierwszym, wstęp-

291

nym, wylewie; spod jego baskijskiego beretu wystawał opatrunek, bo się skaleczył, upadając. Po dwóch dniach miał drugi wylew, bardziej skuteczny, i już do Instytutu nie wrócił, już tylko mogliśmy się przespacerować za jego trumną alejami powązkowskiego cmentarza. Zapamiętałam jednak tę jego świadomość przeszkadzania młodszymi w karierze przez samo zajmowanie miejsca. Może również dlatego nie walczę o pozycję i nie szukam posady, stanęłam z boku, na marginesie, opakowana w nigdy wcześniej niezaznane poczucie zawodowego luksusu: że już nic nie muszę, ale umiem i mogę - jeśli zostanę poproszona - zrobić wystawę, napisać tekst, wygłosić referat. Tylko tyle. Aż tyle. Bo już nie bardzo mi się chce to wszystko robić. Wolę odtwarzać rodzinne korzenie, kibicować wnukom w dorastaniu i ich matkom w dawaniu sobie rady z życiem. Dlatego w studiu jest też Alicyjka, która uczestniczy na co dzień w warszawskim życiu artystycznym, właśnie skończyła renowację palmy na rondzie De Gaulla, a teraz, świeżo po brawurowym dyplomie z historii sztuki (oczywiście), komentuje twórczość Bogny. Jedna z moich dwóch inteligentnych, zdolnych i pięknych córek, podstawionych przez Boga

292

i los na miejsce Mateusza. Drugą, a właściwie pierwszą, jest Kaja, także obecna w studiu. Siada na kawałku scenografii tak, żeby usunąć z pierwszego planu swoją czwartą ciężę. Będzie robić to, czym się ostatnio zajmuje na mazowieckiej wsi pod Mławą razem ze swym mężem Januszem. Będzie śpiewać wysokim, dźwięcznym głosem ocalone od zapomnienia zwrotki ludowych pieśni. A potem zaśpiewają we trójkę: Kaja, Janusz i Adam, przyjaciel Mateusza z wczesnej młodości, świadek jego walki z heroiną, niegdyś szalawiła i waga-bunda, latami szukający swego miejsca, a dzisiaj odpowiedzialny mężczyzna o

fundamentalistycznych przekonaniach, który całkiem niedawno zaprosił mnie na swój rzymski ślub, podczas którego spędziłam dwie godziny, klęcząc na zimnych kamieniach gotyckiego kościoła Marii Panny - jakby nie chodziło o radosny początek, tylko o pokutę. Zaśpiewają nie dla mnie. Albo nie tylko i nie przede wszystkim dla mnie. Zaśpiewają dla niego, mego zagubionego syna.

Boże Narodzenie

Przedświąteczny harmider. Już nie mam ręki w gipsie, jak na Wielkanoc. Już nadgarstek rozruszany - mogę ubijać, siekać i ucierać, ale akurat tegoroczna, rotacyjna wigilia wypada u Joli, która od dawna jest częścią mojej rodziny i która w tym roku bierze na siebie ciężar przygotowań. Ja tylko trochę pomagam. Głównie przy karpiu. Rozmawiamy, przekręcając farsz przez maszynkę. Pytam ją o te wszystkie wigilie i sylwestry, gdzie i z kim siadałam do stołu, z kim piłam szampana, komu składałam życzenia, dławiąc w sobie pragnienie bycia gdzie indziej, z kim innym? Pytam, bo nie umiem uporządkować, ułożyć w kolejności, tych wszystkich świąt i sylwestrów. Dawniej jeździliśmy do mamy. Na dwa dni, na chwilę, na tyle, by pomóc jej opanować chaos zagraconego mieszkania. Odsunąć na bok świeżo malowane, gotowe do wypalenia talerzyki, sosjerki, filiżanki, spodeczki, cukiernice, imbryki i półmiski. Nakryć do stołu. Złożyć sakramentalne pocałunki. Ukrywając ziewnięcia, obejrzeć świąteczny program. I z ulgą wskoczyć do samochodu wyładowanego wałówką na dalsze dni. To wła śnie w taki wieczór - z krzątającą się przy rondlach Lubą z miasta Jekatierinburga (dawniej Swierdłow-ska), grzejącą się pod piecem panią Janką z parteru i trochę zbyt głośnym kierowcą Włodkiem, który zabijał w naszym towarzystwie czas oczekiwania na powrót żony zarabiającej w Stanach prawdziwe

2^4

dolary i którego w myślach nazywałam najemnikiem, powstrzymując chęć mówienia do niego Ledbetter, jak w znanym angielskim filmie - właśnie wtedy mama oznajmiła swoją decyzję. Pierwszy i ostatni raz powiedziała nam o kremacji: że będziemy musieli ją zawieźć do Poznania, do Akademii Medycznej i - niestety - wykosztować się na to spopielenie, a potem trzymać w urnie. - Postawicie mnie sobie na półeczce i zawsze już będę z wami - powiedziała z humorem. Obiecaliśmy to jej ze śmiechem - nie pamiętam już, czy byliśmy tylko we dwoje z Mateuszem, czy towarzyszyła nam Kaja, bo jeździliśmy tam w różnych konfiguracjach. Po powrocie do Warszawy jak zwykle dzwoniłam z sylwestrowej zabawy, jak zawsze przekrzykiwałam ryk muzyki, gwar życzeń, huk petard, i mówiłam: - Pamiętaj, masz być zdrowa i silna, masz się doczekać przeprowadzki do Warszawy, przed tobą jeszcze wiele lat. - Nie wiem, czy czekała na te telefony, chyba tak, bo nigdy nie spała, natychmiast podnosiła słuchawkę, nie była zdziwiona, że jest pierwszą osobą, o której myślę, kiedy wybija północ. Odkąd nie mogłam już do niej dzwonić, bo w niebie nie ma telefonów, rozmawiałam z nią po cichu, w myślach, i prosiłam o różne rzeczy. Najpierw tylko o to, żeby pomogła mojemu dziecku, ale z biegiem lat grono najbliższych rosło, a moje prośby zaczęły dotyczyć rodzących się kolejno dzieci, Cyryla i Zosi, ich matek, a także moich przyjaciółek i ich rodzin. Życzenia trwały coraz dłużej. Wpatrzona w fajerwerki, wymieniałam w myśli wszystkie imiona z lękiem, że któreś opuszczę albo że mama mogła przenieść na tamtą stronę swoje urazy i niechęci i nie zechce posłuchać. Więc prosiłam, żeby spojrzała na wszystkie sprawy jeszcze raz, obiektywnie, nie tak, jak kiedyś na Kajkę: - Kajka jest straszną bałaganiarą - powiedziała pewnego razu, siorbiąc herbatę. - To prawda - zgodziłam się - ale Mateusz też ma wiele wad. - Spojrzała na mnie sponad okularów, odstawiła filiżankę i oznajmiła z przekonaniem: - Tak, to prawda, ale on jest nasz! - Więc zapewniałam ją później, że teraz Kaja też jest nasza, tak samo jak Cyryl, Alicja i Zosia, a także Janusz i jego dzieci

295

z Kajką: Gabryś i Mikołajek. Nie poznała ich za życia, ale przecież widzi, jak się nam szczęśliwie rozwinęła rodzina, widzi, że Bóg dał mi drugą szansę, i niech mi ona pomoże jej nie zmarnować.

Tak się to odbywało. Ale gdzie? Z kim? W Rzymie u moich przyjaciół - Pstyny i Marinki - przy trochę obcym „Auguri!” wykrzykiwanym na dachu domu Ceniniego, w pobliżu Campo di Fiori, skąd szliśmy 1 stycznia na plac Świętego Piotra, by spaść i na nas część błogosławieństwa dla miasta i świata, urbi et orbi⁷. Cieniutka przesłona na mózgu - velario, chroniące przed światłem i światem, pastylki utwardzające charakter. Mateusz w Białolece, wyjdzie dopiero za kilka miesięcy, to znaczy, że rok 1997 właśnie się zaczynał, nie kończył. A potem? Jola przypomina, że przecież byliśmy we włoskiej ambasadzie, we dwie, jak para lesbijek. W rezydencji bardzo elegancko, wiele pań z towarzystwa, zupełny brak radości, nic z tego nie pamiętam prócz rękawiczek na dłoniach znanej aktorki. Mógł to być właśnie ten rok i ten właśnie, nijaki, sylwester. Albo następny. - Byłaś w Petryko-zach - przypomina Jola. Istotnie. Zapomniałam. Byłam w Petry-kozach, w dworku, zaproszona przez Witka J. i jego żonę. Witek musiał już mieć początki alzheimera, bo nie było z niego pożytku przy wystawie Aliny Szapocznikow. Miał problemy z narysowaniem prostych witryn. Potem koleżanka napisała w gazecie, że jak się nie umie aranżować wystaw, to trzeba sobie wziąć projektanta. Skoro Witek i Petrykozy, to sylwester musiał wypaść zaraz po tej wystawie. Kiedy ją otwieraliśmy? Chyba w tym samym roku, który witałam w Rzymie. Wystawa spadła na mnie niespodziewanie, bo Joanna -kuratorka, która miała ją zrobić - właśnie się zakochała i nie była w stanie pracować. Musiałam się wziąć do pracy zastępczo, z marszu. Układałam reprodukcje wielkości znaczków pocztowych na perskim dywanie właściciela poczytnego żurnalu „Artforum” w Nowym Jorku, w budzącej się wówczas do artystycznego życia dzielnicy Chelsea. Grupowałam w zespoły płaskie miniatury rzeźb, mających później wypełnić sale Zachęty swym realnym istnieniem. Koncentrowałam

296

się na balkonie, pałac papierosy i obserwując podwórko z ogromną wierzbą płaczącą, pełną nieznanych w Polsce ptaków o nazwie bluejay. Układałam narrację wystawy, która w ukrytej, najzupełniej prywatnej warstwie, była prawdziwym pożegnaniem z Ireną, moją przyjaciółką. W 1975 Irena zrobiła w łódzkim muzeum pierwszą pośmiertną wystawę Aliny Szapocznikow, a Hanka - moja druga przyjaciółka - nakręciła z tego film. Kilkanaście lat później Irena skoczyła z balkonu swego mieszkania na ósmym piętrze łódzkiego bloku. (A może to było dziesiąte piętro?) Robiąc wystawę jednej chorej kobiety, nie umiałam nie pamiętać o drugiej. Myśląc o jednej, która do końca kochała życie, bo od dzieciństwa ocierała się o śmierć - w getcie, w Auschwitz, w Bergen-Belsen i w Teresinie - nie umiałam nie pamiętać o drugiej, której się nie chciało żyć, bo wszystko straciło sens, a pozostał tylko ból i wykrzywione reumatyzmem palce. Jak bardzo trzeba nie chcieć żyć, jeśli się zostawia dwoje dzieci, myślałam, patrząc na Kubę i Michała, prowadzonych za trumną przez zaradną cioteczkę. Może też pragnęłam zagłuszyć sumienie, bo przecież nie uwierzyłam, kiedy w nocy po długim pijaństwie wyznała mi, że wyskoczy, jeśli będzie musiała jeszcze raz pójść do szpitala. W ciemnościach sypialni spokojny głos Ireny docierał do mnie z oddalenia, zatrzymując się na granicy jawy i snu. O skakaniu mówiła w taki sam sposób, jak wtedy, kiedy oznajmiała, że pójdzie i wejdzie na drzewo. - Chyba pójdę i wejdę na drzewo - ogłaszała, siedząc z podwiniętą nogą na niewygodnym krześle należącym do wyposażenia akademickiego pokoju na Kickiego. I nie ruszała się z miejsca, a my wiedziałyśmy, że właśnie ogarnęła ją chęć zmiany życia, że pragnie czegoś romantycznego. Uważałyśmy, że ma niebotyczne poczucie humoru, a ona już wtedy mogła chcieć tego jedyne, prawdziwego wylotu.

Czy to możliwe, że właśnie z Nowego Jorku wracałam z głową zajęta rezygnacją Ireny i rzeźbami, na które Alina Sz. rozkładała swoją chorobę, kiedy nacisnęłam klamkę otwartych drzwi swego miesz-

297

kania? Szukam katalogu i znajduję tylko wersję angielską, z drugim tekstem Urszuli Czartoryskiej napisanym na moje zamówienie już po zamknięciu wystawy i tuż przed jej śmiercią. Jeszcze jedna osoba zamieszana w tę samą sprawę. Ten drugi tekst Urszuli jest prawdziwszy od pierwszego, bo jest ostatni w jej życiu i dotknięty empiryczną wiedzą o umieraniu. Katalog zawiera datę wystawy. Jednak 1998. A więc wszystko to działo się w tym jednym roku: pobyt w Stanach, wystawa i ciche odejście Urszuli w ciepły, sierpniowy dzień. Potem, w październiku, Jola straciła swoją matkę Joannę. Joanna była druga po Lidii, mojej mamie, która już wtedy nie żyła od czterech lat. Została nam jeszcze Zofia, mama Hanki. Została wówczas, w roku 1998. Ale teraz jej też już nie ma. Odeszła niedawno, w styczniu 2006, zaraz po urodzinach swej młodszej córki, które chciała jeszcze z nami spędzić. Nasze matki. Dobre i mądre, odważne i silne, twardejsze u boku słabych mężczyzn. Kształtowane przez wojnę, tułaczkę, głód i niespełnione marzenia i kształtujące nas na swoje podobieństwo. Każda inaczej, ale każda tak, że umiałyśmy się odnaleźć i porozumieć, ledwie wchodząc w dorosłość, na pierwszym roku studiów.

Tak więc wszystko to działo się później, w następnych latach. Trzeba wrócić do grudnia 1997. Wówczas także urządziłyśmy Wigilię u Joli. Jeszcze żyła pani Joanna, pamiętam jej cichy chichot nad naszą pierwszą, jeszcze nieudolną, gefiltefisch, żydowską rybą - że się nie udała. Nie oszczędzała Joli niczego. Jola musiałaby jeszcze popracować nad rybą, żeby danie było tak dobre, jak u niej, u Joanny, bo Joanna знаła przepis z pierwszej ręki, od żydowskich sąsiadów, których ukrywała, żeby nie poszli do pieca. Ukrywanie było nieprzyjemne, musiała chodzić z wiadrem gówna tak, żeby nie zobaczyli sąsiedzi. W dodatku właśnie urodził się Andrzej. Jola twierdzi, że nikt by jej nie zmusił do narażania życia dziecka. Joanna jest po wylewie, więc tylko macha sprawniejszą ręką i wydusza z siebie krótkie: - Nic nie wiesz. - Jakbym słyszała mojego ojca. „Nic nie wiesz” odnosiło się do czasu wojny. My nie mogłyśmy wiedzieć. My nie zaznałyśmy.

298

Nam nie było dane zmierzyć się z własnym człowieczeństwem w sytuacji, gdy w grę wchodziło życie drugiego człowieka, całkiem konkretnego, z krwi i kości, kogoś mającego imię i ciało, wady i zalety, kogoś, kogo znamy osobiście i z bliska. Ćwiczmy więc gefilte fisch jako wojenny testament pani Joanny, przez kolejne lata, przed kolejnymi Wigiliami. Nabieramy wprawy. Udoskonalamy przepis, żeby karp osiągnął niepowtarzalny smak, lekko słodki i pieprzny, i żeby nabrał odpowiedniej gęstości i soczystości. Trzeba też, bez grama żelatyny, uzyskać prawidłową konsystencję galarety. Przenoszę na tę rybę zasady przejęte od mojej mamy, bo ja - ze względu na odległość - trenowałam karpia jeszcze za jej życia, choć był to inny model, nie gefilte, tylko normalny, w dzwoneczkach, w sosie pełnym rodzynków i migdałów. W tajniki tego kompozytowego przepisu wprowadzamy powoli Alicyjkę i Zosię. Żebyśmy się nie musiały przed śmiercią śmiać z ich nieudolności.

299

Ale tamtego roku jest z nami tylko Kaja z Cyrylem. Żuk, czyli mała Joasia - późne dziecko Joli - bawi się nim jak lalką, a on na to pozwala, bo dzięki temu pozostaje w centrum uwagi. Więc godzi się na bycie obiektem zabawy, na to, że jest układany na kanapie i usypiany, choć nie śpi ani przez chwilę. Nasze labradory kotłują się po mieszkaniu w braterskich sparringach. Fredek nigdy nie ma dość zabawy, Kajtuś natomiast szybko się męczy. Jeszcze nie wiemy, że rozwija się w nim śmiertelna choroba, która go nam niedługo zabierze. I nikt nie mówi o nieobecnych. Tylko o nim myślimy. Kaja, Jola i ja. Potem zabieram Kaję z Cyrylem do siebie.

Sprawdzam wiadomości na sekretarce. Nie dzwonił. Nie zadzwonił ani razu od dnia, kiedy zostawił kartkę. Szukam go od kilkunastu tygodni. Wyznaczam wysoką nagrodę za podanie wiarygodnego kontaktu. Ale wszyscy milczą. Może jutro odbiorę jakiś głuchy telefon? Może odkryję jakiś tajemny znak, jakieś litery na drzwiach, jakąś karteczkę wsuniętą pod wycieraczkę? Nie można się nie odezwać w święta!

Choć przecież była już jedna taka Wigilia, w 1994, zanim poszedł pierwszy raz do więzienia. Roczny Cyryl i cała rodzina Kajki tonąca w niemożliwym do opanowania, odwiecznym bałaganie przepastnego mieszkania na Stalowej, bliskim mi przez podobieństwo do bałaganu legnickiego mieszkania mamy, ustawiczny ruch wokół stołu, pożyczone opłatki, chaotyczne życzenia i ukradkowe spojrzenia na pusty talerz „dla niespodziewanego gościa”. Nie mieliśmy pojęcia, że w szczuplutkim ciele Alicji kiełkuje już maleńka fasolka, która w sierpniu następnego roku otrzyma imię Zofia.

Teraz jednak, w czasie tych konkretnych świąt, Zosia ma już kilkanaście miesięcy, jutro pojedziemy do niej z Cyrylem, dzieci powinny wiedzieć, że są rodzeństwem, zadbam o to, żeby rosły w poczuciu rodzinnej więzi. Ale jeszcze jest dzisiaj, jeszcze trwa wigilijna noc i Kaja umawia się z Hanką na pasterkę. Będą śpiewać Lulajże, Jezuniu..., będą witać Pana. Układam Cyryla do snu. Kaj-

300

tuś cichutko mości się obok niego, leżą głowa przy głowie, dziecko i szczeniak. Z punktu widzenia Kajtusia zajmują to samo miejsce w stadzie. Zostają wśród nocnej ciszy przy świecącej choince. Może zadzwoni?

Mogło to już być po wizycie u tej okropnej facetki w Aninie, żeby może coś ustaliła dzięki darowi jasnego widzenia. Przyjęła mnie niechętnie. Przeżykając ostatnie kęsy kolacji, wyjęła zatłuszczone karty, kazała przełożyć, zupełnie jak pani Janka z parteru w zamierzchłych czasach, kiedy owiana dymem papierosów „Sport” mówiła: - Przełoż, Andziu, dwa razy lewą ręką od siebie, od serca - i opowiadała mi

O dalekich podróżach, o przygodach z blondynem wieczorową porą

I sprawach w państwowym domu. Ta z Anina nie kazała przekładać od serca i nie mówiła o przygodach. Milczała. Kilkakrotnie przetasowała karty, ułożyła ponownie i poprosiła o zdjęcie. - Muszę się nad tym zastanowić - oznajmiła - dookoła tej sprawy jest ciemno, proszę zadzwonić za kilka dni. - Kiedy zadzwoniłam, zbyła mnie krótkim: - Nie widzę aury, on jest zimny! - Poczulałam nienawiść. Jak śmiała użyć takich słów? I wyparłam tę rozmowę. Funkcja delete. Skasuj! Nikomu o niej nie wspomniałam. Przeciwnie, zabrałam Alicję gdzieś do Płocka, do komisariatu, w którym - jak twierdził kolega Mateusza Karol - mają jakiś trop. Odnajdywali się w warszawskim świątku, najpierw dziecięcym, potem młodzieżowym, powodowani tajemną siłą złego przyciągania. Najpierw z synem umierającego poety. Potem z synem filmowego gwiazdora. Przez chwilę krążył wokół nich syn znanego projektanta, a wreszcie przyłgął Karol, syn generała, urodzony już po śmierci ojca. Licytowali się kiedyś, czyj tata najgorszy. Wygrał Karol, oznajmiając spokojnie, że jego ojciec był mordercą. Zwycięstwo w tych zawodach wynosiło Karola ponad inne, bardziej zwyczajne generalskie dzieci i pozwalało na partnerstwo z niezwykle cywilnymi. To ich miał na myśli Mateusz, kiedy mówił, że koledzy robią karierę, a on postanowił się zmarnować. Istotnie, wszyscy

jakoś sobie po-

301

radzili z ojcami i z życiem. Z wyjątkiem Karola. Karol towarzyszył Mateuszowi w braniu, choć zrywał kontakty na czas jego odsiadki. Pojawił się kiedyś na Dzikiej, chudy jak Piotrowin, z ziemistą, postarzałą twarzą. - Program metadonowy - wyjaśnił. I wówczas właśnie opowiedział o Płocku: że Mateusz miał tam sprawę karną, więc mógł pojechać i podobno w tamtych okolicach został znaleziony. Nie jest taki głupi, myślałam, żeby opowiadać bzdury z czystej chęci dostania nagrody. Przecież wie, że najpierw sprawdzę. Nie

robił też tego z przyjaźni, narkomani nie mają przyjaciół. Wiedziałam o plockim procesie. Dlatego pojechałam. Dyżurna policjantka wyjaśniła, że nikogo takiego nie zatrzymali, a gdyby go znaleźli nieżywego, toby poznali „po paluchach”. Takie mają procedury. Akurat niedawno znaleźli jednego N.N., porównali „paluchy” z kartoteką i wyszedł im kto inny. Ciekawe, dlaczego ci z komendy na Mokotowie nie porównali „paluchów” z kartoteką? Albo jednak porównali i też im wyszedł kto inny?

Więc czemu po tym wszystkim nadal czekałam na telefon? Nie czekałam. Albo raczej nie było tak, że czekałam. Czekanie jest brakiem akcji. Jest najgorszym z możliwych stanów. Jest poddaniem się czynnikom zewnętrznym, uzależnieniem od woli kogoś innego. Czekanie nie jest zgodne z moją naturą; jestem niecierpliwa. Więc nie było to czekanie w klasycznym znaczeniu. Nie czekałam podręcznikowo. Żyłam, jak gdyby nic się nie stało. Trochę zbyt pracowicie. Trochę za szybko. Od wernisażu do wernisażu, od wyjazdu do wyjazdu, z przerwami na dojmujące, nieradosne święta i odptasz-kowane sylwestry. Dopiero po dwóch latach zdecydowałam się na formalne zgłoszenie zaginięcia. Wynika z tego, że wcześniej jednak na coś liczyłam. Że wierzyłam w ten powrót. Apelowałam przez telewizję, żeby się odezwał. Bardzo życzliwy pan z Itaki pomagał mi sformułować zakodowany apel, złożony z konfiguracji znanych mu imion - żeby był zrozumiały tylko dla niego i żeby go nie namierzyła ani policja, ani Miasto. Wieści z Miasta także nie było. Miasto nabra-

302

ło wody w usta. Miasto upierało się przy wersji, że od grudnia nikt go nie widział. Jeśli nawet ukrył się gdzieś bardzo głęboko, myślałam, to przecież będzie umiał rozkodować słowa, jakimi go wzywamy. Takie były intencje. Ale nie nadszedł sygnał, że odebrał wołanie.

STYCZEŃ

Sylwester

Pstryk, pstryk. Znów przeskoczyła cyfra w kalendarzu, zaświeciła się nowa data, zaczyna się nowe życie, wstępuje nowa nadzieja, napinamy potencjał odkładany na potem od połowy grudnia, od gonitwy za gwiazdą betlejemską w rodzinnych pieleszach, żeby zaspokoić apetyt na prezenty, żeby powinszować wszystkim narodzin Pana, który zgładzi grzechy świata i zasiądzie na prawicy po męce i zmartwychwstaniu, które będziemy rozpamiętywać w Wielkanoc, między szynką a mazurkiem.

Sylwestry przybladły, oblekły się w to samo zmęczenie, w którym grzęźnie już nadto długie życie wypełnione wytartymi powtórkami gestów i słów, liczeniem uderzeń zegara, wystrzałów szampana, hukiem petrad i glosolaliczną feerią fajerwerków widzianych nad warszawskim Manhattanem z okna mojego nowego mieszkania ulokowanego w sercu miasta, między turkotem pociągów z jednej a piskiem tramwajów z drugiej strony, z mieszkania, na które właśnie zamieniłam swój dom - budowany uporczywie, przez lata, by zadośćuczynić życzeniu nieżyjącej już wówczas mamy. Przeskok wskazówek zegara wyzwala już tylko łańcuch obrazów z zaprzyszłych czasów, wspomnienie oczekiwań, napięć, dramatów i radości łączących się niegdyś ze smakiem szampana pierwszej minuty. Szampan pierwszej minuty - jakaś oboczność języka, jak zespół szybkiego reagowania,

307

jak *ius primae noctis*, prawo pierwszej nocy, niby tylko litera, a przecież jakże dojmująca, gdy ją oblec w czyny. Cyryl, otoczony leciwymi paniami w moim wieku, jeszcze nie zna tego pojęcia. Z nadzieją w roziskrzonych oczach liczy uderzenia zegara i wypowiada w myśli swoje czterystoletnie życzenia, a potem, ze słuchawkami w uszach, odpływa w świat marzeń.

Czas Margarity

Powrót Hanki z Legnicy do Nowego Sącza, jak rozumiałam ze strzępów rozmów - bo nie było mi wolno uczestniczyć, musiałam wychodzić do swojego pokoju i zamykać za sobą drzwi - miał coś wspólnego z propozycjami ze strony pana Karola, ojca Ludki. Może nawet

nie skończyło się na propozycjach, bo Kławę, mamę Ludki, już wtedy często bolała głowa. Hanka została chyba przez całe lato, zachowało się nasze wspólne zdjęcie na podwórku pod gruszą. Ubrano mnie do niego w wełnianą sukienkę zrobioną na drutach przez słynną sądecką Norweżkę, która nie miała w naszym domu imienia, ponieważ okazało się zbyt trudne do wymówienia i mama nie starała się go zapamiętać. W końcu mieliśmy do czynienia tylko z jedną Norweżką, więc i tak było wiadomo, o kogo chodzi. Przywędrowała do Polski razem z wyzwolicielem jej kraju, służącym chyba w armii brytyjskiej. Dysponowała norweską wełną w bardzo dobrym gatunku i świadczyła usługi dziewiarskie. Czerwono-biała sukienka z tej wełny stała się moim dyżurnym strojem odświętnym na kilka lat, do czasu, aż przestałam się w niej mieścić. Wtedy została starannie spruta i zwinięta w kłębki. Po latach użyłam wełny do wydziergania ekstrawaganckiego, szydełkowego stroju, który sprzedawałam po urodzeniu Mateusza; dorabiałam do pensji. Skoro Hanka pozowała jeszcze wówczas do zdjęć, to chyba uczestniczyła też w pierwszym

309

zbiornie gruszek z ogrodu, jakim w tamtych czasach było jeszcze nasze podwórko. Tata wspinał się na stare drzewo i próbował dosięgnąć owoców w wyższych partiach, ale się obsunął z gałęzi i zawisł, zaczepiony kołnierzem swetra na suchym konarze. Przebolał nasze kpiny, ale od tamtej pory zbieranie gruszek odbywało się bardziej metodycznie, za pomocą narzędzia, które zmaistrował, doczepiając do cieńszego końca wędki specjalny woreczek. Tak zebrane owoce ładowały na szafie w sypialni rodziców i spokojnie dojrzewały.

Właśnie dostałam pierwszego w życiu psa imieniem Misiek, brązową kudłatą kulkę, którą kochałam bardziej niż Ludkę. Tylko dzięki temu, że Hanka jeszcze u nas była, Misiek nie wypadł przez okno, na które wskoczył kiedyś z takim impetem, że go przerzuciło na drugą stronę. Usłyszałam skowyt i zastałam go zwisającego nad otchłanią ulicy, zaczepionego pazurami o występ parapetu. Nie miałam siły go wydzwignąć, trzymałam więc jego przednie łapy i błagałam, żeby nie spadał. Wtedy przybiegła z kuchni Hanka. Misiek został

310

uratowany od upadku, ale nie pozostał ze mną na zawsze. Zapewne w związku z odejściem Hanka i problemami z wyprowadzaniem mama oddała go jakiejś pani, która przykuła go łańcuchem do budy. Odwiedzałam go w drodze ze szkoły przez całą jesień. Potem wokół podwórka jego właścicielki pojawił się płot i wszystko się skończyło. Tę stratę miała mi zrekompensować kotka Murka, mniej kłopotliwa w obsłudze.

Po pewnym czasie pojawiła się Margarita. Była tęgawą, trochę przysadzistą brunetką o czarnych oczach i oliwkowej cerze. Przydługi nos z lekkim garbkiem dopełniał całości obrazu typowej przedstawicielki rasy nordyckiej. Margarita szukała miłego domu, bo była dobrze przygotowana do obowiązków typowej Hausfrau, mającej wyjść za męża, gotować, sprzątać i rodzić dzieci, w czym przeszkodziła jej klęska Trzeciej Rzeszy. Miała nawet narzeczonego, którego zdjęcie w mundurze kaprała Wehrmachtu wniosła do naszego życia razem ze skromnym dobytkiem. Jej dwie siostry, starsza i młodsza,

311

również ulokowały się w domach przybyłych ze wschodu podludzi. I one także trzymały zdjęcia umundurowanych narzeczonych czy może mężów. Wyglądało to tak, jakby ci mężczyźni nie mieli innego życia niż wojskowe albo jakby wcześniejsza, cywilna egzystencja, nie była warta utrwalenia na fotografii i dopiero mundur dźwigał ich do jakiejś ludzkiej rangi.

Z nastaniem Margarity moje życie nabrało luksusowego posmaku. W ciemne zimowe poranki budziła mnie do szkoły, włączając nocną lampkę i elektryczny piecyk, przy którym pomagała mi się ubierać. Cesała mnie w kuchni podczas śniadania, splatając włosy w ciasne warkoczki, a ja starałam się nie posykiwać, choć skóra na głowie cierpła mi z bólu. Poranki należały tylko do nas; tata wychodził wcześniej, mama spała. Do nas należały także niektóre

popołudnia, kiedy zabierała mnie w odwiedziny do swych krewnych i znajomych. Do tego grona należała pulchna starsza pani, posiadająca zegar z kukułką. Nazywałyśmy ją Pani Kukuk. Zarówno u niej, jak i u sióstr Margarity rozmowy toczyły się wyłącznie po niemiecku, musiałam więc chyba dokonać dużego wysiłku, by się go nie nauczyć. Kiedy rodzice wychodzili, miałyśmy dla siebie wieczory. Margarita rozpaliała w swym pięknym piecu - mieszkała w gabinecie, nie w służbówce - i rozsiadała się w fotelu z rozpuszczonymi włosami, a ja je powoli rozczesywałam. Mówiła, że to jej sprawia przyjemność. Opowiadała przy tym o swojej nauczycielce, która kazała dziewczynkom drapać się delikatnie po nogach, ale ona sama nigdy by żadnej dziewczynki do czegoś takiego nie zmuszała. Więc do drapania nie dochodziło.

Czas Margarity był czasem niezmaconym, domowym, wtedy jeszcze bezpiecznym, pozbawionym dramatycznych wydarzeń. Margarita oddzielała mnie od rodziców, zajętych swoimi sprawami. Na co dzień mało widoczna, była jak ciepły piec. Nie krzyczała. Nie złościła się. Moje wysoki komentowała wesołym: - Du bist durne Ziege, jesteś głupia koza. Prała i prasowała moje sukienki. Czyściła

312

buty. Cerowała pończochy i zaszywała dziury w kieszeniach, przerywających się pod ciężarem marmurowych „szkiełek” do gry w klasy. Wplatała mi wstążki w warkocze. Szykowała poranne kakao i drugie śniadanie do szkoły. Żegnała mnie w drzwiach i witała po powrocie. Czas Margarity był czasem stołu codziennie nakrytego do obiadu i zapachu pasty do podłóg. Wykrochmalonej pościeli. Bratków na balkonie. Cukierków, które ojciec pozostawiał dla mnie w kieszeni swej odwiecznej jesionki w jodełkę, żebym ich sama poszukała. Był czasem starań mamy o kuchnię. Niedzielnym śniadań z jajkiem po wiedeńsku albo oładkami z gęstą śmietaną. Smażenia konfitur z truskawek i wiśni. Pieczenia jabłeczników i cwibaków. Domowych makaronów do rosółu i łazanek z kapustą. Był czasem nalewek na skórkach cytrynowych, smakowanych przez ojca pod śledzika, i tranu, który łykałam bez wachania, także pod śledzika. Tran był miernikiem codziennej powtarzalności, porządkował moje życie, wyznaczał miejsce w rodzinie. Czas Margarity był czasem zachwyty nad cudem pierwszego śniegu i tajemnicy połogu kotki Murki wydającej na świat ślepe, bezradne kocięta, które po paru tygodniach mój ojciec przyuczał do samodzielnego jedzenia i wstawał trochę wcześniej, by jeszcze przed pójściem do pracy podgrzać im mleko. Ze spółdzielni krawieckiej przeniósł się do MHD, na dział metrażu. Do dziś nie wiem, dlaczego. Wszystko to działo się w okresie, kiedy panował powszechny strach, ukrywany przede mną za drzwiami sypialni, głuszony cichym szeptem rodziców przerywających na mój widok rozmowy i wysyłających mnie do własnego pokoju odwiecznym: - Wyjdź i zamknij za sobą drzwi. - Czasu tego nie zmąciła nawet narciarska przygoda mojego ojca z zapoznaną na turnusie blondynką, która napisała do mamy list z propozycją rozwodową. Propozycji tej chyba nie potraktowano jako żartu, skoro zostałam poproszona do salonu i zapytana całkiem poważnie przez dorosłych skądinąd ludzi - moich rodziców - kogo wolę: tatusia czy mamusię. Uświadomiono mi wówczas

313

niechcący, że komplet, jaki stanowimy, nie jest wieczny, że figura trójkąta może się rozpaść i układ pozostanie kaleki bez względu na to, którego z boków zabraknie. Nie umiałam sprostać zadaniu, jak niegdyś nie potrafiłam nazwać swego ojczystego języka. Rozpłakałam się. Propozycja rozwodowa nie została przyjęta. Czas Margarity został ocalony jeszcze o rok, może o kilkanaście miesięcy.

Katastrofa nie zdarzyła się nagle. Nadciągała powoli, trochę niepostrzeżenie, poniekąd na fali rozluźnienia, jakie wkładało się w nasze życie po śmierci Józefa S. Zanim nastąpiła, zwiastowały ją wzmożone wysiłki, najpierw towarzyszące uzyskaniu paszportów na „turystyczny” wyjazd do Rosji, a potem przygotowaniom do tego wyjazdu. Odtąd nic nie

pozostawało na swoim miejscu, nic nie było jak dawniej. Nie chodziło tylko o gorączkę przygotowań i sam przebieg podróży. Trzy miesiące naszego pobytu w Nowosybirsku i miesiąc w Moskwie, już tylko z mamą, odmieniły nasze życie. Codzienne obcowanie z przodującym strojem nauczyły mnie więcej niż lekcje w szkole, ale nie przekładały się na późniejsze oceny. Czteromiesięczne zaległości pociągnęły za sobą lawinę dwój, stawianych mi

314

z niejaką radością przez nauczycieli właśnie odzyskujących godność po latach naginania programu do stalinowskich potrzeb i pospiesznie włączających do programu nauczania materiał, którego nie było w podręcznikach. Na przykład lekcję o 17 września 1939, która się odbyła w czasie mojej nieobecności i z której zostałam odpytana. Możliwe, że wybór nauczyciela był losowy i akurat przypadkiem trafiło na mnie, a ja, akurat jedyna w klasie, nie wiedziałam, o co chodzi. Zmyślanie tym razem nie pomogło, bo fakt najazdu na Polskę przez Armię Czerwoną wykraczał poza moje najśmielsze fantazje, po prostu nie mieścił mi się w głowie mimo ponurego obrazu Kraju Rad, jaki odcisnęła w mojej pamięci niedawna wizyta w tej ziemi obiecanej.

Ta podróż przypomina mi się, ilekroć widzę obraz Jarka Modzelewskiego Podróż do Rosji, wyobrażający fragment sypialnego wagonu. Jedna z postaci stoi za oknem z rękami do góry. Może chce je otworzyć? Zaczęto się od długich przygotowań. Najpierw tata spruł swoje palto w jodełkę i uszył mi z niego solidną kurtkę. Potem spruł swoje gabardynowe spodnie narciarskie - bo chyba już

315

zrezygnował z następnych wakacji z blondynką - i przerobił je na model dziewczęcy z rozcięciem na dole i szeroką gumą pod piętę, żeby trzymały formę. Ten strój, mający mnie ochronić przed syberyjskim mrozem, uzupełniony został narciarskimi butami o ściętych czubkach, w kolorze wiśniowym, bo tylko takie można było zdobyć. W domu pojawiły się skrzynki ze sklejki, które mama wypełniała belami pluszu i wzorzystymi kapami - towarem, na który w Rosji był wielki popyt. Kapy miały funkcję ozdobną, z pluszu szyto eleganckie „futry”. W jednej ze skrzyń ulokowano kupony materiału na kreacje dla członków rodziny, a także gotowe ubrania - garsonki, suknie, jedwabne szlafroki - z których mama już wyrosła, a które były w sam raz na jej siostrę Wierę. Zanim skrzynki zabito gwoździami, zdażyłam rozpruć sobie udo o wystający fragment ostrego, metalowego okucia. Oczywiście, ukryłam to przed mamą, obeszło się bez szycia i klamer, dzięki czemu nad lewym kolaniem pozostał mi sznyt, który nadal wywołuje wspomnienie tamtych gorączkowych przygotowań.

W drogę ruszyliśmy z początkiem listopada 1955 pociągiem relacji Legnica - Brześć. Po długich i nużących formalnościach celnych przesiedliśmy się na granicy do moskiewskiego składu, a kiedy wreszcie wjechaliśmy do ZSRR, czyli na teren Białorusi, stanęłam przy oknie i z napięciem wpatrywałam się w mijane po drodze widoki, starając się dostrzec w nich cechy świadczące o pobycie na innej, lepszej ziemi. Ale nic się nie zmieniało aż do zmierzchu; mijaliśmy zabiedzone stacyjki i smutne równinne krajobrazy, takie same jak w całej wschodniej Polsce. Następnego ranka dojeżdżaliśmy do pokrytej śniegiem Moskwy. To akurat pozostało w mojej pamięci, choć wiele innych szczegółów z niej uciekło albo nawet nigdy się w niej nie zatrzymało. Nie jestem pewna, ile dni spędziliśmy w Moskwie przed ruszeniem na Sybir, potrafię natomiast odtworzyć nastrój pięknego, secesyjnego hotelu Metropol, posadowionego w pobliżu gmachu opery i przeznaczonego wyłącznie dla gości zagranicznych. Pamiętam jego chłodną salę jadalną z fontanną na środku, przytlu-

316

miony gwar rozmów, dyskretne oświetlenie, uprzedzającą grzeczność obsługi, a także kryształ głębokich kielichów, w których podawano mi kefir przysypany z wierzchu górą mialkiego cukru; pamiętam ogromne porcje kawioru w srebrnych miseczkach i słodkawe,

bardzo białe pieczywo. Był to, jak się zdaje, eksportowy zestaw hotelowy, coś, czym obok pięknych przewodniczek w rodzaju „Natalie” uwodzono przyjezdnych z Zachodu, i czego nie zaznałam nigdy potem, kiedy już jako osoba dorosła lądowałam w przepastnych moskiewskich hotelach, ze słynną etażową i jej przysłowiowym kipiakiem. Do Metropolu wróciliśmy jeszcze w drodze powrotnej, tylko z mamą, i ten drugi pobyt był znacznie mniej ceremonialny. Czy to ze względu na mniejszą wartość naszych voucherów, czy z uwagi na nieobecność taty, nie jadałyśmy tam już wszystkich posiłków, ograniczając korzystanie z hotelowej kuchni tylko do śniadań, także z kawiozem.

To wrażenie elegancji i dostatku, jakie wywarł na mnie pierwszy, kilkudniowy pobyt w Moskwie, pozostało jeszcze przez cztery doby jazdy z Moskwy do Nowosybirsku utrwalonym na płótnie Jarka M. sypialnym pulmanem, kiedy „udawaliśmy się” do wagonu restauracyjnego na posiłki, a w przerwach patrzyliśmy na bezkresne, zaśnieżone równiny, wypijając z nudów litry herbaty i zaśmieając przedział kupionymi na jakiejś stacji fistaszkami. Naszym towarzyszem podróży nie był tradycyjny Wania - razwiedzczik, tylko północny Koreańczyk o nieprzeniknionej twarzy, który namawiał mnie do gry w łapki tylko po to, by mi zdrowo przylać, bo był zawsze szybszy i sprawniejszy i nie stosował taryfy ulgowej, jakiej można by oczekiwać od dorosłego mężczyzny w walce z dziewczynką. Koreańczyk jechał do Phenianu, gdzie pociąg kończył bieg.

My wysiedliśmy w Nowosybirsku, a właściwie usiłowaliśmy wysiąść, co okazało się trudne, bo akurat na wysokości wyjścia z naszego wagonu, dokładnie między schodkami a zdenerwowanym komitetem powitalnym, ustawił się wózek bagażowy, przymuszając w ten sposób moich rodziców do skorzystania z usług tragarzy. Za-

317

nim dobito targu, zobaczyłam opatuloną w angorową chustę, skamieniałą twarz mojej babki, rozhisteryzowaną ciotkę Wierę w czarnym toczku z foczego futra i przepychającego się z tragarzami wujka Jurę. Cała trójka, obuta w walonki, dreptała w udeptanym szarym śniegu pokrywającym peron dworca w Nowosybirsku, mieście wówczas milionowym.

Nowosybirsk poznawałam stopniowo, w rosnącym poczuciu rozziwienia między rzeczywistością a moimi wyobrażeniami wyniesionymi z książek i filmów. Nie było kryształów i kawioru ani białego pieczywa, ani nawet kefiru. Na bazarze można było kupić zamrożoną na kość mięsną rąbanekę i uformowane w kształt szerokiego walca bryły zmrożonego mleka. Cukier sprzedawano w szarych głowach, rozbijanych młotkiem, a potem kawałkowanych na mniejsze porcje specjalnymi szczypcami, które należały do codziennego stołowego garnituru. W porzuconym na zapleczu komunizmu maleńkim domku mojej babki, oddalonym zaledwie o jedną przecznicę od wielkiego, ruchliwego prospektu, nadal nie było kanalizacji i wodociągu. Wodę należało oszczędzać, więc rytuałem stało się korzystanie z łazienki w odległym mieszkaniu mego wuja lub z miejskiej bani, gdzie ze wstrętem obserwowałam zasiadające na drewnianych ławach grube kobiety, okładające się brzożowymi witkami. Nad zamrożonym miastem unosiła się sadza, osiadając tłustą, czarną powłoką na śniegu, którego nie wywożono; jego zwały tworzyły wzdłuż ulic wysokie, szare ściany, przez co chodniki upodobały się do tuneli, w których niezdarnie poruszali się obuci w walonki przechodnie. Mróz przekraczał czterdzieści stopni, co nawet na Syberii nie było zjawiskiem częstym. To nie mróz jednak zdecydował o modyfikacji mojego „narciarskiego stroju”, tylko ów strój sam w sobie. Wzbudził on natychmiastową agresję ze strony okolicznych dzieci już przy mojej pierwszej próbie wyjścia na pole. Zostałam bezlitośnie wyszydzona i nazwana rachityczką. Nie pojawił się żaden Timur ze swoją drużyną, żeby mnie wziąć w obronę, toteż następnym razem wyszłam

318

z domu z czarną wilczycą imieniem Mary, która nastąpiła :o legendarnej Bejbi, mojej opiekunce. Mary, karmiona przywiezionymi z Polski cukierkami, przeszła ze mną aż do

prospektu, ale na wic trolejbusu ruszyła przed siebie klusem, przebiegła szeroki wąwóz jedni i znikła mi z oczu. Nie umiałam jej znaleźć. Błąkałam się po lodmtyrn mieście aż do zmroku, a potem pomyślałam, że przecież pies zna drogę do domu. Ale Mary była psem domowo-podwórkowT.. nienawy-kłym do spacerów. Nie wróciła ani tego dnia, ani pór.ei. Nikt mi nie robił wymówek, co było gorsze od awantury. A potem dostałam walonki, futrzaną czapkę i ogromną angorową chustę, bora skutecznie zakrywała gatunkową jodełkę mojej kurtki.

Zaczęta wyglądać jak wszyscy i nikt mnie już nie zaczepiał.

Rodzice nie wprowadzali mnie we wszystkie sfer swego życia w Nowosybirsku. Najczęściej zostawałam z babką dk jechałam z nią do wujka Jury, gdzie babka robiła pranie, bo jef aligranowa żona miała za małe dłonie, poza tym opiekowała si: ich jedynym synem, także Jurą, który zapadł na heinemedinę. Wszedł z niej, ale nie urósł i pozostał mu kaczy chód. Niektóre wieaory spędzałam w towarzystwie przedwojennej przyjaciółki moi: ~amy, Lidii Iwanowny. Mama nigdy nie przeszła z nią na ty, okuwały sobie szacunek, który nie pozwalał na zbyt wielką poufał i Lidia Iwa-nowna była poniekąd osobą staroświecką, czesała s:e po rosyjsku, w warkocz opleciony dookoła głowy, ubierała powśda.>ie, w surowe kostiumy podkreślające jej wysoką, szczupłą sylweię Nie wiem, gdzie pracowała. Mieszkała z pewnym profesorem, który grał ze mną w szachy i jadał parówki na spółkę z ogromnym syberijskim kotem. Zaczynali z przeciwległych końców, każdy wgryzał.; \ vr przysmak ze swojej strony, końcówka należała do kota. Nie zapamiętałam imienia profesora, choć kiedyś zabrał mnie nawet na uniwersytecki bal z kabaretem. Moje zdumienie nie miało granic, g: ia estradzie zjawił się chórek rewelersów, który odśpiewał pr:::ewolucyjną balladę o czterech kapucynach i rusałce. Zrobiła na mnie ogromne

319

wrażenie. Nie sama ballada, ale to, że takie głupoty można śpiewać na uniwersytecie, w Kraju Rad. Może dlatego jej idiotyczne fragmenty pamiętam do dziś? Odwiedziłam Lidie Iwanownę podczas mojej podróży do Nowosybirsk z Mateuszem, w 1989 roku. Niewiele się zmieniła. Nadal czesała się po rosyjsku, owijając wokół głowy szpakowaty już teraz warkocz. Nadal była szczupła i nosiła surowe kostiumy. Miała innego kota i mieszkała z innym profesorem. Poza tym była w dobrej formie.

W domu mojej babki panowała bieda. Ciocia Wiera utraciła posadę w operze, zapewne na skutek swej naiwnej, ale uciążliwej prostolinijności - nie rozumiała dwuznacznych rozmów, nie umiała czytać między wierszami, nie uznawała umowy społecznej opartej na ustawicznej wymianie usług, coś za coś, wy nam - my wam, ja tobie - ty mnie. Była konfliktowa w sposób zwiastujący jej późniejszą chorobę. Czasami zapraszano ją z recitałem do filharmonii lub do radia, ale najczęściej marnowała swój dramatyczny sopran na

320

ćwiczenia koloratur przed lustrem w sypialni. Babka próbowała po-kątne krawiectwa, lecz bez wielkich sukcesów, bo pokątne zajęcia wymagały umiejętnego poruszania się wśród łapowników reprezentujących rozmaite urzędy kontroli, a babka tych umiejętności nie posiadała. Dlatego tak wielkie znaczenie miały przywiezione z Polski bele pluszu, które trafiały do komisów i do cichych dystrybutorów, a przez nich na bazar, i powoli zamieniały się na ruble. To była jedna ścieżka działalności mamy podczas naszego turystycznego pobytu na Syberii. Druga wiodła wieczorami do restauracji i operowych kularów. Chodziło o powrót Wiery do pracy. Nie opuściliśmy chyba żadnego przedstawienia. Mnie sadzano w pierwszym rzędzie. Nadal pamiętam impet Tańców połowieckich i towarzyszącą ich oglądaniu obawę, że ktoś z baletu wylądzuje mi z rozpędu na kolanach. Mama zdołała się zakolegować z dyrektorem opery i jego piękną, rzeźbioną w kryształ lodu żoną o imieniu Muza. Jemu ojciec uszył parę garniturów, jej kilka kostiumów, więc zostaliśmy zaproszeni na kolację,

321

podczas której Muza wręczyła mi pięć tomów Puszkina w twardej, płóciennej oprawie i z jej osobistą dedykacją.

Mimo to Wiera pracy nie dostała. Po naszym wyjeździe coraz bardziej uzależniała się od swojej matki, dziecinnieła i popadała w obłąd. Któregoś dnia uległa wypadkowi. Nikt nie umiał powiedzieć, co się właściwie stało. Ktoś ją znalazł leżącą na ulicy w kałuży krwi, z pokiereszowaną twarzą. W szpitalu zszyto jej policzek bez specjalnych ceregieli, na okrętkę. Biegająca ukosem blizna oszpeciła ją na zawsze. Chyba właśnie wtedy, po wypadku, doszła do głosu mania prześladowcza, a niebawem paranoja. Choroba falowała, miała różne stadia - ostre stany lękowe przechodziły nagle w katalepsję, ta zaś stopniowo przybierała postać melancholii. Wtedy Wiera siedziała bez ruchu, wpatrując się godzinami w jeden punkt, jak matka Albrechta Dürera na znanej rycinie. Potem jej stan poprawiał się, zaczynała nawet wychodzić na ulicę, osłaniając apaszką oszpecony policzek. Kiedy po śmierci babki w roku 1976 mama uzyskała wreszcie zezwolenie na powtórny wizytę w Rosji i przywiozła siostrę do Polski, umarł mój ojciec. Pierwszego dnia po wylądowaniu w Warszawie Wiera jeszcze była w stanie egzaltacji, widziała w ludziach dobrą aurę. - Anioł - szeptała z przekonaniem na widok Tomka, ówczesnego towarzysza mojego życia. W parku Łazienkowskim podbiegała do róż i scenicznym, wystudiowanym ruchem głaskała kwiaty. Drugą ręką podtrzymywała apaszkę zasłaniającą policzek z wielką, siną szramą. Uśmiechała się przy tym i z pewną dozą kokieterii wyjaśniała: - Jestem podstarzałym dzieckiem. - Tego dnia właśnie, podczas jakiejś banalnej wzmianki na temat muzyki, usłyszałam, jak jękając się, mówi: - Wfie-e-likij Beethoven, wielki Beethoven. - Nie jakiś zwyczajny, nie taki sam jak inni ludzie. Nosила w sercu niepodważalną hierarchię, w której muzyka stanowiła ukoronowanie wszystkiego. Już jednak kilka dni po pogrzebie ojca, którego żegnała, obejmując trumnę, jej stan się pogorszył. Nie brała udziału w rozmowach i w domowym życiu. Nie jadała potraw

322

gotowanych przez zgodzoną niegdyś przez mamę do małego Mateusza panią Taborową, dając do zrozumienia, że zawierają truciznę. Jedzenie przyjmowała tylko z ręki mojej mamy. Musiało być bardzo gorące, zbliżone do temperatury wrzenia, bo wrzątek zabija robaki, które ją toczą za życia. Na dowód tego szczypała się w ramię, a następnie demonstrowała mi trzymanego w dwóch palcach, wyimaginowanego robaka. - Widzisz? - pytała. Spała z nożem w zasięgu ręki. Prócz obrony przed Taborową służył jej do zeskrobywania ze skóry robaków, które lubią wychodzić podczas jej snu. Coraz więcej czasu spędzała w swojej sypialni, siedząc nieruchomo na niewygodnym krześle, z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. W chwilach przytomności naciskała na powrót do Nowosybirsk.

Po odwiezieniu jej mama wykupiła pozostałe po babce mieszkanie (drewniany domek przy ulicy Sowieckiej już wówczas nie istniał) i zrobiła remont, wyrzucając przy okazji tony starych szmat. Znalazła jakąś starą znajomą i notarialnie powierzyła jej opiekę nad siostrą. Zachowało się kilka listów - sprawozdań. W jednym z nich, z wiosny 1977 roku, opiekunka pisała:

...Wierę odwiedzamy co drugi dzień i dbamy, by miała jedzenie, przynosimy jej kwiatki z ogrodu, przecież teraz kwitną u mnie bzy, irysy, tulipany. Bardzo bym chciała przywieźć ją do ogrodu, ale to jest bardzo trudne - bołą ją nogi i trudno ją zmobilizować.

Wierę znam dwadzieścia siedem lat i zawsze miałam do niej stosunek jak do młodszej siostry. Zapewne dlatego, że moja siostra umarła, odbierając sobie życie. Niestety, potrzeba było około dwudziestu lat, żeby Wiera to zrozumiała. Teraz nas wpuszcza do domu i nabrała do nas zaufania.

Szkoda, że nie widziała pani Wiery na scenie. Moim zdaniem była ona naszą najpiękniejszą i najbardziej utalentowaną aktorką. Byłam świadkiem jej charakteryzacji przed debiutem w Maskaradzie, w której kompletnie zaćmiła Karpińczyk. Ale ani Kurtschner, ani Karpińczyk

nie mogli jej wybaczyć sukcesu i triumfu. Pamiętam wszystkie jej role. Była wspaniałą Kumą [Nastazją], świetną Lizą, Aidą, Marią. Zespół
323

miał do niej stosunek nastroszony [...]. Zawsze bolało mnie, że taką piękną i utalentowaną osobę spotkał taki los, i zawsze chciałam jej jakoś pomóc. Ale Pani wie, że pomaganie jej to rzecz trudna, ona jest bardzo dumna i nie ma do nikogo zaufania.

W następnych listach opiekunka opisywała rosnące trudności komunikacyjne z podopieczną. Potem korespondencja się urwała. Nie znajduję śladu informacji na temat okoliczności śmierci. Na miejscu mama dowiedziała się zaledwie paru szczegółów. Że było zimno i Wiera dogrzewała pokój elektrycznym piecykiem. Ustawiła go chyba trochę za blisko łóżka, bo w nocy, kiedy spała, skraj kołdry zsunął się na rozżarzone spirale. Chyba najpierw umarła od zaccadzenia, a potem dopiero spłonęła.

Moskwa, po Nowosybirsku, wydała mi się jeszcze atrakcyjniejsza niż przedtem. Co prawda miejsce ojca w naszym pokoju zajęła jakaś pani Cukierowa, trochę kulawa i niezdarna, która waletowała u nas z nieznanymi mi powodów i której sama obecność wywoływała moją niechęć, jednak te wszystkie niedogodności rekompensowała mi nagła wolność. Mama bowiem zapisała się na kolejkowe listy oczekujących. Chodziło o motocykle marki Iz - rosyjskie namiastki Harleya - i o refundację wysokich kosztów naszej podróży. Z wyliczeń mamy wynikało, że zakup jednej maszyny nie wystarczy, ale dwie będą w sam raz. Każdego ranka wybiegała więc z hotelu i o wyznaczonej porze ptaszkowała swoją pozycję na liście, najpierw w jednym, potem w drugim sklepie.

Moje dni rozpoczynały się niezmiennie od hotelowych kanapek z kawiozem. Po śniadaniu ruszałam w miasto. Było mniej zimno niż w Nowosybirsku. Na rogu ulicy Gorkiego kupowałam lody od zawiniętej w chusty babuszki i wsiadałam do metra. Mama zawsze dbała o to, żeby ktoś z jej znajomych pokazał mi moskiewskie osobliwości. Do stałego repertuaru należały wizyty w cyrku, który nie mieścił się w żadnym namiocie, tylko w okazałym budynku. Raz trafiłam

324

do teatru estrady na występ Arkadego Rajkina, najdowcipniejszego człowieka w ZSRR, i raz na Jezioro Łabędzie do opery zwanej Bolszoj Tieatr. Poznałam moskiewskie muzea, wypełnione wówczas twórczością pieriedwizników, takich jak Riepin, Surikow, Kramskoj i Sie-row, i na długie lata zapamiętałam wielki obraz Bojarynia Morozowa, przedstawiający wziętą na kaźń obrończynię starego obrządku prawosławnej wiary. Obejrzałam wnętrze świątyni Błogosławionego Wasyla na placu Czerwonym oraz wnętrze mauzoleum Lenina i Stalina. By tam dotrzeć, musiałam stać pod gołym niebem w długiej, załamującej się pod kątem prostym kolejce, potem, w przygnębiającym milczeniu, przebyć jakiś korytarz o ścianach z czerwonego i czarnego granitu, by wreszcie okrążyć z trzech stron wielkie łożo, w którym spoczywali bogowie rewolucji. Stalin leżał chyba po prawicy Lenina. Ich dłonie o barwie wosku spoczywały na skórzanej „kołderce”, jakby zamarły po koncercie na cztery ręce. Twarz Lenina robiła wrażenie troszkę bardziej dotkniętej zębem czasu, a może tylko gorzej zakonserwowanej. Stalin wyglądał perfekcyjnie, tak samo jak na wszystkich zdjęciach i obrazach. Wszakże to nie dwuwymiarowe portrety, lecz upiorne łożo z moskiewskiego mauzoleum przypominało mi się, kiedy później usłyszałam o kulcie jednostki, a z biegiem lat pojęcie to już na zawsze zespoliło się z moim ówczesnym lękiem i poczuciem niesmaku, choć może to nie one, albo nie tylko one, torowały drogę moim późniejszym poglądom. Nie muszę dodawać, że po obejrzeniu wódzów ludzkości w jednym łóżku nie dziwiłam się później soczystym pocałunkom, jakie Leonid Breżniew wyciskał na ustach niektórych towarzyszy. Wówczas, w Moskwie, jeszcze nie umiałam dokonywać ocen, po prostu gromadziłam wrażenia. Pierwszy raz w życiu obcowałam ze światem znanym wcześniej tylko ze zdjęć - czy były to moskiewskie ulice, czy operowe i teatralne przedstawienia, czy - wreszcie -

oryginalne dzieła sztuki. Więcej, podczas dni spędzanych u cioci Ziny obserwowałam z bliska proces twórczy. Cały czas, którego mama

325

nie umiała mi inaczej zagospodarować, spędzałam w jej pracowni, w drewnianym domku na Arbacie. Najpierw przyglądałam się, jak z bezformnej, glinianej bryły wyłania się ogólny zarys postaci i jak sprawne palce ciotki definiują jej ostateczny kształt. Potem postawiono przede mną taką samą, surową bryłę mokrej gliny i - obok - antyczną głowę Hery, a raczej jej gipsowy odlew. Dostałam do ręki narzędzia i rozpoczęłam dzieło. Pracownię wypełniała atmosfera skupienia, w przerwach piliśmy, jak równi z równymi - ciotka, jej mąż i ja - czarną, gorzką herbatę i pogryzaliśmy gryłażowe cukierki. Rzeźbiarskie zajęcie bardzo mi odpowiadało, miałam jednak problem z uzyskaniem prostego, greckiego kształtu nosa mojej bogini. Zina doradziła, żebym po prostu narzuciła trochę gliny na czoło, wtedy nos uformuje się sam. Tak uczyniłam i wówczas moja bryła gliny również zmieniła się w zdefiniowany kształt. Wyjeżdżałam z Moskwy z mocnym postanowieniem, że zostanę artystką. Polska, do której wróciłam, była już innym krajem, Legnica innym miastem. Nie tylko w mojej świadomości, gdyż miałam ją teraz

326

z czym porównać, ale dlatego że zmiany miały charakter obiektywne. Nastąpiła wiosna 1956, wszyscy nabierali odwagi i pragnęli zemsty za lata strachu i upokorzeń. Na początek można by ukarać tę przemądrzałą smarkulę, która spędziła w Rosji cztery miesiące, nie chodziła do szkoły i uważała, że wszystko jest do nadrobienia. Kara okazała się skuteczna - zapamiętałam ją na całe życie. Potem, poprzedzona powtarzanymi z ust do ust słowami „Poznań” i „Cegielski”, nadeszła noc rozruchów. Szum miasta docierał do naszych okien, słyszało się krzyki, tupot, czerwcowy wiatr przynosił zapach dymu. Mówiono o nieudanych próbach zburzenia pomnika przyjaźni wyobrażającego parę przysadzistych, wielkogłowych żołnierzy - polskiego i radzieckiego - dźwigających na skrzyżowanych ramionach niemiecką dziewczynkę; w tamtym okresie nie kojarzono tego rzeźbiarskiego zespołu z pojęciem pedofilii, chodziło tylko o symbolikę rosyjskiej okupacji. Prawdziwi rosyjscy żołnierze znikli jednak z ulic. Z domu znikła mama. Nikt mi niczego nie wyjaśniał. Nie było takiego zwyczaju. Z sąsiedzkich rozmów rozumiałam, że miało to coś wspólnego z niedawną wycieczką do Rosji. Mówiono o dwóch motocyklach

1 szpiegostwie oraz o ulicy Klęczkowskiej we Wrocławiu. Oczywiście rozumiałam, że przewożenie łączy przez granicę nie było całkiem w porządku, zwłaszcza że nie dało się udowodnić legalnego posiadania środków, za które je zakupiono. Zrozumiałam również, że podróż się nam raczej nie zwróci.

Rządy w domu objęła Margarita. Było czysto. Było cicho. Skończył się rok szkolny. Tróje na moim świadectwie nie wywołały nawet zmarszczenia brwi, świadectwo nikogo nie zainteresowało. Przeciwnie, uwaga ojca zaczęła się nagle koncentrować na moich umiejętnościach praktycznych związanych z przyszłą rolą gospodyni domowej. To była nowość, wcześniej się jakoś o tym nie mówiło. Teraz zresztą też nie odbywaliśmy programowych rozmów. Po prostu zaczęłam dostawać zadania. Wykonywałam je z pewnym zdziwieniem, ale chętnie, gdyż w ogóle raczej lubiłam nowe wyzwania,

327

a powierzane mi obowiązki, takie jak obieranie czy odcedzanie ziemniaków, robienie jajecznicy, nakrywanie do stołu okazywały się na ogół proste. Trudności wystąpiły dopiero przy prasowaniu koszuli. Koszule ojca, jak chyba wszystkie w tym czasie męskie koszule, miały zapięcie zakończone fałdą i należało je wkładać przez głowę. Wyprasowanie tej zamkniętej formy bez pozostawienia zmarszczek było - i jest - dużą sztuką. Toteż bardzo długo biedziłam się nad cienką popeliną, rozpościerałam ją na stole, skrapiałam wodą, ale ilekroć na jednym odcinku osiągałam gładką powierzchnię, tylekroć na innym pojawiały się

zaprasowane zagniecenia. Wreszcie uznałam, że cel został osiągnięty. Wtedy ojciec wziął skatowaną koszulę w dwa palce, obejrzał ze wszystkich stron i - ponownie ułożywszy na stole - pociął ją systematycznie swymi wielkimi, krawieckimi nożycami. - Takiej szmaty już więcej nie włożę - wyjaśnił.

Czułam, że się nie sprawdzam i ma to jakiś związek z naszą gospodynią. Traciłam pozycję ukochanej dziewczynki mojej Margarity i ukochanej córeczki tatusia. Zaczęłam przeć do konfrontacji. Chciałam dowodów miłości. Którejś niedzieli poprosiłam o pieniądze na kino i usłyszałam, że najpierw mam umyć podłogę w salonie. A więc prasowanie koszuli nie oznaczało tylko wdrażania mnie do roli przyszłej Hausfrau. Następowало odwracanie hierarchii, wywracanie do góry nogami ustalonego wcześniej porządku. Ja mam myć podłogę, a ona sobie leży? I mówi to mój ukochany tatuś? W jednej chwili przestała być moją Margaritą i stała się rozlazłą krową, rozwaloną na kanapie brzuchem do góry. Odmówiłam, wskazując na nią palcem, i dostałam w twarz - przy niej, nadal spoczywającej na kanapie, wsłuchanej w siebie, spokojnej i odległej. Zamarłam ze wstydu i upokorzenia. Ale nie zobaczyli ani jednej łzy. Umyłam podłogę. Nie poszłam do kina. Nikt się nie dowiedział o podłodze, kanapie i policzku. Nawet mama, która wróciła tak nagle, jak znikła, i z niesłabnącym humorem opowiadała o życiu pod celą. Nie zauważyła, że przestałam być dzieckiem. Milczałam

328

i nadal dzieliłam pokój z Margaritą aż do drugiej porcelanowej nocy.

Hałas obudził nas równocześnie, mnie i ją. Choć ona mogła nie spać, tylko czekać w ciemnościach na wynik nocnej rozmowy moich rodziców, podczas gdy ja, nagle obudzona ze snu, zerwałam się z łóżka. Próbowała mnie zatrzymać, ale się wyrwałam i pobiegłam korytarzem, aż wpadłam z impetem do kuchni i zmartwiałam w progu. Zobaczyłam scenę z talerzami, już niegdyś, w Nowym Sączu, odegraną. Tym razem jednak to ojciec siedział nieruchomo przy kuchennym stole, a mama buszowała wokół kredensu, wyjmowała zeń sterty talerzy i rzucała nimi o podłogę. Na mój widok zastygła w pół gestu, trzymając oburącz kolejną porcję spodków, jak niegdyś ojciec zastygł z krzesłem uniesionym nad głową. I tak jak wówczas zapadła cisza, aż zza moich pleców odezwała się Margarita: - Ja sama chciała - powiedziała, kalecząc rosyjski na swój charakterystyczny sposób. Wyjaśniała sytuację, brała ojca w obronę: to ona weszła mu do łóżka, bo jest kobietą i też ma swoje potrzeby.

Tłumaczenie to poznałam później, bo wówczas odesłano mnie z powrotem, zostałam oddzielona od tajemnicy solidnymi drzwiami i długim korytarzem; w końcu to była sprawa między dorosłymi. Leżałam w łóżku, a w kuchni szalały namiętności i decydowało się życie wielu osób, w tym, jak się okazało, także dziecka Margarity.

Następnego ranka znów zostałam wysłana do zbawiennej Kudowy, a kiedy stamtąd wróciłam, Margarity już u nas nie było. Przerwała ciążę. Wyjechała do Niemiec. Jej imię nigdy więcej nie padło w naszym domu. Nawet nie wiem, jak miała na nazwisko. Zostało kilka zdjęć robionych na podwórku, wówczas jeszcze zarosłym trawą i kwiatami. I moja niechęć do niemieckiego.

Alzheimer

Dostaję od Alicyjki maila z dyspozycją, żebym się umówiła z Andrzejem R, znajomym neurologiem. W sprawie alzheimera. Na wszelki wypadek, takie rutynowe badanie. Bo obiecałam Zosi teatr, ale nie dotrzymałam. Ona wie, że to nie z powodu lekceważenia, tylko zapomniałam. I rodzina się trochę martwi. Rozumiem. Lubiliby wiedzieć, kiedy zacznie się proces zapominania bardziej kłopotliwego, bardziej brzemiennego w skutki. Najpierw, oczywiście, niewinny teatr z Zosią, później niewinne niedopatrzienia: włączone żelazko, woda przelewająca się przez krawędzie wanny, otwarte mieszkanie, porzucony samochód. Potem etap dokazywania: gubienie kluczy i drogi do domu, bezskuteczne szukanie wyjścia z supermarketu, niespodziewane wymazanie wszystkich adresów i numerów, wszystkich

pinów, puków i kodów, wszystkich haseł otwierających dostęp do komputera i do bankomatu, a nawet do własnego domu. I wreszcie zapominanie twarzy najbliższych osób, zenujące pytania: - Kim pani jest? - Rodzina chce wiedzieć, czego się ma spodziewać w najbliższym czasie i kiedy ewentualnie nadejdzie taki dzień, że nie będą mnie już mogli odstąpić ani na moment, czyli kiedy stanę się już tylko kłopotliwym balastem.

Więc dzwonię do neurologa i bardzo się tłumaczę, że to nie jest moja fanaberia, ja się czuję w porządku, tylko rodzina się niepokoi.

330

Kłamie. Wcale się nie czuję w porządku. Ustawicznie czegoś szukam. Zapominam o obiecanych telefonach i wizytach, o rutynowym wpadaniu na wernisaże i o robieniu zakupów. Dopiero z samego rana przypominam sobie, że nie mam mleka do kawy i będę musiała pić czarną, której nie lubię. Dopiero przed snem uświadamiam sobie, że znów do kogoś nie zadzwoniłam, że właśnie przeszedł mi koło nosa koncert, dyskusja, spotkanie. Nie mówiąc o niemożności przypomnienia sobie faktów z życia. O tej uporczywej zasłonie, która mnie oddziela od przeżytego albo raczej od możliwości umiejscowienia zdarzeń na osi czasu. Jeśli można powiedzieć, że czas ma jakąś oś, oczywiście. O tym, że nie pamiętam, co robiłam w niektóre ważne dni ubiegłych lat. I w ogóle, co takiego robiłam, kiedy ciężko pracowałam. Wiem, że już od dawna nie umiem sprostać temu, do czego siebie i innych przyzwyczaiłam - że robię dziesięć rzeczy naraz, równoległe, a właściwie jednocześnie, bo przecież szkoda życia na zajmowanie się każdą sprawą po kolei, po porządku, dzisiaj to, jutro co innego, albo teraz to, potem tamto, kiedy można jednocześnie słuchać radia i ugniatać ciasto, wszystko w oczekiwaniu, aż pralka skończy cykl, i wtedy - podczas gdy ciasto właśnie rośnie albo się chłodzi - będzie można rozwiesić pranie i od razu podlać kwiaty, rozmawiając przy tym przez telefon i zagarniając nogą na jedną stertę rozrzucone po mieszkaniu gazety. Tak wyglądało całe moje życie. Nie umiałam oglądać telewizji, nie robiąc jednocześnie na drutach lub prasując, albo robiąc cokolwiek, co zajmie ręce. Nawet nie pamiętam, kiedy mnie ogarnął ten pośpiech. W dzieciństwie, oczywiście, zjeżdżałam po poręczach albo pokonywałam schody wielkimi susami - po dwa lub trzy stopnie naraz - co często kończyło się skruceniem nogi na najbliższym podeście, ale nie nauczyło mnie miarowego drobienia po jednym schodku nawet na starość; pamiętam, jak podczas jakiegoś otwarcia leciałam w dół po marmurowych schodach Zachęty, bo zapomniałam o wysokich obcasach i chyżo zbiegałam, zamiast stąpać

331

posuwicie, jak przystoi dyrektorowi. Nie umiałam wolno chodzić. I nawet idąc szybko, zawsze musiałam jeszcze wybrać drogę na skróty, przez trawnik, przez chaszczę, przez błoto. Także w życiu dorosłym. Wszystkie zamarzniete kałuże były świetną okazją do przyspieszenia

- w końcu ślizg jest szybszy niż chód. Nie umiałam wolno jeździć. Mandaty za przekroczenie szybkości były stałą pozycją w moim budżecie, ponieważ policjanci jakoś nie chcieli uznać argumentów, że znam siłę swego samochodu (nawet kiedy był to tylko polski mały fiat), nie skąpili mi jednak seksistowskich uwag, że prowadzę jak mężczyzna. Nie dla mnie były pociągi osobowe - chyba że nocne, z kuszetką - wtedy oszczędzałam noc. Nie dla mnie wielogodzinne narady, sympozja i konferencje; nadal zresztą nie jestem w stanie dosłuchać do końca najciekawszego wykładu, jeśli trwa dłużej niż godzina lekcyjna. Po prostu muszę wstać i wyjść. A i tak podczas tej godziny planuję sobie szczegółowo najbliższy rok, szkicuję scenariusz jakiegoś projektu czy po prostu piszę tekst przemówienia, które mam wygłosić zaraz po przerwie. Nigdy nie umiałam wysłuchiwać spokojnych wywodów zapowiadających jakąś odległą konkluzję, której treść była mi znana w drugiej minucie oracji. Obrażałam tym ludzi, głównie petentów, kiedy „piastowałam wysokie urzędy”. W ministerstwie przerywałam kwieciste przemówienia brutalnym pytaniem:

- Ile? - a widząc w oczach rozmówcy zdumione oburzenie, dodawałam łagodniej: - Ile pan chce na ten cel? - W Zachęcie od razu mówiłam, że „znam pana/pani twórczość”, otwierałam kalendarz i z ubolewaniem stwierdzałam, że w planie wystaw na najbliższe lata nie znajdziemy terminu, niestety. Zbliżającym się do mnie menelom mówiłam „nie”, zanim zdążyli otworzyć usta z rutynowym „szefowo” i wyciągnąć rękę po „parę groszy na piwo”. Nie pamiętam, żebym się ograniczała do jednego tylko zajęcia. Nawet kiedy Mateusz był całkiem mały, a ja kiblowałam w Zachęcie na czysto usługowym etacie, musiałam jeszcze pisać artykuły i szydełkować. A i później robótki ręczne były świetnym wypełnia-

332

czem przerw między ważniejszymi zajęciami; do dziesiątego roku życia mój syn chodził niemal wyłącznie w robionych przeze mnie swetrach - i to nie tylko z powodu braków w zaopatrzeniu i ustawicznych finansowych niedoborów. Później bywałam równolegle zatrudniona w trzech różnych miejscach i w każdym musiałam być lepsza od swojego zespołu. Jeszcze później, kiedy miałam tylko jedną posadę - założyłam kolejną fundację i robiłam po kilka projektów równocześnie: kiedy jeden kończyłam, drugi był w fazie prac nad szczegółami, a trzeci właśnie rozpoczynałam. Jeszcze nie tak dawno, w roku 2004, byłam w stanie zrealizować i otworzyć tej samej jesieni trzy wystawy w trzech różnych krajach: pod koniec września międzynarodową w Belgradzie, w październiku polską w Sao Paulo, na początku grudnia polsko-rosyjską w Warszawie. Często nie starczało mi już czasu na pisanie, więc nauczyłam się dyktować teksty dosłownie na chwilę przed ich publikacją, na adrenalinie.

Byłam ogarnięta jakąś paranoją wyczynowca właściwie przez całe dorosłe życie z relatywnie krótką przerwą na stan wojenny, który wytrącił z rytmu cały kraj i kiedy wszystko uległo spowolnieniu. Wtedy wyszłam za mąż i zabrałam się za gruntowne przeobrażanie mieszkania i ogrodu. Między innymi. W chwilach wolnych od zajmowania się domem, chodzenia do pracy i wypełniania obywatelskiej misji wobec artystów drugiego obiegu oglądałam telewizyjne seriale, uprawiając przy tym renesansowy haft. Podczas niektórych „wyjść” na towarzyskie spotkania potrafiłam czytać w kącie książkę albo zniknąć w drugim pokoju, żeby oglądać filmy. Moja niecierpliwość graniczyła z arogancją, ale nie umiałam jej opanować. Nie byłam w stanie zmusić się do spowolnienia rytmu, dostosowania go do normy wyznaczonej przez otoczenie. I nie zdziwiłam się zbyt, kiedy na moje pytanie o to, jak się ze mną pracuje, moja zachętowska zastępczyni, cudownie ofiarna, lojalna i wielkoduszna Joanna Mansfeld, odpowiedziała po prostu: - Dziesięć razy szybciej!

333

A kiedy wreszcie wyczerpana tym zabójczym tempem pojechałam do Nałęczowa, do sanatorium, to zamiast planowanych dwóch tygodni spędziłam tam jeden dzień, który tak mnie zmęczył swą bezproduktywnością, że wróciłam do pracy; do dziś pamiętam nieskrywane rozczarowanie zespołu, kiedy zamiast do SPA, wkroczyłam do swego gabinetu i zarządziłam zebranie.

Strasznie się spieszyłam, żeby przeżyć życie. No więc chyba potencjał się wyczerpał. Wykonałam normę, może nawet ją przekroczyłam, jak Pstrowski - trzysta dwanaście procent w jednym roku, pomnożone przez trzydzieści albo nawet czterdzieści. Wystarczy. Nie chodzę do pracy, nie mam posady, nie gonią mnie obowiązki, nie muszę się spieszyć. Ale też nie muszę się mobilizować. Moja głowa pracuje leniwie, moja koncentracja obejmuje zaledwie parę spraw. Jeśli piszę i oglądam telewizję, a nadal robię to jednocześnie, to ni pamiętam już o obietnicy teatru. Dlatego, owszem, umówiłam się z profesorem i poszłam na badania. Na początek stuknął mnie rutynowo młotkiem w kolano, a moja noga odskoczyła tak, że o mało mu nie strąciłam okularów. Potem przechodziłam z rąk do rąk, z maszyny do maszyny, aż wreszcie otrzymałam diagnozę, że mój potencjał pamięciowy znajduje się w górnym przedziale normy przewidzianej dla mojej grupy wieku. Krótko mówiąc, w porównaniu ze

średnią krajową nie jest źle, jeszcze nie do końca odpływam w niepamięć, jeszcze mieszczę się w widełkach wskaźników demencji u osób w moim wieku. Muszę się więc jeszcze trochę pomęczyć, zanim nadejdzie czas czysto biologicznej egzystencji z wyczyszczoną pamięcią i roztargnionym uśmiechem. Niestety.

LUTY

Dojrzewanie

Po kolejnym małżeńskim kryzysie moich rodziców pogodzenie zostało przypieczętowane kolejnym rodzinnym wyjazdem na wczasy pracownicze, tym razem jednak nie do Krynicy, ale do Polanicy w pobliżu Kudowy. Oprócz znanych mi już od dawna góralskich lasek i wizyt w pijalniach wody mineralnej, uzdrowski repertuar objął teraz krajoznawcze wycieczki w teren i mój udział w kulturalnym życiu domu wczasowego. Pod dach wypoczynkowej willi trafiły wtedy dwie nowości. Jedną było boogie, drugą konkurs zgaduj-zgadula. Do boogie nie zostałam dopuszczona, może dlatego że rodzice nie nadążali za duchem czasu, to znaczy tata mógłby nadażyć, ale mama raczej nie była podatna na nowe rytmy i - poza wszystkim innym - już zbyt gruba. Co innego kulturalna, popołudniowa rozrywka w klubokawiarni. Tak się jakoś złożyło, że zasiedliśmy tam we trójkę akurat w momencie odpowiednim do aktywnego uczestnictwa. Rodzice czytali gazety, a ja odpowiadałam na konkursowe pytania i jakoś z rozpędu znalazłam się w wąskim gronie zwycięzców. W nagrodę dostałam książkę Żołnierze wolnej Francji, autora nie pamiętam, napisał ją zapewne któryś z członków francuskiej partii komunistycznej. Sukces był łatwy, pytania nie wykraczały poza zakres elementarnej wiedzy ludu pracującego miast i wsi. Ale przytaknęłam skwapliwie, kiedy dorośli uczestnicy konkursu nadmienili

335

o wydatnym wkładzie rodziców w moje zwycięstwo. Gratulowali mi z fałszywym uśmiechem: - Jesteś bardzo zdolna, ale nie obeszło się chyba bez pomocy tatusia i mamusi, prawda?

Już wówczas musiał istnieć jakiś rozziw między stanem mojej wiedzy a moim wyglądem i zachowaniem, ponieważ z podejrzeniami o pomoc z zewnątrz spotykałam się potem coraz częściej. Pamiętam, jak w liceum postanowiłam się podciągnąć z biologii i dostałam dwóję za bezbłędnie napisaną klasówkę, bo przecież nie byłam zdolna do samodzielnej pracy, musiałam zatem zrzynać od Kalinowskiej. Taki wniosek miał wynikać z faktu, że poza mną tylko ona, klasowy kujon, odpowiadała na wszystkie pytania. Zabawne, że Kalinowska nie zaprzeczyła ani nie sprostowała. Może z lęku o swoją piątkę? Podobnie została też oceniona moja praca magisterska: - To jest dobrze napisane, czy pani mąż nie miał w tym udziału? - zapytał recenzent. „Mąż” pojawił się w naszych rozmowach, odkąd oznajmiłam, że jestem w ciąży. Tym razem zabrakło mi dobroci z wczasowej zgaduj-zgaduli, zwłaszcza że lekturę całości poprzedzały spotkania „konsultacyjne”, wypełnione umizgami i lęklwym wyznawaniem uczuć. Odpowiedziałam, że chyba za nisko ocenia literackie umiejętności mego „męża”. Nie dodałam, że „mąż” nie czytał ani jednej linijki mojej pracy.

Nowym elementem rodzinnego wypoczynku w Polanicy stały się też wizyty mamy w kuchni domu wczasowego. Znała już język na tyle, by umieć objaśnić zdumionym kucharkom, jak naprawdę gotuje się barszcz i co należy zrobić, żeby ciasto na pierogi nie przypominało gumy. Oboje z ojcem wstydziliśmy się tych interwencji, tego przemieszczenia na cudze terytoria i zakłócenia istniejącej umowy społecznej co do podziału ról na tych, którzy obsługują, i tych, którzy są obsługiwani. Kucharki natomiast nie miały mamie za złe jej pouczeń i nawet chyba zaczęły się podciągać w swoim fachu. Niestety, ich starania zgubnie wpływały na figurę mamy. Pamiętam, jak stanęła na wadze w domu zdrojowym i szybciotko z niej zesła,

336

pytając z niedowierzaniem: - Czy to możliwe? Dziewięćdziesiąt kilo? - Tusza mamy też wprawiała nas w zawstydzenie.

(Przychodzi mi nagle do głowy, że może nie wyjechaliśmy wówczas do Polanicy, tylko do Ładka Zdroju?)

Generalnie jednak nie było źle. Październik 1956 najpierw wywołał w naszym domu rozliczne komentarze na temat referatu Chruszczowa, a potem przerwał milczenie mamy na temat blokady i łagru. Wyglądało to tak, jakby otwarło się w niej zaryglowane przez lata okno pamięci i jakby dopiero wówczas zrozumiała, że milionowe liczby przytaczane w tym referacie obejmowały także ją, jej siostrę i ojca oraz jej wujów Biełogłazowów, stryjów Szerzniowów i kuzynów Bażenowów rozstrzelanych w latach wielkiej czystki. O rozstrzelanych jednak nie mówiła, przynajmniej w mojej obecności. Koncentrowała się na osobistych wspomnieniach, swoje opowieści kreśliła z epickim rozmachem, uzupełniając je z czasem o takie szczegóły, jak spotkanie z ojcem pod latryną, o czym dowie -

337

działałam się dopiero jako osoba dorosła. Ojciec nadal nie był skory do wynurzeń. Na zewnątrz wydoستاła się tylko Kandałaksza, słynna sałatka winigriet i praca cieśli. Opowiadał o tym półżartem, jak anegdoty.

Potem mama przypomniała sobie prawosławne obyczaje i zaczęła wypiekać na Wielkanoc niezliczone kołaczki, czyli drożdżowe baby, które wręczała wszystkim dookoła z sakramentalnym: - Christos woskries! Należało odpowiedzieć: - Woistinnno woskries, przyjąć babę i wycałować się z mamą. Przy tej okazji mama wskrzesiła w sobie syberyjski rozmach swego ojca, zainteresował ją hurt i już nie umiała poprzestać na detalu. Dlatego na Wielkanoc piekła przynajmniej dwadzieścia kołaczy, bo do jednego nie opłacało się przecież nastawiać drożdży. Dlatego nie robiło się u nas ani zwykłego prania, tylko wielkie, trwające od trzech dni do tygodnia, ani zwykłego sprzątanego, tylko od razu generalne porządki albo remont. Dlatego szykowanie świąt zajmowało cały tydzień, a jedzenia starczało na następne dwa - jeśli się wcześniej nie zepsuło, co mama zawsze przyjmowała z największym bólem, bo jedzenie nie powinno się marnować. Stąd chyba, z tego nadmiaru, powiązanego z misją nakarmienia całego świata, brała się ustawiczna obecność licznych rezydentów i przypadkowych osób zasiadających codziennie przy naszym stole.

Ta skłonność do hurty i życia ponad stan była cechą jej charakteru także wcześniej, ale Październik bardzo jej rozwojowi sprzyjał, gdyż uruchomił przedsiębiorczość mamy także w innej dziedzinie. Okazało się mianowicie, że wreszcie można zarejestrować działalność krawiecką i nie kryć się z posiadaniem bardziej nowoczesnej, choć także ponemieckiej maszyny do szycia zwanej w domu en-dlarką. Maszyna firmy Pfaff była napędzana elektrycznie i miała dwa ścięgi: prosty i zygzakowaty. O tym drugim mama mówiła z niemiecką cig-cag. Zostałam do niej dopuszczona i szybko nauczyłam się szyc sukienki dla lalek, a potem także dla siebie. Mama zaczęła zarabiać legalnie i już nie zadawała ojcu prowokacyjnych pytań, czy

338

ma włożyć do garnka te wszystkie dyplomy uznania za wzorową pracę i społeczną postawę, żeby zobaczyć, czy uda się z nich ugotować zupę.

Na horyzoncie towarzyskim pojawił się nagle ojciec Ewy i nikt już nie krył faktu, że wrócił z więzienia. - Tata był w AK - mówiła z dumą. Ewa, obok Ludki i Heli, należała do wąskiego grona moich przyjaciółek. Połączyła nas piątka - nowa szkoła, mieszcząca się na ówczesnych krańcach miasta, w pobliżu terenów zajętych przez Armię Czerwoną. Nie było do niej ani bliżej, ani dalej niż do TPD, ale droga nie wiodła już przez czarowny park i Wenecję, ale przez skwer w pobliżu Domu Oficera, potem przecinała Złotoryjską, biegła wzdłuż ulicy o warszawskiej nazwie Nowy Świat, przy której mieścił się żydowski teatr imienia Dua (nigdy się nie dowiedziałam, co to znaczy), następnie wpadała w Chojnowską i wreszcie wychodziła

na Piastowską, krótką i jakby niedokończoną, porzuconą w połowie prac nad realizacją urbanistycznego zamysłu Rzeszy niemieckiej. Królował na niej budynek szkolny z szarego kamienia, ponieważ ogromne koszary stojące po przeciwnej stronie kryły się za solidnym ceglany murem i przez to nie wchodziły w krąg naszych zainteresowań. Stanowiliśmy barwną, dość niesforną zbieraninę dzieci z tej dzielnicy i podmiejskich okolic. Różnice między nami były mało widoczne, tyle że ci spoza miasta mieli bardziej od nas ogorzałe buzie i trochę gorsze wyniki w nauce. Poważniejsze zróżnicowanie zarysowało się dopiero po Październiku. Zaczęło się od afery ze zdaniem: „W szkole na korytarzu po dzwonku należy zachować ciszę, albowiem hałas i krzyki przeszkadzają w pracy dzieciom i nauczycielom”. Podyktował je pan Sowiński zaraz po tym, jak wkroczył do naszej rozwrzeszczanej klasy w trakcie wolnej lekcji. Zdanie należało napisać sto razy. Pan Sowiński uczył historii i biologii. W ramach lekcji botaniki uprawiał przy szkole grządki warzywne, pielęgnowane naszymi rękami. To właśnie on postawił mi na lekcji historii dwóję za radziec-

339

ką inwazję w 1939. Był niezbyt wysoki, krągły i nosił karbowaną fryzurę w kolorze słomy. Nie szukał z nami porozumienia. Lubił spokój, a my mieliśmy mu tylko nie przeszkadzać w pracy. Winowajcę przyłapanego na niewłaściwym zachowaniu wzywał na środek klasy i dysponował: - Łapka. - Bił grubą listwą o ostrych kantach, stanowiącą niegdyś konstrukcyjny element krzesła. Uderzał miarowo w otwartą dłoń, licząc razy od jednego do dziesięciu. Żadnych innych kar nie stosował aż do dnia, kiedy podyktował nam pamiętną zasadę zachowania się w szkole. Egzekucję wyznaczył nazajutrz podczas lekcji biologii. Powtórzono sto razy zdanie o ciszy po dzwonku wypełniło cały szesnastokartkowy zeszyt. Daninę składaliśmy alfabetycznie, od A do Z. Na stole nauczycielskim leżało już w zgrabnej stercie czterdzieści zeszytów, kiedy padło ostatnie nazwisko: - Zajac.

- Najmniejsza w klasie, czarnooka Zosia odrzuciła do tyłu długie warkocze i spokojnie oznajmiła: - Nie napisałam. - Klasa zamarła. Pan Sowiński zbladł i wycedził: - Na jutro napiszesz dwieście razy.

- Następnego dnia Zosia z tym samym spokojem powtórzyła: - Nie napisałam. - Byliśmy w szoku. Jak to możliwe, żeby taka mała Zosia, niedostrzegalna dla klasy i nauczycieli, zdobyła się na czyn nie do pomyślenia w dotychczasowym życiu szkoły? Wezwani przed nauczycielskie oblicze rodzice Zosi oznajmili, że ich dziecko nie będzie niczego pisało za karę. W klasie zaczęto szeptać, że cała rodzina Zajaków wyznaje kocią wiarę i to, że nie napisała, musi mieć z tą wiarą coś wspólnego. Tymczasem stał się cud. Pan Sowiński nie ukarał Zosi w żaden sposób. W ogóle przestał karać, skończył nawet z „łapką”. Jego twarz utraciła wyraz samozadowolenia. Ogródek zarosły chwasty. Zosia zachowała spokój i pogodę ducha.

(Wspomnienie „łapki” i towarzyszącego jej upokorzenia, bo nawet nie bólu, ożyło na wieść o podobnych karach stosowanych wobec Mateusza w nowej dla nas wszystkich szkole w Komorowie, gdzie zamieszkaliśmy na czas rodzicielskich renegocjacji. Pamiętam furję, z jaką pojawiłam się w tej szkole i wytłumaczyłam pani nauczycielce-

340

cielce, że dzieci także mają poczucie godności, może nawet większe niż dorośli, więc proszę mi nie tłumaczyć, że kara nie jest bolesna, że to tylko takie lekkie dotknięcie, bo tu nie chodzi o ból fizyczny, tylko o wstyd. Była wiosna roku 1981, krótki czas wzmożonego poczucia wolności i egzekwowania przysługujących wszystkim praw obywatelskich. Dlatego chyba ta pani nauczycielka zamrugnęła tylko umalowanymi oczami i przyrzekła poprawę. Na nic się to jednak nie zdało, bo podczas wakacji wsadziłam do samochodu dziecko, psa i maszynę do pisania i wyjechałam z Komorowa. Wyprowadziłam się z przedwojennej willi stojącej w ogromnym ogrodzie i wróciłam do swego M2 przy Czerniakowskiej. Nie pierwszy i nie

ostatni raz. Mateusz nie znał albo nie rozumiał moich motywacji; był za mały. W jego pamięci na pierwszy plan wysunęła się ta nieszczęsna maszyna do pisania, a nie fakt, że jego ojciec upijał się co drugi dzień i rujnował wszystkie nasze umowy dotyczące dzielenia rodzicielskiego obowiązku.)

Drugą zmianą, którą przyniósł Październik, była wymiana ludności. Autochtoni, czyli Niemcy i Ślązacy, ale także Żydzi, wyjeżdżali na Zachód, a ze Wschodu napływali repatrianci. W klasie pojawili się nowi, którzy słabo znali język i zaciągali, musieli więc ciężko pracować na akceptację grupy. Jeden zaczął klasową karierę od szarpania się z dziewczynkami, aż kiedyś jego nos nadział się na mój prawy prosty. Wymierzyłam go wówczas ostatni raz w życiu. Płacz, którym nowy zaniósł się po tym pojedynku, pozbawił go szans na osiągnięcie znaczącej pozycji; nie pomógł mu nawet ogromny wysiłek wkładany później w zdobywanie piątek. Drugi śpiewał. Znał cały repertuar rosyjskich łagrów, wszystkie Bajkały i Murki, które wkrótce śpiewała cała klasa. Trzeci się nie popisowywał, był cichy i spokojny, ale przywarł do grupy swą uporczywą, milczącą obecnością.

Jednocześnie z repatriantami pojawiły się lekcje religii. By w nich uczestniczyć, należało mieć zgodę rodziców. I cała klasa miała. Wtedy okazało się, że Hela nie zna pacierza. - Jesteś Izraelitką?

341

- zapytał ksiądz. Gdyby zapytał, czy jest Żydówką, pomyślałam, od razu byłoby wiadomo, o co chodzi, bo jej pochodzenie malowało się wyraziście na pryszczatej twarzy, ale co to ma wspólnego z Izraelem? Hela, okryta pąsem aż po korzonki spiralnie skręconych włosów, stała w ławce z pochyloną głową. Potwierdziła, a właściwie kiwnęła głową, co miało oznaczać, że tak, jest Izraelitką, i nagle na jej pulpit zaczęły kapać wielkie łzy. Nie mogłam zrozumieć, co Hela ma wspólnego z odległym Izraelem, ale świetnie rozumiałam jej łzy i poczucie upokorzenia. Hela została do końca lekcji. Już więcej na religię nie chodziła. Wyjechała po wakacjach. Może istotnie do Izraela? Klasa tego nie komentowała, a i w naszym wąskim gronie ani kwestia wyjazdu Heli, ani lekcji religii nigdy nie padła. Lekcje te zresztą były mało ciekawe. Nie obejmowały już katechizacji, tylko dzieje apostołskie, wykładane monotonicznie i bez zaangażowania. Niemłody, tęgi ksiądz, przechadzając się miarowo po klasie, co pewien czas przystawał przy ławce Renaty i głaskał ją po karku. Siedząc tuż za nią, obserwowałam z bliska grube palce zapuszczające się pod biały kołnierzyk mundurka, poniżej nasady warkocza. Aż któregoś dnia siedząca obok Renaty koleżanka wypaliła na całą klasę: - Proszę księdza, Renata tego nie lubi!

Trzymałam się szkoły. Od pewnego czasu przestał mi nawet przeszkadzać pan Sowiński i jego „łapka”. Chodziłam na zajęcia „kółka artystycznego”, polegające na robieniu szydełkowych serwetek z kombinacji kordonkowych łańcuszków, słupków i półsłupków, podczas gdy pani od polskiego czytała nam obowiązkowe lektury. Staralam się nie śmiać z chodzącego zawsze w brązowym garniturze pana Mareckiego, udrezonego, pozbawionego umiejętności nawiązywania kontaktu z dziećmi matematyka i naszego wychowawcy, który - doprowadzany do furii - miał zwyczaj trykać kredą pod-golone głowy męczących się przy tablicy chłopców. To on zaczynał lekcje poleceniem: - Passoń za drzwi. - Bartka nie trykał, bo Bartek rozwiązywał zadania na zapas, logiczne więc było, że wychodząc za

342

drzwi, nic nie tracił. Dziewczynek pan Marecki nie dotykał. Wyprowadzony z równowagi, bladł i cedził przez zęby jedno z dwóch poleceń, zawsze tych samych. Albo mówił: - Dziewczynko, bądź taktowna! - Albo: - Dziewczynko, bądź skryzalizowana! - Osobiście wolałam krystalizację, chyba ze względu na brzmienie.

Trzymałam się szkoły, bo tam każdy miał swoje miejsce, porządek dziobania był ustalony, życie toczyło się w znanym rytmie, podczas gdy w domu pojawiła się choroba. Tata trafił do szpitala z niedającą się opanować czkawką, chudł, skóra mu ciemniała, i nikt nie wiedział, o

co chodzi. Po wielu tygodniach tej męki, kiedy waga ojca gwałtownie spadła, kiedy lekarze już zrezygnowali, mama wzięła sprawy w swoje ręce. Jakimś cudem czy raczej mocą swej niespożytej energii znalazła drogę do poznańskiej kliniki, tonem niedopuszczającym sprzeciwu zarządziła fachowy, medyczny transport i ulokowała tatę pod opieką doktora Kosowicza, gwiazdy tamtejszej endokrynologii. Diagnoza została wreszcie postawiona i zaczęło się leczenie. Od

343

tego czasu wszystko kręciło się wokół choroby. Mama zaciągała długi pod zastaw przyszłych zarobków, przyjmowała za dużo zamówień i coraz częściej prosiła, żebym nie wpuszczała przychodzących do miary klientek. - Powiedz, że mnie nie ma w domu - proponowała. Zwykle odmawiałam, nie lubiłam tych naiwnych, szytych grubą nicią wykretów, bo każdy wiedział, że mama jest, tylko siedzi schowana w dawnej służbówce za kuchnią, którą przerobiła na pracownię, więc na ogół wpuszczałam te wszystkie panusie i wtedy dom napęniał się krzykiem rozpacz, że nie będzie tej garsonki na dzisiejszy wieczór, tej sukienki na jutrzejszy wyjazd, tej spódniczki na imieniny, tej bluzeczki na randkę. Po wyjeździe Margarity nie mieliśmy stałej pomocy. Czasem przychodziła pani Irka, obsługująca całą naszą kamienicę i kilka innych domów. Była silna, ale nieuważna, szczególnie po kilku piwach. W ferworze porządków potrafiła niechcący przewrócić szafkę z radiem albo rozbić lustro. Wtedy mama jęczała: - Siedem lat nieszczęścia! - Irka przychodziła rzadko. Codzienne porządki spadały na mnie. Myłam podłogi. Myłam schody. Nosiłam węgiel z piwnicy i paliłam w piecach. Nauczyłam się prasować koszule. (Zaczyna się od rękawów, potem prasuje się tył, potem przód, a na końcu kołnierzyk.) Nauczyłam się robić pranie. Nie było pralek, nie było detergentów. Było szare mydło i proszki „do zamaczania”. Więc pranie najpierw należało zamoczyć, najlepiej w wannie. Potem zestrugać na tarce do warzyw mydło Jeleń i wrzucić je do kotła z wrzącą wodą, żeby się rozpuściło. Potem do tego kotła przełożyć wyjętą z wanny i wyjętą z pierwszego brudu bieliznę pościelową, obrusy i ręczniki. Białe do białego. Po gotowaniu, które odbywało się na stojącym na podłodze w łazience specjalnym palniku, kolejne sztuki ładowały w balii w świeżych mydlinach. Dopiero na tym etapie odbywało się pranie właściwe. Na tarce. Potem następowało płukanie, znowu w wannie, najpierw w ciepłej, potem w zimnej wodzie. Potem z mąki ziemniaczanej robiło się krochmal i zanurzało w nim pościel. Wreszcie, już po raz ostatni, należało wszystko wykrecić i można było ruszyć

344

na strych. Tylko raz śliskie od krochmalu prześcieradło wysunęło mi się z rąk podczas rozwieszania i runęło na brudną podłogę strychu.

Moja pomoc nie poprawiała finansowej sytuacji, bo mama znalazła kanały przerzutu dóbr do Nowosybirsk, żeby wesprzeć babkę i Wierę. Były to kanały kosztowne i ryzykowne. Prostsza metoda polegała na wręczeniu torby z cenną zawartością komuś, kto właśnie jechał w tamte strony i obiecał, że doręczy osobiście albo wysła. Najczęściej jednak korzystało się z „poczty polowej” Armii Czerwonej. Dobra pakowano w drewniane skrzynki, skrzynki obciągano płótnem, płótno zaszywano i w tej formie wręczano przesyłkę do nadania podstawionym osobom. Wynajdywani przez rozmaitych pośredników nadawcy - choć byli sownie opłacani za swoje usługi -nie zawsze potem szli na pocztę, więc tylko niektóre przesyłki rzeczywiście dochodziły na Syberię. A w domu coraz częściej pojawiał się niewysoki, niepozorny lichwiarz z sąsiedniej ulicy. Był wyliniałym starym kawalerem, skrzypiał sztytami na obstalunek butami na bardzo grubej podeszwie i dyskretnie rozglądał się po mieszkaniu w poszukiwaniu jakiegoś kosztownego zastawu. Ale jedyny skarb mojej mamy, ażurowy pierścionek z pięknym rubinem, został już zastawiony i nigdy do niej nie wrócił. Mieliśmy jeszcze srebra z szabru, których mama strzegła jak źrenicy oka: miały stanowić moje wiano. Trzymała je pod kontrolą aż do czasu mego wyjazdu z miasta. Kiedy

jednak, zamiast wyjść za mąż, poszłam na studia - ojciec przegrał je w karty. Wytłumaczył mamie, że jak zdobędę wykształcenie, to sobie kupię ładniejsze.

W tej całej codziennej szarpaninie, w tym ustawicznym nienadążaniu za uciekającym życiem, w gonitwie za pieniędzmi, żeby związać koniec z końcem, i w ucieczce przed wierzycielami - mama zapomniała o uczuciach. Nie one się liczyły, lecz obowiązek ratowania człowieka, przy czym w kolejce do ratowania stał nie tylko ojciec, ale też jej matka i jej siostra, które pozostawały w dalekim

345

Nowosybirsku bez pracy i bez środków do życia. Mama nie mogła sobie pozwolić na uczucia, ponieważ one osłabiają, kierują energię w niewłaściwą stronę, pozbawiają chęci do czynu, a w tamtym czasie tylko czyn miał jakiś sens, tylko czyn pozwalał dalej żyć. Życie było najważniejsze. Nie po to przetrwała blokadę Leningradu, żeby się teraz rozkrochmalić, usiąść z założonymi rękami i czekać na to, co przyniesie los. Wiadomo przecież, czego się można spodziewać od losu. Mama nie czytała Tadeusza Borowskiego ani nie słyszała o Primo Levim, nie należała do tych, którzy przeżyli tylko po to, by zostawić świadectwo i odejść. Mama dawała świadectwo przez całe życie, pielęgnowała pamięć o leningradzkim głodzie, ustawicznie napełniając spizarnię wszelkimi dostępnymi metodami. Wszystko inne - prócz samego życia oczywiście, a życie oznaczało jedzenie - było mniej ważne i z biegiem czasu coraz bardziej traciło na znaczeniu.

Rozumiałam, że w tej sytuacji także powinnam stanąć na wysokości zadania, i nauczyłam się nie oczekiwać zbyt wiele. Przede wszystkim nie oczekiwać czułości. Nie pamiętam, kiedy zesłam z jej kolan ani kiedy wyszłam z jej objęć. Rosłam oddzielnie. Równolegle. Kiedy dorosłam i wyjechałam, nasze relacje ustabilizowały się na poziomie, jaki kiedyś wyznaczyła. Była to bliskość bez afektacji. Z mojej strony wyrażała się zainteresowaniem stanem jej zdrowia oraz interesów, z jej strony - troską o moją lodówkę. Może nie tylko, ale przede wszystkim o lodówkę. Chciała mojego szczęścia, lecz to ona wyznaczała jego pułap: szczęście oznaczało dostatek. Niezachwianie trwała w swoich przekonaniach aż do dnia, w którym je otwarcie zakwestionowałam, akurat na jej siedemdziesiąte urodziny.

Spędzała je z nami w domu mojego męża, a właściwie w domu mojej teściowej. Jednym z prezentów, szczególnie, bo wymagającym staranności i wysiłku, był obrazek namalowany przez Mateusza specjalnie dla niej, dla jego babci. Przedstawiał doniczkę z zaczątkiem cytrynowego drzewka ujętą w sposób naprawdę ciekawy w swej bezpretensjonalności, w odwadze namalowania „tego, co jest” bez

346

upiększeń i naddatków. Czulałam jednak, że taka malarska powściągliwość może się mamie nie podobać, więc głośno pochwaliłam ten prezent i powiedziałam Mateuszowi coś, czego ja sama nigdy od niej nie usłyszałam. Powiedziałam, że go kocham. Jej reakcja była natychmiastowa: - Dzieciom się nie mówi takich rzeczy, to je psuje. - Wtedy, w dniu jej urodzin, po raz pierwszy otwarcie się jej sprzeciwiłam: - On musi wiedzieć, że go kocham! - Powiedziałam to odrobinę zbyt twardo i nawet trochę wyzywająco, a mama się rozplakała i razem ze łzami wylała z siebie długo skrywane oczekiwanie na uczuciowe deklaracje z mojej strony. Pragnęła dostać to samo, co dostał Mateusz, pragnęła usłyszeć, że ją kocham, liczyła na to, że ją przytule, pogłaszczę po policzku albo w jakiś inny sposób okaże odrobinę wdzięczności za jej starania, bo przecież wtedy żyła już tylko dla nas, dla mnie i Mateusza, czego dowodem były przywiezione poprzedniego dnia i położone na stole pieniądze na remont domu mojej teściowej, co - prawdę mówiąc - miałam jej za złe. Tym bardziej więc nie umiałam jej okazać ani wdzięczności, ani miłości. Wtedy wyznała, że zna swoje pedagogiczne błędy, powiedziała, że kiedy się rodzi dziecko, trzeba wybrać jakąś metodę wychowawczą, i ona wybrała metodę surową, bez pochwał i karesów; byłam jedynaczką, nie mogła mnie rozpieszczać, żebym nie wyrosła na egoistkę; chciała tylko mojego dobra, a teraz

już nic się tu nie da zmienić, bo nie urodzi mnie po raz drugi i nie wychowa inaczej. Ale nawet wtedy nie umiałam się rozplakać i paść jej w objęcia, choć przecież kochałam ją nie mniej, niż ona kochała mnie. Zrobiłam herbatę i zadzwoniłam do znajomego kardiologa, żeby jej zbadał serce. To umiałam.

Tak więc, kiedy weszłam w okres dojrzewania, mama nie miała do mnie głowy. Tata przeszedł na rentę i nawet kiedy nie leżał w kolejnych szpitalach - gdzie oczywiście czarował pielęgniarki - snuł się bez celu po domu, kroił w kostkę chleb dla gołębi, trochę czytał. Postrzegałam go wówczas w ten właśnie sposób. Dopiero niedawno znalazłam w jego papierach dokumenty zaświadczające, że zajmował

347

się pomocą społeczną. Był - jak się okazuje - osobą publicznego zaufania i przez to świetnie się nadawał do pilnowania cudzej biedy. Jeśli chodzi o własną, domową biedę, to także czasem się starał i w okresach dobrego samopoczucia przyjmował zamówienia na garnitury czy jesionki. Rysował wówczas swoje krawieckie formy na pakowym papierze i prznosił je na drogocenny materiał, a potem ten materiał kroił pewnym, płynnym ruchem i zabierał się za fastrygowanie. Przy tych wszystkich czynnościach poprzedzających uruchomienie maszyny gwizdał wiedeńskie walce. Nauczyłam się tego gwizdania, choć nigdy nie wzbijałam się na jego mistrzowski poziom, nie udało mi się osiągnąć wysokiej fiorytury, w której tata nie miał równych. W innych sprawach jednak nie był już dla mnie autorytetem. Nie chodziło o scenę z Margaritą, ale o zmianę jego pozycji. Osoba leżąca traci swoją podmiotowość, staje się kimś niepełnowartościowym, zdanym na naszą dobroć obiektem uciążliwej troski. Choroba ojca ukradła mi prawo do rodzicielskiej opieki, zamieniła role. To ja musiałam być dojrzała, odpowiedzialna i silna, bo w domu przebywał ktoś słabszy, a więc mniej odpowiedzialny, a więc niedojrzały.

Konieczność zajmowania się ojcem, sprawiania mu przyjemności i ukrywania przed nim zmartwień ukształtowała we mnie trwałą niechęć do chorych mężczyzn. To, że jestem niedobłą Samarytanką, uświadomiłam sobie dopiero jako osoba dojrzała, kiedy okazało się, że słabość i choroba moich partnerów wywoływały we mnie najpierw zniecierpliwienie, a potem cichą pogardę. Dotyczyło to tyleż degradacji ciała, co - później - także degradacji charakteru, rozchwiania osobowości. - Chorego dobić - mówiłam żartem, by dać im jakoś do zrozumienia, że nie powinni liczyć na moje poświęcenie. Opieka należała się dzieciom i zwierzętom. Dorośli powinni byli sobie radzić. Ta zasada dotyczyła także mnie samej. Moje częste wypadki, ustawiczne skaleczenia i złamania, a także powtarzające się co pewien czas, wymagające lekarskiej interwencji anginy i migreny dramatycznie godziły w moją podmiotowość, upokarzały mnie,

348

doprowadzały do rozpaczliwych skazań na litość ze strony kogoś innego. Ograniczały wolność. Pozbawiały możliwości kierowania własnymi krokami, decydowania o najmniejszych drobiazgach, takich nawet jak układ otaczających przedmiotów czy smak potraw, na które także chciałam mieć wpływ. Samowolnie zdejmowałam krępujące mnie gipsy, wypisywałam się ze szpitali, przedwcześnie wstawałam z łóżka. Z uporem kultywowałam swoje „końskie zdrowie”, do którego, prowadząc wyniszczający tryb życia, obiektywnie nie miałam prawa. Dlatego też zapewne nie potrafiłam zaakceptować uzależnienia Mateusza od narkotyków, nie umiałam się przyzwyczaić do widoku jego mętnych źrenic, opadających kącików ust, bełkotliwej mowy. Do utraty podmiotowości, do dezintegracji osobowości i marnowania człowieczeństwa. I dlatego nie umiałam mu pomóc w chorobie. Umiałam tylko w leczeniu, ale leczenie wymagało jego decyzji, a w decyzji przeszkadzała właśnie choroba, ponieważ narkomania jest chorobą woli.

Kiedy więc dom mego dzieciństwa stanął na głowie, rolę wychowawczą przejęła szkoła i harcerstwo, które miało zrobić ze mnie wzorową Polkę: zaradną, odważną i uczciwą. Te

cnoty mogły występować w innej kolejności, ale ogólny duch był właśnie taki. Staralam się tak bardzo, że już po roku zostałam zastępową. Moje marzenia wypełniały dobre uczynki, a moje życie pozaszkolne upływało na zbiórkach, obozach, zimowiskach i zajęciach plastycznych w Domu Harcerza, gdzie nauczyłam się robić rzeźby z papier-mache i malować na szkle - najpierw specjalnym tuszem kopiowało się z gotowego obrazka kontury wszystkich kształtów, potem wypełniało je płasko kładzionym kolorem. Pamiętam zdumienie wąsatego, kulawego „druha instruktora”, kiedy - znudzona tym mechanicznym zajęciem - dołożyłam kształtom trochę światłocienia.

Szkolę podstawową skończyłam z nagrodą w postaci dzieł zebranych Marii Konopnickiej, których nigdy nie przeczytałam. Miałam wówczas za sobą ciekawsze lektury, więc powrót do pozy-

349

tywistycznej dydaktyki przekraczały moje siły. Czulałam się dojrzała i samodzielna. Pamiętałam o swoich artystycznych zamiłowaniach, chciałam jechać do Wrocławia, do liceum plastycznego, ale mama skwitowała to krótko i jednoznacznie: nie wypuści mnie z domu do obcego miasta i nie pozwoli mieszkać w internacie, a jeśli za cztery lata sztuka nadal będzie mnie interesować, mogę zdawać na ASP, dodała. Najpierw jednak matura. Nie dyskutowałam z jej żelaznymi argumentami. Wybrałam odpowiednie liceum, najlepsze w mieście, znane z surowości i wysokiego poziomu. Mówiło się „liceum Pałki”, od nazwiska dyrektora, o którym cała Legnica wiedziała, że walczył w Armii Andersa i dobrowolnie wrócił z Londynu. Pisanie podań i życiorysów przerobiliśmy w podstawówce na polskim, więc nie musiałam się konsultować z ojcem. Egzamin okazał się łatwy. Zostałam przyjęta i pojechałam na ostatni w moim życiu obóz harcerski.

Wykształcenie średnie

- Dzień dobry pani. Remanent. Zamykamy sklep, robimy kasę! -Zenek, mój kierownik, ma dwadzieścia dwa lata, oczka jak pestki od arbuza, brak lewej górnej czwórki, uczesanie w mandolinę. - An-dziu, notujemy. Stan kasy czterysta osiemdziesiąt trzy złote, dwadzieścia siedem groszy. Otwórz arkusz, dyktuję: sukienkowe, symbol WuZetTe, kreska, dziewięćdziesiąt dwa trzydzieści jeden, łamane przez pięć, łamane przez sześćdziesiąt jeden. Cena detaliczna siedemnaście pięćdziesiąt. Proszę metr. Liczymy. Pani wybaczy, muszę sam. Trzymam za luźno? Dobrze, naciągnę. Nie naciągać? Andziu, notuj: dwanaście metrów trzydzieści pięć centymetrów. - Arkusz spisu z natury trzeba wypełniać kopiowym ołówkiem przez kalkę Pegaz w niebieskim kolorze i w trzech egzemplarzach - żeby nie było szwindli. Cena detaliczna razy liczba metrów, sztuk, kilogramów. Bele materiału, kilometry tasiemek, buty, śruby, gwoździe na sztuki, gwoździe na wagę, torebki, walizki, sznurowadła. Mnożę na osobnej kartce, wynik wpisuję na końcu rubryki. Na jeden arkusz wchodzi trzydzieści pozycji; wyniki trzeba podsumować. Dodaję kolumny cyfr: osiem, dwa w pamięci, trzy, siedem w pamięci, sześć, pięć w pamięci, siedem... - zaraz, ile było w pamięci? Trzeba zacząć od nowa. Wreszcie kończę arkusz i sięgam po następny, lecz właśnie wypisał się ołówek.

Przyciskam go do stołu lewą dłonią tak, żeby czubek wy-

351

stawał poza krawędź, tuż nad koszem do śmieci; prawą strugam długimi, płynnymi pociągnięciami, równomiernie ze wszystkich stron, z wyczuciem, żeby nie złamać żyłki. Drobiniki chemicznego sztyftu rozsypują się na boki, na moje kolana, na moją jedyną sukienkę, na halkę noszoną pod sukienką (kto to jeszcze pamięta?), na moje stopy w pończochach zapinanych na żabki. Zobaczę je wieczorem w postaci fioletowych punkcików wżartych w materiał sukienki, w halkę, w pończochy i w skórę. - Koniec, Andziu! Koniec! Pokaż wyniki. -Zenek bierze plik arkuszy i wychodzi z panią sklepową na zaplecze. Po chwili na ladzie ląduje pół litra i zakąska. - Przepraszam, że tak w szklankach, nie mamy kieliszków,

to nie jest szklana branża, cha-cha-cha. No to zdrowie! Nie jest pani pełnoletnia? Kto by pomyślał!

Jako pełnoletnia trafiłam do PUPiK-u. PUPiK, Przedsiębiorstwo Upowszechnienia Prasy i Książki Ruch był monopolistą w dziedzinie zaopatrywania kiosków w prasę; same kioski też należały do PUPiK-u. Tamtejsze arkusze wyglądały inaczej - miały podłużny format i tworzyły podstawową arytmetyczną krzyżówkę typu Excel: pionowo szły tytuły gazet zawsze w tej samej kolejności („Trybuna Ludu”, „Żołnierz Wolności”, „Życie Warszawy” i tak dalej), poziomo numery kiosków. Ogólny wynik łądował w prawym dolnym rogu. Liczyłam na liczydłach. Korale na grubych drutach, ułożone w rzędy (jednostki, dziesiątki, setki), trzaskały sucho i energicznie na wielkich biurkach pracownic umysłowych. Oryginały faktur pisałam na maszynie bez taśmy, przez kalkę odwróconą na lewą stronę. Na kredowym papierze nie było widać liter - pojawiały się na odwrocie, w negatywie, tworząc matrycę do powielacza na denaturat. - Jaka ta nasza Andzia zdolna. Tak szybko się nauczyła na tych liczydłach. Ale nie wychodź, złotko, jest dopiero dwunasta, pracujemy do trzeciej. Będiesz miała kłopoty.

Kłopoty stały się moją specjalnością od pierwszej klasy liceum. Nie umiem podać ich rzeczywistej przyczyny. Obcy rygor nowej szkoły i okres dojrzewania dotykały nas wszystkich w tym samym

352

stopniu, także moje najbliższe przyjaciółki - Ewę, Ludkę oraz Renatę, która gdzieś na etapie klasy siódmej wypełniła miejsce po Heli. Chodziłyśmy do jednej klasy i, siłą rzeczy, znajdowałyśmy w sobie większe oparcie niż ci, którzy trafili tam w pojedynkę. Mit szkoły ekskluzywnej upadł w moich oczach już na pierwszej lekcji: klasa była przeładowana, a poziom przygotowania uczniów do trudnych zadań daleki od jednolitości. Ze zdumieniem przyglądałam się kolegom niepotrafiącym zbudować zdania i nie mogłam pojąć, jak zdołali przejść przez egzamin wstępny. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam zasady szkolnej hierarchii. Ekskluzywne były tylko klasy A z językiem angielskim, wykładanym przez dyrektora. Klasy B miały charakter mieszany. Klasy C stanowiły zbieraninę uczniów o bardzo różnym stopniu zaawansowania w nauce. Ja, razem z moimi przyjaciółkami, znalazłam się w B, ponieważ z czystych emocji zapomniałam podczas egzaminu wstępnego zaznaczyć, że chcę się uczyć angielskiego. Nie dopełniłam więc regulaminowego wymogu 1 poniosłam klęskę w przygotowującej do życia dyscyplinie zwanej biegiem na orientację. A potem, po egzaminach, okazało się, że już za późno, że muszę z mojej edukacji wykluczyć angielski. Pozostałam więc przy językach obowiązkowych: rosyjskim i łacinie. To jednak nie wyjaśnia wszystkiego. Musiał istnieć jakiś inny powód, dla którego zaczęłyśmy chodzić na wagar i zbierać dwójki, które w tamtych czasach oznaczały ocenę niedostateczną.

Wagarowałyśmy we trzy: Ludka, Renata i ja. Ewa nam nie towarzyszyła, może ze względu na ojca i jego akowską przeszłość, może ze strachu, a może po prostu kontrolowano ją bardziej od nas. Korzystałyśmy z pustego przed południem mieszkania Renaty, której mama codziennie wychodziła do pracy, do baru kawowego Marago, gdzie była bufetową. Głupota tych wagarów polegała na braku celów i przyczyn. Nie wagarowałyśmy ani ze strachu przed klasówkami, ani z jakkolwiek artykułowanego poczucia buntu. Przychodziłyśmy do Renaty, robiłyśmy sobie kawę i grałyśmy w karty. W tysiąca. Czasem

353

paliliśmy papierosy Czasem robiłyśmy sesje zdjęciowe, strojąc do aparatu głupie miny i przybierając zabawne pozy. Niestety, w ubraniu. Najciekawsze, że wagarowałyśmy z upodobaniem przez trzy lata liceum i chyba do samego końca zachowałyśmy to w tajemnicy, w każdym razie nie przypominam sobie żadnego śledztwa w tej sprawie czy to ze strony nauczycieli, czy rodziców. Jedni przyjmowali nasze nieobecności wzruszeniem ramion i po

prostu stawiali nam dwóje, drudzy z jakichś powodów nie dociekali, jak spędzamy czas definiowany jako nieusprawiedliwiona nieobecność.

Nie wiem, jak u Ludki i Renaty, ale w naszym domu kara przybierała formę cichych dni. Zaczęto ją stosować po pierwszym półroczu pierwszej licealnej, po pierwszej wywiadówce, na którą ojciec udał się z ochotą, przyzwyczajony do moich dobrych ocen i do tego, że wysłucha bardziej lub mniej powściągliwych pochwał na temat córeczki. Po jego wyjściu schroniłam się w wannie z gorącą wodą

354

i czekałam na wynik, wyobrażając sobie, jaki ma wyraz twarzy na wieść o sześciu niedostatecznych i stu nieusprawiedliwionych godzinach stanowiących ukoronowanie pierwszego licealnego semestru. Musiałam stracić przytomność, bo gdy się ocknęłam, woda była chłodna, prawie zimna, a wokół wanny stała kałuża. Ojciec wrócił późnym wieczorem, kiedy leżałam już w swoim pokoju i udawałam, że śpię. Nie docierała do mnie treść rozmów prowadzonych półgłosem w sypialni rodziców, ale od następnego dnia ojciec zachowywał wobec mnie uporczywe milczenie, a ze strony mamy padła tylko uwaga, że wpędzam go do grobu - bo chyba wiem, że ledwo się dźwignął po ciężkiej chorobie. Od tamtej pory ojciec przestał bywać na wywiadówkach. Mama nie chodziła na nie nigdy i nie zmieniła tego zwyczaju. Zostałam sam na sam z ciałem pedagogicznym, w tamtym okresie bardzo szczególnym, złożonym na ogół z oryginałów i dziwaków.

Postrachem szkoły była pani Krzywik, która z oczywistych, czysto leksykalnych względów otrzymała przydomek Kurwik. Uczyła chemii i przysposobienia wojskowego (wiele lat później zmienionego na przygotowanie obronne). Wchodziła do klasy zawsze z tym samym poleceniem: - Rzędy raz, pyski dwa! - Towarzyszył temu zdecydowany gest prawej ręki: ruch pionowy z góry na dół oznaczał rzędy, ruch poziomy, od lewej do prawej - pyski. Kreśliła w ten sposób znak krzyża i ktoś niesłyszący wypowiedzianych słów mógł sobie wyobrażać, że nas błogosławi na rozpoczęcie lekcji. Siedzieliśmy w archaicznych szkolnych ławkach, w których pulpit i siedzenie stanowiły jedną całość. Na polecenie pani Krzywik wszyscy musieliśmy się wyprostować i założyć ręce do tyłu. Lekcję rozpoczynało losowe odpytywanie z całego dotychczas przerobionego materiału, także z lat poprzednich, a zmorą każdego z nas był proces uzyskiwania sody. Ofiary nauki musiały podzielić tablicę na dwie części: jedną poświęconą metodzie Soh/aya, drugą - metodzie Leblanca. Wyprowadzanie wzorów odbywało się za plecami nauczycielki, podczas gdy

355

reszta klasy odpowiadała na dalsze, trochę tylko łatwiejsze, pytania, bez jakichkolwiek szans na podpowiadanie. Całą naszą uwagę koncentrowaliśmy na wąskich ustach tej niebrzydkiej przecież i niestarej osoby. Kiedy zmieniałam szkołę, to właśnie chemię wybrałam jako dowolny przedmiot na egzamin maturalny. Po trzech latach tortur u pani Krzywik nie musiałam już się jej uczyć.

Do dziwaków należał polonista, pan Rajewski, zdaje się absolwent lwowskiego uniwersytetu. Rzucił przed nas perły literatury polskiej z niejaką rezygnacją i w przekonaniu, że nie potrafimy dostrzec urody jedenastozgłoskowca, zrozumieć kryształ formy, jaką jest budowa sonetu, podążyć za lotem Wielkiej Improwizacji. Istotnie, nie potrafiliśmy go zadowolić swymi płaskimi odpowiedziami. Gorzkniał i stawał się coraz bardziej złośliwy. - Gur-r-r-r-ban! - wykrzykiwał. - Na pewno przeczytałaś Pieśń o spustoszeniu Podola przez Tatarów, powiedz nam przeto, co w tym utworze znaczy słowo „łanie”. - I oto biedna, pachnąca mlekiem i oborą, dojeżdżająca do szkoły z dalekich okolic Gurban Stefania odpowiadała, że łanie są to kobiety, którym Tatarzy zabrali synów w janczary. Klasa wyła ze śmiechu, a pan Rajewski rozkładał ręce, czym dawał nam do zrozumienia, jak bardzo się męczy, uprawiając tak niewdzięczny zawód. W jego wykładach było jednak coś, co mi kazało pilnie notować każdą lekcję, jeśli akurat nie spędzałam czasu na wagarach. Wyczuwałam, że nasz polonista

wznosi się ponad poziom zwykłego nauczania języka ojczystego i że notatki z jego lekcji są bardziej wartościowe niż podręczniki. Miałam rację - zarówno maturę z języka polskiego, jak i egzamin na uniwersytet zdawałam wyłącznie na podstawie swoich szkolnych zapisków. Nie licząc, oczywiście, przeczytanych książek.

Notatki robiłam również na lekcjach historii opowiadanej nam przez młodego, zawsze trochę zafrasowanego i obdarzonego ogromnym poczuciem humoru Czesława Kowalaka. Ten niewysoki, jakby trochę wygnieciony nauczyciel kochał swój przedmiot, dzięki czemu abstrakcyjne postaci królów i wodzów nabierały w jego opo-

356

wieściach ciała i krwi, a bitwy szczękały orężem. Tylko na jego lekcji nasz kolega Zygmunt mógł wyciągnąć gitarę i wyśpiewać na rockową nutę przebieg bitwy pod Wiedniem. Tylko na jego lekcjach można się było douczyć chwilę przed odpytywaniem i dostać pozytywną ocenę, także jeśli się przyszło na lekcję z opóźnieniem, co zdarzało mi się nad wyraz często. I tylko on nie uczestniczył w spiskach nauczycieli przeciwko uczniom, praktyce tyleż zdumiewającej, co nagminnej. Brała w nich udział na ogół nowa kadra, przybyła do szkoły w zgodzie z politycznym kalendarzem PRL, akurat podczas fali przymrozków, która zmiotła tygodnik „Po prostu”, przekazała „Przegląd Artystyczny” w partyjne dłonie Heleny Krajewskiej, a w naszym prowincjonalnym, szkolnym środowisku zmieniła układ sił. Wszechwładny do niedawna dyrektor Franciszek Pałka, razem ze swoim andersowskim beretem, wełnianymi skarpetami i chórem Carmen, musiał odtąd liczyć się z młodym partyjnym aktywem.

Zaledwie po roku nauczania odszedł ze szkoły nasz pierwszy wychowawca, z zawodu i wykształcenia fizyk, który z naszej niezbornej klasy zdołał uczynić zgrany, solidarny zespół. Jego następca, także fizyk, budził mój wstręt i pogardę nie tylko dlatego, że w mgnieniu oka zrujnował wysiłek poprzednika, ale że nie miał nam nic do zaoferowania. Być może moi koledzy żywili podobne odczucia, ale chyba tylko ja jedna je okazywałam. Przyznawałam się do gwizdania na lekcji i do wagarów. Przenoszona karnie z ostatniej do pierwszej ławki, demonstracyjnie zasłaniałam twarz zeszytem, chroniąc się w ten przesadny sposób przed wyrzucanymi podczas jego przemowy bryzgami śliny. Z niczego się nie tłumaczyłam ani jemu, ani pozostałym nauczycielom, którzy również bardzo chętnie karali moją niesubordynację ocenami niedostatecznymi. Przyjmowałam z godnością wszystkie dwójki i nie dokładałam starań, żeby je poprawiać. I tak było wiadomo, że moje oceny nie odzwierciedlają stanu mojej wiedzy, bo w końcu to właśnie mnie, z tymi wszystkimi dwójkami, typowano do reprezentowania najpierw klasy, potem

357

szkoły w popularnych wówczas w Polsce „quizach”, czyli konkursach z wiedzy ogólnej. Tak się zresztą złożyło, że właśnie nasza szkoła wygrała wtedy ogólnopolską edycję takiego konkursu, a otoczeni nimbem chwały zwycięzcy mogli sobie wybrać kierunek studiów i dostali indeksy bez egzaminów.

A więc jednak szkoła była w jakiś sposób elitarna, co ustawicznie podkreślał dyrektor Pałka. Pozwalano nam się bawić tylko w swoim gronie - kontakty z innymi szkołami, łącznie z drugim liceum, nie wchodziły w grę. Mundurki, tarcze szkolne na lewym ramieniu i granatowe berety nosiło się obowiązkowo zarówno na terenie szkoły, jak i we wszystkich miejscach publicznych, z których wszakże dozwolone było tylko kino, i to tylko wtedy, kiedy grano filmy odpowiednie dla naszego wieku, a seans kończył się przed ósmą wieczorem. Po ulicach i kinach grasowały nauczycielskie inspekcje notujące tych, których widziano w niestosownych miejscach o niestosownej porze i w niestosownym stroju. By wzmóc poczucie naszej wyjątkowości, obarczono nas siedemsetletnią tradycją legnickiego szkolnictwa - odpowiadaliśmy przed historią za polskość Dolnego Śląska, zniemczonego już w XVI wieku. Ponadto mieliśmy chór, który śmiało rywalizował z Poznańskimi Słowikami, co dyrektor z

naciskiem przypomniał, kiedy w prowadzonej na jego życzenie kronice ośmieliłam się uplasować nasz Carmen nieco poniżej chórów Stuligrosza i Kajdasza. Zostałam skierowana do altów, ale z przyczyn towarzyskich upierałam się przy sopranach, i ustawicznie zdzieralam struny głosowe na siłowych próbach wyciągania wysokich tonów. Dyrektor nie tłumaczył się z naszego repertuaru ani przed nami, ani przed nikim innym. Nam zresztą wydawało się naturalne, że śpiewamy nie tylko Gaudeamus, ale też Bogurodzicę, Gaudę mater Poloniae, psalmy Dawidowe, madrygały Mikołaja Gomółki, pieśni Władysława Żeleńskiego, a nawet „gospelsy”, które - mimo że murzyńskie - to przecież były kapitalistyczne. Bezwiednie uczyliśmy się nie tylko muzycznej kultury, ale i muzycznej tradycji, chociaż nigdy nie padło stwierdzenie-

358

nie, że na tę tradycję składają się przede wszystkim utwory natur* religijnej, zrodzone często z głębokiej wiary. To musieliśmy sami* dopowiedzieć sami. Licencją dla miejscowej władzy i odstępstwa od klasycznego repertuaru była Suita Dolnośląska, czyli rąbanki ludowych melodii wzięta z nieznanego nam śpiewnika, ale i tutaj* wybór szefa padł raczej na utwory trudniejsze i bardziej ambitne muzycznie. Jeździliśmy z tą suitą po różnych miastach, ale nigdy, ani w Warszawie, ani w Krakowie, nie zaśpiewaliśmy nic z repertuaru Śląska czy Mazowsza; W wakacje po drugiej licealnej zepsuto mi poprawką z geografii! choć na zatrzymanym w szkolnym sejmie świadectwie figurował czwórka. W klasie trzeciej, czyli dziesiątej, zostawiono mnie na drugi rok. Represje dotknęły także moje trzy przyjaciółki - promocji nie* otrzymałyśmy grupowo. Nie było dla mnie jasne, co konkretnie o tym* zdecydowało, nie potrafiłam wyszczególnić żadnych pojedynczych faktów uzasadniających wyróżnienie nas spośród większości kolegów i koleżanek, tak samo chodzących na zabronione filmy, uczestniczących w tajnych potańcówkach, popalających papierosy. Podobnie jak większość rówieśników szukałyśmy swego miejsca między światem dzieci i światem dorosłych, czego nie przewidywał pięcioletni plan* towarzysza Gomułki, który nadal dzielił ludzi na dużych i małych - oprócz tego, że dzielił ich na partyjnych i bezpartyjnych. Próbowaliśmy więc odrobinę rozepchnąć ciasną rzeczywistość, by jakoś w niej zmieścić z właściwą dla naszego wieku energią i ciekawością świata. Nie było w naszym szkolnym i pozaszkolnym zachowaniu nic, co by wykraczało poza ogólnie przyjętą normę. Piszę o normach z tamtych lat, żenująco dziecinnej w porównaniu z tym, co za nami uznają dzisiejsze nastolatki - ponieważ nie udało nam się nawet poznać smaku alkoholu, choć któregoś wieczoru, pamiętam, przegotowałyśmy sobie inicjacyjną ćwiartkę wiśniówki, lecz pojawił się ktoś z dorosłych i próba spełzała na niczym. Tak więc, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, motywacje ścigających mnie nauczycieli były irracjonalne, podszyte ich niejasnym wyobrażeniem o godności

359

uczyciela i obowiązującej w szkole formalnej hierarchii, zwalniającej ich w istocie z pedagogicznego wysiłku. Na koniec klasy dziesiątej otrzymałam więc obiecaną wcześniej dwójkę z matematyki, fizyki, chemii, biologii i geografii, a także trójkę ze sprawowania i, również obiecaną, piątkę z rosyjskiego. Skwitowałam to, jak zwykle, wzruszeniem ramion i dołożyłam starań, by „zgubić” świadectwo, zanim wrócę do domu. Nie zdawałam sobie sprawy, że właśnie wystawiono mi rachunek za wychodzenie z szeregu, czyli - innymi słowami - za osobowość, która zdeterminowała nie tylko moje późniejsze życie zawodowe, ale i prywatne, także to najgłębiej osobiste i która wyzwoliła cały łańcuch zdarzeń prowadzących mnie, już jako osobę dojrzałą, pod wystawiony przez media pręgierz - na żer opinii publicznej w całej Polsce. Nie wiedziałam tego. Nie wiedziałam również, że mam prawo do uczucia krzywdy, bo zostało mi ono odebrane w dzieciństwie razem z prawem do okazywania bólu. Pozostała duma, która wyparła upokorzenie i zepchnęła je w jakąś czeluść podświadomości, sprowadziła do stanu nieistnienia.

Ojciec leczył kolejną chorobę, tym razem gruźlicę kręgosłupa. Pracownię krawiecką mamy przeniesiono do salonu, bo okazało się, że powierzchnia naszego mieszkania przekracza normę przewidzianą przez partię i rząd na głowę mieszkańca naszej ludowej ojczyzny. Mieliśmy „nadmetraż”, żeby nas więc nie wyrzucano, musieliśmy wziąć lokatorów. Wędrowali oni później w rozmaitych konfiguracjach po całym naszym mieszkaniu, zajmując to gabinet, to sypialnię rodziców, to salon. Tylko kuchnia pozostawała przez długi czas do naszej dyspozycji. Tamtego dnia wróciłam do domu i oznajmiłam, co było do oznajmienia: że muszę powtarzać klasę. I wtedy stała się rzecz niesłychana. Mama wręczyła mi prezent. W nagrodę za te wszystkie dwóje dostałam zegarek. - Skoro już ci go kupiłam, to go noś - powiedziała. Po raz pierwszy nie krzyczała i nie winała mnie za stan zdrowia ojca. Nie narzekała na swój los. Nie wznosiła rąk do nieba, pytając, co uczyniła, że Bóg ją tak karze. A ja po raz pierwszy,

360

odkąd zaczęły się ze mną kłopoty, poczułam wstyd. Może powinnam była dokonać próby wyjaśnienia jej tego, co już sama o sobie wiedziałam: że jestem lepsza niż moje oceny, a zatem cała ta sytuacja ma charakter tymczasowy i jest do odwrócenia. Ale żadne z tych słów nie padło i nie mogło paść, ponieważ wiedziałam, że jedyną właściwą miarą moich umiejętności były szkolne stopnie, że nikt nie zacznie się wdawać w analizowanie moich subiektywnych i czysto intuicyjnych przeświadczeń, podobnie zresztą jak nikt nigdy nie zadał sobie trudu, żeby okazać odrobinę wiary w moje zdolności.

Znalazłam się w upokarzającej sytuacji osoby mało zdolnej, za to wyjątkowo leniwej, w dodatku niewdzięcznej i pozbawionej empatii dla chorego ojca. Nic nie zostało powiedziane, ale wszystko się przecież w taki właśnie sposób zobiektywizowało i w tej formie utrwaliło.

Więcej - całym swym późniejszym zachowaniem wpisywałam się w tę banalną definicję, kształtowałam swój wizerunek w taki sposób, że potwierdzał w całej rozciągłości to, jak zostałam zobaczona. Przestałam się kryć z papierosami. Ufarbowałam włosy na rudo.

Uszyłam sobie sukienki maskujące moją ówczesną nadwagę. Dni spędzałam na miejskim basenie, wieczory w rosyjskim letnim kinie, nocami czytałam Drogi wolności Sartrea, lekturę wpychającą mnie jeszcze głębiej w doznawane już wówczas odczucie powszechnego relatywizmu. Zaczęłam też bywać w kawiarniach i na „fajfach” w miejskim Domu Kultury, gdzie spokojnie, a nawet wyzywająco, wytrzymywałam zdziwione spojrzenia jednego ze szkolnych matematyków. Żadne inne wykroczenia przeciwko społecznym normom nie przychodziły mi do głowy, moje demonstracje wystarczyły jednak, abym po wakacjach usłyszała od dyrektora dokładnie to, czego w jakiś sposób oczekiwałam: - Co ty tu robisz? To nie kawiarnia! - powiedział, stojąc na progu ponurego, neogotyckiego gmachu szkoły, kiedy witał wszystkich wchodzących w pierwszym dniu nauki. Zrobił to jakby mimochodem, bez złości. Zrozumiałam, że donos został złożony. - Przepraszam, pomyliłam budynki - odpowiedziałam. I nawet nie

361

362

weszłam do gmachu. Odwróciłam się tylko, wiedząc, że tym zdaniem i tym gestem odcinam sobie powrót do szkoły, którą przecież mimo wszystko lubiłam i nadal się z nią utożsamiałam. Nie udało mi się odejść od razu, ponieważ tę scenę obserwował Bolek, nasz starszy kolega, już po maturze, który wpadł, żeby się pożegnać. Złapał mnie za ramię i zaczął namawiać do powrotu, tłumacząc, że dyrektor po prostu oczekuje przeprosin, że taka jest tradycja i nie ma się o co obrażać. Upierał się tak długo, aż mnie przekonał - raczej do samego gestu niż do rzeczywistej próby. Ruszyłam z powrotem i zobaczyłam kotłującą się w sekretariacie dyrektora kolejkę tych, którzy też przyszli przeproszać. Wtedy wyszłam na dobre.

W drugim liceum, mieszczącym się w gmachu dawnego TPD, w parku, dowiedziałam się, że u nich nie mogę powtarzać roku w trybie normalnym, mogę natomiast zapisać się do liceum korespondencyjnego. Wzięłam więc stosowny formularz i poszłam na basen, gdzie czekała już na mnie Ludka i Renata, które chyba w ogóle nie próbowały wrócić do szkoły. W domu wylądowałam pod wieczór. Rozłożyłam na stole pognieciony druczek i zaczęłam go prasować, wyjaśniając ojcu oględnie i jakby mimochodem, że nie mogę powtarzać klasy w swojej szkole, tak jakoś się złożyło, więc teraz będę się uczyć korespondencyjnie. Wtedy mnie uderzył. Stałam mniej więcej w tym samym miejscu dawnego salonu, gdzie niegdyś dostałam za Margaritę, i od razu to sobie przypomniałam. Musiał przy tym coś mówić i podnieść głos, bo natychmiast pojawiła się mama, a ojciec wyjaśnił jej, że zostałam wyrzucona ze szkoły i nawet się tym nie przejęłam. Wtedy mama też mnie uderzyła. Pierwszy raz w życiu dostałam od mamy w twarz. Zostawiłam ich, chyba zaskoczonych tym, co zrobili, ogarniętych poczuciem bezradności i trwogi o moją przyszłość, tak myślę dzisiaj, kiedy poznałam te wszystkie uczucia towarzyszące moim własnym pedagogicznym klęskom. Wówczas jednak czułam tylko bezgraniczną samotność i determinację.

363

W wieku siedemnastu lat decyzje zapadają łatwo i szybko. Wyjęłam z kuchennego kredensu trzymane tam przez mamę środki nasenne. Druga fiolka leżała w szufladzie szafki nocnej, przy jej łóżku. Połknęłam wszystko. Bez lęku, bez zastanowienia, bez żalu za odchodzącym życiem, w taki sam sposób, w jaki zapewne łykała „esencję” siostra mojego dziadka, Maria Szerszniow. Nie wiem, kiedy dokładnie zaczęto mi robić płukanie żołądka ani jak trafiłam do łazienki. Rurkę wprowadzała mi do gardła nasza ówczesna lokatorka, lekarka. Moją głowę trzymał nad wanną jej świeżo poślubiony mąż, też lekarz.

Przez następne dni otaczała mnie cisza; nie mogłam z nikim rozmawiać, bo moje oczy natychmiast napełniały się łzami, które bezwstydnie spływały na poduszkę i wywoływały uczucie skrępowania, udzielające się również innym. Gdzieś z daleka docierało do mnie, że mama przekroczyła jednak próg szkoły i domagała się pisemnych dowodów mojego przestępstwa, ale dyrektor akurat leżał w szpitalu, a jego zastępca, nauczyciel geografii, rozkładał ręce i nie potrafił wyjaśnić okoliczności towarzyszących relegowaniu mnie ze szkoły. Nie mógł też wystawić żadnego zaświadczenia, bo przecież go przy tym nie było. Brak zaświadczenia równał się „wilczemu biletowi”, pozbawiającemu mnie szans na podjęcie nauki w dziennej szkole. Mówiąc krótko, mama odbywała przez tydzień tę samą drogę, którą ja sama przeszłam przez godzinę od wyjścia ze szkolnego sekretariatu liceum numer 1 do wizyty w liceum numer 2; więcej ogólniaków Legnica nie miała. Mama wolniej wyciągała wnioski, bo nie była wprowadzona w szczegóły. Stanęło więc na tym, co w tej sytuacji było jedynie możliwe, właśnie na liceum korespondencyjnym. Leżałam w zacienionym pokoju i grzecznie połykałam mikstury przynoszone mi przez lokatorkę, która jednak nie omieszkała przy tym podzielić się ze mną uwagą, że wkładanie swetra na gołe ciało jest chyba trochę nieprzyzwoite, a podczas tamtego zabiegu w łazience okazało się, że nie noszę halki. Ona sama do dnia ślubu była dziewczicą, dopiero póź-

364

niej wzięła sobie kochanka, z czego zwierzyła się mojej mamie, bo komuś musiała. Halkę, oczywiście, nosiła.

Kiedy doszłam do siebie, ojciec zaprowadził mnie do swojej dawnej firmy, czyli MHD - towary przemysłowe, i załatwił przyjęcie do pracy. Od tamtego dnia musiałam wstawać wczesnym rankiem i ruszać z Zenkiem w świat asortymentu, jakim dysponowały legnickie sklepy. Akurat przyszła jesień, zrobiło się chłodno i włożyłam halkę, która świetnie absorbowowała fioletowy pył z chemicznego ołówka.

MARZEC

Dowód

Zostawił swoje papiery starannie i oszczędnie ułożone w przezroczystym opakowaniu po jakimś eleganckim przedmiocie, pasującym do formatu zwykłej koperty. Znalazły się tam wezwania na kolejne rozprawy oraz stosik listów od Alicji, od Kajki i ode mnie. I jeden od ojca. Już je kiedyś przeglądałam, brałam do ręki każdy z osobna, ale nie miałam siły czytać. Nawet swoich. Teraz wiem już jednak, że warto czasem spojrzeć na coś po raz drugi, świeżym okiem. Więc spoglądałam i od razu na samym wierzchu znajdując pospiesznie rozdarta kopertę, której daremnie szukałam przez całe lata - miała mi pozwolić na umiejscowienie w czasie tamtego wydarzenia, które najpierw chciałam zlekceważyć, wyrzucić z pamięci, a potem na próżno usiłowałam zrekonstruować. Koperta, bez nadawcy, jest zaadresowana na Mateusza okrągłym, dziecinno-kobiecy pismem. Imię poprzedza słowo „Kol.” Kolega. Obok przekreślonego adresu naszego starego mieszkania na Czerniakowskiej rutynowa adnotacja „adresat nieznan” i - już inną ręką - wpisany numer mieszkania Wu, który na tym wszystkim dopisał: „Dostałem 11 marca '98”.

Zadzwoił i oznajmił, że dostał dowód osobisty. Mogę go sobie odebrać, dodał. Już wtedy nasze rozmowy ograniczały się do zwięzłych komunikatów; nic więcej nie mieliśmy sobie do powiedzenia. Pojechałam. Jak zwykle siedział, półleżąc, przed włączonym

367

telewizorem. Na stole przywiezionym niegdyś przez moją mamę jak zwykle stała butelka. - On nie żyje - powiedział. I wręczył kopertę z dowodem Mateusza. Potem, oczywiście, zaczął mówić o sobie i nieszczęściach, jakie go ustawicznie dotykają. Usłyszałam zestaw znanych mi od dawna zdań na temat nieudanych synów i biednej Anny Marii, która ma chorą na głowę matkę. Ale nie zakończył tej litanii zwyczajową konkluzją, że „nie idzie żyć”. Zamiast tego wykrzyknął patetycznie: - Chcę już umrzeć! - Nie wzbudził mojej empatii. - To umrzyj - powiedziałam spokojnie. I wyszłam.

Dowód. Zdjęcie jak sprzed okresu narkotykowej choroby albo z jej bardzo wczesnego etapu - z podniesioną głową, krótkimi włosami i odważnym spojrzeniem. Dokument wydano w więzieniu, więc zdjęcie także mogło być zrobione tam, w Białołęce, zapewne podczas pierwszej odsiadki. Brak stałego miejsca zamieszkania, wymeldowany z Czerniakowskiej (pamiętam, poprosiłam go o to, kiedy sprzedawałam mieszkanie). Wiedziałam, że miał jeszcze drugi dowód, wcześniejszy; zastawił go w jakimś sklepie - to była jego zwyczajna praktyka, gdy go przyłapywano na kradzieży przedmiotów o wartości niekaranej więzieniem; znał ten przepis, spokojnie dawał się legitymować i zostawiał różne papiery w zamian za puszczenie wolno. Tego drugiego dowodu mógł zatem również użyć jako zastawu, w końcu przecież i tak złamał warunki zwolnienia, żył poza prawem, a więc chyba celowo nie nosił przy sobie papierów potwierdzających jego tożsamość. Tak pomyślałam. Na tamtym etapie nadal wierzyłam, że on się odnajdzie, że się pojawi - jeśli nie u mnie, to u Alicji, jeśli nie z tęsknoty, to z ostatecznej, elementarnej potrzeby - żeby się schować albo żeby znów coś wynieść. Wyjęłam ten dowód dopiero wówczas, kiedy zaczęłam formalne poszukiwania, i zeska-nowałam zdjęcie. Kilka egzemplarzy dla policji i jedno dla siebie. A potem już nie mogłam znaleźć koperty z datą, nie pamiętałam, że dołączyłam ją do innych kopert będących nadal własnością mojego dziecka, i męczyłam pamięć, starając się odtworzyć kolejność faktów,

368

żeby umieścić w czasie tę wizytę na czwartym piętrze w chłodny, pochmurny dzień - bo pamiętałam tylko tamtą depresyjną szarość i tamtą ojcowską, doprawdy, uwagę, a właściwie szybki i łatwy wniosek, że skoro odesłano dowód, to Mateusz nie żyje. Teraz już wiem, mam niezbity dowód, że to się działo w marcu, mniej więcej dziesięć lat temu, ale ta pewność nie posłużyła niczemu prócz uporządkowania kolejności zdarzeń, ponieważ nadal nie byłabym i nie jestem w stanie wypowiedzieć zdania, które wtedy usłyszałam na dzień dobry. Że on nie żyje.

Zn a fii szczególnie,

Majka

Najpierw poznałam Dzikę, która razem ze swym mężem, amatorem myślistwa, synkiem Kubusiem i foksterierem ostrowłosym Tropicielem wprowadziła się na dotąd niezasiedlone, trzecie piętro naszej kamienicy. Przyjechali z Wrocławia w poszukiwaniu lepszych warunków życia. Kiedy Dzikę, dyplomowaną położną, wypadał nocny dyżur, a mąż z foksterierem akurat polowali, Kuba wył w pustym mieszkaniu, budząc mnie z pierwszego snu. Nocne płacze opuszczonego dziecka ustały z dniem pojawienia się Majki. Opieka nad Kubusiem, bardzo skądinąd przydatna - zwłaszcza odkąd mąż Dzikki zawieruszył się w jakiejś leśniczówce i już do Legnicy nie wrócił - nie była jednak najważniejszym powodem jej zamieszkania na trzecim piętrze naszej kamienicy. Był nim Norbert. Okazało się, że żydowski rodzice, choć nie tak znowu ortodoksyjni, nie zaaprobowali romansu jedynaczki. A im bardziej zabraniali Majce spotkania się z Norbertem, tym bardziej Majka była w nim zakochana. W końcu podjęła heroiczną decyzję i opuściła rodzinne mieszkanie przy ulicy Nowy Świat, by spróbować niezależności: była pełnoletnia, właśnie zrobiła dyplom położnej i - tak jak Dzikka - pracowała w szpitalu.

Wiadomości na temat romansu i ucieczki z domu bardzo mnie intrygowały, ponieważ nie spotkałam się wcześniej z tak otwartym postawieniem sprawy na gruncie czysto rasowym, a zakaz nie do-

370

tyczył Norberta jako takiego, ale wynikał stąd, że Norbert nie był Żydem. Z drugiej strony jednak ciekawił mnie osobnik, dla którego można rzucić rodziców. Okazał się szczupłym młodzieńcem o pociągłej twarzy i głęboko osadzonych oczach, troszkę przemądrzałym. Romans trwał zaledwie kilka tygodni, a rozstanie nie przysporzyło bólu żadnej ze stron. Mimo to Majka już nie wróciła na Nowy Świat. - Wystarczy, że chodziłam do żydowskiej szkoły - powiedziała któregoś dnia. - Nie zamierzam spędzić całego życia w getcie. - To także była dla mnie nowość, wcześniej nie miałam pojęcia o istnieniu w Legnicy żydowskich szkół. Prawda, że po drodze do piątki mijałam codziennie teatr imienia Ducha na Nowym Świecie i wiedziałam, że wokół niego rozlokowały się żydowskie rodziny, wyobrażałam sobie jednak, że wszystkie dzieci z tej ulicy, podobnie jak „romansujący” z Ludka Borys Fogelman czy moja przyjaciółka Hela, chodzą do naszej szkoły albo do niedalekiej czwórki.

No więc Majka się zbuntowała i nie dość, że zamieszkała na trzecim piętrze, to jeszcze - wzorem Dzikki - postanowiła zrobić maturę i pójść na studia. Tak się bowiem złożyło, że Dzikka właśnie finiszowała ze swoimi aspiracjami, sięgającymi daleko poza oddział ginekologiczny miejscowego szpitala. Postanowiła zostać inżynierem. I rzeczywiście, zdała maturę, zdała egzamin wstępny i pojechała do Wrocławia na Politechnikę. Wybrała studia dzienne i mieszkanie w akademiku. Spotkałam ją dopiero po wielu latach na jakimś wernisażu i bardzo się ucieszyłam, bo w tamtym legnickim okresie była jedyną dorosłą osobą, która okazywała mi życzliwość i zrozumienie. Natychmiast przypomniałam sobie dach naszej kamienicy, gdzie się rozłożyłam na słońcu ze świeżo wówczas powstałym tygodnikiem „Kultura”. Nie znałam polityczno-wydawniczych zaszłości związanych z pojawieniem się tego tytułu, wiedziałam tylko, że gdzieś tam, poza Legnicą, toczy się życie intelektualne, i szukałam do niego dostępu po omacku, bez przewodnika, zdana na swoje własne intuicje. Dzikka zasiadła obok i poczęstowała mnie papierosem. Wyciągnęła

371

w moim kierunku paczkę wrocławskich, jakbym nie była zbuntowaną siedemnastolatką, ale dorosłą kobietą, jej rówieśnicą i partnerką do poważnych rozmów. Przypomniałam sobie, jak później wpadałam do niej wieczorami na papierosa, a ona brała gitarę i - zapatrzona w jakieś swoje wspomnienia - cichym altem śpiewała: „Ja chciałbym przy dźwiękach gitary o tobie pomarzyć, mój śnie”. I jak mnie poznała z Andrzejem, młodszym bratem swego męża, jak

potem ubolewała, że się nam nie udał ten romans. I, wreszcie, jak podziwiałam odwagę, z jaką zaczynała od nowa swoje życie, zostawiając za sobą to, co już osiągnęła: wyuczony zawód, posadę, mieszkanie i mężczyznę. Podczas tamtego niespodziewanego spotkania nie zdążyłam jej tego wszystkiego powiedzieć, bo trafiłam na chłodną osłonę jakiejś osobliwej powściągliwości. Poinformowała mnie tylko, że nosi już inne nazwisko, że wylądowała w Białymstoku (skąd chyba pochodziła), i spieszenie się pożegnała.

Majka, ciemnowłosa, malutka osóbką z ogromnym biustem i zdziwionymi, niebieskimi oczami, pojawiła się w moim życiu, kiedy już chodziłam do MHD na remanenty, a obie moje przyjaciółki, Ludka i Renata, także wyrzucone ze szkoły - raczej wskutek własnego zaniechania niż z jakiegokolwiek innego powodu - zaczęły nabywać praktycznych umiejętności. Renata wdrażała się w prowadzenie domu, Ludka najpierw skończyła kurs fotograficzny, potem fryzjerski. Na maturze im nie zależało; rozglądały się za kandydatami do ożenku i wciągały mnie w orbitę swoich podbojów. Pamiętam taneczne wieczorki w Miejskim Domu Kultury, na których Renacie towarzyszył redaktor miejscowej gazety, Bronek, imponujący nam zjadaniem szklanek - najpierw je po kawałku odgryzał, a potem chrupał, jakby nie były ze szkła, tylko z cukru. Pamiętam duszne dancingi w restauracji Polonia, kiedy nikt mnie nie prosił do tańca, a ja - na widok znajomych ojca - próbowałam demonstrować umiejętność picia czystej wódki, co za każdym razem kończyło się zwrotnymi reakcjami żołądka. Tych reakcji znajomi nie widzieli,

372

rzygałam już w domu, dokąd byłam pospieszenie odsyłana przez bawiące się towarzystwo. Donosy dotyczyły więc tylko picia i, oczywiście, obecności w niestosownym miejscu. Po każdym takim sprawozdaniu ojciec przestawał ze mną rozmawiać, a jeśli przypadkiem spotykałam go na ulicy - przechodził na drugą stronę. Mama się awanturowała, wykrzykując, jak zwykle w napadzie rozpaczy, że wpędzam ojca do grobu. Czułam się w domu coraz gorzej i coraz więcej czasu spędzałam na życiu towarzyskim, które najczęściej toczyło się w kawiarni Wuzetka, w samym centrum miasta. Przesiadywałyśmy tam godzinami przy smętnej kawie i wspólnej paczce papierosów, obserwowaliśmy toczące się wokół życie legnickiego półświatka, przyglądałyśmy się ze współczuciem śpiącemu z głową na blacie stolika artyście malarzowi Janowi G. i kibicowałyśmy Markowi, trochę starszemu koledze, któremu się nie udało z egzaminami na wyższą uczelnię, więc zarabiał jako taper, młóćąc na kawiarnianym pianinie, kilka aktualnych przebojów w rodzaju Mały kwiat.

Nie wiem, jak to się stało, że obie moje przyjaciółki zakolego-wały się z drużyną siatkarską; zdaje się, że starszy brat Renaty - który ze służby wojskowej w Warszawie przywiózł piękną, stołeczną wiązanekę: „Kurwa twoja w mordę mać” - był kumplem jednego z nich. Poszło bardzo szybko. Najpierw w kościele Piotra i Pawła klęczała Renata, ślubując miłość i wierność Zbyszkowi czy Leszkowi, nie pamiętam. Zaraz potem Ludka wyszła w magistracie za Jasia, wówczas jeszcze odbywającego służbę wojskową, chyba w KB W. A może było na odwrót? Może najpierw Ludka z Jasiem w magistracie, a potem Renata ze swym oblubieńcem w kościele? Faktem jest, że każda z nich zrelacjonowała ze szczegółami noc poślubną, dzieląc się ze mną swoim wtajemniczeniem i projektując na mnie swoją wizję szczęścia. Pragnęły mnie wyswatać, najchętniej z kolegą o ksywie Junior, bo przecież byłoby fajnie tak się grupowo ożenić, żylibyśmy jak wielka rodzina. W te matrymonialne plany wciągnęły nawet moją mamę, która - tylko półzartem - zaczęła mnie ostrzegać: - Jak się nie

373

będiesz uczyć, to cię wydamy za mąż! - Ale mnie nie interesował ani Junior, ani tym bardziej ślub.

Próbując dzisiaj odtworzyć tamte odruchy, tamto myślenie

O życiu, zastanawiam się, czy brały się z poczucia tymczasowości, bo wiedziałam, że wyjadę z Legnicy, i wolałam się nie wdawać w poważne związki, czy też stąd, że obserwując model

małżeństwa swoich rodziców, instynktownie unikałam podobnego skazania na pozbawione radości trwanie przy drugim człowieku, na bezskuteczne rozdmuchiwanie stygnącego paleniska, a wreszcie na poddanie się bezwładowi materii, skutkujące uwiązaniem do miejsca i nagromadzonych rzeczy? Sądząc z bilansu mego życia, już wówczas zostałam zaprogramowana na niemożność wytrwania w żadnym związku, na ustawiczne ucieczki od emocjonalnych uzależnień, wspomagane przez uczuciowe protezy w postaci goszczącego w moich myślach „innego” czy też „drugiego”, którego samo istnienie miało mi dopomóc wydobyć się z konkretnego hic et nunc, tu i teraz, i biec w nieznaną; zostałam skazana na gonitwy za fatamorganą „prawdziwego przeżycia”, na rozgrzewanie do białości uczuć wyspanych z palca, lokowanych w mrzonkach, w czymś niemożliwym i nieosiągalnym, i na rwaniu więzów, ilekroć to niegdysiejsze niemożliwe i nieosiągalne spadało niespodziewanie z nieba wprost do moich rąk, stawało się realne i nieznośnie konkretne. Bałam się ostatecznego zdefiniowania, kiedy wszystkie znaki zapytania zmieniają się w kropki i już wiadomo, jak będzie teraz i na wieki wieków. Z tego też chyba powodu prowadziłam - i nadal prowadzę - cygańskie, wędrowne życie. Moszczę się w różnych miejscach tylko na chwilę, na jakiś czas, ogromnym wysiłkiem wije i urządzam kolejne gniazda, a potem opuszczam je bez żalu, bez oglądania się wstecz, zajęta kolejnym miejscem, skoncentrowana na następnym wysiłku. I za każdym razem, przy każdym „wyjściu”, zostawiam rzeczy, pozbywam się balastu mebli i książek, których i tak ciągle jest zbyt dużo, bo nadal nie potrafię kontrolować procesu ich wchodzenia do mojego domu. W taki sposób, uciekając

374

od zdefiniowanych, a więc jakoś ostatecznie przesądzonych sytuacji i miejsc, skazałam swoje dziecko na niestabilność emocjonalną i materialną; chcąc mu oszczędzić losu uczestnika w pełnym konfliktów i agresji albo - co jeszcze gorsze - w chłodnym i nieprzyjaznym pożyciu rodzinnym, zaferowałam chybotliwy pokład relatywizmu i tymczasowości. „Nic dwa razy się nie zdarza”, pisała noblistka. - Nie mogę cię wychować po raz drugi - mówiła mama. Nie wiem, czy gdyby mi była dana powtórka z życia, umiałabym zbudować Mateuszowi bezpieczny dom i zaferować stabilność opartą na czymkolwiek innym niż moje macierzyńskie uczucia i moja elementarna etyka, moje mgliste wyobrażenia o platońskiej triadzie; czy - wiedząc to, co wiem o sobie dzisiaj, czyli wiedząc, czego nie umiem - mogłabym się tego nauczyć? Być może powtórzyłabym wszystkie błędy, bo nie można dać drugiemu więcej, niż się ma, nie można próbować życia w prawdzie, nakładając kostium i maskę kogoś zupełnie innego. Nawet gdybym się bardzo starała wyjść naprzeciw wyrażonym pewnego razu życzeniom mego syna, że chciałby bardziej zwyczajnej mamusi, takiej, która stoi w kuchni przy garach, a nie takiej, która „robi karierę”, to przecież tylko bym tę mamusię grała. Owszem, przy garach także stałam. Ale robiłam też wiele innych rzeczy, bo musiałam zarobić na utrzymanie. Realne bycie mamusią z wyobrażeń Mateusza zakładałoby istnienie odpowiedzialnego tatusia, w którego ręce mogłabym złożyć los nas obojga, a ten właśnie warunek był nie do spełnienia. Przede wszystkim jednak to ja sama nie mieściłam się w tak rozumianym modelu rodziny. Do wytrenowanej od wczesnego dzieciństwa samodzielności i nawyku radzenia sobie w trudnych sytuacjach bez pomocy osób bliskich doszły doświadczenia wyniesione z rodzinnego domu, a pośrednio zapewne także doświadczenia mamy z jej dzieciństwa. Wynikało z nich, że nie można polegać na mężczyznach. Lepiej byłoby powiedzieć, że dotyczyło to tylko naszej rodziny czy - szerzej - tylko naszego modelu, to my akurat nie mogłyśmy na nich polegać, ponieważ właśnie takich

375

sobie wybierałyśmy, podczas gdy inne kobiety, w innych modelach, owszem, znajdują oparcie i bezpieczeństwo. Dlatego swatany mi Junior, skądinąd chyba dobry i poczciwy, był od początku skreślony, spisany na straty. Wolałam przelotne romanse, często przypadkowe,

niezobowiązujące, pozbawione przyszłości, tymczasowe. W okresie przeznaczonym przez naturę i kulturę do romantycznych wzlotów, porywów duszy i miłosnych zakłęb, ograniczałam się do naskórkowych doznań i przelotnych znajomości, mających mnie uchronić przed jakimś przedwczesnym, niepotrzebnym balastem w postaci małżeńskiej przysięgi czy nawet emocjonalnego zobowiązania. Pływałam w płytkiej wodzie okazjonalności, zostawiając miłosny potencjał na później, na przyszłe życie. Toteż kiedy moje obie przyjaciółki z dzieciństwa zanurzały się już w małżeńskich obowiązkach, ja byłam zajęta raczej ciekawością świata, a także - biorąc pod uwagę ekonomię czasu - pracą, szkołą i rozrywkami.

Jeszcze zanim wyjechałam, Renata urodziła córeczkę, której nadała niebanalne imiona Bernadetta Manuela. Zaraz potem Ludka powiła Pawełka. (Albo na odwrót - najpierw Ludka, potem Renata, nie pamiętam.) Ich drogi też się szybko rozeszły. Ostatni raz spotkałam Renatę chyba podczas pierwszych studenckich wakacji, powiedziała, że właśnie się rozwodzi. Ewa, jedyna, która wróciła do dziennej szkoły i przetrwała w niej do matury, nadmieniała podczas któregoś z naszych późniejszych spotkań, że Renata wybrała złą drogę, ale nie wdawała się w szczegóły, wykonała tylko wieloznaczny ruch dłonią, jak zwykle, kiedy chciała uciąć temat. Ewa też zdawała na historię sztuki, chyba nawet dwa razy, ale zabrakło jej punktów i dała za wygraną. Wyszła za miłego, cichego architekta, prowadzi spokojny tryb życia i tylko czasem daje do zrozumienia, że jej ambicje niegdyś sięgały znacznie wyżej. Ludka została milicjantką, zgodnie z rodzinną tradycją swego męża. Jakoś w drugiej połowie lat siedemdziesiątych pojawiła się u mnie na Czerniakowskiej, bo właśnie była na „dokszałcie” dla tajniaków, czego bynajmniej nie ukrywała. Zdaje się,

376

że uzyskała potem jakąś poważną ranę, chyba nawet wyższą niż jej mąż Jasiek. Pokazała zdjęcia dzieci - miała już dwoje. Nauczyła mnie robić „wykwintną” zupę z rybnych konserw, co się bardzo przydało w stanie wojennym. I więcej jej nie widziałam. Ani Ewa, ani Mirka, ta z parteru - z którymi nadal się widuję - nie wiedzą, co się stało z Ludka po 1989. Albo nie chcą powiedzieć. Ale też i ja nie za bardzo się o nią dopytuję. Łatwo obliczyć, że już wtedy miała prawo do solidnej emerytury, że dzisiaj jej wnuki powinny być już dorosłe, a może nawet bawi trzecie pokolenie. Jak to na emeryturze.

No więc, kiedy moje szkolne przyjaciółki debiutowały w małżeńskich obowiązkach i przygotowywały się do macierzyństwa, zaczęłam spędzać wolny czas w mieszkaniu na trzecim piętrze, które Dzikka pozostawiła Majce do dyspozycji. Obie byłyśmy już w klasie maturalnej, poprzedni rok w liceum korespondencyjnym zaliczyłam bez wysiłku - materiał miałam opanowany już wcześniej, w szkole stacjonarnej - wystarczyło tylko powtórzyć. Przystawianie nowego także nie zajmowało dużo czasu. Zajęcia odbywały się raz w tygodniu. Pod koniec każdego kwartału należało z wszystkich przedmiotów przygotować pisemne opracowanie na zadany temat, a później zdać egzamin. Naprawdę uczyliśmy się tylko do egzaminów, co w sam raz wystarczało na dobre i bardzo dobre oceny. Nagle okazałam się naukową gwiazdą szkoły, a spotkani tam moi dawni nauczyciele - historyk z liceum i pan Sowiński z podstawówki - stawiali mnie za wzór leciwym kolegom z klasy. Tak więc nauka zajmowała mi niewiele czasu, ale stanowiła świetny pretekst do przesiadywania na trzecim piętrze. Rodzice także przyjmowali to lepiej niż moje wizyty w Wuzetce czy eskapady do Polonii. Nie wiedzieli, że nauczyłam się grać w brydża jeszcze w okresie przyjaźni z zespołem siatkarzy i jeśli tylko udawało się nam znaleźć partnerów, spędzałyśmy przy grze całe noce. W końcu nie gram na pieniądze - usprawiedliwiałam przed sobą tę nową namiętność, starając się nie identyfikować jej z ojcowskim uzależnieniem. Na wszelki wypadek jednak postanowi-

377

łam nie nauczyć się gry w pokera. Na szczęście nikt z naszych grających kolegów nie miał za dużo czasu. Wszyscy, zarówno my z Majką, jak i zmieniający się przy stole brydżyści, chodziliśmy do pracy.

Moja kariera w PUPiK-u zakończyła się w zimny sylwestrowy dzień, kiedy przyszedłam do biura z sinymi od mrozu kolanami i szronem na świeżo umytych włosach. Już w stanie podgorączkowym odebrałam wypowiedzenie „za systematyczne spóźnianie się do pracy”, a nie za wcześniejsze wychodzenie, choć spóźniałam się parę minut, a wychodziłam nieraz kilka godzin wcześniej, po wykonaniu dziennej normy. Nie umieli mnie zwolnić za wagarowanie ani za to, że nie udawałam zapracowanej urzędniczki i nie rozciągałam wykonywania prostych i nudnych czynności na osiem godzin, tylko zaraz po oddaniu dziennego urobku spokojnie opuszczałam biuro. Szłam wówczas do kawowego baru Marago, w którym nadal stała za ladą mama Renaty, siadałam na wysokim stołku, zapalałam papierosa i zamawiałam jajko w sosie tatarskim, jedno z dwóch dyżurnych dań eksponowanych w chłodzonej gablocie. Drugim były „nóżki z ryby”. Dopiero potem robiłam rutynowy obchód wszystkich sklepów w centrum, gdzie od czasu remanentów znali mnie wszyscy sprzedawcy i czasem nawet zachwalali coś spod lady, nie wiedząc, że brak mi na takie okazje pieniędzy, że właściwie nie zamierzam niczego kupować, tylko po prostu tak sobie spaceruję, bo mnie nudzi bezczynne siedzenie w pracy.

Nie nadawałam się na urzędniczkę. Wiedziałam o tym jeszcze przed dyplomem, kiedy trafiłam do Zachęty na etat i okazało się, że nie ma tam żadnych norm, za to są sztywne godziny urzędowania. Wprowadziłam wówczas podbiurkowe szydełkowanie. Zaczęłam od torebek z pięknej woskowanej dratwy, służącej do obwiązywania przesyłek specjalnego przeznaczenia; szpule tego wspaniałego surowca każda z nas miała „na stanie” razem z długopisem i brulionem w kratkę. Najpierw dziergałam sama, potem z Elżunią, a po niedługim czasie za szydełka chwyciły nasze starsze koleżanki: Grażyna,

378

Basia, Zosia i nawet najstarsza z nas wiekiem, ale najmłodsza duchem, Jadźka. Wymyślałam fasony i metody wykonania, a cały dział dziergał torebki z cienkiego służbowego sznureczka i ustawiał się w kolejce do pana Stasia, pomocnika stolarza, po deseczki z nawierconymi dziurkami, potrzebne do wykończenia modelu.

Kiedy wówczas, w ostatnim dniu roku 1962, wróciłam do domu, nie zwierzyłam się mamie z nowiny, że już nie pracuję - w jej pracowni furczała maszyna, a wokół tłoczyły się klientki czekające na balowe kreacje prosto spod igły. Po ich wyjściu mama mogła wreszcie odespać zarwane noce. Już od dawna nie świętowali z ojcem nadejścia Nowego Roku, nie wychodzili razem na żadne towarzyskie spotkania, nawet chyba nie wypijali symbolicznej lampki szampana pod nazwą Sowietskoje Igristoje, dostępnego w Legnicy na każde zawołanie. Nie za dobrze wiem, co się działo tej sylwestrowej nocy, którą spędziłam w łóżku z wysoką gorączką i bolącym gardłem. Sprawa wydała się dopiero nazajutrz, po zastrzyku z penicyliny, kiedy nasz „rodzinny lekarz” spod siódemki przystąpił do wypisywania zwolnienia i poprosił o ubezpieczenie, które właśnie utraciłam, bo nie zadbałam we właściwym czasie o stosowny wpis; w końcu miałam już wówczas gorączkę. Znów robiłam rodzicom niemiłą niespodziankę, zakłóciłam delikatną i z trudem utrzymywaną równowagę domowych relacji, odebrałam opartą na jakichś fantasmagorycznych przesłankach wiarę w lepsze jutro. Tata znów uznał, że musi przedsięwziąć jakieś kroki w zaprzyjaźnionej instytucji pod nazwą MHD, kiedy bowiem wyszłam z anginy, czekały już na mnie artykuły winno--cukiernicze, rzut kamieniem od naszego domu, na rogu Jaworzyńskiej i Armii Czerwonej. Nie żebyśmy byli aż tak biedni, choć rzeczywiście w domu się nie przelewało. Raczej chodziło o dalszy ciąg lekcji życia, że jak się dziecko nie uczy, to musi pracować. Nie stawiałam oporów. Posiadanie własnych, samodzielnie zarobionych pieniędzy zwalniało mnie od upokarzającej zebrany o kieszonkowe, którego

zresztą i wcześniej nie otrzymywałam. Pozwalało także na większą swobodę. Nie musiałam nawet odbijać rykoszetem dydaktycznego rozumowania rodziców i argumentować, że jak dziecko pracuje, to jest dorosłe.

W praktyce ta dorosłość polegała głównie na wikłaniu się w nieudane romanse, a także na odwiedzaniu miejscowego Domu Kultury, jedyne miejsce w Legnicy, gdzie zdarzały się czasem jakieś spotkania literackie czy rozmowy o sztuce. Najczęściej jednak odbywały się tam rozmaite występy kabaretowe, w tym regularne edycje Dymku z papierosa Wojciecha Dzieduszyckiego. To było wszystko. Osiągnęłam pułap swego uczestnictwa w kulturze. Po więcej mogłam jechać do Wrocławia, co się wiązało z koniecznością znalezienia noclegu i w czasach orbisowskiego monopolu hotelowego graniczyło z cudem. Nie wiem, dlaczego nie wpadłam na pomysł korzystania z gościnności Nory, przyjaciółki moich rodziców.

Nora była Estonką przywiezioną do Polski przez swego męża Leona, osobnika przedsiębiorczego, właściciela sklepu z kapeluszami w centrum Wrocławia. Co pewien czas, na ogół wczesnym rankiem, pojawiała się u nas z błyskiem w swych zielonych, po jutlandzku wykrojonych oczach i kuponem materiału pod pachą. - Lita - tak wymawiała imię mamy - chcę sukienkę z falbaną! Na poczekaniu! -Po czym, podśpiewując Oczi cziornyje, stawiała na stole wódkę, wyjmowała karty i wołała ojca: - Michał, gramy! - Ponieważ tata prawie nie pił, sama wykańczała flaszkę i udawała się na popołudniowy spoczynek. Podczas gdy mama uwijała się przy ekspresowym zamówieniu, Nora spokojnie pochrapywała na kanapie w salonie, a wieczorem wbijała swoje krzepkie ciało w nową sukienkę z falba-nami i wyruszała na randkę. Odwiedziłam ją dopiero podczas autostopowej podróży z Jolą. Po długich poszukiwaniach odnalazłyśmy solidną kamienicę w centrum Wrocławia i zadzwoniłyśmy do drzwi. Z drugiej strony odezwała się jej córka, Irma: że nie może nas wpuścić, bo mama, wychodząc do pracy, zamyka ją na klucz. Irma miała

380

wtedy siedemnaście lat i - zadaniem Nory - musiała być trzymana na oku, dopóki nie wyjdzie za mąż. Po 1968 wyjechali do Kopenhagi. Tam również ich odwiedziłam. Mieszkali w skromnym mieszkanku, pracowali w fabryce. Irma miała już męża, ale nie odziedziczyła romansowych skłonności swojej matki. Z okazji mojej wizyty Nora wyciągnęła wino domowej roboty, a Leon, król wrocławskich kape-luszników, wskazał ruchem dłoni na skromnie umeblowany, ciasny salonik i oznajmił: - Jak widzisz, niczego nam nie brakuje. Ze swoim pędem do kultury zdana byłam, praktycznie biorąc, na to samo, co cała Polska powiatowa: na książki, gazety, kino i radio. Nikt z mojego otoczenia (oprócz rodziny Wasyla) nie miał nawet telewizora. Ewentualni duchowi przewodnicy, czyli członkowie intelektualnej elity miasta, chowali się w jakichś stowarzyszeniach i redakcjach zajmujących świeżo odnowione Kramy Śledziowe w Rynku. Ale nawet gdyby nie byli schowani, to jak miałabym dostąpić wyżyn ich mądrości, jeśli reprezentowałam sklep winno-cukierniczy z ulicy Jaworzyńskiej i nawet moje koleżanki i moi koledzy z ekskluzywnego liceum przestali mnie poznawać na ulicy?

Byłam ekspedientką. Ważyłam landrynki, kukułki i wafelki, sprzedawałam bombonierki i wino „patykiem pisane”. Stałam za ladą przez cały tydzień, także w co drugą niedzielę, po dziesięć godzin dziennie, należność liczyłam w pamięci albo na liczydłach, to już umiałam, wrzucałam pieniądze do szuflady, a wieczorem pojawiała się kierowniczką i zabierała utarg do domu. Po pewnym czasie wyszła jej superata, czyli nadwyżka - nie wiedziałam, że aby utrzymać ekonomiczną równowagę sklepu, trzeba kraść. Kierowniczką napisała do dyrekcji wyjaśnienie, że w związku z właściwym gospodarowaniem towarami nietrwałymi (zdarzały się owoce, w tym nawet ananasy) sklep poniósł mniejsze straty niż ustawowo zaplanowane - i odtąd rozsądniej operowała moim dziennym utargiem. No więc stałam za sklepową ladą i

byłam postrzegana jak każda inna ekspedientka w mieście. Nie przeszkadzało mi to, wiedziałam swoje, wie-

381

działałam, że wyjadę, i spokojnie grałam sezonową rolę, nie mieszając jej z osobistymi zainteresowaniami, nie pozując na ofiarę społecznej niesprawiedliwości, nie narzekając, że nie mam z kim skonsultować kierunku przyszłych studiów, bo nawet o nich nie mówiłam, żeby nie wywoływać zdumienia i kpin.

Ze swoich planów nie zwierzałam się także rodzicom. Owszem, tuż przed maturą zakomunikowałam mamie, że właśnie zaliczyłam ostatnią klasę, tu jest taki kawałek białej piki, więc jeśli znajdzie trochę czasu, to może mi uszyje szmizjerkę na maturalny egzamin, bo ja sama muszę się jeszcze trochę pouczyć. Więc mama, oczywiście, stanęła na wysokości zadania i musiała się tą nowiną podzielić z ojcem, bo kiedy - już w tej białej szmizjerce - wychodziłam z domu, zaczepił mnie jakby mimochodem i nonszalancko zapytał, dokąd wychodzę. - Na maturę - odpowiedziałam równie nonszalancko. - Uwierzę w tę maturę, jak zobaczę świadectwo - usłyszałam, zbiegając po schodach.

Zanim jednak to wszystko nastąpiło, obsługiwałam amatorów winno-cukierniczego asortymentu i zastanawiałam się, co wybrać: chemię czy historię sztuki? Z punktu widzenia przyszłej pracy chemia wydawała się praktyczniej sza, za to historia sztuki ciekawsza - choć

382

nie miałam pojęcia, czym też, tak naprawdę, zajmują się po studiach historycy sztuki. To, że mogę nigdzie nie zdać, nie przychodziło mi w ogóle do głowy, przecież inteligentny człowiek potrafi się wszystkiego nauczyć. Jedyną, poza Majką, osobą, z którą mogłam o tym wszystkim rozmawiać, był Janusz Matejko, skądinąd wagabunda, mieszkający w jakimś niewielkim, wynajętym pokoju pełnym książek. Był starszy od nas, był dorosły, miał swoje tajemnice, nie wiedziałyśmy, skąd się wziął w naszym mieście ani z czego żył. Ale też wcale nas to nie interesowało. Ważne, że czytał Witkacego i Gombrowicza, że wiedział, co namalował Wyspiański i kto to był Tytus Czyżewski. Wiedział, lecz jakoś nie umiał się tą wiedzą z nami dzielić. Skończyło się na próbie romansu, jak zwykle nieudanej, bo chyba był dla mnie za dorosły albo ja dla niego za dziecinna. Mimo tej emocjonalnej klęski jakoś przyłgnał do mieszkania na trzecim piętrze, stał się jego stałym bywalcem i pomagał nam w przyswajaniu materiału przed egzaminami. Któregoś dnia, pamiętam, leżałyśmy z Majką w trawie nad rzeką, a Janusz czytał nam na głos wykład o teorii ewolucji. W pewnej chwili spokojnym głosem dodał, że w trakcie badań nad powstawaniem gatunków Darwinowi urósł ogon. Żadna z nas nawet nie drgnęła; akurat Darwinowi mogło się to przydarzyć naprawdę. Po wyjeździe do Warszawy spotkałam Janusza tylko raz, chyba na pierwszym roku studiów. A po wielu latach przysłał mi do Zachęty kartkę z gratulacjami wygrania drugiego dyrektorskiego konkursu. Bez adresu nadawcy.

Majka potrzebowała uczuć. W ten sposób potwierdzała swoją wartość. Zaraz po Norbercie pojawił się Staszek, dla odmiany mały i pucułowaty blondyn, który jeździł na cudownej emzetce, a może nawet na czymś lepszym. Mieszkał przy młynie, gdzieś na końcu Jaworzyńskiej, niedaleko ginekologicznego szpitala, w którym Majka odbierała porody (kiedyś mi nawet pozwoliła zobaczyć, jak to wygląda). Woził ją z pracy do domu, potem także na randki, aż któregoś dnia zaproponował ślub i przedstawił rodzinie. Na tym narzeczeń-

383

stwo się skończyło, ponieważ reakcja rodziny Staszka na Majkę była taka sama, jak wcześniej reakcja rodziców Majki na Norberta - że nie będzie ślubu z Żydówką. Tylko że on się nie zbuntował i nie wyszedł z rodzinnego domu. Został tam, gdzie było jego miejsce - przy młynie. Majka natomiast uparcie dążyła do uzwyczajnienia swego statusu, pragnęła nade wszystko być atrakcyjną i kochaną kobietą, a dopiero później, ewentualnie, Żydówką.

Zgodziła się więc na następny eksperyment. Tym razem jej wybrankiem został przystojny i elegancki przedstawiciel inteligencji z tradycjami, który zaprowadził ją na rodzinny obiad zaledwie po dwóch czy trzech spotkaniach i demonstracyjnie przedstawił: - Moja narzeczona, Żydówka. - Przy stole zapadło uprzejme milczenie, Majka wszakże zrozumiała, o co chodzi, i zerwała narzeczeństwo, zanim doszło do poważniejszych konfrontacji. Następnym konkurentów trzymała już na dystans i starała się nie poznawać ich rodzin, chociaż akurat mama bardzo sympatycznego i niegłupiego Julka, mojego kolegi z podstawówki, robiła wrażenie osoby niehołdującej rasowym przesądom. Na wszelki wypadek Majka jednak wolała, żebym to raczej ja składała jej wizyty w redakcji miejscowego tygodnika, bo byłam tylko koleżanką. Z jakichś powodów Julek także nie przetrwał, a kiedy zdawałyśmy maturę, wokół Majki kręcił się sympatyczny amator żeglarstwa. Też się wybierał na studia, zdawał w Warszawie na geografię, ale nie znalazł swego nazwiska na liście przyjętych. Pływałyśmy więc na jego żaglówce po okolicznych jeziorach podczas naszych ostatnich legnickich wakacji, a potem każde ruszyło w swoją stronę.

Nie rozumiałam ani nie akceptowałam tego, że moja przyjaciółka, znakomita matematyczka, nie zdaje ze mną do Warszawy, tylko jedzie do jakiegoś prowincjonalnego Opolą. Przecież tylko dzięki niej przerobiłam cały program szkoły średniej, cztery grube podręczniki matematyki, w ciągu kilku zaledwie przedmaturalnych tygodni, w dodatku z przerwami na brydża, i zdałam egzamin na czwórkę. W końcu zamierzała studiować matematykę, kierunek deficytowy

384

także na Uniwersytecie Warszawskim, nie musiała - jak ja na historii sztuki - wygrywać konkursu ocen. Na czas egzaminów zatrzymałam się u państwa H. na Grójeckiej. Ich „znający mnie od urodzenia”, dwa lata ode mnie starszy syn Roman też właśnie zdawał na studia. Zdaje się, że miał jakieś trudności ze skończeniem szkoły średniej i zapewne dlatego jego ojciec, Adrian, zapytał wprost, ile też kosztowała moja matura? Ile moi rodzice zapłacili za moje świadectwo dojrzałości? Malowałam już wówczas oczy i usta, nosiłam dziwaczne stroje, więc mogłam uchodzić za kretynkę, ale żeby na tej podstawie oceniać nie tylko mnie, ale i moich rodziców? W kontekście tego, co miałam za sobą, pytanie Adriana wydało mi się tak absurdalne, że chyba po prostu wybuchnęłam śmiechem. Dziś wiem, że Adrian nie miał obraźliwych intencji; po prostu chciał porównać stawki, sądząc zapewne, że na prowincji matury były tańsze.

Majka się uparła przy Opolu. Wolała nie ryzykować, wolała mieć pewność, że się dostanie. Oczywiście zdała i zamieszkała w akademiku, jak wszyscy. Po drugim roku wyszła za mąż za nieznanego mi kolegę z akademika, rodem z Kielecczyny. Kiedy w trakcie kolejnej autostopowej wyprawy zawitałyśmy z Jolą do Opolą, była właśnie po słowie, ale się jakoś nie cieszyła. Siedziała osowiała, zrezygnowana i wyjaśniała, że musi dotrzymać obietnicy, bo to „sprawa honorowa”. - Wyzwij go na pojedynek - wykrzykiwałam - honorowe sprawy załatwia się, rzucając rękawiczkę, a nie biorąc ślub! - Nie posłuchała. Cywilna rejestracja związku odbyła się w Opolu, ale rodzina oblubieńca naciskała na ślub kościelny, najlepiej u nich, w miejscowej parafii. Wtedy się okazało, że jednak łatwiej o rozwód.

Nie wiem, kiedy dokładnie Majka odzyskała wolność, ale wiem, że na tym małżeństwie skończyły się jej próby wybicia się na obywatelską równość, na życie ponad wyznaniem i pochodzeniem. Zrezygnowała. Skończyła studia przede mną, akurat w 1968, wróciła do rodziców i znowu wyszła za mąż, tym razem pod ich dyktando, za jakiegoś młodziutkiego pętaka z odpowiednim - żydowskim -

385

pochodzeniem. W 1969 urodziła córkę i zaraz potem wyjechała. Nie odprowadzałam jej, nie godziłam się na tę jej rezygnację. Później dostałam wiadomość, chyba od mamy, że trafiła do Kopenhagi, już bez męża, który - zdaje się - wyjechał w innym kierunku.

Pomogła mi ją odszukać Ewuśka, moja ówczesna sąsiadka z Czerniakowskiej, dzisiaj już wieloletnia przyjaciółka, którą wtedy, w połowie lat siedemdziesiątych, związały z Danią małżeńskie losy. Najpierw dostałam od Majki list, potem zaproszenie. Pojechałam do niej z Mateuszem w grudniu 1975 roku. Na święta i sylwestra. Mieszkała z nowym mężczyzną o imieniu Wadim, z rosyjskiej fali repatriacyjnej. Mieli sympatyczne mieszkanie w przyzwoitej dzielnicy i nieźle prosperujący sklep pod nazwą Gryf, niedaleko portu, do którego zawijały polskie statki. W garażu stał mercedes, w sypialni wodne łóżko. Bella, kilkuletnia córeczka Majki o ciemnych włosach i wielkich, niebieskich oczach po swojej matce, bawiła się z młodszym

od siebie Mateuszem w kolorowanki, a kiedy zasmarował na czarno rysunek osła, z całą powagą zapytała: - Gdzie ty widziałeś czarny osioł? - Wyglądało na to, że jest całkiem dobrze, gdyby nie wybuchy agresji Wadima. Nie polubiłam go. Nie umiałam się do niego przekonać nawet wtedy, gdy - już po świętach i sylwestrze - zawiózł mnie z Mateuszem do Kolonii. Jechał do Niemiec po towar i zabrał nas, choć nie musiał, bo to wymagało nadłożenia drogi. Nie polubiłam go tak dalece, że kiedy wylądowaliśmy w mieszkaniu Georga i Lieby, moich niemieckich przyjaciół, pozwoliłam mu tylko zjeść z nami kolację, a potem oznajmiłam zimno, że Wadim się spieszy do Hamburga, gdzie ma zarezerwowany hotel. Jego twarz stężała, a dłonie zwinęły się w pięści. Ale pożegnał się grzecznie i odjechał. Po pewnym czasie - upłynęło chyba kilka miesięcy, może rok - Ewa przywiozła z Kopenhagi wiadomość, że pewnego dnia Wadim nie tylko zwinął dłonie w pięści, ale puścił je w ruch. Uderzył Majkę tak, że przeleciała przez pokój, od drzwi do okna, i odbiła się głową od kaloryfera. Sąd orzekł nieumyślne spowodowanie śmierci. Wadim trafił do więzienia. Losu Belli nie poznałam.

Czekanie

Powraca nawyk czekania. Przyzwyczajam się. Uzależniam. Czekam, nie wiedząc, że czekam. Właściwie nie pamiętając, że czekam. Jak nie pamiętam, że noszę okulary. Bez okularów nie mogę tylko czytać, w innych sytuacjach, kiedy nie czytam i nie piszę, mogę się bez nich obejść, ale wygodniej jest nosić je przez cały dzień, podwójna ogniskowa pozwala także spoglądać w dal, w stronę horyzontu, cylindry korygują obuoczny astygmatyzm, który - mam nadzieję - nie jest skutkiem nabytego przy zupie zeza. Rodzice - i tata, i mama - nosili okulary „z kreską”, teraz jednak można sobie zamówić szkła progresywne, już przez samą nazwę sugerujące wiarę w postęp i zmianę na lepsze. Noszę więc okulary przez cały dzień, zdejmuję je tylko na noc, tuż przed zaśnięciem, po odłożeniu nasennej lektury, kiedy włącza się nocna część mózgu, a ta dzienna przechodzi w stan spoczynku, jak w komputerze, kiedy się kliknie polecenie: hibernate. Nocny mózg produkuje inną świadomość. Jestem w niej kompletna i nieobciążona czekaniem. Nawet nie mam już głupich snów, przynajmniej ich nie pamiętam. Od lat nie pamiętam snów. Ostatni zapamiętany był bardzo dawno, ale nie znalazłam jeszcze dla niego miejsca w chronologii wydarzeń. Wiem jednak, że był ostatni i dawny, więc przyśnił mi się jakoś niedługo po snach o mamie. Byłam w leśniczówce (w życiu nie byłam w leśniczówce), wybierałam się

388

na polowanie (nigdy nie byłam na polowaniu), wkładałam właśnie szynel - szynel, nie myśliwską kurtkę - i, zapiawszy klamry rzemiennego pasa, spojrzałam w lustro, duże, jak w krawieckiej pracowni mamy, zwieńczone girlandą jelenich poroży. I wówczas zobaczyłam w lustrzanym odbiciu, że z szynela, który mam na sobie, nie wyłania się ani moja, ani żadna inna głowa, choć ręce nadal majstrują przy pasku. I na tym sny się skończyły. Po prostu zapadałam w stan spoczynku i nawet nie wiem, czy wówczas także czekam. Może jakoś bezwiednie, tak jak bezwiednie się śpi? Czekanie aktywne, czy może raczej świadome, powraca wraz z założeniem okularów, kiedy widzenie się wyostrza, ale rzeczywistość wygląda na trochę przebarwioną; jedno i drugie bowiem, okulary i czekanie, filtruje każdy

kadr i zmienia wygląd świata, sprawiając, że jego obraz staje się bardziej wyrazisty albo może tylko zanadto kontrastowy, jak prześwietlone zdjęcie. Generalnie jednak nie pamiętam, że czekam, jak nie pamiętam, że noszę okulary. Kwietniowy szok powoli rozchodzi się po kościach, coraz częściej pojawia się przypuszczenie, że może to jednak przypadkowa zbieżność, przypadkowe podobieństwo - przecież już raz zaistniała taka sytuacja, kiedy pan policjant podsuwał nam zdjęcia młodego człowieka, blondyna zmarłego w cudzym mieszkaniu po „nadużyciu”, po złotym strzale. Tamte zdjęcia, podobnie jak te ostatnie, były dostatecznie niewyraźne, abyśmy mogli zważyć. To właśnie wówczas postawiłam kategorycznie sprawę „materiału genetycznego”. A po tym, jak na ulicy Oczki oddałam krew, nikt już nas nie nagabywał, nikt nas nie nakłaniał do „uznania za zmarłego”. Nastąpiła kilkuletnia cisza. Kiedy jednak przy okazji kwietniowego „okazania” zapytałam o tamtą sprawę, dowiedziałam się, że przypadek został pozytywnie wyjaśniony, to znaczy znaleźli się rodzice tego chłopca. Może więc teraz także nastąpiło pozytywne rozwiązanie, czyli że badania genetyczne dały negatywny wynik, znaleźli się właściwi rodzice, właśnie weszli w okres żałoby, i tylko zapomniano nas o tym wszystkim zawiadomić? Nie mówię sobie tego.

Nie arty-

389

kułuję takiej możliwości, takiej ewentualności. Tylko czekam. Kilka razy zadzwoniłam, owszem. I dowiedziałam się tego, co wiem. Że muszę czekać. Sprawa nadal jest w toku. To prawda, przewidziane na takie badanie sześć tygodni dawno minęło, już nawet minęło sześć miesięcy, ale cóż - procedura jest procedurą, procedury się nie przeskoczy. Więc czekam, tyle że z mniejszą determinacją, czekanie ma rozrzedzoną konsystencję, podobną do tej, jaką miało przez tamte minione lata. Odbywam podróże, poniekąd służbowe, daję się wciągać w społeczne gremia i w odgrzewanie zatrzymanych nie tak dawno projektów - jest nowy rząd i nowy minister, teraz wszyscy znów mnie bardzo lubią, lubią moje pomysły, moje teksty, chcą nawet wydać po angielsku moją książkę. Tę o sztuce. Zaczęła im się podobać. Właściwie zawsze im się bardzo podobała, jest świetna, tak uważają, tylko zapomnieli mi o tym powiedzieć. Przecież nie jest jeszcze za późno, prawda? Ja też ich wszystkich lubię, nie jestem pamiętliwa, proszę bardzo, niech wciągają, niech odgrzewają, niech wydają. I w związku z tym mogę także polecić tu czy tam, przygotować jakąś wystawę, to pozwala oderwać myśli od własnego życia, zrobić przerwę w napinaniu pamięci, w przepowiadaniu sobie oderwanych wydarzeń, które i tak niczego nie wyjaśniają, o niczym nie zaświadczą; które - wbrew wcześniejszym oczekiwaniom - nie złożą się na zborną całość, mającą mi pokazać mnie samą, możliwie kompletną, nie taką, jak w ostatnim śnie - bez głowy. Obserwuję więc sama siebie, jak miękko wracam do punktu wyjścia, jak znów mi się rozmazuje granica między tym, czego naprawdę chcę, a tym, co mi podsuwa życie. A przecież to też mam przećwiczone, to też wiem od dawna. Dlatego, kiedy miałam dwadzieścia siedem czy dwadzieścia osiem lat, powiesiłam sobie nad łóżkiem starą prawdę: Każdy ma to, na czym mu najmniej zależy. Nie zależało mi na pozycji, nie planowałam kariery, chciałam - drobiazg - po prostu trochę szczęścia w życiu. Pod innymi względami byłam mniej ambitna od przyjaciółek, które walczyły o coś poważnego, miały rozmaite

390

plany życiowe i zawodowe. Rezygnowały z macierzyństwa, ponieważ brały pod uwagę odpowiedzialność, która nie okazała się moją mocną stroną, bo nie starczało mi wyobraźni, czym jest wychowywanie dziecka - w końcu moi rodzice, tak to wówczas widziałam, nie włożyli w moje wychowanie wielkiej pracy. Wierzyłam, że potrafię dać dziecku więcej niż oni, wystarczy po prostu spotkać właściwego mężczyznę, aby w domu zagościła miłość i zgoda. Jak w bajce. Oczywiście na początku nie wiedziałam, że stabilne związki są nie dla mnie, że się do nich nie nadaję. Ale później to już tak. Nawet usiłowałam o tym mówić, na przykład memu mężowi - zanim się oświadczył. Nie byłam jednak konsekwentna i w końcu

ulegałam pokusie podjęcia jeszcze jednej próby. Ze względu na dobro dziecka, tak mi się wydawało. Żeby żyło w pełnej rodzinie. Miałam jakąś wizję pełnej rodziny, znacznie różniącą się od modelu, w jakim sama

391

wyrośłam; moja rodzina nie była pełna, choć z boku, z zewnątrz, mogła na taką wyglądać. Dopiero później zrozumiałam, że jednak była bardziej pełna od tych trzech, które próbowałam tworzyć i które za każdym razem zakładałam z jakąś magiczną wiarą, że teraz będzie inaczej, lepiej. Jakby mi nie wystarczało dotychczasowe doświadczenie albo jakbym ustawicznie wymazywała wiedzę na temat swojego nieprzygotowania do życia w rodzinie. - Masz skłonność do mylenia chciejstwa z rzeczywistością - powiedział kiedyś mój osobisty astrolog. To mogła być prawda, powinnam była jednak pamiętać chociaż o tym, co sama sobie kiedyś napisałam. Że dostaje się właśnie to, o co się zbytnio nie zabiega. Podobny sens miała rada, którą usłyszałam od Ryszarda Stanisławskiego: - Nic nie rób, sami do ciebie przyjdą! - mówił, kiedy do niego przyjechałam, jeszcze do muzeum w Łodzi, z niejasnym oczekiwaniem, że mi wskaże drogę, bo właśnie rzucałam Instytut i rejestrowałam fundację, żeby stworzyć dla sztuki - i dla siebie - naprawdę niezależny obszar działania. Oczywiście okazałam się naiwna. Oczywiście nie było mowy o niezależności już w chwili, gdy zawarłam pierwszą w życiu dżentelmeńską umowę. Umówiłam się ze znajomym, że, jako osoba źle widziana przez rząd generała J., schowam się za jego plecami, on tak na niby będzie prezesem, a ja - też tak na niby - dyrektorem artystycznym. Ale zaraz po rejestracji on jakoś o tej umowie zapomniał i naprawdę zaczął mną rządzić; przywiązał się nie tylko do tytułu, ale i do funkcji. To doświadczenie jednak niczego mnie nie nauczyło. Nadal godziłam się na podobne umowy, tyle że już z mniejszą wiarą, za to z naiwną nadzieją, że tym razem wpojona mi przez ojca kategoria honoru wygra z małostką moich zawodowych partnerów obojga płci. A jeśli nie będą wystarczająco honorowi, to może przynajmniej eleganccy. Albo chociaż przywoici. Nie ze względu na mnie, skądże, ale z szacunku do siebie. Z powodu tego przysłowiowego lustra, w które się rano patrzy przy goleniu lub malowaniu rzęs.

392

Tak więc zapamiętałam strategiczną radę mistrza, ale się do niej nie zastosowałam, choć powtórzył ją jeszcze raz, kiedy już sam nie mógł ani pracować, ani nawet chodzić; kiedy już tylko żegnał się z nami i ze światem; kiedy w zasięgu ręki miał świętego Augustyna, a w zasięgu wzroku, zaraz za oknem, czereśniowe drzewo przypominające mu kompoty robione przez Urszulę, jego ostatnią żonę, i kiedy, powściągliwie relacjonując postępy choroby, podzielił się za mną nagłym odkryciem, że Alina również umarła na raka kości, czym zdradził bieg swoich myśli przesuwających się z ostatniej żony na poprzednią, na wielką Alinę Szapocznikow, a więc także z jednej śmierci, cichej i nieabsorbującej, na drugą, bolesną i oprotestowaną krzykiem.

Nie zastosowałam się do jego rady, bo nie umiałam nic nie robić. Nie umiałam czekać, aż do mnie przyjdą. Wtedy, po spotkaniu w Łodzi. A później, w okresie, kiedy słuchałam jego testamentu, już czekałam, ale nie na to, żeby do mnie przyszli, tylko na swoje dziecko, coraz bardziej wirtualne, zatrzymane w niedorósłości, zapamiętane w zamkniętych kadrach rwanych rozmów, unieruchomione w coraz bardziej odległej przeszłości. Czekałam, ale nadal pracowałam. I im bardziej czekałam, tym więcej pracowałam. Aż do dnia, kiedy zobaczyłam policyjny „materiał” - podobnie nierzeczywisty i podobnie niewiarygodny, jak obrazy zastygłe w mojej pamięci. Wtedy przestałam pracować. Skoncentrowałam się na naprawianiu pamięci. I na czekaniu, oczywiście. Może już mniej na dziecko, a bardziej na prawdę, na ostateczne rozstrzygnięcie, które przetnie tę nieznośną ambiwalencję związaną z użyciem odpowiedniej formy czasownikowej, wyrażanej w języku angielskim przez słowo tense, a nie time, i rozwiąże kwestię, czy nadal mam syna, czy może go tylko miałam (ale już nie mam),

choć przecież takie rozstrzygnięcie nic nie powie o stanie faktycznym, bo w istocie rzeczy nie potrafię określić i umieścić w czasie dnia, miesiąca, a nawet roku, kiedy go straciłam, kiedy przestałam być jego mamusią, a stałam się jakąś

393

daleką krewną funkcjonującą na zewnątrz jego świata. Poprawność gramatyczna nie będzie też miała nic wspólnego ze stanem uczuć ani z pojęciem nieograniczoności macierzyństwa, które wyraża się zawsze, ustawicznie, przy użyciu czasu teraźniejszego. Więc czekam, aż zamknie się czas gramatyczny, zewnętrzny, a pozostanie czysto subiektywny bezczas, ustawiczna teraźniejszość życia w stanie niedoboru, wypełniona znanym od dawna poczuciem utraty.

Splot

Niespodziewanie odzywa się moja kuzynka Ewa z Zurychu. Źe przeprasza za długie milczenie, właśnie utracili ten piękny dom na wzgórzu, przeprowadzili się, oczywiście z całą literacką agencją, do mniejszego lokalu, to zajęło dużo czasu i energii. - Wyobrażasz sobie, co to znaczy, tak się przenosić z całym dorobkiem? - Owszem. Robiłam to wiele razy. Ewa naprawia zaniedbania dotyczące naszego drzewa genealogicznego. Rzeczywiście, wszystko potwierdza, że jesteśmy bliską rodziną. Ogniwem, które nas łączy, jest moja i jej cioteczna babka „Helen” z Budapesztu. Czy to nie zastanawiający

395

splot okoliczności, że się tak kiedyś spotkałyśmy zupełnie przypadkowo, a teraz, proszę, odkrywamy, że jej dziadek i moja babka mogli być rodzeństwem? Oczywiście, węzeł naszych rodzinnych koligacji nadal nie został do końca rozsupłany, ale może nam w tym pomóc nasz kuzyn Joseph z Madrytu. Czy go znam? Nie znam? To ona nas pozna. Przez internet, bo chociaż Joseph ma już pod dziewięćdzie-siątkę, to nadal jest w dobrej formie. Najpierw jednak Ewa uzupełnia wiadomości o swoim ojcu i dziadku. Oni, w tej części rodziny, wiedzą więcej o swojej linii niż ja o swojej, choć moja obecna wiedza i tak jest znacznie rozleglejsza niż przed rokiem. Tak więc dowiaduję się,

396

że po wylądowaniu na węgierskiej ziemi jej dziadek Samuel otworzył w Budapeszcie sklep („towary używane”) przy ulicy Paulay Ede pod numerem 46, ożenił się z Karoliną Lebovics i miał z nią sześcioro dzieci. Ewa nie jest pewna kolejności ich przychodzenia na świat, ale sądzi, że najpierw był Sigmund (Zsiga), potem Wolf (Willi), czyli jej ojciec. A może dziewczynki - Fanny i Sara - były starsze? Tak, chyba nawet na pewno, bo Joseph to syn Fanny, a jest dwadzieścia trzy lata starszy od Ewy. Byli jeszcze dwaj inni chłopcy: Dawid (Dondi) - ten zmarł na hiszpankę - i Heimi (czyli Chaim), który zginął w Rosji bodaj w 1942 roku. Wokół osoby Heimiego zaistniała rodzinna kontrowersja. Jedni twierdzą, że pozostawił po sobie córkę Gizi (Gizełę), o której jednak nie wiadomo nic bliższego. Inni natomiast są przekonani, że nie miał żadnej córki, tylko syna Lad (Laszlo?). Żona Heimiego miała na imię Irene. W 1956 uciekła z Budapesztu do Szwajcarii, zamieszkała z synem w Bernie. Laci akurat skończył szesnaście lat, kiedy pojechał na szkolną wycieczkę do kantonu Grisons i spadł w przepaść. Przypominam sobie, że w tym kantonie mówi się językiem retoromańskim i produkuje ementaler według tradycyjnych recept. Na skałach wznoszących się ponad prastarymi kupieckimi szlakami stoją figury świętego Krzysztofa, opiekuna podróżnych. Może Laci zboczył ze szlaku?

W tym samym roku co Heimi zmarła jego matka Karolina, która - zgodnie z rodzinnymi świadectwami - stanęła pewnego dnia za blisko kuchennego pieca i poły jej szlafroka zajęty się ogniem. Czy coś podobnego może się zdarzyć dwukrotnie w tej samej rodzinie?

Wcześniej słyszałam o podobnych okolicznościach śmierci Fanny, jej córki. Tyle że Fanny miała umrzeć w płomieniach jeszcze w roku 1924 i nie w bliskości kuchennego pieca, ale przy zwykłym prymusie. W każdym razie śmierć Karoliny Lebovics-Rottenberg, choć

najzupełniej indywidualna i niemająca wiele wspólnego z wojną, była w swym ogólnym, finalnym efekcie jakoś podobna do śmierci masowej, dotyczącej dokładnie w tym samym roku set-

397

ki tysięcy innych kobiet. Mam na myśli efekt zaszczepienia i proces spalania.

Samuel żył trochę dłużej niż jego żona. Zmarł z głodu i wycieńczenia w budapeszteńskim getcie na przełomie 1944 i 1945 roku. Tak twierdzi Ewa. Ale jakim cudem tak długo w tym getcie pozostawał, podczas gdy inni zwartym szeregiem szli do wagonów dojeżdżających planowo do rampy w Birkenau, tego Ewa nie wie, bo jej już tam nie było - wraz z siostrą Vera i matką bezpiecznie wylądowały w Szwajcarii i właśnie do nich dobijał Willi, ich ojciec. Istniała szansa, bym go poznała, żył jeszcze, kiedy odwiedziłam Verę w Bazylei niedługo po naszym pierwszym spotkaniu, ale akurat wypadał szabat. Vera żałowała, że nie może do niego zadzwonić, a nawet gdyby zadzwoniła, to przecież ojciec i tak nie podniósłby słuchawki. Czemu ci Żydzi muszą sobie tak komplikować życie? - myślałam podczas wydanego na moją cześć obiadu. Potem wyjechałam, a Willi, mój wujek, zmarł. Nawet nie wiem, kiedy dokładnie. Nie wiem też, co się stało z wujkiem Zsigi. Ale kiedyś się dowiem. Ciotka Sara została zabrana przez nazistów w listopadzie 1944 ze swego domu w Budapeszcie

I pognana w kierunku Wiednia. Możliwe, że nie nadążała za tempem słynnego „marszu śmierci” i zastrzelono ją za opieszałość lub też zmarła po drodze z wycieńczenia. W każdym razie nie dotarła do Mauthausen. A co do Fanny, to wyszła za Alberta (Abrahama) Boh-rera i zanim jej suknia zajęła się od płomienia spirytusowej kuchenki zwanej prymusem, urodziła dwoje dzieci. Chłopców Jednym z nich był właśnie Joseph, ten z Madrytu. Drugim Emeryk, po węgiersku Imre, który zmarł, pełniąc „służbę pracy” - tak określano węgierskie modele obozów, opisane przez jego imiennika Imre Kertesza. Eme-ryka znalazłam na internetowych stronach Yad Vashem. Urodzony

2 lutego 1921 roku, zginął 20 października 1944 w Dombrad Sza-bolcs. Dwa dni później w innym obozie, w Sopronie, umarł Artur Leitman, najstarszy syn Helen, mojej ciotecznej babki. Jego też znalazłam w Yad Vashem. Był starszy od Emeryka, przyszedł na świat

398

25 lipca 1914 roku, akurat na początek pierwszej wojny, która zresztą oszczędziła rodzinę. To, że Arturowi nie udało się przeżyć następnej wojny, okazało się faktem o kluczowym znaczeniu dla drugiego syna Fanny Rottenberg, Josepha. Z jego skąpych relacji wyłania się następująca historia.

Artur Leitman, syn Helen z domu Rottenberg, ożenił się jeszcze przed drugą wojną z Katy Roth. Urodziło im się dwoje dzieci: To-mas i Ewa. Kiedy Artur zginął, jego młodszy o pięć lat kuzyn Joseph Bohrer też już miał żonę i syna Andrasa. Marta, żona Josepha, była kobietą miłą i atrakcyjną, ale on od dawna interesował się Katy. Niewykluczone, że poślubił Martę z uwagi na to, że Katy wybrała Artura. Po wojnie zabrała dzieci oraz swego ojca i wyjechała do Maroka, do Tangeru, gdzie, uciekając w 1939 roku przed Hitlerem, wylądowała jej matka i otworzyła hotel z restauracją. Spotkali się, jakoś urządzili i zaaklimatyzowali. Wszyscy z wyjątkiem Tomasa, który złapał jakąś tropikalną chorobę i zmarł. Tymczasem Joseph doczekał się w Budapeszcie zakończenia wojny, rozwiódł z Martą i wyjechał do Brukseli. Przemieszkał tam rok, a potem podążył do Tangeru na poszukiwanie Katy. Nie wiadomo, jak długo zabiegał o jej względy, ale cel osiągnął. Zamieszkali wszyscy razem, hotel działał bez zarzutu aż do śmierci właścicielki w roku 1954. Wtedy, także z nieznanych powodów, Joseph zabrał Katy i jej córkę do Madrytu, dokąd sprowadził z Budapesztu swego syna. Przez następne pół wieku, a dokładniej przez pięćdziesiąt trzy lata, byli szczęśliwym małżeństwem. Katy zmarła w roku 2007. Tuż przed śmiercią zdążyła jeszcze złożyć w Yad Vashem

świadczenie zgonu swego pierwszego męża, Artura, dzięki czemu ja, siedząc w Warszawie przy komputerze, mogę poznać dokładne daty życia mego kolejnego nieznanego wujka. Przynajmniej tyle, jeśli nie mam dostępu do żadnego zdjęcia i do jakiegokolwiek innego dokumentu. Wynalazek internetu pomaga także Josephowi: pozwala mu utrzymywać kontakt z całą rodziną, co jest niezwykle ważne teraz, kiedy czuje się osamotniony po śmierci swej ukochanej

399

i z takim trudem zdobytej Katy. A ja zaczynam rozumieć, dlaczego Joseph wie o naszej linii więcej niż Ewa: nie dość, że sam się wywodzi z Rottenbergów, to jeszcze przejął żonę i córkę po innym potomku tej samej i - jak teraz widzę - bardzo rozgałęzionej rodziny.

KWIECIEŃ

Walizka złotych zegarków

Leżał na granitowej ławie w sali przypominającej kaplicę, w ponemieckim szpitalu w Kołobrzegu. Prześcieradło okrywało nagie ciało od pasa w dół, szczeka podwiązana była bandażem zawiązanym na kokardę. Ta kokarda i nagi tors ojca na zimnym kamieniu zaprzeczały powadze śmierci, a jednocześnie czyniły z niej zdarzenie absurda, jakim w istocie zawsze była. Wówczas jednak nie myślałam o tym w ten sposób, chciałam raczej odebrać śmierci jej obcość, ukryć bezbronną nagość ciała, ubierając ją w oswojony kostium ceremoniału, co w praktyce oznaczało ubranie ojca w garnitur. Ale nie można było tego uczynić, bo ubranie i wszystkie inne rzeczy znajdowały się w szpitalnym magazynie, a magazynier razem z kluczem pojechał na grzyby - była wolna sobota, w tamtym okresie przypadająca chyba raz na miesiąc i celebrowana jak święto. - Jest wolna sobota - powiedziała urzędnik stanu cywilnego i westchnęła, wskazując ręką na parę, którą właśnie połączyła cywilnym węzłem. Musiałam przeczekać gratulacje i tradycyjny kieliszek szampana. Skreślanie taty z ewidencji trwało parę minut. Urzędnik wręczyła mi na pamiątkę wyrwane z dowodu zdjęcie taty sprzed kilkunastu lat. Dowód anulowała, czyli pocięła i wrzuciła do kosza, robiąc w aktach odpowiednią adnotację. Potem się dowiedziałam, że bez załatwienia bardzo licznych formalności i zezwoleń, przede wszystkim w Zakła-

401

dzie Zieleni Miejskiej, nie mam szans na zabranie ojca z Kołobrzegu, a procedury można rozpocząć dopiero w poniedziałek. Postanowiłam przynajmniej załatwić trumnę. Jedyny czynny zakład stolarski mieścił się poza miastem. Wydawał się maleńki, mniejszy niż był w rzeczywistości, ponieważ niemal całą jego przestrzeń wypełniały pogrzebowe utensylia. Właściciel od razu przeszedł do konkretów. - Jaki rozmiar? - zapytał rzeczowo. Nie wiedziałam, czym się mierzy rozmiar trumien. Opisałam parametry taty: raczej szczupły, średniego wzrostu. - Dąb? Mam akurat gotową, pani sprawdzi, czy się nada. - Była w porządku, z pulchnymi aniołkami, które podtrzymywały przymocowany do wieka, solidny, srebrny krzyż.

Późnym popołudniem magazynier wrócił z grzybów i wydał mi własność taty. Pokwitowałam ciemny garnitur, jasny prochowiec, walizkę w zieloną pepitkę (import z Czechosłowacji) i solidną teczkę ze świńskiej skóry, z dużymi kieszeniami i paskiem z klamrą. Tata zawsze podróżował z teczką, tak było elegancko. W jej przepastnych kieszeniach znalazłam papierosy Wrocławskie, dwie talie kart i prezerwatywy. - Nie będziemy czekać na żadną zielen. Ani miejską, ani wiejską - zdecydowała mama, kiedy wreszcie do niej zadzwoniłam i opowiedziałam o wymaganych zezwoleniach. Po dwóch godzinach otrzymałam od niej instrukcje. Miałam się stawić pod szpitalem wcześniej rano i czekać na bagażówkę, która właśnie wyjeżdża z Legnicy. Kierowca nazywa się Bolek.

Istotnie, następnego ranka czekała pod szpitalną kaplicą niepozorna furgonetka marki Żuk, do której bez przeszkód wjechała dębowa trumna z ojcem w środku. Nikt nie pytał o zezwolenia. Jechaliśmy w milczeniu, bez pośpiechu, malowniczą drogą wśród jezior. Bolek przestrzegwał

przepisów, choć trumna była przymocowana pasami i przykryta kocem. W samo południe nastąpiła awaria. Stanęliśmy na maleńkim parkingu przy jakiejś leśnej gospodzie, Bolek wczuł się pod samochód i rozpoczął przegląd. Wszystko musiał zrobić sam -

402

z takim ładunkiem wolał nie korzystać z pomocy osób postronnych. Do Legnicy dotarliśmy po północy. Zanim oddałam mamie teczkę, wyjęłam prezerwatywy. A następnego ranka pojawił się pan K.

Pan K. był spodniarzem, tata powierzał mu czasem podwykonanie, czyli zszycie już wykrojonych i sfastrygowanych spodni. Chodził zwykle bardzo wyprostowany, z głową nieco zadartą ku górze. - Chodzi jak dygnitarz - mawiał tata z przekąsem. Kiedy więc przyszedł z wyrazami ubolewania, robił raczej wrażenie lustratora. Wkroczył z namaszczaniem do kuchni i jeszcze zanim usiadł do stołu, zadał mamie brzemiennie w skutki pytanie:

- Czy pani rozmawiała z mężem przed śmiercią? - zapytał uprzejmie, patrząc na szyby kredensu ponad głową mamy.

- Co pan mówi, przecież ja byłam w Rosji.

- A wcześniej?

- Wcześniej to on chodził grać w karty.

- A pani? Czy pani może rozmawiała z tatusiem przed śmiercią? - zwrócił się do firanki nad moją głowę. Wzruszyłam ramionami, choć przecież czułam, do czego to wszystko zmierza.

Pan K. machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie warto rozwijać wstępnej konwersacji, i przeszedł do meritum: - Nie mówił pani, gdzie chce leżeć? - zapytał, ponownie zwracając się do firanki.

- Dlaczego miał mówić? Nie wiedział, że umrze tak nagle.

- Nagle, nienagle. On coś czuł. - Pan K. pokiwał głową i przymknął oczy. - Ze mną rozmawiał - powiedział po chwili; rozumiał rolę pauzy w dramaturgii.

Nastąpiła cisza. Mama jednak nie wytrzymała:

- I co powiedział?

- Że chce leżeć z Żydami.

- Przecież tata nie był religijny - wykrzyknęłam bez sensu.

- Kto mówi, że był? On tylko chciał leżeć z Żydami, co ma do tego religia?

- Ale jeśli tata będzie z Żydami, to gdzie ja położę mamę?

403

Mama najpierw się trochę zachnęła, że już ją wyprawiam na cmentarz, ale natychmiast zrozumiała moje intencje i zaczęła energicznie potakiwać. Pan K. poczuł się dotknięty: - Pani robi, co pani chce, ja tylko przekazuję ostatnie życzenie pani tatusia!

Rozklejenie osobowości ojca - jej rozdarcie między polskością i wynikającym z niej udziałem w polskim „całokształcie” a wyskakującą spoza niej znieczarna żydowską czkawką - dawało o sobie znać coraz częściej po latach jego niepełnej przydatności, która zaczęła się od trzymającej go całymi tygodniami czkawki rzeczywistej, będącej symptomem rzadkiej, trudnej do zdiagnozowania choroby skracającej moje dzieciństwo. Druga czkawka, żydowska, wracała potem w postaci westchnień przy takich okazjach, jak lektura Szaloma Asza: - To bardzo dobra książka - mówił bez przekonania, bo wiedział, że minął czas, kiedy mógł mnie nakłaniać do lektur, że role się zmieniły i teraz ja byłam opiekunką, a on podopiecznym, szczególnie odkąd został skazany na gipsowe „łóżeczko”, w którym leżał miesiącami, czekając, aż wapno wypełni dziury wyżarte przez gnieźdzącą się w jego kręgosłupie gruźlicę. - Dziś jest żydowski Nowy Rok - nadmieniał kiedy indziej, jakby mimochodem, wiedząc, że nie zatrzyma mojej uwagi, że nie będzie mu dane rozwinąć tego wątku, bo mój Nowy Rok przypada 1 stycznia, tak było zawsze, do takiego kalendarza zdążył mnie przyzwyczaić. Kiedy wyjechałam i wpadałam już tylko na krótkie, świąteczno-wakacyjne przerwy, starał się złowić moją uwagę, najczęściej przy śniadaniu, żeby mi

powiedzieć, że Żydzi umierają. - Żydzi umierają - mówił spokojnie, z rezygnacją. - Wszyscy umierają - odpowiadałam, spychając ten temat do poziomu logicznej konstatacji znanej ze szkoły jako rozumowanie indukcyjne.

Tyle, i tylko tyle, był mi w stanie przekazać na temat swoich korzeni, o których musiał myśleć równie często i z żalem, jak o swej wieloletniej bezużyteczności, kiedy leżał godzinami na kanapie ze wzrokiem utkwionym w sufit. Nie ujawniał tego wprost, nadal udawał

404

- bardziej przed sobą niż przede mną - że jeszcze nie zrezygnował z myśli o jakimś nowym, innym życiu. I na moje zdawkowe pytanie, o czym myśli, zawsze odpowiadał tak samo. Zastanawiał się, co zrobi, kiedy znajdzie walizkę pełną złotych zegarków. Nie dolarów, nie sztabek złota, ale właśnie złotych zegarków - wyznaczników przedwojennego bogactwa i pozycji w wyobraźni żydowskiego chłopca z Biczyc Niemieckich. Może stąd bolesna pamięć o złotej doksie, zabranej przez czerwonarmistów nad wschodnim brzegiem Sanu? Cóż by więc uczynił mój niespełniony ojciec, gdyby na jego drodze znalazła się przypadkowo ta czarodziejska walizka? Kupiłby sobie kawalerkę w Warszawie i żył jak panisko. Dancingi, kawiarnie, kobiety. W tym jego wyobrażonym świecie nie było żadnych chorób, żadnych gipsowych łóżeczek, żadnych ortopedycznych gorsetów. Nie istniała pamięć łagrów, podbiegunowych mrozów, wycieńczenia organizmu, lat niedożywienia i poniewierki, których skutkiem były jego przedwczesne, śmiertelne choroby. Nie istniało też pojęcie „ostatecznego rozwiązania”, jego krewni i znajomi nie jechali do gazu, nie umierali z głodu, nie siedzieli w szafach, piwnicach i bunkrach, a problem żydowski nie miał rozmiarów totalnych, tylko prowincjonalne, na skalę galicyjskiego miasteczka.

Czas przedwojennej prosperity świetnego krawca, wpadającego na wieś do matki tylko na największe święta i spoglądającego ku nieosiągalnej Andzi Steinhoff, ciągnął się w marzeniach ojca nieprzerwanie aż do jego późnej dojrzałości - bez mojej trudnej rosyjskiej matki i, oczywiście, beze mnie i wszystkich kłopotów, jakie sprawiałam, odkąd zaczął chorować. Chociaż ja akurat nie byłam przypadkiem beznadziejnym, przeciwnie, wyrównałam swój lot, więc mógł mi znów okazywać uwagę, a nawet troskę - rzecz jasna w sposób stosowny do wyobrażeń, jakie miała na ten temat. Co pewien czas szył mi jakąś jesionkę czy garsonkę, żebym porządnie wyglądała na stołecznym tle. W okolicach moich urodzin nosił na pocztę paczki wypełnione przez mamę puszkami szynki i skondensowanego rosyj-

405

skiego mleka, a także kawą, herbatą i wiedeńskim sernikiem; zabierał mnie do Peweksu i uroczyście kupował jakieś bluzeczki czy sweterki, bo właśnie dostał od Heli z Kanady dziesięć dolarów; stawiał mi obok łóżka talerz kaszy manny na mleku, żebym coś zjadła, zanim zapalę papierosa po próbie odespania nocnej podróży z Warszawy do Legnicy. W niedzielne przedpołudnia zapraszał mnie do wziętej legnickiej kawiarni, nie do Wuzetki, tylko do Ratuszowej, żeby wszyscy widzieli, jak sobie siedzimy i pijamy kawkę z koniakiem, i żeby się przy tej okazji trochę poskarżyć na mamę, że nie zna umiaru, że jest niesłowna i niegospodarna i że dlatego nie może wyjść z długów. Co innego on sam. Żyje z umiarem (bo jeszcze nie znalazł tej walizki), ale nadal coś potrafi. I jakby bez związku z tym twierdzeniem dodawał, że moje koleżanki są już dla niego za stare.

Istotnie, podczas wakacji po pierwszym czy drugim roku poznałam przy naszym kuchennym stole miłą panienkę imieniem Tania, córkę któregoś z rosyjskich „wolnych najemników”. Nalegała, żebym ją odprowadziła do domu, i podczas piętnastominutowego spaceru opowiedziała mi, że ma osiemnaście lat, uprawiała sport spadochronowy, ale któregoś razu wylądowała na sztywnych nogach i odtąd już nie może skakać, aż wreszcie wydusiła, że jest zakochana w moim ojcu. Owszem, ceni i podziwia moją mamę, ale jest bezbronna wobec

uczucia, które spadło na nią jak burza, bo nigdy w życiu nie spotkała takiego mężczyzny jak Misza, mój tatuś. Byłam zupełnie bezradna wobec tego wyznania, wybąkałam tylko, że tu nie chodzi o mamę - mama sobie poradzi - ale raczej o nią, bo jest jeszcze młoda, a mój tata ma już swoje lata i niejedno przeżył. Przez delikatność nie wspomniałam o jego romansowej naturze i kolejnych ofiarach tego galicyjskiego czaru, jakim potrafił uwieść kobietę. Zaraz potem wyjechałam i Tania chyba też, bo słuch po niej zaginął.

Tata zapadł się w siebie i znów zaczął chorować, ale starał się mobilizować, odkąd urodziłam mu wnuka, jego ostatnią miłość. Pamiętam, jak o piątej rano witał mnie na legnickim peronie, kiedy tam

406

zajechałam z kilkumiesięcznym Mateuszem, i jak później chodził z nami na długie spacer, choć miał już wówczas bardzo słabe nogi. Pamiętam, jak po naszej kolejnej wizycie nie zdążył w porę wysiąść z pociągu, więc musiał nas odprowadzić aż do Wrocławia, i jak stał bezradnie na korytarzu, w pełnej gotowości do złożenia konduktorowi wyjaśnień co do przyczyn jego nielegalnej obecności w wagonie. Pamiętam również jego przyjazd do Warszawy na pierwszą Wigilię w moim nowym mieszkanku przy Czerniakowskiej, kiedy miotałam się po miniaturowej kuchence między moczącymi się śledziami a cudem zdobytym karpem i kiedy zabrakło cukru do ucieranego w makutrze biszkoptowego ciasta na cwibak. Chciałam zdążyć ze wszystkim, zanim pojawi się mama, posłałam więc tatę po zakupy, proponując dla ułatwienia, żeby wysiadł na placu Zamkowym, akurat na wprost Delikatesów, a potem bezpiecznie dotarł do domu tym samym autobusem. Nie było go dwie godziny. Okazało się, że wsiadł w przeciwnym kierunku i dojechał nie na plac Zamkowy, tylko na plac Unii, pod Supersam (nie pytał o drogę, bo ktoś mógłby pomyśleć, że jest z prowincji). Tam jednak cukru nie kupił, tylko zmienił kierunek jazdy i w końcu dotarł do opisanych przeze mnie Delikatesów. - No i wreszcie mamy ten cukier - powiedział triumfalnie, wręczając mi tekturowe pudełko. Była to elegancka wersja brydżowa, z kostkami cukru w kształcie kar, kierów, pików i trefli.

Nade wszystko lubił ładne gesty. Wydaje się też, że nosił w sobie jakąś własną albo może ogólnogalicyjską, dramatycznie konwencjonalną miarę odpowiedniości. Jakby życie było strojem, który się dobiera stosownie do sytuacji. - Nie pracuje się w niedzielę - powiedział, zasłaniając okno, przez które ktoś mógł zobaczyć mamę przy maszynie. - Nie chodzi się w bryczesach na bal - dodawał kiedy indziej na widok moich podkoszulków i dżinsów. To właśnie moje nieodpowiednie, niedostosowane do okoliczności zachowanie kazało mu przez jakiś czas nie poznawać mnie na ulicy i milczeć przy stole. Był bezradny wobec takiego sprzeniewierzenia się porządkowi

407

rzeczy i zawstydzony faktem, że spotkał się z tym we własnym domu. Wcześniej wstydził się mamy, jej specyficznej nonszalancji w podejściu do „norm” społecznego życia, jej braku powściągliwości w wyrażaniu opinii, jej lekceważącego stosunku do zasad mieszczańskiej etykiety. Ale i jej rosnącej nadwagi. Później wstydził się mnie, bo nie potrafił w żaden sposób usprawiedliwić przed znajomymi mojego prowokacyjnego zachowania i dramatycznego upadku z wysokości porządnego liceum na poziom niedouków stanowiących w legnickiej populacji zdecydowaną większość. W dodatku skandalicznie się ubierałam. A wygląd i zachowanie musiały iść w parze; ktoś niechlujnie ubrany nie jest wart szacunku. Dlatego kilka lat później, podczas kolejnej wizyty w Warszawie, zabrał się po cichu za piękne płachty zielonego zamszu, które mi przywiózł od mamy i które zamierzałam przeznaczyć na „cygańską” spódnicę. Chyba chciał uszyć żakiet, ale nie starczyło na rękawy i wyszła długa kamizelka. - Jako pracownik naukowy nie będziesz chodzić w cygańskim stroju - powiedział na swoją obronę. Oczywiście, znów zamierzałam się sprzeniewierzyć zasadzie odpowiedniości, zrujnować swój wizerunek, a może także ogólny wizerunek uczonej kobiety,

ukształtowany w jego wyobraźni przez Andzię Steinhof, „wielką damę” nauki z Biczyc Niemieckich, i przez to samo utracić szacunek, jakim cieszy się mój zawód. Nie ja sama. W oglądzie zewnętrznym moje ja nie istniało albo nie miało wielkiego znaczenia; określała mnie moja pozycja, ta zaś wyrażała się zarówno przez miejsce pracy, jak i przez odpowiedni wygląd.

Z tego punktu widzenia ojciec żył w ustawicznym konflikcie z mamą, która wyznawała dokładnie przeciwstawny zespół wartości. Nie dawała się zwieść żadnym pozorom wyznaczającym, okazjonalne przecież, miejsce na społecznej drabinie. Co prawda obdarzała mnie czasem jakimiś wymyślnymi strojami, żebym miała w czym „chodzić do opery”, ale oceniając ludzi, sięgała znacznie głębiej, do samej duszy. Zapewne dlatego, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Wu, który przyjechał ze mną do Legnicy, powiedziała zdanie, które

408
zapamiętałam na całe życie: - Jest bardzo inteligentny, ale nie miej z nim dzieci. - Nigdy potem do tego nie wracała, po pewnym czasie przywiązała się do Wu, przyjęła go do rodziny, a kiedy urodził się Mateusz, starała się dopomóc w utrwaleniu naszego związku. Ja jednak wiedziałam, że to wszystko nie układa się po jej myśli. W tym jednym punkcie moi rodzice się zgadzali, choć rozumowanie ojca oparte było chyba na nieco innych przesłankach. Ojciec - skądinąd słusznie - nie uważał Wu za człowieka honoru, a ktoś, kto się nie-honorowo zachowywał, nie zasługiwał na szacunek. O kwestiach honoru ojciec mówił niewiele, jednak jakoś umiałam sobie zrekonstruować to, czego człowiek honorowy robić nie może. Nie może mianowicie nadużywać zaufania. Nie może wykorzystywać słabych i biednych. Nie może oszukiwać i okradać, ale sam także nie może się przed nikim poniżać ani upokarzać. Nie powinien też narzucać innym swojej osoby, a nawet pojawiać się w miejscach, gdzie nie jest oczekiwany. A co musi? Dotrzymywać danego słowa, szczególnie jeśli jest to słowo honoru. Te proste skądinąd zasady jakoś się we mnie zagnieździły, choć ich interpretacja w moim wydaniu była chyba inna niż w wydaniu ojca. Mnie zabrakło galicyjskiej wykładni odpowiedniości, zwłaszcza w odniesieniu do bryczesów na bal i zasłaniania okien w niedzielę. Chodziło raczej o to, by swoim postępowaniem i życiowymi wyborami nie przynieść wstydu swemu dziecku. Była to zasada także jakoś zapośredniczona od ojca, utrwalona w kręgosłupie zwanym etyką codzienności od czasu, gdy uświadomiłam sobie wagę jego prostej i trudnej decyzji sprzed wielu lat, kiedy zamiast wejść na oferowane mu salony władzy, wolał pozostać krawcem na prowincji. Ale jemu później towarzyszył wstyd za innych, za nas, za mnie i mamę, a ja mogłam się wstydzić tylko za siebie. Nie wstydziłam się ani swojej matki, ani swego syna, choć pod koniec życia mama już zupełnie nie zważała na formy, mówiła każdemu, co o nim myśli, nosiła na co dzień grube, męskie kalesony w niebieskim kolorze i w dodatku nie

409

kryła się ze swoim niestosownym, nielicującym z wiekiem romanssem. Mój syn natomiast był narkomanem i złodziejem, który złamał wszystkie zasady honorowego życia, ale chyba nie utracił resztek godności; wiedział, czego ma się wstydzić, przynajmniej przede mną. Dlatego zostawił kartkę z czytelnym rozpoznanem sytuacji - „po tym, co uczyniłem, nie zechcesz...” - i nie szukał później mojej pomocy. Tak więc dziedziczyliśmy po sobie spiralę wstydu, w każdym pokoleniu inaczej ulokowanego, w odmienny sposób zasłaniającego rzeczywistość. Naturalnie, ojciec także starał się żyć tak, abym się nie musiała za niego wstydzić i aby on sam również nie miał sobie za wiele do zarzucenia. Dlatego przyjmował zamówienia rzadko, ale wykonywał je punktualnie i z wielkim kunsztem. Większość zarobków przeznaczał na pokrycie długów, które zaciągał osobiście i które - w przeciwieństwie do długów mamy - miały charakter honorowy. Nie zaciągał ich bowiem na karmienie rezydentów, na spłatę czynszu czy zaległych podatków, lecz grając w karty. Kiedy „honorowo” pozbył się ostatniego domowego skarbu, czyli stołowych sreber z szabru, swoje nadzieje mógł ulokować

już tylko w czarodziejskiej walizce pełnej złotych zegarków. Jej jedyną alternatywę stanowiła wygrana w totolotka, bo już nie w karty, które po latach stały się uciążliwą rutyną nałogowca bez gotówki, luksusem, na który mógł sobie pozwolić tylko w dniu wypłaty renty, po rytualnym śniadaniu z listonoszem, który wpadał zawsze o właściwej porze i zasiadał do stołu. Ojciec wyciągał specjalnie dla niego trzymaną flaszkę wódki, listonosz wieńczył posiłek chłodną setką i wypłacał należność, a ojciec skrupulatnie odliczał dla niego końcówkę. Od dawna przeszli na ty, zawiązała się między nimi swoista zażyłość, dowodząca trwałości określonych norm i przywiązania do miejsca, jakie każdy z nich zajmował w społecznym łańcuchu. Był to wszak dzień odświętny, o czym wiedzieli wszyscy, zwyczajowo zasiadający do śniadań w naszej kuchni: stara, rubaszna pielęgniarka przychodząca robić ojcu zastrzyki, użytkownicy naszego nadmetra-

410

zu, a także okresowi rezydenci mający chwilowe trudności lokalowe. Tego dnia bowiem tata się kąpał i golił wyjątkowo starannie, zakładał odświętny garnitur i czystą koszulę. Pastował buty. I wychodził. - Wychodzisz, chłysteczku? - mama bardziej stwierdzała, niż pytała. Wiedziała, że wróci dopiero następnego ranka, z popielatą twarzą i zsiniałymi ustami rozciągniętymi w przepaszającym uśmiechu. Wróci pieszo, bez grosza na taksówkę, a nawet na tramwaj. I będzie leżał przez miesiąc na kanapie, marząc o nowym życiu, jakie rozpocznie zaraz po znalezieniu walizki złotych zegarków albo przynajmniej po wygraniu w totolotka. Bezczynność, a więc i nieprzydatność ojca wzrosła, odkąd mama zmieniła zawód. Któregoś dnia, kiedy Mateusz był już na świecie, a ona zbliżała się do sześćdziesiątki, postanowiła, że już nigdy więcej nic nie uszyje. Już nigdy nie będzie mozolnie upinać sukien na przerośniętych tyłkach swoich klientek i wysłuchiwać ich nierealnych życzeń, by wyglądały jak z żurnala. - Co one widzą w lustrze? - pytała retorycznie. - Figurę z żurnala czy swoją własną? - W trakcie jednej z bezsennych nocy, trawiona troską o przyszłość jej siostry i matki w dalekim Nowosybirsku, a może również naszą - ojca, moją i Mateusza - mama przypomniała sobie zasadę, że inteligentny człowiek potrafi się wszystkiego nauczyć, wystarczy tylko chcieć. Zaczęła się szkolić w zawodzie dekoratora porcelany, nie wiem gdzie i u kogo. W naszym legnickim mieszkaniu pojawiły się sterty białej porcelany, rulony kalkomanii zadrukowanej różnymi bukietami oraz zapożyczonymi od Watteau scenami fetes champetres, a także sterty miękkich pędzelków i miseczek z brązową mazią, która okazała się płynnym złotem. W dawnej służbówce, przerobionej niegdyś na pracownię krawiecką, stanęły teraz szamotowe piece do wypalania kalki i złota. Po całym mieszkaniu snuł się ostry zapach terpentyny, toluenu i palących się chemikaliów, które w temperaturze ośmiuset pięćdziesięciu stopni zmieniały zwyczajną stołową porcelanę w pałacowe serwisy nadające się w sam raz do ustawienia w mahoniowych

411

serwantkach na wysoki połysk. Mama trafiła w środek rynkowego deficytu, w miejsce, gdzie popyt nie został zrównoważony podażą, choć przecież to nie ona wymyśliła ekonomiczne zasady gierkowskiego dobrobytu za pożyczone pieniądze i nie ona kształtowała estetyczny gust konsumenta, nie miała moich ambicji, ona tylko zaspokajała obudzony nagle apetyt na luksus, który w prowincjonalnym wydaniu - polskim, a także rosyjskim - zachował mechanicznie powielaną formę osiemnastowiecznego dekoru, najlepiej ciężkiego, fryderycjańskiego rokoka rodem z Poczdamu, albo nieco prostszego, austriackiego stylu Marii Teresy. Toteż w rozmowach moich rodziców pojawiły się nagle nigdy przedtem nie wymawiane słowa, takie właśnie jak Fryderyk i Maria Teresa, a także niemieckie nazwy królewskich manufaktur w Wałbrzychu i Miśni.

- Fabrykantka! - mówił ojciec z przekąsem, wskazując szerokim gestem na panujący wokół niego bałagan, na stosy porcelany piętrzące się we wszystkich pokojach (bo lokatorzy z przydziału wybili się wreszcie na niepodległość i mieszkanie zostało odzyskane) i na rozległy

warsztat zdobniczy usytuowany w salonie na wprost telewizora, bo przecież nie samą pracą człowiek żyje. Stosunek ojca do tej wszechogarniającej produkcji był niejednoznaczny. Trochę się nią chwalił, bo w końcu wszystko odbywało się w jego domu, a trochę wobec niej dystansował, zwłaszcza po tym, jak mama przestała go dopuszczać do filiżanek i talerzy, bo drżały mu ręce i psuł robotę. W końcu wygospodarował sobie rodzaj autonomii, wykroił małą obszar na luksusową splendid isolation i próbował żyć swoim życiem, szukając ucieczki czy też ratunku, w „należnych” mu podróżach na odwieczne wczasy i częstych przyjazdach do Warszawy.

Chciał być potrzebny albo chociaż przydatny w opiece nad Mateuszem, skoro już dysponowałam tymi trzydziestoma metrami własnej powierzchni, do której zapomniał się swego czasu dołożyć i po kilku latach, z przepraszącym, dyżurnym uśmiechem oddał mi książeczkę mieszkaniową, na której nie było nawet najmniejszej

412

wpłaty. Chciał uczestniczyć w moim życiu, gdy już nie było w nim wolnego miejsca, gdy nauczyłam się obywać bez jego wsparcia, poznałam smak wyrzeczeń i wartość takich osiągnięć, jak to nieszczęsne mieszkanie uzyskane za cenę rezygnacji z akademickiej kariery, bo pracownikom uniwersytetu nie należały się przywileje w tej dziedzinie, co mi uświadomił mój profesor, prosząc o dokonanie wyboru: praca na uniwersytecie albo mieszkanie. Ale taki wybór nie istnieje, kiedy się ma dziecko. Nie mogłam więc podjąć pracy dydaktycznej, a do naukowej przeszedłam dopiero po odpracowaniu serwitutu w Zachęcie, gdzie niemal przez pięć lat, aż do chwili otrzymania „mieszkaniowego przywileju”, opóźniałam swoją zawodową samodzielność na podrzędnym stanowisku starszego referenta w dziale realizacji. Oczywiście, nie wprowadzałam ojca w takie szczegóły. Nie było go przy mnie, kiedy - wyrzuciwszy bezwartościową książeczkę mieszka-

413

niową - wyprzedawałam otrzymywane od mamy złote precjoza i zaciągałam kredyty, żeby zapłacić za dostęp do przywileju, czyli „wnieść wkład spółdzielczy” pozwalający na trzymanie w ręku realnego klucza, a nie tylko kwitu zwiastującego podobną możliwość. Ojciec nie rejestrował trudności, widział tylko moje oczywiste sukcesy: udane dziecko, przyzwoite stanowisko w naukowej placówce i wyśniona kawalerka w Warszawie, uzyskana bez znajdywania walizki o znanej już zawartości. Więcej - obok mnie zaistniało wolne miejsce, ponieważ z mojego życia zniknął Wu, a Tomek, który pojawił się w nim po pewnym czasie, był na przychodne, więc lokował się w przestrzeni mało konkretnej, a przynajmniej nie tak silnie zdefiniowanej, jak ta, którą zajmował ojciec mego dziecka. Toteż tata nie czuł się „nieproszony”, kiedy znieacka stawał w drzwiach, z nieodłączną teczką i prochowcem. Ale też jego wizyty nie przewracały mojego życia do góry nogami, nie rujnowały moich najbliższych planów i zamierzeń, jak to się działo zawsze, kiedy do Warszawy zjeżdżała mama. Jego postawa była na ogół bierna, wyczekująca, a jeśli już rozwijał jakieś samodzielne akcje, to raczej na skalę zakupu cukru w kostkach do ucierania w makutrze, czy uszycia żakietu bez rękawów zamiast cygańskiej spódnicy.

Nigdy nie był u mnie zbyt długo, wyjeżdżał niemal zaraz po przybyciu, jakby oczekiwał czegoś więcej albo czegoś innego, niż otrzymywał; jakby spodziewał się czegoś wykraczającego poza spacer z Mateuszem do pobliskich Łazienek, pośpiesznie szykowane obiady i towarzystwo moich przyjaciół przetaczających się przez maleńkie mieszkanie jak rwący potok. Nadrabiał miną, posuwał się nie tylko do swoich zwykłych, abstrakcyjnych żartów w stylu: - Milcz, jak do mnie mówisz! - ale i do uszczypliwych uwag pod adresem znajomych. Nie było mu jednak wygodnie. Do dyspozycji miał twarde krzesła albo materac ułożony na niziutkiej konstrukcji, zaledwie dziesięć centymetrów nad podłogą; ilekroć próbował na nim usiąść - tracił równowagę i uderzał głową w ścianę, co go

414

kępowało i czyniło w naszych oczach bardziej niesprawnym, niż był w rzeczywistości. A przecież liczył tyle lat, ile ja teraz, i chyba nadal miał prawo oczekiwać czegoś od życia. Mógł sobie na przykład wyobrazić, że pójdziemy na dancing - w końcu to on nauczył mnie tańczyć - albo zasiądziemy w dobrej restauracji przy wykwintnym posiłku. Ja nie chodziłam na dancingi i nie bywałam w wykwintnych restauracjach; byłam po prostu biedna i do tej biedy tak przyzwyczajona, że nie wiedziałam, co zrobić z dodatkowymi pieniędzmi, które czasem spadały na mnie niespodziewanie za sprawą mamy. Tkwiłam w swoim świecie, zajmowałam się dzieckiem i sztuką, zgłębiałam trudną psychikę artystów i meandry własnych uczuć, ale nie wobec mego ojca, tylko innych mężczyzn, i w związku z tym wszystkim moja wyobraźnia nie szybowała w rejony przedwojennego dobrobytu, choć przecież znałam pułap jego marzeń. Wracał więc do domu, który stał się fabryką porcelany, i starał się uczestniczyć przynajmniej w życiu publicznym miasta, ograniczonym w jego przypadku do sporadycznych „czynów społecznych”, czyli gierkowskich falansterów z łopata w dłoni oraz do równie sporadycznych żydowskich pogrzebów. Dzielił się wówczas spostrzeżeniem, że Żydzi umierają, i może nawet napomknął coś na temat własnego pogrzebu, bo pan K. nie mógł sobie wyssać z palca ostatniej woli, z którą przyszedł do naszego domu tamtego ranka, kiedy było już niemal po wszystkim, kiedy czekało nas już tylko „ostateczne pożegnanie”.

Zaczął się od śmierci babki Afanasji pod koniec sierpnia 1976. Pobyt mamy w Nowosybirsku przedłużał się, bo musiała pozafatwiać także sprawy żywych. Na początek wysłała do Polski Jurę, swego bratanka, z nowo poślubioną żoną - kruchą i kapryśną blondynką, która była zde gustowana moim maleńkim mieszkaniem z psami, kotami, papugami, żółwikami oraz iguaną. Zjawili się bez zapowiedzi, z wielkimi walizkami, które wypełniły po brzegi pokoik Mateusza. Aby zwolnić miejsce dla mamy z Wierą, musiałam ich czym prędzej

415

wysłać do Legnicy Zadzwoiłam do ojca. Okazało się, że on nie chce dłużej na nikogo czekać, bo się już naczekał, ma skierowanie na wczasy w Kołobrzegu i jeśli nie pojedzie, to wszystko mu przepadnie. Przekonałam go jednak, by poczekał chociaż jeden dzień. Zgodził się na Jurę, ale zdążył wyjechać, zanim do Legnicy dotarła mama z Wierą - realizował wszak swoje osobne życie, podkreślał niezależność, karał mamę za spóźnienie, jakby to ona była winna śmierci swojej matki, choroby swojej siostry i ciekawości swego bratanka. Miał zaawansowaną miażdżycę, rwały mu się myśli i słowa, mógł nawet rozważać jakiś inny wariant, ale o nim zapomniał i zwyciężyły wyznawane przez całe życie normy elegancji. Bo jak to będzie wyglądało? Jak wytłumaczy, że najpierw się ubiega o wczasy, a potem nie przyjeżdża i bez zdania racji sprawia zawód obcym co prawda, ale życzliwym ludziom? Jeśli oni dotrzymali słowa, to on go także dotrzyma, taki już jest. No i wyjechał, ale ostry klimat Kołobrzegu okazał się dla niego zabójczy, kruche naczynia nie wytrzymały nagłego skoku ciśnienia krwi - i po kilku dniach już jechał z powrotem przez całą Polskę w trybie całkowicie nielegalnym, wbrew wszelkim przepisom i bez zezwolenia z Zakładu Zieleni Miejskiej, czyli także wbrew wszystkim jego zasadom. Znów było „nie jaku ludzi”, nad czym ustawicznie ubolewał. A teraz, po wizycie pana K., musieliśmy jeszcze raz uruchomić niepozornie wyglądającego żuka i wieźć tatę przez miasto chyłkiem, w sposób odarty z wszelkiego ceremoniału, tak samo jak wieźliśmy go poprzedniego dnia z północy na południe „ziem odzyskanych”. Zabraliśmy go więc z cmentarza komunalnego i przetransportowaliśmy na żydowski. Z kaplicy do kaplicy. W jednej i drugiej nie było nic prócz kamiennej ławy na trumnę. Jak w szpitalu w Kołobrzegu.

Stary żydowski cmentarz w Legnicy nie został zniszczony ani podczas wojny, ani później. Niemcy nie pastwili się nad nieżywymi na oczach swoich współobywateli, robili to tylko na

obszarach podbitych, dlatego - kiedy Legnica także stała się terenem podbitym -rewanż zwycięzców dotknął tylko cmentarza niemieckiego, podczas

416

gdy cmentarz żydowski trwał nadal, od początku wykrojony trochę na wyrost, ponad stan mającej na nim spocząć społeczności, czyli tej garstki spośród przybyłych tu po wojnie osadników, która pozostała w mieście po roku 1968. Dodać też trzeba, że choć w istocie niewielki, to jednak okazał się za duży już wcześniej, zaraz po „ostatecznym rozwiązaniu”, którego miejscowa społeczność założycielska nie przewidziała w swych rachubach. Miejsca więc było dużo i wybrałam zaciszny cień pod starym jesionem. W drodze powrotnej kupiłam dla mamy kupon czarnej wełny.

- W czarnym mi nie do twarzy - westchnęła mama, zwracając się do zgromadzonego w kuchni audytorium, złożonego z Wiery, Jury z żoną, pani Taborowej i pani Janki z parteru. Audytorium milczało. Wiera siorbała wrzątek, patrząc z nienawiścią na Taborową, która tłukła garnkami przy zlewie, udając, że nie rozumie znaczących spojrzeń mojej chorej ciotki. Pani Janka wyjadała fusy od kawy - lubiła duże porcje „po turecku”. Jura i jego żona spoglądali w okno. Mama ustąpiła: - Dobrze, ale tylko na pogrzeb. - Wieczorem pojawiła się ciocia Gienia i Olek z Kudowy. Gienia wstąpiła przy okazji, bo wuj Antoni oczekiwał w miejscowej klinice okulistycznej na operację katarakty - prawie nic nie widział. Kiedy go później odwiedziłam, wziął mnie za rękę i zapytał bez ogródek: - Powiedz, ładna chociaż jesteś? - A potem dodał, żebym spokojnie podeszła do śmierci taty, bo przecież mógł umrzeć jeszcze w końcu lat pięćdziesiątych i tylko dzięki staraniom mamy dostał w prezencie te osiemnaście lat z hakiem. Olek opowiedział, że był w Kanadzie u Heli, a potem wdał się w rozważania o przedwojennych zaletach taty: że miał duże wzięcie w swoim fachu, ale też pięknie wyglądał w mundurze.

Pogrzeb odbywał się wczesnym popołudniem. Wysokie drzewa cmentarza oplatało babie lato. W żydowskiej kaplicy stała trumna ze srebrnymi amor kami trzymającymi krzyż. Olek sugerował, żeby zdjąć ozdoby, „bo nie licują”. Mama, w czarnej sukience, bez przekonania wyraziła życzenie, żeby zobaczyć tatę po raz ostatni. Kategorycznie

417

odmówiłam, chciałam, żeby zapamiętała go żywego, ponieważ moja własna pamięć natrętnie podsuwała obraz tamtej szpitalnej kokardy i nagiego ciała na zimnym granicie. Kondukt był niewielki, jak to na żydowskim cmentarzu. Mignęła mi gdzieś nalana twarz naszej byłej sprzątaczkii Irki, dostrzegłam Muškę i Saszkę, którzy dawno temu wyprowadzili się z parteru, rozpoznałam nowych lokatorów z pierwszego i trzeciego piętra. Sprawcza moc pana K. ograniczyła się tylko do zmiany cmentarza; nie było żadnego rabina (bo też skąd w tamtych czasach miałby go wziąć?) - nie wiedziałyśmy więc z mamą, co należy do dalszego ceremoniału, jak się zachować, zanim łopaty pójdą w ruch. Wówczas z anonimowej grupy wyłonił się jakiś nieznany nikomu, młody działacz i rozpoczął przemówienie. Mówił, że tata był człowiekiem o nieposzlakowanej opinii, uczynnym i skorym do pracy społecznej. Sami to wiedzieliśmy. - Tylko co z tego miał - jak zwykle mruknęła mama. I wreszcie się rozplakała. Po powrocie do domu zrobiłam pranie, a potem starannie wyprasowałam i ułożyłam w orzechowej szafie wszystkie popeli-nowe koszule taty. Następnego roku przywiozłam je do Warszawy i zaczęłam nosić. Zabrałam też jego osobisty dobytek, składający się z dwóch par wielkich krawieckich nożyc, zegarka marki Atlantic, maleńkiego posążka Buddy z brązu, tranzystorowego radjka i kasetki na wędkarskie utensylia, z wyrzeźbionym na wieku żaglowcem. Wszystko przeznaczyłam dla Mateusza, który zaraz w pierwszej klasie pochwalił się w szkole odziedziczonym zegarkiem i wrócił już bez niego. Kiedy urósł, donaszał po mnie popelinowe koszule. Tranzystor zaginął podczas licznych przeprowadzek. Nożyce, kasetkę i Buddę mam nadal, do podziału między Cyryla i Zosię. Każde dostanie po jednej parze nożyc,

a o pozostałe przedmioty zagrają w marynarza, tak jak grały o tulski samowar i patelnię do konfitur, które odziedziczyłam po babce Afanasji.

Aneks do kariery

Od wysokiej, szczupłutkiej Oli Z. dostaję w prezencie książkę o działalności Zachęty. To jej praca doktorska, opisująca z historycznym dystansem moją codzienną krwawicę, moje potyczki z ministrami, z prasą i z publicznością. Zaciekawia mnie ta naukowa relacja. Nie żebym chciała wiedzieć więcej, niż sama wiem - znam swoje zawodowe potknięcia lepiej niż ktokolwiek inny - interesuje mnie raczej to obiektywne spojrzenie i zupełnie zewnętrzna, chłodna ocena. Ale zaczerpnięte z gazetowych recenzji opisy wystaw dają obraz poprawny, „uśredniony”, nie mogę się z nich dowiedzieć, która była naprawdę dobra, a która beznadziejna. Znajduję tu jednak rzecz dla mnie dzisiaj bezcenną, znajduję mianowicie aneks z wyliczeniem wystaw, podzielony na kolejne lata i opatrzone datami. Dowiaduję się z niego, że w 1997 roku odbyły się w Zachęcie trzydzieści trzy wystawy, a więc wernisaże wypadały średnio co jedenaście dni. To, oczywiście, nieprawda, łączyłam te uroczystości, otwierałam po dwie, a nawet trzy wystawy jednocześnie. Ale przecież robiliśmy jeszcze wystawy w Kordegardzie i w Filharmonii - to też należało do działalności Zachęty, i były występy zagraniczne. Właśnie w tamtym roku, z pomocą moich młodszych klezerek - Anety i Hani - rozhulałam się z polską sztuką po całym Budapeszcie, zajmując dwa duże muzea i cały Mucsarnok (taką węgierską Zachętę, tylko dwukrotnie

419

większą), a potem wędrowałam do Wilna, Rygi i Tallina z tym samym zestawem, czyli ze Sztukę z Polski, 1945-1996. Gdyby nie dziewczyny, dzisiaj kobiety na stanowiskach, pewnie bym tego wszystkiego nie udźwignęła. Ale w aneksie nic o tym nie ma. Nie ma w nim też z trudem mieszczącej się w petersburskim Maneżu wystawy sztuki z krajów bałtyckich, powtórki tego, co pokazałam w Zachęcie rok wcześniej.

Był koniec zimy, znad Newy wiało mokrym podmuchem, wróciłam, pamiętam, z bólem w kolanie, na który nic nie pomagało, jakiś pan doktor doradzał maści i czekanie. Na czekanie nie miałam czasu, kuśtykałam, aż samo przeszło. I jakoś niedługo potem Mateusz wyszedł z więzienia. Nie żebym pamiętała takie następstwo, że wracam z Petersburga (zdaje się nawet, że to jednak nie był tamten wyjazd, tylko jakiś inny) i zaraz potem zabieram go z sali sądowej. Jedno i drugie - Petersburg zapamiętany głównie ze względu na ból w kolanie i Mateusz siedzący w kuchni przy stole, trochę bezradny, odwykły od zwykłości, już podminowany, szukający pretekstu, żeby wyjść - nie jest ze sobą niczym powiązane; oba te fakty, wyjęte z logiki zdarzeń, tkwią w osobnych komórkach pamięci. A przecież musiałam najpierw wrócić do Warszawy z Budapesztu, bo tamten serial otwierał się w styczniu, i dopiero potem wyjechać do Petersburga, zrobić wystawę, przeziębienie kolano, wyleczyć je w Warszawie i pójść do sądu.

Styczeń, luty, marzec. Zawsze wychodził z więzienia w marcu. Za pierwszym razem pojechaliśmy do sklepu, żeby mu kupić mar-tensy, pamiętam, że znalazł tylko zielone. Zamieszkał na materacu w salonie z Alicyjką i małą Zosią. A za drugim? Czy przenocował chociaż jedną noc? Czy tylko wchodził i wychodził, zostawiając swój numer na pager? Widywaliśmy się przelotnie, coraz rzadziej. Podczas spotkań iskrzyło od niedopowiedzeń i utajonej wrogości. Nie zmyślałam. Nie umiałam być mądrzejsza od własnego syna, który stał się mężczyzną gdzieś za moimi plecami, w więziennej celi,

420

i emanował obcością. Reagowałam emocjonalnie, ale jakoś nieprawidłowo. Nie miękłam, tylko twardniałam, nie potrafiłam mu już powiedzieć, że go kocham, bo mówiąc to, musiałabym jednocześnie płakać, a płakać już także nie umiałam. Więc raczej milkłam, także podczas naszych kłótni. Milkłam pierwsza, zostawiając mu ostatnie słowo, które nie było dobre, pochodziło z obcego świata. Te obce słowa zostawały potem, po jego wyjściu, a ja -

jak mój ojciec - starałam się od nich odwrócić, zagłuszyć je obowiązkami wobec innych, mniej bliskich. Tak się rozchodziliśmy. On wychodził i dawał się wchłonać miastu, ja wsiadałam do samolotu i dawałam się wchłonać pracy. A teraz czytam książkę na temat tej pracy i szukam między wierszami miejsc, które nie zostały odnotowane, i wystaw, które robiłam „poza murami” - żeby sobie wreszcie przypomnieć, skąd wracałam do otwartego mieszkania. Bo przecież wyjeżdżałam także do Brazylii,

421

gdzie pracowałam na biennale akurat znowu z Mirkiem B. Właśnie tamtego roku po raz pierwszy wylądowałam w Sao Paulo. Nie było upałów, pan ambasador wyjaśniał, że idzie wiosna. Czyli wrzesień. Pamiętam taką podróż, którą rozpoczęłam na Dalekim Wschodzie, chyba w Japonii, skąd przyleciałam do Warszawy tylko na jedną noc, żeby rankiem ruszyć do Brazylii. To musiało być właśnie wtedy, wczesną jesienią 1997. Ale co robiłam w Japonii? Przyleciałam na kongres w Tokio czy na biennale w Osace? Może jednak na biennale, gdzie „zasiadałam” w jury. Przebyłam zatem tę trasę ze Wschodu na Zachód i skosem, przez Atlantyk, z półkuli północnej na południową, by po kilku dniach wrócić do Warszawy. Ale czy na pewno był to ten powrót? Czy to się stało wtedy, we wrześniu, po powrocie z Brazylii? Czy może te wszystkie podróże odbywały się już później, po naprawieniu zamka, a ja wracałam na przykład z Majorki? Nie z wakacji. Albo niezupełnie z wakacji, bo pisałam podczas tej podróży tekst o miejscowym artyście. Majorka, dotychczas gdzieś schowana, przyczajona za mózgowym splotem, wyłania mi się teraz z pamięci niechcący. Było gorąco. Dużo pływałam, chyba ostatni raz w życiu. Porozmawiałam z artystą. Odwiedziłam miejscowe muzeum, coś sobie z tamtejszą dyrektorką obiecywałyśmy na przyszłość, jakąś wystawę. Pięć dni na Majorce, potem tydzień w Japonii, potem tydzień w Brazylii. Gdzieś między Majorką a Japonią albo po powrocie z Brazylii miałam ostatnią wiadomość od mego syna. Mogę zaledwie odtworzyć kolejność. Dat dziennych nie pamiętam. Te podróże były nadprogramowe i oczywiście nie zostały odnotowane w aneksie do książki Oli P. Dowiaduję się z niego natomiast, że 15 grudnia otwierałam wystawę Cybisa.

Akurat to zapamiętałam ze szczegółami. Cybis stał się moją dyrektorską klęską; nie poradziłam sobie z Teresą. Wystawa i książka

O twórcy kapistowskiej szkoły miała być ukoronowaniem jej wieloletniej pracy, podczas której Teresa zebrała wszystko, co się dało zebrać,

I tak się przywiązała do obrazów, że nie umiała czy nie chciała doko-

422

nać wyboru, a galeria okazała się za mała na tę obfitość. Nie udało mi się wydusić z niej projektu ekspozycji. Była starszą koleżanką, którą zastałam niemal w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłam, odchodząc z Zachęty „do pracy naukowej”. Siedziała tam - spokojna, małowówna, uporczywa - przez całe dwadzieścia lat, jakie upłynęły od mojego odejścia do powrotu. A przecież już tam pracowała, kiedy ja dopiero zaczynałam. Nie mogłam jej niczego nauczyć i nie mogłam jej niczego nakazać. Nie mogłam jej nawet o nic prosić. Miała swoje normy. Zostawiłam ją więc, tonącą w stertach obrazów, i wyjechałam do Nowego Jorku. Tylko na kilka dni, nie pamiętam po co. Z kalendarza wynika, że wróciłam w niedzielę późnym wieczorem. Przypominam sobie, że prosto z lotniska pojechałam do Zachęty. Zobaczyłam zmęczoną Teresę, ściany wytapetowane obrazami od sufitu do podłogi i jakieś prymitywne ścianki działowe. Byłam przerażona. To nie miało nic wspólnego ze światowymi standardami, jakie zamierzałam wprowadzić do galerii. Chyba wpadłam w panikę. Zamiast zostawić sprawę swojemu biegowi, podążyłam z koleżeńską pomocą. Nie wiem, jak chciałam ratować coś, co było nie do uratowania, ale w oczywisty sposób wtrąciłam się w jej projekt. Teresa się obraziła i po cichutku wyszła z gmachu. Następnego dnia nie przyszła do pracy. Odmówiła udziału w konferencji prasowej. Nie pomogły moje telefony i przeprosiny. Przysłała narzeczonego z manifestem na temat dyrektorskiej ingerencji w jej autorski projekt.

Skandal wisiał w powietrzu. Wieczorem jednak pojawiła się na otwarciu i stanęła na podium. Wernisaż przeniosłam na piętro, do Sali Narutowiczow-skiej. Celowo. Po pierwsze, na dole było bardzo zimno, za każdym wchodzącym wdzierał się do hallu lodowaty powiew. Po drugie, zbliżała się rocznica śmierci Gabriela Narutowicza, a wystawę otwierał prezydent, który szybko przypomniał publiczności, że „w tej sali przed siedemdziesięciu pięciu laty miało miejsce pewne nieprzyjemne wydarzenie”. Tym razem nikt nie strzelał. Zresztą prawdziwa rocznica przypadała dopiero nazajutrz, właśnie szesnastego.

423

Co robiłam potem? Namawiałam prezydenta, żeby coś zrobił w sprawie powołania do życia nowego muzeum. Ogarnięta płomieniem obywatelskiego obowiązku wychodziłam ze skóry, żeby go przekonać do tego, co było oczywiste dla polityków wszystkich krajów starej i nowej Europy, a nie było oczywiste dla polityków polskich. Żyłam sprawami publicznymi, chciałam przestać się wstydić naszej zaściankowości przed tak zwaną międzynarodową społecznością, chciałam dla nas, dla Polski, równego partnerstwa, należnego z tytułu naszej dawnej wielkości i trudnej historii. Moja mowa była perlista, logika żelazna, argumentacja zwalająca z nóg. Rozprowadzona równomiernie po moim organizmie adrenalina podtrzymywała stan pełnej mobilizacji - gorące serce, chłodny umysł. Aż do chwili, gdy wreszcie znalazłam się w domu, zrzuciłam wysokie obcasy, zdjęłam z siebie wernisażowe ciuchy i te wszystkie publiczne uśmiechy. I padłam. Chyba. Po dwóch niedospanych nocach powinnam była zasnąć. Już wtedy mój organizm miał uregulowany poziom serotoni-ny, zasypiałam z podcięcia, głębokim snem bez snów. Hanka, moja przyjaciółka, ostrzegęła: - Nie bierz proszków, bo przestaniesz cokolwiek czuć. - Rzeczywiście, nic nie czułam. Powinien tu być znak zapytania. Bo nie wiem, czy coś czułam. Nie pamiętam. Ale przecież odchodzenie mamy czułam fizycznie, choć byłam na drugim końcu Europy, a nie na drugim końcu miasta. Dlatego że nie miałam wówczas żadnej osłony? Że byłam jak membrana w uchu czujnego zwierzęcia, wychwytyjąca wszystkie szmery, wszystkie alarmujące sygnały?

Jechałam do Hiszpanii tuż po otwarciu ostatniej wystawy na Mazowieckiej. Odchodziłam z galerii, którą stworzyłam na nowo, jak odchodziłam z wielu domów, które urządziłam, i z wielu miejsc, które powołałam do życia albo do życia przywróciłam. Zamykałam za sobą kolejne drzwi. Bez żalu. Jechałam, by wziąć udział w jednej z wielu konferencji o transformacji po upadku muru. Powymądrzać się. Wynieść ponad inne naszą sztukę i naszą narodową odwagę.

424

Przed wyjazdem zadzwoniłam do mamy. Jak zawsze, jak przed każdą podróżą. Usłyszałam, że nie czuje się za dobrze, że czeka na swego anioła stróża - Lubę, która powinna już dojechać z Jekatierinburga, ale zachorowała, przyjedzie dopiero za kilka dni i że przecież ona sama zaraz skończy osiemdziesiąt lat, więc nie jest już taka żwawa i samodzielna. Przywykłam do jej narzekań, a ona przywykła do moich wyjazdów. Obie wiedziałyśmy, że musi się zmobilizować i że będzie umiała to zrobić. Chorować wolno tylko wtedy, gdy ktoś się nami opiekuje. Czekala z tym na przyjazd Luby. Obiecałam, że odwiedzę ją w dniu urodzin, zaraz po powrocie z delegacji. Zanim pojechałam na lotnisko, wpadłam do swego biura w Fundacji Sorosa i przypięłam do korkowej tablicy adres i telefon w Walencji wraz z żartobliwą uwagą, żeby korzystać z tych danych tylko w wypadku dobrych wiadomości. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie robiłam takich rzeczy, tylko wtedy, ten jedyny raz poinformowałam swój zespół, jak się ze mną kontaktować, gdyby zaistniała taka konieczność. Polecałam. Odcięłam się od piekła związkowego życia polskich plastyków, od spraw osobistych, od ciasnoty mieszkanka, w którym Mateusz nocował już tylko czasami - na starej kołdrze rozwijanej na jedynym wolnym skrawku podłogi. Może już wówczas złożyłam broń? Zdjęłam z siebie codzienny przymus zaglądania mu w oczy - tylko na chwilę, tak myślałam - znalazłam mu przecież stancję w Poznaniu, powinien się trochę bardziej przykładać do

studiów, miał dwadzieścia dwa lata, musiał stawać na własnych nogach. Naprawdę jednak - naprawdę - brakowało mi już chyba siły, by dźwigać to wszystko i nadal trwać w pionowej pozycji, a przecież chorować możemy tylko wówczas, gdy mamy w pobliżu kogoś bliskiego. W Walencji jest ciepło, choć jeszcze nie minęła połowa marca. Osuszone koryto rzeki skierowanej po powodzi w inne łożysko oddycha nasyconą zielenią. Madonna w katedrze ma złotą koszulkę i czarną twarz. Maite, moja gospodyni, profesora estetyki, przyjechała z kraju Basków. Uciekła od klanowego przeznaczenia, od skazania

425

na ustawiczną walkę. Mieszka na strychu, w mauretańskiej dzielnicy) krętych uliczkach. Ponadto wynajmuje letni domek na wybrzeżu, 'rochę na południe od miasteczka Denia. Po konferencji wybiera się :am na kilka dni, będą jej przyjaciółki, może ja też chwilę odpocznę? Może tak. Oderwę się od nieudanego życia, popatrzę na morze. Miech minie szum w głowie i poczucie oziępienia, które nęka mnie :>d samego rana. Jedziemy. Cztery niezależne kobiety: Maite - pro-cesora, Barbara - rectora Uniwersytetu w Walencji, Juana - pisarka, i ja. Zajmujemy domek blisko plaży w uśpionym przed sezonem :ondominium. Niezależne kobiety są życzliwe i gościnne - rejestruję to jakoś naskórkowo, tak samo jak całą hiszpańską rzeczywistość, bo zapadłam się gdzieś w głąb siebie i nie umiem się zrewanżować ani gestem, ani uśmiechem. Nie odzywam się do nich od poprzedniego dnia, czyli od przyjazdu w to odludne miejsce. Czuję się chora, mam spowolnione krążenie, nie mogę jeść, piję tylko gorącą wodę - woda

426

oczyszcza organizm. Wieczorem siedzę przy kominku, tyłem do nich. Pilnuję ognia. Zastanawiam się nad minionym dniem i ubiegłą nocą, nad przebudzeniem z gwałtownym bólem serca - u mnie, która mam serce jak dzwon - i nad snami, które poprzedziły przebudzenie: Znajduję się w małym pokoiku, właściwie w komórce o drewnianej podłodze i bielonych ścianach, na sznurach rozwieszona bielizna, na zydłu, w samym centrum kadru - cynowa dziecinna wanienska. Wyjmuję z wody nagie dziecko, nie wiem, czy to chłopczyk czy dziewczynka, po prostu dziecko, dorodne, spore niemowlę, trzymam je oburącz, ociekające wodą, i nie mogę dosięgnąć wiszącego na sznurze prześcieradła. Wchodzi para, pan i pani. Patrzą. Nie pomagają. Z dziecka spływa woda. Prześcieradło nadal nieosiągalne. Budzę się. Prócz bólu serca czuję wilgoć pościeli. Może to ona wywołała mokry sen? Nad ranem znów zasypiam. Idę po białych, marmurowych schodach wyłożonych czerwonym dywanem. Na rozległym, pałacowym podeście wysokiego piętra zastają nieznanym osobom -uroczyste grono zebrane wokół owalnego stołu. Wszyscy stoją. Ktoś podaje mi wieczne pióro i podsuwa do podpisu dokument. Pióro ma przedwojenny krój i złotą stalówkę, która jest złamana. Podnoszę je znacząco i pytam z naciskiem: - Kto to zrobił? - Wszystkie palce wskazują na kogoś za moimi plecami. Za mną stoi chłopiec. Ma jakieś osiem lat, smagłą cerę, brązowe oczy pod zrosniętymi brwiami, marynarskie ubranko, marynarską czapkę. Na otoku złoty napis po rosyjsku: Czernomorskiej ftot.

Budzę się około południa, sama w domu. Niezależne kobiety znajdują na pustej plaży, siedzą oparte o burtę przewróconej łodzi. Opowiadam sny. Juana, która ma je wyjaśnić, patrzy na morze. Milczy. Milczymy wszystkie aż do wieczora, kiedy zabieram się do pilnowania ognia, siadam tyłem do nich przy kominku i piję gorącą wodę. O północy pojawia się posiadaczka jedyne w okolicy telefonu i coś wykrzykuje. Rozumiem tylko słowo Poloneza. Oraz

427

to, że jednak mnie znaleźli, choć pozostawiony w Warszawie numer kierował do Walencji, a nie do maleńkiej nadmorskiej wioski. Ubieramy się w milczeniu. Wsiadamy do samochodu, wszystkie cztery. Jedziemy do miasteczka, do automatu. Kiedy dzwonię do Warszawy,

utrzymują dyskretny dystans, choć przecież rozmawiam po polsku. Jola jest lakoniczna: - Musisz wracać. Mama nie żyje.

Na lotnisku w Warszawie Mateusz przypomina: - Chciała, żeby ją spalić.

Urna stanęła w serwantce. Co rano przychodziła pani Janka z parteru, żeby się „pomodlić do pani Lidy”. Klękała przed serwantką i odmawiała pacierze. Przychodzili nieznajomi, domagając się rzeczy, które „były im obiecane”: maszyny do szycia zygzakiem, piecyka olejowego, eklektycznych fotelików, kuchennych garnków, żelazka. Oddawałam.

Przeglądałam szafy, szafki, kredensy, szuflady, składziki. Opróżniałam obie lodówki.

Wynosiłam na śmietnik kilogramy niepotrzebnych, zepsutych przedmiotów, przeterminowane leki, flaszeczki z miksturami, zapasy starego mydła i zjełczałego tłuszczu, dziurawe garnki i zjedzone przez mole wełniane pończochy, które miały być do trumny, ze względu na zimno.

Kiedyś, jeszcze przed decyzją o kremacji, pokazała miejsce w szafie, gdzie „na wszelki wypadek” przygotowała specjalny komplet: sukienkę w różyczki na ciemnym tle, bieliznę i te wełniane pończochy. Gdy już umyłam podłogę z krwi i doprowadziłam do porządku splądrowane mieszkanie, odkryłam nieobecność sukienki. Pończochy zjadły mole. Hanka pomogła mi znaleźć w szafie jasną garsonkę, żeby nie było na czarno, czarnego mama nie lubiła. Pomogła mi też zorganizować prawosławną uroczystość.

Cerkiew, która za moich czasów gnieździła się w bocznej kaplicy gotyckiej katedry mariackiej, przeniosła się do byłego ewangelickiego kościółka przy dawnej ulicy Szkolnej.

Młody pop wita mnie nieufnie: nie znał tej parafianki. Próbuję tłumaczyć, że miała kłopoty z cho-

428

dzeniem, właściwie nie opuszczała mieszkania. - Ale nabożeństwo nad urną wykluczone. W naszym obrządku musi być ciało - mówi na koniec z nieco urzędową powagą. Zgadzam się. Proszę tylko, żeby trumna była zamknięta. (Nadal nosiłam pamięć ojca, nagiego na kamiennej ławie, z podwiązaniem podbródkiem. Nie chciałam zobaczyć mamy. Nie chciałam zobaczyć zastygłego na jej twarzy przerażenia i bólu, zadawanego przez gości, których podjęła herbata.) Ale ojczulek nie ustępuje: - Trumnę zamkniemy po nabożeństwie. Trzeba pozwolić, żeby się znajomi pożegnali. - Dobrze. Niech będzie otwarta. Na to też się godzę. I proszę, żeby mnie pouczył, jak mam się zachować. Wyjaśniam, że zostałam ochrzczona w cerkwi, ale wyrosłam w katolicyzmie. Dukam tę prawdę, jak w szkole podstawowej, nie potrafię utrzymać języka na wodzy. Duchowny jest zaskoczony. Hanka natychmiast interweniuje. Wszystko jest przecież oczywiste. Popatrz: tu jest ikonostas, tam Złote Wrota. Hanka wie to wszystko od Leona. Młody ojczulek natychmiast się ożywia, pochodzi z Podlasia. Upewnia się tylko, czy mamy na myśli malarza ze Stacji Waliły, i nagle nie muszę się już tłumaczyć z nieznajomości prawosławnej liturgii. A kiedy zaczyna się panichida, obrządek przestaje mieć znaczenie. Dookoła odbywa się tajemnicza ceremonia w języku przypominającym jeden z moich języków ojczystych. Modlę się w drugim. Umieję modlić tylko po polsku. Klęczę przy mamie aż do zamknięcia trumny. Udaje mi się nie zobaczyć jej twarzy. Mimo to wiem, jak wygląda.

Tamtej nocy, po wernisażu wystawy Cybisa, nie miałam chyba żadnych szczególnych snów.

Chyba się nie budziłam. A następnego dnia, 16 grudnia, we wtorek, w rocznicę śmierci Gabriela Narutowicza, w dniu urodzin Mirosława B., poszłam zwyczajnie do pracy. Tak sądzę. Chodziłam do pracy z niepojętą regularnością. Właściwie ciągle, bezustannie, byłam w pracy. W marszu i przy posiłku. Na wakacjach i na przyjęciach. - Masz syndrom kouzależnienia -

429

powiedziała Ewa Wojdyło, kiedy byłam jeszcze w bardzo wczesnej fazie walki z ulubionymi opiatami mego syna. Wyjaśniła, że jest to choroba osób związanych z nałogowcami. Jeśli nie zaczynają towarzyszyć swoim bliskim w picciu, w braniu narkotyków, w hazardzie, szukają

potwierdzenia własnej wartości w pracy i wyglądzie. Są starannie ubranymi pracoholikami. Byłam więc przypadkiem klinicznym. Stroiłam się i pracowałam. Nic innego nie umiałam robić. Ale chyba nadal powinnam była reagować na silne impulsy. Więc jeśli nie odebrałam żadnego znaku, jeśli ten dzień niczym się nie różnił od innych dni, jeśli nie zapamiętałam, co wówczas robiłam, to może policyjne okazanie nie dotyczyło mojego dziecka? Może na klatce schodowej mokotowskiego bloku znaleziono kogoś całkiem obcego? Bo przecież nie można nic nie czuć, kiedy umiera ktoś tak bliski.

MAJ

Nic ode mnie nie chcesz

Zasada mamy: „najpierw żywi” wyartykułowała się w pełni po śmierci mojej babki i mojego ojca, kiedy w grę zaczęła wchodzić, nieprawdziwa skądinąd, ale wygodna opozycja między dbałością o ojcowski nagrobek a obowiązkami wobec chorej siostry. Dopiero wówczas okazało się, że świat nieobecnych nie był przedmiotem jej zainteresowania. Na pogrzeb babki się spóźniła, przyjechała do Nowosybirsk już po wszystkich ceremoniach. Udział w pogrzebie ojca ograniczyła do obecności na cmentarzu podczas pochówku. W jednym i drugim wypadku wolała rolę dyspozytora i fundatora. Nie chodziła w żałobie. Nie okazywała żalu i bólu. Nagrobek też musiał poczekać - umarłym się nie spieszy i kto wie, czy w ogóle potrzebują tego rodzaju znaków pamięci. Naprawdę, tak myślę, uważała, że ten nagrobek potrzebny był tylko mnie - ona sama ani razu od dnia pogrzebu nie pojechała na cmentarz i nawet nie sprawdziła, jak wykonano jej zdalne, zaoczne zamówienie. Kiedy jej zrelacjonowałam, że z wielkiej marmurowej płyty, którą kupiła i powierzyła fachowcom, został zaledwie niewielki prostokąt - akurat wystarczający na wykucie napisu - złościła się tylko przez chwilę, wykrzyknęła, że ci wszyscy bandyci umieją jedynie kraść, a potem zmieniła temat. Koncentrowała energię na pracy i sposobach utrzymania Wiery, na załatwianiu dla niej opiekunek, sprzątaczek, środków do życia, lekarzy

431

i sanatoriów, jakby Nowosybirsk nie był oddalony od Legnicy o tysiące kilometrów, jakby Polski nie dzieliła od ZSRR trudna do przekroczenia „granica przyjaźni”, jakby pod koniec lat siedemdziesiątych można tam było wysyłać zwyczajne przekazy pieniężne, czeki albo zlecenia wypłaty, a także otwarcie o tych wszystkich sprawach rozmawiać przez telefon czy omawiać je w listach. Ona to umiała. Po śmierci Wiery jeszcze jej wystarczyło energii na krótkie wprowadzenie Jury w tajniki porcelanowego fachu, żeby mógł sobie dorobić do emerytury, wypalając w kuchni - potajemnie, nocami - po jednym serwisie, bo tam prywatna inicjatywa nadal nie była dozwolona. A potem nagle jej podmiotowość odwróciła się od Rosji i skierowała na nas, na mnie i Mateusza; byliśmy ostatnimi żywymi, którzy jej jeszcze zostali. Zaczęła podejmować próby pokierowania naszym życiem, czego oczywiście nie mówiła wprost. Sugerowała tylko, że już dojrzeła do zmiany miejsca zamieszkania i chętnie przeniesie się do Warszawy. Kupiła mi małego fiata. Potem wykupiła na własność moje spółdzielcze M2 - za ciasne nawet dla nas dwojga, nie mówiąc o mamie i jej syberyjskim rozmachu. Zaczęła więc nalegać na znalezienie jakiejś posiadłości pod Warszawą, która rozwiązałaby nasze lokalowe trudności. Wreszcie sama ją wytropiła. Tym sposobem, wczesną wiosną 1980, stałam się posiadaczką „daczy” na niezgrabnej działce rolnej pod Konstancinem. Odtąd mama zajeżdżała pod dom na Czerniakowskiej ciężarówkami pełnymi mebli i sprzętów gospodarczych, zawsze bez uprzedzenia, zawsze znienacka, bo trzeba było tę „daczę” zagospodarować. Zaraz potem wyjeżdżała i zostawiała mnie z tą obfitością, której musiałam pilnować. Nie mając zwyczaju zamykania się we własnym mieszkaniu aż do ogłoszenia stanu wojennego, stałam się nagle strażniczką wiejskiego dobytku mojej mamy. Przez całą wiosnę kursowałam między Warszawą a Konstancinem i uczyłam się ogrodnictwa. To w końcu nic trudnego, myślałam, trzeba się tylko postarać, trzeba włożyć w to trochę pracy, jak we wszystko. Kopałam, grabiłam, siałam, podlewałam i pełłam. A także

pilnowałam szaf, łóżek, stołów, kredensów, pościeli, zastawy stołowej, sztucców i wszystkiego innego, co pojawiło się nagle w tej wiejskiej, dwuizbowej chałupie. Raz czy dwa urządziłam nawet jakieś przyjęcie, którego punktem kulminacyjnym było czerpanie wody ze studni i podlewanie grządek. W pierwszych dniach sierpnia mama przywiozła tam panią Jankę z parteru i spędziła tydzień wakacji, może jeden z niewielu szczęśliwych tygodni w ostatnim okresie swego życia. Kierowca Bolek zbierał maliny, ja dowoziłam z Warszawy zakupy, stawiałam na stole sałatę i pomidory własnej hodowli i wyjeżdżałam. Nie mieściłam się w świecie długiego biesiadowania przy stole, nie umiałam dzielić z nimi tej radości leniwego życia i wiejskiego spokoju, nie pomyślałam też o tym, o czym pomyślałam dopiero niedawno - że ta chałupa bez wody i kanalizacji przypomniawszy mamie jej rodzinny dom w Nowosybirsku przy ulicy Sowieckiej, a więc także jej młodość. Wreszcie przywiozłam tam panią Zofię z Marynią. Miały zostać na dłużej po wyjeździe mamy, która wracała do Legnicy trochę obrażona - była zazdrosna o moją więź z cudzą matką, bo przecież nie wiedziała, że przez ubiegłe siedemnaście lat, podczas których widywałam ją zaledwie kilka razy do roku, to właśnie pani Zofia wysłuchiwała moich zwierzeń i udzielała mi życiowych porad. A potem nastąpiła pora porozumień gdańskich i ruszyła lawina wolności, nie miałam już głowy ani czasu na pielęgnowanie ogrodu i pilnowanie własności, którą stopniowo, na raty, rozkradano (podobnie jak później po kawałku rozkradano stojącego przy Czerniakowskiej starego fiata sirocco ze złamanym przez Mateusza podwoziem). Na wieś pojechałam chyba tylko raz, z moją przyjaciółką El-żunią, zebrać ze starych jabłoni trochę koszteli i antonówek. Nie relacjonowałam mamie kolejnych włamań i zniszczeń, sama także nie znałam ich rozmiarów, bo przestałam bywać pod Konstancinem, odkąd zamieszkaliśmy w Komorowie, ale wyglądało na to, że się z nimi jakoś pogodziła, bo następną ciężarówką zajechała już pod nasz nowy, tymczasowy dom. Nie umiałam jej powstrzymać, nie chciałam

tłumaczyć, że właśnie wchodzę w eksperyment, który może się nie udać, i muszę mieć wolne ręce, nieobciążone tymi nowo przywiezionymi meblami, na które już nigdzie nie znajdę miejsca i będę musiała je tam zostawić, narażając ją na następne straty. Nie umiałam jej powiedzieć, że do wyrzutów sumienia związanych z kolejnym zakłóceniem życia Mateuszowi dojdą także te wyniki z porzucenia i zmarnowania jej dobytku. Nie mogłam jej także wyznać, że kiedy po następnej dostawie, tym razem spożywczej, wróciła do domu, urządziliśmy w ogrodzie przyjęcie dla kilkudziesięciu osób, żeby nam pomogły zjeść wymienione w Legnicy na porcelanę i przywiezione przecież tylko dla nas zapasy szynki, bekonu, kiełbasy i boczku, które najpierw wędziliśmy i piekliśmy na ognisku, a potem wieszaliśmy na gałęziach „do natychmiastowej konsumpcji”. Była wiosna 1981, w sklepach sprzedawano tylko ocet, jedzenie więc znowu, jak za czasów blokady Leningradu, stało się dla mamy najważniejsze, toteż nie mogła się dowiedzieć, że wieszamy na drzewach jej krwawicę i nie tylko marnujemy takie dobro, ale okazujemy brak szacunku i dla niej, i dla pokarmu. Z tych samych - leningradzkich - powodów nie mogłam jej zabronić tych dostaw, choć przecież wiedziałam, że pod tym wszystkim, pod tym niepokojem o nasze żołądki i nasz życiowy standard, kryje się nie do końca uświadomiona, instynktowna potrzeba zaznaczenia terenu i wejścia do wspólnoty przez wniesienie udziału, który dawał jej większe uprawnienia, niż gdyby po prostu przyjechała z wizytą. Rozumiałam, że chce mi być potrzebna, bo tylko ja jej zostałam, co uświadomiła sobie dopiero po tych wszystkich latach rzucania mnie na głęboką wodę. Oczywiście, gdybym tonęła, gotowa była skakać na ratunek, ale ja nauczyłam się pływać i przestałam liczyć na jej pomocną dłoń. To, co mi uparczywie dawała, kiedy stałam się dorosłą kobietą, było zawsze już tylko luksusem, pomocnym, lecz niekoniecznym naddatkiem. Chyba zdawała sobie z tego sprawę, ale nie umiała się wyrzec, jakby z obawy, że zaprzestając tych dostaw i transportów, okaże się niepotrzebna. Jakby nie

wystarczało jej poczucie macierzyństwa i musiała jakoś dodatkowo uzasadnić swą dalszą obecność w moim życiu. Mama nie wiedziała, że w 1976 roku, po powrocie z Wenecji, postanowiliśmy z Tomkiem wyjechać z Polski. Nie znała też mojej, zaledwie kilka tygodni późniejszej decyzji, że jednak nie wyjadę, bo właśnie umarł ojciec, i teraz, kiedy została sama, nie mogę jej opuścić, nie mogę zostawić jej tu, w Polsce, i budować życia gdzieś tam, w innym kraju i innym systemie, ponieważ taka decyzja oznaczałaby zerwanie kontaktu, niemożność powrotu w każdej chwili, kiedy byłoby to potrzebne czy wręcz konieczne. Nie pamiętałam wówczas, tak mi się wydaje, o jej niegdysiejszym statusie „zdrajczyni ojczyzny” i wynikających z tego bolesnych konsekwencjach, kiedy latami bezskutecznie zabiegała o pozwolenie zobaczenia się z własną matką i mogła pojechać dopiero na jej pogrzeb; nie kojarzyłam odmowy wydania paszportu z pamiętnym zakupem dwóch motocykli. Wtedy, jesienią roku 1976, wiedziałam już o przodującym systemie dostatecznie dużo, żeby nie liczyć na dobroć właścicieli Polski Ludowej w kwestiach swobodnego podróżowania po świecie jej nielojalnych obywateli. I to przede wszystkim, tak mi się dzisiaj zdaje, przesądziło o mojej decyzji. Kiedy ją podejmowałam, mama była w moim obecnym wieku. Dziś zastanawiam się, jak to się stało, że ta silna i przedsiębiorcza kobieta potrafiła ukształtować we mnie ten rodzaj poczucia odpowiedzialności, którego ja sama nie zdołałam zaszcześcić mojemu dziecku. Jak, będąc tak samodzielna, umiała jednocześnie wywołać we mnie poczucie zobowiązania? Dlatego że zawsze wołała rozkazywać, niż wykonywać? Że zawsze znajdowała kogoś, kto ją zastąpił w czynnościach, których nie lubiła albo które ją męczyły, ja natomiast rzucałam się do wszystkiego sama, bo tak mnie nauczyła? Że mam sprzątać, pracować, prasować, gotować, wypiekać ciasta, a także szyć, haftować, robić na drutach i na szydełku, przy czym ona sama wykonywała zaledwie część tych czynności, nie sprzątała, nie prała i nie zajmowała się dzierganiem (dziergać nawet nie umiała). Weszło mi to w krew do

tego stopnia, że przez wiele lat zaczynałam swój pobyt w Legnicy od generalnych porządków, mycia podłóg i prania. Musiały minąć lata, zanim nauczyłam się cedować nieprzyjemne zajęcia na wynajęte osoby, ale jeszcze teraz sama komponuję kolory i maluję mieszkanie, stolarzowi rysuję sposoby łączenia desek, glazurnikowi pozycję każdej płytki; do niedawna sama uprawiałam ogród - kopałam, przesadzałam drzewa, kosiłam trawę, podlewałam, sadziłam rośliny i wrywałam chwasty z takim zapamiętaniem, że nabawiłam się chronicznej kontuzji nóg i musiałam się z tego ogrodu wyprowadzić, pozostawiając za sobą przywożone z Holandii tulipany, kwitnące krzewy, wybujałe drzewa, i wrócić do miasta, do bloku. Nadal przy każdej wystawie pracuję fizycznie na równi z ekipą montażową i sama noszę obrazy, bo nie mam cierpliwości czekać, aż inni wypełnią moje polecenia z odpowiednią dokładnością. Mama miała cierpliwość zawsze, jeśli mogła uzyskać efekt, nie ruszając się z miejsca. Siedziała, kiedy pod jej dyktando fachowcy konstruowali ulepszoną przez nią wersję ceramicznego pieca; przyzwyczajala kolejnych podrostków z mieszkającej piętro niżej, wielodzietnej rodziny do codziennych wizyt i odbierania zleceń na bieżące zakupy: - Przynieś mi dzisiaj dwa albo lepiej trzy kilo jabłek, koszteli, kilo mąki, kilo cukru, kilo pomidorów, tylko żeby były twarde i duże - dysponowała z fotela. Bardziej wyrafinowane produkty dostarczano jej za pośrednictwem rozbudowanej sieci dostawców mających dojazd do wciąż niedostępnych sklepów Północnej Grupy Wojsk. Transakcje odbywały się w obrocie bezgotówkowym: w jednym kierunku płynęły bogato zdobione porcelanowe serwisy, w drugim jedzenie. Część tych dostaw wędrowała także do mnie, do Warszawy, nie tylko w postaci rozlicznych odmian schabu, boczku i bekonu (do których mama pewnego dnia dołożyła dużą lodówkę, bo ta, którą miałam w M2, była na to wszystko za mała), ale też kawy i herbaty, konserw rybnych, warzywnych i mięsnych, którymi w długotrwałym okresie pustych sklepów opłacałam usługi elektryczne i hydrauliczne, które

wymieniałam na benzynę i którymi dzieliłam się z potrzebującymi. Do Warszawy spływały ponadto kilogramy czekoladowych cukierków w rodzaju Miszka na Siewierie. Nie brałam ich do ust, lecz nie odważyłam się powiedzieć mamie, że nie lubię rosyjskich czekoladek. Świetnie się zresztą nadawały na rozmaite prezenty pod choinkę i w ogóle na każdą okazję. Gdy już zamieszkałam na Wilanowskiej, czyli w stanie wojennym, pojawiał się kawior: czerwony w puszkach i czarny na wagę. Pamiętam pewien wielkopiątkowy wieczór z wczesnych lat osiemdziesiątych, kiedy mieliśmy już za sobą dzielenie, peklowanie i wędzenie nielegalnie zdobytej szynki, w słojach zastygał wytopiony ze słoniny smalec, gotowe już były wszystkie mazurki i tiulowe baby, i kiedy zasiedliśmy - moja nowa rodzina z parteru i krewni mego męża z piętra tej samej willi - nad przywiezionym przez mamę wielkim słojem czarnego kawioru. Zjedliśmy go aż do ostatniej łyżki, pokrętnie grzesząc postnym obżarstwem. Było to już chyba po tym, jak mama zwiozła do Warszawy następny transport komódek, kredensów, serwantek i czereśniowych szaf, których -miała nadzieję - będę już teraz, w całkowicie formalnym związku, używać dłużej niż dotychczas, kto wie, czy nie do końca życia, bo przecież taka chyba jest treść małżeńskiej przysięgi. Co więcej, przypomniała sobie nagle o mojej prawosławnej, chrześcijańskiej tożsamości, wynikającej z potajmnego, dokonanego za sprawą mojej babki Afanasji, chrztu i starała się o cudowne odtworzenie dokumentu albo chociaż nieformalnego świadectwa, żebym mogła spełnić życzenie małżonka i przypieczętować związek ślubem kościelnym. Mnie samej nie było potrzebne ani to świadectwo, ani ten ślub, ani dostawa mebli. Ewentualnie godziłam się na kawior, był nietrwały Pamiętam, jak podczas jednej z telefonicznych rozmów, poprzedzanych w tamtym okresie sakramentalnym, mechanicznym nagraniem: „rozmowa kontrolowana”, próbowałam ją odwozić od pochopnego zamiaru meblowania domu mojej teściowej. Proponowałam jej żartem, żeby nie kupowała szaf, tylko brylanty. - Mamo, jeśli masz pie-

niądze, to kupuj brylanty, zajmują mniej miejsca niż meble. - Obie wiedziałyśmy, że kpię, obie miałyśmy wystarczająco duże poczucie humoru, żeby rozpoznać ten pomysł jako absurdalny, ale kiedy wróciła do domu ze świątecznej wizyty w Warszawie, zastała splądrowane mieszkanie i zupełnie zszokowaną Taborową, która cudem przeżyła najście „nieznanych sprawców” rozcinających materace i siedzenia kanap, grzebiących nawet w popiele jedyne go pieca, którego jeszcze nie podłączono do elektrycznej instalacji, i dopytujących się, gdzie też pani Lida trzyma brylanty. Brylantów nie było, a transport mebli już dotarł pod mój nowy adres. O tym jednak „nieznani sprawcy” nie wiedzieli, nie znali natręctwa mojej mamy, jej przemożnej potrzeby oswojenia obcego domu, wejścia do niego na podstawie uprawnień wynikających z faktu dzielenia się własnością i przez to ulokowania się obiektywnie, a nie tylko we własnej świadomości, na pozycji jeśli nawet nie do końca bliskiej, to przynajmniej w jakimś stopniu upoważniającej do odgrywania roli w życiu mojej nagle rozbudowanej rodziny Brylanty w takiej subtelnej operacji nie mogły być pomocne, brylanty się nie „obiektywizowały”, a więc nie były dobrem, które wszystkim jednako i pospołu służyło, a to właśnie było dla mamy najważniejsze. Nie mogłam się temu przeciwstawić, bo nie chciałam usłyszeć w jej głosie zawodu i goryczy, niespodziewanie cichego: - Nic ode mnie nie chcesz - kiedy na jej pytania coraz częściej odpowiadałam, że niczego mi nie potrzeba, niczego mi nie brak, że sobie radzę. Powtarzała te pytania i te konstatacje, że niczego od niej nie chcę, nawet po tym, szczególnie po tym, jak kolejny raz wróciłam na Czerniakowską, gdzie nie mieściły się dodatkowe szafy i komody. Czekałam na nowe spółdzielcze mieszkanie, które od wielu lat było w teoretycznej budowie; podsycalam w niej wiarę, że już niedługo, za rok czy dwa, przeniesiemy się wszyscy troje, ona, Mateusz i ja, do naszego nowego domu, na ósme piętro przy ulicy Dzikiej, skąd widać niemal cały

Żoliborz, a Powązki akurat zasłania narożnik sąsiedniego mieszkania. Nie bardzo w to wierzyła, podobnie jak ja,

438

więc się jednocześnie zabrałam za rozbudowę już wówczas kompletnie rozkradzonej „daczy” pod Konstancinem - akurat założyłam fundację, zaczęłam wreszcie przywozić zarabiać i po dwóch latach uciułałam na kanadyjski dom, właściwie tylko na odpowiednio przycięte deski i filary, które kupiłam w pakiecie z projektem i powierzyłam przedsiębiorcy o wyglądzie rozbójnika Rumcajsa z czeskiej kreskówki na dobranoc, żeby najpierw przygotował plac budowy na miejscu starej stodoły. Tygodniami rysowałam wnętrza, starając się tak gospodarować przestrzenią, żebyśmy mogli w trójkę ze sobą wytrzymać, doglądałam rozbiórki, konsultowałam się z architektami i grzecznie płaciłam Rumcajsowi za kolejne czynności aż do chwili, kiedy wysłałam naprzeciw społecznym oczekiwaniom i ruszyłam na zew Ojczyzny, a w rzeczywistości po prostu dałam się nabrać na slogany budowania nowej rzeczywistości w wolnym wreszcie kraju (jeśli A to B, jeśli tyle lat pracowałeś dla środowiska, omijając stare, komunistyczne struktury władzy, to teraz pomóż nam zbudować nowe, demokratyczne) i zostałam dyrektorem departamentu w Ministerstwie Kultury. O budowie domu przypomniałam sobie dopiero po kilkunastu miesiącach szarpaniny, nieporozumień i frustracji pochłaniających cały mój czas i energię, czyli po wyzwoleniu się z jarzma Urzędu. Wtedy okazało się, że firma budowlana znikła razem z Rumcajsem, materiałami budowlanymi i kanadyjskim domem. Oczywiście, mama nie mogła się dowiedzieć o tym, że zgubiłam dom; nie mogła zostać nagle skonfrontowana z kolejną stratą, spowodowaną przecież niczym innym, jak tylko moją lekkomyślnością, roztrzepaniem i brakiem dbałości o sprawy zasadnicze, bo w końcu dom to nie jest pierścionek ani banknot, ani nawet te pierwsze w życiu tysiąc dolarów, które razem z całym bagażem dałam sobie ukraść we Florencji podczas wycieczki z artystami, co mi potem długo wypominała. Dom to nie saszetka z resztkami rodzinnych skarbów - takich jak подарowane niegdyś przez Kazka łyżki z monogramem, okazjnie kupiony srebrny komplet stołowy, kilka złotych pierścion-

439

ków - którą powierzyłam na przechowanie Annie H., syberyjskiej przyjaciółce mamy, już od dawna samotnej wdowie (ponieważ jej mąż Adrian, podobnie jak Bolesław Bierut i Aleksander Zawadzki, dostał w Moskwie grypy i wrócił do Warszawy w trumnie). Niedługo po tym, jak złożyłam u niej swój cenny depozyt, Annę przejechał samochód, o czym jej syn zapomniał mnie zawiadomić od razu, zadzwonił dopiero po kilku tygodniach i - oczywiście - nie znalazł w rzeczach matki żadnej saszetki, skądże znowu. - Przeklnę jego i jego dzieci! - zagroziła wtedy mama, ale ubłagałam ją, żeby dzieci zostawiła w spokoju, wystarczy, że Romcio pomęczy się z jej przekleństwem. Tak więc nie wdawałam się w opowieści o zgubionym domu, tylko delikatnie powróciłam do rozmów na temat mieszkania na Dzikiej i głowienia się nad ergonomicznym zagospodarowaniem budowanych dla nas dziewięćdziesięciu metrów. Mama chyba jednak przestała liczyć na moją przedsiębiorczość i któregoś dnia zwierzyła mi się ze swego przeczucia, że zapewne j uż nigdy nie zamieszka w Warszawie, a podczas jednej z moich wizyt w Legnicy dodała, że nie chciałaby upaść w korytarzu i tam już pozostać. I wskazała miejsce w połowie drogi między kuchnią i salonem, gdzie ją później znaleziono. Nie umiałam jej pocieszyć. Prowadziłam z nią niemal codzienne telefoniczne pogawędki, unikając drażliwych tematów, nie wprowadzając jej w swoje zmartwienia ze zgubionym domem, ze ślimaczącą się budową mieszkania, z pracą i ulatującym w niebyt Mateuszem. Nie byłam jednak w stanie ani jej niczego obiecać, ani jej zapewnić o swoich uczuciach. Tego nadal nie potrafiłam. Nie nadszedł taki dzień, w którym bym jej powiedziała, że pielęgnuję w pamięci wszystkie rodzinne opowieści i wszystkie sfabularyzowane historie, jakimi zastępowała ostrzegawcze rozmowy związane z moją seksualną inicjacją, jak choćby ta o pewnej koleżance, której piękne ciało trawił syfilis po

tym, jak lekkomyślnie uległa przypadkowo spotkanemu mężczyźnie - opowiedziana mi podczas naszych wspólnych krawieckich zajęć w przeddzień mojego samodzielnego

440

wyjazdu z wizytą do ojca, do poznańskiej kliniki; że dokładnie pamiętam, jak zniecka wkroczyła do legnickiej Wuzetki i bez komentarza zabrała mnie do domu akurat na pół godziny przed odjazdem pociągu, którym miałam raz na zawsze wyjechać z tego miasta - bo po kolejnej awanturze postanowiłam uciec do Wrocławia - a zamiast tego pokornie wyszłam za nią z kawiarni i potem w domu równie pokornie jadłam postawioną na stole zupę, czekając na następną awanturę, ale nie padło żadne słowo, ponieważ niekiedy, bardzo rzadko, w zupełnie wyjątkowych chwilach, mama umiała milczeć. Nie powiedziałam, jaką czułam wdzięczność, że do końca nie zdradziła powodu swojej nagłej wizyty na Uniwersytecie - w miejscu, którego nigdy wcześniej ani później nie odwiedziła - a tamtego dnia zaskoczyła mnie w alejce prowadzącej do Instytutu i skwitowała moje pytania zwyczajnym: - Wpadłam, żeby cię odwiedzić. - Wcześniej jednak zdążyła już być w dziekanacie, a także odpytać moje przyjaciółki, czy ja na pewno studiuje, bo życzliwe osoby doniosły jej, że mnie wyrzucono, że ponoć mieszkam na jakiejś melinie i nie wiadomo, z czego naprawdę żyję. To pamiętałam. Ona natomiast mogła pamiętać inne rzeczy. Mogła sobie wyrzucać, że mnie zaniedbywała zajęta chorobą ojca i opieką nad rosyjską rodziną; że nie potrafiła się powstrzymać od krzyku, na który niezmiennie reagowałam wychodzeniem z domu, także wtedy, kiedy przyjeżdżałam już tylko na wakacje i po jej pierwszym wybuchu ruszałam z powrotem do pustej Warszawy; mogła tego żałować, choć nie znała zasad mieszkania w akademiku, szczególnie tej, że latem mieszkanie po prostu nie przysługuje - zapewne dlatego nie zdarzyło się, żeby mnie szukała. Mogła żałować kpiącego tonu, jakim skwitowała moją pierwszą, cieniutką książeczkę przywiezioną jej w prezencie: najpierw mnie odpytała, ile też czasu zabrało mi napisanie tego dzieła, a potem - ile mi za nie zapłacono. Zadała te pytania tylko po to, jak myślę, by skwitować moje wyjaśnienia niedbałym: - Tyle to ja zarabiam w trzy dni. - Ale też mogła tego w ogóle nie pamiętać, mogła

441

pamiętać tylko swoje rozczarowanie, że - mimo łatwości, z jaką mi przychodziło to zajęcie, ćwiczona dla zabawy i zabicia czasu podczas wakacji - nie zaczęłam malować i wypalać porcelany, nie wspomogę jej i nie wejdę w interes, żeby wreszcie sobie pożyć jak panisko. Temu zapewne miało służyć porównanie moich autorskich honorariów z jej porcelanowymi dochodami; pielęgnowała chyba takie nadzieje przez długi czas, aż nadszedł taki dzień - akurat wybuchła elektrownia w Czarnobylu - w którym dostałam telefon z legnickiego szpitala, porzuciłam malowanie kuchni mojej teściowej i wsiadłam w najbliższy pociąg. Pamiętam bezkresne godziny tej podróży wypełnionej dławiącym niepokojem o jej życie oraz radość, kiedy po wejściu do szpitala zobaczyłam ją całkiem przytomną, choć trochę wystraszoną szpitalnym otoczeniem. Spędziłam z nią wtedy jakieś dwa tygodnie. Pierwsze dwa tygodnie od czasu mego dzieciństwa, kiedy byłyśmy tylko we dwie. Najpierw, przez pierwszy tydzień, chodziłam do szpitala i porządkowałam mieszkanie, opróżniając przy okazji obie lodówki i przekazując pani Jance z parteru wszystkie tłuste zapasy. Potem obsługiwałam porcelanowy interes - malowałam, wyklejałam, wypalałam i pakowałam serwisy, pilnując jednocześnie drakońskiej diety, na którą się początkowo godziła, ponieważ powodem jej kłopotów z sercem była nadwaga, oczywiście. Niestety, wkrótce znów zaczęła myszkować nocami po kredensie. Jednak ogólnie jej stan się poprawił, nabrała dawnej energii, a ja wróciłam do Warszawy, pozostawiając ją ze skrywanym poczuciem rozczarowania, że chociaż potrafię sobie poradzić z jej warsztatem, to się nim nie zajmę. To rozczarowanie narastało w niej, odkąd opuściłam willę na Mokotowie, zrozumiała bowiem, że mimo wszystko pozostanę przy swoim niskopłatnym zajęciu i będę koczowała na Czerniakowskiej, gdzie nadal brakowało dla niej miejsca i gdzie było za ciasno nawet dla nas

dwojga, dla mnie i dorosłego już Mateusza. Czuła się coraz bardziej samotna. Nie pomagało zapełnianie domu zastępami młodych, młodszych ode mnie „opiekunek” i „koleżanek”, które

442
z nią omawiały wszystkie swoje kłopoty i troski, sprawy nieporuszone w obecności własnych matek, zupełnie tak jak ja rozmawiałam z panią Zofią i jak nie umiałam rozmawiać z nią, moją własną matką. Były nią oczarowane, powtarzały mi - kiedy na nie przypadkiem trafiałam - że nigdy jeszcze nie spotkały takiej kobiety, takiego człowieka. Wiedziałam o tym, wiedziałam, że mam niezwykłą, nietuzinkową matkę, wiedział to także Mateusz: - Myślisz, że mógłbym zostać inżynierem, mając taką babcię? - zapytał żartem niedługo po tym, jak mu bez skrępowania wyznała, że właśnie się zakochała. Rozkwitła na krótko, na kilka miesięcy. Przestała jej nawet dokuczać zmęczone nadmiarem tłuszczu ciało, zaczęła się zzwawiej poruszać, kazała sobie uszyć jakieś suknie i na pewien czas porzuciła niebieskie kalesony. Ale tajemniczy narzeczony zniknął, jak się pojawił, mama nie chciała mi powiedzieć, kim był, zeznała tylko, że to stary znajomy sprzed lat, który mieszka na stałe za granicą. Mówiąc „za granicą”, nie miała oczywiście na myśli Rosji, którą nadal żyła, którą się wciąż interesowała i korzystając z moich przyjazdów, relacjonowała z niekłamanym zaangażowaniem szczególnie „bestialskiej” - jak się wyraziła - egzekucji na cesarskiej rodzinie Romanowów, komentowała książki Sołżenicyna, polemizowała z Natalią Gorbaniewską. Ku mojemu zaskoczeniu wiedziała całkiem sporo o rosyjskiej opozycji i nie kryła swych poglądów przed służącymi w Armii Czerwonej klientami. Nie była typową kobietą interesu, nie załatwiała spraw w jakimś kantorku. Przyjmowanie zleceń i wydawanie towaru, ostrożne i fachowe pakowanie lśniących złotem serwisów odbywało się w niegdysiejszym salonie - przy kawie lub herbacie, ciasteczkach i czekoladkach leżących na paterach w sąsiedztwie świeżo pomalowanych filiżanek i tuż obok oprawionego w ramki portretu Wałęsy, którym kłuła w oczy swoich rosyjskich klientów przez cały okres stanu wojennego, zmuszając ich do niechcianej, niezręcznej rozmowy na temat wolności i demokracji. Musieli jej przynajmniej wysłuchać, jeśli chcieli wyjść z upragnionym serwisem. Tak właśnie mogła wy-

443

glądać jej ostatnia w życiu rozmowa - przy herbacie i ciasteczkach ułożonych w pobliżu schnących filiżanek i portretu Lecha - w czasach, kiedy załadowane po brzegi wojskowe transporty uwoziły do Rosji jej ostatnich klientów, a Legnica wraz z resztą Polski i sporą częścią Europy oczyszczała się z okupacji. Już wówczas mama nie radziła sobie finansowo, ale w trakcie naszych telefonicznych pogawędek nadal pytała, czy mi czegoś nie trzeba. Ja jednak nauczyłam się już odpowiadać pytaniem na pytanie, odwracać kierunek troski. Dopiero wtedy, zachęcona, pozwalała sobie na wyznania, że ostatnio nie idzie jej tak dobrze, jak powinno, a ja wiedziałam, że zalega z czynszem, że ma niezapłacone rachunki za światło i gaz - bo te wydatki uważa za drugorzędne wobec konieczności wypełnienia obydwu lodówek: jednej w nowej kuchni, przerobionej z mojego dzieciennego pokoju, drugiej w kuchni pierwotnej, zamienionej na magazyn porcelany. Więc oferowałam się z pomocą finansową, którą zwykle wzbraniała się przyjąć, chyba że jako pożyczkę do czasu, aż odzyska od swych dłużników należne jej kwoty.

Żyła w lęku. Ja jednak nie zdawałam sobie wówczas z tego sprawy, bo dla mnie nadal była silną i odważną Lidą, od której ja, jej córeczka, wyzwalam się przez całe życie - w końcu o wyborze Uniwersytetu w Warszawie nie zdecydowała ranga uczelni, lecz jej odległość od rodzinnego domu - na tyle duża, abym mogła zniknąć z pola widzenia. Spytana podczas egzaminów wstępnych o powód nieubiegania się o przyjęcie na pobliski Uniwersytet Wrocławski, na poczekaniu wymyśliłam jakąś bajkę, że tam na historię sztuki przyjmują co drugi rok i że teraz właśnie nie przyjmują. Istotnie, odjechałam. Ale nie uciekłam. Poruszałam się jak na długiej gumce, dającej mi poczucie jakiejś złudnej niezależności tak długo, jak długo na drugim końcu czułam jej kruchą dłoń. Tymczasem ona żyła w lęku, nie prosząc o

pomoc, choć zapewne na nią liczyła. Nie umiała prosić, umiała tylko wydawać polecenia. Zwracanie się o pomoc przeczyło jej poczuciu godności i w tym akurat była podobna do ojca, chociaż

444

on nawet nie potrafił egzekwować swoich praw, a ona tylko finansowych należności. No i uczuć, tak przynajmniej myślała. Ryglowała się więc w swoich lękach, w swojej dumie i w swoim mieszkaniu, ale nie była konsekwentna w ostrożności i kiedyś, wczesną wiosną 1993 roku, piętnastego marca - a może raczej wieczorem czternastego - otworzyła drzwi niewłaściwemu osobom. Gumka pękła. Minęły lata. A ja nadal nie wiem, co mam zrobić ze swoją wolnością.

Szkice do drzewa

Opatrzność zsyła mi kongres w Montrealu, mogę nawet dostać zwrot kosztów podróży. Korzystam z tej okazji, żeby jeszcze raz odwiedzić Helę i zadać jej te wszystkie pytania, których nie zadałam za pierwszym razem. Wiem o rodzinie dużo więcej niż przed rokiem, wiem także, czego nie wiem - a nadal nie wiem więcej, niż wiem, więc lecę do Kanady z nadzieją, że jeszcze coś uzupełnię, coś uratuję. Tym razem przylatuję w niedzielę. Hela, ubrana w czerwony żakiet, z głową prosto od fryzjera, promieniejąca i zaaferowana czeka na mnie z Susie na lotnisku, a Montreal tonie w wybujałych krzewach kwitnącego bzu. Wieczorem zaczynają się schodzić goście. Pojawia się Ben, czyli „Belus”, z francuską żoną i synem, przychodzą dorośli synowie Susie ze swym ojcem Williamem, jest Dudi, szwagier Heli z żoną, jest przyjaciółka Heli, Sheva, która mówi po polsku - nauczyła się przy mężu, nieboszczyku, sama bowiem pochodzi z Rumunii. Pojawia się też nieznany mi dotąd Peter. Nikt chwilowo nie wyjaśnia, że to także mój kuzyn, słyszę tylko ubolewania Heli, że nie ma Very, chociaż obiecała. Nie dociera do mnie, że ta uroczysta kolacja przy wielkim stole w jadalni, te wyciągnięte z kredensu odświętne nakrycia, ten podniosły nastrój - że to wszystko na moją cześć. Nie przywykłam do rodzinnych spotkań przy stole (zawsze było nas tylko troje - mama, tata i ja - resztę przestrzeni wypełniały rodziny moich

446

przyjaciół i partnerów) ani do ciepłej, macierzyńskiej troski, którą mnie obdarza rozluźniona i serdeczna Hela, moja odzyskana ciotka.

Następne dni, które tylko częściowo spędzam na kongresowych obradach, poświęcam na wyciąganie od Heli wiedzy o rodzinie. Wyświetlam na cały ekran jej ślubne zdjęcie i wypytuję po kolei o zgromadzone wokół niej kobiety - kim są, jak się nazywają, skąd się wzięły na tej uroczystości? Hela posuwa palcem po ciekłokrystalicznej substancji i bez wielkiego namysłu wymienia kolejne imiona, zaczynając od czwartej osoby po lewej stronie, bo pierwszych trzech nie zna, a może zna, tylko nie pamięta: Manzi, siostra Manzi, o której Hela mówi Kasser, Liii, znów jakaś Manzi, potem Joli, następna Manzi, Hermina, Etuś, Fritzi. Siedzą: pierwsza od lewej Sara Alt, zapewne najstarsza siostra oblubieńca, potem Hela w welonie i białej sukni, obok niej ciotka Helen - to ona wydaje za mąż córkę swojej siostry Sary. Na pierwszym planie kucają dzieci: Leslie, syn Sary Alt,

447

Ted (Tibi), syn Manzi Alt, George Salamon - syn Etusi, potem Agi Mayer - córka Fritzi, dalej Andy Lebovics - drugi syn Manzi Alt, i Peter Leitman. Uff. Coś tu nie pasuje. Powtarzamy. Ta czwarta od lewej to jednak nie jest Manzi, Hela się pomyliła, po prostu jest podobna. Piąta to też nie ta, co Hela myślała. Za to szósta, chyba jeszcze uczennica - z teczką, w skromnym płaszczku i sznurowanych butach za kostkę - to na pewno Liii Alt. Siódma to Manzi Kasser z domu Rottenberg, córka Herminy, czyli Neni; Manzi, czyli Matylda, wyszła potem (Hela nie wie kiedy) za Salomona. Pytam, czy to jej dziecko, mały George, bo mówiła, że Etty. Może jednak Etty, czyli to Etta wyszła za Salomona, tak, teraz sobie przypomina, mieszkają w Teksasie, George jest lekarzem. Ósma to Joli Alt, żona Sandora Leitmana, najmłodszego

syna mojej ciotecznej babki Helen. To on wprowadził pozostałych Altów w nasz rodzinny krąg, pierwszy wyciągnął rękę w kierunku wianuszka czterech urodziwych panienek z prowincji. Dziewiąta bowiem to kolejna Altówna, także imieniem Manzi, która wyszła za jakiegoś Lebovicsa, niewykluczone, że krewnego Karoliny Lebovics, z którą się swego czasu ożenił Samuel Rottenberg. Była rodzoną babką szwajcarskich kuzynek - przynajmniej to jest pewne. Dziesiąta wygląda na służącą, palec Heli przesuwają się po niej bez komentarza, jedenasta to Hermina, nie wiadomo jak z domu, po mężu Rottenberg, a obok niej pozostałe dwie córki: Etta - to ona jest Salomon (primo voto Bogler, dodaje Hela) oraz Fritzi, czyli Fryduś, która się wydała za Mayera i urodziła mu dwie dziewczynki: Erikę i Agi. Erika jest pianistką, samotna. Agi wyszła za goja i też ma dwie córki. Mieszkają w Budapeszcie, mogę do nich zadzwonić, tu jest numer do Eriki, chociaż nie, to chyba numer do Fritzi, jej matki, oczywiście że Fritzi jeszcze żyje, może nawet mówi po angielsku.

Nic nie rozumiem. Wpatruję się w czarno-białe zdjęcie, na którym ubrane na ciemno kobiety w wymyślnych kapeluszach otaczają wianuszką szczęśliwą Helę, całą w bieli, ze ślubną wiazańką

448

na kolanach, i myślę o tym, że z tej węgierskiej linii ocalało bardzo dużo osób, zwłaszcza kobiety i dzieci. Zdjęcie zrobiono w grudniu 1947, zaledwie dwa i pół roku po wojnie. Gdzieś za ścianą, w innym pomieszczeniu, czekają mężczyźni - mężowie tych kobiet i ojcowie tych dzieci. Oni także ocalili. Nie wszyscy z tej rodziny, ale wielu. Program Endlösung objął Węgry dopiero pod sam koniec wojny, w 1944 roku, więc nie starczyło czasu na tak perfekcyjną czystkę jak w Polsce. Jeszcze raz przepowiadam sobie imiona i nazwiska. Z nazwiskami jest łatwiej, najczęściej powtarzają się dwa: Rottenberg i Alt. Już wiem, że Joli, Liii, Manzi i Sara Alt to siostry świeżo poślubionego Mikiego. Ale nie wiem nic ponadto. Może tylko tyle, że Liii wyszła za Mońka Buchbindera, wyjechała z nim do Australii i została dziennikarką. Kojarzę widzianą wcześniej fotografię jakiejś drobnej osobki na tle morza i komentarz Heli, że to Liii w Australii. Nic nie wiem o powojennym życiu najstarszego brata Heli, nawet nie znam daty jego śmierci. Zapomniałam zapytać albo zanotować. Muszę to uzupełnić. Dostałam natręctwa na punkcie dat. Chcę wiedzieć, kiedy się wszyscy urodzili, kiedy, na co i gdzie umarli. A nie wiem, jak żyli. Co robili? Czym były wypełnione ich dni? I chyba już się nie dowiem. Jediną realną osobą jest młodszy brat Mikiego Alta, Dudi, który dostał drugie życie.

Dudi został skierowany do „służby pracy”. Jego grupę wyprowadzono pod sam koniec wojny na obrzeże jakiejś węgierskiej wsi i zgodnie z utartym zwyczajem, poniekąd rutynowo, kazano wykopać dół, ale niezbyt głęboki, bo brakowało czasu, zbliżał się front i przed planowym wycofaniem się na z góry upatrzone pozycje należało wykonać już tylko to ostatnie wojenne zadanie. Wreszcie dół był gotowy, przystąpiono do egzekucji. Rozstrzelano wszystkich i zaczęto ich zasypywać. Wtedy nadjechały rosyjskie czołgi i nadbiegli rosyjscy żołnierze. Ktoś się pochylał nad dołem, gdy Dudi akurat się poruszył. Tak zauważono, że nie jest martwy, chociaż on sam myślał, że już nie żyje.

449

Ta opowieść przypomniła mi legendarną historię Jonasza Sterna, który w dole wykopany gdzieś w Kałuszu czy pod Drohobyczem przeleżał wśród martwych ciał aż do zmierzchu, zanim mógł się poruszyć i wreszcie odpędzić chodzącą po jego twarzy muchę, a potem już łatwo mógł wydostać się z grona umarłych i spróbować życia na nowo. Przypomniało mi się też ostatnie, wykonane już po śmierci Kantora przedstawienie Dziś są moje urodziny, w którym Zbyszek Gostomski odgrywał na scenie płynącą z głośnika, z taśmy, brzmiącą jak głos z zaświatów opowieść Sterna, bo Stern umarł po raz drugi jeszcze przed Kantorem, w roku 1988.

Tak więc Dudi także żyje po raz wtóry i cieszy się każdym dniem. Reszta to abstrakcja. Mimo to próbuję dalej. Słucham chaotycznej opowieści Petera, jakoby mojego kuzyna, o jakimś Martinie. Że przepadł jak kamień w wodę. Przypominam sobie, że przywiozłam wydruk świadectwa wyciągniętego, jak inne, z przepastnych archiwów Yad Vashem. Pokazuję Peterowi kopię karty rejestracyjnej - Haefling-Personal-Karte - numer 114931, wyjętej z kartoteki obozu Mauthausen, z wypełnionymi na maszynie rubrykami: „Nazwisko: Leitman, imię: Martin, urodzony 3.8.11 w Budapeszcie, stan: wolny, miejsce zamieszkania: Budapeszt, ulica Paulay Edegasse 18 [to pewnie niedaleko sklepu Samuela Rottenberga], wyznanie: mojżeszowe, obywatelstwo: węgierskie, zamieszkały: z ojcem Imre [czyli tak nazywano Izzydora?], data przybycia: 8.1.45 przez (durch) Sipo Wien do KLM [Konzentrationslager Mauthausen], powód (grund): węgierski Żyd". Dalej następuje szczegółowa charakterystyka: wzrost: 182 centymetry, sylwetka: smukła (schlank), oczy: brązowe, włosy: brązowe, nos: garbaty (hackig), usta: pełne, uszy: odstające (absteh), zęby: brak 6, znajomość języków: węgierski i niemiecki, znaki szczególne: brak. - No właśnie - wykrzykuje Peter - tego szukaliśmy. -Martin Leitman był jego stryjem. Czyli? Pytam Helę, kim był ojciec Petera. - Jak to? - Hela się dziwi, że nadal nie chwytam rodzinnych powiązań. - To Sani! - Oczywiście, Sani. Ale kim był Sani? - Sandor

450

Leitman - wyjaśnia Hela. - Mąż Joli. Teraz rozumiem, że to ożeniony z Altówną trzeci syn mojej ciotecznej babki Helen, brat Artura, tego, co się ożenił z Katy, a potem zmarł na sepse w Sopronie w październiku 1944. Czyli Peter jest w prostej linii wnukiem mojej ciotecznej babki. Cała rodzina wylądowała w Kanadzie?

Nie cała, ale większość. Opowiada mi o tym Vera, która ku zgryzocie Heli nie przyjechała do niej na kolację. Ale zadzwoniła i zaprosiła do siebie. Zabierze mnie jej mąż, George.

Rzeczywiście,

O umówionej godzinie pod dom zajeżdża solidny plymouth i zaraz potem ląduję w ramionach żwawego, postawnego emeryta. To rzeczony George. Przyjechał do Kanady z Los Angeles dla Vera. Jest jego drugą żoną, a on jej drugim mężem. Spotkali się późno, na tyle jednak wcześniej, żeby przeżyć ze sobą dobry kawałek życia. On sam, oczywiście, ma polskie korzenie. Jego krewni nazywają się Holander albo Holender, albo podobnie. Z pisownią są zawsze kłopoty. Nie wie dokładnie, skąd oni pochodzą albo ja tego nie wyłapuję z gęstwiny faktów. Może z Łodzi? Jedziemy na północny zachód, gdzie byłam już poprzedniego dnia na kongresowej wycieczce. Wiem, że tam jest zimniej niż w Montrealu, a w Montrealu zimniej niż w Warszawie. Okazuje się jednak, że jedziemy jeszcze dalej, w rejon gór i jezior, do ośrodka sportów zimowych - takiego kanadyjskiego zadupia w rodzaju Zawoi, gdzie wszystko jest nastawione na turystę, a na północnych stokach nadal leżą płachty śniegu.

Najpierw idziemy na kawę, następnie zwiedzamy miasteczko, bo dojechalibyśmy za wcześnie i Vera może nie być jeszcze odpowiednio przygotowana. Dopiero o ściśle oznaczonej godzinie zaczynamy się wspinać śliską serpentyną wśród sosen, aż dojeżdżamy pod niepozorny domek na stromej skarpie.

Vera jest niewysoką, obfitą brunetką o wielkich czarnych oczach. Ponieważ dygoczę z zimna, rozpala w kominku i oprowadza po wielopoziomowym wnętrzu, które okazuje się całkiem obszerne

I wygodne. Potem jemy lunch. Nie potrafię powiedzieć, czy jest koszerny, i nie pytam, bo chyba nie wypada. Wyjaśnia się natomiast, że

451

Vera jest siostrą Petera, wnuczką Helen, czyli łączy mnie z nią taki sam stopień pokrewieństwa, jak z Ewą i Vera ze Szwajcarii i jak Susie i Benem w Montrealu. - Second cousin - mówią. - A co z Eriką i Agi Mayer? - pytam. Vera sztywnieje. - To wszystko komuniści! - wykrzykuje z niekłamany gniewem. - Nawet nie chcę o nich słyszeć!

A potem opowiada, że zaraz po wojnie wszystkie dzieci Hermi-ny Rottenberg zapisały się do partii: Manzi, Fritzi, Eta i Aleks, czyli Sani. Aleks był bardzo wysokim urzędnikiem i działaczem. Nawet zmienił nazwisko na Rozsanyi i ożenił się z jakąś Ewą, też komunistką, ale potem, po zmianie systemu, wrócił jednak do rodowego Rottenberga. Tak więc wszystkie komunistyczne grzechy pozostały przy tamtym przybranym nazwisku. Jednak w latach pięćdziesiątych nawet nie poznawał na ulicy jej, Very, ojca! Biedna babcia Hermina głodowała u nich na wszystkich przyjęciach, bo nic nie było koszerne. Pozwolił też, by rodzice Very stracili swoje piękne mieszkanie przy Andrassy, a ona i Peter, dzieci przyzwyczajone do dobrobytu, musiały znosić w szkole rozmaite szykany. - Dlatego mój tata zdecydował się na wyjazd zaraz po śmierci babci, w 1967! W ten sposób dowiaduję się wreszcie, kiedy zmarła Helen Leitman. Obliczam, że dożyła osiemdziesięciu dwóch lat. Piękny wiek, którego nie osiągnęła żadna z jej siostr w Biczycach Niemieckich. Vera wyciąga rodzinne zdjęcia i pokazuje mi tego komunistę Aleksa, siedzącego na trawie w otoczeniu rodziny. Tuż obok niego rozpoznaję swoją cioteczną babkę. Więc chyba nie było najgorzej, skoro jeździli razem na pikniki. - A to mój wujek Martin. - Vera pokazuje pocztówkowe zdjęcie przypominające filmowe fotosy z lat trzydziestych, nowocześnie - skośnie - wykadrowane, przedstawiające dwóch mężczyzn ubranych w stylu wczesnego Freda Astairea, zastygłych w scenicznych pozach. - Martin, to ten z prawej, był tancerzem - wyjaśnia Vera. - Kiedy wybuchła wojna, występował właśnie w Stambule. Wrócił do Budapesztu, żeby matka nie była sama - i od razu wzięli go do „służby pracy”. Nikt nie wie, co się z nim stało. - Rozumiem,

452

że Peter nie przekazał Verze informacji o karcie z Mauthausen, więc jej powtarzam, że już teraz znamy przynajmniej datę i miejsce jego śmierci. Potem oglądam też zdjęcia bardzo pięknej pary, jaką stanowili rodzice Very - Sandor Leitman i Joli Alt. Sandor był inżynierem, wybitnym fachowcem i świetnym sportowcem. - Wyczynowym - mówi Vera, a ja zapominam zapytać o dyscyplinę. W Kanadzie się nie odnalazł. Joli też nie udało się zaaklimatyzować, niestety. Ona, Vera, oczywiście także wołała zostać w Budapeszcie. Celująco zdała maturę, choć miała zaledwie siedemnaście lat. Zamierzała studiować socjologię, ale przed zaliczeniem praktyk robotniczych nie chcieli jej przyjąć na wybrany kierunek studiów. Dostała skierowanie do jakiejś fabryki i wtedy zmieniła wydział, poszła na ekonomię, która nie była

453

jej bliska. Po roku wyjechała. I jednak skończyła socjologię, choć naprawdę interesowało ją aktorstwo, nawet zagrała w jednym przedstawieniu w Los Angeles. Tu jest zdjęcie, ona siedzi po lewej stronie, przy łóżku, gra pielęgniarkę. Wtedy właśnie poznała Georga. Pytam, czy mają kontakt z Zurychem. Nie mają. Nie pamiętają, żeby tam były jakieś kuzynki. Później jednak, kiedy przyłącza się do nas Peter, który ma mnie zabrać z powrotem, ustalają, że tak - przecież Willi przyjeżdżał do Budapesztu i wtedy wszyscy się spotykali. Tylko że oni byli jeszcze dziećmi, więc nie za dobrze to pamiętają. I nie poznali kuzynek. Próbuje wyjaśnić, że są to cioteczne siostry Josepha Bohrera, którego matka, Fanny, była siostrą Willego Rottenberga. Verę ogarnia nagły entuzjazm. Natychmiast wykręca numer do Madrytu i zaczyna rozmowę, oczywiście po węgiersku. Potem podaje mi słuchawkę: - To Joseph - mówi. A on mi powtarza, po angielsku, to wszystko, co wcześniej napisał w mailu, i obiecuje, że kiedyś może jeszcze się spotkamy, najlepiej w Hiszpanii, bo ma osiemdziesiąt dziewięć lat i woli nie kusić losu. Ja jednak nalegam na spotkanie w Polsce, bo tu są nasze wspólne korzenie, organizuję rodzinny zjazd, jego też zapraszam na sierpień. - Może się uda. Pod sam koniec mojej wizyty Vera wyciąga świetnie wydany album dokumentujący zagładę węgierskich Żydów, a właściwie jeden z ostatnich dni życia pasażerów jednego transportu, tego, który dojechał do rampy w Birkenau w maju 1944 roku. - To mój dziadek - wskazuje

starszego pana idącego wzdłuż wagonu w tłumie innych starszych osób. - Cała rodzina namawiała go do ucieczki, ale on uważał Niemców za naród bardzo kulturalny, z całą pewnością niezdolny do bestialstwa. Poza tym przecież musiał pilnować interesu. - Trafiła na zdjęcie przypadkiem: po prostu dostała album i zaczęła go przeglądać, i nagle rozpoznała dziadka. Musiała znać jego rysy z jakichś fotografii, bo przecież przyszła na świat już po jego śmierci. Z wrażenia zapomniałam spytać, czy to był dziadek Alt, czy dziadek Leitman.

454

Kongres dobiega końca, czeka nas pożegnalny bankiet, ja jednak decyduję się towarzyszyć Heli w szabatowej kolacji, która ze względu na mnie ma być bardziej uroczysta. Konsultuję z Helą swój strój. Moja wnuczka Zosia opisywała mi kiedyś zasady koszernej kobiety co do ubioru, wiem zatem, że powinnam zasłonić łokcie i kolana, ale czy mogę być w spodniach? Owszem, tylko lepiej trochę przysłonić dekolt, może bym wzięła tę apaszkę? Przysłaniam i w tej samej chwili przypominam sobie te wszystkie zapięte pod szyją sukienki i te straszne szaliki, które znam ze zdjęć mojej ciotki Mani, mojej babki Rozalii, jej siostry Tauby i jej synowej Lei. Koszerna kobieta nie tylko zasłania kolana i łokcie, zakrywa też dekolt. Hela akceptuje moją skromność i wyruszamy do Susie. Teraz wszystkie piątkowe wieczory spędza się u niej, bo William cierpi na Parkinsona i jego stan nie pozwala na pieszą wędrówkę nawet przez te kilka ulic, od nich do Heli. Nie mówiąc o pokonywaniu drogi do położonego jeszcze dalej domu Bena. Susie rozważa zmianę domu. To prawda, jest przywiązana do tego starego, który sami zbudowali, który jest wygodny i odkąd chłopcy poszli na swoje, nawet trochę za duży, chodzi jednak o Williama i odległość od synagogi. Musi mieć teraz do niej bardzo blisko, żeby mógł się w sobotę pomodlić. Heli też nie jest łatwo, nie jest już młoda, więc najczęściej zatrzymuje się u córki na noc. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj, kiedy jest ze mną, chętnie się przejdzie. Ja mogę wrócić samochodem z jej przyjaciółką Shewą albo z Dudim i jego żoną; oni nie są aż tak koszerne, żeby iść na piechotę. Mówię, że też chętnie się przejdę, nie ma problemu. W końcu jestem ćwierć wieku młodsza od mojej ciotki.

Pada ciepły, wiosenny deszczyk. Rozpinamy parasol, trzymamy się pod rękę, spokojnie drepczemy wypełnionymi zapachem bzu, cichymi uliczkami. Mijają nas wielodzietne chasydzkie rodziny: pej-saci mężczyźni w czarnych kapeluszach, czarnych ubraniach i białych koszulach, kobiety w nałożonych na peruki kubłach kapeluszy i bezforemnych okryciach, dziewczynki w długich spódnickach,

455

chłopcy w białych pończochach. Jestem w żydowskiej dzielnicy i już rozumiem, dlaczego oni wszyscy mieszkają blisko siebie oraz w zasięgu pieszego spaceru do synagogi. Hela, jakby zgadywała moje myśli, zaczyna rozważać, jak ma się w przyszłym tygodniu ubrać na ślub do znajomych chasydów. Pytam, czy zamierza włożyć perukę. - Nie muszę, moja fryzjerka potrafi mnie tak uczesać, że wyglądam jak w peruce! Mnie będzie wygodnie, a im przyjemnie. - Hela jest elastyczna. Kiedyś, w młodości, zakładała podhalański serdak, kwiecistą spódnicę i kierpce. Dlatego żyje. Między innymi, oczywiście. Uświadamiam sobie, że w jej ocalenie zaangażowanych było co najmniej siedem osób: Emilia Pieprzna; Janka, Stasiak i Jasiak Ru-chałowie; Zośka, Stasiu i Hanka Sikoń. Im więcej ludzi, tym większe ryzyko - taki jest rachunek prawdopodobieństwa. Ważne więc było to, żeby się z Kazkiem nie wyróżniali wśród okolicznych mieszkańców ani wyglądem, ani mową. Mówili jak wszyscy wokół, w specyficznym, bardziej krakowsko-galicyskim niż góralskim narzeczu. Z wyglądu także przypominali miejscowych: popielate włosy, dość pospolite rysy. - Ja i Kazik: jedna twarz - powiedziała Hela, patrząc na zdjęcia przechowywane przez mojego ojca. Istotnie, wyglądali jak bliźnięta. Dzieci Heli nie są do niej podobne. Jeszcze Ben mógłby

456

ewentualnie uchodzić za jej syna, choć nie odziedziczył rodzinnych kości policzkowych, przez co jego rysy są mniej charakterystyczne niż rysy matki. Susie natomiast jest wysoka,

ma piękne, płomiennorude włosy i niebieskie oczy - widocznie wdała się w ojca. A dzieci Kazka? Uświadamiam sobie, że nigdy nie widziałam Henia i Lidki. Pytam ciotkę, dlaczego jeszcze się z nimi nie spotkałam, to przecież także moja rodzina. - Wiesz, Halinka ma teraz nowe życie, nowego męża, bardzo miły, Władek, no i nie ma dla mnie czasu - mówi Hela wykrętnie. Po chwili namysłu dodaje jednak, że dzieci - też bardzo miłe, oczywiście, shure - są wychowane po katolicku i nie chcą być Żydami, a spotkania z nią, ich ciotką, jakoś im chyba przypominają
O pochodzeniu taty.

Wyjeżdżam z planem, że zorganizuję w Nowym Sączu rodzinne spotkanie. Może w sierpniu? Będzie Hela z Susie i Benem, zjawi się Joseph Bohrer z Madrytu, przyleci Vera z Georgem, a także druga Vera, z Zurychu, ze swoją siostrą Ewą. Może dołączą do nas nieznane mi dotychczas siostrzyczki z Budapesztu - Erika i Agi? Dojedzie również Olek z Renią, mają niedaleko. Może spotkamy w Sączu Jakuba Millera i wszyscy pojedziemy do Biczyc, żeby odwiedzić pana Janka, który znał Helę przed wojną, pójdziemy do Ruchałów i odnajdziemy młodszych Sikoniów, którzy teraz noszą nazwisko Miczyńscy

I których babce Hela zawdzięcza życie. Wtedy zadam im następne pytania związane ze skomplikowaną siatką rodzinnych powiązań. I może wreszcie narysuję nasze drzewo rodzinne z wszystkimi jego gałęziami.

Węgierska linia

Przyciśnięta do ściany Ewa przysłała mi wreszcie spis swoich ciotek i wujów w porządku chronologicznym. Dowiaduję się z niego, że Zsiga zmarł w roku 1965 w Budapeszcie. Ale nadal nie wiem, ani kiedy się urodził, ani co robił. Ewa twierdzi, że był najstarszy, w załączeniu wysłała mi zdjęcie macewy z datami jego życia. Dostała je od naszej kolejnej kuzynki, Eriki. Nie tej pianistki, tylko innej, z innej linii. Napis na macewie jest po hebrajsku. Będę musiała poprosić Zosię, żeby spróbowała go odczytać. Dalsze wiadomości od Ewy są równie chaotyczne, jak te wcześniejsze. Próbuję z tego chaosu wydobyć postać jej wujka Dondiego, który według mojej kuzynki zmarł w roku 1927, w wieku lat dwudziestu pięciu, na hiszpańską gripę. Skądinąd wiadomo, że wirus dziesiątkował ten region w latach 1917-1918; właśnie wówczas zmarł Mozes, mój pradziadek. Rozumiem, że Ewie po prostu „wyskoczyła” w dacie dwójka zamiast jedynki, i obliczam, że jej wuj musiał się urodzić w okolicach roku 1892. Zaraz potem dostaję od niej zdjęcie, na którym Dondi siedzi obok swego młodszego brata Willego, urodzonego - jak już wiem - w 1905 roku. Na pierwszy rzut oka widać, że różnica wieku między braćmi nie może być duża. Istotnie. W kolejnym liście Ewa przypomina sobie, że Dondi był dwa lata starszy od Willego. Zmarł zatem nie na hiszpankę, tylko na zwykłą gripę, albo miał nie dwadzieścia pięć lat, lecz najwyżej

458

piętnaście, kiedy podzielił los swego sądeckiego wuja. Ładny chłopiec o wrażliwej twarzy. Pewnie po Karolinie, swojej matce. Bo na pewno nie po Samuelu, nosicielu charakterystycznych dla Rottenbergów, azjatyckich rysów.

Nagle staje się dla mnie jasne, że gdybym nawet nie znalazła żadnych dalszych dokumentów, to cechy fizyczne mówią o tym pokrewieństwie w sposób aż nadto dobitny. Głęboko osadzone wschodnie oczy roześmianego Samuela giną za okazałymi wzgórzami policzków. Te oczy i kości policzkowe są mi świetnie znane ze zdjęć moich bliskich: mojej babki Rozalii, jej pierworodnego syna Joska, a także jej siostr: Tauby Amster i Chai (Helen) Leitman. Te same oczy i policzki ma moja ciotka Hela i jej brat Kazek. Ale już Genia i Monek są inni.

459

Dlatego początkowo myślałam, że ich matka Sara miała dwóch mężów, z każdym po dwoje dzieci. Także rysy mojego ojca i jego siostry Mani są mniej rodzinne. Kości policzkowe, owszem. Ale oczy - duże i jasne - nie. Oczy chyba po Lamplach (tak uważa moja kuzynka

Renia, też po Lamplach), a może nawet po zupełnie mi nieznanym Ringach. Zapewne też należę do tej grupy.

Jeśli chodzi o Willego, to on również nie odziedziczył wyrazistych cech rodzinnych. Wiem już, jak wyglądał, bo nagle odezwała się Vera i przysłała mi swoje zdjęcie z tatusiem z 1947 roku: Willi, w okularach i jasnym garniturze w prążki, przykucnął obok swej młodszej córki. Wąsik, okulary i wesoły uśmiech upodobią go nieco do jednego z braci Marx.

460

Vera ma na głowie ogromną białą kokardę. Na jej dziecięcej buzi nie widać jeszcze rodzinnego podobieństwa do Rottenbergów. Ujawniło się ono, podobnie jak u Ewy, dopiero kiedy dorosła. Przypominam sobie moment naszego pierwszego spotkania w Zurychu i moje ówczesne refleksje na temat braku jej podobieństwa do rodziny. Od dawna wiem, że muszę to skorygować: to ja jestem niepodobna, nie ona. Ona też pamięta tamto spotkanie. Napisała mi o tym, dodając, że zapewne więcej mnie łączy z linią Eriki Mayer. Pianistki. Córki Fritzi z domu Rottenberg (na ślubnym zdjęciu Heli stojącej obok swojej matki Herminy). Pamiętam, jak Hela mnie zapewniała, że kuzynka jest w świetnej formie, i namawiała na telefon. Numer, który wówczas od niej dostałam, jest już nieaktualny. Sięgam do zasobów internetu i znajduję dwie Eriki Mayer z Budapesztu. Jedna jest prawniczką. Tę właściwą odnajduję dzięki jedynej wydanej płycie: Mistrzowie muzyki żydowskiej, którą mogę kupić za szesnaście dolarów. Osobiście udaje mi się do niej dotrzeć dopiero wówczas, kiedy Ewa przysłała mi jej aktualny numer. Chwilę rozmawiamy po angielsku, dość chaotycznie, a po kilku dniach Erika zjawia się na skypeie za plecami swojej siostrzenicy Kati Boreczky. Domyślam się, że to córka Agi, która „wyszła za goja”. Dowiaduję się że ich dziadek, mąż Herminy Rottenberg, o którym Hela mówiła, że był rabinem, nie miał na imię Asher - jak sądziłam - ale jakoś inaczej. I nie urodził się w Nowym Sączu ani w okolicach, tylko gdzieś pod Rzeszowem. Więc nie wiem, czy rzeczywiście jesteśmy rodziną. Erika, oczywiście, nie potrafi poprawnie wypowiedzieć podrzeszowskiej nazwy miejscowości. Nie wiadomo także, czy w Rzeszowie pozostały jakieś księgi Izraelickiego Okręgu Metrykalnego. Aby się o tym dowiedzieć, muszę tam pojechać, ponieważ strona internetowa tamtejszego archiwum nie jest interaktywna.

Ewa doradza, żebym się skontaktowała z jeszcze jednym kuzynem, Emilem Varaiem:

„Jest bardzo miły, był dziennikarzem, rozwiedziony, ale ma partnerkę i dwóch synów. Starszy, Gyuri mieszka obecnie w Bostonie

461

i jest błyskotliwym psychiatrą, Laci, młodszy, pozostał w Budapeszcie, prowadzi interesy. Emil ma brata Artura (zwanego Ari), również bardzo miłego i również rozwiedzonego”. Ten z kolei „ma piękną córką Heidi, która niedawno skończyła trzydzieści lat. Myślę, że ich matka Etti i jej siostra Mancie były blisko spokrewnione z twoją rodziną. Są kuzynkami Eriki Mayer” - kończy Ewa. Przypominam sobie wyliczanie imion nad ślubnym zdjęciem Heli i powtarzające się: Etta, Manzi i Fritzi. Piszę do Emila i jego syna. Odpowiada tylko Gyuri z Bostonu. Jako George. Że się skonsultował z tatą i może mi udzielić takich informacji: że jego prababka była z domu Chaja Rottenberg, że zginęła w Auschwitz, a mamusia Etta była z domu Kasser. Kolejna Chaja Rottenberg w jednej rodzinie. Dla mnie zupełnie nowa. Czuję się zniechęcona. Nie mam siły. Ile kobiet w tej rodzinie może mieć na imię Chaja? Jakie jest między nimi pokrewieństwo? Następną bowiem osobą, która do mnie pisze, jest inna Rottenbergówna, także

o imieniu Erika. Ale nie Mayer, tylko Kletzaendler, po mężu, jak rozumiem. Z linii Samuela. Pierwsze imię, jakie mi podaje, to oczywiście Chaja, jej babka. Żona Samuela. Przed małżeństwem nazywała się Karolina. Oddycham z ulgą. Tę już znam. Spłonęła w 1942 we własnej kuchni. Erika jest córką Josepha, czwartego z kolei dziecka Samuela. Tego, o którym wcześniej nikt nie potrafił mi nic powiedzieć. Potwierdza się chaos w głowach tej rodziny. No

więc Joseph, urodzony 16 lutego 1901 roku, ożenił się z Irenę Roth niemającą żadnych związków z Katy Roth, ukochaną kobietą Artura Leitmana

1 Josepha Bohrera. Po prostu taki zbieg okoliczności. Wygląda na to, że w tej rodzinie, jak ktoś ma na imię Joseph, to musi się ożenić z panną o nazwisku Roth. Ale to nie wszystko. Na liście mieszkańców Kisvardy z kwietnia 1944 roku, sprzed deportacji, znajduję bowiem liczne rodzeństwo nazwiskiem Roth, urodzone przez jakąś Fani Rottenberg: Frida - 1922, Rozsi - 1924, Moses - 1925, Ester - 1930, Salomon - 1933, Edith - 1935, Aladar - 1936. Wszyscy mieszkali przy ulicy Bezsényei 1. Oczywiście tamta Fani nie miała nic wspólnego

462

z tą, która spłonęła w 1924 roku w Budapeszcie. Po prostu rodzina Rottenbergów miała słabość do nazwiska Roth. Może ze względu na pierwszą sylabę? Poza tym kobiety w tej rodzinie lubią zmieniać imię na Chaja i wtedy już nikt nie może ich od siebie odróżnić. Pcfem rodzą córki, które nazywają Etta, Manzi lub Fritzi, a te z kolei r | ają skłonność do nadawania dziewczynkom imienia Erika lub Vera. Na szczęście nie każdy chłopiec otrzymuje imię Gyuri. Dobrze choć iaż, że nasza rodzima Chaja z Biczyc Niemieckich używała imienia Helen. Powracam do niej na chwilę i odkrywam, że jej mąż Izidor nie zginął w roku 1944 w Auschwitz, tylko w Miskolcu (Borsod-Abauj--Zemplen). Jego nazwisko figuruje na kamiennej tablicy poświęconej pamięci ofiar Zagłady, ustawionej w Miskolcu, u wylotu ulicy Kazinczy, naprzeciw wejścia do synagogi. A więc to nie ten dziadek którego Vera z Kanady odkryła na zdjęciu z rampy w Birkenau. Tam ten nazywał się Alt.

Joseph, syn Samuela Rottenberga, zmarł w roku 1984, mając osiemdziesiąt trzy lata. Jego córka Erika, która napisała do runi' z własnej woli, odpowiedziała też (po długiej przerwie) na moje dalsze pytania. Urodziła się w 1942 roku, ma troje dzieci, mieszkając w Szwajcarii. Jej brat Gyuri - a jakże! - trzy lata od niej młodszy, wyjechał do Izraela i jest ojcem trojaczek. Że też nie wiedzieli wcześniej o krewnych w Izraelu! Erika nie odpowiada na pytanie o datę wyjazdu z Budapesztu. Może nie jest to zbyt istotne, ale chciałam w końcu zweryfikować także inne fakty. Na przykład o, i Rottenbergowie nie byli jedyną rodziną, która znalazła się pod opieką szwajcarskiego rządu w drugiej połowie 1944 roku. Akuratrafatla moich kuzynek, Berta Passweg (jak się później dowiedziałam), miała właściwe obywatelstwo. Ale jakie były kryteria ocalenia pozostały - trzydziestu trzech tysięcy węgierskich Żydów, stosowane przez Szwajcarię, Hiszpanię i Portugalię? Kto i na jakiej podstawie? Właśnie o tym chciałam im „dokumenty życia” po tym, jak nie doszła do skutku transakcja wymiany węgierskich Żydów na ciężarówki dla Kanady.

463

Oczywiście, nie mogę tych pytań postawić nikomu z węgierskiej linii; moich krewnych historia nie interesuje. Mnie też nie interesowała. Dlatego przyjąłam informację Ewy o przywędrowaniu rodziny z Rottenburga (nad Neckarem), ale Dan Rottenberg - amerykański specjalista od genealogii, zwłaszcza naszej rodziny - twierdzi, że chodziło raczej o Rothenburg na rzece Tauber w Bawarii, gdzie w latach 1242-1281 nauczał słynny ponoć rabin Meir z Rothenburga, rzecznik powrotu Żydów do Palestyny. Tradycja powiązała jego imię z tym właśnie miastem, choć pochodził z Wormacji - tam się urodził w okolicach roku 1220 i tam został uroczyście pochowany czternaście lat po swojej śmierci, która nastąpiła w alzackim więzieniu w roku 1293. Meir w końcu wybrał się do Ziemi Obiecanej, ale doszedł tylko do alpejskiej przełęczy, gdzie został złapany. Żydów wyrzucono z Rothenburga w roku 1520 i zakazano osiedlania się w nim aż do roku 1875. W bogatej historii miasta nie odnotowano ani istnienia szkoły rabina Meira, ani w ogóle obecności Żydów (podobnie zresztą milczy o nich historia Rottenberga nad Neckarem), choć skądinąd wiadomo, że przybyli oni w dorzecze Renu na długo przed Germanami. Mogło się więc zdarzyć, że po wygnaniu z terenów bawarskich przywędrowali w pobliże Karpat. Ale raczej nie do Nowego Sącza, tylko na Węgry. Ewentualnie do dzisiejszej Słowacji. A więc może nie było tak, że

kolejni członkowie naszej rodziny wyjeżdżali z Galicji na obszary cesarsko-królewskie, bliżej centrali, tylko tam wracali. Wiem tyle, że całą rodzinną historię trzeba zbadać od nowa. Weryfikacji wymagają też moje rekonstrukcje dotyczące jej wewnętrznych powiązań. Najstarsze dziecko Samuela - Zsiga czyli Zygmunt - urodziło się około roku 1895. Samuel musiał więc przybyć na Węgry nieco wcześniej, już jako dorosły. Data jego narodzin przesuwana się zatem w głąb XIX wieku, do połowy lat sześćdziesiątych (Ewa twierdzi, że dziadek umierał w getcie jako osiemdziesięcioletni starzec). Nie był więc chyba bratem Helen Leitman i mojej babki. Raczej mógł być ich wujem, bratem Mozesza, mego pradziadka. Wów-

464
czas wyprawa z narzeczoną musiała naprawdę odbyć się wcześniej, jeszcze w XIX wieku. Ewa pisała, że Samuel wydał siostrę za Sparbtra>

O którym wspominała także Hela. Nowa wersja dziejów rodziny jest więc taka, że nieznaną nikomu z imienia narzeczoną wysłał za tego Sparbera gdzieś między rokiem 1885 a 1890, a później, u progu XX wieku, wzięła na wychowanie młodzieńca Chaję Rottenberg, córkę swego brata, i wydała ją za Izydora Leitmana. Prócz Samuela i tajemniczej narzeczonej do Budapesztu musiało się przenieść jeszcze dwóch Rottenbergów: kolejna Chaja, wydana za niejakiego Kassera, i jej brat, ożeniony z Herminą. W ten sposób powstały cztery budapeszteńskie linie, o których ich potomkowie prawie nic nie wiedzą. Jak ja nie wiedziałam o rodzinnych powiązaniach mego ojca, nie znałam imion sióstr mojej babki, a nawet nie wiedziałam o ich istnieniu. Widzę teraz, że aby to wyjaśnić, muszę pojechać nie tylko na Węgry ale

1 do Rzeszowa. Kto wie, czy nie okaże się wówczas, że mam wspólnych przodków z tą linią, która osiadła w Skryhiczynie nad Bugiem i została już dość dokładnie opisana?* W końcu oni także powo(u)ją się na Meira ben Barucha z Rothenburga (nad rzeką Tauber). Tylko stosują inną pisownię nazwy miasta. Przez dwa „t”.

* Irena Kowalska, Ida Merzan, Rottenbergowie znad Buga, Warszawa 1989.

CZERWIEC

Potwierdzenie

5 CZERWCA

Telefon dzwoni akurat, kiedy jesteśmy z Zosią w kinie. Wybrałyśmy się na wczesny seans, szkoła ma wolne z okazji święta Szawuot, ustanowionego, jak się właśnie dowiedziałam, na pamiątkę przekazania wybranemu narodowi dziesięciu przykazań. W przekładzie na polski i na chrześcijański jest to zatem Święto Dekalogu. Żydzi przepowiadają sobie co roku wszystkie przykazania, rozpatrują rozmaite sposoby rozumienia nie tylko takich nakazów, jak „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną” czy „Czczij ojca swego i matkę swoją”, ale też oczywistych, jak by się zdawało, zakazów: „Nie cudzołóż”, „Nie kradnij”, „Nie zabijaj”. Każdego roku od nowa zastanawiają się nad ich znaczeniem, wchodzą w subtelnosci, relatywizują i niuansują, dostrzegają rozmaite aspekty, czyli dzielą włos na czworo, jak to Żydzi.

Wyciszam dzwoniący w kinie telefon, a kiedy po seansie przywracam mu głośność, dzwoni po raz drugi. Ten sam, co zwykle, od dawna znajomy policjant z Wilczej pyta bardzo grzecznie, uprzedzająco grzecznie, kiedy go mogę odwiedzić, bo zaistniały nowe okoliczności. Po godzinie ląduję pod znanym mi adresem, w budynku, którego jakoś nie mogę polubić. Pan policjant upiera się, żebyśmy porozmawiali w ustronnym miejscu, nie na korytarzu i nie przy świadkach. Jest tak delikatny, że powinnam od razu zgadnąć, co ma mi do powiedzenia, ale wyłączam logikę, wyłączam jakiegokolwiek

467

myślenie, staję się petentką bez właściwości, ciałem bez umysłu, szynelem bez głowy. Potulnie postępuję za nim, przemierzam miarowo wyświechtane korytarze, oglądam zza jego ramienia kolejne, takie same „gabinety”. Nic nie myślę. Greczny funkcjonariusz znajduje

wreszcie kawałek wolnej przestrzeni, wypraszając z pokoju kolegów - tylko na chwilę, zaraz będą mogli wrócić - i podaje mi jakiś papier, a jednocześnie mówi, że właśnie dzisiaj rano dostał wyniki badań genetycznych. I że one, niestety, potwierdzają jego najgorsze przypuszczenia, bo tak naprawdę to on, nie chwając się, od samego początku był przekonany, że wytypował prawidłowo. Więc teraz już szczęśliwie zamyka sprawę, reszty dowiem się na Mokotowie, tutaj jest nazwisko i numer telefonu osoby, do której trzeba się zgłosić. -Czy pani się dobrze czuje?

Wiadomość jest nagła i jakoś niezrozumiale zaskakująca, jakby nie było tych dziesięciu lat, kiedy na nią półświatomie czekałam, i tych ostatnich czternastu miesięcy, kiedy chodziło właściwie już tylko o potwierdzenie. Przyjmuję, że tamta dekada potrzebna mi była na wyczyszczenie życia, a te miesiące - z których symboliczne dziewięć czekałam tylko na badanie genów - na naprawienie pamięci, czyli wyciągnięcie z jej zakamarków tego, co byłam winna moim bliskim. Traktuję to jako Inteligentny Zamysł, lekcję pokory, której zawsze miałam za mało. Może dlatego, że nie ma o niej mowy w Dekalogu? Płacę. Mogę już tylko płakać.

10 CZERWCA

Nie wolno mi tylko płakać. Płacz jest luksusem, na który nie mogę sobie pozwolić, zapłacę, kiedy wreszcie złożę mego syna na wolskim cmentarzu pod czarnym, granitowym namiotem, który Mirek B. zaprojektował dla mamy (i dla mnie). Pamiętam wątpliwości Mateusza, czy aby na pewno babci się spodoba, bo taki namiot może nie być w jej guście, a teraz sam, przeobrażony w kupkę popiołu, zjedzie do wybetonowanej otchłani przez prostokątny otwór przezna-

468

czony specjalnie do takich celów i przykryty ruchomą płytą. Tak to wymyśliliśmy z Mirkiem, żeby stworzyć udogodnienie dla żywych, kiedy będą się żegnać ze zmarłymi.

Aby to nastąpiło, trzeba jednak nadal czekać, naciskać i szukać odpowiednich nitek.

Zabiegać, jak Antygona, o prawo do pogrzebu. Zrozumiałam to już po wizycie na Mokotowie, dokąd zawiozła mnie Jola, mój przyjaciel, jeszcze tego samego dnia, kiedy dostałam tę absurdalnie bezapelacyjną informację, że znak zapytania zmienił się w kropkę. Jola pojechała tam ze mną, bo wcześniej, mimo wyraźnych sugestii policjanta z Wilczej, nie umiałam stanąć twarzą w twarz z bandytami, którzy znaleźli moje dziecko i zrobili wszystko, żeby to ukryć przed światem. Słusznie przeczuwałam, że i tak nic mi nie powiedzą i niczego nie pokażą, dopóki sprawa nie przesunie się ze sfery domysłów w rejon faktów, co da mi wreszcie uprawnienia do zadawania pytań. Toteż nie zdziwiłam się, kiedy po godzinnym czekaniu na młodszą aspirantkę Monikę S. usłyszałam, że ona także zamknęła sprawę, że dokumenty poszły do prokuratury i tam, w prokuraturze, mogę się z nimi zapoznać. Udało mi się jedynie wydusić z niej numer sprawy, który przez wszystkie poprzednie miesiące i lata był otoczony służbową tajemnicą, ale teraz już stał się jawny, jak najbardziej.

Wracałyśmy, nakładając drogi, żeby obejrzeć budynek przy ulicy Kazimierzowskiej, którego także nie chciałam wcześniej zobaczyć, którego istnienie zabobonnie wypierałam ze świadomości, jakby jego przedwczesna materializacja miała wpłynąć na niegdysiejszy przebieg zdarzeń, zmienić fakty, przekształcić tryb niedokonany w dokonany przez samo posadowienie się w mojej pamięci. Stanęłyśmy przed wielkim czworobokiem w pobliżu Rakowieckiej. Budownictwo z wczesnych lat pięćdziesiątych. Dwie klatki schodowe, cztery piętra, domofony. Jola zagadnęła mieszkanki, czy wiedzą, że tu gdzieś znaleziono ciało młodego człowieka. Nie wiedziały. O niczym takim nie słyszały, choć mieszkają tu od urodzenia. Wszycy się tu

469

znają i gdyby zdarzyło się coś podobnego, to przecież całe podwórko by o tym mówiło, no nie?

A więc nie było sensacji, a zatem nie było powodu do zamieszczania notatki w kronice wypadków, donoszącej zwykle o tym, kogo i gdzie potrafił samochód albo nawet rower, kto kogo pobił pod sklepem monopolowym, gdzie znaleziono porzuconego przez matkę noworodka. Jeśli chodzi o noworodka, to sprawa zwykle jest beznadziejna - matka na taki anons się nie zgłosi. Ale matka dorosłego syna - owszem. Dlatego, kiedy się znajduje młodego człowieka bez dokumentów, lepiej tego nie rozgłaszać i nie przysparzać sobie pracy. Sprawę należy załatwić dyskretnie, ograniczając grono wtajemniczonych do koniecznego minimum, bez sąsiadów z innych klatek schodowych i, oczywiście, bez dziennikarzy. Więc już dalej nie pytamy. Wiemy, jaka będzie odpowiedź.

13 CZERWCA

Prokuratura rejonowa dzielnicy Mokotów mieści się w takim samym budynku jak ten przy Kazimierzowskiej. Kiedy go wreszcie odnajduję, schowany w ustronnym zaułku gdzieś na tyłach Alei Niepodległości, i próbuję ustawić samochód przy rozrośniętym żywopłocie, z okna na parterze wychyla się starszy pan i uprzedza, że jeśli nie przestawię pojazdu, to ktoś mi przebije opony. On sam chętnie by to zrobił, powiada, ale ma kłopoty z chodzeniem. Nie jestem zdziwiona. Wiem, kto mieszka w tych domach z wczesnych lat pięćdziesiątych, dyskretnie odsuniętych od głównej ulicy i mieszczących prokuratorskie biura, do których właśnie wchodzę.

Pan prokurator o wymyślnym nazwisku Heliopolisewicz czy jakimś podobnym, wręcza mi cienką teczkę z informacją, że właśnie zamknęli sprawę na skutek przedawnienia. Wolno mi się zapoznać z zawartością. Panie w sekretariacie są co prawda zajęte pracą, ale tutaj jest akurat wolny stoliczek, mogę sobie usiąść i spokojnie wszystko przeczytać.

470

Posłusznie siadam, wyjmuję swój laptop i czytam po kolei, kartka po kartce, raporty, zeznania, całą urzędową korespondencję w sprawie ciała znalezionego 16 grudnia 1997 roku na klatce schodowej, właściwie na schodach prowadzących do piwnicy w budynku przy Kazimierzowskiej. Dowiaduję się, kto i o której zawiadomił policję. Był to pan Wiesław B., mieszkaniec tego domu. Meldunek przyjęto o godzinie siedemnastej dziesięć. Notatka z wizji lokalnej zawiera opis stroju: szary golf, czerwona kurtka (częściowo rozpięta), czarne spodnie sztruksy, czarny pasek z metalową klamrą, sportowe obuwie marki British Knights. Ponadto, jak wynika z notatki, w pobliżu ciała znalezione duży turystyczny plecak koloru czerwonego i czapkę koloru czarnego. Wezwany na miejsce lekarz pogotowia stwierdził „zgon przed przybyciem”. To znaczy kiedy? Przed godziną czy przed kwadransem? Czy leżał tam od rana i nikt go nie zauważył przez cały dzień, czy umarł na chwilę przed powrotem z pracy państwa B.? Nie ma najmniejszej próby określenia czasu zgonu. Po prostu „przed przybyciem”. Przyczyna nieznaną, rozpoznaje lekarz. I wystawia kartę informacyjną numer 17395. Potem następuje uwaga, że nikt z lokatorów nie znał i nie widział przedtem „denata”. Rozumiem, że to był taki szybki wywiad, bez prawnych konsekwencji, niezobowiązujący: - Dzień dobry, pan tu mieszka? Znał pan tego, co leży na dole? Nie? No to do widzenia.

Usiłuję nie słuchać szczebiotu pań z sekretariatu. Koncentruję się na dokumentach, powtarzam napisane w nich słowa, jakbym chciała je przytrzymać, jakby jutro miały gdzieś ulecieć i zostawić mnie z pustką, z jaką współżyłam przez te wszystkie lata. Notatkę z oględzin sporządzono o godzinie dziewiętnastej pięćdziesiąt. Podpis nieczytelny. Potem chyba nadciągnęły policyjne posiłki i procedurę zaczęto od nowa. Oglądano jednocześnie ubranie i ciało. Co do ubrania, to dodano, że był jeszcze podkoszulek biały z napisem „Adidas” i znakiem firmowym. Że szary golf okazał się bluzą z białymi paskami „w części przedniej”, zapinaną na zamek błyskawiczny,

471

i z kieszeniami także na zamki błyskawiczne. Że kurtka była pikowana, a jej rękawy również mocowane na zamki błyskawiczne. Że slipy w roślinny wzór były z rozporkiem. W

wewnętrznej kieszeni znaleziono notes w granatowej okładce z notatkami, adresami i numerami telefonów, a także torebkę foliową. Były w niej dwie strzykawki, igły i mniejsza foliowa torebka z miniaturową łyżeczką i aluminiową folią. Przedmioty zabezpieczono jako „ślad 1”.

Jeśli chodzi o wygląd ciała, to ograniczono się do tatuażu „w kształcie przyp. kółko i literę M”, powyżej prawej kostki. Stwierdzono też „brak zewnętrznych obrażeń”. Panowie policjanci notowali to wszystko etapami, podczas zdejmowania ubrania. A potem położyli go na prowadzącym do piwnicy podeście, który został starannie zmierzony: trzy i pół na półtora metra. Każdy etap ma swoje zdjęcie. W wersji oryginalnej dokumentacja jest bardziej szczegółowa, zawiera więcej ujęć obejmujących też „sytuację pod schodami” - sugerującą, że ten podest mógł służyć za prowizoryczną sypialnię; panowie śledczy nie wiedzieli, że Mateusz potrafił się włamywać do bardziej luksusowych pustostanów, nie musiał więc mieszkać na klatkach schodowych starych milicyjnych bloków. Nadal nie jestem w stanie rozpoznać go na tych zdjęciach, może dlatego, że nie pozuje: śmierć go zaskoczyła i na jego twarzy pozostało tylko jakieś bezbrzeżne, dziecinne zdziwienie.

Oględziny rozebranego, dokonywane przed sierżanta Zbigniewa F. (w obecności technika kryminalistyki Ireneusza W.) zaczynają się od naszkicowania okoliczności zewnętrznych. Protokół stwierdza, że temperatura na zewnątrz wynosiła minus osiem stopni, domofon był sprawny, a schody do piwnicy - na lewo od wejścia. Ciało w wieku około dwudziestu pięciu lat leżało na nich „w pozycji zsuwania się”. Potem następuje opis tego, co wiemy na temat sylwetki, wzrostu, łuków brwiowych i kości policzkowych. Odnotowano istnienie znanej mi blizny „w okolicach łokcia lewej ręki” (pamiętam, spadł z dachu jakiejś szopy podczas swych niebezpiecznych dziecięcych eskapad

472

i złamał rękę, a potem ofiarował mi ozdobnie oprawione zdjęcie przy jakiejś cembrowinie, kiedy wesoło demonstruje łokieć zapakowany w gips - tyle, że odbitka jest odwrócona, więc lewa ręka wygląda na prawą). Jest też blizna, której nie znam, dość duża, trzy na trzy i pół centymetra, na prawej ręce w okolicy nadgarstka. I następne tatuaże: indyjskie konopie z literami SOS powyżej kostki lewej nogi oraz „kształt przypominający sylwetki ludzkie i zwierzęce” w okolicy kostki prawej. Czy to może być jaszczurka, o której mówili mi na Wilczej? Zdjęcie jest rozmazane, właściwie nic na nim nie widać. Na innym można dostrzec fragment dłoni z palcami wysmarowanymi czarną farbą. Widocznie zrobiono je już po wzięciu odcisków. A kiedy je brano, stwierdzono, że skóra palców jest zniszczona i „ma zdarte opuszki”. Ze względu na „złe warunki” oględziny zakończono o dwudziestej trzydzięci i „zabrano go do II KRP w celu dalszego rozpoznania”. Nie wiem, czy „go” odnosi się do Mateusza, czy do ple-

473

caka, niektóre partie protokołu pisane są językiem eufemistycznym, zacierającym rzeczywisty przebieg procedury. Zapewne jednak chodziło o przedmiot, ponieważ następnym dokumentem jest protokół z oględzin plecaka, urwany zresztą w pół zdania, ale podpisany przez Grzegorza L. jako kompletny dopiero następnego ranka o godzinie szóstej czterdzięci. W plecaku znaleziono klasyczne wyposażenie narkomana trudniącego się przy okazji włamaniami i dealerką. Sporządzono dwa wykazy dowodów rzeczowych. W pierwszym z 16 grudnia podano zawartość kieszeni. W drugim, z 17, wyszczególniono ubranie. Tyle że kurtka zmieniła w nim kolor z czerwonego na beżowy, a biały podkoszulek przebarwił się na granatowy i już nie miał firmowych znaków Adidasa. W żadnym protokole nie wymieniono też notatnika. Znajduję tylko adnotację, że został wysłany do Sekcji Patologii Społecznych. Żeby go zanalizowali ci od narkomanów. Zatrzymanie notatnika oznaczałoby przecież konieczność wykonywania telefonów pod wszystkie zanotowane w nim numery, chodzenia pod wymienione adresy, przeprowadzania wywiadów, przesłuchań i konfrontacji, nakłaniania

różnych osób do identyfikacji, a wówczas ktoś mógłby rozpoznać znajomego, podać jego prawdziwe nazwisko - no i śledztwa nie można by zamknąć natychmiast po otwarciu; należałoby je kontynuować aż do skutku. A przecież nikt nie był tym zainteresowany - ani policja, ani prokuratura. Zapewne dlatego nie sprawdzono też odcisków palców w rodzimej komendzie, tylko je wysłano (18 grudnia) do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Komendy Głównej Policji i już 5 stycznia nadeszła, podpisana teraz do zapytania, odpowiedź „za poświadczeniem odbioru”, w której informuje się, że „w CRD nie figuruje karta daktyloskopijna osoby, której odfitki linii papilarnych nadesłano w ramach wywiadu”. Tu następują pieczętki i podpis podinspektora Leszka S. Nie znaleźli. Nie mieli w kartotece odcisków kogoś, kogo wielokrotnie zatrzymywano i od kogo każdorazowo brano odciski palców - w Śródmieściu, na Ochocie, na

474

Żoliborzu i właśnie na Mokotowie. Nie mieli odcisków aresztanta z Rakowieckiej i z Białołęki, który, dwukrotnie więziony, spędził łącznie półtora roku w zakładach karnych i był już wówczas poszukiwany listem gończym przez policję w Warszawie i Płocku. Czy naprawdę wystarczy naiwnie zetrzeć sobie opuszki palców, żeby stać się nierozpoznawalnym? Czy też po prostu porównywanie odbywa się „na piechotę”, a wynik zależy od spostrzegawczości funkcjonariusza, jak mi wielokrotnie mgliście sugerowano podczas kolejnych spotkań na ulicy Wilczej? A może nie odbywa się wcale, bo kto ma zdrowie do oglądania tysięcy kartotek za każdym razem, kiedy przychodzi formalne zapytanie? To ostatnie wyjaśnienie zasugerował mi pan prokurator Hiropraktorski, gdy podzieliłam się z nim swymi wątpliwościami.

Tak więc nie znaleźli karty daktyloskopijnej, ale za to przesłuchali świadka. Alicja B., żona Wiesława B. (tego, który zawiadomił policję), wykształcenie średnie, zatrudniona w MSWiA zeznała, że wracając z mężem z pracy około godziny szesnastej trzydzieści pięć, zobaczyła leżące na schodach ciało. Zadzwonili na policję od sąsiada spod numeru 15. Koniec zeznania. Męża nie przesłuchano. Nie przesłuchano nikogo więcej, nawet sąsiada spod numeru 15. Policjantów nie zainteresowało, jak długo „ciało” spoczywało na schodach - czy były to godziny czy minuty? Czy mój syn sforsował domofon (Alicja twierdzi, że robi się to nożem, ale noża nie znaleziono) i wbiegł z mrozu do ciepłego wnętrza, żeby tam umrzeć, czy też schronił się już wcześniej, na przykład poprzedniej nocy? Czy kiedy tam wchodził, był już umierający, czy tylko nagrzany? Czy może jednak znał w tym domu kogoś, kto postanowił zakończyć znajomość za pomocą pięści i kopniaków? 8 stycznia 1998 roku Jacek D. z wydziału dochodzeniowo-śledczego sporządził notatkę urzędową streszczającą wyniki sekcji zwłok. Według tej notatki „przyczyną zgonu był uraz w nieznanymi okolicznościach, uraz brzucha, krwotok wewnętrzny z urazowo uszkodzonej krezki oraz śledziony”. Czytam

475

obszerny protokół z sekcji, zawierający drobiazgowy opis wszystkiego, z czego było zbudowane ciało mojego syna, tutaj opisanego jako N.N. numer 207, zakończony logicznym wnioskiem co do przyczyn śmierci. Wynika z niego, że śmierć była następstwem „bezpośredniego silnego urazu tępego”, że ten uraz „godził w podbrzusze po stronie prawej w obrębie ściany przedniej brzucha w kierunku ku górze i stronie lewej”, że zatem do powstania uszkodzeń doszło „w wyniku urazu dynamicznego, np. kopnięcia lub silnego uderzenia pięścią”.

Zastanawiam się, ile czasu upłynęło od tego urazu do odpłynięcia w nicość inną niż ta, w której się zwykle pograżał? Był zdziwiony, więc może proces zapadania się w siebie nie trwał długo? Może nie umierał w męce, tylko w nagłym, krótkim błysku bólu? Albo stracił przytomność i czucie, a proces wypływania krwi ze środka do środka - z jednego pękniętego naczynia do drugiego, ze śledziony do wnętrza brzucha - przebiegał samoistnie i już bezboleśnie?

Tego samego dnia, 8 stycznia, podpisane zostało postanowienie o wszczęciu dochodzenia o dokonanie przestępstwa. I na tym wszystko się kończy. Nie ma żadnych śladów, aby ktokolwiek prowadził jakieś śledztwo. Nie wykonano żadnego ruchu prócz tego, że do akt dołączono notatkę urzędową, napisaną 2 lutego 1998, nadesłaną z Sekcji Patologii Społecznej Wydziału Kryminologii. Wynika z niej, że środowisko narkomanów nie rozpoznało zwłok. Również z analizy notatnika nie wyciągnięto żadnych wniosków. Żadnych. Ani jednego adresu, ani jednego numeru telefonu i ani jednej ksywy nie znali chłopcy siedzący po uszy w sprawach narkomanii, ci sami, którzy wdarli się któregoś ranka do mojego mieszkania i rozbiegli po wszystkich pokojach jak wietrzące zwierzynę gończe psy. Nie pozwoliłam im wówczas zrobić przeszukania bez nakazu, Mateusz był na wolności zaledwie od kilku tygodni, próbowałam go jakoś ochronić, miałam resztki nadziei, że coś się uda odwrócić. On sam był chyba mniej naiwny, choć zarazem jakoś dziecinnie nieostrożny:

476

umawiał się przez telefon, prowadził swoje transakcje w mieszkaniu na Dzikiej albo w windzie między parterem i ósmym piętrem. Napisał potem z więzienia kilka słów mających świadczyć, że rejestrował moje sygnały:

Szczerze mówiąc - pisał - trochę mi nieswojo, kiedy pomyślę, jak żeśmy się mijali w twoim luksusowym mieszkaniu. Często odnosiłem wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć, ale nie wiem, czy przez strach, czy przez niewiarę w to, że Cię wysłucham, nie mówiłaś nic. Poza tym tych sześć tygodni, no właśnie, sześć tygodni. Byłem zajęty Alicją, Zośką, pieniędzmi i samym sobą.

Chłopcy z Brygady musieli założyć pluskwę. Podczas mojego najbliższego wyjazdu spokojnie załatwili nakaz przeszukania i nakaz zatrzymania. Kiedy wróciłam (nadal nie wiem skąd) i weszłam do mieszkania, Alicja czekała tam na mnie ze swoją matką. Siedziały znieruchomiełe, tonące w zapadającym zmierzchu i przez to jakby trochę nierzeczywiste. I zanim padło jakiegokolwiek słowo, nawet zanim cokolwiek pomyślałam, już wiedziałam, że stało się, co się stało. Tak więc nie tylko potrafili wówczas dołożyć starań, żeby go wytropić i wsadzić do więzienia - o co przecież łatwo, wystarczy tylko nie spuścić z oczu kogoś, kto jest od dawna namierzony i dopiero wyszedł z aresztu - ale przy okazji jeszcze porządnie skatować, jakby to go miało wyleczyć z choroby. Teraz natomiast nie umieli zidentyfikować skopanego ciała, nic im się z niczym nie kojarzyło, nie powiązali z sobą żadnych faktów, żadnych nitek. Poprzestali na tym, że stali bywalcy Dworca Centralnego nie rozpoznali twarzy, którą im podsuwano przed oczy na czarno-białej odbitce ksero, jakby nie wiedzieli, że w tym światku nikt nie powie prawdy, nawet jeśli rozpozna rysy, a to rozpoznanie było za trudne nawet dla mnie i Alicji. W końcu środowisko warszawskich narkomanów jest bardzo rozległe, a brygada mała i ściga tylko żywych, martwi jej nie interesują, bo nie podnoszą wykrywalności.

477

W ten sposób śledztwo się wyczerpało i zostało umorzone już 17 lutego. Pani prokurator Anna Jackiewicz uznała, że „czyn nie zawiera ustawowych znamion czynu zabronionego”. Nie, że nie wykryto sprawcy, tylko że w ogóle nie popełniono żadnego czynu, który nosiłby „ustawowe znamiona”. Nikt go nie kopnął tak silnie, że mu pękła śledziona. Dlatego pan prokurator Hieroglifiński mówi o śmierci naturalnej i jednocześnie wręcza mi decyzję o przedawnieniu? Po dziesięciu latach przedawnia się ściganie sprawców śmierci naturalnej, a więc takiej, która spowodowana została przez czynniki nienoszące „ustawowych znamion”. Mamy do czynienia z nieubłaganą logiką: jeśli śmierć jest naturalna, to znaczy, że sama się spowodowała. Od tej decyzji mogę się oczywiście odwołać i mam na to siedem dni. Nie płaczę i nie krzyczę. Staram się być grzeczna i mówić spokojnym głosem. - Pragnę się tylko od pana dowiedzieć - mówię do pana prokuratora Hiperbolińskiego - jak mam przystąpić do czekających mnie procedur, żeby wydobyć z nieznanego miejsca te szczątki,

które po dziesięciu z górą latami pozostały po moim dziecku, i pochować je zgodnie z przysługującą zmarłym godnością. Jakie czynności należy w tej sprawie wykonać, bo w aktach nie ma śladu na temat tego, gdzie, kiedy i w czyjej obecności odbył się urzędowy pogrzeb. Nie ma też aktu zgonu. Mówię tylko to, nie narzekam, że cierpię na dziedziczny deficyt grobów, nie podnoszę drażliwych kwestii związanych z organiczną ściółką lasu w Bełżcu ani z brakiem informacji na temat miejsca spoczynku moich rosyjskich krewnych, zarówno tych rozstrzelanych, jak i tych pochowanych dawno temu w miejscu, gdzie później założono Park Kultury i Wypoczynku miasta Nowosybirsk. Nie wspominam też o krótkiej pamięci swego wuja, który zapomniał, gdzie leży jego matka i jego siostra. I nie opowiadam temu obłemu urzędasowi o spoconych dłoniach i pretensjonalnym nazwisku, że mam tylko dwa osobiste groby: jeden na żydowskim cmentarzu w Legnicy, a drugi na prawosławnym w Warszawie, i że

478

chcę wreszcie naszą niezborną rodzinę jakoś skonsolidować, na tyle chociaż, na ile to możliwe przy mojej niezdefiniowanej, synkretycznej religii.

Ale on nic nie wie na temat dalszych procedur. Mówi tylko, że wtedy, w 1997 roku, zdawał maturę, więc czego ja właściwie oczekuję?

LIPIEC

Sezon ogórkowy

Mleko się rozlało! Dziennikarskie hieny rzuciły się na łakomy kąsek. Trwa kanikuła, a wokół mojego nazwiska zawsze można się pożywić, to już sprawdzone. Nikt też nie stanie w mojej obronie, wszystko jest przecież pisane w „dobrej wierze”, z pozycji wskazującej organom prawa i sprawiedliwości, jak mają działać. Dlatego nazwisko Wu i Mateusza ukryto pod literkami, a moje nie. Moje ma przyciągać uwagę czytelnika, która bez tych dwóch wyłuszczonej słów oznaczających moją obywatelską tożsamość, dekodujących mój NIP i mój PESEL, mogłaby się prześliznąć na rewelacje z życia publicznego, na jakichś polityków czy na gwiazdy disco polo, których i tak pełno w całej polskiej prasie, i wówczas gazeta nie osiągnęłaby zamierzonego celu, jakim jest przyciągnięcie czytelnika i zatrzymanie lecącego w dół słupka poczytności. Akurat wtedy, kiedy w prokuraturze wznowiono śledztwo, oczywiście znów nie z własnej inicjatywy, tylko wskutek „wysokiej interwencji”, kiedy otwarto pospiesznie niegdyś zamkniętą sprawę, kiedy zaistniała szansa na zaskoczenie od dawna zrelaksowanych „nieumyślnych” sprawców, akurat wtedy pojawił się przeciek z prokuratury, śmiało pochwycony przez padlinożerców z oficjalnej gazety, i w ten sposób cała Polska, a więc i ewentualni podejrzani, poznała szczegóły, trochę ubarwione, oczywiście. Na potrzeby żadnego krwi czytelnika należało bowiem

481

dodać jakieś „zmasakrowane ciało”, dorzucając przy okazji dokładną datę zdarzenia i adres z numerem domu. Wyłuszczone też moje imię i nazwisko, żeby nie było cienia wątpliwości, o jaki przypadek chodzi. Oczywiście, chcieli więcej. Zadzwoił jakiś dupek i, żebym od razu nie rzuciła słuchawki, powołał się na znaną mi koleżankę redakcyjną, a następnie - lepkiem od miodu głosem - zaczął zadawać pytania o syna. Zaskoczył mnie tym, że wie, że już się dowiedzieli, że wyniuchali. I może dlatego, że ledwie stałam na nogach, ale i z wieloletniego nawyku, odpowiedziałam mu cicho i grzecznie, chyba nawet trochę błagalnie, żeby się tym nie zajmował, żeby mi pozwolił w spokoju pochować dziecko. I jakoś naiwnie uwierzyłam, że usłuchał, że człowiek pokonał w nim hienę, że odwróci się od gotowego żerowiska i pójdzie polować gdzie indziej. Mimo uwag słuchającej tej konwersacji koleżanki, że byłam stanowczo za grzeczna, już trochę uspokojona, skoncentrowana na szansie poznania nazwy cmentarza i numeru kwatery, pojechałam jeszcze raz do komendy na Mokotowie. I rzeczywiście poznałam. W przeddzień rozhułanej kampanii prasowej, pochylającej się z fałszywą troską nad moim nieszczęściem, dostałam do ręki ten adres i numer, z rzędem i

miejszem. I od tej chwili wszystkie wciągnięte w sprawę szczeble wymiaru sprawiedliwości przestały się nią zajmować, a zaczęły przygotowywać dla prasy rozmaite wersje usprawiedliwień i wyjaśnień, aż w końcu tak się zagalopowały w dowodzeniu zarówno swojej niewinności, jak i sprawności operacyjnej, że już do końca ujawniły tajemnice śledztwa i tak zadeptały teren, że nie warto niczego zaczynać, nie warto nawet sporządzać „notatek służbowych”, które jednak zostaną sporządzone i wypełnią następny tom akt swoim cynizmem i swoją urzędową nieskutecznością. A mój telefon nadal będzie milczał, nie zadzwoni nie tylko pan prokurator Hienoprzymiliński, ale i znajomi. Bo co mi mogą powiedzieć?

SIERPIEŃ

Coup de grâce

Mimo wszystko pracuję. Znowu pracuję. Nadal pracuję. Nadal żyję. Życie mniej doskwiera, gdy jest się daleko od domu. Pracuję w Brazylii, w rzeczywistości tak różnej od polskiej, i przez to tak absurdalnej czy też inaczej absurdalnej, że mogę na chwilę uciec od tamtej codzienności. Ale nie mogę uciec od doznań. To już nie działa. Zepsuła się, służąca mi przez wiele lat, proteza w postaci ucieczki z domu. Przestała funkcjonować. Może ze względu na internet i telefon komórkowy? Nie jestem dalej od złych wiadomości, niż gdybym była w Warszawie albo w innym dowolnym miejscu Polski. Mówiąc krótko, Brazylia nie pomaga, bo tutaj także mogę przeczytać wszystkie wymiociny, jakie za sprawą dziennikarskiej pary z oficjalnego dziennika spływają na forach dyskusyjnych polskiej prasy już nie tylko na mnie, ale i na Mateusza. Mogę się z nich dowiedzieć, co już wiem od dawna: że byłam złą matką. Ale i tego, że śmierć Mateusza nie jest żadnym dramatem, bo to przecież narkoman i żyd. Z małej litery, oczywiście.

Zastanawiam się, czy ta korespondencja dociera do jego ojca, potomka kresowej szlachty po mieczu i mazowieckiej po kądzieli, a jeśli tak, to jak on na to reaguje? Nie publicznie, nie towarzysko, ale w środku, w głębi siebie, gdzie za demonstracyjną próbą rozpoznania hebrajskich liter a/e/i betel ukrywał niechęć do mojego pochodzenia

483

i gdzie gnieździły się jego podejrzenia, że sam może być dotknięty tą samą skazą, bo przecież „urodził się w dymach Treblinka”, co lubił podkreślać z literacką emfazą, nie dodając jednak, iż te dymy snuły się nad dworem jego wuja, odległym ledwie kilka kilometrów od wygrodzonych ze zwykłego świata krematoryjnych pieców, ale też nie wypowiadając wyraźnie supozycji, że w tym dworze mógł się być zaplatać jakiś uciekinier z transportu. Tego nie dodawał. Zostawiał swych słuchaczy wśród wieloznacznych domysłów, bo każdy powód był dobry, żeby szukać ukojenia w alkoholu, także ten, że mu odebrano córkę, a synowie się nie udali. W podtekście tych niedopowiedzianych domniemań krył się także brak zaufania do własnej matki, po której odziedziczył całą swą fizyczność, z wyjątkiem jej ciemnego kolorytu. Koloryt wziął z linii męskiej - jasny, mazowiecki, dziedziczony później przez chłopców z tej rodziny, przez Maćka, Mateusza i nawet Cyryla, a także przez dzieci z drugiej linii męskiej.

Kiedy pierwszy i ostatni raz w życiu pojechałam do tego dworu na rodzinne, pachnące prozą Konwickiego Zaduszki, kiedy najpierw stałam przy grobach przodków po mieczu i po kądzieli, którzy złożyli się na ciekawą, lecz pękniętą i przez to defektywną osobowość Wu, a potem, już we dworze najstarszego z rodu, zasiadałam przy rodzinnym stole, długim, ale za krótkim dla dzieci i żony „z włościan”, która przez to nie dostępowała równości wobec pańskiego rodzeństwa, tylko uwijała się między kuchnią i stołowym, niemal dygając przed siostrami męża zwracającymi się do niej w trzeciej osobie: - Niech Florcia - i gdy wuj namaszczonym gestem zawieszał za plecami kieliszek wódki, chwytny natychmiast przez najstarszego syna czekającego w drugim rzędzie na sposobną łaskawość rodzica, by dane mu było wychylić za pamięć i wieczne odpoczywanie - już wówczas powinnam była zrozumieć,

że nie osiągnę w tym związku partnerstwa, że egalitarna tradycja, w jakiej wyrosłam, nie będzie kompatybilna z hieratycznym porządkiem uznawanym w tamtej

484

rodzinie, nawet jeśli obaj synowie Luni, mojej ówczesnej „teściowej” (opowiadającej, że u nich też się nie przelewało, że musiały pracować na polu, ale jednak „szlachcianki peły w rękawiczkach”) - tak starszy, jak młodszy, będą szukać innego modelu, to nie aż tak odległego od domowych zwyczajów, jak by tego wymagała moja „kulturowa obcość”. Lecz ja nie umiałam wówczas wyciągnąć odpowiednich wniosków, nawet mi się podobała taka nieznaną wcześniej tradycja i hierarchia, dlatego kiedy już z nim zamieszkałam, nawet nie zauważyłam, zwyczajnie nie zauważyłam, że nigdy nam, a nawet sobie, nie mówiąc już o mnie, nie zrobił nawet herbaty. Dziecko także urodziłam „na własną odpowiedzialność” i nie oczekiwałam pomocy przy przewijaniu, praniu pieluch, przecieraniu zupek - wszystko robiłam sama, jakoś naturalnie i bez problemów. Dlatego zapewne usłyszałam pewnego dnia, że załatwił mi żłobek: - Załatwiłem ci żłobek, pora wrócić do pracy - powiedział, a ja się oczywiście na to zgodziłam, bo nie umiałam się nie zgodzić - oznaczałoby to bowiem poniżające „przejście na utrzymanie”. Odtąd biegłam każdego ranka z wózkiem i ściśniętym sercem najpierw do socjalistycznej przechowalni małego dziecka, potem do pracy i znów - najpierw do przechowalni po dziecko, a potem, już trochę wolniej, robiąc po drodze zakupy, do naszej wynajętej kawalerki, gdzie ponownie przyspieszałam przy sprzątanii, gotowaniu i zdzieraniu naskórka na codziennej porcji prania (bo oczywiście nie mieliśmy pralki). Aż wreszcie padłam z wysoką gorączką. I tego samego dnia tatuś zawiózł dziecko do moich rodziców, a do Warszawy przyjechała jego matka, żeby mi podać przysłowiową szklanekę wody. Pamiętam, próbowałam się z nią podzielić zdziwieniem, czemu to wszystko spada tylko na mnie, na co ona wzruszyła tylko ramionami i spokojnie, cichym głosem powiedziała: - Taki nasz kobiecy los. - Właśnie skończyła pięćdziesiąt lat, była znacznie młodsza od mojej mamy, która akurat wtedy, dokładnie w tym samym czasie, zaczynała swoje nowe zawodowe życie i która nigdy nie zdała się na żaden los - ani

485

kobiecy, ani ogólnoludzki. Wówczas, w trakcie tamtej krótkiej rozmowy, pomyślałam jednak nie o różnicy w kwestiach podejścia do losu, lecz o niegdysiejszej uwadze mamy, żebym się starała nie mieć z nim dziecka, a zaraz potem - że skoro to jednak zrobiłam, skoro urodziłam, muszę się zgodzić na konsekwencje. Dalej więc kręciłam kierat, ale już nie tak spontanicznie, już włączył mi się licznik wystukujący dla tego związku punkty karne. Alarmowy dzwonek zabrzmiał jednak dopiero podczas rozmowy o chrzcie, kiedy ojciec mego syna, sam od dawna niewierzący, oznajmił, że nie ochrzci żydowskiego dziecka: - Nie będę chrzcił żydowskiego dziecka! - powiedział twardo i uciał dyskusję. Później wyszło na jaw, że nie ochrzcił także Maćka, swego pierworodnego syna o prawosławnym rodowodzie. Ale już wtedy, podczas tamtej krótkiej wymiany zdań, stało się dla mnie jasne, że trzeba pomyśleć o rozstaniu, że przyszła pora na zabranie syna spod wpływu ojcowskiej ambiwalencji, wyrwania go z ustawicznego rozdarcia między czułością a chamstwem, między błyskotliwością myśli a żenującym prostactwem słowa i czynu; z rozziwu między wrażliwością moralną, doprowadzoną do perfekcji umiejętnością postrzegania dobra i zła a zupełną niemożnością spożytkowania tej zdolności w codziennych rodzinnych relacjach. Zabrałam go, wierząc że moja jednostronna, macierzyńska oferta będzie mimo wszystko mniej toksyczna niż nasze wspólne życie w terrorze, do którego się nie nadawałam poniekąd z definicji, bo nie zostałam wychowana na ofiarę, bo koncepcja ofiary była mi z gruntu obca - także wówczas, gdy rozumiałam jej chrześcijański kontekst. Niczego jednak nie da się z życia wymazać. I oto po trzydziestu pięciu latach od tamtej rozmowy na temat chrztu, po tym wyparci się siebie ze swojego syna, już nieżywe „żydowskie dziecko” wraca do ojca i uderza go w twarz

szczękiem uwolnionych z łańcucha cerberów etnicznej czystości. Nie ma we mnie współczucia. Nie ma nawet chęci zobaczenia zdziwionego tym uderzeniem grymasu.

486

Koncentruję siły na zachowaniu spokoju. Za kilka godzin otwieram wystawę zaplanowaną przed rokiem, w innym życiu, w okresie, kiedy jedną ręką sporządzałam rachunek sumienia, a drugą nadal trzymałam na pulsie zawodowego życia, żebym miała coś do zrobienia w wypadku, gdyby życie wymagało dalszego czekania, dalszego pobytu w tunelu. Mam już za sobą oswojenie się z nową przestrzenią, badanie możliwości stworzonych śmiałą ręką Oscara Niemeyera w mieście zbudowanym na planie powtarzającym rysunek samolotu czy może ptaka, czy też pierzastego węża, posadowionym na pustkowiach tylko dlatego, że stanowi ono akurat geograficzny środek Brazylii. Skończyłam mierzenie ścian, rysowanie planów, dobieranie kolorów, pokazywanie palcem, gdzie mają zawisnąć obiekty, na jakiej wysokości trzeba umieścić napisy. Skończyłam. Pozostaje kosmetyka i wywiady dla mediów.

I właśnie wtedy, między jedną a drugą rozmową, odebrałam telefon z wiadomością na temat mojego kota Romka. Że spadł z balkonu, którego nie oplotłam siatką, a więc nie zabezpieczyłam przed

487

taką ewentualnością, bo nie potrafiłam się skazać na oglądanie świata przez raster i ponieważ wierzyłam, że ten najroztropniejszy kot świata już się nauczył, że wie, że rozumiał, co do niego mówię, kiedy patrzył mi w oczy i próbował polemizować, miauczał i pomrukiwał na różne sposoby, prosząco trącał mnie miękką łapą, a potem, obrażony, chował się w szafie, ale w końcu dawał za wygraną i z rezygnacją przyjmował rozwiązanie kompromisowe - siedzenie za okienną szybą. Nie mogę teraz powiedzieć jego chwilowej opiekunce, płaczącej mi w telefon, że go uważnie obserwowałam za każdym razem, gdy otwierałam balkonowe drzwi, i że je zamykałam, ilekroć wychodziłam z pokoju; że kiedy w północy nie czułam jego obecności tuż obok siebie, na brzegu łóżka, biegłam w nocy sprawdzać po omacku, czy na pewno są zamknięte. Nie mogę jej tego wszystkiego powiedzieć. Jego upadek dolicza się do mojego rachunku win i strat. To ja nie przewidziałam, ja nie założyłam siatki, ja zlekceważyłam niebezpieczeństwo.

Ale już dłużej nie jestem w stanie udzielać wywiadów, wracam do hotelu i poddaję się internetowej reanimacji dokonywanej z pełnym poświęceniem przez Alicyjkę, moją przybraną, ale bardzo prawdziwą córeczkę. Staram się opanować płacz, staram się uspokoić na tyle, żeby sprostać czekającym mnie wieczorem reprezentacyjnym zadaniom, budzi się we mnie mój obowiązkowy tata: jestem w pracy, to nie wakacje, tu nie ma miejsca na fanaberie i kaprysy, tu w grę wchodzi obowiązek. Ale organizm jest innego zdania. Sygnalizuje mi to za pomocą nerwu, który wywołuje skakanie skóry pod okiem. Tik. Tylko tyle za całe życie w grzechu. Nie wymiotuję, nawet nie mam motyli w brzuchu, choć od wiosny nie biorę już leków na depresję, nawet tych nowej generacji. Nie mam też zawrotów głowy, jak mój ojciec, nie mam kłopotów z sercem - jak mama. Nie mam żadnych dolegliwości, jakie miewają ludzie w moim wieku. Minęły nawet bóle brzucha, które zaczęły się od wizyty w prokuraturze i trwały sześć tygodni. Zaledwie. I jeden dzień w Brazylii, teoretycznie bez powodu, po prostu po tym, jak przeczytałam internetową dyskusję na

488

temat mojego przypadku. Dopadło mnie akurat podczas rozmowy z dyrektorem miejscowego muzeum, ale oni mają do takich spraw stosunek naturalny. Do bólu znaczy. Dyrektor zrobił mi akupresurę, nacisnął jakieś bolesne receptory na dłoni i na karku i kazał wypić wodę kokosową, której nie lubię, potem jego zastępca przyniósł ze swego ogrodu jakieś rośliny i zalecił je zaparzać albo przeżuwać, w końcu Madzia M., moja promotorka, kupiła mi w miejscowej aptece „brazylijską medycynę” na podobne dolegliwości, i wszystko ustało.

Zostałam uleczona w rejonie żołądka. Ale pojawił się tik. Tylko tik. I lekkie drżenie rąk. W mojej sytuacji nie jest to zbyt wielka dolegliwość, właściwie jestem zdrowa. Widocznie mój czas jeszcze nie nadszedł, widocznie zostało mi do zrobienia coś więcej niż pochowanie mojego kota Romka i mojego syna Mateusza. W takiej kolejności. Romek za trzy dni. Co do Mateusza - nadal nie ma prognoz. Ale na tym, że wreszcie spełnię ten ostatni uczynek co do duszy (bo ciała już nie ma), może się nie skończyć. Już od dawna wiem, choć przecież tę wiedzę uparcie wypierałam, odwracałam się do niej plecami, zagłuszałam ją dobrymi uczynkami zarówno co do duszy, jak i ciała - że nic mnie w życiu nie ominie, nic mi nie zostanie oszczędzone, że nie spotkam się, jak mój ojciec, z błogosławieństwem cichej śmierci przez sen, że muszę doświadczyć czegoś więcej. Pozostaje oczekiwanie. Zgadywanie. Tasowanie wariantów. Wśród nieprzebranej wielości jest taki, że ktoś strzeli mi zza węgła w plecy i nawet nie będzie wiedział, że ten rodzaj egzekucji nosi nazwę coup de grace, strzał miłosierdzia.

Tak mi dopomóż Bóg.

Prusewo, kwiecień 2007 - Brazylia, sierpień 2008

SPIS ILUSTRACJI

(według numerów stron)

Wszystkie fotografie, których źródła nie opisano inaczej, pochodzą z archiwum domowego Autorki.

12 Mateusz, ok. 1990

19 Rodzeństwo Biełogłazowów (Afanasja, Andriej, Aleksander, Anna), Nowonikołajewsk, ok. 1909

20 Babka z bratem (Andriej i Afanasja Biełogłazow), Nowonikołajewsk, ok. 1907

21 Babka z bratem i kolegą (N.N., Andriej i Afanasja Biełogłazow), Nowonikołajewsk, ok. 1910

23 Iwan Szerszniow (pradziadek)

z żoną, początek lat 20. 25 Stoją od lewej: N.N., Kirył

Szerszniow, Afanasja, Michaił (?)

Szerszniow z żoną, Wasyl

Bażenow z żoną Anną, N.N.;

siedzą w drugim rzędzie: N.N.,

Anton Biełogłazow z żoną

(i maleńką Lidią), Iwan

Szerszniow z żoną, Bażenow

(dziadek Ziny) z żoną

i małym Michaiłem Bażenowem;

w pierwszym rzędzie druga

od prawej Zina Bażenowa.

Nowonikołajewsk, ok. 1912

26 Babka i dziadek (z pierwszą córeczką Lidią), ok. 1911

27 Mama, ok. 1915 27 Mama, ok. 1917

29 Rosjanki w Duszanbe, Lida pierwsza z lewej, ok. 1930

30 Mama, początek lat 30.

31 Plan filmowy w Duszanbe (Stalinabad), ok. 1932

33 Mama, lata 30.

34 Wiera, lata 30.

35 Jura Szerszniow, piętnastoletni

37 Zina (Zinaida Bażenowa), lata 40.

38 Mama i Bejbi, Nowosybirsk, wiosna 1940

40 Jura idzie na wojnę, czerwiec 1941 40 Kaja i Mateusz, 1989, fot. © Jacek Marczewski

46 Mateusz, ok. 1988
47 Mateusz z Cyrylem, 1994 52 Zosia w Karwi, 1997
59 Zosia z Alicją, 1996,
fot. © Adam Łyszkowicz 63 Vera i Eva, Zurych 1996 65 Kirkut w Nowym Sączu
(stan obecny)
490
67 Rozalia Rottenberg, ok. 1940
67 Tauba Amster, ok. 1940
68 Lea Rottenberg, ok. 1940 74 Bełzec, Żużel
85 Mateusz i Kaja, 1993
92 Ks. Wojciech Drozdowicz z Zosią,
2003, fot. © Adam Łyszkowicz 95 List (koperta) 97 List (ciąg dalszy na s. 98) 99 Mama,
1941
108 Budynek „Jajskiej” szwalni. Ze zbiorów Muzeja historii ugołowno-isprawitiejnojsystiemy Kuzbasa w Kemerowie, fot. Tomasz Kizny
109 Maszyna do szycia.
Ze zbiorów Muzeja historii ugołowno-isprawitiejnojsystiemy Kuzbasa w Kemerowie, fot.
Tomasz Kizny
110 Tata, 1944
113 Babka Afanasja, 1944
114 Mama i tata (ślub?), Nowosybirsk, 1945
115 Od lewej: Lidia, Wolf, Afanasja, Wiera, N.N., maj 1945
116 Jura oficer, 1945
118 Tata i Bejbi, Nowosybirsk, 1945
121 Mania (Mariem) Rottenberg, ok. 1940
122 Od lewej: Kazimierz Brandel, tata, N.N., 1946
123 Od lewej: Monek i Kazimierz Brandlowie, tata, 1946
123 Od lewej: Monek, Kazek, tata, Nowy Sącz, 1946
124 Od lewej: tata, Kazek, Monek, Nowy Sącz, 1946
135 Przyjazd do Nowego Sącza (Krakowska 12), zima 1946/47
136 Hanka Sikoń, ok. 1950
137 Nad Dunajcem (mama
z Hanką), 1946/47 146 Zez, 1948 156 Ganek (stan obecny) 160 Podwórko na Wałowej
(stan obecny) 165 Pomnik Zagłady, 1947 167 Jakub Miller, 2007 178 Bicyzce 1939
(reprodukcja
z „Zeitweser der Galizien
Deutschen”, rocznik 2004, s. 230)
181 Cyryl i Zosia, 2007
182 Mateusz, 1984
187 Od lewej: Hanka, tata, Kazek, mama, Krynica, 1950
188 Biały niedźwiedź, Nowy Sącz, 1950/51
198 Maki i chabry (z Ludka
i Danką), lato 1951 210 Mateusz, 1993 216 TPD, 1952
223 Podwórko w Legnicy (tata,
mama i ja), ok. 1954 232 Lola (Lea) i Jasek Rottenberg,
Nowy Sącz, początek lat 30. 234 Chaja Rottenberg (Helen
Leitman), Budapeszt, ok. 1903
236 Harmonista Kazek, przed 1940
237 Hela, Bicyzce Niemieckie, przed 1939
239 „Roboty ziemne”, Chełmiec, 1941 lub 1942

240 Zofia Sikoń, lata 60. 243 Genia Brandel, 1939 247 Hela w Montrealu, 2007 251 Obóz
harcerski, ok. 1958 256 „Pływak” (Mateusz), 1984
262 Cyryl i Zosia, 2001
263 Piknik, 1984, fot. Kazimierz Żórawski
268 Klasa II B, 1952/53
491
275 Mateusz z Maćkiem, ok. 1978
279 Od lewej: Olek, Hanka ze mną, tata, Kazek, Kudowa Zdrój, ok. 1949
280 Przedszkole w Kudowie, jesień 1949
285 Tina, Kudowa, 1957
289 Kadr z filmu Przestrzeń nieograniczona, 1979, reż. Hanka Włodarczyk, zdj. Zbigniew
Wichłacz. Opublikowano
za zgodą Autorów
290 „Merry Christmas”, 1978/79
292 „Fotografujemy się na tle dzieła sztuki” (od lewej: autorka, Ryszard Stanisławski, Irena
Kołat-Ways, siedzi Juliusz Starzyński), Muzeum Sztuki w Łodzi, 1972
293 Mateusz z Adamem, Wegajty, 1991 299 Wigilia 2002, Zosia i Alicja
308 Cyryl, 2007
310 Dyżurna sukienka, 1951
311 Z Margaritą na podwórku (na pierwszym planie: Ludka, Mirka, ja), 1954
314 Tata na nartach, ok. 1954
315 Jarosław Modzelewski, Pociąg do Rosji, 1983, 100 * 150 cm. Opublikowano za uprzejmą
zgodą fundacji Egit
320 Wiera w Manon Lescaut Pucciniego, początek lat 50.
321 Wiera jako Liza w Pikowej Damie Czajkowskiego, początek lat 50.
326 Zina Bażenowa w swojej pracowni, lata 60.
337 Mama w kurorcie, 1957 343 Od lewej: Hela, Ewa, ja,
Ludka, Legnica, 1957 350 Obieranie ziemniaków,
obóz harcerski, lato 1958 354 Od lewej: Ludka, Ewa,
ja, Renata, 1959 362 Trudny wiek, 1961 371 Dowód, 1985 382 Matura, 1963 386 Majka z
ojcem i Bella,
Kopenhaga, 1970 391 Łazienki, 1973
395 Helen Leitman, lata 50.
396 Samuel Rottenberg, Budapeszt, lata 30.
413 Tata z Mateuszem,
Legnica, lato 1972 413 Alicja z Zosią, 1995,
fot. © Adam Łyszkowicz 426 Maite, Denia, 1993 445 Mama, ostatnie zdjęcie,
grudzień 1992 447 Ślub Heli, Budapeszt,
grudzień 1947 453 Martin Leitman (po prawej),
Budapeszt, 1939/1940 (?) 456 Kazek i Hela Brandel
459 Dondi (David) i Willi (Wolf) Rottenberg, Budapeszt, ok. 1910
460 Willi Rottenberg
z córką Vera, 1947 473 Mateusz, ok. 1983 479 Dłoń, ok. 1993 487 Kot Romek, lato 2008
SPIS RZECZY
2007
KWIECIEŃ
Depresja 9
Bezradność 13
Negatywy przechowujemy 16
MAJ

Notatka 43
Co robiłam? 50
Kartka 60
Kirkut w Nowym Sączu 61
Szczebel 74
CZERWIEC
Gułag 77
Wenecja 84
Marynia 88
Blokada 93
LPIEC
Spotkanie 107
Repatriacja 119
Oswajanie nieobecnych 127
Ćwiczenie z pamięci 134
SIERPIEŃ
Autopsja 149
Podwórko na Wałowej 155
Korespondencja a służbowa 171
Trzy historie 173
WRZESIEŃ
Gwiazda 181
Legnica 185
Topografia 193
Imię 210
PAŹDZIERNIK
Język ojczysty 215
Hela 231
LISTOPAD
Morze 249
Nauczanie początkowe 262
Maciek 273
GRUDZIEŃ
Kaplica trupich czaszek 277
Benefis 286
Boże Narodzenie 294
2008
STYCZEŃ
Sylwester 307
Czas Margarity 309
Alzheimer 330
LUTY
Dojrzewanie 335
Wykształcenie średnie 351
MARZEC
Dowód 367
Majka 370
Czekanie 388
Splot 395
KWIECIEŃ

Walizka złotych zegarków 401

Aneks do kariery 419

MAJ

Nic ode mnie nie chcesz 431

Szkice do drzewa 446

Węgierska linia 458

CZERWIEC

Potwierdzenie 467

LIPIEC

Sezon ogórkowy 481

SIERPIEŃ

Coup de grace 483

Spis ilustracji 490

Wydawnictwo W.A.B. informuje, że dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 355 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnego dysponenta autorskich praw majątkowych do fotografii ze strony 40 (u dołu).

Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej książki do druku poszukiwania te nie przyniosły rezultatu, Wydawnictwo W.A.B. zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu jej wykorzystania aktualnemu dysponentowi autorskich praw majątkowych, niezwłocznie po jego zgłoszeniu się do Wydawnictwa W.A.B.

Redaktor prowadzący: Adam Pluszka

Redakcja: Barbara Stahl Korekta: Mariola Hajnus, Anna Sidorek Redakcja techniczna: Alek Radomski

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Pol / koniec_kropka Fotografia na I stronie okładki: z archiwum autorki Fotografia autorki: © Tadeusz Rolkę Projekt logo: Anna Pol

Wydawnictwo W.A.B. 02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31 tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11 wab@wab.com.pl www.wab.com.pl

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca S.A., Kraków

ISBN 978-83-7414-571-8